



*Bramy
Świątkości
tom 2*



KOSSAKOWSKA

— MAJA LIDIA —

fabryka słów®



KOSSAKOWSKA

— MAJA LIDIA —

Bramy Światłości tom 2

Ilustracje
Vladimir Nenow

fabryka słów®
Lublin – Warszawa

Zastępy Anielskie

Żarna niebios

Siewca Wiatru

Zbieracz Burz – tom 1

Zbieracz Burz – tom 2

Bramy Światłości – tom 1

Bramy Światłości – tom 2



Rozdział I



Czas potrafi być zarówno przyjacielem, jak i śmiertelnym wrogiem. Wtedy staje się nieustępliwy, napastliwy i złowrogi. To podstępny starzec, który chichocząc złośliwie, obraca w kościstych dłoniach klepsydrę naszych chwil. Czas nie zna litości. Jest serdecznym druhem kostuchy i szafarzem lęku. Co rano podaje nam prosto do ust kielich goryczy i udręki. Podnosi ostrzegawczo chudy, pokryty brązowymi plamami palec i syczy przez zęby: „Czekaj! Czekaj! Czekaj!”.

Gabriel czekał. Uporczywie, rozpaczliwie łaknął jakiejkolwiek wiadomości niczym czyścicowa dusza zbawienia. A jednocześnie panicznie się bał, że wieści, które wreszcie nadejdą, okażą się złe jak owoce ze zgniłego raju. Podrywał się nerwowo na każdy trzask drzwi, pojawienie się jakiegokolwiek sługi czy posłańca przyplącał szalonym biciem serca i drżeniem rąk, wsłuchiwał się w milczące Oko Dnia z napięciem, które niemal rozsadzało mu czaszkę. W uszach słyszał chorały wygrywane przez wszechobecną ciszę, wysokie, dzwoniące, nieznośne dźwięki, w niczym nieprzypominające niebiańskich chórów.

Bardzo starał się odzyskać spokój i opanowanie, ale czuł się jak wielkie drzewo, jesion czy dąb, z pozoru zdrowe i potężne, a wewnątrz toczone próchnem niczym zarazą.

Dla niego taką zarazą była bezsilność. Regent Królestwa miotał się po swoim gabinecie, skręcał w męce kompletnej bezradności. Nie przywykł do tego. Został stworzony do działania. Jego rozkazy zmieniały losy całego Wszechświata. A teraz pozostawał całkowicie zdany na łaskę starca z klepsydrą i jego syczącego: „Czekaj! Czekaj cierpliwie!”.

Lecz cierpliwość nigdy nie była domeną tego Świetlistego. Ta cnota nie była mu dana. Nie jemu, Archaniołowi Objawień, Zemsty i Posłannictwa, Panu Snów, prawej ręce

samej Światłości. Cierpiał. Dusił się. Miał ochotę rozbić głowę o ściany eleganckiego, kosztownego gabinetu.

Kiedy mordęga bezwolnego oczekiwania zmieniła się niemal w szaleństwo i zasnuła umysł Gabriela mroczną mgłą desperacji, postanowił zrobić to, do czego czuł się powołany. Włączyć się wreszcie do gry i wykonać ruch. Czy zdecydowałby się na to, gdyby potrafił przewidzieć konsekwencje?

Na pewno nie. Ale w obecnym stanie ducha i rozumu naprawdę nie potrafił.

Wezwał więc do siebie szefa wywiadu i nerwowo targając na palcu pierścien regenta, przekazał mu najnowsze rozkazy.

– Zintensyfikować wysiłki? – powtórzył zdumiony Zofiel.

To, że pozwolił sobie jedynie na nieznaczące uniesienie brwi, świadczyło, jak wybitnym był profesjonalistą.

– Tak! Tak! – gorączkowo przytaknął faktyczny władca Królestwa.

– I przeniknąć do Pałacu Pięści oraz Pandemonium, bezpośrednio do otoczenia Lucyfera?

– Przecież mówię wyraźnie! – zirytował się Gabriel.

Akcje szpiegowskie na terenie Głębi zawsze wiązały się z ogromnym ryzykiem i były nie tylko piekielnie trudne, ale wręcz niewykonalne. W Otchłani działał bowiem dobrze wyszkolony wywiad imperatora oraz wyśmienity aparat szpiegowski Asmodeusza. Lecz to nie one budziły największy strach i grozę, tylko ciesząca się ponurą sławą, bezwzględna i mroczna instytucja, nad którą nie panował nikt z dostojników urzędujących w Pandemonium, nawet sam Lucyfer. Kongregacja Kary, Kaźni i Wiecznej Miłości. Przerażający głębiański Urząd Bezpieczeństwa, gdzie niepodzielnie królował jego założyciel i szef, okrutny, podejrzliwy, przebiegły Nergal.

Kongregacji panicznie bał się każdy. Najpotężniejszy Mroczny i zwykły demon z Limbo. Nawet skrzydlaci szeptali o niej okropne opowieści. Była straszniejsza niż śmierć. Smutniejsza niż dno najczarniejszej depresji. Potworniejsza niż męki potępionych, bo nawet najbardziej bezwzględni z Mrocznych zawahaliby się przed zadawaniem żywej istocie takich cierpień, jakim poddawano więźniów Kongregacji.

Istniała. I to wystarczyło, żeby drzeć z trwogi.

Jeśli więc regent rozkazał Zofielowi z nią zadrzeć, musiał postradać zmysły albo w wyrafinowany sposób skazać swego szefa wywiadu na śmierć.

Już w progu nadworny szpieg Królestwa zauważył, że regent nie czuje się dobrze. Wyglądał kiepsko. Przypominał wielkie, nastroszone, chore ptaszysko zamknięte w za ciasnej wolierze. Jakby chciał pofrunąć, ale nie był w stanie. Ubierał się jak zwykle starannie i godnie, usilnie starał się trzymać w ryzach, ale jego ruchy, spojrzenia, grymasy zdradzały tłumioną z trudem nerwowość, skrajne wyczerpanie i nieustanny stres.

Patrząc na przełożonego, Zofiel zrozumiał, że wszelkie dyskusje okażą się zbędne. Pan Objawień wydał rozkaz. A jego zadaniem jest ten rozkaz wypełnić. Choćby za cenę własnego życia. Tak przecież zawsze wygląda służba Królestwu. A bezwzględne posłuszeństwo to fundament siły i trwałości niebieskiego państwa.

Potem będzie dociekał, co skłoniło regenta do podjęcia tak ryzykownej decyzji, i obmyśli plan, który pozwoli zminimalizować zagrożenie. W tej chwili mógł tylko

ukłonić się głęboko i wypowiedzieć sakramentalną formułę:

– Tak, panie. Wedle twojej woli.

Gabriel odprawił go niecierpliwym ruchem ręki.

– No, idź już, idź! I zajmij się wszystkim jak najprędzej.

– Oczywiście, Świetlisty. Natychmiast.

Drzwi gabinetu zatrzasnęły się z głuchym trzaskiem, który przypominał agentowi wywiadu odgłos zamykanej trumny.

Pobladły, oparł się o framugę i głęboko westchnął. Nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że czeka go właśnie ostatnie zadanie w życiu.



Bardzo przenikliwe, bardzo chłodne, szare jak krzemień oczy Algiviusa wpatrywały się w złociste źrenice dżinna, jakby chciały prześwietlić mu głowę na wylot.

I mogły, przypomniał sobie wystraszony Idrys, bo mag cieszył się nie tylko sławą największego czarnoksiężnika w Głębi, ale także najbardziej uzdolnionego telepaty. Posłaniec Asmodeusza cały czas miał wrażenie, że prosto w twarz świecą mu dwa upiorne, przeraźliwie silne reflektory. Czuł, że nie potrafi odwrócić wzroku ani nawet drgnąć. Stał się zielono-złotym motylem przyszpilonym do ściany samą siłą woli potężnego czarownika. Nawet trzepotać nie był w stanie, choć jego serce tłukło się o klatkę żeber niby spłoszony koliber.

Magia, straszna magia, myślał w popłochu, a to jedno słowo odbijało mu się od ścian czaszki niczym fala sonaru.

W jednej okropnej chwili nabrał pewności, że spojrzenie Algiviusa dosłownie wywraca go na lewą stronę, prując przy okazji jakieś słabe, sparciałe szwy w umyśle, jakby był starą, sfatygowaną kurtką.

– Tak, masz rację. Magia – odezwał się czarnoksiężnik szorstkim, nosowym głosem, który brzmiał jak skrzyknięcie zardzewiałych zawiasów.

Naprawdę czuć w nim było czerwony, miazgły pył rdzy i twarde, żelaziste tony.

Widocznie czarnoksiężnik nieczęsto miał okazję odzywać się do kogoś.

– Na razie tylko magia – oświadczył oschle, patrząc na wystraszonego dżinna.

Od niechcenia zmiął w dłoniach list od Zgniłego Chłopca, który wcześniej raczył zaledwie przebiec oczami. Odrzucił papier na blat biurka, a ten natychmiast zmienił się w szkarłatny kwiat o ognistych płatkach, spłonął i zniknął bez śladu.

W ciemnym, wysokim i zagraconym wnętrzu pracowni panował niezły bałagan. Na półkach i stołach leżały niedbale porzucane księgi o poplamionych oprawach. Większość była otwarta. Stronice, pożółkłe i pomięte jak skóra starca, znaczyły liczne ślady palców. Stosy papierów i świstków piętrzyły się wszędzie niczym sterty postrzępionego pierza, upstrzone drobnym, niemal nieczytelnym pismem czarnoksiężnika. Za przyciski służyły trzy dorodne kamienie filozoficzne. Ognisty żarzył się ciemną purpurą, pulsował i przygasał niby serce smoka, roztaczając wokół zapach rozgrzanego metalu. Wodny burzył się jak miniaturowe morze, przelewając nieustannie fale turkus, kobaltu i akwamaryny. Brunatny, poświęcony żywiołom ziemi, jarzył się

ciemną poświatą o barwie ochry niby podziemne słońce zamknięte w jaskini.

Idrys zapatrzył się na kamienie zafascynowany. Były legendą, marzeniem, niemożliwością i ułudą. Każdy czarnoksiężnik w duchu liczył, że kiedyś będzie mu dane osiągnąć taką moc, żeby rozbić materię *lapis filosoforum* na elementy odpowiadające poszczególnym żywiołom. Jednak dżinn nigdy nie słyszał, żeby jakimkolwiek alchemikowi z Głębi udało się utworzyć i utrzymać choćby jeden z nich. Ten mag stworzył trzy. A potem rzucił jak przypadkowe śmieci na stertę pogniecionych notatek.

Sługa Asmodeusza zaczął się go bać.

Algivius splótł smukłe, białe palce i pochylił się w stronę posłańca. Twarz miał bladą, chłodną i wąską jak księżyc w nowiu. I równie pozbawioną wyrazu.

– Możesz mi łaskawie wytłumaczyć, dlaczego mam opuszczać mój wygodny, przyjemnie urządzony, suchy dom i wyprawiać się w dziką, niebezpieczną głuszę, żeby ratować tyłek twojego pana? Nic tam nie zgubiłem, chłopcze.

Idrys z trudem przełknął ślinę, jakby to była oślizgła, zimna, nieświeża ostryga.

– Najpotężniejszy Mroczny z Otchłani oczekuje twojej pomocy, Słońce Magów.

– Słońce Magów? – Czarnoksiężnik wykrzywił usta w ironicznym grymasie. – Dobrze, że nie Karpat albo innych Sudetów. Oczekuje, powiadasz? No to sobie długo poczeka. A teraz opuść moją pracownię i pozwól mi zająć się ważnymi sprawami, dobra? Tylko żwawo, bo się zdenerwuję.

Biedny Idris, gdy tylko przekroczył próg domu maga, natychmiast zrozumiał, że pogróżki, którymi Asmodeusz kazał mu uraczyć czarnoksiężnika, to najgorszy sposób, żeby przekonać go do udziału w wyprawie. Algivius o oczach z krzemienia sam wydawał się tak twardy jak najmocniejsza stal. Emanował siłą i poczuciem mocy. Nie bał się nikogo i niczego. A już na pewno nie gniewu Zgniłego Chłopca.

Idrys zrobił więc to, co potrafił najlepiej. Padł na kolana i zgiął się w kornym ukłonie.

– Panie, na sam najczarniejszy Mrok! Pomóż, błagam! Jeśli odmówisz, ani ja, ani żaden z moich towarzyszy nigdy nie ujrzymy już płomienistego nieba Głębi! Zginiemy niechybnie na strasznych rubieżach przeklętych Stref Poza Czasem, oby zgniły, szczyły, rozsypały się w proch i zapadły na zawsze w odmęty Praoceanu!

Algivius wzruszył ramionami.

– Po pierwsze, nie jestem wyznawcą Mroku. Po drugie, czemu niby ma mnie obchodzić, co stanie się z tobą i twoimi kumplami? Dżinnów na świecie jest więcej niż psów.

Idrys nie zareagował na obelgę. Wiele lat życia w Głębi przyzwyczało go do gorszych inwektyw. Przestał zwracać na nie uwagę. Zależało mu jednak na pracy u Asmodeusza, bo dawała zyski, pozycję i spokój, o których mógłby tylko pomarzyć u innych panów. Przez kilka dziesięcioleci służby zdołał zyskać zaufanie Zgniłego Chłopca i nie zamierzał go teraz utracić. Może najwyżej odrobinę nadszarpnąć, zdradzając tajemnicę, którą Mod powierzył mu tuż przed wyjazdem. Idris miał ją chronić tak długo, jak się da, i wyjawić Algiviusowi wyłącznie w ostateczności. Doszedł jednak do wniosku, że ostateczność właśnie nadeszła. Mag wyrzucił go przecież za drzwi i nie zamierzał dłużej rozmawiać. Dlatego Idris musiał znów przykuć jego uwagę. Nawet za

cenę sekretu. Zrobił więc użytek ze swego bystrego umysłu i niby przez przypadek wypalił śmiało:

– Zaiste, dzinnów jest wiele, Krynico Mądrości! Ale imperator Głębi tylko jeden! Algivius natychmiast znów uniósł głowę i rozpalil reflektory spojrzenia.

– Co ma do tego Lucyfer? Siedzi sobie spokojnie w Pałacu Pięści i próbuje wysmażyć te swoje rzewne poematy o niczym. Dobrze przynajmniej, że nie muszę ich potem słuchać. Recytuje jeszcze gorzej, niż pisze.

Smagłą twarz posłańca przeciął ostry, lekko sarkastyczny uśmiezek, jaki potrafi przywołać na usta tylko bardzo wytrawny sługa lub bardzo doświadczony dzinn. To porozumiewawczy grymas, równocześnie pobłażliwy i służalczy.

Wiem coś, czego nie wiesz, panie, choć stoisz ode mnie wyżej w każdej możliwej hierarchii – zdawał się mówić. Wiem, ponieważ jestem od ciebie słabszy, gorszy i o wiele podlejszy. I zdradzę ci ten sekret, przyniesie to bowiem korzyść nam obydwu.

Ten uśmiech zawsze działał.

Podziałł i teraz.

Skupiona, surowa mina, którą przybrał czarnoksiężnik, świadczyła o tym, że połknął przynętę.

– Królu Magicznych Mocy, śmiem twierdzić, że się mylisz – rzekł wolno Idrys, już niemal pewny swego. – Niosący Światło opuścił nie tylko pałac, ale samą Otchłań. Mój pan go szuka.

Algivius zachnął się i odruchowo prychnął jak rozzłoszczony kocur. Wydawał się rozczarowany.

– Chcesz mi wmówić, że Lucyfer ot tak, bez powodu porzucił stanowisko, uciekł z Pandemonium i biega sobie teraz gdzieś po Strefach Poza Czasem, jakby wybrał się na grzyby do pobliskiego lasu? Przecież to bez sensu.

Dzinn pochylił głowę w kolejnym kornym ukłonie.

– Myślę, że miał powód, panie. Ważny powód. I wielmożny Asmodeusz, oby żył wiecznie, z pewnością go zna. Zwrócił się do ciebie o pomoc, bo sprawa jest wielce poważna.

Czarnoksiężnik zamyślił się. Splótł ręce, schował dłonie w szerokie rękawy czarnej szaty i zamarł. Błady półksiężyc jego twarzy przez dłuższy czas unosił się bez ruchu nad zarzuconym papierami płaskowyzem biurka.

W końcu mag drgnął, odchrząknął i spojrzał prosto na Idrysa.

– Dobra, siadaj – rozkazał dzinnowi. – I nie waz się ruszać, bo pożałujesz.

Zanim wystraszony dzinn zdążył nabrać tchu, żeby odpowiedzieć, moc czarownika uderzyła go jak fala gwałtownie wypiętrzającego się tsunami.

Nie oddychał. Nie był w stanie. Tonął w błękitnej, zimnej, ostrej, penetrującej potędze jak topielec, który wpadł do rwącej rzeki. Nie widział, nie słyszał, nie odczuwał niczego poza wiązką mocy rozcinającą mu myśli i wspomnienia, tnącą na cienkie plastry i szatkującą całą zawartość pamięci. Jeśli wcześniej czuł się jak stara kurtka, to teraz pozostał z niego tylko zdarty do cna łachman.

Wszystko to zapewne nie trwało dłużej niż kilka sekund, lecz gdy już Algivius wycofał się z jego głowy, nieszczęsny sługa Asmodeusza miał wrażenie, że po

nieskończonej agonii umarł, a potem narodził się na nowo w akcie nadzwyczaj długotrwałego i bolesnego porodu. Mrugał oczami, bo oślepiało go nawet nikłe światło panujące w pracowni, i z wielkim trudem powstrzymywał się, żeby nie zwymiotować.

– Dopiero to była telepatia, chłopcze – oznajmił spokojnie mag, podając mu fiolkę z mętnym płynem. – Wypij, zaraz zrobi ci się lepiej. Wyruszamy jutro o świcie. Tylko się nie spóźnij, bo nie znoszę czekać.

Idrys chciwie sięgnął po naczynie, ale ręce tak bardzo mu drżały, że Algivius musiał podtrzymywać fiolkę.



Razjel naprawdę się ucieszył, kiedy dostał wiadomość, że Belial wpadnie na kolację. Dojmujący ciężar nieustannego bycia Lucyferem dławił go i odbierał siły. Pan Tajemnic miał wrażenie, że niesie na grzbiecie trupa. Ogromne, przytłaczające zwłoki imperatora Głębi, do których został przyszyty na zawsze więzami, jakich nie mógł przeciąć. Podziurawiony szwami żył, ścięgien i splotów nerwowych tego ciała nie ciała, ogromnego plecaka z kości, mięśni i narządów. Twarz, ręce, sylwetka nie należały już do niego. Czyje więc serce pompowało krew, żeby utrzymać przy życiu hybrydę archanioła i władcy Otchłani? Czyj mózg analizował, zżymał się, cierpiał? Razjel nie wiedział. Nie był już sobą, nie stał się też Lucyferem. Czasem mu się wydawało, że sam siebie uczynił upiorną kukłą, skórą zdartą z Lampki i wypełnioną myślami i wspomnieniami archanioła. Nawet cień, wierny przyjaciel, stał się obcy i nienawistny.

Książę Magów obawiał się, że wkrótce oszaleje.

Jestem upiorem, myślał. Dybukiem, który wrócił z krainy zmarłych. Opętałem obce ciało, zupełnie tak samo jak demon. Nie, zaraz. To ciało opętało mnie. Stałem się zlepkiem dwóch istot. Aniołem i diabłem w jednym. Koszmarnym, kalekim bliźniakiem z rozszczepieniem jaźni.

Potworem.

Codziennie musiał sobie przypominać, że prawdziwy Lampka podróżuje właśnie wesoło po nieznanym, fascynujących krainach Stref Poza Czasem. Wolny, spokojny, zadowolony i beztroski.

O tak. Był w stanie przysiąc, że sukinsyn wyśmieniecie się bawi i nie ma nawet śladu wyrzutów sumienia. A właściwie o jakim sumieniu mówimy? Drań go w ogóle nie posiada. Nawet krztyny. No bo czy inaczej zostawiłby zasraną, cholerną, pieprzoną Głębię całkiem bez nadzoru i poszedł sobie gdzieś, czort wie dokąd, w dupę, wiedziony tęsknotami i nadziejami nawiedzzonego nastolatka? Czy ktoś, kto ma choćby odrobinę przyzwoitości, porzuca obowiązki, naraża najlepszego przyjaciela na śmierć i radośnie żąda od innych, żeby nawet za cenę własnego istnienia posprząтали całe to gównno, które racyły po sobie zostawić?

Nie.

No jasne, że NIE!

Na samą myśl o Lucku dłonie Razjela zaciskały się w pięści, a zęby zaczynały zgrzytać.

Jeszcze trochę i zacznę go naprawdę nienawidzić, zrozumiał nieco wstrząśnięty.

Nawet w najgorszych snach nie przypuszczał, że tak trudno będzie mu odgrywać rolę władcy Otchłani. I co dzień wznosił dziękczynne modły do Jasności, że w swojej dobroci postawiła mu na drodze małego, nieznośnego widmokota Asmodeusza.

Nefer stał się dla Razjela prawdziwym przyjacielem i oparciem.

Bez niego już bym się pewnie powiesił, doszedł do wniosku, kiedy po raz dziesiąty z rzędu czołgał się pod szafą, szukając ohydnej zasuszonej papuaskiej główki. Przynajmniej miał z kim porozmawiać. Przynajmniej? Na litość Pańską! To było przecież prawdziwe błogosławieństwo. Niewysłowiona łaska. Jedyne promyk nadziei w wiekuistym mroku Otchłani.

Z Neferem mógł rozmawiać swobodnie.

Czasami, w najciemniejszych chwilach, Pan Tajemnic nie ośmielał się prosić o nic więcej.

Nawet teraz przyjaciel Moda siedział na specjalnym wysokim stołku przy stole, wdzięcznie myjąc łapkę i od niechcienia przysłuchując się rozmowie archanioła z Belialem.

Razjel przyglądał się z przyjemnością, jak zwalisty Mroczny o włosach barwy burgunda nalewa sobie kolejny kielich i dobiera sporą porcję pieczonego udźca smoka. Miło było spędzić choć chwilę z kimś jeszcze prócz widmokota, przed kim nie musiał wiecznie udawać Lucka. Książę Magów był nieskończenie wdzięczny za obecność małego egipskiego ducha, ale koty, nawet te najlepsze, mają swoje ograniczenia.

Skończywszy jeść, Belial uśmiechnął się i wygodnie rozparł na krześle. Sięgnął znów po kielich i wznosił toast.

– Masz naprawdę pyszne trunki. To znaczy Lampa ma. A, byłbym zapomniał. Za trzy dni przypada Dzień Upadku. A to znaczy, że czeka cię trochę roboty, Świetlisty.

Pan Tajemnic drgnął, nieprzyjemnie zaskoczony. Sformułowanie „trochę roboty” nie podobało mu się nic a nic i budziło przykre przeczucia.

– Obchodzicie rocznicę bitwy, w której Michał i cała reszta Zastępów spuścili wam łomot, jakiego Kosmos nie widział? – zapytał jednak, bo nie umiał się powstrzymać.

Nie mieściło mu się w głowie, że Głębianie chcą świętować taką klęskę.

Belial lekceważąco machnął ręką i skrzywił się ironicznie.

– Tu jest Otchłań, bracie. Tu się uwielbia fetować porażki. Ale oficjalnie nie o to chodzi, tylko o wolność i ustanowienie ogólnej demokracji. Wszyscy stali się równi, tonąc we wspólnym gównie. Chwała Głębi i takie tam bla, bla, bla. Nie uprawiacie u was podobnych cyrków?

Razjel pomyślał chwilę i przypomniał sobie różne święta czczone w Królestwie.

– Tak – przyznał uczciwie. – Oczywiście, że uprawiamy.

– Byłem tego pewien – ucieszył się Mroczny, zaciągając się miejscowym cygarem z futra Czarnego Kozła, które śmierdziało tak paskudnie, jak wyglądało. – Wszędzie ten sam syf, jak by nie spojrzeć. Takie życie, Świetlisty. Natura dąży tylko do kloaki, mówię ci szczerze. W tym wszechświecie nie czeka nas nic prócz rozkładu.

Zaniepokojony archanioł postanowił przerwać depresyjne wywody swojego gościa.

– No dobra, odbędzie się ta smętna fiesta na Dzień Chwalebego Łupnia. Ale co to ma wspólnego ze mną? Znaczy z Lampą? – spytał.

– Och, będziesz odbywał sądy. Powszechnie. Każdy mały szczurek może wtedy przyjść i przedstawić swoją sprawę, a Lucek przyjmie go osobiście. Na znak, że imperator Głębi zawsze jest blisko swego ludu, gotów wysłuchać bolączek narodu. Nic więcej ani mniej. – Belial uśmiechnął się nieco złośliwie.

Serce Księcia Magów ruszyło do galopu niczym wierzchowiec ciężkiej jazdy do szturm. Czuł, że w żadnym wypadku nie jest gotowy na takie wyzwanie.

– Na samą Jasność! – jęknął. – Nie mogę zachorować czy coś? Dostać ciężkiej niestrawności na przykład?

Demon zaciągnął się serdecznie cuchnącym cygarem.

– Nie bardzo. Bo wtedy skaza na śmierć kucharza, wszystkich kuchcików i służące, którzy mieli styczność z twoim jedzeniem, a tobie na łeb zwali się zgraja najlepszych magów i medyków z Głębi. Z Rimmonem, osobistym lekarzem imperatora, na czele. Obawiam się, że to by mogło nieco zaszkodzić twojemu kamuflażowi, nie?

Archanioł zapadł się w sobie jak mury Jerycha.

– No to jestem zgubiony. Nie mam pojęcia o głębiańskim prawie.

– Eee tam! – odezwał się milczący dotąd Nefer. – Lucyfer też nie ma i nikomu to nie przeszkadza. Dasz sobie radę, nauczę cię wszystkiego, co trzeba. Koty są w tym prawdziwymi mistrzami.

– W prawie Otchłani? – warknął Razjel, poirytowany, że nikt nie traktuje jego obaw na serio i nie docenia powagi sytuacji. – Nie wygłupiaj się, dobra? Nie pora na to.

– W żadnym tam prawie – prychnął widmokotek. – W nudzeniu się! Sam zobacz.

W jednej chwili opadł na blat stołu jak szmatka i położył łebek na skrzyżowanych łapkach, przybierając minę tak pełną absolutnego znużenia, aż mu wąsy oklapły. W półprzymkniętych zielonych ślepkach czaiła się tylko złudna nadzieja na nadejście Apokalipsy, która położyłaby kres mękom jego znużenia.

Na ten widok Belial roześmiał się szczerze.

– On ma rację, Świetlisty. Na pewno sobie poradzisz. Wystarczy, że będziesz sprawiał wrażenie, że konasz z nudy, gapił się na sufit, ziewał, wiercił na tronie, drapał w nos, a od czasu do czasu nabazgrzesz coś w notesie. Nikt nie może oczekiwać więcej od władcy Otchłani.

Razjel zupełnie stracił rezon.

– Jak to? – wyjąkał. – Przecież mam sprawować sądy?

– Tak naprawdę nie ty, tylko Adramelech, jako Wielki Kanclerz Głębi, ale nawet on przez cały czas siedzi jak na szpilkach i tylko szkicuje te swoje karabiny. Uwielbia to. Najchętniej nie ruszyłby się z rusznikarni i serdecznie olał ten bajzel legislacyjny, ale nie może. Dla wszystkich wysokich Mrocznych Dzień Upadku to prawdziwy sądny dzień. Nuda, strata czasu i upierdliwy obowiązek. Zobaczysz, pójdzie ci jak z płatką. Bylebyś się nie odzywał i nie wrywał przed orkiestrę. Asesorzy i prokuratorzy załatwią sprawy za ciebie. Nawet się nie obejrzysz i znów wrócisz do Pałacu Pięści.

Pan Tajemnic, wcale nie przekonany, rozłożył tylko ręce.

– Jak niby wrócę, kiedy nawet nie wiem, gdzie się odbywają te cholerne sądy!

W Królestwie nie rozdają po rogach ulic aktualnych map Głębi.

Belial popatrzył na niego z politowaniem.

– No co ty? Zawiozą cię. Z wielką pompą, trąbami i tak dalej, na grzbiecie bojowego smoka. Imperator Otchłani nie szlifuje bruku własnymi girami. Takie coś się nie zdarza. A taki na przykład Gabriel łązi sobie samopas po Królestwie?

Zgnębiony Książę Magów westchnął. Nadal był kompletnie przerażony i zaszokowany perspektywą publicznych występów. Czarno to widział. Naprawdę czarno. Jak najciemniejszy Mrok. Nawet ta prosta rozmowa uświadamiała mu dobitnie, jak rozpaczliwie mało wie o obyczajach panujących w Głębi.

– Tak – przyznał z przygnębieniem. – Zazwyczaj tak.

– Jak zwykły chłop albo tragiczny? – zdumiał się Mroczny. – Trochę przesrane macie w tym Królestwie, przyznaj.

– Przesrane to mam ja teraz – mruknął Razjel bardziej do siebie niż do gościa.

Belial poklepał go ciężką dłonią po ramieniu.

– Nie dramatyzuj, Świetlisty. Będzie dobrze, ja ci to mówię. Pójdzie jak z płątka mistycznej różyczki. Jak po maśle z mleka siedmiu tłustych krów. Na twoim miejscu wcale bym się nie przejmował, bo i nie ma czym. Dzień Upadku jest jak każdy inny dzień. Długi, mozolny, nużący i kiepski. Przysięgam na moją miłość wiernopoddańczą do Lucka. Będiesz tak samo wyśmienitym sędzią jak on. A tak przy okazji, nie mógłbyś wezwać jakiegoś sługi, co? Wino się kończy, a jeszcze bym wypił kropelkę. Naprawdę, cholernie dobre wina podajesz.

Archanioł nie zaprotestował, chociaż zupełnie stracił ochotę na zabawę i towarzystwo.



Kiwał się na grzbiecie podenerwowanego, boczącego się smoka, sam spięty i gotów do wybuchu jak amatorsko podłączony kabel elektryczny. Zastanawiał się, czy to jego nastrój udziela się ogromnemu zwierzęciu, czy po prostu wierzchowiec nie rozpoznaje zapachu jeźdźca. Na szczęście do parad po mieście Lucyfer używał smoka reprezentacyjnego, a nie bojowego ulubieńca, który zapewne natychmiast zrzuciłby Razjela z grzbietu i pożarł, przekonawszy się, że jakiś uzurpator podle podszywa się pod ukochanego pana.

Archanioł siedział sztywno, bez gracji pomiędzy dwiema ogromnymi piramidami złotych, skórzastych skrzydeł, ponieważ nie przywykł do podobnych podróży, a gad o czarnej łusce i szkarłatnych pazurach tańczył pod siodłem, jakby miał zamiar zaraz ponieść. Przeciągłe, żałobne, przytłaczająco kakofoniczne ryki długich, skreconych rogów sygnałowych, które czterej towarzyszący orszakowi heroldzi co chwila podnosili do ust, wcale nie pomagały wierzchowcowi Razjela zachować postawy pełnej godności i spokoju. Smoczysko wzdrygało się na każdy dźwięk i usiłowało wspiąć się na tylne łapy.

Jak kura na drażu w przeciągu, pomyślał z ironią Książę Magów. Tak się właśnie prezentuję. Tylko patrzeć, a spadnę na bruk.

Na szczęście nie doszło do tego, choć korowód urzędników państwowych

zmuszony był pokonać długą drogę z Siódmego aż do Czwartego Kręgu Otchłani, gdzie mieściły się gmachy użyteczności publicznej.

Razjel z ulgą zsiadł z wierzchowca przy wejściu do wielkiego, kłocowatego budynku w kolorze krwi, który nosił równie dumną, co niepokojącą nazwę Dom Absolutnej Sprawiedliwości.

Absolutna sprawiedliwość nie kojarzyła się archaniołowi ani z miłosierdziem, ani z rozsądkiem, lecz raczej z rozcinaniem dzieci mieczem i podobnie nedorzecznymi wyrokami, dlatego zadrżał, kiedy przekłete trąby znów zadęły, a wrota gmaszyska rozwarły się bezgłośnie.

Tu będę zaraz sądził, uświadomił sobie. Choć o wiele bardziej prawdopodobne, że to mnie osądzą i w konkluzji zatkną mój obcięty łeb na kiju przed tym krwawo-sprawiedliwym przybytkiem.

– Panie? – usłyszał za plecami głos kóregoś z urzędników. – Czy zechcesz łaskawie...?

– Tak, tak – burknął i ruszył schodami w górę, chociaż w sumie nie chciał ani przez sekundę.



Nie było tak źle. Naprawdę, wcale nieźle. Zupełnie tak, jak przepowiadał Belial. Kilku zgromadzonych w sali sądowej Mrocznych interesowało się wszystkim, tylko nie przebiegiem procesów. Hrabiowie i palatyni Piekieł, zmuszeni tradycją i obowiązkiem do uczestnictwa w sądach, ziewali aż do samego żołądka, wierzili się niecierpliwie, wzdychali, przeczesywali włosy, podpierali brody pięściami i ogólnie dawali wyraz swojemu niewiarygodnemu znudzeniu.

Ładna demonica o turkusowych włosach upiętych w wysoki kok spała w najlepsze, wtulona w oparcie fotela. Wkrótce w jej ślady poszedł też rosty Mroczny o okrągłej twarzy i wydatnych kościach policzkowych. Jego chrapanie dawało się słyszeć nawet z miejsca, gdzie stał tron Lucyfera. Cholernie niewygodny tron, co Razjel stwierdził z irytacją.

Kolejny z możliwych Otchłani, drobny młodzieniec ostrzyżony na pazia, zasnął mniej więcej w połowie pierwszej sprawy. Pozostali byli myślami równie daleko od sali rozpraw jak prawdziwy imperator od swego ulubionego Pałacu Pięści.

Wszyscy zajmowali głębokie, wyściełane nisze wyłożone surowym, ciemnym drewnem, ciągnące się pod ścianami sali. Szerokie dębowe przepierzenia skutecznie rozdzielały Mrocznych od siebie, nie pozwalając na żadne rozmowy ani inne kontakty. Sprawiedliwość w Głębi miała być nie tylko absolutna, ale także ślepa.

Archaniołowi te boksy dla obojętnej, milczącej ławy przysięgłych przypominały komfortowe i eleganckie trumny ustawione na sztorc obok siebie, a coraz bardziej senni, wędnący z nudów hrabiowie i palatyni – ofiary masowego otrucia. Jednak im bardziej srożył się i wzburzał głębiański wymiar sprawiedliwości, tym bardziej Razjel żałował, że nie siedzi w jednej z takich zacisznych, obitych pluszami trumien.

Niestety, tron Lucyfera stał samotnie na specjalnym podwyższeniu niczym szara,

kostropata skała wbijająca się wprost w odmęty zagmatwanych przepisów prawnych Otchłani. Książę Magów był tam cały czas widoczny jak osobliwy orzeł dumnie zasiadający na gnieździe.

I z tego powodu nieustannie klął bezgłośnie w myślach, odkąd tylko ogłoszono początek pierwszej rozprawy. Nie miał dokąd uciec. Nie miał gdzie się schować. Nie znajdował nic, czym mógłby się odgradzić od tłumu. Każdy jego ruch, gest i grymas objawiał się całemu zgromadzeniu niczym fałszywa epifania.

Razjel bał się i denerwował. Nieustannie obawiał się, że popełni błąd i zdradzi prawdziwą tożsamość.

Nie jestem nim, myślał w popłochu. Na Jasność, tak cholernie, rozpaczliwie nie jestem. Nie umiem, nie potrafię, nie dam rady. Żaden ze mnie diabeł, żaden imperator, żaden... aktor.

Wydawało mu się, że śledzą go wszystkie oczy. Złe. Nieprzyjazne. Zmrużone podejrzliwie. Naznaczone czerwienią ślepią demonów.

Pocił się, wiercił, odruchowo wyłamywał palce, oczekując ataku, okrzyku, pierwszego palca oskarżycielsko wycelowanego mu w pierś.

– To nie on! To nie Lucyfer, tylko podły szpieg! Podszywa się pod naszego pana! Brać go!

Ale żaden okrzyk się nie odbywał, a krzepcy żandarmi z Gwardii Lucyferiańskiej obstawiający drzwi i okna pomieszczenia nudzili się tak samo jak głębiańska arystokracja.

Wkrótce Razjel z mieszaniną ulgi i zdumienia stwierdził, że nikt na niego nie patrzy.

Nawet Wielki Kanclerz Piekieł, pełniący przecież funkcję mistrza ceremonii.

Adramelech, który siedział po lewej ręce Pana Tajemnic na ustawionym obok podwyższenia krzesło i teoretycznie miał przewodniczyć sądom, okazał się drobnym, suchym, ascetycznym Mrocznym emanującym siłą, charyzmą i pewnością siebie. Archanioł nigdy wcześniej go nie poznał, ale wcale tego nie żałował. Najsłynniejszy rusznikarz Głębi, o błękitnych włosach, wydatnym nosie oraz przenikliwych, niebezpiecznych niczym płomień, przeraźliwie jasnych oczach, sprawiał wrażenie równie groźnego i zabójczego, co jego wynalazki. Wydawało się, że nieustannie buzuje w nim ogień, złocisty, niewyczerpany i straszny, jakby kanclerz piekielnego państwa był tygłem, który bezlitośnie wypala wszelką słabość, pozostawiając jedynie bezwzględną, okrutną, gorejącą energię.

Jak prawdziwy diabeł, syn ognia i namiętności. Pochodnia w ciemnościach Otchłani.

Książę Magów pomyślał, że za żadne skarby nie chciałby mieć takiego wroga.

Na szczęście Adramelech wydawał się całkowicie zaprzątnięty wielkim, grubym notesem, który trzymał na kolanach. Kiedy Razjel wychylił się dyskretnie, żeby zajrzeć do jego notatek, przekonał się, że kawaler Orderu Muchy z wielkim skupieniem cyzeluje szkic nowej rękojeści do głębiańskiego karabinu szybkostrzelnego Pożoga 666.

Bardzo adekwatna nazwa, stwierdził cierpko Pan Tajemnic.

Tymczasem u stóp podwyższenia, na którym stały tron imperatora i krzesło Adramelecha, rozpętał się i trwał huragan miejscowego sądownictwa.

Nawet gdyby Razjel śledził z uwagą przewód sądowy, i tak nie potrafiłby połączyć się w zawilościach głębiańskiej legislatury. obrońcy i oskarżyciele przerzucali się paragrafami, jakby to były kamienie i cegły, najstarszy rangą asesor, pełniący chyba obowiązki głównego sędziego, krzyczał do ochrypnięcia i tłukł młotkiem w pulpit przed sobą, a strony konfliktu skakały sobie do oczu, nie szczędząc inwektyw.

Doprawdy sądny to był dzień. Belial w niczym się tu nie pomylił.

Archanioł zdołał się tylko domyślić, że większość spraw dotyczy sporów o ziemię lub należne dziedzicznie tytuły. Ponieważ kompletnie nic go nie obchodziło, kto ma prawo nazywać się Panem Potępienia, a kto Nierządnicą Babilońską szóstego stopnia, popadł w odrętwienie, czekając tylko na koniec tej prawniczej farsy.

Smętny orzeł na cholernie niewygodnym, szarym, dostojnym gnieździe tronu.

Wraz z upływem godzin, które zdawały się wyciekać leniwie jak krew z otwartej żyły nieboszczyka, tłum petentów rzedniał, a zapal przedstawicieli prawa zaczął powoli wygasnąć.

W pewnym momencie Razjel, który z nudów i rozpaczy rozważał już kilka razy, czy nie spróbować połknąć języka, żeby zakończyć nieznośną mękę, stwierdził, że odruchowo przysłuchuje się przebiegowi kolejnej rozprawy.

Tym razem nie chodziło o miedzę, strumień ani ruinę chałupy, ale o zupełnie inną kwestię.

Lybbard.

To jedno słowo powtarzało się uporczywie i drażniąco, przyciągając uwagę otepiałego ze zmęczenia archanioła.

Lybbard. Magiczne stworzenie. Cętkowany drapieżnik z Głębi, legenda na skraju wyginięcia. Alchemiczny symbol dzikości i nieustępliwości. Piękne zwierzę o futrze miękkim i jedwabistym jak cień. Płowa smuga gracji i nieokiełznanej natury. Drapieżca o srebrnych oczach i pazurach jak sierpy. Dziecię nocy, brat księżycy. Żywa magia obleczona w nakrapiane, zwinne ciało zabójcy.

Każdy czarnoksiężnik o nim słyszał. Każdy darzył szacunkiem i pragnął choć raz ujrzeć go w naturze, na wolności. Razjel zaś w głębi duszy najpierw był czarnoksiężnikiem, a dopiero potem poddanym Królestwa. Kochał wszystko, co magiczne, prawdziwe, nieskażone i piękne.

Dlatego kochał też lybbardy i walczył o ich ocalenie. Nie miał żadnej możliwości, żeby pomagać im w Otchłani, ale w swoich dominiach na księżycach Saturna hodował kilkanaście osobników i nawet parę razy dochował się potomstwa.

Dlatego skupił uwagę i zaczął śledzić przebieg rozprawy.

Jako strona skarżąca występowała grupka prostych, biednie ubranych Głębian. Wielu z nich miało skupiska łusek na twarzy i dłoniach, rogowe narośle i wyrostki na czaszkach. Sądząc po stroju i fizjonomiach, musieli pochodzić z rubieży Otchłani, może z Gór Zatrącenia albo Płaskowyżu Jałowej Rozpaczy.

Czyli z miejsca, gdzie w państwie piekielnym żyły ostatnie lybbardy.

Starszy, krzywonogi demon, najwyraźniej przywódca grupy, wymachiwał przed nosem asesora plikiem wymiętych, brudnych papierzysek i wykrzykiwał pełnym napięciem głosem:

– Te przekłete panteruchy żrą nasze musimony! Z głodu nam przyjdzie zdechnąć! Dzieci muszą jeść! Dzieciom trzeba dać! Skąd brać, kiedy wypasione panteruchy wszystko zeżerają?! No ja się pytam mroczniepana pokornie i z uszanowaniem! Skąd brać?! Miał nam oddawać za każdego zagryzionego musimona! I nie oddaje, kłamca! Oszust parszywy! Tfu! – Tu splunął siarczyście na buty asesora. – Dlatego przyszliśmy dopraszać się łaski mroczniepana! Po sprawiedliwość!

– No! – zaszemrał zgodnie tłumek pozostałych górali.

– Po sprawiedliwość?! – zaprotestował natychmiast oskarżony, wysoki, chudy Głębianin, prawdopodobnie Mroczny, o włosach zielonych niczym szczaw, zaplecionych w ogromną szopę cienkich warkoczyków tworzących wokół twarzy prawdziwą grzywę, dzięki czemu wyglądał jak spleśniały lew. – Na Mrok! Co za łgarstwa! To wy oszukujecie! Polujecie na dzikie musimony i udajecie, że to wasze, które rzekomo zabiły lybbardy! A potem próbujecie nas zmusić, żebyśmy oddali wam za nie pieniądze. To jawne oszukaństwo! Każdy z was ma teraz stado przynajmniej dwa razy liczniejsze, niż miał, kiedy przyjechaliśmy do was z misją!

– Z misją?! Z jaką misją! – Tym razem góral naprawdę rozpuścił gębę. – Trzech ich było, proszę mroczniepana! Po wsi łazili, roznosili jakieś karteluszeki, rysunczki, dzieciaki zaczepiali, gadali, jakie to niby panteruchy ważne, jakie piękne i potrzebne. A do czego taka zębata, wszystkożerna paszcza niby potrzebna, co? Tylko musimony nam dusi!

Mimo szczerych chęci Razjel prawie nic nie rozumiał z wywodów żadnej ze stron. Lecz powoli zaczęła narastać w nim złość.

Bo wiedział, że „panteruch” to pogardliwe ludowe określenie lybbarda.

I nie miał zamiaru pozwolić, żeby w jego obecności ktoś w ten sposób wyrażał się o wspaniałym magicznym stworzeniu.

Pamiętał też, że musimony były kosmatymi kozłami o długiej czarnej sierści i podwójnej parze rogów, prostej jak u kozy i skręconej niczym u barana.

– Cisza! – huknął nagle z wysokości orlego gniazda. – O co tu chodzi, do cholery?! Jakie lybbardy? Jakie musimony? Kto komu co oddawał? Asesor może mi łaskawie wyjaśnić. Tylko proszę nie bredzić tak jak strony, bo tego na pewno nie zdzierzę!

Zdumiony prawnik zająknął się i z trudem przełknął ślinę.

– Tak, Najmroczniejszy – wykrztusił wreszcie. – Oczywiście, Najmroczniejszy. Oskarżony, obecny tu Jehiel, Głębianin wysokiego rodu, oraz dwóch jego towarzyszy, Mtniel i Hajel, stworzyli fundację Ocalić Dzikość mającą za zadanie uchronić dzikie lybbardy przed wyginięciem. Kilka miesięcy temu wszyscy trzej wyruszyli do wiosek u podnóża Gór Zatracenia, żeby uświadomić mieszkańcom, jak ważne w naszej kulturze i magii są te wolno żyjące drapieżniki. Rozdawali ulotki, opowiadali legendy o lybbardach, edukowali dzieci, zachęcali do obserwacji tropów...

Razjel skrzywił się odruchowo.

Znał takich działaczy. W Królestwie też było ich sporo. Robili dużo szumu, angażowali się całym sercem, ale ich działania przynosiły mierne efekty.

Ciekawe dlaczego? – pomyślał cierpko.

– No dobra – przerwał ostro. – A jakieś konkrety? Działania realnie mogące

poprawić los lybbardów?

– Wybacz, imperatorze – wtrącił niespodziewanie oskarżony. – Ale zdziwiłbyś się zapewne, gdybyś wiedział, ile dobrego przynoszą takie właśnie akcje...

Pan Tajemnic nie dał mu dokończyć.

– Tak, na pewno bym się zdziwił – oświadczył z irytacją – pytałem jednak o konkrety.

Jehiel wydał usta, jakby się obraził. Wydawał się bardzo pewny siebie i przekonany o słuszności swoich działań. Niemal święty, choć na szczeblu Otchłani.

– Górale zabijają lybbardy – zaczął tłumaczyć, bo imperatorowi Głębi nie odmawia się wyjaśnień – ponieważ drapieżniki zagryzają hodowane przez nich musimony, jedyne źródło ich utrzymania. W ostatnich latach lybbardy zmuszone były zejść w niższe partie gór i rozpaczliwie szukać pożywienia, gdyż ostre zimy znacznie przetrzebiły populację dzikich musimonów, którymi się zwykle żywią. Dlatego stały się ofiarami hodowców. Nie chcieliśmy na to pozwolić. To znaczy fundacja nie chciała. Z tego powodu zebraliśmy fundusze i wyruszyliśmy z naszą akcją. Oprócz szeroko zakrojonej edukacji oferowaliśmy także miejscowym pomoc finansową. Zwrot kosztów za każdego musimona zagryzionego przez lybbarda. Ale hodowcy, zamiast okazać wdzięczność, posunęli się do podłego oszustwa. Wyprawiają się wysoko w góry, polują na dzikie musimony, a potem upierają się, że to ich własne sztuki zabite przez drapieżniki, i żądają od fundacji pieniędzy. To skandal! Czysty skandal! Kiedy zorientowaliśmy się, że jesteśmy bezczelnie naciągani, natychmiast przerwaliśmy akcję finansowania musimonów i postawiliśmy na to, co naprawdę działa. Edukację. A teraz ci niewdzięcznicy pozwalają nam do sądu! Przecież to się w głowie nie mieści.

– Rzeczywiście – mruknął Razjel, któremu wiele usłyszanych tutaj rzeczy nie mieściło się w głowie, niektóre zaś wcale a wcale się nie podobały. – Więc mówicie, że górale przedstawiają dzikie musimony jako własne, hodowlane, tak? – zaczął wolno. – Nie da się ich nijak odróżnić? Właściciele nie znakują swoich sztuk?

– Owszem, znakują – oznajmił ponuro Mroczny. – Ale z taką samą łatwością można oznakować świeżo zabitego trupa.

– Oswojone zwierzęta są identyczne jak te żyjące na wolności?

– Jakie tam oswojone, Ciemny Panie! – wyrwał się naraz młody demon stojący w grupce górali. – Toż nie da się za nic tych bydłał oswoić! Wściekłe są gorzej jak panteruchy. Kopiają, gryzą, bodą. O, nie dalej jak łoni taki młodzik półroczny łapę mi na wylot przebódl! Do musimona nie podejdziesz bez bosaka, kija i kilku dzielnych, szkolonych psów. Gadziny podstępne są i dzikie jak bestie. A rogi mają jadowite. Do dziś palcami ledwo ruszam.

– No! – potwierdzili pospołu hodowcy, z powagą kiwając głowami.

Pan Tajemnic zmrużył oczy. Coś mu zaczynało powoli świtać.

– Jehielu, czy potwierdzasz słowa tego Głębianina?

– Tak, panie – przytaknął aktywista. – Musimony są całkowicie odporne na proces udomawiania. Jeśli uciekną z zagrody, zdziczeją najdalej w ciągu jednej doby.

Aha, pomyślał Razjel. I tu was wszystkich mam, panowie naprawiacze świata i koledzy oszuści. Zaraz się przekonacie, jak mocno trzymam was w garści.

– Ile jest wart taki musimon? – spytał.

– Będzie ze ćwierć grzywny infernalnej bitej z miedzi szanownego mroczniepana hrabiego Agulona.

Książę Magów nie miał pojęcia, ile jest warta moneta jakiegoś lokalnego kacyka z Gór Zatracenia. I nie zamierzał się tym przejmować.

– W szklach lucyferiańskich, na Mrok!

Górale spojrzeli po sobie niepewnie. Krzywonogi podrapał się w głowę.

– Pewnie z tuzin dorodnych i tłustych za sztukę srebra, mroczniepanie.

Czyli tyle, co nic. Grosze. Dokładnie tak, jak się spodziewał.

Książę Magów odchylił się na niewygodnym tronie, a potem spojrzął prosto w granatowe jak noc oczy Jehiela.

– A więc sprawa jasna. Fundacja Ocalić Dzikość za zgromadzone fundusze kupi od hodowców kilka stad musimonów, następnie przepędzi je wysoko w góry, gdzie zwierzęta zdziczeją, stając się naturalną karmą dla lybbardów. W razie niepowodzenia lub kolejnych srogich zim powtórzy akcję.

Spleśniały Lew przełknął z trudem ślinę, a potem zakaszłał nerwowo.

– Och – przyznał. – O tym nie pomyślałem. Wydaje się, że to dobre rozwiązanie. Bardzo dobre. Ale... jakoś nie przyszło mi do głowy.

– Szkoda – przygwoździł go Razjel. – Może ocalałoby dzięki temu kilka zabitych wcześniej lybbardów. A ja ogłaszam, że od tej chwili drapieźniki te znajdują się pod osobistą ochroną władcy Głębi. Każdy, kto podniesie na nie rękę, zostanie surowo ukarany. Aha, byłbym zapomniiał. Strona skarżąca. Każdy z was ma przekazać na rzecz fundacji dwa zdrowe, dorosłe musimony jako karę za używanie w obecności mojego majestatu grubiańskiego i uwłaczającego dobremu smakowi słowa „panteruch” oraz bezpodstawne zwracanie głowy imperatorowi Otchłani. Niniejszym sprawę uważam za zamkniętą.

Odruchowo zamierzał dodać „amen”, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

– Eeee... tak, tak! Koniec sądów na dzisiaj! – zawtórował mu gorliwie główny asesor. – Wszystkie sprawy odroczone w trybie natychmiastowym! Rozejść się! Proszę się rozejść do domów!

Po sali poniosł się natychmiast szmer ulgi i uznania.



– No, narozrabiałeś trochę, Świetlisty – oznajmił wieczorem Belial.

– Bardzo przesadziłem? – zaniepokoił się Razjel.

– Nie. Nie żeby jakoś tragicznie. Trochę, mówię. A prosiłem, żebyś trzymał gębę na kłódkę.

– Kłódką przerdzewiała – westchnął Pan Tajemnic. – Nie dałem rady. Przecież chodziło o lybbardy.

Mroczy uśmiechnął się krzywo.

– Pewno, lybbardy. Wielkie kłęby futra z paszczami jak bramy i kłami niczym brona. Miłe zwierzaki. Naprawdę miłe. Póki nie próbują cię zaprosić do swoich żołądków.

No, nie przejmuj się. Nie było źle. Nawet całkiem w stylu Lucka. Jak dobrze pomyśleć, to mógłby się tak właśnie wtrącić. Uratować piękne, szlachetne zwierzęta... tak, zdobyłby się na to, gdyby choć przez sekundę słuchał przewodu sądowego. Lubi harpie, hoduje kelpie. To się nawet kupy trzyma.

Archanioł też spróbował się uśmiechnąć.

– Czyli nie przyjdą po mnie w nocy ze sznurem i pochodniami?

Belial zaśmiał się ostro.

– Czort cię wie, kto do ciebie przychodzi w nocy, Świetlisty.

– Ja – pisał Nefer, który tylko z pozoru spał zwinięty w kłębek w paterze na owoce. – On lubi, kiedy się kładę na łóżku i mruczę. Ale Mod też lubi. Każdy by lubił, no nie?

Na białych zwykle policzkach Pana Tajemnic rozkwitło różowe kwiecie wstydu, ale Mroczny zupełnie zignorował widmokota.

– Przyniosłem bimber – zwrócił się do Razjela. – Wyśmienity. Krzepki jak płynny ogień. Napijemy się? Wypada uczcić odchodzący w niebyt Dzień Upadku. Porządnie, po głębiańsku.

Zostanę pijakiem w tej cholernej Otchłani, pomyślał Książę Magów, ale w duchu był zadowolony z towarzystwa Beliala.

Sądny dzień naprawdę go wykończył.



Nic.

Nic, nic i nic.

Słowa, słowa, słowa. Bełkot bez znaczenia. Ten poszedł tam, tamten pojechał gdzieś indziej. Ktoś spiskuje. Ktoś knuje. Ktoś płacze. Ktoś komuś podpadł. Ktoś kogoś zabił.

Ale żadnych konkretnych wiadomości.

Żadnych wiadomości.

Na Jasność!

Gabriel ze złością zmiął w kulę najnowsze raporty wywiadu i rzucił do kąta. Tam, gdzie już leżała sterta identycznych, zagubionych białych planet zabazgranych literami pozbawionymi znaczenia. Mała galaktyka rozczarowań.

Podszedł do okna i zapatrzył się w noc.

Była rozległa, niebieska, daleka i pusta jak przestwór przed aktem stworzenia. Obojętna.

Nagle wydało mu się, że jest jedyną żyjącą istotą w Królestwie. Otaczały go tylko manekiny. Wszyscy ci skrzydlaci przechadzający się ulicami Hajot Hakados nie byli przecież prawdziwi. Nie mogli być, bo nie obchodziło ich nic poza strojami, plotkami, balami i skandalikami tak małymi jak ich skurczone, zdziecinniałe duszyczki.

Żył tylko on. Gabriel. I jak Atlas dźwigał na plecach ciężar całego świata.

Sam w swoim pałacu.

Sam na tronie regenta.

Sam, tak rozpaczliwie sam we Wszechświecie.

Nawet Rafał i Michael zaczęli go unikać, bo warczał na nich jak wściekły pies i nieustannie trzymał na dystans. Ale ile razy można usłyszeć, że wszystko będzie dobrze, kiedy tak irytująco, dojmująco, po prostu nie jest?!

Stojąc w oknie, w obliczu chłodnej, obojętnej nocy, czuł, że nic już od niego nie zależy. Nic nie potrafił zdziałać, niczemu zaradzić. Stał się drobiną życia rzuconą w kosmiczny wir zdarzeń. Iskrą, która zaraz może zagasnąć.

Kruchy.

Ulotny.

Śmiertelny.

I tak głęboko, tak dramatycznie samotny.

Aż po kres smutku.



Rozdział II



Nie! Nie, na Tańczącego Śiwę! Nie tak to miało wyglądać!
W żadnym wypadku nie tak!

Podły Abaddon miał szczeznąć w Wodospadzie Dusz, a pani, och, pani nigdy nie powinna schodzić z powrotem po śliskich, mokrych, zwodniczych skałach, ryzykując zdrowie i życie!

Do niego! Do tego Czarnego Anioła, który przywłókł ze sobą same nieszczęścia!
A przecież była już bezpieczna na górze!

Odkąd wajra przemówiła, wszystko potoczyło się zupełnie inaczej, niż planował.
Dlaczego nie trafił? Czemu nie przestrzelił tego obrzydłego skrzydlatego demona na wylot? Jaka diabelska moc go chroniła?

Przecież spadł! Spadł do wody, z której nikt nie jest w stanie ujść z życiem.

Tylko on jeden.

Czy ktokolwiek potrafiłby przypuścić, że to przerażające, ogromne, czworonożne bydlę skoczy po niego i zdoła ocalić? Nie! Przecież to zupełnie, całkowicie niemożliwe!
Obaj powinni spłynąć w dół, pochłonięci przez miliony głodnych życia, przebrzmiałych istnień.

I nigdy nie wychynąć na powierzchnię!

Ale ten dumny, nienawistny skrzydlaty przetrwał.

Jakim cudem?! Dzięki jakiej najmroczniejszej magii?! Dlaczego?!

A teraz Sereda spuszcza się ku niemu na linie, tak cienkiej i zawodnej, ryzykując upadek i śmierć. Jak mogło do tego dojść?! Gdzie syn Rudry popełnił błąd?! W którym

miejscu wspaniałego planu znajdowała się ukryta skaza?

Nie wiedział. Ale w tej chwili nie dbał ani o to, ani o swoje własne życie.

Na widok opuszczającej się w dół maharani Matariśwan złapał się w desperacji za głowę i wydał zdławiony okrzyk rozpacz. A potem zaczął się wspinać, wściekle wbijając palce w nagą skałę, bez asekuracji, bez żadnych zabezpieczeń, szaleńczo, byle szybciej znaleźć się u boku ukochanej Świetlistej i móc ją chronić własnym ciałem.



Proszę! Błagam! Proszę! Żeby żył! Żeby przeżył! Żeby... żeby cud się zdarzył. Tak, wiem, kolejny. Kolejny cud!

Bo przecież tylko cudem Piołun wydostał go z kipieli.

Ale Ty możesz wszystko, Jasności! Więc zrób to dla mnie, proszę! Nie, nie dla mnie. Zrób dla niego! Och, wiem, jaki jest, ale tyle dla Ciebie poświęcił! Musisz wziąć to pod uwagę. Musisz pamiętać!

Panie! Nigdy Cię nie widziałam, ale ufam Ci! Ratuj!

Tam, na pustyni, naprawdę czułam Twoją obecność. Więc gdziekolwiek jesteś, nie pozwól mu zginąć! Nie pozwól, błagam...

Sereda ślizgała się na mokrej powierzchni skały, lina boleśnie wpijała się w jej skórę, ale skrzydlata nawet tego nie zauważyła. Woda, tak pełna życia i tak przepełniona śmiercią, znów zmoczyła ją całkowicie, zalewała twarz, zabierając z sobą łzy.

Serce uczonej biło szybko, trwożliwie, jak chyba nigdy przedtem, a ona sama, zatracona w modlitwie, nawet się nie zastanawiała, dlaczego świat bez Daimona nagle wydaje jej się straszny, bezwartościowy i pozbawiony znaczenia, a wszystkie odkrycia, sukcesy i splendory tak mało ważne, jak pył na wietrze.

Jakby Abaddon wyznaczał widnokrąg całego jej istnienia.

Jednak nie poświęciła temu ani jednej myśli. Tak było i już. To jej na razie wystarczyło.

Teraz, błagając i płacząc, parła mu na ratunek najszybciej, jak potrafiła.



Omdlenie było krótkie. Przemknęło po niebie umysłu ciężką, czerwoną chmurą. Gdy odeszło, pozostawiło po sobie białe, ostre wyładowania szoku. I tylko dlatego Daimon znalazł w sobie siłę, żeby usiąść. Wiedział, że pewnie jest pogruchotany jak porcelanowa figurka, która spadła na posadzkę, lecz czuł tylko jasne błyskawice adrenaliny.

Piołun! Co się stało z Piołunem?!

Sięgnął do umysłu konia i natrafił na gęstą, przerażającą ciemność.

– *Piołun, bracie?! – krzyknął w pustkę, drżąc z zimna, szoku i paniki. – Co z tobą?*

– *Do zobaczenia w niebycie, Abaddonie.*

Głos rumaka był słaby, odległy, przesycony rezygnacją. Nie, nie tak zwykle odzywała się Boska Bestia. To był głos istoty, która utraciła nadzieję. Poddała się. Głos zza grobu.

Frey poczuł, że przepelnia go przerażenie. Nie mógł stracić przyjaciela. Nie zniósłby tego. Nie przetrzymał.

– *Piołun! Walcz!*

– *O co, Niszczycielu? Z kim? To kraniec drogi* – szepnęło blade echo wierzchowca parasim.

– *Nie!* – Daimon w desperacji uderzył pięścią w skałę.

Odłamki, twarde jak rzeczywistość, głęboko wbiły się w skórę, ale nawet tego nie poczuł.

Nie, nie mógł dopuścić do tego, żeby Piołun tu został. Żeby zginął. Żeby nigdy już się nie odezwał, nie pogalopował niebiańskim szlakiem, nie poczuł pod kopytami bruków Hajot Hakados.

Boska Bestia.

Przyjaciół.

Brat.

Musiał go uratować. Musiał. Wypełnić to ostatnie zadanie, zanim ciemność go pochłonie.

Bo przecież kiepsko z nim było, wiedział o tym.

Poczuł natychmiast, kiedy tylko spróbował się poruszyć.

Coś rosło mu pod żebrami w okolicy mostka. Coś strasznego, naznaczonego piętnem pustki. Ostatecznej, chciwej i zachłannej. Tak jakby w jego ciele zrodziła się i otworzyła otchłanna głębia. Dziura. Nic. Nawet nie powietrze. Na pewno nie powietrze, bo tego akurat rozpaczliwie mu brakowało. Tyle że ta dziura rosła. Puchła, napierając na płuca od dołu i wypychając oddech z powrotem w niepokojąco nienaturalny sposób. Mógł nabrać tchu tylko odrobinę, płytko, płyciutko, bo pustka zostawiała bardzo niewiele miejsca. Rozpychała się, naciskając na żebra, otwierała wewnątrz jak głodna, jadowita meduza. Jej macki sięgały już do gardła i do żołądka. Dławił się nimi.

Dlatego zgiął się w paroksyzmie ostrego, świszczącego kaszlu, który przywodził na myśl szczekanie piekielnego psa.

Khe! Khe! Khe!

Pożrę cię!

Wdech! Wdech! Wdech!

Bodajś zdechł!

I tak się właśnie czuł. Jakby zdychał. Jakby życie ulatywało z niego z każdym coraz bardziej rozpaczliwym, nieudanym oddechem.

Ból pojawił się nagle. Dźgnął głęboko pod mostkiem niczym podstępny, tępy drut kolczasty rozdzierający tkanki, a potem rozlał się na boki, sięgając żeber. Zabijał. Wysysał życie. Ale o wiele bardziej śmiertelny był ten krótki, dramatyczny bezdech. Te ułamki sekund całkiem bez tchu, te chwile, kiedy wciągał powietrze zupełnie jałowe i pozbawione tlenu, jakby karmił pustkę w płucach.

A ona powiększała objętość. Przejmowała kontrolę. Zagarniała go. Ta falująca, pulsująca z rytmem serca meduza, która nie wiadomo kiedy załęgła mu się w piersi. To ona była królową życia, podczas gdy on mozolnie, z trudem włókł się ku ostateczności.

Charczał w daremnym wysiłku zaczerpnięcia oddechu, co przypominało potępieńczy, ochryply śmiech, choć wcale nie było mu wesoło. Abaddon, czołgając się na czworakach w stronę konia, wciąż ujadał głuchym, piskliwym kaszlem, jakby w napadzie szaleństwa zapragnął udawać któregoś z piekielnych ogarów Azazela.

Dodajmy, bardzo starego i bardzo chorego ogara.

Nie przewrócił się tylko dlatego, że wiodła go naprzód zimna, zaciekła, zupełnie obłądna determinacja. Za nic nie chciał dopuścić do siebie świadomości, w jak kiepskim stanie się znajduje.

Miał cel. Musiał uratować przyjaciela. I tylko to się liczyło.

Później pozwoli sobie odejść, zemdleć, osunąć się w niebyt czy co tam mu w końcu pisane. Potem, dopiero potem da sobie ten przywilej i łaskę. Na razie musiał walczyć.

Walczyć o oddech.

Walczyć o życie.

Walczyć o Piołuna.

Jedno wiedział na pewno. Nie może, za żadne skarby nie wolno mu zostawić konia w pobliżu tej przerażającej, koszarnej Rzeki Dusz. Nie pozwoli go pochłonąć. Nigdy. Choćby miał sto razy paść martwy i tysiąc zmartwychwstać, jeśli to okaże się niezbędną. Tutaj Piołun nie zazna spokoju. Nie przeniesie się na Błękitne Łany. Nie powróci w żadnej mistycznej formie. Przez wieki, przez tysiąclecia będzie się kotłował w kipieli istnień, złakniony, wygłodniały, straszny, tracąc z wolna wspomnienia, osobowość i zmysły, a to wydawało się Abaddonowi o wiele gorsze, niż gdyby przyjaciel na zawsze przestał istnieć.

Dlatego pełził ku koniowi gotów rozedrzeć na strzępy niebios, żeby ocalić go przed przerażającym losem, choć sam czuł, że zaczął już tańczyć zimny, sztywny, pełen rygorystycznych reguł płąs z kostuchą.



Wsparł dłonie o mokre, ciepłe cielsko rumaka i z całej siły pchnął. To było tak, jakby próbował przepchnąć górę.

Koń nie poruszył się, nawet nie jęknął. Leżał nieruchomo, bez życia i bez nadziei. Wór sierści wypełniony ciężarem konania.

– *Piołun, rusz się! Proszę. Spróbuj mi pomóc.*

Nic, żadnej reakcji. Daimon naparł znów z całej siły na gorącą skałę końskiego ciała i złożył się wpół w ataku kaszlu. Meduza w środku rozłożyła gorliwie macki wypełnione trucizną bólu. Abaddon jednak nie przerywał. Pchał przekonany, że przetoczy wierzchowca na drugi bok, w ten sposób pomagając mu wstać. Ale to nie mogło się udać, skoro koń odmówił współpracy.

Anioł Zagłady czuł w umyśle mrok jego rezygnacji i pogodzenia z losem.

Naparł z całą siłą rodzącego się gniewu i protestu.

– *Przecież możesz... chociaż spróbować!* – wycharczał z trudem. – *Pomóż mi, to cię stąd... zabiorę!*

– *Zabiera mnie inna siła. Nie w naszej mocy się jej przeciwstawiać.*

– *Nie wiesz, co mówisz – wydyszał Frey. – To ta woda, prawda? To przez nią. Zew rzeki zagłusza... twoje własne myśli. Nie słuchaj go. Skup się. Musisz wstać! Dasz radę! Wyciągnę cię stąd, przysięgam.*

– *Jałowe twoje przysięgi, Abaddonie. Są jak pył na wietrze. Nie przeszkadzaj mi odejść. Już czas.*

– *Czas na co? – Frey zmobilizował gasnące siły. – Na rezygnację? Na poddanie? Ruszaj do boju, bracie! Chcę znów zobaczyć w tobie Boską Bestię.*

– *Zobaczysz upadek i gnijące mięso. Spotkamy się dopiero w niebycie.*

– *Pieprzenie!* – warknął Daimon i znów zakaszłał boleśnie. – *No dalej, przewróć się na drugi bok i oprzyj na zdrowej nodze.*

– *Nie. Żyjesz uludą, Abaddonie. Zawsze tak było. Ale prawda to gorzki owoc. Nawet jeśli nie odpowiada ci jego smak.*

Frey rozkaszał się rozpaczliwie. Oddech mu świszczwał jak wiatr na grani, a wściekłe szczeknięcia rozpychały żebra. Po długiej, długiej chwili, kiedy spazm zelżał, Anioł Zagłady oparł się o mokry bok wierzchowca i dyszał z trudem. Potem splunął różowym, pianistym obłokiem śliny upstrzonym konfetti maleńkich czerwonych kropelek. Ostrożnie spróbował wciągnąć powietrze. Udało się, choć miał wrażenie, że oddycha tylko do połowy. Wszystko, oczywiście, pozostało na miejscu. I dziura, i ból, i meduza, ale postanowił to ignorować. Po prostu. Nie zwracać uwagi.

– *Wiesz, co mi... nie odpowiada? – wykrztusił z trudem, lecz z determinacją w głosie, który brzmiał teraz, jakby ktoś ciągnął metalowy pręt po kamieniach. – Że mój podwładny i przyjaciel... leży jak flak i tylko rozczuła się nad sobą. Słyszałeś kiedyś, jak się podnosi konia, który przewrócił się i zaklinował? Łapie się za ogon i obraca. I wiesz co? Podoba mi się ten sposób! Coraz bardziej mi się podoba. Spróbuj wstać, do cholery, bo będę cię szarpał za grzywę i ogon tak długo... aż cię stąd wywlokę. No już! Wstań!*

Pociągnął wierzchowca za ciężką, nasiąkłą kurtynę grzywy, próbując podnieść mu chociaż łeb. Piołun zaprotestował ostrym kwikiem, raczej ze złości niż z bólu.

– *Oszalałeś, Abaddonie. Zaraza na twoje parszywe serce! Kolejny upadek zmącił ci zmysły. Nie rozumiesz? Ja odchodzę.*

Daimonowi bardzo trudno było mówić i poruszać się zbornie, ale postanowił, że nie będzie teraz o tym myślał. Po prostu nie i już.

– *Jak dla mnie... nigdzie się nie wybierasz. No rusz się! Dalej! To rozkaz!*

– *Rozkaz? Chcesz wydawać rozkazy ostateczności?*

Anioł Zagłady znowu szarpnął przyjaciela za grzywę.

– *Nie! Wydaję rozkaz tobie! Ocknij się i wstawaj!*

– *Zaraza na twoją duszę!* – zagrzemiał mu w głowie głos rumaka. – *Daj mi umrzeć godnie, szaleńcze!*

Frey po raz kolejny z wściekłością pchnął mokre, ogromne cielsko konia.

– *Nie umierasz, pieprzona, historyczna szkapo. Złamałeś tylko nogę.*

– *A czym to się różni od śmierci dla wierzchowca?*

– *Wszystkim!* – wychrypiał anioł. – *Taka z ciebie Boska Bestia jak z kozy rumak parasim! Pozbieraj się w tej chwili i walcz! Poddany Jasności się nie poddaje, nawet jeśli zmoczył się trochę w pieprzonej, przeklętej, śmiertelnej wodzie!*

– *Przed chwilą wyniosłem z niej twój tyłek, Abaddonie, bo nie byłeś w stanie ruszyć ręką ani nogą!*

– *Świetnie! Więc teraz rusz łaskawie swój tłusty koński zad i zacznij współpracować... Gdzie jest ten rumak... który nie bał się stanąć ze mną do walki z Antykreatorem? Gdzie się podział... ten dumny i dzielny koń? Zeskapał czy stetryczał na pożywnym owsie z Siódmego Nieba? Patrzyłeś bez lęku w oczy Cienia... a teraz chcesz zdechnąć jak tępą, stara krowa z powodu jakiejś pieprzonej, zapyziałej strugi... do której miałaś fantazję wpaść?! Dobra, niech zostanie z ciebie wzdęte truchło... skoro sam tak bardzo tego chcesz, tchórze!*

Ostry, wściekły kwik Piołuna przetoczył się po skałach hukiem gromu.

– *Niech Ciemność cię przeklnie, irytujący durniu! Wstanę! I umrę na stojąco, bo tylko to mogę zrobić!*

Koń szarpnął się w szalonym, desperackim wysiłku, przetoczył przez grzbiet i wierzgnął rozpaczliwie. Zarżał głośno, przejmująco, a potem poderwał się na nogi. Stanął. Ogromny, drżący, krzywy i nierzeczywisty jak cień śmierci na tle skalnej ściany. Targnął łbem i znów zarżał rozgłośnie. Wysoki, histeryczny głos Piołuna poniosł się po wodzie jak dźwięk trąby zwiastującej nadejście Czasów Ostatecznych. Kopyta zgrzytały, ślizgając się po kamieniach. Trzy nogi, na których usiłował się wesprzeć, trzęsły się spazmatycznie, czwarta zwisała bezwładnie, podkurczona pod niemożliwym kątem. Z pyska rumaka lała się piana, białe plamy potu znaczyły szyję i boki. Chwiał się, próbując utrzymać równowagę, wsparty bokiem o nagą, mokrą skałę.

Za moment znów runie, pomyślał przerażony Daimon.

Dlatego przyskoczył, podepchnął przyjaciela.

– *Wspinaj się!* – krzyknął. – *Właź na górę! Natychmiast! Pomogę ci!*

– *Jesteś opętany! Oszalałeś ze szczeniem!*

– *Być może. Wszystko jedno. Właź!*

Rumak parasim obrócił głowę, wyszczerzone, ogromne kły kłapnęły tuż przed twarzą anioła, a Frey przez mgnienie sądził, że koń naprawdę pragnie zmiażdżyć mu czaszkę. Nigdy się nie bał przyjaciela, ale patrząc teraz w jego dzikie, pełne gniewu ślepie, zrozumiał wreszcie, jak pierwotną i nieokiełznaną istotą jest Boska Bestia.

– *Dobrze.* – Głos rumaka w jego głowie zagłuszał nawet huk Wodospadu Dusz. – *Zrobię, co chcesz. A potem rozwalę ci ten tępy łeb jednym kopniakiem, Abaddonie, żeby przed śmiercią uwolnić świat od twojego szaleństwa!*



Weterani z Królestwa wstrząśnięci i pobladli stali na samym szczycie urwiska. Wodny pył kłębił się wokół nich jak biały śmiertelny całun, przesłaniał widok, zmywał łzy i zagarniał je w pustkę odwiecznego Wodospadu.

Nie mogli uwierzyć. Po prostu nie potrafili uwierzyć.

Daimon Frey, bohater Królestwa, i jego rumak parasim nie żyli, pokonani przez moc wodnego żywiołu. Jak to się mogło stać? Jakim sposobem? Przecież Abaddon walczył z Cieniem i zepchnął go do Czułości. Jak doszło do tego, że zginął w odmętach

Rzeki Dusz? Utopił się wraz ze swoim koniem? Wpadł w kipiela, żeby nigdy już się nie wynurzyć, a wiecznie głodna, wzburzona woda zabrała na zawsze oba ciała?

To niemożliwe!

I gdyby prostolinijny i nieco naiwny Meresin nie wyglądał co chwila poza krawędź wodospadu, żeby na własne oczy przekonać się, jak bardzo Anioła Zagłady tam nie ma, prawdopodobnie weterani nie ujrzeliby jednego z najbardziej poruszających widoków w życiu.

Żołnierz wychylił się głęboko, przez cały czas ocierając twarz z wody i mrużąc oczy, zapatrzył w buzującą, złą topiel. A potem krzyknął na całe gardło:

– Nasi w potrzebie! Nasi w potrzebie! Chłopaki, są na dole! Widzę ich! Na litość Jasności! Abaddon próbuje wciągnąć konia na grań! Nie uwierzycie nawet, kiedy zobaczycie to na własne oczy! Trzeba mu pomóc, na Najczystsza Światłość!

Skrzydłaci poderwali się, popędzili ku krawędzi skały. Tak, i oni już widzieli.

Anioł Zagłady, tłukąc rozpaczliwie skrzydłami, choć w nieprzyjaznym powietrzu Stref nie mogły go przecież unieść, włókł, szarpał, pchał wierzchowca w górę, nieustępliwie, desperacko i strasznie, jakby ciągnął przytłaczający wór własnych grzechów, ciężar win, brzemień Niszczyciela. Ociekający wodą, czarny, obłąkany, był jak pierwotny gniew, nieustępliwa wola przetrwania, nagi, surowy instynkt istnienia. Szał życia w nieustannej walce z nicością.



© Fabryka Słów

To nie mogło się udać. Po prostu nie mogło. Jeden Świetlisty, nawet tak potężny jak Daimon, nie był w stanie udźwignąć ciężaru rumaka, nie mówiąc już o dowleczeniu go w bezpieczne miejsce. A kilku zwykłych aniołów nie miało szansy skutecznie przyjść mu z pomocą. Na złowrogiej skalnej ścianie, szarej jak skóra trupa, jak popiół niespełnionych nadziei, czekała ich tylko śmierć. Weterani doskonale o tym wiedzieli. Ale to w niczym nie zmieniało ich decyzji.

– Liny! – rozkazał z przejściem Setanel, który objął dowództwo po śmierci Aluasza. – Natychmiast! Idziemy po nich! Pamiętajcie! Nikt nie zostaje sam w potrzebie! Chwała Królestwu!

– Chwała! – odskrzyknęli, zbierając sprzęt i szykując się po raz kolejny do morderczej drogi w dół.

Nikt nie protestował, nikt, nawet w duchu, nie podważał szaleńczej decyzji Setanela, nikt nie zastanawiał się, w jaki sposób wywindować ogromnego, ciężkiego jak głaz rumaka na górę i co potem z nim począć.

Nasi byli w potrzebie.

To wystarczyło.

Zawsze. Naprawdę zawsze.



Sereda była już w połowie pierwszego progu i mozolnie, choć wytrwale opuszczała się dalej, ku Daimonowi, gdy dotarli do niej pierwsi Marutowie. Złote, błyszczące błyskawice ich toporów wgrzyzały się w litą skałę lepiej niż czekany, dając synom Rudry solidne oparcie.

– Maharani? – zapytał Iśa. – Zechcesz przyjąć pomoc twoich wiernych sług?

– Tak! – krzyknęła Świetlista, a Maruta natychmiast otoczył ją ramieniem. – To znaczy nie! Idźcie w dół, do Freya! Wyciągnijcie go na górę! Ja sobie poradzę sama!

Iśa już otwierał usta, żeby wypowiedzieć sakramentalne „tak, pani”, gdy zza załomu skalnego wyłonił się niespodziewanie Matariśwan. Wyglądał, jakby postradał zmysły. Naznaczony piętnem nawalnicy, dziki, niepoczytalny i straszliwy niczym klęska desperata.

– Nie! – ryknął pełnym wściekłości głosem. – Ani się waż, Iśa! Zabierz stąd panią! Natychmiast! Jej bezpieczeństwo jest najważniejsze!

Sam rzucił się do Seredy, pochwyił w pół i trzymał z całych sił jak wąż duszący ofiarę. Szarpnęła się wściekle.

– Oszalałeś, Matariśwan?! Puść mnie natychmiast!

Obrócił ku niej twarz wykrzywioną w grymasie szaleństwa. Ciemne, burzowe oczy syna Rudry przypominały ślepie zwierzęcia trawionego wścieklizną. Nie było w nich nic prócz czystego obłądu.

– Nie, maharani! Nigdy! Wyniosę cię stąd, choćbym sam miał paść trupem! Tu nie jest bezpiecznie!

Już sięgał ręką po drugą linę spuszczoną przez posłusznego Iśę, zaczął obwiązywać

anielicę w pasie. Szarpnęła się jeszcze raz, ryzykując upadek.

– Mata, puszczaj! Co ty wyrabiasz, idioto? Zostaw mnie! To rozkaz!

– Nie, pani! Muszę cię chronić! Muszę ocalić! Jesteś cenniejsza niż Oświecenie! Cenniejsza niż dharma! Ważniejsza niż cały świat! Dla ciebie mógłbym się odrodzić jako najędźniejszy robak, jako nieczysty! Dlatego wyniosę cię stąd wbrew twojej woli, a potem możesz zabrać moje nędzne życie!

W pierwszej chwili zamarła ze zgrozy i szoku.

Matariśwan jej nie posłuchał! Ośmielił się nie usłuchać polecenia! A w następnej, patrząc w jego martwe, rozszerzone rozpaczą źrenice, zrozumiała, że nie posłuchałby teraz samego Brahmy.

Ale nie należała do istot, które łatwo się poddają. Znała swoje miejsce i prawa. Była przecież dowódcą wyprawy, w dodatku Świetlistą. Maruta zaś właśnie zakwestionował jej przyrodzoną pozycję. Sprzeciwił się. Miał czelność zignorować rozkaz. Nie potrafiła tego znieść. Zaczęła wyrwać się i kopać z furią godną schwytej lybbardzicy.

– Puść! – syczała. – Puszczaj natychmiast, synu przeklętej krowy! Nie próbuj mnie zniewolić, bo gorzko pożałujesz!

– Żałuję tylko, że tak słabo chroniłem cię dotychczas – szepnął łamiącym się głosem, zbliżając usta do jej ucha. – Dzieci Rudry! Wciągnijcie maharani na górę!

Przyuczeni do posłuchu, wierni swemu przywódcy Marutowie bez szemrania wykonali rozkaz. Krzepkie, brązowe ramiona chwyciły za liny i już po chwili Sereda, niczym osobliwy pakunek, uniosła się w przestworza. Ciskając się i szarpiąc, przypominała ogromną poczwarkę w stadium przemiany. Wydawało się, że tylko mgnienie dzieli ją od momentu, gdy monumentalne skrzydła rozerwą pęta, wystrzelą jak u motyla i Świetlista wyrwie się ku wolności, sroga, gniewna i piękna jak surmy zbrojne, lecz niestety, liny trzymały mocno, a synowie Priszni mieli silne barki.

Przywódczyni wyprawy, płacząc ze złości i upokorzenia, została wciągnięta na wysoki płaskowyż, zupełnie tak samo jak niedawno przetransportowane tu kufry, skrzynie i paki pokryte brezentem.



– Co tam się dzieje?! – krzyknął wystraszony Nesanel, który bał się wyjrzeć za budzący grozę kraniec wodospadu.

Orfaniel klęczał na krawędzi mokry, ociekający strugami żywej i martwej wody, wychylając się niebezpiecznie poza obręb skał.

– Abaddon żyje! Próbuje dotrzeć do konia. Nie wiem, co z nim, bo się nie rusza. Prawdopodobnie nie żyje. Sereda do nich schodzi. Asekurują ją Marutowie.

Starszy mag załamał z rozpaczony ręce.

– Na litość Jasności! Schodzi! A co ona biedna tam pomoże?

– Więcej niż my tutaj – warknął Orfaniel. – Ja też zaraz spróbuję do nich zejść.

Nesanel położył mu dłoń na ramieniu. Palce mu drżały.

– To na nic. Nie zdołasz nic zrobić. Nie jesteś uzdrowicielem.

Młody czarnoksiężnik obrzucił go twardym spojrzeniem.

– Ty jesteś – powiedział ostro.

Stary anioł spuścił wzrok.

– Tak. To prawda. Jestem. Ale wiem, że w niczym nie potrafię pomóc Freyowi. Moje zaklęcia na niego nie działają.

– A Boska Bestia? Nie zasługuje na ratunek? Nadal pozostaje wiernym i dzielnym poddanym Królestwa.

Nesanel westchnął głęboko.

– Rumak parasim nie żyje. Nie łudźmy się.

– O, do cholery! – wykrzyknął nagle przejęty i poruszony Orfaniel, który znów się wychylił, żeby zajrzeć w kipiel. – Jak na kogoś, kto nie żyje, bardzo żwawo usiłuje wstać i utrzymać się na trzech nogach!

Starszy mag aż zamrugął ze zdumienia.

– Koń ze złamaną nogą?! Musi być chyba w szoku!

– Ja jestem w szoku! – zawołał poruszony do głębi Orfaniel. – Abaddon właśnie pcha go w górę i zmusza do wspinaczki! W życiu nie widziałem czegoś podobnego!

– Na Jasność! – jęknął przerażony Nesanel. – Po co robić takie szaleństwa?!

– To nie szaleństwo, starcze! – Oczy młodego maga zrobiły się nagle bardzo chłodne i pełne pogardy. – To prawdziwa przyjaźń i lojalność. Schodzę tam!

Ale nie dane mu było dopełnić postanowienia, bo na górze nie został już ani skrawek liny lub choćby jeden krzywy czekan.



Tragarze siedzieli na samym szczycie wodospadu, zmęczeni, mokrzy i głęboko obojętni. Opierali się plecami o paki i skrzynie, niektórzy dyszeli jeszcze po wysiłku wspinaczki. Oczywiście, nie mieli zamiaru kiwnąć palcem w sprawie Abaddona. W każdym razie na pewno nie bez wyraźnego rozkazu. Oni już odwalili swoją robotę i wiedzieli, że wykonali ją dobrze.

Czy obchodził ich dramat rozgrywający się tuż pod stopami? Tyle, co pusta puszcza po wojskowej mannie.

Tylko jeden robotnik krążył po skraju urwiska, nerwowo, uporczywie i irytująco. Hipnotycznie gapił się w otchłań w nadziei, że wypatrzy jakiś inny, lepszy obraz niż widok Daimona spadającego w odmęt wodospadu. Wielka, zwalista sylwetka robotnika wyglądała na tle szarego nieba jak ruchomy głaz, olbrzym zbudowany z materii skał i niepokojów.

A otchłań, jak to miała w zwyczaju, wpatrywała się w niego szyderczo, zła, nieprzenikniona i przepelniona nienawiścią.

Lucyfer się martwił. Lucyfer się denerwował. I, prawdę mówiąc, zżerały go wyrzuty sumienia. Bo gdyby jednak coś powiedział, zasugerował, podrzucił przemyślnie anonimową wiadomość, może Frey bardziej miałby się na bacności. Może by trochę uważał, a nie parł przed siebie z bezczelnością i wdziękiem rozpędzonej merkawy?

Najgorzej, że imperator Głębi nie wiedział, czy Anioł Zagłady spadł w kipiel przez własną nieuwagę, czy skutkiem zamachu tego kulożętego, dzikiego Maruty.

Bo jeśli tak...

Jeśli tak, to jakoś dziwnie kiepsko się z tym czuł.

No niby przecież niczemu nie był winien, a obrzydliwe uczucie wstydu rozlewało mu się po obu komorach serca, żrące jak kwas.

Aj, trzeba było przekazać Daimonowi jakieś ostrzeżenie. Jeden mały liścik koślavo napisany lewą ręką, żeby nie potrafił rozpoznać charakteru pisma. Jeden świstek z prościutkim: „Uważaj na tego parszywego syna krowy” i sumienie Lucka pozostałoby czyste jak szatki anielic z chóru Mistrza Wycia.

A kwas nie podchodziłby do gardła obrzydliwą goryczą winy.

Znowu coś zawaliłem, uświadomił sobie Lucyfer. Znowu postąpiłem jak dupek, chociaż dupków nienawidzę bardziej nawet niż tchórzy. Jak to się dzieje, u diabła? Staram się, a wszystko rozłazi mi się w dłoniach niby sparciała szmata.

Prawdopodobnie zabiłem Abaddona.

Prawdopodobnie jestem słaby i przepełniony wiecznym strachem.

Niewykluczone, że moje nieustanne wątpliwości, wahania i bierność są gorsze od buntu, którego tak naprawdę nawet nie umiałem wzniecić. Musiał to za mnie zrobić Samael. Ryzy Hultaj. Drań bez śladu przyzwoitości.

A ja nawet taki nie umiem być. Bezwzględny. Cyniczny. Okrutny. Silny i pewny siebie.

Ciągle rozważam jakieś ale, międlę w kółko wszystkie możliwe scenariusze. I nie robię nic.

Ani zimny, ani gorący. Letni.

To znaczy: najgorszy z możliwych.

Spojrzał w przepaść wodospadu, lecz zobaczył tylko kłębiący się, szary pył wodny. Ktoś tam coś krzyczał, migwały słabe, mdłe cienie, ale imperator Głębi jak zwykle stał sam, poza nawiasem wydarzeń.

Przez chwilę zapragnął skoczyć do Rzeki Dusz i raz na zawsze skończyć z tym wszystkim. Z Głębią. Z niechcianą funkcją imperatora. Z poczuciem ciągłego odrzucenia. Z dojmującą, niedającą wytchnienia, wieczną tęsknotą za utraconym światłem Jasności.

Jestem do niczego, uświadomił sobie, jak zwykle w takich chwilach, a stwierdzenie to zabolalo tym bardziej, że wydało mu się nagle całkowicie nieprawdziwe i krzywdzące. Jeśli chciał dalej żyć, musiał natychmiast wyprzeć je z umysłu i serca. Wzbudzić w sobie wściekłość. Gniew. Niezgodę. Bunt.

Czyli to, co zawsze wychodziło mu najlepiej.

Ze złością zacisnął usta, wysunął do przodu mocną, męską szczękę i uderzył pięścią w otwartą dłoń.

Nie! No nie! W żaden sposób nie jest odpowiedzialny za śmierć Abaddona. Dumny Anioł Zagłady po prostu tym razem zagalopował się za daleko. Popełnił błąd. Za bardzo zaufał własnej wspaniałości.

No i nie udało się. Bywa. Porażki też trzeba przyjąć na klatę. Nie ma już Daimona Freya. Żal. Naprawdę żal, bo to był dzielny, potężny i w sumie dość porządny Świetlisty.

W każdym razie Lucek nic do niego nie miał.

Ale pozostała przecież misja. Usiana niebezpieczeństwami, trudna, ryzykowna

droga ku Światłości. Mało kto ośmieliłby się nią podążyć. W dodatku nie po to, żeby się płaszczyć, przepraszać, błagać o łaskę i litość, ale by śmiało rzucić wyzwanie.

Szare oczy Lampki znów stwardniały, nabrały srebrzystego, chłodnego blasku stali. Jak klinga, bracie. Taki właśnie jesteś. Twardy. Ostry. Nieugięty.

Idziesz wystąpić przeciwko Stwórcy. Drugi raz. Ponownie. Kto by się na to zdobył? Kto znalazłby w sercu dość odwagi?

Nie czas płakać nad jednym martwym aniołem, gdy za twoją sprawą znów ważą się dzieje, nastają wydarzenia, które mogą zatrzęść posadami Królestwa i Głębi, poruszyć z kolein ciężki wóz historii.

Nie będę płakał, postanowił. Nie będę się nad sobą użalał i rozpamiętywał w nieskończoność swoich domniemanych win. Uniosę czoło w górę, dumnie i świadomie, spojrzę bez lęku w przyszłość i podążę tam, gdzie prowadzi mnie przeznaczenie.

Niby-nonszalanckim krokiem oddalił się od krawędzi wodospadu, pogwizdując znany knajpiany szlagier z Otchłani, nie zaszczyciwszy coraz głośniejszego tumultu na dole nawet jednym zerknięciem.

Jak klinga. Tak jest. Całkiem jak klinga. Ostry. Zły. Bezwzględny.

No dobra, ale dlaczego kwas winy wciąż palił go w piersi jak gorzka, wstrętna esencja tchórzostwa?



– Liny! Dawajcie liny, chłopaki! Obwiążcie rumaka linami! Niech ktoś asekuruje Abaddona!

– Ej, spokojnie! Spokojnie. Nie szarpać. Co tak nerwowo?

– I w górę, w górę i równo! Ciągnąć!

Głosy dobiegały z wodnego pyłu. Gasły w nim i znów się pojawiały, podobnie jak skrzydlate cienie, szare, niewyraźne niczym wszystko dokoła. Martwa woda zbierała swoje żniwo. Daimon zaczął tracić wzrok. Oddech wyrывał mu się z ust chrapliwym, nierytmicznym jękiem. Anioł Zagłady nigdy przedtem tak bardzo nie czuł się trupem. Osobliwym zombie wskrzeszonym przez Jasność, żeby uporczywie, bez względu na wszystko wykonywał powierzone zadania. Jedynie to potrafił. Pchać się pod górę na przekór logice i prawom natury. Do tego został powołany.

Więc robił to.

Windował swojego konia na szczyt wodospadu.

Ślepy. Półprzytomny ze zmęczenia. Coraz słabszy.

Nie poddawał się, bo gdyby tak uczynił, zaprzeczyłby sensowi własnego istnienia. Straciłby wszystko. Tak jak mógł teraz stracić przyjaciela. A nie wolno mu było do tego dopuścić. Nigdy.

Zatem popychał, szarpał, dźwigał, zapierał się plecami, podnosił kopyta ciężkie jak własne sumienie i rozpaczliwie szukał dla nich oparcia w nagiej skale.

– Panie?! – usłyszał w mgławicy wody przerażony, pełen napięcia szept. – Panie! Przestań. Odpocznij, bo umrzesz. My już jesteśmy! Już jesteśmy...

Obrócił ściągniętą, wilczą twarz w kierunku szepczącego cienia, odruchowo obnażając zęby.

– Nie! – warknął, a wściekłość zawarta w jego głosie zmiotła skrzydlatą zjawę z powrotem w uludę wodnego pyłu.

Nie miał czasu dla omamów umysłu. Musiał pchać. Ciągnąć. Szarpać. Podpierać. Dźwigać. On, a raczej to, co z niego pozostało. Szaleniec Boży. Upiór Jasności.

Anioł Zagłady.



Liny napinały się do granic możliwości. Tak samo jak mięśnie pracujących bez wytchnienia weteranów. Ramiona niemal wyskakiwały ze stawów. Stopy ślizgały się na niepewnym, zdradliwym podłożu. Rumak walczył, próbował pomagać, zapierał się zdrowymi nogami, wykonywał krzywe, chwiejne, niebezpieczne kroki po skale, lecz ogromna masa jego ciała ciągnęła w dół, ku śmierci.

– Uwaga! – rozległ się nagle ostry, pełen przerażenia krzyk. – Lina się przeciera! Tam, z lewej! Z lewej! Luzować! Luzować, bo wszyscy zginiemy!

W popłochu zaczęli popuszczać zagrożoną linę, a pozostałe, które przejęły jej funkcję, aż zadzwięczały żałośnie, jakby śpiewały żałobną pieśń.

Nic z tego, zrozumiał w nagłym przeblysku Setanel. Nie damy rady. Za cholerę, za cenę życia nie damy. Za chwilę zwalimy się do Wodospadu Dusz. Tu wszyscy znajdziemy swój kres i spotkamy się z przeznaczeniem.

Ale czy mógł się wycofać? Odwołać rozkazy? Uratować swoich skrzydlatych?

Przecież nasi są w potrzebie. A nikt nie zostaje wtedy sam.

Nigdy. Naprawdę nigdy.



Byli gdzieś w połowie drogi, kiedy utknęli. Piołun zawisł na napiętych linach, wierząc gwałtownie zdrowymi nogami, żeby znaleźć choćby cień oparcia dla kopyt. Darł ze zgrzytem litą skałę, ale ona pozostała obojętna. Weterani jęknęli z wysiłku i rozpacz. Grube, szorstkie sploty lin wrywały im się z dłoni, wrzynały w plecy, gotowe przeciąć aniołów na pół. Szarpały hakami, jakby za wszelką cenę chciały wydrzeć je ze ściany. Czekany wbite w kamień drżały w bolesnych wibracjach, jakby zaraz miały wyrwać się z podłoża. I poszybować w dół, w dół, daleko w bezkres, tam, gdzie za sekundę podążą także skrzydłacy w ślad za Boską Bestią.

Została im tylko chwila życia. Tylko chwila.

Dopiero teraz zdolali docenić, jak bardzo pomógł im Piołun, walcząc z własną słabością i uporczywie wspinając się po niewidocznych, śliskich występkach skalnych.

Co mogli zrobić? Nic. Przez moment przeciwstawić się rozpacz i grawitacji, utrzymując niewyobrażalny ciężar siłą własnych rąk i determinacji.

Minęła nieskończona, zła, wroga sekunda, zanim otępiały z bólu i wysiłku Daimon zorientował się, jak bardzo jest źle.

Koniec, koniec, koniec – tłukł puls w żyłach mdlejących ze zmęczenia żołnierzy.

Koniec, koniec, koniec – grały na kamieniach werble kopyt rumaka parasim.

Koniec – zrozumiał Frey.

I jemu to słowo pulsowało w płucach, w objęciach trującej meduzy, pogłębiając dziurę w środku, rozrywając żebra piekielnym bólem w mostku.

Koniec? Naprawdę?

Jeśli tak, to inny, niż wymarzył sobie nienawistny, wiecznie głodny Wodospad Dusz. Na pewno inny. Anioł Zagłady wiedział, że nie pozwoli wygrać martwej wodzie. Za żadne skarby.

Otoczony zdradliwymi splotami lin, wczepiony w kamień, zalewany nieustannie strugami szarego zimna, z potwornym wysiłkiem sięgnął po Gwiazdę Zagłady. Wyszarpnięta klinga zaprotestowała przeciągłym, ostrym tonem, głosem tysięcy zabranych przez nią żywotów.

Na ten dźwięk wodospad wzburzył się, eksplodował lodowatymi przekleństwami niezliczonych kłusujących kropel, kiedy zawarte w wodzie przebrzmiałe istnienia odpowiedziały na zew miecza, który był niszczycielem światów. Kipiel zabulgotała wściekle, a potem spokorniała, ucichła nieco, powstrzymała furię swego gniewu.

Bo choć sama była śmiercią i życiem, Gwiazda Zagłady dysponowała mocą o wiele potężniejszą. Na rozkaz Jasności niszczyła to, czego Pan nie uwzględnił w swoim planie. Przecinała na zawsze łańcuch istnienia i umierania, odsyłając wszystko na swej drodze w pustkę absolutnego zapomnienia.

W niebyt. Tam, gdzie nie istnieje już nic. Ani narodziny, ani kres.

Nie, Daimon, nawet półprzytomny z wysiłku i udręki, nie zamierzał bezmyślnie tłuc ostrzem w wodę. Nic by to przecież nie dało.

Otóż postanowił zrobić coś zupełnie, zupełnie innego.

Nie odda przyjaciela tej zgniłej, skażonej wodzie. W żadnym wypadku. Nigdy.

Przymknął powieki, skoncentrował się, wiedząc, że musi uderzyć tylko raz. Jeden jedyny, celny raz. Starał się oddychać głęboko, choć meduza bólu nadymała się i kurczyła w jego piersi.

Miał wrażenie, że czas na moment zamarzł, zatrzymując cały świat w skorupie zimna i niespodziewanego rozbłysku jasności umysłu. Daimon widział swego konia w niemożliwy sposób przyszpilonego do litej, gładkiej skały, jakby był osobliwym magnezem na lodówkę, pamiątką z podróży do samej głębi piekieł. Obok tkwili weterani wygięci w nienaturalnych, pokraccznych pozach, z twarzami wykrzywionymi z ogromnego wysiłku. Przypominali kleksy nieznannej materii rozsmarowane przypadkowo po kamiennej ścianie. Odpryski życia i determinacji.

Wiedział, że ten moment iluminacji nie potrwa długo. Krócej niż oddech. Niż mrugnięcie. Uderzenie serca.

Teraz, to musi się stać teraz, zrozumiał. Teraz albo Piołun przepadnie na zawsze, stając się wiecznie głodną duszą w chłodnych, obojętnych ramionach wodospadu. A to przecież gorsze niż śmierć. Na pewno gorsze, prawda?

Teraz, powiedziała meduza, a Frey nie mógł się z nią nie zgodzić. Rozwarł powieki, zamierzył się mieczem i pchnął z całej siły.

– Nie! – krzyknął przerażony Setanel, kiedy w zielonych, fosforycznych oczach

Tańczącego na Zgliszczach ujrzał płonące, fanatyczne szaleństwo. – Powstrzymaj się, w imię Jasności!

Ale miecz już płynął w powietrzu, już wbijał się głęboko, aż do połowy klingi. Stał jęknięta głucho, rękojeść zadrżała, gdy ręka Abaddona puściła broń.

Gwiazda Zagłady tkwiła głęboko w kamieniu niczym nowy, o wiele potężniejszy i groźniejszy Ekskalibur.

– *Właż, Piołun!* – wycharczał Daimon. – *Właż po ostrzu! Wytrzyma. A jeśli nie, to niech je diabli!*

A potem rozkaszał się psim, warkotliwym, ciężkim kaszlem i opadł z sił tak bardzo, aż cały zaczął się trząść.

– *Sza...lo...ny...* – usłyszał jednak w głowie słabe, strasznie słabe echo głosu rumaka. – *Sza...lo...ny... zaraza... na twoją... duszę...*

Ale koń usłuchał. Potężne kopyto nastąpiło na miecz i wreszcie znalazło oparcie. Klinga wygięła się, napięła, lecz nie puściła. Boska Bestia postąpiła w górę upragniony krok, potem następny i jeszcze jeden.

Żołnierze, którzy choć na chwilę poczuli ulgę od ciężaru, zakrzyknęli niegłośno, ale radośnie. Ciągnęli, a koń się wspinał. Teraz, po chwili grozy, wydawało im się, że wspinaczka przebiega o wiele sprawniej.

Dowódca weteranów doczołgał się do Abaddona. Był okropnie blady i wyraźnie wstrząśnięty. Spojrzał w ściągniętą, dziką maskę, w jaką zamieniło się oblicze Świetlistego, i przeraził się nie na żarty. Oglądał bowiem twarz upiora. Daimon miał zapadnięte, płonące oczy. Oddychał ciężko, chrapliwie przez otwarte usta, ale zęby trzymał kurczowo zaciśnięte. Przypominały migdały wbite w wiśniowy deser, bo barwiła je pienista, ciemna krew.

– Na litość Jasności! – jęknął struchlały Setanel. – Myślałem, naprawdę przez chwilę myślałem, że chcesz dobić Boską Bestię!

– To... naucz się... myśleć... lepiej... – wyrzucił Anioł Zagłady, spluwając czerwienią.

Zaparł się i wyszarpnął miecz ze skały. Co natychmiast wywołało atak koszmarnego kaszlu.

– Dobra Królowo! Wyglądasz jak śmierć! Musisz odpocząć! – przestraszył się Setanel.

– Odpocznę... w piekle... – Zielone oczy Tańczącego na Zgliszczach wyglądały teraz jak dwa najgłębsze kręgi Otchłani. – Dalej, skrzydlaty... do góry... mamy robotę!

Dowódca weteranów chciał coś powiedzieć, ale się nie ośmielił. Ruszył wypełnić rozkaz.



– Żołnierze są przy koniu! – krzyknął podekscytowany Orfaniel. – Ciągną go! Na Jasność! Widzę ich! Są w takiej odległości, że chyba zdołam im pomóc!

– Jak? – zdumiał się Nesanel.

– Podziałam na liny zaklęciem przyzwania!

– Oszalałeś?! – Stary mag złapał się za głowę. – Pourywają się natychmiast! Albo, co też możliwe, odwiążą i spróbują pełznąć do ciebie. To się, oczywiście, nie uda, a wszyscy weterani zginą.

– To co mam zrobić? – Młodszy czarodziej bezradnie rozłożył ręce. – Bo stać beczynnienie nie zamierzam!

– Użyj chwilowego, punktowego osłabienia siły ciężenia. To niezwykle trudne, złożone zaklęcie. Chyba uczą go na magii bojowej, prawda? Umiesz je założyć?

– Tak. Chyba tak. – Orfaniel nie wydawał się pewny siebie.

– A ja nie. To nie moja dziedzina. Ale wiem, że powinno zadziałać. Tylko uważaj. Jest cholernie ryzykowne.

– Cała ta wyprawa to jedno pieprzone ryzyko! – stwierdził młody mag, ale w jego oczach lśniły już jasne, świetliste iskielki nadziei. – Spróbuję.

Stanął na skraju przepaści, skupił się i zaczął odtwarzać w pamięci skomplikowane, splątane, zazębiające się i umykające sekwencje czaru.

Najpierw były jak złote, rozpalone igły wbijające się w umysł, a potem zaczęły pęcznieć, rozwijać się, przemieniać w ogromne, lśniące, splecione warkocze ognia, ostre, obracające się zębaki wielkich, płonących kół. Po chwili całkowicie wypełniły mózg czarodzieja, odbierając wzrok, napierając na myśli i odczucia, rozpychając się pod czaszką niczym migrenowe mroczyki.

Dał się im pochłonać, otworzył się przed nimi, pozwolił wnikać w umysł, choć Nesanel miał rację. Okazały się bardzo, cholernie, przeraźliwie niebezpieczne.



Szło jakby lepiej. Lepiej. Nieco, odrobinę łatwiej.

Jak wielka to była ulga, jak ogromna pomoc, wiedzieli tylko aniołowie, którzy wczepieni w skałę, niemalże przyklepni do lodowatej, ostrej, mokrej i nienawistnej powierzchni kamienia holowali czarnego rumaka w górę, ku życiu, światłu, ku Jasności.

– Chyba... chyba damy radę... – wyszeptał ostrożnie, z niedowierzaniem Aniel rwącym się ze zmęczenia głosem. – Opatrzność... nam pomaga...

– To nie Opatrzność. – Partel wyszczerzył zęby w krzywym, dzikim uśmiechu. – To on! Patrz!

Aniel uniósł głowę i ujrzał wysoko nad sobą sylwetkę anioła z rozpiętymi skrzydłami i dłońmi splatającymi się w misternych gestach. Wokół niego krążyły, szybowały, skręcały się i drgały złociste, płonące linie zaklęcia.

– Niech cię Jasność chroni, magu – wymamrotał weteran, ciągnąc z całej siły za liny. – Chociaż zdążyłem cię poznać i okazałeś się cholernym dupkiem. Jednak niech chroni cię teraz, zawsze i w każdej potrzebie. Jesteś użyteczny jak diabli.



To było jak sen. Tak niemożliwe. Tak piękne. Tak cholernie, cudownie czarowne. Mieli go. Wciągnęli. Był na górze. Cały. Żywy. Ocalony.

Leżeli pokotem na zimnej, mokrej skale, mięśnie rwały i paliły trudnym do

zniesienia bólem, było lodowato, niewygodnie i strasznie twardo, ale nie śmieli nawet otworzyć oczu, żeby ten wspaniały, nierealny sen nie okazał się ułudą.

Uśmiechali się popękkanymi od zimna ustami, bo przecież się udało. Po raz kolejny udało się to, co udać się nie miało prawa.

Życie zwyciężyło. Życie wygrało i teraz unosiło dumnie w górę sztandar szczęścia na przekór całemu zasranemu, nienawistnemu, głupiemu światu.

Mieli konia. Uratowali rumaka parasim.

Leżał tu, obok nich, jak ogromny, czarny, dyszący ciężko pomnik triumfu.

Cieszyli się, radowali, śmialiby się nawet, gdyby została im na to choć odrobina siły.

Wygrali.

Bo żołnierze Królestwa zawsze wygrywają, nie? I nigdy nie odpuszczają, kiedy nasi są w potrzebie. Nigdy. Naprawdę nigdy.

Tak, cieszyli się, bo z euforii i cholernego zmęczenia żadnemu nie przyszło do głowy, że nie mają najmniejszego pojęcia, co zrobić teraz z koniem ze złamaną nogą.



Orfaniel patrzył błędnym wzrokiem na leżącego Piołuna, jakby nie był w stanie uwierzyć, że to już, że się skończyło. Przed jego oczami nadal tańczyły ogniste węże, a umysł spowijał blask potężnego czaru. Mag potrząsnął głową, a wtedy świat zakołysał się i rozbłysnął niczym flara.

Kiedy zgasł, młody czarnoksiężnik klęczał w lekkim rozkroku na skraju przepaści, jeszcze bardziej oszołomiony niż przed chwilą.

Łup! – oznajmiła dobitnie kolejna flara pod czaszką, a Orfaniel uderzył twarzą w mokrą, kamienistą ziemię.

No, teraz to naprawdę przywalę! – ostrzegł lojalnie ostatni złocisty, niebieski, purpurowy i zielony fajerwerk, wybuchając tuż za oczami czarownika.

Faktycznie, musiał przyznać mag w krótkim, króciutkim przeblysku świadomości, zanim stracił przytomność.



Daimon odpływał. Kierował się gdzieś daleko, niesłychanie daleko, w stronę bladego horyzontu ledwie majaczącego ponad oceanem krwi. Nie czuł już ani zimna, ani bólu, ani wyczerpania. I chyba nawet nie za bardzo oddychał. Było mu dobrze. Całkiem nieźle. Znośnie. Możliwie.

Nie to, żeby umierał czy mdlał. Tak sobie leżał.

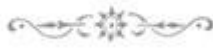
Leżał tylko. Nie wolno czy jak?

Leżał...

Płasko, nieruchomo, zadziwiająco spokojnie. Morze krwi kołysało go przyjaźnie. Lubił je. Lubił swój bezruch. Był taki pociągający.

Leżał. Płynął. Odchodził. Zanikał.

Bardzo przyjemnie w sumie.



– Daimon! – krzyknęła rozzwierając Sereda.

Rzuciła się ku Aniołowi Zagłady, przypadła do niego, dotykała drżącymi rękami, próbując znaleźć oznaki życia. Oddech. Puls. Cokolwiek.

– Pomóżcie mu! Niech mu ktoś pomoże! – Rozglądała się dokoła przerażona i zaszokowana.

Bo na ziemi obok niej spoczywał trup. Już nie Abaddon, ale pusta, porzucona skorupa.

Był zimny. Na Jasność, jak bardzo zimny i nieruchomy.

– Pędzę... pędzę! – sapał zdyszany Nesanel. – Już jestem.

Sereda złapała go za ramię, potrząsnęła silnie.

– Ratuj! On umiera!

Oczy miała szalone, pełne przerażenia i udręki. W szaroniebieskiej wodzie jej źrenic buzował i przelewał się sztorm lęku.

– Zrobię, co w mojej mocy – wymamrotał niepewnie stary mag.

Tyle że w przypadku Freya ta moc mogła się okazać zupełnie niewystarczająca.

– To przez połamane żebra – stwierdził, obmacując klatkę piersiową anioła. – No i wodę. Tę przekłętą wodę z wodospadu. Opił się jej strasznie dużo.

Abaddon wciąż leżał nieporuszony. Jego wychłodzona, blada skóra przybrała odcień tak biały, że niemal błękitny. Jakby świecił, roztaczając wokół opalizujący, majestatyczny blask śmierci. W tej chwili Daimon przypominał marmurową rzeźbę na własnym nagrobku.

Nesanel nerwowo grzebał w lekarskiej sakwie.

– To nie, to też nie, i tamto całkiem do niczego – mamrotał, obracając w palcach fiołki, słoiczki i pudełeczka. – Wybacz, Świetlista, nie wiem, czy zdołam mu pomóc.

– Musisz! Po prostu musisz! – jęknęła przerażona Sereda. – Zrób coś! Jesteś magiem! Uzdrowicielem!

– Ale nie cudotwórcą – zaprotestował czarodziej. – Nie potrafię go wskrzesić.

Przywódczyni wyprawy wydała przejmujący okrzyk grozy.

– No nie siedź tak! Wymyśl coś! Myśl! Bo on zaraz skona, nie rozumiesz?

Stary czarodziej rozumiał bardzo dobrze. Tylko niewiele mógł na to poradzić. Bo jak przywrócić do życia martwego? Jak ożywić trupa? Co poradzi magia w obliczu śmierci?

A może jednak coś potrafi zrobić, przypomniał sobie w nagłym przebłysku. Chociaż nie. To by było idiotyczne i niesamowicie ryzykowne. W dodatku pochodziło z bardzo, bardzo czarnej strony mocy. Nekromancja to przecież zakazana dziedzina. Żaden szanujący się mag nie przykładą ręki do podobnych praktyk.

Chociaż z drugiej strony musi je znać, żeby się im przeciwstawiać. I zna. Całkiem nieźle, jak się dobrze zastanowić. Na pewno wystarczająco.

Nesanel bił się z myślami. W końcu westchnął głęboko i podjął jedną z najtrudniejszych decyzji w długiej i pełnej sukcesów karierze maga. Postanowił

zaryzykować, bo sytuacja wydawała się ekstremalnie trudna.

Frey leżał u jego stóp, nie dając znaku życia, więc w sumie czemu by nie spróbować? Zaszkozić mu już raczej nie może.

– Zaraz, a chyba jednak spróbuję pomóc... – podjął z wahaniem w głosie. – Chociaż to cholernie niebezpieczne.

– Co?! Gadaż co?! – Świetlista znów zacisnęła mu dłoń na ramieniu, gwałtownie, mocno, z bólem.

Rozpacz, strach i nadzieja przelewały się nieustannie w szarej wodzie jej spojrzenia.

– Jest pewien specyfik – zaczął ostrożnie. – Służy głównie do nekromancji, ale... Abaddon jest przecież od wieków martwy. Znaczy w pewnym sensie. Jasność pozwoliła go zabić, a potem przywróciła do życia. Może, hmm, zaznaczam, że może... ten środek podziała. Chociaż nie mam pewności.

– Zastosuj go! – rozkazała, patrząc na zimną, bezkrwistą twarz Anioła Zagłady.

Tańczący na Zgliszczach wyglądał, jakby właśnie wyruszył w wielką podróż. Największą i najdalszą w życiu. Ostateczną.

Nesanel zawahał się.

– Dobrze. Dobrze. Ale nie rękę za konsekwencje.

– Zrób to! – krzyknęła.

Posłuchał. Wyciągnął z sakwy fiolkę pełną jadownicie fioletowej cieczy, która buzowała cały czas, jakby próbowała wykipieć. Wyglądała jak rasowa trucizna. No i w istocie nią była. Kropla potrafiłaby przenieść na tamten świat cały legion skrzydlatych. Ale opornych nieboszczyków natychmiast zmuszała do chwilowego powrotu do życia. Chwilowego. I w tym właśnie leżał największy problem. Stary mag bardzo się obawiał, że jeśli nawet nie ubije Daimona na miejscu, to zdoła go wskrzesić tylko na krótki moment.

Innego pomysłu jednak nie miał, a przywódczyni wyprawy wydała wyraźny rozkaz.

Dlatego przyłożył fiolkę do sinej kreski ust Freya, wsączył odrobinę płynu między zimne, białawe wargi.

Przez bardzo długie, ciągnące się jak wieczność sekundy nie działo się zupełnie nic.

Nie udało się, zrozumiał Nesanel i westchnął ciężko, z rozczarowaniem.

Zaniepokojona Sereda wyciągnęła rękę po fiolkę. Odsunął ją zdecydowanym gestem.

– Daj mu jeszcze! – nakazała łamiącym się głosem.

Nie mogła stracić Freya. Przyjaciela regenta, bohatera Królestwa, żywej legendy. Nie, na Jasność! Nie na swojej wyprawie! Musiała go ocalić i już!

– Nie ma mowy – zaprotestował Nesanel. – Większa dawka niechybnie go zabije.

– Dawaj! – Zanim zdążył zareagować, wyszarpnęła mu naczynie z ręki i chlusnęła musującym fioletem wprost w usta Abaddona.

I wtedy wreszcie coś zaczęło się dziać. Anioł Zagłady zadrżał, wyprężył się jak przy ataku padaczki, poderwał gwałtownie dłonie do gardła, jakby chciał rozerwać sobie

tchawicę. Jego klatka piersiowa uniosła się w nagłym spazmie, wargi rozwarły, ukazując zaciśnięte, wyszczerzone zęby obramowane czerwienią świeżych skrzepów. Oddech wpadł nagle do płuc jak moneta do zepsutego automatu. Obijał się po żebrach, brzęcząc, gruchocząc i tłukąc, eksplodował atakiem suchego, szczekliwego rżenia, jakby ktoś obtłukiwał kijem pustą metalową beczkę.

Wydawało się, że za moment zwróci wadliwą monetę życia i znów zapadnie w grobową obojętność.

– Na litość Światłości! Co się dzieje?! – wykrzyknęła przerażona Świetlista.

– Nie wiem! – jęknął równie wystraszony czarodziej.

W tej samej chwili Frey poderwał się w górę niczym wampir wyrwany nagle z trumny i usiadł sztywno, tocząc wokół nieprzytomnym wzrokiem. Przycisnął ręce do piersi i zaniósł się dzikim kaszlem. Już nie wyglądał jak trup, tylko coś o wiele, wiele gorszego. Jak straszne świństwo, które smok przywlókł do swojego leża z wysypiska. Każdy stwór, który wylazłby z najciemniejszego zakątka pierwotnego Chaosu, wyglądałby przy nim miło i przyjaźnie.

– Abaddonie! Co z tobą?! – zdołała wykrztusić Sereda, pobladła ze stresu i szoku.

– Wróciłeś do nas?! Żyjesz?! To naprawdę ty?!

Zielone oczy Anioła Zagłady świeciły odległym, nieprzytomnym blaskiem jak nagrobne latarnie. Błędne ognie zagubione na bagnach nieświadomości.

Daimon spojrzał na przywódczynię wyprawy i zamrugał, jakby nie był pewien, czy naprawdę ją widzi.

– Rany! – jęknął ochryplym, ledwo zrozumiałym głosem. – Odpocząć... nie dadzą...

A potem wymiotował pienistą, czerwoną krwią.



No i znów się wywinął, pomyślał Lucyfer z mieszaniną niedowierzania i chłodnego podziwu. Wyszedł z tego. Zdumiewające. Jak ten drań to robi?

Bo Daimon ewidentnie przeżył. Żył też rumak parasim.

I raczej nieważne, w jaki sposób do tego doszło. Czy to zwykły fart, przeznaczenie, czy interwencja Jasności.

Grunt, że sumienia Lucka nie plamiła już żadna wina. To bez znaczenia, czy ostrzegł Abaddona, czy też nie. Suczy syn i tak nie zginął. Żyje sobie w najlepsze. Uratowany.

No i dobrze. Bardzo dobrze.

Ponieważ dzięki temu on, Lucyfer, Pan Otchłani, znów może odzyskać spokój ducha. Jest niewinny. Czysty. Rozgrzeszony. Wesoły i pełen nowych nadziei.

W sumie nic wielkiego się przecież nie stało. Abaddon się skąpał, zmarł i trochę poobijał. Wielkie rzeczy. Ciągłe mu się to przytrafia, bo z natury jest awanturny. Ale wyszedł z tego i teraz wszystko już będzie w porządku. Tak jak trzeba. Prawidłowo.

A Lampka może całkowicie skupić się na misji i znowu odetchnąć pełną piersią.

No i fajnie, prawda?



Matariśwan, syn Rudry, dowódca Marutów, stał nieruchomy i wstrząśnięty, jakby poraził go grom. Błyskawica żalu, rozpacz i straszliwej, nieokiełznanej zazdrości. Ta jasna jak piorun, śmiertelna, wszechpotężna zawiść obracała go w popiół w każdej sekundzie, kiedy widział maharani przy tamtym.

Pani była z tamtym.

Wyrwała się z objęć Matariśwana i popędziła do wrażego czarnego Anioła Klęski, nawet nie spojrzawszy na swojego najwierniejszego sługę. A przecież oddałby za nią życie. Co tam życie! Własne Oświecenie. Swoją nirwanę.

Zrobiłby dla niej wszystko, a ona nie zaszczyliła go bodaj jednym spojrzeniem. Maruta patrzył, chłonał widok, który zabijał go, niszczył, porażał, przepoczwarzał w kogoś tak złego, podstępного i niszczycielskiego, jakim nigdy nie chciałby się stać świadomie.

Żmija zazdrości znów wypełzła z jego serca i kasała bez opamiętania, zalewając cały świat jadem.



Słaby. Czujesz się tak strasznie słaby, że nie masz pewności, czy aby na pewno żyjesz. Ale musisz się przekonać, co z Piołunem. Co z przyjacielem, którego tak ofiarnie, z całej mocy pragnąłeś uratować. Bez niego przecież nic nie ma sensu. Nic nie jest warte pojedynczej szkarłatnej kropli krwi, jednego chrapliwego oddechu.

– *Piołun?! – wołasz w głowie. – Piołun? Bracie? Jesteś tam?*

Głos, który słyszysz, jest odległy, cichy jak tchnienie, rozmyty jak zjawą. Ale brzmi w nim cień pobłażliwej kpiny, słodko-gorzkiego szyderstwa, który sprawia, że twoje serce zamiera ze zgrozy.

– *Udało mi się, Abaddonie. Jakże się cieszę, że udało. Spójrz. Znow ocaliłem twoją szaloną duszę. Ocaliłem ją. A teraz mogę spokojnie odejść...*

I wtedy osiągasz zrozumienie. Nie jakiś poryw natchnienia czy chwilę szczególnej trzeźwości umysłu. Wcale nie. Na to przecież nie zasłużyłeś. Nagłe objawienie wali cię w łeb i miażdży. Ciężkie, nieznośne i nie do przyjęcia, jak nagrobna płyta przykrywająca twoją własną trumnę. Nie ma tu miejsca na żal, na rozgoryczenie, na smutek. Po prostu rozumiesz i to jest jak but miażdżący robaka. Żalosią, wstrętną larwę, którą oczywiście sam jesteś. Bo pojąłeś już, czemu koń powstał na chwilę z martwych, żeby przeprowadzić ciebie i siebie przez czyściec wspinaczki i doprowadzić do raję na górze.

Zrobił to, myślisz gorączkowo. Naprawdę zrobił. Stary czworonożny drań zna cię o wiele lepiej, niż ty siebie kiedykolwiek poznasz. Zagrał z tobą jak kot z myszą. Jak stary wyjadacz ze śmiesznym, napuszonym naiwniakiem. Wiedział, że nigdy, za żadną cenę nie zostawisz go w pobliżu wodospadu.

I wykorzystał to po mistrzowsku.

Ta wiedza, to szczególne oświecenie jest jak stos, na którym płonie twoja miłość własna. Przeżega cię na wylot. Sprawia, że nie możesz myśleć, oddychać, istnieć. Że nie chcesz, nie masz siły dopuścić jej do siebie. Ale ona i tak wygrywa. Rozkłada macki

o wiele bardziej śmiertelne, trujące niż zwykła, żałosna meduza bólu.

Niszczy cię. Zabija. Załatwia na amen. Bo jesteś tylko głupim dupkiem, Abaddonie, który wciąż po szczeniacku uważa, że może zmienić świat.

Gówno tam. Nie może. Świat jest taki, jakim go stworzono, a rzeczywistość szczyrzy zęby w szyderyczym uśmiechu.

Nikogo nie zbawisz. Nikogo nie uratujesz. Choćbyś się zesrał najbardziej szlachetnie i honorowo, jak potrafisz. Żaden wysiłek, żaden anioł, żadna Boska Bestia nie jest w stanie wpływać na wyroki losu.

Zatem nie będzie ocalenia. Happy end nie nastanie. Pozłacane fanfary nie odtrąbią walnego zwycięstwa. A swój heroizm możesz sobie wcisnąć głęboko między pierze.

Bo Piołun od początku doskonale zdawał sobie sprawę, że zginiesz wraz z nim, jeśli zostaniesz na półce skalnej, w ciężkim, mrocznym władaniu wodospadu. A zostałbyś, prawda? Pewnie, że byś został. Bohaterski i niezłomny aż do końca. Aż się rzygać chce.

Ale Piołun cię przechytrył, wykorzystał twoje smętne, nikomu niepotrzebne, patetyczne męstwo. Kopnął cię ciężkim kopytem w sam środek poświęcenia. I dobrze. Należało ci się, durniu. Jasna, płonąca flara iluminacji obnaża twoją małość, twoją śmiechu wartą ofiarność. Teraz, kiedy jest już dla wszystkich i wszystkiego za późno.

Oczywiście, stary, mądry, przebiegły Boży Potwór wiedział, że gdyby nie poderwał się do wspinaczki, obu z was pochłonęłaby kipiela martwej wody. Że dzielnie i szaleńczo oddałbyś za niego życie. Ale rumak parasim to mądry koń. Doskonale rozumiał, że nie może do tego dopuścić. Nie wolno mu spaść w niebyt czarnym furkotem ogona i grzywy. Ponieważ pociągnąłby za sobą i ciebie. A jest twoim przyjacielem, opiekunem i mentorem. Więc zaczął walczyć. Sprawił, że uwierzyłeś. Przekonał cię, że się nie poddaje, posłuszny twoim obłąkańczym, bezsensownym, niepotrzebnym rozkazom. Zwiódł cię, oszukał, omamił. Chytrze i przezornie doprowadził w bezpieczne miejsce.

Za to ty, nędzny idioto, żałosna szmato, przez cały czas łudziłeś się, że dzielnie i chwalebnie ratujesz mu życie.

Akurat prawda. On ratował ciebie. Jak zawsze, cieniasie, głupku, zadufany w sobie bufonie. Jak zawsze. O, na Jasność! Jakże ślepy musiałeś być, żeby tego nie dostrzec?!

A teraz umrze, bo żadna moc nie jest w stanie na tym pustkowiu uratować wierzchowca ze złamaną nogą.

Zaciskasz zęby i wbijasz pięści w skronie. Sereda i Nesanel coś tam krzyczą, ale ich nie słyszysz.

Słuchasz swojego serca. A ono mówi tylko gorzkie, złe, smutne i drwiące słowa. Mówi i mówi, aż masz ochotę przestać istnieć. Po prostu przestać być, żeby nie myśleć już nigdy więcej.

O, tym razem naprawdę niech zaraza pochłonie twoją duszę. Niech zeżre ją całą na wieki!

Z bezsilności, żalu i dławiącego, morderczego rozczarowania chce ci się płakać. Wyc, ryczeć, wrzeszczeć, wygrażać niebu, miotać wkoło przekleństwa, tuc dłońmi o nagą skałę. Umrzeć ci się zachciewa.

Ale jesteś zdecydowanie za słaby na każdą z tych jałowych form buntu. Nie masz

nawet siły, żeby rozpaczać. Dlatego padasz znów na mokre kamienie, zanosząc się spazmami kaszlu, który dziwnie, niepokojąco przypomina gorzki, bolesny śmiech.



Rozdział III



Czy możesz mi wyjaśnić, dlaczego zrobiłeś te wszystkie idiotyzmy, Asmodeuszu? – Chrapliwy głos Algiviusa brzmiał nieprzyjemnie i drażniąco, jak skrzypienie noża kaleczącego szkło.

Same słowa też kaleczyły niemile. Takie kanciaste i ostre. Nieuprzejme nawet. Zgnięty Chłopiec wcale nie miał ochoty ich słuchać. Ale czasem przychodzi taka chwila, kiedy trzeba zacisnąć zęby i wytrzymać falę wyrzutów i połajanek. Musi wysłuchać tego wkurzającego, apodyktycznego starca, bo Algivius jest mu potrzebny.

Cholernie potrzebny, należy przyznać.

Czarodziej, ledwo przyjechał, natychmiast zażądał, żeby niedoszły regent Głębi opowiedział mu wszystko ze szczegółami. Asmodeusz, który nie widział innego wyjścia, spełnił jego prośbę, nie zataiwszy żadnych faktów. Wtedy mag zamyslił się, podrapał w brodę i wyszedł bez słowa.

Zawsze był dziwakiem, ale na starość zupełnie zdiczał, pomyślał urażony Mod.

Algivius wrócił po paru godzinach, bez pukania wszedł do kwatery Asmodeusza i już od progu zaczął robić awanturę. Teraz gadał i gadał, wymachując rękami, wypominał listę błędów, ubolewał nad potopionymi statkami, martwymi smokami i marynarzami, którzy utonęli. Takie tam bla, bla, bla sfrustrowanego dziada.

To dlatego, że on jest człowiekiem, uświadomił sobie nagle Mod. Nie jednym z nas. A ludzie zawsze tak mają. Głędzą. Rozpamiętują. Wiecznie wynajdują nowe zarzuty i przewiny. Nie będę przywiązywał do tego wagi. Napiję się jeszcze wina.

Ale jego ręka zamarła nad karafką, kiedy zdał sobie sprawę, że jasne, zimne

reflektory oczu starego czarodzieja dosłownie przewiercają go na wylot.

– Ależ pij, proszę bardzo – syknął Algivius zjadliwie. – Zdaje się, że tylko to umiesz robić naprawdę dobrze. Bardzo ci się teraz przyda wsparcie flaszki. Bo zanim doprowadzę do ładu ten dziki, kosmiczny burdel, który byłeś łaskaw tu rozpętać, z pewnością minie trochę czasu.

Asmodeusz poruszył się niespokojnie. Wcale mu się to nie podobało, ani trochę.

– O co ci chodzi? Przecież zapłaciłem za straty. I to z nawiązką. Możemy ruszać choćby jutro. Pewnie nie pamiętasz, bo przecież nie jesteś już najmłodszy, ale trochę krótko u nas z czasem. Muszę jak najszybciej dogonić wyprawę Daimona i sprowadzić Lucyfera z powrotem do Głębi. Dotarło?

Mag uśmiechnął się krzywo i tak złośliwie, że mógłby skwasić wino w karafce.

– A jak niby chcesz tego dokonać, co?

– Po prostu. Wytropię ekspedycję, znajdę drania i zabiorę do domu. I tyle.

– Ach, i tyle? Ale to proste – sztychł Algivius, a wredny uśmiech rozcinał mu usta jak szrama. – No fajnie. Super nawet. Z pewnością bez trudu dopędzisz karawanę w odwiecznej dżungli. Bo Daimon zostawi ci wskazówki. Będzie rozsypywał na ziemi ziarenka ryżu albo okruszki chleba. Zawiąże kolorowe wstążeczki na lianach. Zostawi połamane gałązki na znak, że wyprawa tędy przechodziła. Rzuci grzebyk, lusterko i garść laskowych orzeszków. A może pociągnie za sobą czerwony sznureczek? Kto wie? Którą z tych rzeczy zrobi, naiwny głupcze? Sądzisz, że będzie się bawił w jakiegoś rąbniętego skauta? Przecież nawet nie ma pojęcia, że go szukasz. Boże miły, jak ja nie lubię zadawać się z debilami! Pół godziny rozmowy z kretyńcem powoduje, że szare komórki mi umierają. Posłuchaj uważnie, co mam do powiedzenia, bo nie chcę się dłużej narażać na regres umysłowy. Przez chwilę była słaba szansa, że zdołasz dowiedzieć się czegoś w Meru i dogonić ekspedycję, zanim wkroczy do tropikalnego lasu. Ale zaprzepaściłeś ją bezpowrotnie, bawiąc się najpierw w gangstera, potem w wilka morskiego, a na końcu jeszcze piromana! Masz takie szanse znaleźć imperatora Głębi jak zagubione piórko w nawałnicy Armagedonu.

– Przyjechałeś tu, żeby się na mnie wydzierać? – oburzył się Zgniły Chłopiec.

Zimne, bardzo zimne i przepelnione pogardą reflektory spojrzenia dosłownie przyszpiliły go do fotela.

– Skąd. Przyjechałem zbawiać zarówno Głębię, jak i Królestwo. Bo inaczej nie miałbym gdzie mieszkać. Wielka wojna domowa raczej nie sprzyja spokojnemu studiowaniu zagadnień magii. Próbuję ci tylko uświadomić, że lepiej teraz stracić nieco czasu, niż później błądzić na oślep w dżungli. Wezwałeś mnie, żebym ci pomógł. A ściślej, uratował dupę. Zgodziłem się, bo akurat przypadkiem wiem, jak to zrobić. Pod warunkiem, że masz przy sobie coś, co należało do Lucyfera.

– Nie mam. Nie grzebię w jego rzeczach – obruszył się Mod. – Pamiętek też nie zbieram. A prezenty wyrzuciłem. Nieszczerólnie zależy mi na podarkach od nieszczerych przyjaciół.

Algivius westchnął i wymamrotał coś pod nosem o żalonych imbecylach i idiotach.

– Nic? Nawet ołówka, pudełka zapalek, świstka papieru?

– Zaraz! – przypomniał sobie nagle Zgniły Chłopiec. – Chyba mam tę pieprzoną, przeklętą nominację na regenta Głębi.

Wąska, księżycowa twarz maga rozjaśniła się słabym cieniem uśmiechu.

– No, to już coś. Jak się postarasz i dostaniesz odpowiednią motywację, to nawet umiesz pomyśleć samodzielnie. Ale nie ciesz się za bardzo. To się zdarza tylko sporadycznie. Napisana własnoręcznie?

Asmodeusz wydał gniewnie usta, lecz w ostatniej chwili zrezygnował z kąśliwego komentarza. Niech sobie szczeka, stary kundel. Najważniejsze, żeby wreszcie podjął trop.

– Tak – przyznał.

– Powinna się nadać. Dawaj ją. No dobra, masz od dziś kilka dni wolnego. Nie będę ci się narzucał, co zapewne przyniesie korzyść intelektualną nam obydwu, a już na pewno mnie. Do zobaczenia, Modo.

– Hej, jak to? – Demon o seledynowych włosach aż poderwał się z fotela. – Kilka dni? Oszalałeś?

– Ja mam bardzo trzeźwy umysł, chłopcze. W przeciwieństwie do niektórych. Czar, który muszę założyć na twoją nominację, wymaga przynajmniej tyle czasu. Inni, pomniejsi magowie potrzebowaliby na to miesiąca. Ciesz się więc, że zgodziłem się pomóc, i wypoczywaj sobie.

– Wypoczywaj?! – jęknął Asmodeusz. – A co ja będę robił na tym smętnym zadupiu?

Czarodziej wzruszył ramionami.

– Możesz teraz przez kilka dni rozkoszować się tą wspaniałą portową miejsciną i urokami życia nad oceanem. Idź na plażę. Poopalaj się. Najedz się ryb albo owoców morza. Pij wino. Jedz sery. Tylko postaraj się już nikogo nie zabijać. To by paskudnie zagęściło atmosferę. Nie wierzę, że nie umiesz sobie znaleźć innych rozrywek niż topienie marynarzy i zastraszanie ich rodzin. Baw się więc i odpoczywaj, kiedy mądrzejsi od ciebie będą pracować. Możesz też upijać się do nieprzytomności, bo jak już chyba wspominałem, naprawdę świetnie ci to wychodzi.

Zgniły Chłopiec spojrział przez krzywe, malutkie okienko chaty. Zobaczył tylko szare, spienione, złe bałwany bijące wściekle w kamienistą, czarną, surową połąć plaży. Wicher hulał nad tą wodną i skalną pustką, wyjąc jak widmo spalonego smoka. Nawet tutejsze wino było cienkie i cierpkie. Tylko się popłakać z rozpaczy.

Asmodeusz zaklął.

– Wyśmienite miejsce na wakacje, nie ma co – fuknął rozzłoszczony.

Algivius zachichotał złośliwie.

– Sam sobie szanowny pan takie wybrał. No, dość gadania. Biorę się do roboty.

– Czeka, a co ty właściwie będziesz robił? – zainteresował się Mod.

I znów zobaczył krzywy, cyniczny uśmieszek.

– A taką małą sztuczkę. Drobny, lecz bardzo przydatny przedmiocik. Zabaweczkę. Sam zobaczysz w swoim czasie.

– To ty się tu niby bawisz czy co?! – zirytował się Zgniły Chłopiec.

– Przynajmniej usilnie się staram. Inaczej szlag by mnie trafił w towarzystwie samych idiotów. Mam zamiar zrobić busołą, magiczny ignorancie. Coś w rodzaju

kompasu, który powinien nas doprowadzić wprost do Lucyfera. Masz jeszcze jakieś głupie pytania czy dasz mi wreszcie pracować?

Asmodeusz nie miał i z ulgą patrzył, jak stetryczały, wkurzający mag zamyka za sobą drzwi. A potem zupełnie nieświadomie postąpił za jego radą, sięgając po kieliszek i wino.



– I to ma być to cudo? Ta magiczna busola? – Mod zmarszczył z dezaprobatą nos.
– Przypomina coś, co dzieciak opóźniony umysłowo mógłby zrobić z zestawu „Mały Technik” znalezionej na śmietniku.

Faktycznie, urządzenie nie budziło zaufania. Przywodziło na myśl rozdeptany zegarek wetknięty krzywo w bezładną kupę pogiętych, perforowanych kształtek. Coś w nim nieustannie chrobotowało, zgrzytało i szurało, jak chrabąszcz zamknięty w pudełku po zapalniczkach. Krzywe czarne wskazówki podobne do czułków owada obracały się nerwowo, raz szybko, raz wolno. No i było ich trzy, a nie dwie. Metalowe krawędzie rzekomego kompasu pokrywał tłusty brunatny smar, tak że Asmodeusz brzydził się wziąć go do ręki.

– Patrz, a ja zawsze przypuszczałem, że ty jesteś opóźniony umysłowo – syknął czarownik. – A teraz mam już stuprocentową pewność. Nie żebym się bardzo zdziwił. No bo niby co można odziedziczyć po takich rodzicach? Intelpekt? Nie bądźmy śmieszni.

Spojrzał na wyraz twarzy Asmodeusza i uśmiechnął się szeroko.

– Dobra, nie będę się więcej znęcał nad twoimi walorami umysłowymi. Są, jakie są. Trudno. Tylko mi tu nie szlochaj w rękaw, demonie. Nie wypada. Osobiście nawet nic do ciebie nie mam. Rzecz w tym, że ja was wszystkich po prostu nie lubię. Nie wyznaję waszego Mroku, waszych hierarchii, waszych podłych gier. Mierzi mnie wasza buta i zakłamanie. I wieczna, irytująca hipokryzja. Zresztą, żebym miał być szczery, skrzydlaci wcale nie są lepsi. Powiadają ci, wcale nie! Może ja w głębi duszy jestem jednak anarchista? Nie, na to mam za tęgi umysł... No, w każdym razie, mój drogi diabełku, możesz się zacząć zbierać. Wyruszamy jutro rano. O świcie. Nie zaśpij aby, bo nie znoszę czekać!

Zgniły Chłopiec patrzył na czarownika z osłupieniem. Był jednym z najpotężniejszych i najbardziej wpływowych Mrocznych. Przyjacielem samego imperatora, może i nieaktualnym, ale o tym nikt nie musiał wiedzieć. Miał majątek, własny wywiad, własną armię i całą masę nielegalnych przedsięwzięć. Pochodził z rodu wysokiej krwi. Bano się go powszechnie i okazywano szacunek.

Nikt nigdy nie ośmielał się odzywać do niego w ten sposób.

No, może matka. Spojrzał na swoje zaciśnięte bezwiednie pięści i doszedł do wniosku, że tak, matka. Ona jedna traktowała go mniej więcej podobnie.

To dlatego Algivius tak niemożliwie go wkurzał. Słyszał skrzypiący, gderliwy głos starca, a widział nienawistną, prześliczną twarz szanownej mamusi.

Uduszę dziada, postanowił. Kiedy tylko doprowadzi mnie do Lucyfera.

Ta myśl przyniosła mu ulgę. Może i na chwilę, ale pomogła przetrwać

przepelniające go, przytłaczające poczucie, że daje się besztać jak byle uczeń. Na razie jednak nie pozostawało mu nic innego, tylko gładko przełknąć upokorzenie, bo bardzo potrzebował pomocy starego maga.

– Popłyniemy dalej wzdłuż wybrzeża? – zapytał, bo bez żalu pozostawił negocjacje z wystraszonymi rybakami.

– A co? – sarknął czarodziej. – Za mało doznałeś morskich przygód? Zachciewa ci się zostać piratem? A może sztranderem? Muszę przyznać, że rozbijanie cudzych jednostek pływających wychodzi ci całkiem nieźle. Nie, mój drogi. Masz szlaban na podróże statkami. Przynajmniej w mojej obecności. Pociągniemy pieszo wzdłuż rzeki, a potem wynajmiemy barki, tak jak to z pewnością zrobiła ekspedycja Freya. Wynajmiemy, powtarzam. Nie ukradniemy, zrabujemy, porwiemy, a wszystkich zacnych trytonów spotkanych po drodze zadźgamy albo skrócimy o głowę. Bez dyskusji, Modo! Póki tu jestem, twoją bandą dzinnów ma rządzić cywilizacja. Zapamiętaj raz na zawsze. Żadnych awantur. Żadnego zabijania. Żadnych głupot. Ale w sumie komu ja to mówię? I po co, do jasnej cholery! Zatem jutro o świcie.

Odwrócił się i odszedł, nie zaszczyciwszy Asmodeusza nawet pożegnalnym „pocałuj mnie w dupę”.

Naprawdę go uduszę, stwierdził Zgniły Chłopiec nie bez pewnej dozy przyjemności. Własnymi cholernymi rękami.

Mimo to gdy nadszedł błąd, perłowy przedświt, wszystkie ocalałe smoki i uratowane dzinny stały karnie w szeregu, gotowe do drogi.



– Belialu? – zagadnął lekko zaniepokojony Razjel. – Wszystko w porządku?

Zwalisty Mroczny bowiem po raz kolejny tego wieczoru odpłynął gdzieś daleko myślami. A sądząc ze srogiego, zaszępionego wyrazu twarzy, nie były to wesołe myśli.

– Co? – spytał nieprzytomnie i zamrugał nerwowo.

Wyglądał, jakby budził się właśnie z głębokiego snu, który nieprzyjemnie zbliżał się do koszmaru. Pan Tajemnic zauważył, że ostatnio Belial często zachowywał się, jakby był nieobecny. Tracił wątek, popadał w posępną, ciężką zadumę, czasem zdawał się roztargniony czy nawet otępiały. Posmutniał wyraźnie. Stał się milkliwy, drażliwy, wiecznie pograżony w szarej, dżdżystej chmurze chandry. Zastygał na fotelu jak wielka, ponura rzeźba otoczona aurą przygnębienia i beznadziejności. Co gorsza, zdarzało się, że melancholia przemieniała się w napady gniewu. Usta Głębianina wykrzywiały wtedy grymas wściekłości, zaczynał się miarowo kiwać na krześle lub gestykulować bez sensu. Czasami mamrotał do siebie coś, co niepokojąco przypominało przekleństwo.

To pewnie od nadmiaru tutejszego bimbru, doszedł do wniosku Razjel. Ten cholerny trunek mógłby zmielić na papkę mózg samego Salomona.

Belial, siedzący naprzeciw Księcia Magów przy szerokim stole Lucyfera, potrząsnął głową jak byk, który przypadkiem przywalił rogiem w mur. Prawdę mówiąc, Pan Tajemnic szczerze wątpił, żeby jego gość zdołał w ten sposób rozproszyć mroki umysłu.

Głębianin sięgnął po szklanę, wypił zdrowy łyk piekielnej, straszliwie mocnej księżycówki i spróbował się uśmiechnąć. Nie wyszło. Wykrzywiony dziko i szczerzący zęby, przywołał na myśl psa, który uśmiecha się do złodzieja.

Kiedy dostrzegł, że Pan Tajemnic nie przepił do niego, zmarszczył gniewnie czoło.

– Pij, pij, skrzydlaty! – warknął. – Wypij za klęskę. Za ciemność. Za pieprzony ostateczny upadek. Chyba że brzydzisz się wypić trochę wódki z demonem, co?

Zacisnął pięść i walnął w stół, aż szkło zabrzęczało trwożliwie.

– Piję z tobą od wielu dni – zauważył Razjel chłodno. – Ale nie będę się urzywał jak świnia na twoje życzenie. Widzisz, nie chcę zarzygać w nocy łóżka. Zwłaszcza że nie jest moje.

Spojrzenie, z którym zderzył się Belial, unosząc wzrok, było jak ogromny szaroniebieski lodowiec zdolny zatopić nie tylko Titanica, ale każdego Mrocznego z Otchłani. Demon załamał się pod nim niczym transatlantyk dryfujący na skały. Nawet jeśli miał ochotę dalej szumieć, to natychmiast ją stracił.

– E... no tak... – wymamrotał. – Przepraszam. Ostatnio jakoś nie jestem w formie. To znaczy... świat mnie irytuje i... tego, hmm... wkurza tak jakby. Głębia tak czasem na mnie działa. Na innych też, zresztą. Ta atmosfera i w ogóle...

Zatoczył nieokreślony krąg dłonią. Wydawał się zażenowany własnym wybuchem. Książę Magów przyjrzał mu się uważnie. I dostrzegł kilka niepokojących objawów. Mroczny był chorobliwie blady, skórę miał niemal zielonkawą. Zapadnięte, płonące oczy podbijały ciemne półksiężycy sińców. Brudne włosy niedbale przewiązał kawałkiem zwykłego sznurka. No i chyba schudł, bo ubranie wisiało na nim jak na kiju.

Niedobrze, stwierdził Razjel. To wygląda jak depresja albo inna podobna przypadłość. Co mu nagle odbiło, na Jasność? I to w takim momencie!

Perspektywa zaburzeń psychicznych u jedyne go sprzymierzeńca, którego miał w Otchłani, napawała archanioła poważnym niepokojem. Myśl, że mógłby zostać tu zupełnie sam, jedynie z widmokotem Asmodeusza, przyprawiała o głębokie przerażenie.

– No, nie gap się na mnie jak na zdechłą wywernę – burknął Belial i znów spróbował przywołać na usta uśmiech.

Na szczęście tym razem o wiele bardziej naturalny.

– Nic mi nie będzie. Zobaczysz. Takie tam chwilowe obniżenie nastroju. Nie ma o czym gadać. Czekał, czy ja ci już opowiadałem, co ten stary drań Belzebub nawywijał wczoraj na spotkaniu Kapituły Orderu Muchy? Powiedział temu głupekowi Malikowi, że dostanie odznaczenie, kiedy wreszcie nauczy się dobrze bzyceć. To znaczy bzykać! Ale był ubaw, mówię ci! Malik zmiatał jak zapchlony kundel z ogonem między jajami!

Obrzucił archanioła nieco wyzywającym spojrzeniem.

– No, czemu się nie śmiejesz? To przecież bardzo zabawne. Też masz gorszy dzień czy jak? No dalej, rozweselmy skisłe, posmutniałe serduszka. Napijmy się, bracie skrzydlaty! Nie chcesz głębiańskiej księżycówki? Za mocna dla aniołka, co? To nic! Walnijmy sobie lampkę wina! Lampkę, rozumiesz? Taki mały żart. Ha, ha! No nie wstydz się! Wypij! Nie ma to jak winko na poprawę humoru, prawda?

Razjel postanowił umoczyć usta w trunku, żeby nie zadrażniać sytuacji. Do końca wieczoru Belial śmiał się i żartował, ale to nie rozwiało podejrzeń archanioła. Cały czas

dyskretnie obserwował Mrocznego i nie dał się zwieść pozornej wesołości gościa. Demon wypadł równie sztucznie jak aktor z telenoweli.

Jasne, pomyślał Pan Tajemnic. Bujać to sobie możesz, kolego. Ale nie mnie. Masz problem ze sobą, wielki jak całe cholerne Pandemonium. A ja nie pozwolę, żeby zagroził naszemu małemu układowi. Czekaj tylko. Następnym razem zaprawię ci to pyszne wino i pieprzony bimber takim specyfikiem, że będziesz śpiewał, podskakiwał, radował się wszelkim stworzeniem i uśmiechał, aż ci gęba zdrętwieje. Kiedy się jest Księciem Magów, ma się pewne umiejętności, no nie?



– Nie masz się co tak krzątać. – Widmokot podniósł pyszczek znad patery na owoce, w której akurat spał, i ziewnął do samego ogona. – Belial nie przyjdzie. Przysłał liścik, że jest zajęty. Leży tam, pod szafą. Trochę go pogryzłem i podarłem, kiedy udawałem, że to mysz. Ale chyba nadal da się coś przeczytać. Nudzę się okropnie, a ty ciągle pracujesz, zamiast się ze mną bawić! Asmodeusz też tak robił. Co wy wszyscy widzicie w tej pracy? Same nudy! Nie to, co polowanie na widmoszczury!

Razjel spojrział na malutką fiołkę wypełnioną bladozłotym, bezwonnym płynem, którą pochylał właśnie nad karafką z winem. A potem zaklął.

Nefer wstał, wygiął grzbiet i wyprężył ogon.

– Nie złość się. To szkodliwe i w ogóle. Lepiej rzuć mi papuaską główkę. Zobaczysz, jak ślicznie będę ją turlał, i od razu poczujesz się lepiej. Jeśli okażesz się miły i cierpliwy, to pozwolę się potem pogłaskać, gdybyś przypadkiem chciał. Ale dopiero jak skończę się bawić. Nie pamiętasz, gdzie ona jest? To znaczy główka. Jeżeli ją złośliwie schowałeś, to może nawet cię podrapię. Nie mówię, że na pewno, ale lepiej szybko ją znajdź!

Pan Tajemnic westchnął.

Dobra, pomyślał. Pacjent dostanie esencję wiecznej szczęśliwości następnym razem.

Ale następnego razu nie było.

Belial nie zjawił się na kolacji ani następnego dnia, ani żadnego kolejnego.

– Idź go odwiedzić – poradził Nefer.

Widmokotek trochę się martwił, bo Razjelowi nie pomagały nawet najbardziej zabawne i urocze popisy z udziałem główki, szkła na stole, obrusów i firanek.

– Nie będzie w tym nic dziwnego – dodał, drąc pazurkami kapę na łóżku, a potem usiłując się w nią owinąć. – Lucyfer czasem też chodził w gości. Do mojego pana na przykład. Nikt się nie zdziwi, jeśli odwiedzisz Beliala, zwłaszcza że ostatnio podobno choruje. To nawet godne prawdziwego imperatora. Bardzo szlachetne. Przynajmniej ja tak uważam.

– Myślisz? – zapytał Pan Tajemnic, wyrwawszy się z ponurego zamyślenia.

– No pewnie! – przytaknął Nefer i wykonał prześlicznego fikołka, przewracając przy okazji kałamarz Razjela.



W drzwiach rezydencji Beliala, wielkiej kamiennej budowli, wesołej mniej więcej tak jak rodzinny grobowiec, tkwiło wypukłe, czerwone oko judasza. Razjel zastukał kołatką w kształcie wiedzmięj dłoni i czekał cierpliwie.

W końcu usłyszał za progiem szuranie i nieokreślone szmery. Szkarłatne oko zamrugało nagle i obróciło się, zezując ku górze.

– Pan chory. Nie przyjmuje! – szczeknęło głosem pijanej papugi.

– Imperatora Głębi też nie? – zirytował się Razjel.

Ponure ślipse znów zawirowało jak szalone i w końcu spojrzało prosto w twarz archaniola.

– Najmroczniejszy! Osobiście! Co za zaszczyt! – zaskrzeczało gorliwie.

Drzwi jęknęły niczym czyścowa dusza i rozwarły się szeroko. W korytarzu objawił się demon stary jak pierwotny Mrok, w barwnej, choć poszarpanej liberii, która przywodziła na myśl raczej strój pajaca. Bardzo zwariowanego i ekscentrycznego, warto dodać.

Lokaj głęboko się kłaniał wchodzącemu Razjelowi, a jego kręgosłup skrzypiał nie gorzej niż drzwi.

– Sam imperator! Sam imperator! – sapał podekscytowany służący. – Jakże my tak, bez przygotowania, przyjmimy Najmroczniejszą Osobę?! Czemuż nie dostałem zawiadomienia? Liściku chociażby! Najmroczniejszy osobiście! Bez świty? Bez orszaku? Bez asysty?

– To poufne spotkanie – wyjaśnił Pan Tajemnic, któremu nie chciało się dyskutować ze sługą.

Zresztą demon był tak wiekowy, że zapewne niewiele już słyszał. Oczy miał blade, jaśniutkie, starcze, jak dwie ślepe latarki na zapomnianym cmentarzu. Skórę popielatą i obwisłą niczym zetlała firanka. Ręce, pokryte archipelagiem plam wątrobowych, trzęsły się nieustannie. Nawet skórzaste skrzydła sprawiały wrażenie przetartych i poplamionych.

– Którędy do pana? – zapytał Razjel.

Hol, w którym stali, był obszerny, wysoki i majestatyczny, ale zimny i surowy jak Sąd Ostateczny. Nikłe światło wydobywało z półmroku rozległą niby skalny świadek podwójną klatkę schodową i kontury rzeźbionych mebli, ogromnych i przytłaczających niczym katafalki. Obrazy na ścianach, wielkie jak blaty stołów jadalnych, były poczerńiałe i spękane. Z ciemnych otchłani werniksu świeciły tylko czerwone oczy dawno zmarłych demonów.

– Prosto, Najmroczniejszy. A potem w lewo. Ale... – Stary lokaj zawahał się. – Pan nie czuje się dziś najlepiej.

– I to mnie właśnie sprowadza – mruknął Książę Magów, odruchowo dotykając flaszki ze złocistą ciecżą, którą trzymał w kieszeni. – Myślę, że mogę wydatnie poprawić stan twego pana.

Stary demon uśmiechnął się służalczo.

– Nie wątpię, że odwiedziny samego imperatora są wspólnym bodźcem do wyzdrowienia.

Razjel go nie słuchał. Bez pukania wparował do komnaty, w której miał urzędować Belial. Ale gdy tylko otworzył drzwi, zamarł zdumiony i zaskoczony. Zamiast salonu czy gabinetu ujrzał bowiem pomieszczenie, które przywodziło na myśl dziecinny pokój urządzony dla kilkulatka opętanego przez diabła. Pośrodku stało ogromne, drewniane, malowane łoże, stylizowane na bojowy galeon. Wzdęty połączony baldachim i ciężkie kotary miały udawać żagle, a boki mebla przypominały burty. Znalazły się nawet szklane bulaje i mosiężne armatki. No i szkielety. Obgryzione do gołych kości truposze z drewna i masy perłowej były dosłownie wszędzie. Na stanowiskach ogniowych, na masztach stanowiących podpory baldachimu, widoczne przez okna ładowni, nawet przy samej podłodze, wyraźnie przeciągane pod kilem. Wszyscy nieboszczycy mieli przerażające miny, wyszczerzone zęby i połyskliwe, wywrócone białkówkami gałki oczne. W nogach łożko wybrzuszało się i unosiło, tworząc pozorowany dziób okrętu zwieńczony upiornym galionem przedstawiającym wrzeszczącą ze strachu topielicę. Jej skóra miała barwę siniaka, z rozwartych ust jak koszmary ozór wypływał węgorz, w wytrzeszczonych oczach roilo się od robali, a włosy stanowiło kłębowisko węży.



© Fabryka Słów

Ale nie tylko łoże robiło niepokojące wrażenie. Obszerny pokój był dosłownie zastawiony modelami podejrzanych urządzeń, dziesiątkami manekinów i lalek. Oszołomiony Razjel rozpoznał zabawkę gilotynę, zabawkę żelazną dziewicę, zabawkę Madejowe łoże, zabawkę stos heretyka i całe mnóstwo innych ślicznych, edukacyjnych modeli, na których młody Głębianin mógł wyładowywać instynkty rodem z Otchłani. Lalki też mogłyby sprowadzić koszmary nawet na najbardziej wytrawnego kolekcjonera obrzydliwości. Wykrzywione w grymasach bólu, przerażenia i agonii, miały wywalone języki, oczy wychodzące z orbit i pęki wnętrzości na wierzchu. Archanioł dostrzegł wśród nich bardzo udatnie oddaną, odpowiednio rozczłonkowaną Czarną Dalię, którą można było potem elegancko poskładać z powrotem, kilka ofiar Kuby Rozpruwacza i nadzianych na zaostrome patyki władyków Włada Palownika.

Tuż obok łoża stał manekin pirata, także wyszczerzony w strasznym grymasie lęku i cierpienia. Wyglądał jak odwrotny jeź, bo z brzucha i piersi sterczały mu niezliczone ostrza wbitych w plecy szabli, rapierów i kordelasów.

Wszystko to razem stanowiło uroczą kolekcję godną absolutnego posrańca.

A nawet go trochę lubiłem, pomyślał Pan Tajemnic ze smutkiem. Ale demon zawsze pozostaje demonem. To dlatego jednak znacząco różnimy się od Głębian.

W całym tym makabrycznym bałaganie nie zdołał dostrzec Beliala. Zrobił krok do przodu i potknął się o w pełni funkcjonujący model izby tortur.

– Mam nadzieję, że nie testował tego pieprzonego cholerstwa na żadnym kotku czy szczeniaku – mruknął do siebie z obrzydzeniem i niechęcią.

Okazało się, że stary sługa odznaczał się jednak wcale niezłym słuchem.

– Nie, Najmroczniejszy. Nigdy – zaszemrał cicho. – Pan taki nie jest. Nigdy nie zrobiłby krzywdy żywemu stworzeniu. Te lalki dostawał w prezencie. Kiedy był mały, oczywiście. I też nie za bardzo się nimi bawił. On jest za dobry na Głębię. Mrok go powoli zabija. Właśnie dlatego teraz choruje.

– Choruje? A gdzie jest w tej chwili? – zapytał Razjel.

– No jak to? – zdziwił się lokaj. – A gdzie ma być? W łóżku.

Książę Magów spojrział na makabryczny okręt-łoże i wzdrygnął się na samą myśl, że ktoś mógłby w nim sypiać. Sam za nic by nawet nie przysiadł na tym ohydztwie. Zbliżył się jednak do wezgłowia i z pewnym obrzydzeniem odsunął kotarę. W dotyku wydawała się zimna i spleśniała.

Muszę koniecznie umyć ręce, pomyślał nerwowo.

Belial, który faktycznie leżał w łóżku, w skotłowanej, brudnawej pościeli wydawał się dziwnie mały, skurczony jak embrion. Jego skrzywiona, blada twarz przypominała pyszczek wystraszonej, nieszczęśliwej małpki. Brudne, przepocone włosy lepiły się do czoła, rozlewały po poduszce strumykami zakrzepłej, ciemnej czerwieni. Mroczny miał zaciśnięte powieki i ku niejakiemu przerażeniu Razjela nerwowo, kompulsywnie ssał kciuk.

– Rany! – jęknął Pan Tajemnic, któremu o mało nie wyrwało się demaskujące „na Jasność!”. – Co mu się stało?

– No, choruje – stęknął starzec. – Położyliśmy go tutaj, bo ten pokój go uspokaja.

Kogo to miejsce jest w stanie uspokoić? – zastanowił się archanioł zdjęty grozą. I w jaki sposób? Chyba na wieczność.

– Przynies wina – nakazał, przypomniawszy sobie o fiołce.

Zerknął przelotnie na łóżko i zobaczył, że po policzkach demona płyną ciche, jasne, nieprzerwane łzy. Zrobiło mu się żal Beliala. Mroczny czy nie, nie zasłużył na takie upodlenie.

– Przyniosę, panie – szepnął zgrzybiały lokaj ze smutkiem. – Ale to i tak na nic. Nie wypije ani kropli. W tym stanie nie bierze nic do ust.

Jednak posłusznie wypełnił polecenie i przyczłapał z rżniętą kryształową karafką na tacy. Razjel napenił kieliszek i ukradkiem dołał połowę zawartości fiołki. Przytknął naczynie do bezkrwistych ust Beliala, ignorując kciuk. Dawka, którą zaaplikował, wystarczyłaby, żeby doprowadzić do euforii smoka Chaosu. Gdyby Mroczny wypił choć odrobinę, na pewno już rano poczułby się o niebo lepiej.

– No masz, wypij troszeczkę – starał się mówić łagodnie i przekonująco. – To twoje ulubione winko. Na pewno dobrze ci zrobi.

Spróbował wsączyć parę kropel w usta pacjenta.

A wtedy w Beliala wstąpił diabeł.

Głębianin wyprężył się, wierzgnął wściekle nogami, zaryczał jak oszalały Lewiatan, zaczął machać bezładnie rękami i jednym celnym ruchem kopnął tacę, która poszybowała w powietrze, wystrzelając karafkę prosto w elegancką, małą szubienicę stojącą nieopodal łoża. Kryształ rozprysnął się tysiącem szklanych łez.

No i po moim lekarstwie, pomyślał z niesmakiem Razjel.

Tymczasem Mroczny miotał się po łóżku, wrzeszcząc głosem obdzieranej ze skóry chimery.

– Nie! Nie! Nie chcę! Nie chcę! Zabierzcie to! Trucizna! Trucizna! Otrują mnie! Mamo, ratunku! Nie będę pił! Wstrętne! Nie będę! Nie będę! NIE BĘDĘ! NIE BĘDĘ PIŁ!!!!

Obrócił się twarzą do poduszki, wybuchnął gromkim płaczem, wyjąc i piszcząc niczym rozwydrzony bachor, zaczął tłuc pięściami w materac i kopać jak spłoszony muł.

– Ostrzegałem, że nic z tego nie będzie – westchnął stary służący. – Atak może potrwać nawet kilka godzin. Potem zaśnie wycieńczony.

W spojrzeniu, którym obrzucił archanioła, były żal, odrobina wyrzutu i rezygnacja.

– Chyba lepiej już pójdę – wymamrotał skruszony Razjel.

Jeszcze nigdy jego kuracja nie okazała się tak chybiona.

– Żegnaj, Najmroczniejszy – szepnął lokaj. – Tak czy inaczej, to był zaszczyt spotkać cię osobiście przed śmiercią.

„Niech ci Jasność pomoże” – miał powiedzieć Pan Tajemnic, ale na szczęście w ostatniej chwili zdołał się powstrzymać.

– Do zobaczenia – wykrztusił tylko. – Nie fatyguj się. Sam trafię do drzwi.

Ale wierny służący już go nie słuchał. Pochylił się nad rozhisteryzowanym, zawodzącym Belialem i płaskim, zgrzytliwym, załamującym się głosem zaczął śpiewać kołysankę.

Na sznureczku dwa kólecza,

*Od księżycyca i słoneczka.
To żółciutki zaraz spadnie,
Za horyzont zajdzie ładnie.
Śpij, maluszk, śpij, kochanie,
Księżycowe ci zostanie...*



Wiedział, od razu przeczuwał, że to nagłe, pilne zawiadomienie przyniesione w środku nocy nie zwiastuje niczego dobrego. List od Rimmona, naczelnego lekarza Piekieł i osobistego doktora Lucyfera. Kogo mógł dotyczyć? To chyba jasne. Tego, kto ostatnio chorował, no nie?

Razjel nerwowym ruchem rozdarł kopertę, obrzucił szybkim spojrzeniem treść i boleśnie przekonał się, że jego najgorsze podejrzenia właśnie się sprawdziły. Rimmon pisał, że Mroczny wysokiej krwi imieniem Belial znajduje się właśnie w przybytku niejakej Madame Pandory w stanie zagrażającym życiu i zdrowiu zarówno własnemu, jak i osób postronnych. Dlatego prosi imperatora o zezwolenie na zatrzymanie pacjenta siłą i umieszczenie w odpowiednim zakładzie medycznym celem udzielenia niezbędnej pomocy.

– Jadę tam – oznajmił Pan Tajemnic zaspanemu lokajowi.

– Tak, panie – wymamrotał niechętnie sługa, który wyraźnie miał ochotę jak najszybciej wrócić do łóżka.

Dom schadzek Madame Pandory okazał się stojącą w zadbanym ogrodzie willą, która od razu przywodziła na myśl ogromne ciastko. O ile bywają ciastka w kolorze czarnym. Niezliczone balkoniki, gzysiki, tralki i wykusze wylewały się na zewnątrz budynku jak za mocno ściśnięty krem wiśniowy.

Razjel wszedł do środka, wpuszczony przez wykidajkę monstrialnej postury, równie brzydkiego i ponurego, co prawdziwy goryl. Na miejscu zastał kilka młodych i ładnych demonic w negliżu oraz wysoką, kościstą Mroczną, która w dziwnie nieprzyjemny sposób kojarzyła się z modliszką.

Pandora, domyślił się od razu, gdy dama zaczęła ku niemu sunąć, wlokąc za sobą czarny odwłok krynoliny, cała w zimnych, nieszczerych uśmiechach i ukłonach.

– Co tu się stało? – zapytał ostro.

Modliszka znów się wyszczerzyła, pokazując garnitur ostrych, białych zębów, którymi zapewne mogłaby odgryźć głowę niejednemu facetowi. Jej puste, owadzie oczy wydawały się całkowicie pozbawione wyrazu.

– Nic, zupełnie nic, Najmroczniejszy! To wielki, niespodziewany zaszczyt ujrzeć cię w moim domu, ale zapewniam, że nie było potrzeby, abyś, panie, fatygował się osobiście!

– O tym sam decyduję – przerwał twardo. – Gdzie Belial?

Madame Pandora splotła ręce, jakby zatraskiwała scyzoryk. Zmrużyła czujnie oczy, zacisnęła wąskie usta. Bardzo ciemne wargi wyglądały jak kawałek sznurka

przylepiony do twarzy. Wyraźnie było widać, że nie w smak jej obecność Lucyfera.

– O nic nie musisz się troskać, Najmroczniejszy Panie. Doktor Rimmon zajmuje się pacjentem w sypialni na górze. Nasz gość i dobroczyńca, szlachetny Belial, źle się poczuł, więc wezwaliśmy pomoc.

– A co konkretnie mu dolegało?

Czarna Modliszka spuściła wzrok.

– Przybył wieczorem w niezbyt dobrym nastroju – wysyczała niechętnie. – Był łaskaw wypić sporo naszych trunków. Potem udał się do pokoju w towarzystwie jednej z moich dziewcząt. Ale nie wyszedł zadowolony. Niestety, zaczął z nią dyskusję o sensie życia, której nie czuła się na siłach prowadzić. Kiedy sfrustrowany nieudaną konwersacją tłukł pięściami w lustro i pruć sztyletem poduszki, uciekła z wrzaskiem i narobiła paniki, co ostatecznie zdenerwowało pana Beliala. Wypadł z nożem na korytarz i oznajmił, że się zabije. Do tego, oczywiście, nie mogliśmy dopuścić. Pies, to znaczy ten wielki ochroniarz, tak go nazywamy, musiał użyć całej swojej siły przekonywania, żeby uspokoić naszego drogiego dobroczyńcę. I pomyśleć, że wszystko przez wygłupy jednej niemądrej dziewczuchy. Gdyby wiedziała, co robić, nie doszłoby do tego wszystkiego. To taka młodziutka ifrytka, zupełny głuptasek. Nie powinnam była jej powierzać tak cennego gościa jak szlachetny pan Belial. No cóż, moja wina. Najadła się strachu, histeryczka. Ale zapewniam, otrzymała należną nauczkię.

Razjelowi ciarki przeszły po plecach na samą myśl, co się stało z nieszczęsną dziewczyną. Puste, czarne oczy Madame Pandory przypominały przestrzeliny po kulach.

– Prowadź do Beliala – rozkazał stanowczo.

Jeśli tylko zdoła podejść do pacjenta i dyskretnie podać mu esencję szczęśliwości, afera ma jeszcze szansę dobrze się skończyć.

Modliszka znów złożyła się wpół w głębokim ukłonie, ale w tej samej chwili ozwał się trzask otwieranych drzwi i podniesiony męski głos, wyraźnie zabarwiony irytacją.

– Ostrożnie, powiadam! Nieście go ostrożnie! To Mroczny wysokiej krwi, a nie jakiś przypadkowy świr.

Za późno, zrozumiał Razjel, gdy tylko skierował wzrok na schody.

Dwóch krzepkich pielęgniarzy zносиło właśnie nosze, na których leżał Belial, związany jak baleron i przypięty szerokimi skórzanymi pasami. W jego ustach tkwił fikuśny różowy knebel, wyraźnie część wyposażenia służącego zabawianiu gości i dobroczyńców Madame Pandory. Głębianin toczył wkoło dzikim wzrokiem i wiercił się niemożliwie, próbując zerwać więzy, ale trzymały mocno.

Za tym niewielkim, ponurym orszakiem postępował Rimmon, naczelny lekarz Otchłani, który wycierał spocone czoło kraciatą chustką wielkości obrusa.

– Uff, nie było łatwo, Najmroczniejszy! – rzucił na widok Razjela. – Tym razem szlachetny pan Belial miał wyjątkowo ostry atak.

– To mu się często zdarza? – wyrwało się niefortunnie archaniołowi.

Lekarz spojrział na niego ze zdumieniem.

– Jak zwykle, panie. Raz na rok, raz na pół roku, od wielu, wielu lat. Pan Belial choruje od wczesnej młodości. Czyżbyś raczył zapomnieć, Najmroczniejszy?

– Nie, oczywiście, że nie. To z niewyspania i podenerwowania. Tak naprawdę chciałem zapytać, jak długo tym razem będzie w takim stanie.

Doktor westchnął i wzruszył ramionami.

– Kto wie, imperatorze. Dwa miesiące? Trzy? Zrobię, co w mojej mocy, ale sam wiesz, jak poważna jest przypadłość Beliala.

– No tak, tak – przyznał Razjel, który poczuł nagle, że podłoga przybytku Czarnej Modliszki zamienia się w grząskie, straszne, cuchnące bagno gotowe wciągnąć go razem ze skrzydłami.

Sam, zastukało przyspieszonym tętnem jego wystraszone serce. Zostałeś tu sam, zdany jedynie na siebie, panie Wielki Czarowniku. I co teraz?

Nie miał pojęcia.

Rimmon przyjrzał mu się z uwagą.

– Jesteś blady, panie. Dobrze się czujesz? Może przyjdę niedługo, żeby cię obejrzyć, jeśli zezwolisz?

Och, nie! Tego by tylko brakowało! – pomyślał spłoszony Książę Magów. Gdybyś mnie zaczął oglądać, bracie, mógłbyś odkryć takie rzeczy, o których nawet ci się nie śniło.

– Nie, nie – oznajmił stanowczo. – Nie ma takiej potrzeby. To tylko lekkie zmęczenie. Przejdzie, gdy tylko moi poddani pozwolą mi się wreszcie wyspać.

Zmusił się do uśmiechu, modląc się, żeby nie wypadł nienaturalnie.

– Oczywiście, Najmroczniejszy. – Medyk uklonił się z szacunkiem. – Błagam jednak, żebyś przyjął buteleczkę specyfiku, który przyrządzę specjalnie dla ciebie. Na wzmocnienie i dobry sen.

– Jasne – mruknął Razjel. – Czemu by nie?

– Przyślę jutro koło południa. – Lekarz znowu się skłonił.

A ja natychmiast wyleję do kibla, postanowił Pan Tajemnic. Twoje głębiańskie lekarstwa mogłyby mnie przyprawić o rozstrój żołądka.

– Dobrze, dobrze. – Machnął ręką z lekkim zniecierpliwieniem. – A teraz wracam do łóżka. Chciałbym uratować choć trochę nocy. Dobranoc.

– Śpij spokojnie, mój panie.

Archanioł wyszedł, nie pożegnawszy się z Pandorą. Na dworze czekali na niego lokaj, kilku pacholków z latarniami i powóz zaprzężony w małego, czerwonego smoka. Wsiadając, patrzył z niepokojem i żalem, jak pielęgniarze ładują nosze z Belialem do czarnego jak trumna, zakratowanego wozu.



No i stało się, pomyślał Razjel w popłochu. Lucyfer szwenda się po Strefach Poza Czasem, gdzieś na granicy jawy i snu. Asmodeusz go ściga, ale Jasność sama wie, co z tego wyniknie. W przykry sposób ta pogoń przypomina bajkę o Achillesie i żółwiu. A może nawet o gonieniu króliczka? Chyba żaden z nich nie kwapi się specjalnie z powrotem do Otchłani. Strefy Poza Czasem to dzikie, niebezpieczne i nieprzewidywalne miejsce. Wszystko może się zdarzyć. Niewykluczone, że obaj tam zginą, a ja już do końca życia będę skazany na odgrywanie roli imperatora Głębi, jak

brzuchomówca pożarty przez własną kukłę.

Belial wylądował w wariatkowie i nic nie wskazuje, żeby prędko stamtąd wyszedł.

Zostałem sam. Zupełnie sam w Otchłani, z gadającym kotem, który nawet nie żyje.

Jak jakiś cholerny, przeklęty Markiz de Carabas. Tyle że mój kot nie ma butów.

Łapek też zresztą nie ma. Ani uszu, wąsów i w ogóle głowy.

Bo jest martwy. To duch. Kłębek szarej ektoplazmy.

Wylądowałem na tronie, w Głębi, nawiedzany przez widmo domowego zwierzątka.

Na Jasność, jak ja się z tego wyplączę?

Nie wiedział. Ale w głębi duszy obawiał się, że wcale.

Podszedł do okna i spojrzał w purpurowe, ogniste, buzujące chmurami niebo Otchłani. Wykrzywiło się do niego szyderczo srebrzystym jak sztylet uśmiechem księżycy.

Nigdy już nie zobaczysz Królestwa, aniołku, zdawało się śmiać drwiąco. To masz jak w banku. Obiecuję. Naprawdę obiecuję.

Nerwowym ruchem zaciągnął grube, pluszowe zasłony, żeby nie patrzeć na krajobraz, który w niczym nie przypominał Hajot Hakados.

Bo bardzo się obawiał, że obcy, nieprzyjazny nieboskłon Głębi ma rację w kwestii jego upragnionego powrotu do Królestwa.



Rozdział IV



Pojawili się nagle. Niektórzy spłynęli błękitnymi, żółtymi, białymi i czerwonymi strugami blasku prosto z szarego, gniewnego chmurami nieba. Inni wytrysnęli jak źródła ze skał i kamieni. Świecący, mgliści, rozmyci, cali w odpryskach elektrycznych wyładowań. Migotali jak włókna słabej żarówki. Byli, a przecież nie istnieli.

Kiedy Daimon ich ujrzał, był przekonany, że majaczy. Bo skąd wzięły się te niezwykle postaci? Ci spokojni, dumni wojownicy o twarzach czerwonych jak świeżo wypalona terakota? Ci smagli mężczyźni w czerwonych koszulach i czarnych spodniach, przepasani szarfami, dzierżący w dłoniach noże, pałki ozdobione mistycznymi symbolami albo pęki suszonych ziół? Wysocy, krzepcy, kościści starcy o skórze ciemnej jak sierść Boskiej Bestii i głowach okolonych aureolami białych włosów? Te młode i stare, smukłe i tęgie kobiety o cerze jak kawa z mlekiem, z wysokimi zawojami na głowach, odziane w zielone, żółte, niebieskie, dostojne, długie suknie, spod których wyzierały bosc stopy?

Czy mogli być czymś innym niż wytworem wyobraźni?

A przecież otaczali Abaddona i jego konia milczącym kręgiem, przezroczyści, nierzeczywiści, płonący jak świece, spowici w chmury opalizujących kolorów, opleceni jarzącymi się smugami złota, szmaragdu, purpury i granatu.

Wtem jeden z nich, drobny, niewysoki Indianin emanujący mocą i łagodnym spokojem, uniósł rękę i zaczął kreślić w powietrzu wzory. Za jego dłonią popłynęła złocista linia, która natychmiast wystrzeliła w górę i wybuchła, rozkwitając tysiącem

barwnych obrazów. Oszołomiony i zdumiony Daimon widział świetliste, jasne, długopióre ptaki, egzotyczne kwiaty o niezwykłej urodzie, pęki lian zwijających się i skręcających w niemożliwe fraktale, liście, trawy, pnie i konary splatające się w niezwykłą mozaikę nocnej dżungli. Między drzewami przemykał cętkowany, płowy cień jaguara. Po gałęziach skakały małpy. Z szerokolistnych, zielonych koron palm wyfruwały stada papug i jaskrawo ubarwionych motyli.

A cały ten zdumiewający, na pozór chaotyczny spektakl rozkładał się coraz szerzej jak parasol upstrzony niezliczonymi wzorami, przeplatającymi się i wnikającymi w siebie nawzajem.

Nagle Daimon, zapatrzony w kalejdoskop jarzących się znaków, zrozumiał, że od dłuższego czasu słyszy w głowie chór głosów. Wszystkie mówiły naraz, w kilku różnych dialektach. Niektóre szeptały, inne mówiły dobitnie, choć żaden nie wzniósł się do krzyku. Nie rozumiał ich, ale nie musiał. Dźwięki splatały się z obrazami, tworząc wspólny przekaz, który stawał się coraz mocniejszy i bardziej czytelny.

To język, zdał sobie sprawę Frey. Te świetliste wizerunki i słowa tworzą coś w rodzaju telepatycznego języka.

Natychmiast, gdy tylko to pojął, zaczął odczytywać znaczenie mentalnego przekazu.

– Abaddonie Niszczycielu! – mówiły ptaki trzepotem skrzydeł, porykiwał złocisty jaguar, migały chmary motyli, skrzeczały papugi, szumiał tropikalny las. – Powierz nam swojego rumaka. Wyleczymy go. Wyleczymy twojego wierzchowca, Abaddonie. Wrócisz po niego. Wrócisz...

– *Piołun?* – zapytał słabo.

– *Tak* – usłyszał odległe, drżące echo głosu rumaka parasim.

– Tak – wyszeptał więc do ptaków, kwiatów i lian, a gdy to uczynił, poczuł niewysłowioną ulgę, głęboką jak niebo. – Tak! – powtórzył z radością i wdzięcznością.

Bo oni byli władni to zrobić. Uleczyć Piołuna. Odczuwał to całym swoim jestestwem, całą duszą. Byli dobrzy, byli potężni, byli tu, żeby mu pomóc.

Objawili się, ponieważ Jasność czuwa i nie zostawi w potrzebie swojej wiernej, dzielnej, szalonej Boskiej Bestii.

– Dzięki wam, kimkolwiek jesteście – szepnął. – Dzięki, Światłości, za łaskę, na którą nie zasłużyłem.

– On tak – powiedziała noc, powiedział jaguar, zaszemrały palmy. – On tak.

I wtedy obrazy zgasły. Rozsypały się w fajerwerk iskier. Pozostały po nich jedynie świetliste linie, które zaczęły wirować, oplatając rumaka parasim i wszystkie widmowe, płonące barwami postaci. Wkrótce i one także zaczęły znikać. Rozmywały się po prostu w powietrzu, wystrzelały w górę jak flary lub znikwały w skalnym podłożu niczym wsiąkająca woda. Po chwili nie został po nich żaden ślad.

Nie było także Piołuna.

Zabrali go, pojął Frey. Zabrali tam, skąd przybyli. Do innego wymiaru. Wróci, kiedy ozdrowieje. Wyleczony. Wyleczony, na litość Pańską! Żywy! Chwała Jasności!

Chciał płakać i śmiać się ze szczęścia, ale nie miał na to siły. Więc tylko dyszał ciężko, przyciskając dłonie do klatki piersiowej.

Nieopodal widział obu magów, wyraźnie poruszonych. Nesanel podtrzymywał słaniającego się, bladego Orfaniela, lecz mimo wyraźnej słabości młodego czarownika obaj żywo dyskutowali.

Weterani wstali z ziemi zdumieni i porażeni, pokazywali sobie palcami miejsce, gdzie przed momentem leżało ogromne ciało Boskiej Bestii.

– To byli dawni szamani – wyszeptała Sereda.

Przyklękła przy Abaddonie. Wydawała się niezwykle wzruszona, wręcz wstrząśnięta. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że po policzkach płyną jej łzy.

– Na Jasność, Daimonie! Oni nie interweniują na naszym planie astralnym. Nigdy... nigdy dotąd nie miałam zaszczytu ujrzeć żadnego z nich! A teraz przybyli tak licznie! Musieli być ogromnie poruszeni waszym męstwem i potęgą przyjaźni. Powiedzieli mi to! Przekazali tak dużo rzeczy. Sama nie wiem, jak to ogarnąć. Są niesłychanie potężni! Twój wierzchowiec wkrótce będzie zupełnie zdrow. Zobaczysz. To cud, Daimonie! Prawdziwy cud. Wciąż jednak nie rozumiem, czemu zdecydowali się pomóc. Już mówiłam, że wzniesli się ponad sprawy doczesne...

– Życie Boskiej Bestii to nie jest sprawa doczesna – wychrypiął Frey.

Spojrzała na niego nieprzytomnie.

– No tak. Najważniejsze, że życiu Piołuna nie grozi już niebezpieczeństwo. W lepsze ręce mógłby trafić, tylko gdyby Światłość przygarnęła go osobiście.

– Tak – zgodził się Anioł Zagłady po raz kolejny tego zdumiewającego dnia.

Znów zalała go gorąca, rzewna fala ulgi i wdzięczności. Poddał się jej z radością, mimo że na dnie niosła skrajne wycieńczenie. Nie walczył z nim. Nie czuł potrzeby. Zresztą i tak nie miał już sił. Zwyciężył. Uratował przyjaciela. Nic innego się nie liczyło. Teraz wreszcie mógł pozwolić sobie na słabość.

– Tak – powtórzył niemal niesłyszalnie.

I zemdlął.



– I co z nim? – spytał zaniepokojony Orfaniel.

Nesanel, który właśnie badał Daimona, pokręcił ze smutkiem głową.

– Kiepsko. Ma połamane żebra, które na pewno uszkodziły, a może i przebiły płuca. Liczne urazy i obrażenia, naruszony kręgosłup i zapewne pękniętą kość lewego ramienia. Podejrzewam krwotok wewnętrzny. To zdumiewające, że był w stanie w ogóle się ruszać.

– Jest Aniołem Zagłady – przypomniał młody mag. – Pan powołał go do takich zadań.

– Obawiam się, że wkrótce powoła go do siebie. Źle to wygląda, przyjacielu. Niestety, nic nie potrafię zrobić, żeby mu pomóc albo chociaż przynieść ulgę. Życie ledwo się w nim tli. Kiedy żołnierze go wyciągnęli, był konający. Zaryzykowałem i podałem mu Łzy Eurydyki w dawce, która przywołałaby zza grobu samego patriarchę Abrahama, ale teraz widzę, że poprawa była, niestety, chwilowa.

Uzdrowiciel, który klęczał przy Daimonie, położył mu dłoń na czole i znów

w zasepieniu pokręcił głową.

– Jest coraz cieplejszy. Zaczyna gorączkować. Nie mam pojęcia, co robić.

– Naprawdę zaaplikowałeś mu czarnomagiczny zajzajer prosto z torby nekromanty? – Orfaniel uśmiechnął się blado.

Starszy mag wzruszył ramionami.

– Nie widziałem innego wyjścia.

– To było bardzo sprytne. I cholernie niebezpieczne.

– I tak nie pomogło. Spójrzmy prawdzie w oczy, chłopcze. On odchodzi.

Orfaniel zadumał się głęboko, a potem westchnął.

– Może będę w stanie temu zaradzić. Może. Naprawdę niczego nie jestem pewien.

Chyba już czas podać choremu specyfik, który dostałem od Najświatlistszego Gabriela. Miałem go użyć w razie krytycznego zagrożenia życia Abaddona. Czy tak właśnie oceniasz jego stan?

– Z pewnością. Moim zdaniem nie dożyje do rana – oświadczył starszy czarodziej.

Nawet jeśli poczuł pewną przelotną przykrość, że regent Królestwa podarował tak cenny lek magowi bojowemu, a nie jemu, wykształconemu przecież w sprawach medycznych, to w obliczu dramatycznych okoliczności postanowił o tym zapomnieć.

– Gabriel dał go mnie, ponieważ przypuszczał, że Tańczący na Zgliszczach może odnieść poważne rany w bitwie, w której ja także mam obowiązek uczestniczyć – wyjaśnił Orfaniel, bo mimo wysiłków Nesanela dostrzegł chyba na twarzy starszego maga cień zawodu i urazy. – Zaraz, gdzie ja go wsadziłem? Noszę buteleczkę zawsze przy sobie na wszelki wypadek.

Zaczął nerwowo sprawdzać kieszenie.

– O, jest! Proszę.

Triumfalnie pokazał drugiemu czarnoksiężnikowi małą flaszkę pełną błękitnej, bladej mgły.

– To nie wygląda jak coś, co wykonał Książę Magów albo inny czarownik z Królestwa. – Nesanel nabrał nagle wątpliwości na widok rzekomego leku.

– Bo nie jest – oznajmił spokojnie młodszy czarodziej. – Gabriel uwarzył medykament osobiście. Jest wszakże Panem Snów, prawda?

Uśmiechnął się znacząco.

– A to jest sen. Długi, głęboki i nieprzerwany.

– Zamierzasz uspić Abaddona? – zdumiał się uzdrowiciel. – Po co, na Jasność?

– Żeby nie czuł bólu, a jego ciało mogło spokojnie regenerować się i zdrowieć.

– Ach, tak! – zrozumiał wreszcie Nesanel. – Chcesz go wprowadzić w stan podobny do śpiączki farmakologicznej. Jak się dobrze zastanowić, to niegłupie, przyjacielu. Anioł Zagłady ma niesłychanie silny i odporny organizm. W dodatku specyficzny, bo został niegdyś wskrzeszony przez Jasność. Kto wie, może dzięki kontrolowanej śpiączce będzie miał szansę wrócić do zdrowia.

Orfaniel przyglądał się niebieskawej mgle wewnątrz fiołki.

– Lek ma formę oparu – ostrzegł. – Mamy tylko jedną dawkę. Jaka jest twoja opinia medyczna? Podawać?

Starszy mag zastanawiał się tylko chwilę.

– Nie mam wątpliwości, że tak. Inaczej go stracimy, Orfaniu.

Czarnoksiężnik bojowy przytaknął.

– Zgadzam się. No to trzymaj kciuki, przyjacielu. Zaraz wprawię Freya w letarg niczym Śpiącą Królową. Ale pamiętaj. Prędszej mi skrzydła wyłysieją, niż obudzę go pocałunkiem.

Nesanel zdobył się na mdły, smutny uśmiezek.

– Coś mi się zdaje, że ktoś inny lepiej by się do tego przyłożył. A właśnie, nie sądzisz, że trzeba zapytać o zdanie Seredę? W końcu to przywódczyni wyprawy. Musi zdecydować, czy ktoś zostanie tu z nieprzytomnym Abaddonem, czy będziemy go ciągnąć ze sobą.

– Dobra – zgodził się niechętnie młodszy czarnoksiężnik, wyraźnie gotów podjąć decyzję samodzielnie.

Świetlista krzątała się wokół tragarzy, ale bardziej im przeszkadzała, niż pomagała. Była upiornie blada i zdenerwowana. Kiedy Orfaniel spojrział jej w twarz, dostrzegł, że jest wręcz przerażona i przybita. Niezwłocznie zatem wyjaśnił, jak wyglądają szanse Anioła Zagłady.

– Zaryzykujemy – oświadczyła od razu. – Zabierzemy go ze sobą bez względu na trudy transportu nieprzytomnego. Nie pozwolę rozbić ekspedycji. To by ją niechybnie zniszczyło. Jak długo potrwa ta śpiączka?

Magowie popatrzyli po sobie bezradnie.

– Nie wiem – przyznał w końcu Orfaniel. – Mam nadzieję, że odpowiednio długo, żeby Tańczący na Zgliszczach zdołał dojść do siebie. Materia snów jest nieprzewidywalna i kapryśna.

– Zatem postanowione – ucięła Sereda. – Podajcie lekarstwo.

Mag bojowy pochylił się nad Freyem.

– Proście Jasność, żeby się udało – szepnął nerwowo.

Przywódczyni ekspedycji z pewnością błagała z całej duszy.

Orfaniel zbliżył buteleczkę do nosa i ust Abaddona. Ostrożnie odkręcił korek. Niteczki bladego oparu poszybowały w powietrze.

Żeby tylko wciągnął choć odrobinę, modlił się bezgłośnie czarownik. Żeby się udało!

Wtem Daimon westchnął głęboko, poruszył ustami, powieki mu zadrgały. I tyle.

– Wszystko w porządku? Tak miało być? Zasnął? – zapytała niecierpliwie Świetlista.

– Nie mam najmniejszego pojęcia – westchnął zatroskany uzdrowiciel. – Przekonamy się wkrótce.

Sereda spojrzała na nieruchomego, nieprzytomnego Daimona i przygryzła wargę, jakby walczyła ze łzami.

– Pójdę przygotować prowizoryczne nosze. A wy także szykujcie się do drogi. Chcę jak najszybciej opuścić to przeklęte miejsce!

Odeszła szybkim krokiem.

– No, ja też już chyba pójdę, pobieram swoje rzeczy. Na nic się teraz nie przydam – powiedział Nesanel i nieśmiało położył rękę na ramieniu młodszego kolegi. – Byłeś

bardzo dzielny, chłopcze. Pomogłeś dziś uratować wiele istnień.

– Ty też sobie nieźle radziłeś.

– Ja...? Ech, mnie brakuje odwagi. – Stary uzdrowiciel tylko machnął ręką.

Mag bojowy chciał coś powiedzieć, ale Nesanel mu przerwał:

– No już, daj spokój. Znam swoje ograniczenia.

– Ta wyprawa uświadamia je boleśnie każdemu z nas – szepnął Orfaniel za odchodzącym.

Został sam z pogrążonym w letargu Abaddonem. Ukucnął obok i przypatrzył się jego ściągniętej, wycieńczonej twarzy.

– Śpij dobrze, Aniele Zagłady – powiedział. – Śpij spokojnie. I wracaj do nas jak najszybciej. Bez twojej odwagi i lojalności i tak jesteśmy zgubieni.



Spał. Unosił się w objęciach majaczeń, będąc i nie będąc równocześnie.

Spał. Roily mu się czerwone od krwi koszmary i złociste, błękitne wizje pełne ukojenia.

Kołysał się na chmurach nieświadomości w słodkiej, bezcielesnej, spokojnej pustce nicości.

Było mu i dobrze, i źle, i nijak.

Spał długo, bo wcale nie chciał się obudzić.

Ale każda noc, nawet najdłuższa, dobiega wreszcie końca. Świt wstaje nad senną krainą marzeń i rzeczywistość wdziera się w nią brutalną, ostrą smugą światła.

Słońce wschodzi, Abaddonie! Słońce wschodzi! Nie wolno ci zaspać! Czas, żebyś wstał.

Ocknął się, przebudził i znów stanął do walki.

Bo takie jest przecież twoje powołanie, prawda?



Dźwięk był niczym deszcz. Jak ciężkie, silne krople bijące w dach. Uderzenia ulewy. Słyszysz burzę bębniącą twardymi, szorstkimi palcami po kopule ze szkła.

Burza w domu? W Hajot Hakados? W Szóstym Niebie? To niemożliwe. Tu nie ma nawałnic.

A przecież odgłos deszczu nie ustaje. Staje się wręcz natarczywy, gromki, jakby krople wody zamieniły się w grad. Tłuką niczym bojowe werble. Szybko, ostro, groźnie.

Bo to nie dom, rozumiesz nagle, zawiedziony i oszołomiony. Wcale nie dom, a ty z trudem, ciężko, powolnie wyrywasz się z głębokiego, nieskończonego snu, jakbyś wyłaził z morza słodkiej, odurzającej melasy.

Kręci ci się w głowie, a w dodatku cały czas czujesz, że kołysz się także podłoże, na którym spoczywasz. Wokół panuje ciemność. Nieprzenikniona i czarna jak pierwotna nicość.

Chciałbyś się zorientować, co się dzieje, ale przecież ciągle jeszcze śpisz.

Może to koszmar? – zastanawiasz się. Ale dlaczego jest tak ciemno, do cholery?

Mijają długie minuty, zanim twój otumaniony śpiączką umysł zaczyna rozumieć, że wcale nie otworzyłeś oczu.

To dobrze, wspaniale, szepce kuszący głos w głowie. Skoro masz zamknięte powieki, możesz dalej spać, spać, spać, pograżać się w błogim, bo nieprzytomnym letargu.

Wspaniały pomysł, myślisz. Doskonały. Całe twoje ciało, wszystkie myśli chcą spać. Nie budzić się ani teraz, ani nigdy więcej. Ciężą w dół, w dół, w dół, w stronę niebywale wabiącego nieistnienia. Widzisz i wiesz, jak bardzo to dobre. Zbawienne nawet. Pozwalasz więc opaść sobie w sen, owinać się nim jak miękką, ciepłą kołdrą, przestać się nad czymkolwiek zastanawiać, pogрузić się znów w odmętach onirycznej melasy.

Znowu zapadasz głęboko w bezpieczne majaki.

No dobra, tylko ta burza. Ta pieprzona, tajemnicza nawałnica, tak bardzo nie na miejscu. Denerwuje cię. Niepokoi. Irytuje. Nie daje zasnąć. Wrywa cię z błogiej nieświadomości, krzyczy, wręcz żąda, żebyś się nią zajął. Musisz, no po prostu musisz otworzyć oczy i przekonać się, czemu tak wściekle leje i gdzie właściwie jesteś.

Otwieranie oczu przypomina odwalanie kamieni z grobu Łazarza.

Idzie ciężko, och, jak ciężko. Światło kaleczy ci źrenice, więc znów zaciskasz powieki.

– Sooo... too... było? – mamrocześ niezbornie. – Zie... jestem?

– Abaddonie, nie ruszaj się! Nie wstawaj, na litość Jasności! – mówi znajomy, pełen napięcia głos. – Jest za wcześnie! Stanowczo za wcześnie! Powinieneś jeszcze spać!

Ale ty wiesz, że na to już za późno. Morze melasy cofnęło się, wypływając cię na brzeg, który jest mokry, zimny i boleśnie twardy. Nabrzmiały niepokojem. Nie chcesz tu być, ale, zdaje się, nie masz wyjścia.

– To... burza... – próbujesz wytłumaczyć. – Budziburza...

– Musisz zasnąć! – nakazuje natarczywie głos. – Spróbuj, proszę! Musisz spać, żeby wyzdrowieć.

Lecz sen już odszedł od ciebie, pozostawiając cię oszołomionego, półprzytomnego, obolałego i niespokojnego. Nie rozumiesz nic z tego, co opowiada głos. Zdrowieć? Po co? Co to w ogóle znaczy? Ulewa, to ona stanowi źródło problemów!

Zaciskasz odruchowo palce, które są twarde i zimne jak sople, w potężnym wysiłku wysłowienia się, ale zdajesz sobie nagle sprawę, że głos cię nie słucha. Umyka gdzieś daleko, daleko, pozostawiając cię pod nieistniejącą szklaną kopułą, w którą wciąż wściekle bębni deszcz.



– On się budzi! – krzyknęła przerażona Sereda. – Frey się wybudza!

Orfaniel nawet jej nie usłyszał. Odwrócił się tylko Nesanel. Włosy miał wzburzone jak fale siwego oceanu, twarz wykrzywioną przestraczem.

– Trudno! Teraz nic nie możemy poradzić! – zawołał i obrócił się znów w kierunku brzegu.

Obaj magowie stali plecami do siebie, rozpinając potężny czar ochronny ponad wszystkimi ośmioma łodziami sunącej szeroką rzeką ekspedycji. To on utworzył szklistą, poznaczoną strugami srebra i błękitu kopułę, która przyśniła się Daimonowi. Ale to nie krople deszczu o nią biły, tylko długie, smukłe strzały o kościanych i krzemienych grotach. Ulewa ostrych kamieni i kości, która miała przynieść intruzom ostateczny kres.

Dżungla wypluwała z siebie roje strzał, jakby chciała zażądlić obcych na śmierć. Raziły ich z obu brzegów rzeki, szerokiej, szarej i leniwej niczym najedzona anakonda.

Wynoście się! Umierajcie! Nie ma tu dla was miejsca! – zdawały się grozić, uderzając w niewidzialną pokrywę czaru.

Magiczna ochrona wydawała się skulonym trwożnie na łodziach członkom ekspedycji zwodniczo wątła i słaba. Działała jednak. Wszystkie zabójcze pociski odbijały się od niej i wpadały do wody jak martwe jętki.

Ale Orfaniel, który utrzymywał główny ciężar zaklęcia, zaczął powoli tracić siły. Twarz mu pobladła, pocił się obficie, a dłonie, niezmordowanie układane we wciąż nowe, skomplikowane znaki, jęły łapać drobne skurcze i lekkie odrętwienie.

– Szybciej! – wyszeptał z trudem do Nesanela. – Niech płyną szybciej, na Jasność!

– Przyśpieszyć! Natychmiast przyśpieszyć! Dać z siebie wszystko, bo przepadniemy! – wykrzyknął starszy mag głosem, w którym brzmiało przerażenie.

Tragarze zgromadzeni przy wiosłach wyteżyli ramiona.

Niestety, w tym samym momencie Orfaniel stracił rytm i pomylił układ palców. W połyskliwej, przelewającej się kopule ochronnej natychmiast powstała dziura. Wyglądała jak otwór wypalony w plastiku. Czarownik zgrzytnął zębami i natychmiast pokrył szczelinę szczelną cerą błękitnych i srebrnych strumieni. Za późno jednak. O ułamek sekundy, o mgnienie za późno. Przez nieszczelność w magicznej zasłonie przedarło się kilka strzał. Uderzyły z bzyczącym brzęczeniem niczym śmiertelnie niebezpieczne szerszenie. Prawie wszystkie wbiły się głęboko w burty i pokłady łodzi. Prawie. Dla dwóch członków wyprawy jednak to „niemał”, „nie do końca”, „niedokładnie” mogło oznaczać cenę życia.

Jeden rośły kobold z głuchym jękiem schwycił się za pierś, w której tkwiła pierzasta zapowiedź końca, a kolejny wiosłarz ze zdumieniem wpatrywał się w drzewce tkwiące głęboko w udzie.

– Jeśli są zatrute, możemy ich stracić – ostrzegł wystraszony Nesanel.

– Wiem! Stracimy dużo więcej, jeśli nie przyłożą się do wiosła!

Orfaniel dyszał ciężko. Pot gryzł go w oczy, lecz miał zbyt zajęte ręce, żeby go ocierać.

Przecież ten pieprzony szpaler łuczników musi się kiedyś skończyć! Dlaczego się nie kończy, do diabła?! – zastanawiał się rozpaczliwie.

Na szczęście na widok rannych towarzyszy wiosłarze podwoili wysiłki. Taka motywacja zawsze skutkuje. Łodzie przyśpieszyły znacząco. Ulewa strzał zaczęła z wolna słabnąć. Wkrótce w kopułę czaru uderzały już tylko pojedyncze pociski.

Byle kawałek dalej, do najbliższego zakrętu, zaklinał gorączkowo Orfaniel.

Osłabł już bardzo i wiedział, że wkrótce nie da rady utrzymywać tak ogromnego zaklęcia. Stary czarodziej wprawdzie pomagał, ale był botanikiem, zoologiem

i uzdrowicielem, więc tylko Orfaniel, jako mag bojowy, potrafił rozpiąć i kontrolować kopułę.

Kiedy wreszcie dopłynęli bezpiecznie do zakola rzeki, a żadne strzały nie sypały im się na głowę, młody mag opuścił ręce i opadł ciężko na pokład. Dyszał przy tym jak parostatek. Czar ochronny spłynął z powrotem do wody deszczem prawdziwych kropeł.

– O rany! – jęknął wyczerpany Nesanel. – A to ci dopiero przygoda! Mam nadzieję, że nic podobnego już nas nie spotka.

Młodszy kolega nawet nie miał siły mu odpowiedzieć.

Stary czarownik zamachał do Serecy, stojącej na rufie pobliskiej łodzi.

– Dobijmy do brzegu! Muszę się zająć rannymi!

Potrząsnęła przecząco głową.

– Nie. Tu nie jest bezpiecznie!

– W takim razie niech podpłyną do mnie. Przejdę na ich łódź i udzielę pomocy – zdecydował.

Orfaniel, patrząc, jak wiekowy mag z trudem przełazi przez burtę, pomyślał tylko:

Nie jesteś taki znów tchórzliwy, dziadku. Na pewno nie wtedy, kiedy chodzi o rannych i chorych.

Tymczasem Nesanel już pochylał się nad postrzelonym w pierś koboldem.



– Co się stało? Kto do nas strzelał? – wymamrotał Daimon, powoli wymotując się z kokonu śpiączki.

Spróbował poruszyć się i usiąść, ale wtedy poczuł nerwowy, ćmi trzepot w klatce piersiowej, jakby nocny motyl zrywał się do lotu. Musiał opaść z powrotem na mokry brezent i szorstkie deski pokładu.

– Znaleźliśmy się na wrogim terenie – wyjaśniła pobladła Sereca. – Jesteśmy na skraju Omeyocanu. To niebezpieczna kraina zamieszkała przez wyjątkowo nieprzyjaznych wojowników. Powinniśmy ją jak najszybciej opuścić. Podróżujemy rzeką, bo to zmniejsza ryzyko napaści, no i przyspiesza podróż.

Frey oblizwał spierzchnięte wargi.

– Długo byłem nieprzytomny?

– Za krótko – powiedziała z troską. – Ledwie tydzień. Magowie mieli nadzieję, że przynajmniej dwa.

– I tak za długo – wyszeptał Abaddon.

– Spałeś – wyjaśniła. – Wprowadzili cię w śpiączkę czarem Gabriela, żebyś spokojnie się goił.

Daimon przywołał na usta uśmieszek blady jak śmiertelna chusta.

– Zmyślny drań z tego Dżibrila. Ta szklana kopuła, co to właściwie było? Widziałem ją na jawie.

– Potężny czar ochronny rodem z magii bojowej. Orfaniel nałożył go na wszystkie łodzie i uratował nam życie.

Anioł Zagłady zamyślił się głęboko. Umysł miał jeszcze niepewny, otępiały od

śpiączki. Wnioski dryfowały w nim jak kłody po spokojnej rzece.

– Dlaczego nie użył go, kiedy walczyliśmy z Rakszasami? – zdziwił się. – Wtedy byłby cholernie użyteczny.

Sereda potrzęsnęła głową.

– Nie mógł, Daimonie. Ten czar musi być zbudowany z materii. Piasku, liści, popiołu. Tylko w ten sposób można stworzyć ochronną kopułę. Jednak stworzona z ziemi lub innej sypkiej substancji pozostanie nieprzezroczysta. Używa się jej więc w ostateczności, w nadziei, że pozwoli napadniętym przetrwać, zanim nadejdzie pomoc. Myśmy nie mogli liczyć na żadne posiłki, więc zakłęcie było wtedy do niczego. Inaczej rzecz ma się z wodą, która jest z natury przejrzysta. Ściana wody tylko trochę ogranicza widoczność, a doskonale chroni przed strzałami. Orfaniel mi to wyjaśnił, kiedy opracowywaliśmy strategię obronne dla wyprawy. Między innymi dlatego zdecydowaliśmy się zbudować łodzie i kontynuować podróż rzeką, co okazało się w końcu zbawienne.

Daimon raz jeszcze spróbował się uśmiechnąć.

– Wygląda na to, że także z tego Orfaniela jest sprytny drań.

Kręciło mu się trochę w głowie i był słaby jak nowo narodzone kocię. Spróbował jednak wstać, ale zaraz tego pożałował, bo oba boki przeszyły mu dziesiątki sztyletów bólu.

– W porządku? Jak się czujesz? – zaniepokoiła się Świetlista.

– Jakbym ukradł ciało świętemu Sebastianowi – wymamrotał Abaddon.

Przestraszyła się, że gorączkuje i bredzi.

– Sebastianowi? Czemu, na Jasność?

– Bo mam wrażenie, że wszystkie strzały, które odbiły się od kopuły, trafiły we mnie – wyjaśnił słabo.

Nie uśmiechnęła się nawet odrobinę.

– To dlatego, że masz połamane żebra. Będą się jeszcze długo goić. Odpocznij na razie. Najlepiej, gdybyś znowu zdołał zasnąć.

Ale Daimon wiedział, że leczniczy sen Gabriela opuścił go na zawsze. Nie miał jednak siły, żeby się kłócić.

– Dobrze – zgodził się. – Spróbuję.

– Śpij – nakazała. – Ja muszę się zająć załogą.

Wstała i zamachała ręką do wioślarzy z łodzi, na której byli ranni.

– Hej! Jak tam? Jakie straty?

– Świetlisty Nesanel opatruje Juka i Mezura – odkrzyknął krzepki gnom stojący na dziobie. – Strzały przebiły nam trzy bukłaki z wodą. Wszystko się wylało. Nie została ani kropla!

Sereda natychmiast posepniała.

– Jak bardzo jest źle? – zapytał Daimon, który nie potrafił znowu zasnąć.

Zmarszczyła brwi.

– Wystarczająco. Utrata wody pitnej oznacza, że musimy ją uzupełnić. Rzeczna jest zbyt mulista i zanieczyszczona. Nie nadaje się. Moglibyśmy się po niej ciężko pochorować. Trzeba nabrać świeżej. A to z kolei znaczy, że nie pozostaje mi nic innego,

jak posłać część załogi w głąb Omeyocanu. Czego za wszelką cenę chciałam uniknąć.

– Tak tam niebezpiecznie? – spytał.

Westchnęła ciężko.

– Znacznie bardziej, niż umiesz sobie wyobrazić.

– W takim razie będę asekurował tragarzy.

– Ani mi się waź! – rozkazała surowo. – Jesteś ranny i bardzo słaby. Nie pozwolę, żebyś bez sensu ryzykował. Przysporzysz nam tylko kłopotów. Kto niby ma cię ratować, jeśli zasłabniesz i dostaniesz się do niewoli? Nie ma mowy! Leż i dochodź do zdrowia. Wysłę moich Marutów. Nie myśl sobie, że jesteś niezastąpiony, Abaddonie.

Odwróciła się i odeszła w stronę dziobu łodzi.

To się jeszcze okaże, pomyślał ponuro Frey.



Kiedy odnaleźli najbliższy dopływ rzeki, właściwie nieco tylko szerszy niż strumień, Sereda zdecydowała, że czas przybić do brzegu i sprawdzić, czy woda w górnym biegu okaże się zdatna do picia. Osiem łodzi wykonanych z drewna i impregnowanego brezentu, którym niegdyś były owinięte paki z prowiantem, osiadło na piaszczystej łasze. Udało się zaszyć i zakleić dwa podziurawione strzałami bukłaki. Trzeci nie nadawał się do naprawy, jednak Sigil zdołał znaleźć wśród zapasów stary, lecz wciąż szczelny, pozostały po wypitym winie.

Załoga sarkała nieco, że przywódczyni wyprawy kategorycznie zakazała polowania na napotkane w lesie zwierzęta, bo wszystkim już się znudziły puszkowana wojskowa manna, suchary i pozostałe konserwy.

– Nie ma mowy. Polowanie jest zbyt niebezpieczne – oświadczyła stanowczo Sereda i na tym dyskusja się skończyła.

Grupa koboldów i gnomów z bukłakami, pod opieką sześciu Marutów z Matariśwanem na czele, wyruszyła w drogę koło południa, kiedy, według Świetlistej, w tutejszej dżungli było najbezpieczniej.

– Mieszkańcy Omeyocanu są wyznawcami Słońca – wyjaśniła. – Zwykli odprawiać obrzędy o świcie, wieczorem i w południe. Teraz będą zbyt zajęci, żeby patrolować lasy.

Gdy ostatni syn Rudry zniknął w gęstych nabrzeżnych zaroślach, rozpoczęło się nerwowe, niepewne czekanie, bo wszystkim udzielił się niepokój Seredy i Nesanela.

– To niedobre miejsce, bardzo, paskudnie niedobre! Powinniśmy się stąd jak najszybciej wynosić! – mamrotał stary mag w kółko, a małeńka mantikora imieniem Pusio wczepiona w jego ramię kiwała główką, jakby mu przytakiwała.

Minęło kilka długich, upalnych i pełnych napięcia godzin, zanim okazało się, jak bardzo czarownik miał rację.

Z głębi dżungli ozwał się nagle straszny, przepojony przerażeniem wrzask. Za nim kolejny i następne. Wkrótce cały tropikalny las rozbrzmiewał chórem przeraźliwych krzyków.

Wszyscy zerwali się na nogi.

– Co to? – jęknął Nesanel.

Miniaturowa mantikora natychmiast czujnie wślizgnęła się do jego kieszeni.

– Nie wiem – wyszeptwała wystraszona Sereda, wpatrując się w nieprzeniknioną, obojętną gęstwę drzew i zarośli.

Nagle ściana lasu otwarła się jak magiczny portal i na brzeg rzeki wypadł jeden z koboldów wysłanych po wodę. Wyglądał potwornie. Cały ochlapany krwią, jakby uciał sobie drzemkę w ubojni, wymachiwał rozpaczliwie rękami. Oczy miał wybałuszone ze strachu, twarz wykrzywił mu grymas godny obłąkanego.

– Spuszczać łodzie! – krzyczał. – Spuszczać łodzie! Uciekajmy!

Członkowie ekspedycji posłuchali go, nie czekając na rozkaz przywódczyni. Rzucili się do łodzi i momentalnie zaczęli je wodować.

Kobold ciężkim galopem dobiegł do najbliższej burty, przeskoczył ją i zaczął się rozpaczliwie zagrzebywać w stercie koców, śpiworów i jutowych worków po prowiancie niczym skretyniały kret. Sereda dopadła go kocim susem, potrząsnęła za ramiona.

– Co tam się stało, u diabła?

– Potwór! Zabija wszystkich! Uciekajmy! – zaskomlał kobold i spróbował nadziać sobie najbliższy worek na głowę, ale był tak spanikowany, że za nic nie mógł znaleźć otworu.

– Wiele się dowiedziałaś! – sarknął Orfaniel, który już stał obok, gotowy do boju.

Jednak nie minęło mgnienie, a nie było już o co pytać. Na plażę wypadli kolejni dwaj tragarze i jeden Maruta. Wszyscy wyglądali, jakby wzięli właśnie kąpiel we krwi. A tuż za nimi z dżungli wyłonił się stwór, na widok którego zamierało serce.

Był monstrualny. Czarny, jakby utkany z przelewających się cieni czy ciemnego, niezwykle gęstego dymu. Smugi materii tworzącej to obrzydliwe ciało przywodziły na myśl mięśnie i ścięgna odarte ze skóry. Napinały się i kurczyły, jakby pulsowały w rytm nieistniejącego tętna. W niepojęty, niezrozumiały dla obserwatora sposób potwór zdawał się świecić niczym wywrócone na lewą stronę słońce. Jego postać migotała i drgała nieustannie, tak że nie dało się na niego patrzeć bez mrużenia powiek.

Z kształtu przypominał pokracznego psa czy wilka, z tym że jego łapy zwrócone były do tyłu. Kiedy biegł w przód, musiał nienaturalnie obracać głowę na grzbiet, jakby miał przetrącony kark. Nogi stawiał wspak, w pokrętny, dziwaczny sposób, co tylko przydawało mu grozy.

Na widok potwora kilku Marutów wyskoczyło z łodzi, gotowych walczyć w obronie ekspedycji i swoich braci. Za nimi wybiegli weterani z Królestwa.

– Zwierzę! – wyszeptwała posiniała z przerażenia Sereda, która została na plaży wraz z młodszym z czarowników.

– Jasne, że nie Metatron we własnej osobie – warknął poirytowany Orfaniel. – Cokolwiek to jest, zaraz mu przywalę!

– Nie! – krzyknęła, ale już było za późno.

Mag bojowy błyskawicznie splótł palce i posłał prosto w cielsko stwora potężną strugę ognia. Ale dymne mięśnie i ścięgna istoty po prostu się rozstały, wchłaniając ładunek zabójczej energii w głąb widmowych tkanek. Potwór nie upadł ani nie uciekł z wyciem bólu. Przeciwnie. Szczeknął głucho, jakby się śmiał, porwał w pysk

najbliższego tragarza i przegryzł go na pół niczym psi przysmak dentystyczny. Krew trysnęła we wszystkie strony, a członkowie załogi wydali chóralny wrzask przerażenia.

– Nie raż go żadnym płomieniem! – Sereada złapała za rękę Orfaniela, który szykował się do kolejnego uderzenia. – To Xolotl! Zwierzę! Gwiazda Wieczorna! Uosabia niszczącą moc ognia! Pociski termiczne tylko go wzmocnią!

– To jak go załatwić?!

– Nie wiem – jęknęła Świetlista. – Nie da się zabić Xolotla!

Jakby w odpowiedzi, stwór zaniósł się gromkim, triumfalnym wyciem i pochwycił w paszczę następnego uciekającego tragarza. Rozgniółł go w zębach jak dojrzałą truskawkę. Któryś z Marutów rzucił się na monstrualnego psa z toporem, lecz Xolotl jednym kłapięciem wyszarpnął mu uzbrojone ramię i połknął. Zataczający się, ryczący z bólu i szoku syn Rudry kroczył po plaży, sikając posoką ze zmasakrowanego barku.

Wygląda jak upiorny hydrant, pomyślał Daimon, który pojawił się z mieczem za plecami Seready.



© Fabryka Słów

Wiele czasu zajęło mu powstanie, zdobycie Gwiazdy Zagłady i wygramolenie się z łodzi. Wciąż czuł się przeraźliwie słaby i koszmarnie obolały. Ale teraz stał już gotowy do walki, dzierżąc w ręce broń. Przecież nie miał zamiaru patrzeć, jak czarny bydlak masakruje mu załogę.

Tymczasem Xolotl nadal pożerał tragarzy i Marutów, jakby zbierał truskawki. Oprócz kobolda, który zdołał dostać się do łodzi, nie ocalał żaden z ochotników wysłanych po wodę. Suczy syn był szybki jak diabli mimo odwróconych do tyłu łap. Przemieszczał się błyskawicznie niczym zabójczy wyziew. Nadprzyrodzony gaz bojowy. Ale szczęki pełne wilczych, pożółkłych zębów miał cholernie realne. Właśnie zmiażdżył w nich kolejnego nieszczęsnego kobolda i oblizał się z lubością ozorem podobnym do płatu gnijącej wątroby, gdy Abaddon postanowił uderzyć.

– Dobre mięsko? W takim razie posmakuj tego! – syknął wściekle, obnażając zęby w dzikim uśmiechu.

Ruszył do natarcia, choć wydawało mu się, że zaraz rozpadnie się na kawałki jak źle spojony model anatomiczny.

– Daimon! – krzyknęła za nim oszołomiona Sereda. – Nie możesz!

Ale brakło mu czasu, żeby dowiadywać się, co mu wolno, a czego nie. Puścił się ciężkim, wysilonym klusem w kierunku stwora, choć miał przy tym wrażenie, że ktoś wrywa mu żebra z klatki piersiowej, do tego lewe ramię było opuchnięte, obolałe i ciężkie jak kłoda. Wiedział, że nie może na nie za bardzo liczyć, więc pozostaje mu fechtunek prawą ręką. Natarł na Xolotla z furją, lecz piekielny pies zdołał się wywinąć przed ciosem, zupełnie jak dym, z którego się składał. Kłapnął szczęką tuż koło głowy anioła. Z jego pyska wydobywał się fetor zdolny powalić wołu. Gwiazda Zagłady znów śmignęła w powietrzu, ale potwór przypadł natychmiast do ziemi jak warujący kundel i ostrze przefrunęło tuż nad jego ogromnym łbem.

Weterani, porwani męstwem dawnego rycerza Szarańczy, rzucili się na pomoc dosłownie w tej samej chwili, gdy Orfaniel zdołał odwołać Marutów. Ich złote topory, jako broń związana z żywiołem ognia, nie były w stanie skrzywdzić piekielnego psa.

– Za nim! – rozkazał Setanel. – Za Abaddonem! Chwała Królestwu!

– Chwała! – odkrzyknęli, puszczając się biegiem za dowódcą.

Uderzyli równocześnie z dwóch stron. Miecze z najlepszej niebiańskiej stali wniknęły głęboko w łapy i boki potwora, ale Zwierzę tylko zawarczało gniewnie i otrząsnęło się jak mokry pies. Rozwarta paszcza śmigała szybciej niż koła merkawy. W ułamku sekundy, krótszym niż mgnienie, zdołała pochwytać i rozerwać na strzępy najbliższego skrzydlatego. Anioł padł na piach jak krwawy łachman.

– Ożeż kurwa! – wyrwało się Daimonowi.

Skoczył ku potworowi. Wybił się wysoko, mimo że jego kości i mięśnie zaprotestowały ostro, i z całej siły ciął w kark. Ból rozsadził mu klatkę piersiową jak wybuchający granat, przed oczami zobaczył cały rój czerwonych i czarnych motyli, zrobiło mu się słabo, ale wiedział, że nie może teraz zemdleć. Gwiazda Zagłady, ostrze, które zniszczyło tysiące światów i pokonało niezliczoną liczbę smoków Chaosu, zaśpiewała ostro i gniewnie, wnikając w cielsko Xolotla. Jednak potężne węzły

widmowych mięśni uchroniły istotę przed śmiercią. Zwierz zawył przeciągle. Po grzbiecie spłynęła mu pojedyncza strużka brunatnego, cuchnącego śluzu. Obrócił łeb uzbrojony w dwa rzędy ostrych, żółtawych kłów i warknął wściekle na Tańczącego na Zgliszczach. Daimon ujrzał gniew i szaleństwo płonące w ślepiach stwora. Przypominały dwie martwe, wypalone gwiazdy, które jednak nadal żarzą się złym, nienawistnym poblaskiem.

Tym razem to Xolotl rzucił się do ataku. Przypadł do Daimona, zmuszając anioła do karkołomnego odskoku. Frey złożył się do ciosu, lecz tym razem pies okazał się szybszy. Cuchnące, zaślinione zębiska zawarły się z trzaskiem tuż nad czubkiem miecza Abaddona. Gdyby trafiły odrobinę niżej, Anioł Zagłady straciłby rękę, podobnie jak przedtem jeden z Marutów, i zataczałby się teraz po plaży, udając koszmarny krwawy hydrant.

Impet uderzenia Xolotla był jednak tak potężny, że Tańczący na Zgliszczach przewrócił się na plecy.

Koniec, zdążył pomyśleć. Zostanę przekąską piekielnego kundla.

Weterani na widok upadku anioła zaczęli walić rozpaczliwie mieczami w korpus i łapy potwora, żeby odwrócić jego uwagę, lecz niewiele zdołali wskórać. Stwór obrócił się, kłapnął ze złością pyskiem jak pies łapiący muchy i płynnie, niemal z wdziękiem pozbawił głowy najbliższego żołnierza Królestwa. Potoczyła się po piasku niczym piłka, której stwór nie miał ochoty aportować.

Obolały i oszołomiony od upadku Daimon usilnie starał się porwać na nogi, ale meduza w jego piersi znów rozłożyła gwałtownie macki bólu, pozbawiając go tchu. Na ułamek sekundy zapadła ciemność. Frey poczuł się znowu tak jak eony temu, kiedy na rozkaz Jaldabaota sztylet Raguela rozorał mu pierś.

Znowu umieram? – pomyślał mętnie. To już robi się nudne.

Mozolnie, mozolnie i ciężko zaczął zbierać siły, żeby zmusić się do powstania na nogi. A nie było to łatwe. Wcale nie.

Wtem kątem oka ujrzał jakiś ruch z tyłu. Xolotl też go dostrzegł, bo skierował w tę stronę wzrok i warknął głucho. Tymczasem z lasu wypadł kulejący, pokrwawiony Matariśwan. W dłoni trzymał rozwartą, roziskrzoną, gotową do użycia wajrę.

– Mata! Nie! – krzyknęła Sereda, lecz już było za późno.

Ognista broń zaryczała odgłosem gromu i wypluła snop błyskawic wprost w cielsko Xolotla. Zwierz zadrżał, zatoczył się, przewracając jednego z aniołów, a potem rozbłysnął tysiącami ognistych wyładowań, jakby połknął właśnie wybuchającą gwiazdę. Odrzuciwszy łeb do tyłu, zawył rozgłośnie. Ten przejmujący zew, od którego stygła krew w żyłach i zamierało serce, brzmiał dziko, złowroźnie i przejmująco. Był w nim smutek, śmierć, schyłek oraz szalony, niepowstrzymany, pierwotny gniew.

Daimon wykorzystał ten moment, żeby wstać, ale wysiłek go przerósł. Dysząc i spazmatycznie łapiąc oddech, zdołał zaledwie podźwignąć się na jedno kolano. I wtedy ujrzał tuż przed sobą zimne, płonące furią ślepie Xolotla, fosforyzujące jak obłędna konstelacja tuż nad wyszczerzonym, zaślinionym półksiężycem zębów. Z gardła stwora nieustannie wydobywał się warkot, który przypominał złowrogi chichot.

No i amen, pomyślał Frey zadziwiająco spokojnie. Zeżre mnie jak kość szpikową.

Był się udławił, suczy syn!

Tuż przed twarzą widział wielkie, popękane jak zakrzepła lawa, zmarszczone w gniewnym grymasie nozdrza stwora. Poruszały się nerwowo, podrażnione wonią krwi.

Wtedy Abaddon doznał olśnienia.

To tylko wielki, rozwścieczony kundel, rozumiał. Pies. A gdzie się znajduje słaby punkt psa?

W ostatnim desperackim wysiłku, właściwie bez nadziei na uratowanie życia, zamachnął się i ciał Gwiazdą Zagłady prosto w nos stwora.

Efekt okazał się piorunujący. Xolotl poderwał łeb i zapiszczał z bólu jak skarcone szczenię. Uniósł łapę, jakby próbował osłonić pysk, ale Daimon już stał na nogach i ponownie wyprowadzał uderzenie w nos potwora.

Zwierz zaskomlał. Cofnął się, warcząc i przekrzywiając łeb, niepewny, uciekać czy atakować. Frey, nie czekając, znów złożył się do ciosu. Kiedy srebrzysta i zimna klinga Gwiazdy Zagłady uniosła się w górę i zaśniła ostrzegawczo, Xolotl zrejterował.

Zaskomlał znów, przypadł do ziemi, podkulił ogon, a potem odwrócił się błyskawicznie i zniknął w zaroślach. Pozostawił po sobie okaleczone trupy i szkarłatne plamy na piasku. Ostrzeżenie wypisane krwawym alfabetem nienawiści.

Zapuściliście się za daleko. Tu czeka was tylko śmierć.

Urocze miejsce, pomyślał Abaddon z nienaturalnym spokojem, który często towarzyszy szokowi. Mają fajne zwierzątka domowe. Ciekawe, co jeszcze hodują? Zabójcze świnki morskie? Papugi o skłonnościach do seryjnych mordów? Lamy psychopatki?

Nieco się zdziwił, kiedy mokra, nieprzyjemnie zimna ziemia uderzyła go w kolana. Znów na sekundę zrobiło się ciemno, jakby demiurg wyłączył światło.

Potrząsnął głową, a gdy odzyskał wzrok, ujrzał wokół siebie wieniec zatroskanych twarzy. Rozpoznał Seredę, obu magów, Setanela i kilku innych weteranów.

– Jak to zrobiłeś? – usłyszał odległy, stłumiony, niewyraźny głos Orfaniela, jakby Świetlisty przemawiał przez szmacyany knebel wtłoczony do ust. – W jaki sposób udało ci się go odstraszyć?

– Normalnie – wyszeptał. – Od kotów się nauczyłem. Łatwizna.

A potem złośliwy demiurg znowu zaczął coś kombinować przy instalacji i ciemność zapadła na dobre.



Rozdział V



Minęły trzy doby, zanim Daimon, leniwie i niechętnie, powrócił do życia. Wciąż był bardzo słaby, żebra bolały go upiornie, lewa ręka rwała, ale już nie rzucał się i nie mamrotał w gorączce, jak to miało miejsce tuż po starciu z Xolotlem. W trakcie choroby Nesanel doglądał go troskliwie, a Sereda czuwała nieustannie, gotowa wzywać medyka, jeśli tylko zaniepokoił ją jakiś nietypowy, niebezpieczny objaw.

– Śpij. Odpoczywaj – mówiła łagodnie, gdy tylko Anioł Zagłady otwierał na chwilę oczy. – Nie martw się o nic. Jestem tuż obok.

I pierwszy raz od chwili, gdy wyprawa ruszyła, Frey naprawdę cieszył się z tego faktu.



– Wciąż jesteśmy w Omeyocanie? – spytał, patrząc na zbitą zieloną ścianę dżungli na brzegu.

Wyglądała jak złowroga fototapeta.

– Tak. – Przywódczyni ekspedycji skinęła głową. – Rzeka wyznacza jego wschodni kraniec. Prześlizgujemy się po granicy. Za dwa, góra trzy dni powinniśmy opuścić tę krainę. Ale nie ma się z czego cieszyć. Następna będzie równie nieprzyjazna i niebezpieczna. Może nawet bardziej.

Anioł Zagłady czuł się już znacznie lepiej. Siedział teraz na dziobie łodzi, popijał gorzkie ziółka zaparzone przez Nesanela i marzył o porządnym kuflu zimnego piwa. Powietrze było duszne, przepojone wilgocią i bardzo gorące.

– Dlaczego? – spytał. – Nie lubią tu gości? Boją się, że im kozy wydoją, czy co?
Sereda spojrzała na niego ze zdziwieniem, jakby wykazał się wyjątkową ignorancją.

– Nie znają tu kóz, Abaddonie. Gdyby jakąś zobaczyli, pewnie uznaliby ją za dziwną alpakę.

– To co w takim razie hodują?

– Głównie świnki morskie.

– Urocze – mruknął. – Jak w przedszkolu. Albo na osobliwej resocjalizacji, skoro to takie zakapiory, jak utrzymujesz.

Uśmiechnęła się, potrząsając przecząco głową.

– Ależ to nie są słodkie zwierzątka domowe. Oni je tutaj jadają, Daimonie. Masowo. To główne źródło białka i wielki przysmak.

– W takim razie rozumiem, dlaczego są wiecznie wściekli i nie kwapią się przyjmować gości na obiedzie. Ja bym się może i trochę zrzygał, jakby mi ktoś podał niedopieczonego, zębatego szczura bez ogona. A w każdym razie poczułbym się urażony.

– Siorbnął łyk mętnego płynu i skrzywił się z obrzydzenia. – Na Jasność! Co to za cholerne, gorzkie świństwo?!

– Mate. – Zachichotała. – Tutejszy napój. Bardzo lubiany i szanowany.

– No widzisz? Wszystko tu smakuje ohydnie. Dlatego mieszkańcy są wiecznie głodni i wkurzeni. Wiem, co mówię.

– Oj, chyba nie – odpowiedziała przekornie. – Nie masz nawet malutkiego pojęcia.

– To mnie oświeć – poprosił, dobrze wiedząc, jak Świetlista uwielbia opowiadać o egzotycznych krajach, które odwiedziła. – Na wszelki wypadek, gdyby z krzaków wylazł następny przenicowany kundel albo inne przeraźliwe bydlę.

Wychylił się za burtę i wylał zamaszystym ruchem całą zawartość kubka. Boki go zaboląły, więc znów się skrzywił.

– No wiesz co! – oburzyła się. – Mate jest dobre i zdrowe.

Wyszczrzył do niej w uśmiechu zęby.

– Nie. Ohydne i szkodliwe. Coś o podobnym smaku musi być trucizną. W każdym razie ja tych popłuków pić nie zamierzam. No i co z tym Omeyocanem? Dlaczego jest taki straszny? Zżerają tam podróżników żywcem?

– No nie, ale prawie – zaczęła opowiadać. – To stara kraina. Przepojona magią i rytuałami, które czasem trudno zrozumieć. Jej nazwa dosłownie znaczy „Miejsce Dwoistości”, ponieważ mieszkają tu dwie nadprzyrodzone istoty, które, podobnie jak Xolotl, w rzeczywistości są gwiazdami. Spódnica z Gwiazd, która jest kobietą, oraz Słońce Gwiazdy, mężczyzna. Oboje są strażnikami Omeyocanu, dzielącego się na kilka innych, odrębnych krajów. Te są wyjątkowo nieprzyjazne i niebezpieczne, więc nigdy się tam nie zapuszczałam. Wiem tylko, jakie nazwy nosi kilka z nich. Niebo Miejsce Soli. Niebo, Gdzie Jest Świder Ogniowy. Niebo Ciemne i Niebo Zielone. Miejsce Mające Kąty z Obsydianu. Bardzo żałuję, że nigdy nie będzie mi dane ich zobaczyć. Brzmią tak malowniczo, prawda?

Jej oczy, zwykle szare jak woda, nabrały głębokiego zielonkawego koloru dalekiego oceanu i Daimon zrozumiał, że się rozmarzyła.

– Dla mnie raczej dziwacznie – przyznał ucziwie. – Po cholere im w niebie Świder Ogniowy?

W uśmiechu, którym go obdarzyła, były nostalgia, tęsknota i pragnienie.

– Nie mam pojęcia. Dlatego bardzo bym chciała to sprawdzić.

– Może kiedyś sprawdzisz.

– Nie. – Potrząsnęła ze smutkiem głową. – Zabiliby mnie, zanimbym zdążyła zrobić krok. Omeyocanu strzegą krwiożercze Tzitzimitl, kostuchy. Nie mają ciała, ale są bardzo zwinne i szybkie. Nienawidzą obcych. Ich miano można przetłumaczyć jako „Złowróźbne”. Kiedy nadejdzie kres czasu, wyrwą się ze swojej siedziby i pożrą wszystkie istoty żyjące. Niezbyt miłe damy, co?

– Faktycznie. Aż strach pomyśleć, jakich mają facetów. A może wcale nie mają? Nie zdziwiłbym się zbytnio.

– Mają – przytaknęła. – Czterystu wojowników, których stworzył Tlatlahuqui Tezcatlipoca. Ich skóra ma różne kolory. Są żółci, czarni, biali, niebiescy albo czerwoni. Nazywają ich Tonaloque, czyli Wielobarwni. Do pomocy przywołują ogniste węże, które przybierają też formę komet. No i ptaki o ostrych dziobach i groźnych szponach. Są strażnikami Omeyocanu.

– Niezłe towarzystwo – mruknął.

– Warto jeszcze wspomnieć o Yohualtecuhtlim, bóstwie nocy i ciemności, oraz Mictlantecuhtlim, władcy piekieł. No i o samym Tezcatlipoce Czarnym. To bóg czarnoksiężstwa i mroku. Jego imię znaczy „Dymiące Zwierciadło”. Ma na swoich usługach rzeszę czarnoksiężników, demonów i wróżbitów. Potrafi widzieć naraz wszystkie cztery strony świata. Władca wiatrem i bezruchem, ciszą i ciemnością. Skoczył niegdyś do oceanu, jako jedyny śmiałek, który ośmielił się walczyć z Coatlicue, Wężową Spódnicą, pierwotną Matką Ziemią. W walce bogini odgryzła mu stopę, którą zastąpił potem protezą ze szlifowanego krzemienia. To właśnie jest zwierciadło, w którym ogląda przeszłość i przyszłość. Pojawia się jako nocny wiatr lub smoliście czarny jaguar. Czasem włóczy się po odludziu, w gęstym lesie, jako nagi szkielet z sercem pulsującym między żebrami. Jego klatka piersiowa otwiera się i zamyka nieustannie niczym obluzowane drzwiczki klatki. Jeśli ktoś zdoła wsunąć w nią dłoń i zabrać serce boga, Tezcatlipoca staje się bezbronny. Pozostaje mu tylko błagać napastnika, żeby oddał mu potrzebny organ. Obiecuje wtedy wszystko, o co go tylko poprosić, lecz nigdy nie dotrzymuje słowa. Aż strach pomyśleć, jaką zemstę wywiera na złodzieju, który ośmielił się wyrwać mu serce. Ale takie wypadki prawie się nie zdarzają, bo Tezcatlipoca jest przebiegły, mądry i straszliwy. Wszyscy się go boją. Czasami umiera z wycieńczenia, bo zużywa tyle mocy na czary i przemiany postaci. Żeby go ożywić i wzmocnić, trzeba złożyć mu w ofierze jeszcze bijące serca wielu mężczyzn. Nienawidzi Quetzalcoatl, Pierzastego Węża, bo ten kiedyś strącił go z tronu i pozbawił władzy. Ale nawet Tezcatlipoca ma jakąś jasną stronę. Opiekuje się niewolnikami, wdowami i sierotami, nagradza za dobro, ale zło bezlitośnie karze. No i podobno w ludzkiej formie jest tak pięknym młodzieńcem, że na jego widok kobiety mdleją.

– No dobra. – Westchnął. – Przekonałaś mnie. Nie będziemy im składać wizyty. Jeszcze mi zemdlejesz i będę musiał cię nosić, a żebra mnie bołą. Szkoda, już miałem cię

prosić, żebyś upiekła powitalne ciasteczka.

– Nie umiem. Kiepska ze mnie gospodyni domowa. – Zaśmiała się. – Wyszędłby powitalny zakalec.

– Może Nesanel by podolał? Potrafi być taki troskliwy.

Tym razem roześmiali się oboje.

– Masz rację, potrafi – przyznała, a potem spoważniała. – Powinieneś wiedzieć coś jeszcze, Daimonie. Obawiam się, że to może się okazać dla ciebie szokujące.

Frey uniósł znacząco brew. Nie sądził, żeby łatwo dawał się wprowadzić w nastrój grozy i lęku.

– Naprawdę?

– Tak. – Jej głos brzmiał głucho, przepętniał go głęboki smutek.

Anioł Zagłady natychmiast zrozumiał, że sprawa musi być naprawdę poważna.

– Mieszkańcy tutejszych krain, dawne bóstwa, istoty nadprzyrodzone, duchy i przodkowie, odrzucili Jasność, Abaddonie – oznajmiła z bólem. – Poznali Ją, a potem odwrócili się od Niej niczym demony z Głębi.

– Co? – szepnął oszołomiony Daimon. – Na litość Pańską, dlaczego?!

Sereda się nie pomyliła. Był zszokowany. Czuł się, jakby dostał nagle młotem kowalskim w skroń. Coś takiego po prostu nie mieściło mu się w głowie. Aż bolało. Spotkać się ze Światłością i wyrzec się Jej łaski? To nawet nie szaleństwo. To koszmar nie do ogarnięcia.

Patrzył na swoją rozmówczynię, ale jej nie dostrzegał. Mrugał oszołomiony i ogłupiały w nadziei, że się przesłyszał, a cały świat, który nagle wykoleił się jak pociąg, znów wróci na właściwe tory.

– Oni sami, a także ich ludzcy wyznawcy doznali wielu krzywd i niesprawiedliwości od mieszkańców Starego Świata, którzy przynieśli im światło wiary. Ich cywilizacja została zrujnowana, kultura upadła, lud popadł w niewolę. Źle się stało, Abaddonie. Bardzo źle. Uznani za demony, pokonani, zdruzgotani bogowie Omeyocanu za to wszystko obwinili Pana. Dlatego się go wyrzekli.

– Wariaci! – jęknął wstrząśnięty Frey. – Jak mogli?! Czemu nie przejrzeni na oczy?! Nie zobaczyli Prawdy?!

– Nie wiem – szepnęła Sereda. Pod jej powiekami zaszklily się łzy. – Też nie potrafię tego zrozumieć. Pewnie byli zbyt zaślepieni gniewem, rozpaczą i żalem po utraconej potędze.

– To ich nie usprawiedliwia!

– W naszych oczach nie. Ale Pan w swoim nieskończonym miłosierdziu jak zwykle postanowił odpłacić dobrem za butę i nienawiść. Co więcej, postarał się wynagrodzić odszczepieńcom cierpienia, których niegdyś doznali z rąk głupich, okrutnych i pogrążonych w błędzie ludzi ze Starego Świata. Pozostawił ich krainy nietknięte i pozwolił dawnym bogom żyć po swojemu, tak jak przed wiekami, choć ich obyczaje i obrzędy wydają się Królestwu wyjątkowo okrutne i dzikie.

– Zrozumieli chociaż, ile otrzymali błogosławieństw?

– Nie. Nadal darzą Jasność zapiekłą nienawiścią i pałają żądzą zemsty. Dlatego zasady panujące w tej części Stref Poza Czasem różnią się od panujących w innych

krainach. Tutejsi mieszkańcy mogą praktykować swoje kultury, lecz w żadnym wypadku nie wolno im w celu pozyskiwania jeńców lub przeprowadzania zbrojnych napaści przekroczyć granic terytorialnych wyznaczonych przez Światłość w celu pozyskiwania jeńców lub przeprowadzania zbrojnych napaści. Owszem, mogą walczyć ze sobą, co zresztą często czynią. Jednak jeśli naruszą narzucone im ograniczenia i skrzywdzą kogoś, kto znajdował się poza ich terenem, albo zaatakują inny kraj znajdujący się poza obrębem własnego kręgu kulturowego, ich świat natychmiast ulegnie zagładzie. Doskonale to rozumieją, ponieważ już kiedyś przeżywali podobne katastrofy. Czterokrotnie Słońca spadały im z nieboskłonu, przynosząc całkowitą i absolutną śmierć wszelkim żywym stworzeniom w Omeyocanie. Dopiero ostatnie, Piąte Słońce, zwane Słońcem Ruchu, zdołało utrzymać się na niebie. W jego epoce właśnie istnieją. Dlatego grozę upadków i kataklizmów znają z własnej historii i mają wpisaną w mitologię. Ale jeśli tym razem popełnią błąd, żadnego odrodzenia już nie będzie. Wybuchną wszystkie wulkany, nastąpią serie zabójczych trzęsień ziemi, straszliwe ulewy spowodują potop, który zniszczy wszelkie życie w Omeyocanie. Zginą zarówno dawne bóstwa, jak i inni mieszkańcy zaświatów. Jasność zapowiedziała to wyraźnie i dobitnie. Dzięki temu bogowie nie łamią traktatów pokojowych, bo znają nieskończoną potęgę Światłości i panicznie boją się ostatecznej, kosmicznej katastrofy.

– Chcesz powiedzieć, że Pan stworzył tu coś w rodzaju rezerwatu dzikiej przyrody, tak? – spytał Frey, który zdążył już nieco ochłonąć ze wzburzenia. – Wchodzisz na własne ryzyko, a jak cię pożą, to trudno.

– Właśnie – przytaknęła skrzydlata. – Na rzece jesteśmy bezpieczni, bo nie wkraczamy na terytorium żadnego z dawnych bóstw. Dzięki temu nie zostaniemy zabici ani wzięci do niewoli.

– Niezła perspektywa – mruknął Abaddon. – Z dwojga złego chyba lepiej być niewolnikiem niż trupem. Zawsze jest szansa na ucieczkę albo ratunek.

Świetlista pokręciła przecząco głową.

– Nie tutaj. Tu zdecydowanie lepiej zginąć od razu.

– Czemu? Panowie są tacy okrutni dla niewolnych?

Sereda odwróciła wzrok.

– Tak. Są niezwykle okrutni. Nie wolno nam pozwolić, żeby ktokolwiek z naszej ekipy został pojmany i zabrany w głąb lądu.

– Z pewnością nie pozwolimy. – Abaddon czuł się już znacznie lepiej, dzięki czemu odzyskał rezon i sam święcie wierzył w swoje obietnice. – Pozostanie problem z uzupełnieniem zapasów.

– Masz rację – przytaknęła. – W miarę bezpiecznie możemy zapolować i zaopatrzyć się w wodę jedynie w Tlalocanie, królestwie boga deszczu. Ale to jeszcze kawał drogi stąd.

– Ten Deszczowy Król przyjął może Światło Jasności? Żyje w pokoju i zgodzie z innymi?

– Nie, skąd. Tu nikt tego nie czyni. Po prostu nie zainteresujemy go jako potencjalni niewolnicy. W jego kraju jesteśmy bezużyteczni. On preferuje inne, hmm, formy kultu. – Zawahała się, lecz Daimon się nie zdziwił.

Wszystko, co usłyszał przed chwilą, wydawało się poruszająco dziwne i trudne do ogarnięcia. Zapewne równie niełatwo było tłumaczyć tak skomplikowane sprawy laikowi, który dotąd nic o nich nie wiedział.

Sereda spróbowała się uśmiechnąć, choć był to nieco wymuszony uśmiech.

– Ale nie do końca pomyliłeś się w kwestii boga deszczu, bo Tlalocan to taki miejscowy raj. Cudowne miejsce, pełne zieleni, otoczone malowniczymi, wysokimi górami, przecięte siecią rzek i strumieni. Mnóstwo tam kwiatów, ozdobnych roślin, wysokich drzew, pysznych owoców i wszelkiego innego jadła. Wszyscy wiodą łatwe, szczęśliwe i radosne życie. Wiesz, nie wszystko tutaj jest brzydkie i złe. Te krainy potrafią być bardzo piękne, a cywilizacja wiekowa i mądra. Tylko niezrozumiała dla nas. Tutejsi mieszkańcy umieją wznosić monumentalne, misternie zdobione budowle. Budują całe miasta, zaopatrzone w wodę płynącą sztucznymi kanałami. Mają specjalny system nawadniania pól. Wspaniałą sztukę. Robią przepiękne rzeźby i reliefy w kamieniu, a potem malują na jasne, wyraziste kolory. Fantastyczną ceramikę. Butle, butelki, talerze, misy, dzbany i patery. Często w kształcie ludzi lub zwierząt. Fascynujące, nie? Wytwarzają oszałamiające maski, figurki i ozdoby ze złota i szlachetnych kamieni. Szczególnie kochają jadeit. Ja też go uwielbiam. Ma barwę dżungli o świcie. Taki zielony i głęboki. Uwierzysz, że wymyślili własne pismo hieroglificzne i bardzo skomplikowany kalendarz? Każdy znak to stylizowana roślina, zwierzę, zjawisko lub ciało niebieskie. Ile się trzeba nagłowić, żeby je zapamiętać! Ale prezentują się prześlicznie. Małe dzieła sztuki, naprawdę. A przyroda? Trudno w całym Wszechświecie znaleźć cudowniejsze kwiaty, motyle, owady, rośliny i ptaki. Są jak chodzące i latające klejnoty. Nawet węże i pająki potrafią być piękne. Chociaż najczęściej bardzo jadowite. No proszę, przekonaj się sam. Widzisz tego ptaka? Zachwycający, co?

Abaddon spojrzał w kierunku, który wskazała, i zobaczył na gałęzi pierzastą feerię kolorów. Ptak jaśniał i lśnił, jakby był wysadzany drogimi kamieniami. Głowę miał szmaragdową, pierś szkarłatną, tułów błękitno-zielony, a skrzydła złociste, z lotkami o barwie głębokiej purpury. Fantastyczny, długi ogon w kształcie liry mienił się złotem, pomarańczem i ciemną czerwienią.

Daimon pomyślał, że jak dla niego ta kukułka jest chyba trochę zbyt kiczowata, ale nic nie powiedział, bo Sereda wpatrywała się w ptaka z zachwytem.

– To jeden z tych z ostrym dziobem i szponami? – zapytał z odrobiną ironii.

– Ale przyznaj, że upierzenie ma bajeczne. To dziwnowronka.

– Jakoś strasznie kolorowa, jak na wronę. Dała się pomalować, bo miała kompleksy, czy co?

– Dziwnowronka, nie wrona – powtórzyła. – Rajski ptak.

Abaddon poczuł niespodziewane ukłucie smutku. Dom był przecież tak daleko.

– W Raju mamy zupełnie inne – wyrwało mu się.

Spojrzała na niego uważnie.

– Tęsknisz za Królestwem, prawda?

– Tak. – Wiedział, że nie ma sensu zaprzeczać.

Tęsknił jak cholera i podejrzewał, że wyraźnie to widać.

Znów się uśmiechnęła, tym razem jakoś niewesoło i gorzko.

– A ja nie. Ja nie, Abaddonie. I tym się zasadniczo różnimy. – Wstała i jęła otrzępywać brzydką, burą, niemodnie skrojoną spódnicę. – Czas na mnie, muszę dopilnować paru spraw. A ty odpoczywaj i wracaj do zdrowia. Najlepiej, żebyś znów spróbował się przespać. To wspomaga gojenie.

Dziwnowronka na brzegu wydała długi, rzewny gwizd, który przypominał zawroźnienie wiatru na opuszczonym cmentarzu, i zatrzepotałszy skrzydłami, wzbiła się w niebo fajerwerkiem kolorowego pierza, a Daimon zrozumiał nagle, że czar przysnął i nic już nie będzie bajeczne.

– Dzięki za wykład – powiedział.

Dygnęła z uśmiechem jak mała dziewczynka, ale oczy miała odległe i przepojone nostalgią.

Dwa oceany, po których można żeglować bardzo długo w poszukiwaniu upragnionego lądu.

Abaddon też spowaźniał.

– Naprawdę dziękuję – szepnął. – Za wszystko.

– Wiem – odpowiedziała i odeszła do swoich spraw i marzeń.



Matariswan wrzał, dosłownie gorzał z zazdrości. Nie mógł jeść, spać ani myśleć logicznie. Zgrzytał metalowymi zębami tak mocno, aż sypały się iskry. I tym chorym, złym ogniem, tym żrącym kwasem zawiści palił sobie usta i serce.

A ona wciąż była przy nim, przy tamtym. Doglądała, nadszakiwała, troszczyła się nieustannie, zupełnie inna niż zwykle. Odmieniona. Zauroczona. Zakochana?

Na samą myśl Mata płonął jak pogrzebowy stos, na którym umierały resztki jego nadziei.

Od czasu incydentu przy Wodospadzie Dusze maharani traktowała go zimno i oschle. W jej cudownych oczach, pięknych jak wody Lotosowego Oceanu, widział tylko gniew lub, co o wiele gorsze, obojętność podbarwioną lekką pogardą.

Bo kimże był on, syn Rudry i boskiej krowy Priszni, przy tym ohydny, butny, jakże wysoko urodzony i postawiony Abaddonie? Bohaterze Królestwa? Przyjacielu regenta? obrońcy i wybawicielu całej ekspedycji?

Nikim. Pastuchem. Nędznym, żalonym cudakiem z dalekiego, obcego kraju. Albo i, uchwaj Wisznu, pariasem!

Co on takiego zrobił, ten Daimon Frey? Jakim sposobem zdołał ją tak zwieść? Posłużył się czarami?

Tak, zapewne tak, bo jak inaczej pełna dumy, nieugięta i władczą pani skakałaby wokół niego jak zwykła służka? Dziewka służebna albo i niewolnica? Czy może być inna przyczyna niż magia? Czarna jak jego obrzydłe włosy i skrzydła?

Nie, dość tego! Czas to ukrócić.

Matariswan w życiu nie pozwoli, żeby honor maharani doznał uszczerbku.

Ten ponury, złowrogi kruk z Królestwa musi odejść. Raz na zawsze.

No, Panie Kruku, myślał z nienawiścią. Zobaczymy, jaki jesteś mocny, kiedy się

zmierzysz z gniewem prawych synów Rudry. Potężnego boga, którego imię znaczy „Wyjący z Wściekłości”! Przekonasz się, ile mocy, dumy i zaciekłości odziedziczyły po nim jego dzieci. Już niedługo. Już niedługo. Przysięgam!

Snuł się po pokładzie łodzi ponury, szerniały, zeszpecony wiecznym grymasem zazdrości, jak duch pokonanego przez Ramę demona Rawany.

Jedno wiedział na pewno. Trzeba zabić Abaddona Niszczyciela.

Na razie jednak nie miał pomysłu, jak tego dokonać, dlatego wiecznie jarzył się gniewem i zapadał w sobie niczym przepalony strop domu.



Kiedy Lucyfer niemal już zdążył zapomnieć o Sigilu, ten niespodzianie podczołgał się ku niemu w nocy i wcisnął w dłonie następny plik papierów. Lampka wepchnął je gdzieś do bagażu, a potem zajął się innymi sprawami. Przeleżały tam zmięte i poplamione przez kilka dni, aż wreszcie Lucek, znudzony monotonią długiej podróży łodzią, postanowił je wreszcie przejrzeć. Co dziwne, nawet się specjalnie nie rozmazały po długotrwałym kontakcie z wodą.

Pewnie atrament jest wodoodporny, domyślił się, patrząc na równe rzędy starannego, drobnego pisma sekretarza Serecy.

Swoją drogą, Sigil wyraźnie źle znosił trudy wyprawy. Zrobił się błądy, wychudzony i nerwowy. Jego podkrążone oczy bez przerwy strzelały czujnie i trwożliwie na boki, a białe, kościste palce drżały. Ale to kompletnie nie obeszło imperatora Głębi.

Lepiej niech każdy się martwi własnymi problemami, no nie? Wtedy globalnie będzie znacznie mniej martwienia.

Usiadł na tyle wygodnie, na ile się dało na wilgotnym, szorstkim pokładzie, i usadowił się tak, żeby drewniana konstrukcja burty jak najmniej wpijała mu się w plecy.

Zwykle czytał raporty geniusza jak zbiór baśni o Żelaznym Bawole. Ot, nic nieznaczące zapiski zawierające małe, podłe donosy na różne istoty, których los zupełnie go nie interesował.

Nie inaczej było i tym razem. Znów ktoś coś podkradał, kolejny pił ukradkiem lub prześladował kogoś innego dla dziwnie pojmowanej rozrywki. Takie tam bla, bla o niczym.

Proszę państwa, oto telenowela z życia codziennego Wielkiej Ekspedycji w Szczytnym Celu! Prawda, że nudna? A czego wyście się spodziewali? Drugiego „Raju utraconego”?

Przebiegał kartki oczami, ziewając szeroko, już gotów zmiąć je i wrzucić do wody, gdy znów natknął się na imię Abaddona i uczuł lekkie, mdłe ukłucie poczucia winy.

A, przeczytam, pomyślał. Co mi szkodzi?

Im bardziej zagłębiał się w lekturę ciekawego fragmentu, tym mocniej marszczył brwi.

No tak, znów ten obłąkany Maruta. Odbiło mu czy co? Czego tak nienawidzi Daimona? Przecież Frey kompletnie nic mu nie zrobił. Nietolerancyjny bydlak, jak widać. Tylko zabić i zabić. W kółko to samo. Ma coś do Królestwa czy jak? Może i ma. W sumie

pies go trącał. Problem w tym, co teraz zrobić?

Złożył niedbale odnośną kartkę raportu i wsunął na wszelki wypadek do kieszeni. A potem zamyślił się głęboko.

Odkrywać karty przed Aniołem Zagłady to bardzo ryzykowne zagranie. Nie wiadomo, co gotów byłby zrobić. Lucyferowi i tak bardzo trudno było ukrywać się cały czas przed Abaddonem. Starał się nie włączyć aniołowi w oczy, nosił ubrania z obszernymi kapturami, naciągał nisko na czoło czapki i ronda kapeluszy, ale bał się, że w końcu okaże się, że to za mało.

Nie, stanowczo nie czuł się gotowy ujawniać swojej obecności.

Tadam! To ja! Imperator Głębi! Cieszyście się?

Bo on sam wcale się nie cieszył. Na samą myśl łapały go mdłości.

No dobra, na razie będzie się ukrywał. To już postanowione. Pytanie, co z Freyem? Powinien go ostrzec czy nie?

Powinieneś! – stwierdziło surowo sumienie. Już raz o mało nie zginął, bo nie posłałeś mu żadnej, nawet najprostszej wiadomości. Pamiętasz, jak się wtedy czuleś? Przypominasz sobie to okropne poczucie winy i wstyd? Więc jak? Chcesz znowu przez to przechodzić? Przyczynić się do śmierci dawnego kumpla, który przecież nigdy nie wystąpił przeciwko tobie?

Oj tam, oj tam! – odezwała się natychmiast diabła, przekorna natura. Po co się tak napinać? Jak widać, Frey żyje sobie w najlepsze. Ze wszystkim sam sobie świetnie poradził. Wpadł do wodospadu, ale wylazł. Nadział się na wściekłego psa, wielkiego jak autobus, ale dał mu po prostu po nosie. Zobaczysz, tym razem także wyjdzie bez szwanku z każdej opresji. W końcu jest Aniołem Zagłady. Walczył z Cieniem i wygrał, pamiętasz? Co mu robi taki obszczymurek z żelaznymi zębami i tą głupią, ryczącą jak oślica wajrą, w dodatku urodzony w oborze? Nic. Taka prawda. Nic. Więc nie ma o co robić hysterii. Na razie obserwuj rozwój wydarzeń. To najrozsądniejsza opcja, nie?

I, jak zwykle, Lucyfer był zmuszony przyznać rację własnej naturze. Może i zawodziła go od czasu do czasu, ale teraz przemawiała nad wyraz rozsądnie. Kazał więc sumieniu trzymać mordę na kłódkę, ale poczynania Matariśwana postanowił śledzić nieco uważniej.

W sumie chętnie pobawi się w detektywa. Nic nie ryzykuje, a jeśli Otchłań pozwoli, może znajdzie w tym nieco zdrowej, pouczającej rozrywki?

– Mam na ciebie oko, dupku – mruknął, obserwując mroczną, surową, czarnowłosą postać syna Rudry, stojącą na dziobie łodzi jak galion przedstawiający alegorię męczeństwa. – Imperator Głębi ma na ciebie oko. A wiesz, co to znaczy? Żebyś uważał, dobrze ci radzę. Żebyś uważał!

Wycelował w niego wskazujący palec i podniósł kciuk, jakby mierzył z broni.

– Puf! I po tobie, krowi synku – szepnęła, ale Matariśwan, oczywiście, nie miał żadnej szansy zauważyć tego gestu.



Czasem, kiedy jakiś problem gnębi cię, doskwiera i boli jak nabrzmiały wrzód, tak

że niemal nie jesteś w stanie żyć, niespodziewanie pęka w nagłej erupcji rozwiązania, przynosząc równocześnie i cierpienie, i ulgę.

Matariśwan śnił co noc niespokojne koszmary, w których to zabijał Freya na oczach Seredy, to bywał przez niego sromotnie pokonany. Jednak ostatnio zaczęły go nawiedzać wizje, w których słyszał odległe, gromkie szczekanie lub budzące ciarki wycie. Kosmaty cień na czterech łapach przesuwał się w mroku, a powietrze cuchnęło padliną i mokrą sierścią.

Dlaczego śni mi się Xolotl? – zdumiewał się każdego ranka. Przecież wcale się go nie bałem. Więc czemu mnie prześladowuje?

Odpowiedź przysłała nagle, z siłą oczyszczającego olśnienia, i była prawie tak podniosła, szczęśliwa i wyczekiwana jak Oświecenie.

Pies, pojawił nagle Matariśwan. Przecież Xolotl to monstrualny pies! A psa, ogromnego, groźnego i pełnego nienawiści, można łatwo pomylić z wilkiem. Zwłaszcza kiedy pozostawi po sobie tylko zmasakrowane zwłoki.

Zmasakrowane zwłoki! Jak to wspaniale brzmiało, kiedy tylko wyobrazisz sobie ten wstrętny czarny warkocz cały umazany krwią i błotem, te fosforyczne zielone oczy upiora, po których łążą tłuste, głodne muchy, te ręce naznaczone liszajami tatuaży – nieruchome, wreszcie nieruchome na zawsze.

Mata po raz pierwszy od wielu dni uśmiechnął się szeroko. Ale był to uśmiech szaleńca. Wariata z brzytwą, który właśnie przypina sobie wrotki. Oszołoma opętanego żądzą mordy. Bo w takiego właśnie obłąkańca zmieniła dzielnego syna Rudry niszcząca, trująca nienawiść.

Wciąż płyniemy wzdłuż brzegów Omeyocanu, zaczął kalkulować prędko, przypominając sobie w myślach przebytą już przedtem trasę. Przed nami jeszcze Mictlan, Cincalco, Tlalocan i Tamoanchan. Rozległe i niebezpieczne krainy. Podróż powinna nam zająć jeszcze dużo czasu. A przecież mogę ją troszeczkę opóźnić tak, żeby nikt nie podejrzewał, prawda? Jeśli natychmiast wyślę Iśę z powrotem do domu, powinni tu zdążyć.

Tak, jest duża szansa, że zdążą.

Moi bracia.

Ukochani, krwiożerczy, bezwzględni i odważni bliźniacy, Bhawa i Śarwa.

Wilki.



– To niedopuszczalne! Niedopuszczalne i haniebne! – srożyła się Sereda, przerażająca w swym gniewie jak surmy zbrojne. – Ukradł tratwę ratunkową, prowiant i uciekł? Po prostu uciekł? Iśa?! Jeden z najdzielniejszych Marutów?!

– Tak, maharani. Racz wybaczyć, maharani – mamrotał skruszonym głosem Mata.

– Kajam się ze wstydu.

Obrzuciła go pełnym pogardy, złym spojrzeniem.

– Masz powody, Matariśwan. Ostatnio nieustannie mnie zawodzisz. Przy wodospadzie zachowałeś się skandalicznie! Zlekceważyłeś mój rozkaz! Nic tego nie

usprawiedliwia! Nic, słyszysz?! A teraz dopuściłeś, żeby wśród twoich podwładnych pojawiło się takie rozprężenie, że w końcu doszło do dezercji. Tak, to właśnie dezercja! A ty jesteś za nią osobiście odpowiedzialny!

– Wiem, pani. Błagam o wybaczenie – szeptał, klęcząc w kornej postawie przed Świetlistą. – Nie mam nic na swoją obronę. Nic zupełnie. Mogę tylko liczyć na twoją łaskę, twoje miłosierdzie, maharani...

Głowę trzymał pochyloną, wzrok wbity w ziemię, żeby nie dostrzegła, że w jego czarnych, burzowych oczach płonie mroczny blask triumfu, a na usta samoistnie wypływa zły, przewrotny uśmiech.

– Obyś się nie przeliczył, Mata – warknęła ze złością. – Coś mi się zdaje, że to ostatnia wyprawa, na którą was zabieram. A teraz wstań i wynoś się. Nie chcę na ciebie patrzeć!

Uklonił się głęboko, wciąż zgięty wpół oddalił do swoich braci. Lecz z jego twarzy nie schodził podły, krzywy uśmieszek.

Jeszcze zobaczymy, jak będzie, pani, myślał uporczywie. Niedługo się przekonamy. Bo mnie się jednak wydaje, że wkrótce zmienisz zdanie, a ja powrócę do twoich łask. Powrócę, maharani. Na pewno.



Nocą obozowali na brzegu, tuż przy zacumowanych łodziach. Sereda nakazała wystawić liczne stráže, które miały czuwać aż do rana. Matariśwan chętnie i często posyłał do tej roboty swoich Marutów. Sam także niejednokrotnie stawał na czatach, tym bardziej że kiepsko sypiał, trawiony niecierpliwym oczekiwaniem. W myślach wciąż przeliczał dni i odległości.

Teraz Iśa powinien już przebyć Wodospad Dusz, kalkulował. A następnego dnia pokona Las Brzytew i dotrze wprost do Meru. Do domu. Stamtąd musi tylko co tchu podążyć do pałacu Rudry i przywołać Bhawę i Śarwę.

Nie miał żadnych wątpliwości, że wilczy bracia przybędą. Przecież honor potomka Priszni był zagrożony.

Wiedział doskonale, że zdążą dotrzeć na czas. Jako synowie bóstwa sami poniekąd byli bogami. Jako bestie – dzikimi stworzeniami o potężnych mocach. Mogli biec bez wytchnienia całymi dniami i nocami, ścigli niczym promienie słońca lub księżyca. Potrafili niezwykle długo obywać się bez jedzenia, a gdyby zgłodnieli, mieli wszędzie w bród świeżego mięsa, na które mogli zapolować. Ich umysły, wyćwiczone w medytacji, bez trudu osiągały poziom skupienia, który pozwalał bez szwanku, cicho i szybko pokonać Las Brzytew. Wilcze ciała, odporne, niezmordowane, ułatwiały bezpieczną wspinaczkę na Wodospad Dusz, a dzika natura i boskie pochodzenie pomagały oprzeć się podstępemu wpływowi zanurzonych w wodzie przebrzmiałych istnień. Nie bali się niczego, nigdy nie uchylali się przed walką i niezwykle rzadko ponosili porażki, dlatego niestraszne im były żadne potwory z dżungli. Łaskawy los obdarzył ich jednak sprytem, dzięki któremu wiedzieli, kiedy lepiej nie ryzykować i przeczekać w ukryciu, jeśli potencjalnych wrogów było zbyt dużo, by stanąć z nimi do boju. A kto umie lepiej

przywarować w wykrocie czy jamie niż wilk? Dzięki zwierzęcym instynktom oraz nadprzyrodzonym zdolnościom Bhawa i Śarwa umieli doskonale tropić, więc z pewnością odnajdą ślady ekspedycji i podążą za nią do czasu, gdy odnajdą swego brata i jego Marutów.

Tak, wilcze bliźnięta dysponowały wielką potęgą. Matariśwan wierzył w nich jak w nirwanę i wielbił niczym samego Brahmę. Czekał więc z wiarą, niecierpliwością i tylko odrobiną niepokoju. Czuwał nocami, czekając na znak, że już tu są, że właśnie przybyli.

Spał jednak, zmożony niespokojną, płytką drzemką, gdy z lasu dobiegło charakterystyczne wycie, tęskne i groźne jednocześnie. Śpiew wilka. Zew przyzywający członków rodu na pilne spotkanie.

Podczas gdy cudowny, wyczekiwany skowyt rozbrzmiewał między palmami, serce Matariśwana opłynęło miodem radości i nadziei. Bhawa i Śarwa już tu byli! Jak szybko! Jak wspaniale, niesłychanie szybko!

Moi wielcy, dostojni, ukochani bracia, myślał z miłością. Nie zawahali się nawet sekundy, choć prosił ich o udział w niebezpiecznej misji. No ale oni przecież uwielbiają niebezpieczeństwa. Są do nich stworzeni. Wilcy. Najpotężniejsi, najbardziej krwiożerczy wilcy pod słońcem!

Zerwał się na nogi i pognał w ciemność tropikalnego lasu.

– Muszę sprawdzić, czy nie ma żadnego zagrożenia! – krzyknął do zaniepokojonych weteranów, którzy tej nocy sprawowali wartę, choć doskonale wiedział, że jest nie tylko bezpiecznie, ale cudownie, wyśmienicie i bardzo doskonale.

Bo plan zaczynał wdrażać się w życie.



Znalazł ich bez trudu, od razu. Krążyli niemal po samym skraju obozowiska, jak zwykle szaleńczo odważni i dumni. Gdy tylko ich ujrzał, przyklęknął na jedno kolano, złożył dłonie i pochylił głowę w kornym ukłonie, wielbiąc chwałę i potęgę wilczych bliźniaków. A potem podbiegł i objął w mocnym, braterskim uścisku potężne karki porośnięte gęstym, skłębionym futrem.

– Witaj, synu naszego ojca – usłyszał w głowie charakterystyczny dwugłos. – Przybyliśmy, gdyż nas wezwales. Mów, w jaki sposób mamy zmyć plamy na honorze członka rodziny szacownego Rudry.

– Dostojny Śarwa, szlachetny Bhawa – zaczął Mata. – Błagam, abyście pomogli mi zniszczyć podłego i podstępного Anioła Zagłady, który swoimi czynami i postawą nie zasłużył na nic więcej niż śmierć.

– Opowiedz wszystko! – nakazali równocześnie.

W miarę jak streszczał domniemane klęski i upokorzenia, których w swoim przekonaniu doznał od Abaddona, obydwaj wilki zaczęły obnażać kły, a z ich gardeł wydobywał się głuchy, groźny warkot.

Obaj rośli jak dorodne byki, odznaczali się siłą, zwinnością i okrucieństwem. Obaj też niezwykle łatwo wpadali w gniew, a wściekłość potrafiła zupełnie zasnuć im ogład spraw czerwoną zasłoną furii. Byli dzicy. Byli mocarni. Byli agresywni i łaknęli krwi.

Byli wilkami.

Sierść Bhawy miała ciemną barwę grafitu, Śarwa zaś wydawał się wręcz srebrzysty w bladym, przefiltrowanym przez liście blasku księżyca. Gdy Mata skończył mówić, bracia toczyli pianę z pysków, szczyrzyli wielkie kły, białe i ostre jak sopte, a ślepia płonęły im żądzą mordy.

Bhawa uniósł łeb i zaniósł się wściekłym, rozgłośnym wyciem. Niemal w tej samej chwili zawtórował mu Śarwa.

– *Dokonamy zemsty, bracie!* – zadudnili w głowie Matariśwana podniesionymi, zespolonymi głosami. – *Och, dokonamy jej z rozkoszą! Powiedz tylko jak?*

Wtedy wtajemniczył ich w swój plan.



Sereda ze zdumieniem obracała w dłoniach puszkę wojskowej manny, której zawartość nabrała paskudnego koloru zielonkawego błota, a zapach przywodził na myśl bagno, do którego od lat wrzuca się odpadki rzeźnicze.

– Co druga taka, pani – poskarżył się Kurgul, gnom odpowiedzialny za zapasy.

– No – potwierdził skinieniem głowy Burk, przedstawiciel koboldów tragarzy. – Z mięsem nie lepiej. A warzywne też ze szczętem zapleśniały.

Te niespodziewane przykre wieści bardzo zasmuciły i zaniepokoiły Świetlistą. Zapasy były ściśle wyliczone, musiały starczyć jeszcze na wiele dni, a także drogę powrotną. Mimo że stracili sporo prowiantu podczas różnych przygód, zostało go na tyle dużo, że do tej pory nie miała powodu martwić się o aprowizację. Aż do teraz. A przecież nie umiała przewidzieć, ile czasu spędzą na pustynnym i jałowym Wielkim Ergu Światła, gdzie konserwy będą z konieczności stanowić podstawę wyżywienia.

Kiedy stała tak zasępiona, z niedowierzaniem oglądając zepsutą mannę, zbliżyło się kilku weteranów.

Na ich widok Burk warknął gniewnie.

– Wasze żarcie jest do kitu! Zepsuło się na amen. Regent pożałował kasy i chciał oszczędzić na przeterminowanych puszkach czy jak?

– Regent nigdy by tak nie postąpił! – oburzył się Meresin. – A manna w życiu się nie zaśmierdzi. Choćby leżała tysiąc lat!

– To popacz se na to. – Kobold podsunął pod nos anioła puszkę cuchnącej brei. – Zgniła jak nic!

Sereda uniosła ostrzegawczo dłoń.

– Koniec tego dobrego! Nie będę tolerować żadnych kłótni. Jedzenie się nie nadaje i tyle. Ewidentnie się zepsuło.

– Wojskowe racje z Królestwa? – wtrącił się Setanel. – To niemożliwe! One są nieśmiertelne jak sama Jasność! Nigdy się nie psują!

Psują, pomyślał ze zjadliwą satysfakcją Mata, który cicho i skromnie stał za plecami maharani. Jeśli zrobi się w nich miniaturowe dziurki, których nie jesteś w stanie dostrzec, skrzydlaty kretynie. Przy takiej temperaturze i wilgotności powietrza wystarczą dwa dni i twoja cudowna manna, która smakuje zazwyczaj jak tłusta wata, robi się

zgniłym gównem nie do jedzenia. W sam raz dla żołdaków z Królestwa.

– No nic. – Przywódczyni wyprawy westchnęła ciężko. – Wygląda na to, że będziemy zmuszeni zorganizować polowanie. Chyba nie mamy innego wyjścia.

Kobold i gnom rozpromienili się od razu, bo wizja świeżego mięsa bardzo przypadła im do gustu.

– Racja, pani. Święta racja. Trzeba ruszyć na polowanie – gorliwie zgodził się Kurgul.

A ciesząc się, sukinsyny, pomyślał nienawistnie Matariśwan. Ciekawe, jak będziecie się radować, kiedy Bhawa i Śarwa pokąsają wasze zapasione tyłki.



Polowanie miało się odbyć następnego dnia. Sigil od razu rozpoczął przygotowania. Mimo nalegań Daimona zarówno Sereda, jak i Nesanel kategorycznie odmówili mu udziału w wypadzie do lasu.

– Jeśli znów naruszysz połamane żebra, mogą przebić ci płuca i doprowadzić do potężnego krwotoku wewnętrznego, którego nie będę umiał powstrzymać – ostrzegł uzdrowiciel.

– Sam widzisz – prychnęła Świetlista. – Nie idziesz i już.

Frey, który poczuł się przez chwilę jak skarcony uczeń, miał ochotę zbuntować się i dobitnie pokazać, gdzie ma zalecenia czarodzieja oraz rozkazy Seredy, lecz w duchu musiał przyznać, że nadal jest bardzo obolały i słaby, więc w końcu odpuścił.

Grupa złożona z Marutów, weteranów oraz kilku krzepkich tragarzy wyruszyła popielatym, mglistym przedświtem. Niebieskawy opar wisiał nad dżunglą jak cienka firanka. Lecz słońce nie zdążyło jeszcze dobrze wychynąć spoza horyzontu, gdy do obozowiska wpadli siny ze strachu Kurgul i jeszcze jeden gnom.

– Potwór! Potwór ich porwał! – krzyczeli obydwaj, trzęsąc się z przerażenia.

– Jak? – zdołała tylko wyjąkać Sereda.

– Paszczą! – jęknął Kurgul. – Tylko kłapnął: łaps! I zaraz pochwycił biednego Gluka. A po nim od razu Moguta. Przepadli na zawsze, pani! Już ich nie zobaczymy!

– Bzdury! – warknęła twardo. – Odbijemy ich, przekonacie się niedługo.

Starła się udawać pewność siebie, ale tak naprawdę nie bardzo wierzyła w powodzenie misji ratunkowej. Jednak sumienie nakazywało szukać zaginionych. Podejrzewała, w jakim celu uprowadzono tragarzy, i nie potrafiła skazać ich na tak straszny los. Nie zasłużyli na niego.

Prawdę mówiąc, nikt nie zasłużył.

Bała się. Naprawdę się bała. Bo to porwanie mogło uruchomić lawinę kolejnych. Jeśli tutejsi bogowie zwrócą na wyprawę swoje gniewne oko, członkowie ekspedycji będą mieli marne szanse na powrót do domu.

Wkrótce wszyscy możemy nakarmić swoją krwią głodną Matkę Ziemię, pomyślała w popłochu.

Jednak nie mogła pozwolić, żeby panika zasnęła jej umysł mgłą hysterii. Postanowiła wziąć się w garść, jak przystało dowódcy.

– Jak ten potwór wyglądał? – spytała surowo.

– No wielki! Czarny! Pies czy wilk, kto go wie? Już tu był przecież i wszystkich wtedy zeżarł!

Pobladła gwałtownie.

Xolotl! To musiał być znowu on. Gwiazda Wieczorna znów wyruszyła na łowy. Lecz tym razem nie po to, żeby napełnić żołądek, lecz by zapewnić posiłek istocie o wiele potężniejszej, mroczniejszej i bardziej krwiożerczej niż samo Zwierzę.

Zadrżała na samą myśl o tym.

Drgnęła, gdy Daimon położył jej rękę na ramieniu.

– Już zwołałem resztę weteranów – oznajmił spokojnie. – Idziemy na pomoc.

– Dobrze. – Skinęła głową.

Nic więcej przecież nie mogła powiedzieć.

Uważaj na siebie, prosiło spojrzenie, którym go obdarzyła, kiedy odwracał się, żeby dołączyć do żołnierzy.

A jednak załapałem się na to polowanie, pomyślał cierpko, zagłębiając się w nieprzyjazny, wilgotny i upalny zielony półmrok dżungli. Sereda się nie myliła. Miał barwę jadeitu.



– Tędy, Abaddonie! Spójrz! Wszędzie tu są ślady krwi! – usłyszał wołanie Setanela, gdy wraz z resztą weteranów dołączył do członków nieudanego polowania.

Kurgul był zbyt przerażony, żeby wskazać im drogę, ale drugi gnom wykazał się o wiele większą odwagą. Zanim uciekł z powrotem do łodzi, pokazał skrzydlatym ukrytą pośród zieleni strugę, wzdłuż której szła ekspedycja wysłana po świeże mięso. Niewielki oddział ratunkowy pod wodzą Daimona nie musiał zbyt długo podążać w górę wąskiego strumienia, nim znalazł żołnierzy Królestwa i Marutów z obnażoną bronią w dłoniach, rozglądających się nerwowo wśród gęstwiny.

Po drodze Frey napotkał uciekających w popłochu tragarzy ocalałych z pogromu uczynionego przez Xolotla. Sereda kazała niedoszłym myśliwym trzymać się wody, żeby potem mogli bez trudu odnaleźć drogę powrotną do obozowiska.

– Podszedł strasznie blisko obozu, pieprzony kundel – warknął dowódca weteranów na widok Anioła Zagłady. – Chyba twoja nauczka nie zrobiła na nim specjalnego wrażenia, Abaddonie.

– Może ma krótką pamięć – skwitował Daimon, uważnie przyglądając się połamanym gałęziom i ziemi schlapanej jeszcze ciepłą czerwienią.

Ostry, krzyczący szkarłat wyraźnie odcinał się od wszechobecnej zieleni dżungli, jakby krew porwanych głośno dopominała się o pomstę.

– Nie sądzę, żebyśmy odnaleźli ich żywych – mruknął Frey bardziej do siebie niż do Setanela. – Tu jest tyle krwi, że można napełnić całe Morze Czerwone.

Dowódca weteranów westchnął.

– Mimo to nie powinniśmy się wycofywać. Nie darowałbym sobie, gdyby się okazało, że choć jeden z tych nieszczęśników żyje i czeka rozpaczliwie na pomoc. Nie

wolno nam ich zawieść, Daimonie.

Pewnie, pomyślał Anioł Zagłady z przekąsem. Żołnierze Królestwa są gotowi na wszelkie poświęcenia. Nawet jeśli to zgoda na chwalebna śmierć w cuchnącej zgnilizną paszczy zasranego Xolotla. Taki już nasz los, obawiam się.

Obrzucił towarzysza ciężkim spojrzeniem.

– Nie powiedziałem, żeby wracać. Na pewno nie, póki nie znajdziemy ostatniego porwanego tragarza. Albo jego ciała. Po prostu nie żywię specjalnej nadziei, kiedy widzę taką jatkę.

– Nadzieja to lampa w dłoni Światłości – oświadczył sentencjonalnie Setanel, ale po jego minie można było wnioskować, że on także nie spodziewa się z powodzeniem zakończyć tej misji. – Chodźmy. Ślady wiodą w bok od strumienia, w głąb dżungli.

Pewnie, pomyślał cierpko Abaddon. A gdzieżby indziej?



Ogromny czarny cień wypadł z zielonkawego półmroku tak nagle, że nikt nie zdążył nawet krzyknąć. Nieszczęsny Labadiel, jeden z weteranów Królestwa, zdążył tylko zobaczyć przed sobą lśniące, białe jak błyskawica kły i płonące żółtym blaskiem ślepią, nim padł na ziemię z przetrąconym karkiem. Oderwany płat skóry z pleców przypominał groteskowe trzecie skrzydło broczące świeżym karmazynem.

Na ten straszny widok krzyczeć zaczęli wszyscy żołnierze. Niektórzy klęli, inni dopraszali się łaski Światłości, pozostali, zamarli ze zgrozy, powtarzali tylko imię poległego przyjaciela.

– Skupić się w zwartą grupę! – rozkazał natychmiast Setanel, ale to akurat nie było proste.

Dżungla tworzyła zbitą, zwartą gęstwę roślin, zieloną tkanę, w której musieli mieczami wyrąbywać sobie drogę. Nie było żadnych ścieżek, żadnych duktów wydeptanych przez zwierzęta, żadnej przestrzeni, żeby się chociaż obrócić, rozłożyć skrzydła. Płatanina lian, gałęzi i korzeni nieustannie chwytła za nogi, ręce, ramiona, chłostała w twarz wilgotnymi, lepкими liśćmi. Parne powietrze, wściekle gorące, przepojone zapachem gnijącej roślinności, wydawało się gęste niczym galareta. Dławiło. Napierało na intruzów, którzy ośmielili się wtargnąć do odwiecznego tropikalnego lasu.

Daimon czuł się tutaj jak dziecko zaplątane w monstualny mokry hamak.

Żołnierze podjęli próbę zgromadzenia się wokół dowódcy, lecz spełzła ona na niczym. Skończyło się tak, że stworzyli kilka małych grup znajdujących się w możliwie niewielkim oddaleniu. Anioł Zagłady stał sam, parę kroków za nimi. Przez grubą zasłonę pnączy ledwo widział sylwetki najbliższych stojących skrzydlatych. A może to były jednak poprzerastane, oplecione lianami pnie drzew? Nie potrafił stwierdzić.

Dawno już zgubili Marutów, tamci wsiąkli w dżunglę niczym krople deszczu w trawę. Synowie Rudry musieli się znacznie oddalić, gdyż nie reagowali na żadne rozkazy ani okrzyki.

Weterani zostali sami w dżungli, której nie znali, nie lubili i, trzeba przyznać, odrobinę się lękali.

I mieli powody.

Stwór, który zmaterializował się z zielonego półmroku, jakby stworzyły go pnącza i liście, był wielki i groźny. Składał się z samych oślepiająco białych zębów, pałających blaskiem oczu i rozedrganej, poszatkowanej cieniami, skłębionej sierści. Wydawał się ogromny i biały niczym księżyc, który spadł z nocnego nieba, żeby zabijać.

A to potrafił robić naprawdę dobrze.

Resel, stojący tuż za Setanelem, nagle wyrzucił ręce w górę, jakby miał zamiar wieszczyć, wydał z siebie straszliwy, agonalny krzyk i upadł pod stopy dowódcy. Zaszokowany przywódca weteranów patrzył bezradnie na grube, fioletowo-czerwone węże jelit wylewające się z rozdartych powłok brzusznych swego podkomendnego. Rozpełzały się po ziemi, jakby pragnęły jak najszybciej uciec z martwego ciała.

– Na Jasność! – zdołał tylko jęknąć anioł.

Nieuchwytny, zrodzony z ciemności potwór musiał przecież przemknąć tuż obok niego. Tuż obok. A skrzydlaty nie poczuł nawet muśnięcia jego sierści, poruszenia powietrza wywołanego gwałtownym ruchem. Niczego.

Czy to upiór? Zjawa? Duch? – zdążył pomyśleć zupełnie skonsternowany, gdy nagle rozległ się kolejny rozdzierający wrzask. Gdzieś niedaleko, chyba nawet na wyciągnięcie ręki Frey kłął rozgłośnie i tłukł ostrzem Gwiazdy Zagłady pobliskie zarośla, jakby to mogło w czymś pomóc.

– Kurwa! Ożeż kurwa! Co się dzieje?! Kto zginął?!

Tym razem Setanel zobaczył napastnika. Pies albo wilk wielki jak byk, warcząc gardłowo, wyłonił się na sekundę z gęstwy, przeskoczył tuż nad dowódcą weteranów i wpadł w listowie za jego plecami, kierując się tam, gdzie znajdował się właśnie Anioł Zagłady.

– Uwważaj, Abaddonie! – zdążył tylko zakrzyknąć żołnierz. – Pędzi na ciebie!

Potem usłyszał wściekły, głuchy warkot, wyraźny odgłos łamanych gałęzi i szybkie uderzenia miecza.

– Gdzie? – rozległ się naraz ochryply, przepojony gniewem głos Tańczącego na Zgliszczach. – Gdzie to zasrane, pieprzone bydło?

– Tam! Zdaje się, że tam! Widziałem chyba jakiś cień – zawołał ktoś z takiej oddali, że jego głos ledwo dochodził do uszu Setanela.

– Ja mu pokażę odpierdzielać cholernego psa Baskerville'ów! – wrzasnął Abaddon z furią zdolną chyba powalić najbliższe drzewa. – Ja mu, kurwa, pokażę! Żołnierzy mi żre, zasraniec! To się zaraz udławi!

Uderzenia miecza o krzaki wzmogły się, brzmiały teraz jak jękliwe szepty, jak śmiertelna modlitwa padających łańców, więc dowódca weteranów zrozumiał, że Frey kosi dżunglę Gwiazdą Zagłady, jakby to była maczeta.

Goni to coś, dotarło do niego. Psa nie psa, Xolotla czy inną zarazę. Goni sam i nie ma zamiaru oglądać się na resztę oddziału. A to bardzo niedobrze.

– Daimonie, stój! – zawołał. – Nie rozpraszaajmy się, na litość Jasności! Temu pieprzonemu stworowi właśnie o to chodzi!

Ale było już za późno. Ogarnięty dziką, zaciekłą wściekłością Frey ani myślał go słuchać. Chciał tylko dopaść tego krwawego, podstępnego syna przeklętej suki i tym

razem poszatkować go na eleganckie futrzane kawałeczki. Parł więc w dżunglę, młóćąc mieczem, jakby znów rozbijał kalekie wszechświaty na rozkaz Jasności.

I w żadnym razie, za żadną cholere nie zamierzał wrócić, póki nie dokona na podłym psie słusznej zemsty w zapalczwym gniewie.



Wbijał się głęboko w tropikalny las, tworząc przed sobą i za sobą tunel wyciętych lian oraz gałęzi, który zaraz zamykał się za nim zasłoną kolejnych pnączy, liści, pędów lub barwnego tropikalnego kwiecia. Ani się obejrzał, gdy stracił jakikolwiek ślad obecności weteranów, nie wspominając już o Marutach. Dżungla wchłaniała Daimona, czyniąc z niego kolejny cień w krainie zwiaków i omamów.

Anioł Zagłady brnął długo w zieloność, coraz wolniej i mniej zaciekle, bo szybko zaczął tracić siły, kiedy ramiona i boki znów odezwały się ostrym, przejmującym bólem. Wkrótce sam już nie wiedział, czy tropi potwora, czy może to on właśnie jest śledzony. Wydawało mu się, że zewsząd zerkają na niego wygłodniałe, dzikie, szalone ślepia nieznanych zwierząt, a za plecami wciąż słyszał ciężkie stąpanie i zdyszany, warkotliwy oddech.

Czy to Xolotl, czy inna wściekła cholera z lasu? Skąd miał wiedzieć.

Zatrzymał się i rozejrzał wkoło skonsternowany. Jego płonący, oślepiający gniew przygasł nieco, przemieniwszy się w żar niepokoju i skupioną czujność. Stał z mieczem w dłoni, gotowy na atak nieznanego wroga.

Zbita gęstwa drzew przerzedziła się wprawdzie i Frey nie musiał już używać Gwiazdy Zagłady jako maczety, ale to w niczym nie poprawiało sytuacji. Znalazł się sam w obcym, wrogim terenie, prawdopodobnie celowo odłączony od drużyny i zapędzony w pułapkę. Ledwie zdał sobie z tego sprawę, gdy zębaty kłęb mięśni obrośniętych ciemną, grafitową sierścią po prostu zmateriałizował się nagle z półmroku dżungli i rzucił na niego.

Daimon natychmiast zamachnął się mieczem, tnąc potwora prosto przez łeb, ale nie trafił. Olbrzymi zwierz wywinął się zwinnie i znów zaatakował. Tuż przed twarzą Abaddona kłapnęła paszcza pełna zabójczych kłów, mignęły oczy jarzące się ponurym blaskiem agresji i zaciekłości.

To wilk, nie pies, zdążył zauważyć Anioł Zagłady, składając się do kolejnego ciosu. W dodatku zupełnie zwyczajny, chociaż nienormalnie wielki.

Chybił o włos, ostrze przefrunęło tuż nad karkiem stwora, muskając najeżoną wściekle sierść. Zwierz odskoczył i przywarował, ale sprężone mięśnie ostrzegły Daimona, że odwrót jest tylko pozorny. Wilk odbił się tylnymi łapami i rzucił na anioła. Frey zdołał zrobić unik, czubek Gwiazdy Zagłady zahaczył o ucho stwora i skaleczył niegroźnie. Pojedyncza kropla krwi, która spłynęła z rany, lśniła czerwono niczym rubinowy kolczyk. Drobnny uraz tylko rozwścieczył bestię. Wilk okrążał teraz Tańczącego na Zgliszczach, zmuszając go do kręcenia się wokół własnej osi, jakby był trzpieniem wariackiej karuzeli, a kosmaty potwór – bardzo brzydkim konikiem.

Daimon uderzył jeszcze raz, ale wilczyśko odskoczyło, jakby zamiast łap miało

sprężyny.

Bydlę było niezwykle szybkie i wytrzymałe, musiał przyznać. Postanowił sam rzucić się do ataku, wyprowadzając błyskawiczny, śmiały sztych, i tylko dzięki temu uratował życie, gdyż w tym samym momencie drugi, srebrzysty wilk próbował skoczyć mu na plecy. Potężne tylne łapy trąciły go między łopatkami, kiedy szary jak mgła potwór przeskoczył mu nad głową, zamiast wylądować na karku i zabić jednym kłapięciem kłów.

Teraz obaj drapieżcy tańczyli wokół Abaddona, warcząc i okrążając go wokoło.

Piekielnej karuzeli przybył następny paskudny konik.

Powoli, bardzo powoli, ale skutecznie srebrny wilk zaczął się oddalać od grafitowego, wciąż krążąc po tej samej osi.

Chce mnie zająć od tyłu, zrozumiał Daimon. Wtedy oba zaatakują równocześnie i zostaną obiadem dla jakiegoś padlinożercy.

Poczuł, że znów wzbiera w nim gniew.

Niedoczekanie, parszywe pieski. Nie dam się tak łatwo przegryźć na pół.

Obracał się dalej, pozwalając, żeby srebrzysty znajdował się coraz bliżej jego pleców, gdy nagle, ostro i błyskawicznie, skoczył w bok, wprost na ciemnego, który nie spodziewał się ataku. W ostatniej chwili grafitowy wilk zdążył się uchylić, kiedy klinga Gwiazdy Zagłady już miała uderzyć go tuż za łbem i zdekapitować ostatecznie. Ostrze przejechało po grzbiecie drapieżnika, pozostawiając długą, wyraźną krechę, która natychmiast wybuchła czerwienią.

Zraniony wilk zawył rozpaczliwie, przypadł skulony do ziemi. W jego ślepiach zamiast gorejącej przed chwilą wściekłości pojawiły się szok i niezrozumienie. W tym samym momencie w głowie Daimona rozległ się przeraźliwy, pełen przestrochu krzyk:

– *Bhawa! Bracie!*

Wilki w Cincalco gadają w sanskrycie? – błysnęła zdumionemu Freyowi przelotna myśl, ale jego ciało już reagowało automatycznie. Zamachnął się i korzystając ze szczęśliwego trafu, że srebrny na mgnienie rozproszył uwagę, ciął go szeroko przez pysk. Napastnik natychmiast zakrzuszył się krwią, ucho mu oklapło pod nienaturalnym kątem, a oczy zalała fala gorącej, drażniącej czerwieni. Rana zapewne nie była bardzo poważna, lecz płynąca z niej posoka oślepiła wilka, a obrażenia odniesione przez towarzysza pozbawiły odwagi i pewności siebie. Przywarował, skomlał. Wielkim ozorem, różowym jak plaster szynki, próbował zlizywać ciepły szkarłat z mordy. Śmierdział krwią i strachem.

Grafitowy w tym czasie pojękiwał cicho.

– *Uciekajmy! Uciekajmy, zanim ten demon nas pozabija!* – Daimon usłyszał nagle w umyśle płaczliwy, przepełniony strachem głos ciemnoszarego.

Znów sanskryt, zrozumiał Anioł Zagłady. Jakim cudem, u diabła?

Warcząc i cały czas warując nisko przy ziemi, obaj drapieżcy zaczęli się tymczasem wycofywać. Abaddon nie zamierzał ich ścigać. Był zbyt zmęczony i obolały. Z wysiłku kręciło mu się w głowie i czuł, że jest już u kresu sił. Żebra rwały, ramię dokuczało, a oddech stał się ciężki i chrapliwy. Wiedział, że w gęstym lesie ma małe szanse wygrać z dwoma wielkimi, groźnymi zwierzętami, nawet jeśli były ranne.

Napastnicy z podkulonymi ogonami i zjezoną sierścią doczołgali się tyłem do gęstej ściany zarośli, zapadli w nią jak w zielony, liściasty ocean i zniknęli. Po krótkiej chwili Frey usłyszał pośpieszny, coraz odleglejszy tupot ich łap.

Nie było wątpliwości. Wilki uciekły. Pozostały po nich tylko pytania bez odpowiedzi.

Kim były? Z jakiego powodu zaatakowały? I czemu, u jasnej cholery, mówiły w sanskrycie?

Daimon, jak wszyscy wysocy rangą aniołowie, znał ponad siedemdziesiąt języków, tak żywych, jak i wymarłych, więc bez trudu rozpoznał, jakim posługiwały się wilki. W końcu sam go używał, przebywając w Meru.

Na razie jednak postanowił porzucić rozważania lingwistyczne na rzecz bardziej praktycznych. A prawda wyglądała nieciekawie. Otóż zgubił się w dżungli, mając przy sobie tylko wierny miecz i mały, podręczny bukłak z wodą, którego zawartość mogła wystarczyć góra na dobę. Żadnego jedzenia, sprzętu do biwakowania, rozpalania ognia czy polowania i oprawiania zwierzyny. Nie zabrał ze sobą nawet noża, tylko Gwiazdę Zagłady i niewielki sztylet.

Idiota, skarcił się w myślach. Polazłeś do dżungli jak na promenadę w Hajot Hakados. A to się teraz zemści.

W porządku, tropikalny las to nie pustynia, miał szansę znaleźć gdzieś w pobliżu pitną wodę. Ale nie drogę powrotną do obozu. Niestety, tego na pewno nie.

Zmęczony do granic możliwości, obrzucił kolumnadę pni niechętnym spojrzeniem.

I musiał się zmierzyć z przykrą rzeczywistością. Nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie się znajduje ani dokąd powinien teraz pójść.



Stał, dysząc ciężko, zanurzony w nieprzyjaznej, nieznajomej zieloności tropikalnego lasu. Jakby znalazł się w potrzasku, w podstępnych szmaragdowych siłkach utkanych z lian, listowia i dusznego, niemożliwie martwego powietrza. To powietrze krystalizowało się wokół, zamykając go w środku, paraliżując ruchy, oblepiając ciało tężejącym potem. Rzeczywiście, miał wrażenie, że w tajemniczy i niepokojący sposób został uwięziony wewnątrz szlachetnego kamienia, tak lubianego przez tutejsze bóstwa.

Wilki mnie nie rozszarpały, pomyślał nagle. Za to pożarł ogromny jadeit.

Żaden pomysł, jak wyzwolić się z wnętrza opalizującego, nieprzeniknionego klejnotu, nie przychodził mu na razie do głowy. Zieleń była wszędzie wokół, osaczała go, zatrząskiwała w pułapce cieni i szmaragdowego poblasku.

Nasłuchiwał długo, ale wokół rozbrzmiewał tylko obcy, niezrozumiały śpiew dżungli. Głosy ptaków, których nie znał. Ostry jak pociągnięcie raszplą skrzek papug. Krzyki i pohukiwania małp. Wrzaski, okrzyki, stęknienia i posapywania stworzeń, których nie potrafiłby nawet nazwać.

Mowa tropikalnego lasu.

Nie znał tego języka, choć brzmiał dla niego jak ostrzeżenie.

Zgubiłeś się, biedny głupku. Jesteś sam pośrodku głuszy, bez najmniejszego

pojęcia, w którą stronę się zwrócić ani gdzie podziła się rzeka. I co teraz?

Nie wiedział, niestety.

Nawet wiatr zawodził wśród liści jakoś inaczej niż w Królestwie. Dziwnie i niepokojąco.

I znikąd, ale to znikąd nie dochodził choćby jeden znajomy dźwięk. Słowo, okrzyk, skrzyknięcie lub plusk wiosła, odgłos kroków. Cokolwiek.

Daimon opuścił ostrze miecza, zgiął się wpół i przycisnął rękę do boku. Żebra naprawdę cholernie mu dokuczały. Wyprostował się z trudem, krzywiąc przy tym boleśnie. Podniósł głowę w górę w nadziei, że uda mu się odnaleźć właściwy kierunek po położeniu słońca. Ale słońce było wszędzie. I nigdzie jednocześnie. Prześwitywało przez zbitą gęstwą drzew słabą, zielonkawą poświatą niczym żarówka przez grube szkło witraża.

Frey doskonale zdawał sobie sprawę, że w obecnym stanie za nic nie zdoła wspiąć się na drzewo, żeby zorientować się, czy dostrzeże gdzieś szarą, leniwą anakondę rzeki. Gdyby spadł, co było raczej pewne, mógłby się jeszcze bardziej połamać. Nie zachwycała go ta perspektywa. Nie kwapił się leżeć na wilgotnym, błotnistym poszyciu dżungli z przetrąconym kręgosłupem, zastanawiając się, jakie żarłoczne, dzikie stworzenie przyjdzie pierwsze, żeby skorzystać z darmowej, wciąż jeszcze świeżej przekąski.

Nie zostałbym długo świeży, pomyślał ponuro. Leżałbym sobie i umierał w parszywy sposób, nadpsuty, nadgryziony i zupełnie niezdolny się poruszyć.

Bardzo mu się nie spodobała ta wizja, która na moment zrobiła się nieprzyjemnie wyrazista. Plastikzna, chciałoby się rzec.

Nie, wspinaczka na drzewo zdecydowanie odpada, postanowił.

Więc co pozostało?

Nic. Na to, niestety, wyszło. Zupełnie nic.

Ponieważ nie miał zamiaru stać w nieskończoność w tej obcej, rozległej, nieprzyjaznej świątyni zbudowanej z liści, pni, lian i poczucia bezradności, ruszył przed siebie, rozgarniając listowie czubkiem Gwiazdy Zagłady.

Kiedy tak brnął przez zielony, roślinny, organiczny jadeit, słyszał nieustannie szydercze, ochryple rechotanie papug. Nie miał żadnych wątpliwości.

Śmiały się z niego.



Matariśwan kochał głęboko swoich wilczych braci i wierzył w ich potęgę jak w opowieści o czynach wielkiego Ramy. Żywił niezbite przekonanie, że Abaddon, rozszarpany ich kłami, leży gdzieś w sekretnych, niedostępnych głębiach tropikalnego lasu jak krwawy łachman.

A nawet jeśli nie, jeżeli jakimś cudem zdołał uniknąć śmierci, jakie ma szanse sam wśród szaleństwa i niebezpieczeństw Cincalco? Mniej więcej takie jak podły Rawana, kiedy podpadł samemu Wisznu.

Nie, nie ma wątpliwości. Ohydne, czarne, skrzydlate ptaszysko z Królestwa, ten wredny, podły Pan Kruk już nie żyje, nawet jeśli w jego piersi bije jeszcze wraże anielskie

serce. Jest arogancki, butny, nieuważny i tępy. Zadufany w sobie. Niczego się nie nauczył podczas wyprawy. Ani tropić, ani budować schronienia, rozpałać ognia czy łowić zwierzyny. Wszystko mu podstawiano gotowe pod ten arystokratyczny, wąski nos.

Matariswan uśmiechnął się krzywo.

Bo skrzydlaty drań z Niebios nie zadbał nawet o to, żeby rozpoznawać trujące lub jadowite rośliny i zwierzęta. Więc teraz albo zdechnie z głodu, albo skona w męczarniach, nażarłszy się toksycznego jedzenia.

O ile w ogóle żyje, w co Mata szczerze i radośnie wątpił. Kiedy Bhawa i Śarwa przystępują do dzieła, nie ma potem czego zbierać. Parszywy Świetlisty może sobie i był Tańczącym na Zgliszczach. Teraz tańczy z kostuchą, ot co.

Dlatego wkraczając do obozowiska nad rzeką, syn Rudry bez lęku przybrał teatralnie zrozpaczony wyraz twarzy i zażądał natychmiastowego widzenia z Seredą. Wybiegła ku niemu blada i niespokojna. Jakże urzekająco piękna w swoim zdenerwowaniu.

Natychmiast padł przed nią na kolana, zawodząc śpiewnie, jak należało w razie śmierci kogoś znacznego i darzonego powszechnym szacunkiem, choć w duszy śmiał się głośno i wesoło z wielkiego ukontentowania.

– Nie żyje, pani! – zakrzyknął. – Cóż za nieszczęście! Spotkała go straszna i niegodna śmierć w paszczy Xolotla! Zginał, maharani! Nic nie mogliśmy zrobić, chociaż walczyliśmy do upadłego! Przysięgam, że do ostatniej chwili próbowaliśmy go uratować! Ale nie słuchał nas, pani! I przepadł na wieki! Nawet nie spalimy jego ciała! Spoczęło w żołądku Zwierzęcia! Co za rozpacz! Co za groza! Ach, jak ciężko mi być posłańcem tak tragicznych wieści!

Patrzyła na niego, mrugając, jakby nic nie rozumiała. Ocean jej szarozielonych oczu momentalnie spowił opar szoku i przerażenia.

– Kto nie żyje? – spytała wolno. – Kto, Mata?

Słowa zdawały się spływać z pobladyłych warg jak mdlący, słodki syrop. Zatruty miód.

– Abaddon! – jęknął syn Rudry. – Tańczący na Zgliszczach został pożarty przez Xolotla, gdy zaatakował go szaleńczo i nierozsądnie, nie usłuchawszy naszych błagań, żeby tego nie czynił!

Sereda doskoczyła do Maruty, potrząsnęła go za ramiona.

– Co ty gadasz?! Co mówisz, na Jasność?! Najadłeś się peyotlu? To jakiś obrzydliwy żart, tak? Daimon nie żyje?! To bez sensu! Niemożliwe! Nieprawda!

– Niestety, prawda, maharani. – Spuścił wzrok, jakby naprawdę się zasmucił. – Jest martwy, a ciało stało się łupem Xolotla. Wszyscy moi bracia to widzieli. Potwierdzą moje słowa.

Potoczyła błędnym wzrokiem po pozostałych Marutach, którzy klęczeli w kręgu, otaczając Seredę i swego dowódcę. Wszyscy skinęli posłusznie głowami.

Sereda zachwiała się, jakby miała upaść. Mata porwał się natychmiast, gotów ją podtrzymać, lecz gniewnie odepchnęła pomocną dłoń.

– Odejdźcie – rozkazała pustym, drewnianym głosem. – Nie upilnowaliście jednego z najwyższych rangą dostojników Królestwa. Przyjaciela regenta i bohatera

Nieba. Pozwoliliście, żeby zginął. Wszyscy jesteście za to odpowiedzialni. Potem pomyślę, jak was ukarać. Teraz... teraz chcę być sama.

Sztywno jak nakręcana lalka odeszła w stronę swojego namiotu. Śmieszna, nieco pokraczna lalka w staroświeckiej, brzydtko uszytej, burej sukni, z czarnymi włosami związanymi w ścisły, surowy supeł. Potknęła się dwa razy, zanim znikła w ciemnym wnętrzu namiotu, ale się nie przewróciła.

Matariśwan odprowadzał ją wzrokiem.

Jeszcze mi podziękujesz, maharani, pomyślał. Zobaczysz.



Daimon nie żyje. Frey umarł. Nie ma go i już nigdy nie będzie. Odszedł na Błękitne Łany, żeby być cieniem w krainie cieni. Na Jasność! On zginął! Jak mogło do tego dojść?!

Nie potrafiła pojąć, ogarnąć, objąć tego faktu rozumem. Był, a nagle go nie ma. Nie odezwie się, nie uśmiechnie, nie rzuci kąśliwej, sarkastycznej uwagi, nie zmarszczy gniewnie brwi. Nigdy nie popatrzy na nią tymi oczami jak gwiazdna pustka, jak dwa fosforyczne zielone okręgi, które obiecują naraz i niebo, i piekło.

Nie umiała w to uwierzyć.

Siedziała bez ruchu na ziemi, tuż za progiem namiotu, bo ledwo weszła do środka, nogi jej się złożyły jak dwa zepsute ostrza sprężynowych noży.

Daimon umarł.

Nie obchodziło jej dlaczego tak cierpi po jego utracie. To nie miało teraz żadnego znaczenia. Nic nie miało.

Tylko ten nieznośny, dojmujący, okrutny brak. Pustka nie do wytrzymania. Śmierć.



Gdyby Matariśwan dobył naraz wajry i wystrzelił z niej do Lucyfera, imperator Głębi byłby mniej wstrząśnięty.

Frey miałby nie żyć? Zeżarty przez jakieś cuchnące bydlę? Psa? Wielkiego, kudłatego kundla zrobionego z mroku i kupy widmowych kłaków? Gość, który zepchnął w Czeluść samego Antykreatora, miałby się dać zjeść psu jak czarny, kanciasty chrupek na poprawę trawienia? No nie. W to Lampka nie był w stanie uwierzyć.

Daimon to Daimon. Anioł Zagłady, Tańczący na Zgliszczach, a nie przekąska dla pierwszego z brzegu psiska.

Lucyfer przyglądał się ukradkiem dowódcy Marutów i dostrzegał coraz więcej niepokojących szczegółów. Ten skryty, wredny uśmieszek, spojrzenia pełne satysfakcji i triumfu, niby to przypadkowe poklepywanie po plecach i ramionach swoich podwładnych, jakby chciał zaznaczyć, że dobrze się sprawili, że czymś mu się przysłużyli. Pytanie czym?

Lucek nie wiedział, ale zamierzał sprawdzić.

Coś mi się widzi, że okropnie ściemniasz, synu krowy, pomyślał. Ściemniasz, kręcisz i kombinujesz.

Że niby Xolotl pożarł Daimona w całości, tak że nic się nie zachowało? I co, Gwiazdę Zagłady też wpierniczył, czy może zatrzymał sobie jako wykałaczkę? Oj, nie podoba mi się to, Matariśwan. Zupełnie nie podoba.

Maruta gadał właśnie z którymś ze swoich braci, zadowolony, jakby ktoś mu postawił darmowe curry.

Za wcześnie się cieszysz, koleś, stwierdził w duchu Lucyfer. Stanowczo za wcześnie.

Bo choć z pozoru miał jeszcze wątpliwości, czuł, że decyzja jest już podjęta. Tym razem sumienie wygrało. Żeby zachować choć część szacunku dla samego siebie, musi ruszyć tyłek i poszukać Daimona.

Westchnął ciężko, bo wcale nie miał na to ochoty. Wolałby wpakować się do łodzi i popłynąć dalej. Ale obowiązki dopadły go nawet w tej dzikiej, zapomnianej przez Jasność głuszy. Prawdziwy imperator Głębi, buntownik, romantyk, krzewiciel idei wolności, znalazłby w sobie dość siły i odwagi, żeby odkryć spisek i ruszyć na pomoc dawnemu kumpłowi. Więc Lucek nie miał wyjścia i musiał temu podołać.

No i koniec spokojnego dreptania z workiem na plecach i leniwego kołysania się w łodzi, zmartwił się. Trzeba wyruszyć do lasu i sprawdzić, co naprawdę spotkało Anioła Zagłady. Ale najpierw skombinować trochę zapasów i wody, bo nie wiadomo, jak długo potrwać poszukiwania. Koc, dobry nóż, zapalniczka i kłębek suchych paków nosił przezornie przy sobie, w prywatnym plecaku wojskowym.

Mówiłem, że będę miał na ciebie oko, dupku, pomyślał, zerkając ponuro na dowódcę Marutów. A to ci może bardzo zaszkodzić, kiedy okaże się, że kłamiesz.

Bo kłamiesz na pewno. Już ja się na tym znam. Nie na darmo nazywają mnie Księciem Kłamstwa.



Rozdział VI



Kiedy Razjel dowiedział się, że Nergal, szef tajnej policji i Urzędu Bezpieczeństwa Głębi, prosi o posłuchanie, poczuł ciarki niepokoju przebiegające po plecach jak dreszcze w trakcie grypy. Tyle że naczelnik Kongregacji Kary, Kaźni i Wiecznej Miłości był o wiele gorszy niż grypa. A nawet zapalenie płuc, cholera czy dur brzuszny. Przypominał raczej nowotwór, złośliwy, podstępny, nieustępliwy i z gruntu zły. Potrafił przyciąć się na długo, a potem uderzyć nagle, żeby ostatecznie zmiażdżyć przeciwnika. W sumie wiele potrafił. Knuć. Oszukiwać. Kłamać. Intrygować. Znęcać się z lubością. No i zabijać. To umiał robić świetnie. Bo pozbawianie innych życia sprawiało mu mnóstwo przyjemności. Bano się go nawet w Królestwie, ponieważ miał opinię wyjątkowego drania i okrutnika. W dodatku nadzwyczaj skutecznego.

Niby tym razem chodziło tylko o rutynowy raport na temat prac Kongregacji, ale Pan Tajemnic i tak czuł się nieswojo. Spotkanie z Nergalem przypominało miłe tête-à-tête z obrzydliwym, śmiertelnie jadowitym pajakiem, a takie wydarzenie zawsze mogło się skończyć katastrofą.

Razjel musiał przywołać na pomoc całe swoje opanowanie i pewność siebie, które nie raz ratowały mu życie lub reputację podczas wielu wieków współzrządzenia Królestwem. A i tak obawiał się tej audiencji.

Szef bezpieczeństwa narodził się kilka tysiącleci wcześniej jako dawne bóstwo sumeryjskie, ale po oficjalnym wyklęciu i zaliczeniu do grona demonów wysmieniecie odnalazł się w Głębi. Jeśli Pan Tajemnic spodziewał się ujrzeć postać z trefioną brodą

i włosami, w tradycyjnych szatach, obwieszoną złotymi ozdobami jak świąteczny stroik, to bardzo się zdziwił.

– Jego Mroczość Nergal – zapowiedział lokaj z ukłonem i największy drań w Otchłani przekroczył próg gabinetu Lucyfera.

Z pozoru nie prezentował się szczególnie groźnie. Niezbyt wysoki, dość szczupłej budowy ciała, z owalną, proporcjonalną twarzą. Włosy stalowosrebrzystej barwy miał starannie i krótko przystrzyżone, czoło wysokie, nos prosty. Usta i podbródek okalała niewielka, schludna bródka. Ale pod równymi, niezbyt wyrazistymi brwiami świeciły zimne, bezduszne, budzące grozę oczy gada. Szare tęczówki jak dwie niklowe, wytarte monety wydawały się przyszpilone do oczodołów maleńkimi, nieruchomymi gwoździkami żrenic. Takie spojrzenie mógł mieć tylko psychopata.

To wariat, pomyślał w popłochu Razjel, podczas gdy szef bezpieczeństwa witał się uprzejmie cichym, pozbawionym intonacji głosem telefonicznego robota. Tak, na pewno wariat. W dodatku cholernie niebezpieczny.

– Co cię sprowadza, Nergalu? – zapytał Pan Tajemnic bez specjalnych wstępów.

Chciał mieć już to spotkanie za sobą, a jednocześnie starał się sprawiać wrażenie rzeczowego i konkretnego.

Oblicze naczelnika Kongregacji z pozoru pozostało tak samo nieporuszone jak u drewnianej lalki, jednak Razjel dostrzegł od razu drobniutkie, nieznaczące poruszenie brwi. Niemal niezamierzony tik.

Błąd, zrozumiał Księżę Magów. Popełniłem jakiś błąd, a on go natychmiast wykrył. Na Jasność, suczy syn jest bystry jak górski strumień. Muszę bardziej uważać.

Problem w tym, że nie wiedział na co.

– Zwyczajowy kwartalny raport, imperatorze. – Głos Nergala brzmiał zupełnie nijak, bezosobowo i nieco monotennie, lecz archanioł od razu wyobraził sobie, jak szef bezpieczeństwa zadaje tym samym tonem pytania udręczonej, skatowanej ofierze gdzieś w głębokich piekielnych kazamatach Kongregacji. – Jak co trzy miesiące, dzień po pełni.

– Mam tyle obowiązków, że tracę poczucie czasu. To już była pełnia? No nic. Zaczynaj, proszę.

Znów ledwo dostrzegalne drgnięcie ust okolonych elegancką, schludną bródką.

Błąd. Błąd. Błąd!

Co, u diabła, robię nie tak? – zastanowił się Razjel.

Grunt, żeby nie stracić zimnej krwi i nie okazać zdenerwowania. Musiał się trzymać. Trzymać prosto jak stalowy drut.

Nergal tymczasem nieśpiesznie otworzył grubą teczkę i zaczął odczytywać raporty. Ku nieopisanej uldze Księcia Magów nie były to szczegółowe protokoły przesłuchań, tylko nudne i banalne sprawozdania z niezliczonych posiedzeń i spotkań, dokumenty księgowo, wyliczenia oraz tabele obrazujące wkład pracy poszczególnych wydziałów. Słowem, biurokratyczny bełkot.

Po upływie jakichś kilkudziesięciu minut szef Urzędu Bezpieczeństwa zamknął starannie teczkę, a Razjel poczuł się jak wypuszczony z więzienia.

Pójdzie sobie, pomyślał z radością. Zaraz pójdzie i będzie po wszystkim na całe długie trzy miesiące. To kupa czasu. Kto wie, co się może wydarzyć? Lucek wróci do

Głębi, a ja do Królestwa. Do domu! Nareszcie!

Z trudem zmusił się, żeby utrzymać obojętny wyraz twarzy, zamiast szczerzyć zęby jak głupi. Bo audiencja się skończyła, a Królestwo wydawało bliskie na wyciągnięcie ręki.

Jednak Nergal wcale nie kwapił się do wyjścia. Wpatrywał się w domniemanego imperatora tym zimnym, nieodgadzionym wzrokiem gada.

– Aha, jeszcze jedno, panie – oświadczył, jakby coś sobie nagle przypomniał, choć zdaniem archaniola miał to od początku zaplanowane. – Namierzyliśmy gniazdo buntowników i opozycjonistów. Proszę o oficjalną zgodę na zrównanie go z ziemią i natychmiastowe aresztowanie wszystkich wichrzycieli.

Łup! No i niebo spadło na głowę biednego Pana Tajemnic. Rozsądek nakazywał mu wydać przyzwolenie i zapomnieć o całej sprawie. Ale sumienie... cóż, sumienie protestowało jak szalone.

To Kongregacja! Najstraszniejsze miejsce w Kosmosie! Krew, śmierć, tortury i wieczne cierpienie. Jedyne prawdziwe piekło w piekle! Nie wolno ci nikogo skazać na tak okrutny los, nie zbadawszy, czy w ogóle jest winny! Wiesz przecież, kto przed tobą stoi. Nergal. Samo zło. Podstępny, bezwzględny oprawca. Zaufasz mu w kwestii życia jakiegokolwiek istoty, nawet drugiego demona? Jesteś w stanie tak postąpić, odwrócić wzrok, umyć ręce, przykryć zbrodnię całunem wyższego dobra? Jak bydlę i drań? Jak Piłat? Opanuj się, Razjelu! Opanuj i przyjrzyj sobie dobrze, zanim będzie za późno!

Nie, nie chciał się splamić krwią niewinnych. Już kiedyś to zrobił i wiedział, że nie było warto. Jeśli powtórzy ten błąd, równie dobrze może na zawsze pozostać w Głębi, nie jako rycerz Światłości, lecz upadły demon.

Stał, patrząc na Nergala, jakby ten zamienił się nagle w gorejący słup.

– Imperatorze? Coś się stało?

Znów ten beznamiętny, uprzejmy głos automatu.

– Zamyśliłem się – oznajmił Razjel i chyba nigdy w życiu nie był bliższy prawdy.

Bo myślał. Myślał rozpaczliwie, jak wybrnąć z pułapki i nie zdemaskować przybranej tożsamości.

Co zrobiłby Lucek? Co by powiedział, na Jasność? Cholera, co ten przeklęty Lampa by postanowił?!

Szef bezpieczeństwa przyglądał mu się z uwagą niczym kobra polująca na mysz.

Zaraz zatopi we mnie jadowe kły, stwierdził Książę Magów. A jak capnie, to już nie puści. Walcz, chłopie, bo inaczej zaraz posypie się pierze z twojej anielskiej dupy.

– Gniazdo buntowników, powiadasz? – spytał w końcu, żeby zyskać na czasie. – Gdzie, na Mrok? W samej Głębi? W którym kręgu?

Wąskie usta Nergala drgnęły nieznacznie i skrzywiły się lekko, jakby szef bezpieczeństwa przypomniał sobie jakiś niesmaczny kąsek.

– Niestety, imperatorze. Dlatego potrzebna jest niezwłoczna interwencja.

Razjel natychmiast zauważył ten drobnutki grymas, maleńką, niemal niezauważalną oznakę niezadowolenia. Błąd. Błąd, który tym razem popełnił naczelnik Kongregacji. A więc nie jest taki doskonały, jak się z początku zdawało.

– Nie odpowiedziałeś, w którym kręgu, Mroczny – rzucił niby od niechcenia.

I znów dostrzegł krótkie mrugnięcie, niemal niezauważalne skrzywienie warg. To

nie było wygodne pytanie. Jednak ponieważ zadał je imperator, wymagało odpowiedzi. Prawdziwej, niestety, choć szefa tajnej policji na pewno kusilo, żeby skłamać. Lecz oszustwo mogło za drogo kosztować, żeby się opłacało.

– W Szóstym – odrzekł Nergal, jakby coś wypluwał.

Pan Tajemnic nie musiał udawać zdziwienia, był naprawdę zaskoczony.

– Tak blisko Pandemonium? Niemal przy Pałacu Pięści? Jak to możliwe?

Naczelnik Kongregacji skłonił się lekko.

– Bunt i występki wszędzie się pleni, panie. Nie ma bezpiecznych miejsc. Dlatego nieustannie czuwamy i zapobiegamy atakom oraz aktom terroryzmu.

– To chwalebne – sarknął Razjel, który wpadł nagle na zbawienny pomysł. – Chciałbym zobaczyć to miejsce.

Zdumienie i złość malujące się na obliczu Nergala wydały się Panu Tajemnic bardziej wartościowe niż bezcenny klejnot. Naprawdę, warto było je ujrzeć.

– Ależ, imperatorze, nie możesz uczestniczyć w pacyfikacji! To zbyt niebezpieczne.

Archanioł w ciele demona uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Nie mam zamiaru w niej uczestniczyć. Pojadę tam przedtem i sam zdecyduję, co robić.

Gdyby wylał na szefa bezpieki nocnik pełen nieczystości, nie mógłby go bardziej wkurzyć. Twarz mu się skurczyła, na sekundę obnażył zęby niczym warczący pies.

– Nie zgadzam się! – syknął. – Nigdzie nie pojedziesz!

Nie tak podwładny powinien się odnosić do imperatora Piekieł i Nergal natychmiast zdał sobie z tego sprawę. Poniewczasie.

– Zabraniasz mi, Mroczny? – Głos Razjela zrobił się zimny niby zamarzający wodospad.

Naczelnik Kongregacji opanował się w mgnieniu oka. Ale błąd został już popełniony i karty leżały odkryte. Pan Tajemnic mógł czytać w nich niczym w tarocie. Niechybnie szef Urzędu Bezpieczeństwa szykował jakiś grubszy szwindel.

– Wybacz, panie. Twoja pochopna decyzja bardzo mnie przeraziła. Jako urzędnik odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo stanowczo odradzam podobne szaleństwa. Ci buntownicy są zdolni do wszystkiego. Pozwól, że sam się nimi zajmę.

Uśmiech Księcia Magów był ostry i jasny jak sztylet.

– Pozwól, że to ja wydam ostateczny werdykt.

Ale Nergal nie przestawał protestować.

– Ta akcja nie ma szansy się udać, imperatorze. Wichrzyciele uciekną, kiedy tylko zobaczą, jak nadciągasz z orszakiem.

Spojrzenie, które posłał mu Razjel, było tak wyraziste, jakby mówiło: „Masz mnie za kretyna, Mroczny? Oj, zaraz ci udowodnię, jak bardzo się mylisz”. Naczelnikowi tajnej policji nie pozostało nic innego, tylko spuścić wzrok. I słuchać.

– Dlatego nie będzie żadnego orszaku. Pojedziemy razem, ty i ja. Oczywiście w przebraniach. Na przykład dziś wieczorem. Albo nie. Właśnie teraz. Za chwilę. To odpowiednia pora, nie sądzisz?

Książę Magów nie miał zamiaru ryzykować. Coś mu w duszy mówiło, że gdyby

wypuścił teraz Nergala, szef bezpieczeństwa natychmiast posłałby swoich siepaczy we wskazane miejsce, a potem ściemniał w żywy kamień, że domniemani terroryści zostali ostrzeżeni i po prostu je opuścili.

Wydawało się, że zimne, zmijowe oczy naczelnika Kongregacji nie są w stanie zapłonąć, a jednak. Teraz jarzyły się wściekłym, nieokiełznanym gniewem.

– Sądzę, że to chybiony pomysł, panie. I nadzwyczaj niebezpieczny.

Z tym archanioł musiał się zgodzić. Podpadanie komuś takiemu jak Nergal stanowczo niosło ze sobą potężne ryzyko. Jednak nie umiał postąpić inaczej. Nie zniósłby, gdyby znów ktoś przez niego zginął.

– Odrobina adrenaliny dodaje smaku życiu jak sól potrawom – oświadczył z pozorną wesołością. – Nie traktuj wszystkiego tak poważnie, Nergalu. Zabawmy się w detektywów tropicieli. Zawołam służbę, żeby przyniosła nam odpowiednie stroje.

Wolałby poklepać pryzmę nawozu niż ramię szefa bezpieczeństwa. A jednak zrobił to, choć Mroczny wyglądał, jakby miał zamiar odgryźć mu palce.



To było nędzne miejsce. Brudne, smutne, samotne i tak ostateczne jak potępienie. W ruinach wyburzonych lub zapadniętych ze starości kamienic pleniły się krzywe, rozpadające chaty z nisko zwieszonymi okapami spleśniałych dachów. Przypominały siedlisko psich grzybów. Nieliczni mieszkańcy snujący się bez celu pomiędzy budynkami też przywodzili na myśl coś, co narodziło się w głębokiej, pozbawionej światła piwnicy. Błazi jak upiory, wychudli, zwyrodniali, wszyscy z widocznymi śladami chorób lub kalectwa.

Odpadki życia. Prawdziwy śmietnik Otchłani.

Na klepisku, w które zamieniła się dawna ulica, tliły się małe ogniska ze śmieci i zmurszałych ze starości gratów, zasnuwając okolicę czarnym kirem cuchnącego dymu. Małe smoki i chimery, chude tak, że przypominały preparaty anatomiczne, biły się zaciekle o jakieś zgniłe przed wiekami szczątki. Razjel wcale nie miał pewności, czy nie były to resztki jednego z mieszkańców tego żalostnego slumsowiska, śmiertelnie złożonego jakąś zarazą lub po prostu głodem.

Bo wszyscy tu wyglądali na konających z niedożywienia.

Brudne, nagie dzieci z kołtunami wyrudziałych włosów na baniastych głowach. Demonice o ogromnych, pustych oczach zapadłych w oczodoły jak dawno zapomniane, zmatowiałe skarby i piersiach obwisłych niczym puste worki, bose, odziane w sparciałe łachmany. Głębianie tak wychudzeni, że ich klatki piersiowe i brzuchy wydawały się wklęsłe, słaniający się bez celu na krzywych, patykowatych nogach. Starcy zasuszeni jak mumie, z wycieńczenia niezdolni ani wstać, ani choćby się poruszyć, stłoczeni pod ścianami niczym wielkie, skurczone świerszcze, jakby ktoś ich tam zostawił na później.

Nędza. Wszędzie tu królowała skrajna nędza, brak nadziei, perspektyw i choćby odrobiny miłości.

Niech Jasność dopomoże! – myślał poruszony Razjel. To naprawdę przeklęta kraina.

Kiedy wjechali tu wraz z Nergalem i jednym służącym na zadbanych wierzchowych smokach, odziani skromnie, lecz schludnie na podobieństwo prostych głębiańskich robotników, Pan Tajemnic natychmiast odniósł wrażenie, że znalazł się pośród dekoracji do jakiejś koszarnej, surrealistycznej sztuki. Tyle że zupełnie innej niż ta, w której miał wystąpić. Chyba nigdy w życiu nie czuł się tak bardzo nie na miejscu.

Nędzarze obrzucali przybyszów obojętnymi spojrzeniami, jakby nic już nie mogło ich zdziwić. Nawet jeśli niektórzy patrzyli spode łba, nieprzyjaźnie lub groźnie, i tak byli zbyt chorzy i słabi, żeby zaatakować.

Książę Magów jechał przez tę apokalipsę nędzy, nie mogąc uwierzyć, że to naprawdę Szósty Krąg. Lecz w zadymionym, smrodliwym powietrzu wyraźnie i szyderczo majaczył rozedrgany, nierzeczywisty obraz pobliskiego pałacu Pandemonium i innych zabudowań publicznych.

Razjel patrzył na to spustoszenie i nie mógł zrozumieć, w jaki sposób podobne siedlisko najżałośniejszej biedy znalazło się w bogatym, majestatycznym Szóstym Kręgu.

– Nergalu, skąd wzięli się tutaj ci nędzarze? – zapytał, ścisząc głos.

– To tylko hołota, panie – warknął szef bezpieczeństwa. – Żywe śmieci. W dodatku element wywrotowy, jak już wspominałem.

– Na Mrok! – zirytował się archanioł. – Spójrz tylko na nich! Żaden nie ma siły, żeby wyrzucić puste wiadro, a co dopiero rząd i parlament Otchłani. To jacyś uchodźcy czy co?

– Nie sądzę. – W głosie Nergala pobrzmiwały tony niezadowolenia i nagany. – Nie zwracaj na nich uwagi, imperatorze. Nie są tego warci. Pozwól mi się nimi zająć i wracajmy do Pandemonium. Cały prześmiardłem na wylot od tego odoru.

Młoda demonica wyraźnie na skraju śmierci, kompletnie zobojętniała na wszystko, zatoczyła się nagle wprost pod łapy smoka, na którym jechał Razjel. Szarpnięciem za wodze zmusił wierzchowca do odskoku i w ostatniej chwili ominął nieszczęsną. Upadła na wznak, a wtedy Książę Magów zauważył, że jej wystające kości policzkowe znaczą misterne, delikatne smużki klanowych tatuaży. Popularna ozdoba pośród wysokich rangą mieszkańców Otchłani wywodzących się od pradawnych bóstw orientalnych.

– Czy to są Głębianie? – zapytał poważnie wstrząśnięty.

– Tak – musiał przyznać Nergal, który wyglądał w tej chwili tak, jakby właśnie połykał wyjątkowo dorodną ropuchę.

Pan Tajemnic poczuł, że rodzi się w nim pewne okropne przekonanie.

– Nie tylko Głębianie, prawda? To Mroczni. Demony wysokiego rodu. Co się stało, na Ciemność, że popadli w tak porażającą nędzę?!

– To niedobitki klanu Ormuzda – niechętnie wyjaśnił szef bezpieczeństwa. – Przegrali procesy wytoczone sąsiadom, zadłużyli się po same końce skrzydeł, nie mieli z czego spłacać, więc zaraz potem zaczęły się niekończące wendety, zabójstwa i zbrodnie. Upadli i tyle. Sąsiedni klan ich zniszczył. Nic nowego w Głębi. Zwykła kolej rzeczy. Teraz trzeba tylko dokończyć dzieła ewolucji i wyplenić chwasty do zera. Możemy już wracać? Dłużej nie wytrzymam tego ohydny fetoru.

– Możemy – zgodził się Razjel, zawracając smoka. – Kiedy tylko znajdę się znów w Pałacu Pięści, natychmiast zajmę się tą sprawą. Jeszcze dziś dopilnuję, żeby trafiła do

nich odpowiednia pomoc medyczna i finansowa.

– Co?! – Nergal aż się zakrztusił wściekłością. – Ależ, imperatorze, to fatalny pomysł! Przecież oni są buntownikami, zagrażają bezpieczeństwu i stabilności Głębi! Knują przeciw władzy, czyli tobie, panie! Ośmielają się podważać wyroki sądu! Sam słyszałem, jak wygrażają imperatorowi i wszystkim jego urzędnikom! Są groźni i dlatego natychmiast powinni zostać osadzeni w więzieniu Kongregacji!

– Przede wszystkim są głodni – uciął Razjel. – I bardzo chorzy. W tym stanie nikomu nie zagrażają. Nic dziwnego, że mają żal do Otchłani, która w majestacie prawa doprowadziła kwitnący, szanowany klan do ruiny. Na ich miejscu każdy by narzekał. Zresztą każę sprawdzić wiarygodność tych procesów. Może faktycznie zostali zrujnowani bezprawnie. To moi obywatele, Nergalu. W dodatku wysokiej krwi. Nie mogą zdychać jak wytrute szczury. To by poważnie podkopało moją reputację. Nie dyskutuj, to postanowione. Udzielimy im wsparcia i zbadamy, czy przewody sądowe zostały przeprowadzone zgodnie z literą prawa. To rozkaz, naczelniku.

– Tak jest, panie – wysyczał jadowicie Nergal, jakby na chwilę zmienił się w żmiję. Zawrócił smoka i posłusznie ruszył za Razjelem, choć gniew płonący w jego szarych, gadzich oczach byłby zdolny obrócić w proch nie tylko zrujnowaną siedzibę klanu Ormuzda, ale całą Głębię.



Wielki Kanclerz Piekieł był nieco zdziwiony, kiedy imperator nakazał mu sprawdzenie ksiąg wieczystych i rozpraw sądowych dotyczących rodu Ormuzda, ale skrupulatnie wykonał polecenie.

Nawet kancelaria i oficjalny gabinet Adramelecha zawałone były mnóstwem sprzętu rusznikarskiego i sztuk broni w różnym stopniu rozebranych na części. Na półkach, regałach i parapetach piętrzyły się szkice, rysunki techniczne oraz różne zapiski dotyczące działania najdziwniejszych karabinów, dział, sztucerów, pistoletów i rewolwerów, z jakimi Pan Tajemnic kiedykolwiek się zetknął.

Jednak ciężkie hebanowe biurko sterczące jak mała wyspa na środku dywanu było starannie wysprzątane. Zaścielały je tylko posegregowane dokumenty dotyczące dziejów klanu Ormuzda.

Razjel, który wciąż żywił poważne wątpliwości dotyczące pacyfikacji rzekomego „gniazda buntowników”, pochylił się nad papierami.

– Jaki obszar gruntów należy do tego zrujnowanego klanu? – zapytał, wpatrując się w mapę.

– Całkiem spory. Od Jeziora Krwi aż po Pagór Smętku. Ten teren obejmował rezydencję rodziny, kilkanaście wsi oraz miasteczko o nazwie Zatracenie. Tam teraz koczują niedobitki potomków Ormuzda.

– Adekwatna nazwa – mruknął archanioł. – Nie rozumiem czegoś, kanclerzu. Dlaczego komornicy nie zajęli ziemi na poczet długu?

– Bo nie mogli. Spójrz, panie. – Adramelech wskazał odnośny zapis. – Przed eonami, podczas Wielkiej Wojny Wyzwoleńczej, Ormuzd uratował życie

Mefistofelesowi, odniósłszy przy tym poważne rany. Mefisto w podzięcie ofiarował tę ziemię wybawicielowi i wszystkim jego potomkom. Mają do niej niezbywalne prawo. Jeśli żyje choć jeden spadkobierca, w którego żyłach płynie krew Ormuzda, gruntu nikt inny nie może tknąć.

– Hmm, teraz to jasne. – Razjel podrapał się w zamyśleniu w kanciastą, wydatną szczękę Lucyfera, zastanawiając się cierpko, jak gładko perfidny akt buntu przeciw Jasności stał się naraz w Głębi Wielką Wojną Wyzwoleńczą. – Nie pojmuję tylko, czemu nie sprzedali ziemi, żeby zwrócić wierzytelom pieniądze.

Naczelný rusznikarz Otchłani potrząsnął tylko głową.

– Nigdy tego nie zrobią, panie. Ziemia to wszystko, co jeszcze trzyma ich przy życiu. Bez niej naprawdę stają się wyrzutkami, śmieciami i nędzarcami. Dokąd pójda? Gdzie znajdą pożywienie? Schronienie? Przecież nikt ich nie zatrudni. Tylko dzięki ziemi mają jeszcze resztkę nadziei na odbudowanie klanu. Nie, nigdy się jej nie wyzbęda. Będa się jej trzymać, aż ostatni odda ducha wieczystemu Mrokowi.

– I co wtedy stanie się z gruntem?

– Przejdzie na własność skarbu państwa i zostanie wystawiony na sprzedaż.

– No dobra – powiedział wolno Razjel, któremu właśnie coś przyszło do głowy. – Zastanówmy się teraz, komu ta ziemia może być potrzebna?

– To proste, imperatorze. Każdemu z sąsiadów.

Pan Tajemnic spojrział w jasne, krogulcze oczy Adramelecha.

– A któremuś z nich szczególnie?

– Zaraz się przekonamy. Wystarczy spojrzeć na mapę. No tak, wyraźnie widać. Ziemia należąca do rodu Ormuzda jednym bokiem przylega do terenów stanowiących własność Najmroczniejszego Bela. I odcina je od terytoriów należących do Niniba. Więc teraz już wszystko jasne. Jeśli ktoś odniósłby największe korzyści z przejęcia ziemi Ormuzda, to na pewno Bel.

– Dlaczego? – nie zrozumiał Książę Magów.

Kanclerz Głębi uśmiechnął się krzywo, a uśmiech ten przemknął jak iskra po jego skupionej, wyrazistej twarzy.

– Ponieważ niedługo bierze za jedyną prawną małżonkę Allatu, córkę Niniba, a Ninib nie ma więcej dzieci. Gdyby Bel wszedł w posiadanie gruntów należących do klanu Ormuzda, połączyłby majątek własny i przyszłego teścia w jedno gigantyczne latyfundium. Nikt w Szóstym Kręgu nie mógłby się pochwalić większym terytorium. Ba, byłby to bardzo znaczny teren także w skali całej Otchłani.

– Dziękuję, Adramelechu. – Razjel skłonił lekko głowę przed Mrocznym. – Bardzo mi pomogłeś.

– Służyć ci to prawdziwy zaszczyt – odrzekł Kanclerz z leciutką dozą przyjaznej ironii.

– Rozmowa z tobą także – dorzucił Razjel na odchodnym. – Podziwiam zarówno twój bystry umysł, jak i niezwykle umiejętności.

Gestem wskazał broń i narzędzia.

Adramelech uklonił się dwornie.

– Jeśli zechcesz i znajdziesz wolną chwilę, panie, z radością pokażę ci kilka

nowych wynalazków. Wydają się bardzo obiecujące i sędzę, że mogłyby znaleźć zastosowanie w armii.

– Takie spotkanie mnie także sprawiłoby dużo radości. Umówimy się niedługo, kiedy obaj będziemy wolni – odrzekł Pan Tajemnic.

W końcu kiedy się jest odpowiedzialnym za wywiad Królestwa, nie ma nic złego w tym, żeby przy okazji podpatrzeć, jaki arsenał szykują sobie na wszelki wypadek Głębianie, prawda?

Kiedy już trzymał dłoń na klamce, odwrócił się i spojrzał przenikliwie na porządkującego papiery demona.

– Powiedz mi, proszę. Czy Bel i Nergal się znają?

Adramelech zaśmiał się cicho.

– O tak! Od tysięcy lat. Obaj pochodzą z Sumeru i właściwie od czasu narodzin bardzo serdecznie się przyjaźnią.

– Jakoś dziwnie byłem tego pewien – mruknął Razjel i wyszedł.



Co go napadło? Jakie najczarniejsze zło skłoniło tego głupkowatego, egzaltowanego skurwysyna, żeby wtrącać się w moje sprawy? MOJE SPRAWY, do kurwy nędzy!

Nergal miotał się po pokojach swojej bogato urządzonej, ogromnej rezydencji wściekły jak ocean w czasie sztormu. I tak samo zrównoważony.

Przerażeni słudzy uciekali przed nim, jakby był rozprzestrzeniającą się błyskawicznie zarazą. Doskonale wiedzieli, że kiedy pan wpada w podobny szal, nie tylko łatwo zostać pobitym i skopanym, ale przy odrobinie niefartu można nawet stracić życie. Naczelnik Kongregacji Kary, Kaźni i Wiecznej Miłości nie był zbyt wyrozumiałym pracodawcą.

Przemierzał szybkim krokiem korytarze i pokoje swojej siedziby z twarzą wykrzywioną nienawiścią, jakby próbował rozwlec swój gniew po całym domu i zakazić nim wszystkie pomieszczenia. Czasem zatrzymywał się, brał do ręki cenny, kruchy przedmiot i uważnie mu się przyglądał.

Tak łatwo było go zniszczyć. Tak łatwo roztrzaskać.

Szef bezpieczeństwa bardzo lubił napawać się tym uczuciem. Że może zniszczyć wszystko i każdego. Zawsze. Uspokajało go to i napełniało poczuciem własnej wartości.

Ścisnął wtedy w dłoni porcelanową farfurkę, filiżankę, misternie spleciony koszyk z inkrustowanymi klejnotami, czerpiąc przyjemność z myśli, że wystarczy jeden jego ruch i bibelot rozbije się na drobniutki pył. Bezwrotnie zmiażdżony. Stracony na zawsze.

Nie, nawet w czasie najdzikszej furii nigdy nie niszczył własnych sprzętów. Odkładał je na miejsce i ruszał dalej, w poszukiwaniu innej ofiary. Zawsze wołał wyładować wściekłość na którymkolwiek ze służących. W końcu to tylko mięso, nie? Każdy, żeby nie wiem jak ważny, pyszny, dumny, piastujący najwyższe stanowisko, okazuje się tylko workiem cuchnących flaków i kruchych kości wypełnionym czerwoną,

żelazistą posoką. Wszystkie istoty obdarte ze skóry wyglądają przecież tak samo. Wiedział to z doświadczenia.

Podczas tego upiornego spaceru po rezydencji wściekłość Nergala powoli przestawała go zaślepiać. A wtedy, z początku powoli i niechętnie, potem zaś coraz śmieiej, budził się do życia jego zimny, przebiegły, podstępny umysł pająka. Najpierw był impuls. Przeczucie. Cień wątpliwości, który szybko zmieniał się w podejrzenie. Drgnięcie pojedynczej struny, jakby gdzieś poruszyła się jedna nitka pajęczyny. A to mogło oznaczać, że na jej końcu tańczy niczego nieświadoma, schwyтана ofiara.

Ofiara!

Najwspanialsze słowo świata. Największa nagroda. Radość nie do wysłowienia.

Niewykluczone, że złowi kogoś. Schwyta. Omota. I wycisnie jak muchę, do ostatnich soków.

Najcudowniejsze zaś, że tym kimś może okazać się sam imperator Głębi. Ten kretyn, żaloszny dupek, śmieszny pajac Lucyfer!

Coś z nim jest nie tak. Zmienił się. A to podejrzone. Zawsze, wszędzie i o każdej porze podejrzone.

Bo w jaki sposób wytłumaczyć, że zachował się inaczej niż zwykle? Dlaczego tak zrobił? Jaki cel mu przyświecał? Co go skłoniło, żeby przeciwstawić się wszechwładzy Nergala? Czemu ten pieprzony tchórz i łajza ośmielił się jawnie podpaść szefowi Kongregacji?

Trzeba to natychmiast sprawdzić. Tak, niezwłocznie. Co się dzieje z Lucyferem? Czy słudzy i podwładni też zauważyli jakąś różnicę w jego postępowaniu i zachowaniu? Przyzwyczajeniach i nawykach? Czy coś, cokolwiek robi inaczej niż dotychczas? Zmieniły się jego ulubione potrawy i wina? Pory spacerów? Styl ubierania? Słowa, jakie dobiera? Sprawy, które go interesują lub nudzą? Hobby? Używane przekleństwa? Mimika?

O tak, pajęczyna zadrgała, a umysł szefa bezpieczeństwa natychmiast ruszył do przodu jak świeżo nakręcony zegarek i zaczął knuć z całą mocą swoich bezdusznych trybików i zębatek.

Trzeba inwigilować Lucyfera.

Natychmiast.

Na razie ostrożnie, żeby się suczy syn nie domyślił, ale niechybnie trzeba.

Nergal swoim płaskim, pustym głosem automatu przywołał służę i kazał mu niezwłocznie sprowadzić Namtaru, swego najlepszego śledczego. A potem zapadł głęboko w fotel i czekał, pozwoliwszy, żeby sieć podejrzeń w jego głowie zaczęła się rozrastać jak zabójczy tumor.

Kiedy Namtaru wszedł wreszcie do pokoju, naczelnik Kongregacji zerwał się z siedziska, podszedł do podwładnego i z całej siły uderzył go w twarz. Tajniak tylko zmrużył oczy. Gdyby miał ogon, zapewne podwinąłby go głęboko pod brzuch.

– Gdzie byłeś? – syknął gniewnie Nergal.

– W sali przesłuchań, panie.

– Dlaczego czekałem na ciebie tak długo?

– Musiałem zmienić ubranie, panie. Było całe uwalane we krwi.

Szef Urzędu Bezpieczeństwa natychmiast uderzył go drugi raz.

– Pracujesz dla mnie dość długo, żeby rozumieć, że to szczególnie bez znaczenia. Jeśli każe przyjść natychmiast, to znaczy natychmiast! Zrozumiałeś?

– Tak, panie.

– To teraz zapamiętaj. – Tym razem Nergal zwinął dłoń w pięść, nim władował ją prosto w nos śledczego.

Tajniak zatoczył się i zalał krwią. Przełożony patrzył na niego z obojętnością owada.

– Posłuchaj uważnie, co masz zrobić – oznajmił, podczas gdy Namtaru krwawił w rękaw, żeby przypadkiem nie zabrudzić dywanu.



Razjel z wielką ostrożnością trzymał w palcach maleńką fiołkę. Powolotku pochylił ją nad szklanką, żeby odmierzyć dokładnie trzy krople. Gdy tylko pierwsza trafiła do wody, płyn zabuzował, wzburzył się i zaczął zmieniać kolor. Najpierw zrobił się intensywnie fioletowy, potem zsiniał paskudnie, a na koniec zbulgotał znowu i powoli przemienił się w bladziutki, opalizujący seledyn. Pan Tajemnic odmierzył kolejną, a potem ostatnią kroplę, czekając cierpliwie, aż napój się uspokoi. Już miał zatkać malutkie naczynko korkiem, gdy usłyszał nagle za sobą zaniepokojony, miaukliwy głos.

– Oj, niedobrze! Naprawdę nie najlepiej, muszę przyznać z żalem.

Drgnął, a wtedy kolejna kropla z fiołki upadła na blat. Zajarzyła się wściekłym błękitem i sycząc, zaczęła przepalać gruby drewniany blat stołu. Krótkim gestem skrzyżowanych palców Książę Magów zgasił płomyk, a potem z irytacją odwrócił się do widmokota.

– Nie wchodź tak znieczeka! Przez ciebie zmarnowałem bezcenny specyfik!

Nefer siedział na zwiniętym ogonie, wpatrując się w archanioła ogromnymi, świecącymi oczami.

– Koty wchodzą, jak chcą. Cicho zazwyczaj. Zwłaszcza kiedy są zjawami. Tylko wy, dwunożni, tupiecie jak ogromne jeże. – Poruszył noskiem, węsząc. – Co to było, to niebieskie? Śmierdziało.

Razjel westchnął, wsuwając fiołkę do wewnętrznej kieszeni kaftana.

– No dobra, powiem ci. Ale pyszczek na kłódkę, dobra?

– Zawsze milczę jak sarkofag, kiedy przyjaciel powierza mi tajemnicę – oburzył się widmokotek.

Książę Magów tego nie skomentował.

– Żeby przybrać postać Lucyfera, musiałem przeprowadzić długi i skomplikowany rytuał. Ale każde zaklęcie jest czasowe i w końcu zaczyna się cofać. Nie wiem, jak długo moje przebranie będzie działać. W każdym razie na pewno nie dam rady powtórzyć rytuału przemiany, przebywając w Głębi. Nie dość, że brakuje mi sprzętu i potrzebnych składników, to nie mogę przecież odizolować się na kilka dni i uprawiać magii, ciągle udając Lampkę. Temu czarowi towarzyszą odgłosy, zapachy, dymy i inne podobne efekty specjalne. Gdybym ośmielił się go zakładać tutaj, zaraz zostałbym zdemaskowany.

Dlatego jeszcze w Królestwie sporządziłem specjalny eliksir, który podtrzymuje działanie poprzedniego zaklęcia. Mam go tylko określoną ilość, więc muszę oszczędzać.

– W takim razie przepraszam, że go wylałem. – Nefer pokornie oblizał nosek.

Razjel westchnął znowu.

– Trudno. Stało się. Przecież nie chciałeś. Widzisz, główny problem w tym, że serum przedłużające działanie zaklęć jest na dłuższą metę toksyczne. Kiedy je wypiję, będę się bardzo kiepsko czuł przez jakąś dobę. Mdłości, bóle głowy i takie tam.

Szary kocurek, zwiewny jak szal z bisioru, zaniepokojony przestał lizać łapkę i podniósł łebek.

– Znaczący będziesz rzygać jak kot, który się nażarł mokrej trawy?

– Coś mniej więcej – przyznał ponuro archanioł.

– Oj, to niedobrze. Fatalnie nawet. Niestety, przynoszę złe wieści.

– A co? Zaszuszone główka znów utknęła pod szafą? – spróbował zażartować Pan Tajemnic.

Ale mordka widmokota pozostała skupiona i poważna.

– Cały pałac plotkuje o tym, że sprzeciwiłeś się Nergalowi. To dziś wydarzenie sezonu, nie przesadzam. Wiesz, Lucek zazwyczaj tak nie robił. To znaczy raczej wcale tak nie robił, prawdę mówiąc. Zwróciłeś na siebie uwagę bardzo paskudnego bydlaka, który w dodatku został twoim zaciekle wrogiem. Wszyscy wiedzą, że Nergal jest gorszy od najgorszego, najpodlejszego, najbardziej wstrętnego króla widmoszczurów na świecie. A teraz bardzo cię nie lubi, obawiam się.

Razjel opadł ciężko na skraj łóżka.

– Wiedziałem, że będą z tego kłopoty – zmartwił się.

Koniec ogona Nefera poruszył się nerwowo.

– To czemu tak postąpiłeś?

Archanioł rozłożył bezradnie ręce.

– Pochodzę z Królestwa. Jestem sługą Jasności. Nie mogłem inaczej. Musiałem go powstrzymać. Przecież zabiłby niewinnych, skrzywdzonych Głębian. Gdybym do tego dopuścił, sam byłbym winien ich zagłady. Rozumiesz?

– Nie! – prychnął widmokotek. – Kot, który łapie i zabija szczura, to właśnie kot, który łapie i zabija szczura. I już. Nie robi tego jakiś inny, który mu w tym nie przeszkodził. To głupie i pozbawione sensu. Cały kłopot z wami, dwunożnymi, polega na tym, że za dużo myślicie. Życie jest proste. Spanie, polowanie, zabawa, mycie łapek i futerka, przytulanie się do przyjaciela, mruczenie. Cała filozofia.

– Za bardzo kocia dla skrzydlatego. Niestety, nie mam sierści, pazurów ani ogona. Kot pozostaje kotem, a anioł aniołem, Nefer. Nic się na to nie poradzi. No, zmykaj teraz. Muszę wypić wreszcie to świństwo, a wolałbym być wtedy sam.

Kocurek spojrział na niego ze współczuciem.

– Rozumiem. To trochę jak przy wypluwaniu kłaczeków.

Ruszył truchcikiem do drzwi, lecz w progu odwrócił się jeszcze. Jego oczy świeciły w półmroku jak dwa maleńkie księżycy.

– Ale uważaj na siebie, dobrze? Nergal to taki sam wstrętny stwór jak wąż Apopis, który zginął z łapki dzielnej Mafdet. Opowiadałem ci już o kotce Mafdet?

– Nefer! – jęknął Razjel. – Uciekaj już!

– Dobra, już idę. Porządny kot wie, gdzie i kiedy go nie chcą. Śpij spokojnie i niech ci się przyśni fajne polowanie.

Zniknął w mroku jak smużka mgły, którą przecież był.

Książę Magów z obrzydzeniem sięgnął po szklankę. Zapowiadała się ciężka noc.



Rozdział VII



Karzeł pojawił się nagle, dosłownie znikąd, jakby wysunął się przez niewidzialną szczelinę z innego świata.

Wszystko w tej dżungli wyskakuje jak diabeł z pudełka, pomyślał z niesmakiem Daimon, przyglądając się niskiej, skurczonej postaci przed sobą.

Stwór mniej więcej przypominał człowieka, ale miał tylko jedno wyłupiaste oko pośrodku czoła, świecił łysą czaszką jak tonsurą, a poza tym cały był porośnięty gęstym futrem, które cuchnęło kozą. W rękę trzymał coś, co przypominało wyjątkowo nieudany sierp albo wielki, kompletnie bezużyteczny grzebień. Kiedy zaczął pokracznie podskakiwać, przestępując z jednej nogi na drugą, Frey zauważył, że stopy ma wykręczone do tyłu.

Aha, demon. No tak, a kogo się można spodziewać w tej głuszy?

Karzeł stroił groźne miny, pokazując przy tym pieńki zepsutych zębów, buczał i pohukiwał jak małpa tuż przed atakiem i w ogóle prezentował tak jawnie wrogi wygląd, że nie miało sensu pytać go o drogę lub prosić o gościnę.

Anioł Zagłady był już bardzo zmęczony wielogodzinnym marszem przez tropikalny las. Zielony jadeit za nic nie chciał wypuścić go z objęć. Świat wokoło osaczał klaustrofobicznie zdezorientowanego, wykończonego Świetlistego, zamykał w ciasnej przestrzeni jak winda, która utknęła między piętrami rzeczywistości. Oprócz tego Daimona nieustannie męczyło przemożne przekonanie, że kręci się w kółko. Wydawało mu się, że rozpoznaje poszczególne charakterystyczne drzewa, krzywe lub złamane, niekształtne wykroty, skupiska lian lub pęki kwiatów, ale równie dobrze mógł się mylić,

bo tu wszystko wyglądało tak samo.

Miał już tak dość oszałamiającego piękna tutejszej przyrody, że widok karła, zamiast go zaniepokoić, tylko wprowadził w irytację.

– Czego chcesz? – zapytał niezbyt uprzejmie.

– Tytuń! – zaskrzeczał stwór. Frey nie zrozumiał tego bełkotliwego okrzyku.

– Co? – spytał zdumiony.

Karzeł zaperzył się, aż tupnął odwrotną nogą.

– Toż gadom przecie, gupi durniu! Tytuń zara dawaj! – zażądał, potwornie kalecząc hiszpański albo portugalski. Z jego ust w kolorze wątroby przyskały maleńkie kropelki śliny, więc Abaddon odsunął się przezornie.

Krewki maluch zapewne uznał, że przeciwnik się przestraszył, bo dla podkreślenia słów zaczął żwawo wywijać grzebieniem do czesania mamuta.

– Tytuń abo trupem cię ułożę, że hej! – wrzasnął, zamachnąwszy się na Daimona cudaczną bronią.

Popęłił błąd. Zmęczony czy nie, Frey zareagował odruchowo. Skoczył do przodu, wykręcił stworowi rękę i zmusił go do wypuszczenia niby-sierpa. Potem patrząc, jak jedyne, wyłupiaste oko napastnika rozszerza się i ciemnieje ze strachu, wysyczał wprost w brzydką, wykrzywioną twarz:

– Nigdy, rozumiesz, nigdy więcej nie machaj mi tym badziewiem wokół twarzy! Dziękuję, ale już jestem odpowiednio uczesany.

Odepchnął karła tak mocno, że tamten upadł, nakrywając się swoimi krzywymi, przenicowanymi nogami. W tej samej chwili Daimon sięgnął błyskawicznie po jego sierpogrzebień i jednym sprawnym ruchem złamał go na kolanie. Okazało się to całkiem łatwe, ponieważ dziwaczna broń, ku zaskoczeniu Abaddona, została wykonana z szylkretu.

Odrzucił na bok oba niepotrzebne kawałki i stwierdził, że karzeł wciąż siedzi na ziemi, rozcierając sobie krzyż. Jego twarz przypominała teraz pyszczek skrzywdzonej małpiatki. Anioł Zagłady obawiał się, że stwór zaraz wybuchnie płaczem.

– Co żyś ty zrobiał, przeklentniku jedyny?! – jęknął kosmaty demon. – Toporek żyś mnia połymał! Zły zrobił! Zły! Jak ja tera tytuń dostane? Jeszcza pożałowasz żałośnie! Zobaczysz, ty!

Pochylił się do przodu i splunął na buty Daimona. Tego Tańczący na Zgliszczach nie zamierzał tolerować. Jednym ruchem wyciągnął Gwiazdę Zagłady, kierując ostrze prosto w stronę szyi potworka.

– Spierdalaj – powiedział cicho. – Spierdalaj w podskokach, zanim stracę cierpliwość! Dobrze radzę.

Karzeł na widok srebrzystej, ostrej jak nów klingi natychmiast stracił rezon. Wycofał się rakiem, na czworakach, i zniknął w płataninie lian i liści.

Może wrócił przez szczelinę do swego własnego popieprzonego świata.

Ale chyba nie, bo Daimon usłyszał w oddali jego cienki, drżący ze złości głos:

– Pożałowasz jak nic, zobaczysz!

Frey tylko wzruszył pogardliwie ramionami, ale uszkodzone żebra znów go zaboląły, więc zaklął. Otarł pot z czoła, przeklinając w duchu lepki, parny upał, i ruszył

przed siebie w poszukiwaniu obozowiska na brzegu rzeki, choć w sercu zaczęło mu się rodzić ponure przekonanie, że prędzej znajdzie tutaj Świętego Graala.

Co za cholerne, nienawistne miejsce, pomyślał, gdy kolejny długi, mokry liść chlasnął go przez policzek.



Nie pamiętał, co usłyszał najpierw. Cichy świst czy wysoki, histeryczny chichot nawiedzonego dziecka. Wydawało się, że oba dźwięki wybrzmiały równocześnie.

– Au! – syknął Daimon, bo w tym samym momencie jakiś wyjątkowo zjadliwy owad ukąsił go boleśnie w kark.

Sięgnął dłonią do szyi, żeby podrapać piekące i swędzące miejsce, ale z zaskoczeniem stwierdził, że coś tam tkwi, wbite głęboko w skórę. Pewnie żądło albo malutki cierń. Wyszarpnął to natychmiast. Lecz nie ujrzał między palcami żadnego organicznego tworów, tylko miniaturową zielono-żółtą strzałkę, zakończoną barwnym piórkem maleńkiego ptaszka, może kolibra.

Co, do diabła?! – zdążył pomyśleć, gdy świsty i chichoty rozległy się nagle z różnych stron, Abaddona dopadło naraz kilka strzałek, jakby wkroczył w rój krwiożerczych, złośliwych komarów. Utkwiły w plecach i ramionach, jedna ugodziła go w dłoń, inna otarła się o czoło. Nie zdążył ich usunąć, bo kolejna chmara opadła go obłokiem kolorowych, kłujących piórek podobnych do rozwścieczonych kolibrów. Odruchowo uniósł ręce, żeby osłonić twarz, kiedy z zarośli posypały się następne pociski, istny deszcz ostrych, piekących odprysków tęczy. Wbijały się w skórę na plecach, piersi i udach, bez trudu przebijając warstwy odzieży, grzęzły we włosach, kaleczyły nadgarstki i palce. Teraz już nie swędziały, lecz paliły jak cholerne, rozgrzane do czerwoności piętna.



© Fabryka Słów

Oczy, za wszelką cenę musisz osłonić oczy! Ale jak to zrobić, kiedy rozbity naraz barwny most, rozpięty dotąd na niebie, wali ci się na łeb kaskadą szklanych odłamków? Burzą wkurzonych kolibrów? Owadzim furkotem niezliczonych strzałek wyfruujących z za każdego krzaka dokoła? Pieprzoną furią latających cierni?

Chichot, ten cholerny chichot opętanych bachorów brzmiał teraz jak pieśń triumfalna. Jak fanfara głosząca zwycięstwo odwiecznej zieleni i dzikich, zajadłych stworów, które ją zamieszkują od wieków.

Bezradny, osłepiony Daimon mógł tylko żałośnie kręcić się w kółko w nadziei, że wrogowie znudzą się wreszcie i pozostawią go na pastwę trucizny, w której z pewnością nasaczyli ostrza swoich pocisków.

– A maszżeż ty, durniu przeklętny! – wrzasnął nagle przepełniony wściekłą satysfakcją głos tuż pod pachą anioła.

W powietrzu błysnęła klinga krótkiego noża, a Frey poczuł, jak w jego prawym przedramieniu wybucha ból. Zerknął przez palce i ujrzał wykrzywione radosnym uśmiechem obrzydłe oblicze cyklopiego karła. Sprzymierzeńcy kosmatka z pewnością umieli wyśmienicie celować, bo ani jedna strzałka nie wystawała spośród gęstej sierści stwora.

– Mówiłem, że cię trupem ułożę! – wykrzyknął, zamierzając się do kolejnego ciosu.

Daimon nie miał możliwości sięgnąć po Gwiazdę Zagłady. Właściwie zupełnie nic nie mógł zrobić. Postanowił więc sam zaatakować, wyprzedzając uderzenie karła, i spróbować przewrócić go biodrem. Sama masa ciała plus zwinność wyćwiczona w boju powinny wystarczyć. W ostateczności ryzykował tylko, że nóż kurdupla zahaczy o jego bok. Spiał się do natychmiastowego skoku, kiedy dżunglą wstrząsnął gniewny, porażający ryk dzikiego zwierza.

Xolotl, pomyślał z rezygnacją Tańczący na Zgliszczach. Albo inna podobna cholera. Tylko potwora mi tu brakowało. No proszę, nie krępujcie się, przyślijcie, co tam jeszcze macie. Latającego jaszczura? Bykołaka z podwójnym toporem? Tygrysa szablozębnego? Nie ma sprawy. Abaddon będzie zachwycony!

Kiedy płowy niczym płynne złoto, śmigły, potężny kształt rozświetlił mrok dżungli jak małe, plamiste słońce, ostrzał z dmuchawek natychmiast ustał, podobnie jak złośliwe chichoty.

– Łoj, źle! – stęknął karzeł z nożem.

Nawet nie łypnął na Daimona pojedynczym okiem, tylko niewiele myśląc, rzucił się do ucieczki. Ogromny kot skoczył za nim, bez wysiłku dopadł i powalił na ziemię, a potem wielką, ciężką łapą wymierzył trzy mocne ciosy. Obrócił łeb, marszcząc gniewnie nos, i spojrzał prosto na Anioła Zagłady ślepiami zielonymi jak jadeit.

Oszołomiony, pokłuty i zakrwawiony Frey z wysiłkiem zaczął sięgać po miecz. Nie miał siły walczyć, ale równie mocno nie chciał stać się posiłkiem cętkowanego drapieżcy. Tymczasem jaguar zbliżał się ku niemu wolnym krokiem. Jego pazury przypominały kolce do rozbijania lodu, tak były długie i ostre. Otworzył pysk, prezentując kły, białe i spiczaste jak stalaktyty w różowej jaskini paszczy. Zatrzymał się tuż przed dyszącym ze zmęczenia aniołem.

– Pchepracham – powiedział niewyraźnym, ale zrozumiałym portugalskim. – Barcho trudno mi achtykułować słowa pachczą. Jechli zechcech pójść ze mną do dchomu, dam ci machć na te ukłuchcia. Pchestaną tak swędzchieć.

Przez chwilę Daimon sądził, że skutkiem trucizny zawartej w strzałkach postradał zmysły. Ale nie. Jaguar wielki jak samochód terenowy naprawdę stał przed nim, leciutko poruszając końcem ogona. Wydawało się, że próbuje się przyjaźnie uśmiechać, choć na widok jego kłów Anioła Zagłady ogarniały niejaki wątpliwości co do czystości intencji wybawiciela. Ale z drugiej strony to przecież on rozpędził ukrytych w krzakach strzelców z dmuchawkami i obalił karła.

– Chcesz mi pomóc? – zapytał. – Dlaczego?

Drapieżnik oblizał szeroki nos ozorem wielkim i różowym jak plażowy ręcznik.

– Jechteś z Kchólestwa. To wystachczy. Ja rechpektuję tchaktaty ze Świetchistymi. Poddany Jaschności, nie?

Daimon ze zmęczeniem kiwnął głową. Czuł się coraz bardziej słaby i zbolały. No i ręka mu krwawiła.

– Tak – potwierdził. – Poddany Jasności.

– Ja cheż – oświadczył jaguar. – Idziesz ze mną do dchomu? Thu nie jest bhezpiecznie.

– Idę – zdecydował Frey.

Po tym, co usłyszał od Serecy, powinien być o wiele bardziej czujny, ale nie miał na to siły. Wielki zwierz oznajmił, że czci i szanuje Światłość, a ponoć nikt Jej tutaj nie wyznawał. Ale miłosierdzie Pańskie nie zna granic. Może ten gadający drapieżca faktycznie nie był ślepy na Światło? Gdyby żywił złe zamiary, już dawno mógłby rzucić się na słabego, krwawiącego, wycieńczonego Abaddona. Jednak zamiast tego przegnał koszmarne karła i bandę żądających maluchów, a teraz ofiarowuje dalszą pomoc.

Anioł Zagłady postanowił z niej skorzystać. Miał wrażenie, że cętkowanemu kocurowi dobrze patrzy z zielonych ślepi. Jeśli jaguar jednak skłamał i zamierzał wciągnąć Tańczącego na Zgliszczach w pułapkę, będzie czas, żeby się tym martwić.

W tej chwili Daimon tak mocno dostał w kość, że przyjąłby wsparcie od samej parszywej Lilith.

– Jestem gotów – oznajmił. – Możemy ruszać.

Plamisty kot skinął łbem.

– To dobche. Tędchy.

Dał susa w zarośla, a Daimon w ostatniej chwili powstrzymał się przed przemożną chęcią złapania go za ogon, żeby przypadkiem nie zgubić się w głuszy. Miał już bowiem serdecznie dość błąkania się samotnie w tej zwariowanej, niebezpiecznej dżungli.

Nigdy więcej cholernego tropikalnego rajy, postanowił, goniąc za jaguarem. A jeśli ktoś ci zaproponuje wakacje na cudownej plaży wśród palm i barwnych ptaków, po prostu strzel go w gębę.



To wcale nie był kiepski dom, trzeba przyznać. Żadna tam nora niedbale wykopana

w ziemi, jama pod korzeniem czy dawny wykrot. Chata była okrągła, porządna, duża i zadbana, kryta gęstą strzechą z palmowych liści. Przed wejściem znajdowały się palenisko obłożone kamieniami i dwie wygodne drewniane ławy. Nad ogniem na trójnogu wisiał spory kociołek. Wokół ogniska tkwiły też cztery ruszty w postaci metalowych prętów z poprzeczkami, wyraźnie przeznaczone do pieczenia mięsa. Z prawej strony chaty, w jakimś oddaleniu, wznosiła się w górę bardzo długa drewniana żerdź, głęboko wbita w ziemię. Jej koniec sięgał wysoko ponad korony drzew i zdawał się niknąć w bladym błękicie nieba jak kij zanurzony w jeziorze. Daimon zdążył jeszcze zauważyć, że obok domostwa płynął czysty, wartki strumień zapewniający gospodarstwu pitną wodę.

– Ładnie mieszkasz – przyznał na widok obejścia.

– Aha. Niezgchorzej – ucieszył się jaguar. – Pchepracham na mchoment. Schórę muchę zdjąć.

Niespodziewanie schwycił się przednimi łapami za tylne i zrobił coś w rodzaju fikołka połączonego z saltem do tyłu. Plamista, płowa skóra zsunęła się z niego jak kombinezon, a przed Aniołem Zagłady stanął nagle smukły, smagły mężczyzna odziany w przepaskę biodrową i naszyjnik z zębów drapieżcy. Nie do końca jednak przypominał człowieka. Raczej postać z wyspy doktora Moreau. Miał lśniące zielone, fosforyzujące oczy kota, płaski, szeroki nos i długie, sztywne wibrysy jaguara. W dużych ustach z trudem mieściły się bardzo wielkie, bardzo białe, ostre zęby drapieżnika. Twarz okalały grube, twarde włosy czarne jak grzywa, proste i sięgające ramion. Skórę o odcieniu czerwonej terakoty znaczyły blade, lecz wyraźne cętki charakterystyczne dla umaszczenia dzikich kotów. U rąk i nóg miał krótkie, schludnie przycięte pazury, twarde i ciemne niczym obsydian. No i ogon. Pokryty delikatnym, złocistym meszkiem i splamiony czarnymi znakami cętek.

Mimo tak egzotycznej urody sprawiał sympatyczne wrażenie.

– Jestem Sinaa – przedstawił się wyraźnym portugalskim. – Zaraz się tobą zajmę, tylko najpierw muszę przepłukać skórę, bo już powoli zmierzcha. Wybacz, to potrwa tylko momencik, Świetlisty.

– Nie ma sprawy – mruknął Frey. – Nie krępuj się. Przez ten czas poobieram się trochę z tych cholernych strzałek.

Jaguarolak podniósł tymczasem ściągniętą przed chwilą z grzbietu skórę drapieżnika, zanurzył ją w strumieniu i jął energicznie zapierać. Pogwizdywał przy tym nieznaną aniołowi, nieco niepokojącą melodię brzmiącą jak trele tutejszych ptaków. Po chwili wstał z kolan, otrzepał skórę i przewiązał sobie w pasie.

– No już – oznajmił wesoło. – Spłukałem cały dzisiejszy dzień i teraz mogę ci pomóc. Zaraz przyniosę maści i bandażę, zaczekaj.

Zniknął we wnętrzu chaty, lecz wrócił niemal od razu, niosąc naręczce czystych szmatek oraz kilka glinianych miseczek i tykw ozdobionych prostymi, lecz ładnymi wzorami z kółek i kresek.

Tymczasem przed Tańczącym na Zgliszczach wyrosła już spora kupka usuniętych strzałek. Wyglądały żałośnie, jak martwe kolibry, jednak Abaddon patrzył na nie z nienawiścią.

– Najpierw przemyję ci przedramię, bo nadal trochę krwawi. – Sinaa zbliżył się do Freya. – A potem dam takie ziołowe smarowidło na te paskudne ukłucia. Trochę śmierdzi, ale doskonale łagodzi pieczenie. Lepiej zdejmij ubranie, jest brudne i upaprane krwią. U mnie i tak zawsze panuje upał. Przepiorę ci potem, jeśli zechcesz. Szybko wyschnie przy ogniu.

Daimonowi niezbyt podobał się ten pomysł, ale po namyśle doszedł do wniosku, że tylko w ten sposób będzie w stanie opatrzeć maścią palące ostrym bólem ślady po strzałkach. Nie żywił zbyt nadziei, że specyfik pomoże, ponieważ otrzymując od Jasności funkcję Anioła Zagłady, przy okazji nabył niezbyt fortunną odporność na wszelkie leki i magiczne driakwie, ale okazałby się kretynem, gdyby nie spróbował. Ukłucia swędziały i piekły gorzej niż ukąszenia gzów i szerszeni razem wzięte, dokuczając mu nieznośnie. Kiedy ściągnął koszulę, buty i spodnie, poczuł się nieprzyjemnie bezbronny. W razie czego wolałby walczyć w ubraniu.

I tak dam radę, pomyślał jednak na pocieszenie.

Rękojeść Gwiazdy Zagłady miał przecież w zasięgu ręki, a dziwaczny jagarołak wydawał się szczerze przyjazny.

Polał mu właśnie ranę na przedramieniu wściekle palącym płynem z tykwy, którą odkorkował zębami. Wbrew woli Daimon skrzywił się boleśnie, bo cholernie zapiekło.

– Oj, przepraszam – zmartwił się człowiek-kot. – Te receptury są bardzo stare, stosowane od wieków. Za to niezwykle skuteczne. Rozumiesz, tradycyjne. A to zazwyczaj wiąże się z paskudnym smakiem, smrodem lub nieprzyjemnym pieczeniem. Niestety, nic na to nie poradzę, że wszystkie moje mikstury są niesmaczne albo palące. Przynajmniej działają, a to najważniejsze, nie? No, czas na bandaż.

Kiedy owijał rękę Anioła Zagłady opatrunkiem z mięsistych, grubych liści i zabezpieczał paskami miękkich szmatek, Frey spojrzał głęboko w zielone, zwierzęce oczy wybawcy.

– Powiedziałeś, że jesteś wyznawcą Jasności. Czy to prawda?

Sinaa uśmiechnął się sympatycznie. Podał aniołowi czarkę zawierającą zielonkawą, tłustą maść i usadowił się na ławie obok ogniska. Tańczący na Zgliszczach pociągnął nosem. Faktycznie smarowidło śmierdziało ohydnie. Trochę jak pokost, a trochę jak kocie szczyny. Ale wolał cuchnąć, niż nieustannie się drapać. Posmarowałby się czarcim łajnem, żeby poczuć choć odrobinę ulgi.

Tymczasem jego gospodarz zaczął opowiadać:

– Oczywiście. Kiedyś byłem po prostu jaguarem. Rozumiesz, największym i najmocniejszym sukinsynem w dżungli. A ona to czuła. Wszystkie stworzenia wiedziały, że jeśli już ktoś ma być tu szefem, to tylko ja. Bały się mnie, lecz traktowały z szacunkiem. Wtedy stałem się kimś więcej niż tylko nadrzędnym drapieźnikiem. Jakby cały las postanowił, że zostanę czymś w rodzaju jego mistycznego przedstawiciela. Ducha tak jakby. Wtedy się narodziłem po raz drugi. Przemieniłem w bóstwo dżungli, jeśli zwierzęta są w stanie kreować istoty podobne bóstwom. Ja uważam, że tak, bo pamiętam, kim byłem, zanim pojawili się moi ludzie. A kiedy już przyszli... cóż, wymyślili mnie na nowo, już nie jako zwykłego, wielkiego jaguara, ale boga stwórcę w postaci pół człowieka, pół kota, który może także przybierać formę ogromnego, cętkowanego

drapieżnika. Rzecz jasna, niczego nie stworzyłem, bo tylko Jasność może powoływać do życia światy. Ale oni tak myśleli i przez jakiś czas było nam z tym dobrze. Strzegłem ich, ochraniałem, pomagałem i w ogóle. Takie tam zadania pomniejszego bóstwa pojedynczego plemienia. A potem wszystko się zmieniło. Moi ludzie poznali Jasność. Większość otoczyła Ją miłością i uwielbieniem. Nie wszyscy, lecz wystarczająco dużo, żebym i ja Ją poczuł. Jednakże, co według mnie jest bardzo uprzejme z ich strony, nie porzucili przy tym wiary w magicznego jaguara. Zamiast boga stałem się znów czymś w rodzaju ducha dżungli. Magiczną duszą lasu, że tak powiem. Owszem, niektórzy do dziś składają mi jakieś małe, symboliczne ofiary, proszą o wstawiennictwo, pomoc, ochronę, ale właściwie czemu to ma być takie złe? Jaka tam ze mnie konkurencja dla naszego Pana!

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się znowu. Daimon odpowiedział uśmiechem. Poczul, że zaczyna lubić tego kolesia. Sinaa był zabawny, prostolinijny i szczery. Czego jeszcze chcieć od sprzymierzeńca?

– No to robię, co mogę, żeby trochę pomóc mojemu plemieniu. Takie tam drobiazgi. – Jaguarolak podrapał się po szerokim nosie. – Ale niech mnie Światłość broni, żebym się pakował w Jej kompetencje!

– Na pewno nie ma ci tego za złe – oświadczył Frey. – Znam Ją. Jasność to samo dobro, miłość i mądrość. Nie masz się o co martwić.

Oczy kociego człowieka zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

– Znasz Ją? – wyszeptał z najgłębszym szacunkiem. – Widziałeś Pana?

Wtedy Daimon poczul, że lubi tego niezwykłego zwierzoczęka jeszcze bardziej.

– Tak – przyznał. – Widziałem.

– Jak rany! – stęknął Sinaa. – To kim ty właściwie jesteś? Znaczy z Królestwa, Świetlisty raczej, jak mogę sądzić, ale jak bardzo wysoko sięgasz?

Abaddon przygryzł wargę, żeby nie parsknąć śmiechem i nie urazić gospodarza, słysząc to dziwaczne określenie.

– No, średnio – powiedział ostrożnie. – Nazywam się Daimon Frey. Anioł Zagłady.

Człowiek-kot jakby się trochę skurczył. Gdyby mógł to uczynić w aktualnej postaci, pewnie oblizalby nos, bardzo skonfundowany. Ogon już troszkę podkulił pod siebie.

– Oj! – stęknął. – Gdybym wiedział z góry, pewnie nie ośmieliłbym się wtrącać w twoje sprawy.

Tańczący na Zgliszczach uświadomił sobie wtedy w całej pełni, jaki butny dupek z niego wyłazi, bo do tej pory nawet nie podziękował swojemu wybawcy.

Zwykły cham ze mnie, pomyślał niechętnie. Buc, arogant i cham. Nieważne, jak wysoko sięgam.

– Całe szczęście, że się wtrąciłeś – powiedział ciepło. – Inaczej już pewnie leżałbym tam położony trupem, jak raczył mi wieszczyć ten kosmaty karzeł. Okropnie mi wstyd, że zapomniałem ci podziękować. To chyba dlatego, że się zgubiłem i w ogóle czuję się nieźle skołowany. Wybaczysz mi?

Na wysokich kościach policzkowych ducha lasu wykwitły plamy rumieńców. Wyglądały jak ślady politory na ceglastej ceramice skóry.

– E tam! Nie ma sprawy. To dla mnie zaszczyt przyjmować w domu takiego gościa. Anioł Zagłady. No, no. Nikt mi nie uwierzy.

– Daj spokój. – Abaddon machnął z lekceważeniem ręką. – Jestem zwykłym frajerem, który zgubił się w lesie. Zginąłbym, gdyby nie ty.

– Jesteś potężnym rycerzem Światła. Dysponujesz ogromną mocą. Jednak tam, gdzie się znalazłeś, faktycznie nie byłeś bezpieczny. Spotkałem cię tuż przy granicy Tamoanchanu. Sądząc ze śladów, zapachu i kierunku, z którego przyszedłeś, założyłbym się, że kilka razy znalazłeś się na terenie państwa Tezcatlipoki. A to wielkie ryzyko nawet dla Świetlistego wysokiej krwi. Gdyby dostrzegli cię jego wojownicy, z pewnością nie uchroniłbyś się przed napaścią. A to mogłoby się różnie skończyć.

– Wojownicy? Tacy jak ten maluch z krzywym grzebykiem? – zdziwił się Frey.

– No nie. Skąd. Chłopy niemal twojego wzrostu. Wszyscy świetnie wyszkoleni, uzbrojeni, okrutni i odważni. Słyną w dżungli ze swojej sztuki wojennej. Są bezwzględni i fanatycznie oddani swemu krajowi.

Abaddon zastanawiał się przez chwilę. Nie, ten opis zdecydowanie nie pasował do jednookiego karła.

– Zaraz, w takim razie co to za paskudny cyklop się na mnie zawziął?

– Cyklop? – nie rozumiał jaguar.

– No, ten kurdupel z jednym okiem.

– A! To Jurupari. Też taki jakby demon leśny. Nasz, to znaczy z naszego świata. Nie ma nic wspólnego z poddanymi Tezcatlipoki. Ale on nie wytrzymał ciśnienia rzeczywistości i zupełnie się stoczył. Kiedyś opiekował się zwierzętami, grał na piszczałce zwanej u nas *corupira* i dobrze sobie radził w dżungli. Niestety, kiedy przyszli kabokle, uzależnił się od gorzały i palenia. Szczególnie od palenia. Przestał grać, ma gdzieś moje zwierzaki i cały las, tylko łązi z tym brzydkim szylkretowym toporkiem i napada podróżnych, żądając, żeby mu dali tytoń.

– Już nie będzie łąził – oznajmił Anioł Zagłady z satysfakcją. – Połamałem mu ten cholerny niby-grzebień na kawałki.

– I dobrze zrobiłeś, Świetlisty – ucieszył się Sinaa. – Należała mu się nauczka. Ode mnie już nie raz oberwał i nic mu się nie poprawiło w głowie. Z drugiej strony nie dziwię się, że się wkurzył. Przyszedłeś, pobiłeś go, zepsułeś mu ulubioną zabawkę i w dodatku odmówiłeś tytoniu. To się zeźlił na ciebie, Świetlisty. Ale tak naprawdę jest tchórzem i niewiele potrafi. Dlatego nasłał na ciebie Huaca.

– Kogo? – Tym razem Frey nie załapał, o co chodzi.

– Takie małe, nadprzyrodzone istotki mieszkające w lesie. Nie są za mądre, to fakt. I łatwo nimi manipulować, jak sam się przekonałeś. Ale wyśmienicie posługują się dmuchawkami.

– To prawda – przyznał ponuro Daimon, przyglądając się licznym ciemnoczerwonym plamom na rękach i udach.

O dziwo, jednak stwierdził, że maść jaguarolaka przynosi mu znaczną ulgę. Nie żeby się z tego nie ucieszył.

– Dzięki za lekarstwa. – Uśmiechnął się do gospodarza. – Naprawdę pomagają.

– To wspaniale, Świetlisty. – Płaska, kocia twarz rozpromieniła się z radości.

– Żaden tam Świetlisty. Jestem Daimon.

Koci człowiek uściskał podaną mu dłoń.

– To nie lada przyjemność móc powiedzieć do Anioła Zagłady Daimonie.

– I równie wielka spotkać kogoś takiego jak ty. Naprawdę się cieszę, że pognałeś tego porąba Jurupariego i jego Kuaki czy coś tam.

– Huaca – poprawił jaguar. – Zaraz, a co to jest „porąb”?

– Ktoś niestabilny psychicznie.

– No, to by się zgadzało. – Kiedy Sinaa się uśmiechał, jego wąsy poruszały się, nadając mu wyraz zadowolonego kocura. – Jurupari ma nierówno pod łysiną. Już nie raz zalażł mi za skórę, że tak powiem. Karczę go i karczę, ale widać nie mam odpowiedniej charyzmy. Albo za mało ciężką łapę. Pewnie dawno próbowałby mnie zabić, gdyby się nie bał. Wiesz, czasem dobrze jest pobyć przez jakiś czas wielkim zwierzakiem z kłami i pazurami. Mogę w ten sposób rozwiązać sporo problemów. Tylko mówić wtedy trochę trudno.

– Ja też lubię od czasu do czasu stać się mocarnym sukinsynem z mieczem zdolnym rozbijać światy – przyznał Daimon. – To pomaga. Czasami naprawdę pomaga.

– No – ucieszył się jaguar.

Gdzieś w głębi dżungli jakiś ptak odezwał się nagle przeciągłym, rozdzierająco żalonym trelem, jakby lamentował nad śmiercią ukochanej. Niebo zdążyło już pociemnieć, nabierając głębokiego, czystego odcienia marynarskiego granatu. Przypominał kolor mundurów oficerskich we flocie Królestwa. Las tropikalny poczeriał na jego rozświetlonym gwiazdami tle. Spłaszczył się i skrócił, jakby skurczył jedynie do dwóch wymiarów. Przypominał teraz sztych wytrawiony na blasze nocy. Ilustrację w starej książce podróżniczej.

Zmierzch rozgadał się głosami różnych zwierząt, zaszumiał liśćmi palm, krzyknął ochrypłym jazgotem dziwnowronki.

Daimon wzdrygnął się mimo woli, przypomniawszy sobie, w jak obce strony zabrnął. Tymczasem Sinaa rozejrzał się wokoło, jakby nagle wyrwany z transu, a potem palnął się otwartą dłonią w czoło.

– Na moje cętki! Dupa ze mnie, nie gospodarz! Już całkiem ciemno, a ja nie podałem ci ani posiłku, ani napoju! Co ty sobie o mnie pomyślisz, Świetlisty? Znaczy Daimonie. Na pewno jesteś głodny i padasz z nóg!

Oczywiście, że Frey był głodny i spragniony. Uświadomił to sobie, ledwo maść zaczęła działać, łagodząc skutki postrzałów, a on sam odprężył się na tyle, żeby nie myśleć nieustannie o czyhających niebezpieczeństwach. Jednak nie zamierzał popędzać nowego przyjaciela, bo takie zachowanie wydawało mu się nie na miejscu. Poza tym miło było pogadać z kimś przyjaznym i niegłupim. Dzięki temu Abaddon nie czuł się już taki zagubiony i bezradny jak porzucony w lesie szczeniak.

Człowiek-kot porwał się z miejsca i zaczął sprawnie krzątać wokół posiłku.

– Już rozpalam ogień. Zaraz wstawię zupę, a potem nabiję mięso na rożny. Wodę masz w tykwie za plecami. Wystarczy sięgnąć. Czekaaj, a może masz ochotę napić się pulque?

– Może. Gdybym wiedział, co to, u diabła, jest?

Na obliczu jagarołaka pojawił się porozumiewawczy uśmiech.

– Taki nasz miejscowy alkohol. Nawet niezły. I bardzo tradycyjny. Receptura ma jakieś setki, jeśli nie tysiące lat. Musujący, chłodny, lekko owocowy. Tylko słaby dosyć. Ledwie parę procent. Ale my tutaj wszyscy mamy raczej słabe głowy. No to jak? Skusisz się?

– Jasne. – Daimon pokazał w uśmiechu zęby. – Nie ma to jak wypić z przyjacielem. Sinaa znów nabawił się polityry rumieńców.

– Zaraz przyniosę czarki. Chlapniemy sobie po jednej, a potem wypiorę ci ciuchy. Anioł Zagłady nie powinien przecież pokazywać się w takich brudach. Nie bój się. Mam wprawę w praniu.

– Jeśli to nie jest zbyt osobiste pytanie, dlatego że płuczesz sobie skórę?

– Aha. – Jaguar kiwnął głową. – Codziennie pod wieczór. W ten sposób zmywam z niej czas i nie starzeję się. Sprytne, co?

– Bardzo – przyznał Frey. – Będę naprawdę ogromnie wdzięczny, jeśli przepierzesz moje łachy. Żebra mnie trochę bolą po dawnym wypadku, no i ta ręka. Pewnie zaczęłyby znowu krwawić w wodzie. Wystarczy, jak je trochę przechechasz. Tam, koło domu, widziałem taką długą tyczkę wbitą w ziemię. Może je na niej potem rozwieszę, co?

– Oj, nie! Nie rób tego! – Koci człowiek wyraźnie się przestraszył. – W ogóle raczej nie przechodź koło niej za blisko. Widzisz, ona podpira niebo, które ponoć stworzyłem. Moje plemię wierzy, że kiedyś, kiedy wszystko mi się znudzi, kopnę w tę żerdź, niebo spadnie nam na głowy i nastanie koniec świata.

– Myślisz, że to prawda? – spytał z powątpiewaniem Abaddon.

– Nie wiem. Ale wolę nie ryzykować. Po coś tam stoi, no nie?

Na to Frey nie znalazł dobrej odpowiedzi.



Rozdział VIII



Tezcatlipoca Czarny, Dymiące Zwierciadło, stwórca świata i jego Pierwsze Słońce, stał na szczycie kamiennej schodkowej piramidy, przed głównym wejściem do sanktuarium, patrząc na swoje miasto. Wyglądało imponująco. Rozciągało się w dole, rozległe i barwne niczym wspaniała mozaika wykonana przez bardzo uzdolnionego rzemieślnika. A tutejsi artyści słynęli przecież z wyrobu cudownych mozaik.

Tak, było oszałamiające. Położone w głębokiej kotlinie, otoczone wysokimi szczytami o głowach oszronionych śniegiem jak u szlachetnych starców, dumnie usadowiło się na samej tafli jeziora niczym wielki wodny kwiat. Rozpięte lśniąca kolorami chustą nad taflą czystego, głębokiego błękitu, sięgało jego brzegów, otaczając akwen kręgami zabudowań pnącymi się ku górze po zboczach gór.

Bóg widział wyraźnie wspaniałe pływające ogrody inkrustowane kwiatami i roślinami pięknymi niczym drogie kamienie. Niezliczone mosty łączące w całość poszczególne dzielnice jak kłamry spinające płaszcz. Rezydencje pomniejszych bóstw, rozległe, wielopokojowe i bogate. Kamienne, stożkowe w kształcie świątynie, monumentalne niczym formacje skalne. Wysokie, kruche przesła akweduktów dostarczających miastu świeżą wodę. Zamożne domostwa swoich najukochańszych poddanych, dzielnych, pełnych poświęcenia i dumy wojowników. Domy kupców, odległe chaty wieśniaków i rozległe pola porośnięte złocistą, szumiącą kukurydzą. A za nimi wiecznie zielony przestwór jadeitowego lasu, ociekający życiodajnym deszczem.

Wreszcie skierował wzrok na swój własny pałac, wzniesiony z suszonej cegły,

otynkowany, przykryty dachem z palmowych liści, bogato i przeświecnie zdobiony, jakże potężny i godny jego chwały. Na swoje ogrody, miniaturowe pływające cacka mieniące się barwami jak pióra rajskiego ptaka. Na tę ziemię żyzną i rozległą, nad którą bezsprzecznie panował.

Gdziekolwiek spojrzał, otaczały go wspaniałe budowle, monumentalne rzeźby i reliefy, kunsztowne przedmioty i skarby, tak niezwykle, aż zapierały dech w piersiach. Nefryt, jadeit, złoto, turkusy, ametysty, opale, górskie kryształy, drogocenne muszle, macica perłowa dosłownie skapywały ze ścian i ubiorów mieszkańców miasta.

Lecz Tezcatlipoca oglądał wszystkie te cuda oczami pełnymi obojętnej, pełnej pogardy ciemności. W jego sercu próżno by szukać choć odrobiny radości, małej iskierki światła. I to nie dlatego, że patronował mrokowi, nocy, czarnej magii i czarownikom.

Otóż Tezcatlipoca Czarny był całkowicie, zupełnie i niezbitnie martwy, a ten fakt przepelniał go wielkim gniewem i niezmiennie napawał smutkiem bez końca i pocieszenia.

Muszę coś z tym zrobić, myślał gorączkowo. Muszę wreszcie coś z tym zrobić i znów wrócić do życia.

Szkopuł w tym, że chociaż gryzł się swoją śmiertelną przypadłością od stuleci, nadal nie miał zupełnie żadnego pomysłu, jak się z niej wyleczyć.



Chalmecatecuhtli, bóg ofiar i najwyższy kapłan, spojrzał z rezygnacją na swoje dłonie, całe unurzane we krwi.

– Nie – szepnął do siebie, odkładając obsydianowy sztylet rytualny. – Znów się nie udało. Dlaczego, na Pierwsze Słońce?

Bo serce, które trzymasz w rękach, jest czarne, zasuszone i kurczy się wyłącznie wtedy, kiedy zaciskasz palce? To tylko paskudna pacynka, tak samo żywa jak, dajmy na to, twój ukochany pan i władca, którego bezskutecznie próbujesz ożywić, zanim wypalą się gwiazdy – odpowiedział mu wredny, ironiczny głosik w głowie. To chyba wystarczający powód, nie?

Jakkolwiek pragnął zagłuszyć ten głos, znów musiał przyznać mu rację. Tak, to był właśnie kluczowy powód, dla którego od wieków wszystko szło niezgodnie z planem, zmierzając powoli w stronę totalnej katastrofy.

Spojrzał niechętnie na rozciągniętego na ołtarzu trupa wojownika z piersią otwartą jak przepastna torba. Z kamiennego blatu wolno, opornie ściekała krew, ciemna jak smar i tak samo gęsta. Krew umarłych.

Wojownik obrócił głowę i skierował na kapłana pytające spojrzenie martwych oczu. Chalmecatecuhtli odprawił go niedbałym ruchem dłoni.

– No już, możesz iść.

Zmarły powoli, ostrożnie zaczął spuszczać nogi z ołtarza.

– Ciągle to samo – mamrotał pod nosem. – Włazę po tych niekończących się, cholernie wysokich stopniach, aż mi kolana skrzypią, dają się rozpruć i wypatroszyć niczym świąteczny indyk, a potem jak zwykle nic się nie dzieje. Tylko żona będzie

marudzić, że znowu musi mnie zszywać. Taki już parszywy los!

– Nie jazgocz tam jak kundel! – warknął w odpowiedzi kapłan. – Tak, wszystko słyszałem. Jeśli ośmielisz się po raz kolejny narzekać i jęczeć, odeślę cię do Mictlanu, Miejsca Śmierci we Mgle, a tam twoja dusza ulegnie unicestwieniu i znikniesz na dobre! I świetnie, bo już nie mam cierpliwości do twoich nieustannych jójczeń, kretynie.

– Nie, panie! Ja jestem lojalny i nic już nie mówię! – przestraszył się trup. – Tak sobie gadałem od rzeczy. To z szoku po rozcięciu mostka i połamaniu żeber. Już nawet sam nie pamiętam, co tam głądziłem bez sensu.

– Ale ja pamiętam – rzucił cierpko Chalmecatecuhtli. – No, dalej. Wynoś się. I żeby mi to było ostatni raz! Pamiętaj, mam na ciebie oko. A teraz przyślij mi następnego w kolejce.

– Oczywiście, panie. Już znikam, panie. – Martwy wojownik kłaniał się głęboko, ryzykując, że mu płuca wypadną.

Ruszył szparko ku schodom, ale zanim opuścił platformę z rytualnym kamieniem, zawahał się i odwrócił.

– Wybacz, panie. Nie chcę przeszkadzać, ale mogę dostać z powrotem moje serce? Jakoś tak mi bez niego niesporo...

Bóg ofiar spojrział na bezużyteczny, zasuszony organ wciąż trzymany w dłoni.

– Masz, łap! – Cisnął nim jak kauczukową piłką.

Wojownik złapał skwapliwie kawałek siebie i wepchnął w rozwartą klatkę piersiową.

– Dziękuję, panie. Twoja łaskawość...

– Zaraz się skończy! – przerwał kapłan. – Spadaj stąd. I koniecznie przyślij następnego. Nie, czekaj, może nawet trzech!

– Dobrze, panie. Z pewnością, panie. Zrobię wszystko zgodnie z rozkazem, przysięgam. – Zmarły zaczął zadziwiająco szybko zbiegać w dół po schodach piramidy.

Chalmecatecuhtli westchnął głęboko zawiedziony.

– Dobrzy Panie i Pani Dwoistości. Błagam, sprawcie wreszcie jakiś cud i zamieszajcie w tym naszym trupim bagienku. Potrzebujemy krwi. Dobrej, świeżej krwi, żeby ożywić naszego boga i dać wszystkim odrobinę nadziei. Ziemia jej łaknie. Słońce gaśnie z pragnienia. Plony, tak jak dzieci, są słabe i chorowite. Proszę, zasil nas krwią. Czerwoną, ognistą i gorącą! Prawdziwą krwią. Żywą, na wszystkie Pięć Słońc! Żywą i buchającą energią! Użycz nam krwi, boże Dwoistości! Raz, jedyny raz zmiłuj się nad swoim ludem. Z resztą poradzimy sobie sami. Ale musimy mieć życiodajną siłę w postaci bijących serc i buzującej życiem posoki. Nie takiej jak ta śmierząca, czarna maź płynąca w żyłach umarłych. Błagam o krew, Matko i Ojczy Świata. Bez niej bowiem niechybnie zginiemy!

Odprawiał podobne modlitwy nieskończoną ilość razy i, prawdę mówiąc, przestał już liczyć na jakikolwiek odzew.

Znów westchnął zrezygnowany, gdy nagle słaby podmuch zefirku przywiał na szczyt piramidy nowy, ożywczy zapach. Niezwykły aromat, a właściwie jego nikły, lecz niezwykle ekscytujący cień. Bo to był ten zapach. Ten jeden jedyny, upragniony i wyczekiwany.

W pierwszej chwili bóg ofiar nabrał przekonania, że to tylko wyobraźnia i straszliwy głód pospołu mają go złudną nadzieją. Jednak im głębiej wciągał w nozdrza wiatr, tym większej nabierał pewności, że nie, że jednak nie! Gdzieś, w niezmiernej oddali, pachniała świeża krew.

Daleko, bardzo daleko, ale w granicach łowieckich ludu Tamoanchanu. Jakaś cielesna, krwawiąca istota wkroczyła na tereny należące do poddanych Tezcatlipoki. Była tam, dostępna do schwytania i złożenia w ofierze Panu Czarnej Magii. Co prawda prześlizgiwała się tylko po samym skraju terytorium, jakby się drażniąc z kapłanem, raz przybliżała, raz oddalała, ale z pewnością kilka razy przekroczyła magiczną linię granicy. Inaczej nie zdołałby wywąchać krwi.

A czuł ją przecież wyraźnie i mocno, choć dzieliła ją od miasta ogromna odległość.

Chalmecatecutli nos miał wyczulony o wiele bardziej niż jakikolwiek pies na świecie. Tylko on jeden jako najwyższy kapłan i bóg ofiar potrafił zwęszyć świeżą, pełną witalności posokę, gdy znajdowała się tak daleko od miasta. Żelazisty aromat zdolny przywracać życie. A w tak istotnej kwestii nie mylił się nigdy. To była prawdziwa krew. Jej woń wydawała się dziwna, jakby nie do końca żywa. Kapłan nigdy się z czymś takim nie spotkał. Ale nie zmartwił się, bo moc, jaka dosłownie buzowała w tej krwi, niosła w sobie energię nie pięciu, ale pewnie i pięciu tysięcy Słońc!

Jego modły zostały wreszcie wysłuchane! Po tylu nieskończonych, jałowych latach! Wreszcie!

W odległym morzu zieleni, w odwiecznej dżungli otaczającej miasto Tamoanchan żyła i krwawiła niewiarygodnie potężna istota, której posoka oraz bijące serce zdołałyby nie tylko na całe lata ożywić Tezcatlipocę, ale także zapewnić jego ludowi i ziemi dobrobyt oraz szczęśliwość na wiele wieków!

Jeśli tylko uda się pojmać potężnego nosiciela krwi, a następnie złożyć w ofierze Tezcatlipoce, ze ścisłym zachowaniem reguł skomplikowanego rytuału, cała kraina ożyje! Wszyscy zostaną uratowani! Uratowani! Ożywieni na całe kolejne wieki!

Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. W końcu doskonale znał się na ceremoniale. Był wybitnym specjalistą w tej dziedzinie z racji urodzenia i upodobania.

Nie zostało wiele czasu do stracenia.

Zadanie jawiło się przed nim niemal tak jasne jak buzujący aromat życiodajnej czerwieni.

Schwycić przybysza. Obezwładnić. Przeprowadzić do miasta. Przygotować do rytuału, a następnie starannie odprawić odpowiednią ceremonię.

To wszystko, żeby ocalić miasto i całą krainę.

Niby niewiele. A przecież tak bardzo, bardzo dużo!

Bóg ofiar pośpiesznie zarzucił płaszcz na ramię i puścił się biegiem, żeby zanieść oszałamiająco dobrą nowinę swemu bóstwu i panu zwanemu Dymiącym Zwierciadłem.



– No? – mruknął niechętnie Pierwsze Słońce, Nahui Ocelotl, bóg czarnej magii i stwórca świata, na widok swego podwładnego, bóstwa ofiar, pośpiesznie wspinającego

się po stopniach piramidy.

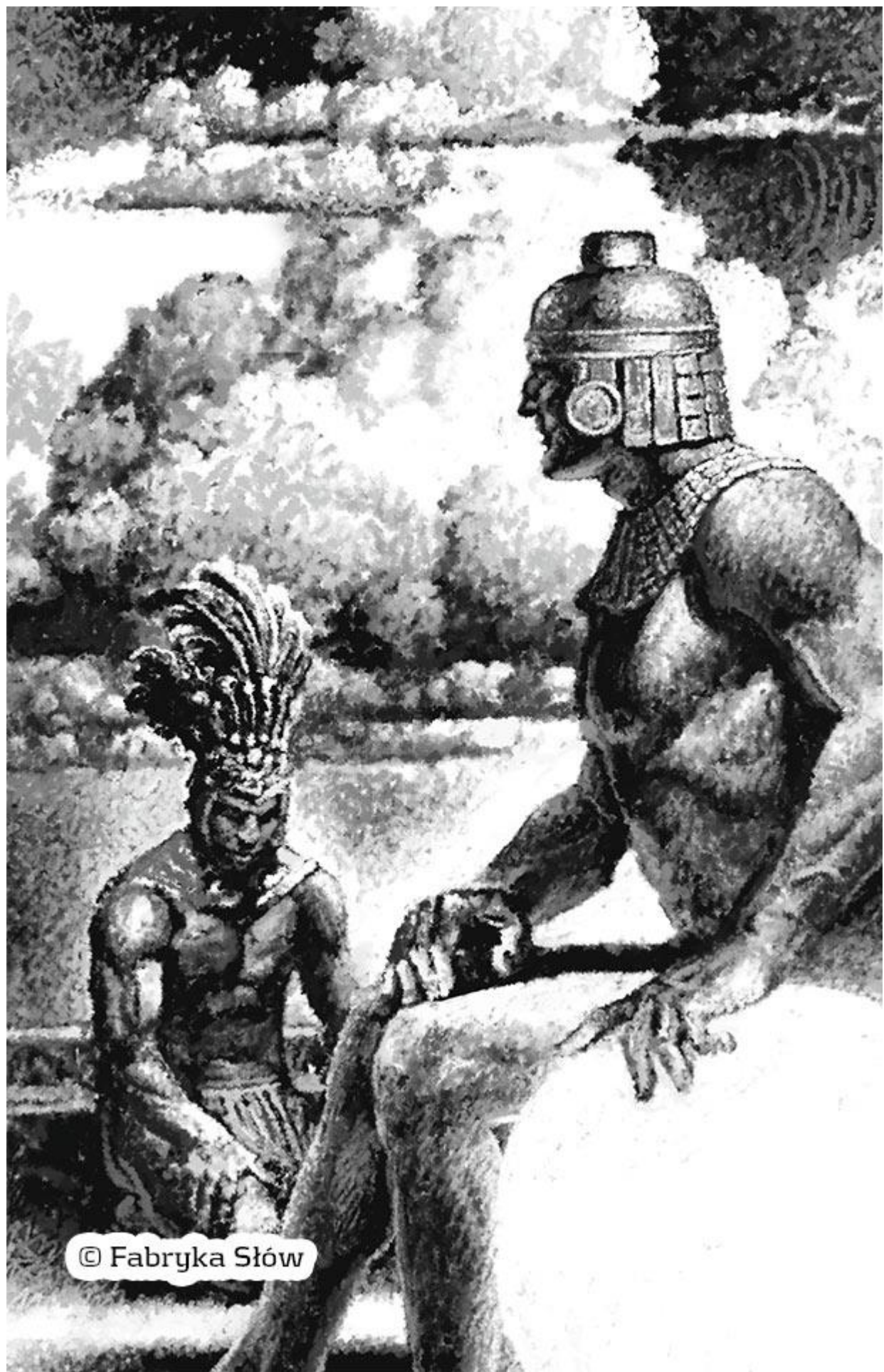
Nie miał ochoty go widzieć, a tym bardziej słuchać. Szczerze mówiąc, na nic nie miał ochoty. Od lat gnębiła go frustracja i głęboka depresja. Na widok podekscytowanej miny Chalmecatecuhtlego skrzywił się tylko z niesmakiem.

Ciekawe, jakie znów przynosi rewelacje? – pomyślał cierpko. Zaraza kukurydziana wytlukła zbiory? Coyolxauhqui, bogini księżycy, po raz kolejny spadła z nieba skutkiem słabości i choroby, a teraz będzie trzeba jeszcze raz wpychać ją z trudem na górę? Słońce poczerniało i zapadło się głębiej niż do tej pory? Zdechły wszystkie kolibry, a węże powysychały na czarne, smętne sznurki? Bo na pewno nie zdarzyło się nic dobrego. Co to, to nie!

Kiedy zdyszany kapłan dotarł wreszcie przed oblicze swego pana, jak zwykle zachwycił się jego postawą i majestatem. Choć od dawna martwy, Tezcatlipoca prezentował się jak prawdziwy najwyższy bóg kreator. Majestatycznie i pięknie.

Wysoki, smukły jak trzcina, trzymał się prosto, z godnością. Jego młodzieńcze ciało było zwinne i gibkie, muskularne i pełne siły. Twarz o przepięknym, klasycznym profilu, wąskim, wydłużonym czole, równo i płynnie łączącym się z wydatnym nosem, ozdabiały ogromne, przenikliwe, czarne jak magia oczy oraz szerokie, mięsiste usta. Włosy o barwie nocnego nieba, długie niemal do ziemi, nosił upięte w kunsztowną fryzurę za pomocą jadeitowych, nefrytowych i złotych spinek, klamer oraz grzebieni. Barwny płaszcz z najcieńszej bawełny miał niedbale przerzucony przez ramię. Kunsztownie upleciona, wyszywana klejnotami przepaska osłaniała mu biodra. Sandał na prawej nodze przypominał małe dzieło sztuki, cały upstrzony koralikami, aplikacjami i frędzlami z kosztownej skóry oraz szlachetnych kamieni.

Nahui Ocelotl mógł założyć tylko jeden but, gdyż zamiast lewej stopy miał protezę wykonaną z polerowanego krzemienia, szarego jak mgła o świcie. Jej powierzchnia wydawała się tak gładka, że byłaby zdolna odbijać obrazy, zupełnie tak jak lustro. Jednak próżno by się w niej doszukiwać odzwierciedlenia zwykłej rzeczywistości. W popielatej, pasiastej otchłani kamienia nieustannie przelewał się i kotłował skłębiony, gęsty opar snów i wizji, tworząc słynne Dymiące Zwierciadło, rodzaj wyroczeni, dzięki której Tezcatlipoca miał wgląd w przyszłość i przeszłość, potrafił dostrzec ludzkie i boskie zamiary oraz pragnienia.



© Fabryka Słów

Bóg zemsty, zła, ciemności, opatrności, zmiennego losu, występku i grzechu stracił stopę przed wiekami wieków, walcząc o dominację nad światem z prastarą Coatlicue, potężną i zjadłą boginią Ziemią. Wściekły, krwawy i zacięty bóg toczył się wówczas w odmętach praoceanu, gdyż ląd, na którym mogłoby rozkwitnąć życie, jeszcze nie istniał. Coatlicue, nie mogąc pokonać Tezcatlipoki we własnej postaci, przemieniła się w monstrualnego krokodyla. W tej formie zdołała co prawda okaleczyć boga, lecz w odwecie on wyrwał jej gołymi rękami szczękę i zmusił, żeby uczyniła z niej siedlisko dla przyszlých zwierząt, roślin oraz ludzi. W ten sposób stworzył świat.

O tak, Tezcatlipoca był bóstwem obdarzonym niezwykłą siłą i odwagą. Wszechmocnym kreatorem, a także sędzią dobra i zła. Potrafił bez wysiłku zmieniać kształty. Mógł zupełnie pozbyć się ziemskiej formy, stając się nocnym wiatrem, budzącym powszechną grozę powiewem czystej mocy. Na zawołanie przyzywał dziką wichurę lub całkowitą, śmiertelną nicość, bezruch powietrza. Z nocnego nieba spoglądał jako gwiazdozbiór zwany inaczej Wielką Niedźwiedzicą i dzięki temu widział naraz wszystkie cztery strony świata. Jako bóg gwiazd, odwieczny i mocarny, wziął pod opiekę jaguary, gdyż ich plamiste futro przywodziło na myśl rozgwieżdżony nieboskłon. Sam także ukazywał się chętnie jako gigantyczny jaguar, lecz nie płowy i cętkowany, ale czarny, mroczny niczym magiczne obrzędy, którym patronował. Był panem ciszy i ciemności. Władał demonami. Przewodził czarownikom, wróżbitom, magom ciemnej strony oraz wojownikom. Sam objawiał się jako wspaniały, nieustraszony wojownik z twarzą pomalowaną w charakterystyczne czarne pasy. Czasami zaś, dla kaprysu, błąkał się w odludnym lesie, przyjąwszy postać szkieletu z czerwonym, bijącym sercem w klatce żeber. Jego pierś rozchyłała się wtedy i zamykała niczym drzwiczki umieszczone na zawiasach. I w tej jednej jedynej formie Tezcatlipoca przestawał być niepokonany. Śmiałek, który wsunąwszy rękę w jego klatkę piersiową, zdołałby chwycić i wyrwać serce, zyskałby nad bogiem całkowitą kontrolę. Pozbawiony najważniejszego organu Nahui Ocelotl stawał się bowiem bezradny. Mógł tylko błagać o oddanie serca. Składał wtedy zwycięzcy przeróżne obietnice, lecz oczywiście nie miał zamiaru ich dotrzymać. Jeśli ktoś okazał się na tyle próżny i głupi, żeby próbować szantażować boga, sam był sobie winien, prawda? Pierwsze Słońce jednak drwił z niebezpieczeństwa, włócząc się po dżungli z sercem jak rajskim ptakiem trzepoczącym w klatce własnych kości, rzucając wyzwanie wszystkim i wszystkiemu, jak to zwykle on.

Mimo mrocznej natury umiał korzystać z sumienia i czasem znaleźć w sobie litość. Karał złe uczynki, ale dobre nagradzał. Pod swoje skrzydła przygarniał najsłabszych. Na jego protekcję mogły liczyć wdowy oraz sieroty, a także niewolnicy.

A przy tym Tezcatlipoca był tak porażająco pięknym mężczyzną, że w jego obecności kobiety mdlały z zachwyty.

Był.

Mógł.

Potrafił.

Władał.

Tak, wszystko to prawda. Problem w tym tylko, że wszystko to niegdyś. Dawno

temu, przed wielu laty. Teraz bóg ciemności nie miał nawet prawdziwego ciała. Stał się cieniem, na pół przezrzystym widmem. Wyblakłym duchem samego siebie. Umarł ze znużenia oraz braku sił witalnych i nijak nie umiał znów się odrodzić.

A wszystko dlatego, że zabrakło świeżej krwi składanej w ofierze na rytualnych ołtarzach. Pierwsze Słońce żywił się nią i tylko dzięki niej istniał. Cały świat nieustannie potrzebował bijących serc dopiero wydartych z piersi, ciał żywcem obdartych ze skóry i gorącej, żelazistej, lepkiej posoki, która zawierała w sobie esencję życia. Bez niej umierali nie tylko bogowie, ale także cały tutejszy wszechświat.

Nie, nie można powiedzieć, żeby mieszkańcy Tamoanchanu, Domu Brzegu Wody, uchylali się od zaszczytnego obowiązku karmienia swoich bóstw. Wojownicy, ubrani we wspaniałe szaty, ozdoby i maski, nadal pozwalali rozplątać się na rytualnych kamieniach i z własnej woli oddawali życie za świat i bogów. Wciąż odbywały się rozgrywki w piłkę zwane *ullamaliztli*, a zwycięzcy dumnie i śmiało wkraczali po stopniach świątynnych piramid, żeby dać się złożyć w ofierze. Prowadzono święte jak rytuał, coroczne, umówione zawczasu wojny kwietne tak jak przed wiekami, tylko po to, żeby pozyskać jeńców, którzy potem służyli za pokarm dla Słońca. Zakopywano w ziemi ucięte głowy, dłonie i serca, żeby pobudzić ziemię do rodzenia obfitych plonów.

Ale te rozpaczliwe działania nie przynosiły żadnego efektu, bo wszyscy w Tamoanchanie byli martwi, jak to zwykle w zaświatach. Gęsta, zimna, czarna krew nie niosła w sobie żadnego witalnego potencjału.

Niemniej nieustannie co roku odprawiano niezwykle hucznie wiosenne święta ku czci Xipe Toteca, boga urodzaju i płodności, obdzierając ze skóry tysiące chętnych ofiar i bezskutecznie czekając, aż zdarzy się cud. Ale on nie nadchodził. Co gorsza, sam Totec dawno już opuścił rodzinne strony, uciekwszy do Głębi. Niestety, nie był jedynym bóstwem, które pośpiesznie skorzystało z okazji i porzuciło tradycje. Wielu, naprawdę wielu galopem pognało do Otchłani, ku cywilizacji i nowoczesności, gdy tylko dostrzegło taką możliwość. Tam zostali przyjaźnie przyjęci, ponieważ po chrystianizacji prekolumbijskiej Ameryki, jako istoty oficjalnie wyklęte, stali się pełnoprawnymi demonami.

Tezcatlipoca aż zgrzytał niewidzialnymi zębami z nienawiści, gdy tylko przypomniał sobie o tych zdrajcach i zaprzańcach.

Kiedyś się zemszczę, myślał z goryczą. Zemszczę się straszliwie, a wtedy pożałują, że się narodzili pod jednym z Pięciu Słońc! Poczują gniew Dymiącego Zwierciadła. Poczują siłę mojej pogardy.

Taka hańba jak ucieczka z upadającego, chylącego się ku ostatecznemu zniszczeniu Tamoanchanu po prostu nie mieściła mu się w głowie. Albowiem Nahuí Ocelotl głęboko i rozpaczliwie kochał zarówno tradycję, jak i tę udręczoną, spustoszoną krwawą suszą ziemię, którą pomagał stworzyć, oraz lud, jaki ją zamieszkiwał. Swoje Jaguary i Kolibry, Orły i Węże. Nieustraszonych, dumnych, skłonnych do najwyższego poświęcenia wojowników.

– Rozważcie to, panowie – wyszeptał do siebie. – Orły i Jaguary. Choćbyście byli ze złota, choćbyście byli z jadeitu, i tak traficie tam, do Miejsca Ludzi bez Ciała...

Ten piękny, smutny wiersz o przemijaniu zawsze poruszał go do dna serca,

ponieważ bóg zdawał sobie sprawę, jak bardzo bez ciała jest obecnie i jak nieznośnym jawi mu się to upokarzające położenie.

Recytację poezji przerwał mu jednak Chalmecatecuhtli, który od dłuższego czasu chrząkał znacząco, próbując zwrócić uwagę zamyślonemu przełożonemu. Ponieważ nie zadziałał nawet symulowany atak kaszlu przypominający rżenie zdychającego kojota, bóg ofiar ośmielił się wreszcie odezwać:

– Panie? Wybacz, panie, ale przynoszę bardzo ważne wieści!

– Co tam znowu? – fuknął opryskliwie Dymiące Zwierciadło. – Co się zepsuło, rozpadło, pękło, zachorowało albo odwaliło kitę? Gadaj zaraz, bo inaczej obedrę cię żywcem ze skóry!

Ponieważ Tezcatlipoca miał niezłą wprawę w skórowaniu, a jego najwyższy kapłan – słabą ochotę paradować przez wieczność z mięśniami na wierzchu, przeszedł od razu do rzeczy.

– Wyczułem zapach krwi, o Pierwsze Słońce! Żywej krwi! To cud, mój panie!

Bóg czarnej magii popatrzył na swego podwładnego z politowaniem i wzgardą.

– No i stało się – mruknął. – Na łeb ci się rzuciło po tylu jałowych latach. Odbiło ci ze szczętem. Nic dziwnego. Byłem tego pewien. A teraz wynoś się. Myślę o przemijaniu.

– Lepiej pomyśl o odrodzeniu, Jaguarze Nocy! – zawołał radośnie Chalmecatecuhtli. – To wspaniała krew. Potężna. Niesłychanie potężna! Buzuje taką mocą, że ledwie mogę ustać na nogach! Aż w głowie mi wiruje od jej ożywczej, sprawczej woni!

– Opiłeś się pulque czy jak? A może padłeś w czułe, choć zdradliwe objęcia peyotlu? – warknął zjadliwie Nahui Ocelotl, jednak obrzucił swego kapłana uważniejszym spojrzeniem.

Dziwne, ale ten wyglądał, jakby naprawdę uwierzył w swoje omamy zapachowe.

Oczy mu płonęły szalonym blaskiem próchna w przepastnej dziupli, na policzki wystąpiły czerwone plamy rumieńców, dłonie umazane czarną posoką umarłych drżały lekko ze zdenerwowania. Straceńcza nadzieja i radość mieszały się na jego obliczu z niepewnością i lękiem przed okrutnym rozczarowaniem.

Demony go wiedzą, zastanowił się Dymiące Zwierciadło. Może i faktycznie coś wyczuł? Zachowuje się jak kojot, który wywęszył padlinę. Jedno jest w tym wszystkim pewne. Ja nic nie poczuję. Jako trup nie mam już prawie żadnej mocy.

– Co to niby za krew? – spytał jednak szorstko. – Żywa? U nas, w zaświatach?

Bóg ofiar przełknął nerwowo ślinę.

– No... – wydukał. – Nie wiem na pewno, czy tak do końca żywa. Ale niesamowicie mocna. Nosi ją w żyłach ktoś mocarny jak najwyższy bóg, a może nawet silniejszy. Jej słaby, odległy aromat ożywia mnie i napełnia witalnością nawet z takiej oddali. Wyczuwam, jak bije jego serce, i ten rytm doprowadza mnie niemal do ekstazy! Przysięgam ci, Pierwsze ze Słońc! To wspaniała, świeża, pełna energii krew, która byłaby zdolna nie tylko przywrócić cię do życia na długie cykle kalendarzowe, lecz także dać obfitość plonów i dobrobyt całej naszej ziemi! To dar prawdziwy od stwórców i losu! Nie wolno nam go zmarnować!

Tezcatlipoca skrzywił się nieprzyjaźnie, bo bardzo nie lubił być pouczany.

– Sam zajmuję się losem – oznajmił oschle. – A stwórcą też jestem niegorszym.

Chalmecatecuhtli skłonił się natychmiast z szacunkiem. Dobrze wiedział, że z przełożonym lepiej nie zadzierać.

– Oczywiście, panie. Nie masz sobie równych ani pod żadnym ze słońc, ani pod odwiecznymi gwiazdami. Księżyc mogłaby ci lizać buty. Hmm, but i protezę, miałem na myśli.

Oczy Dymiącego Zwierciadła zrobiły się czarne jak najbardziej podłe z mrocznych zaklęć.

– Chcesz coś powiedzieć czy wolisz dać sobie szansę, żeby się zamknąć?

Normalnie bóg ofiar natychmiast by się wycofał, lecz teraz zapach cudownej posoki drażnił go i otumaniał, budząc przy tym szalony, nieokiełznany głód. Krew! Gdzieś w dżungli kryła się najwspanialsza krew ze wszystkich, jakie będzie miał kiedykolwiek szansę skosztować. Dałby sobie uciąć ręce i nogi, że to prawda. Wiedział, że takiej okazji nie wolno mu za nic przepuścić.

Na razie nie miał zamiaru uświadamiać swemu panu, że ofiara kręci się tylko przy granicy terytorium Tamoanchanu i w każdej chwili może udać się głębiej w dżunglę, gdzie nie ośmiela się na nią polować. Tezcatlipoca był porywczy, łatwo unosił się gniewem i wpadał w szał. Lepiej, żeby usłyszał tylko dobre wieści. Najwyższy kapłan rozpaczliwie pożył potężnej, świeżej krwi, która zapowiadała odrodzenie całemu miastu. Ogłuszony jej cudownym aromatem, wierzył, że w jakiś sposób zdoła zwabić ją na tereny łowieckie i pojmać w niewolę.

Teraz musiał tylko wyrwać boga czarnej magii z marazmu i za wszelką cenę zainteresować polowaniem na krew.

– Tak – oświadczył śmiało. – Uwierz mi, błagam, że nie kłamię ani nie zwariowałem, a ja znajdę dla ciebie ofiarę, dzięki której odzyskasz ciało i powrócisz do pełni sił. Potem nagrodzisz mnie lub ukarzesz, wedle życzenia.

Nahui Ocelotl zamyślił się głęboko. Coś w tonie głosu sługi, w jego przepelnionych dziką nadzieją oczach przekonało go, że warto spróbować. Nie darowałby sobie, gdyby wypuścił z rąk szansę na nowe życie. Moc! Odzyskałby dawną moc! Tak bardzo pragnął znowu władać wiatrem, czarami i nocą!

Zmarszczył brwi.

– No dobrze. Zezwalam, żebyś zajął się tą sprawą. Przyprowadź mi tego mocarza o żywej krwi, a nie ominą cię dary i zaszczyty.

Kapłan aż podskoczył ze szczęścia. Czuł, że wreszcie ma przed sobą cel, na który czekał całe życie.

– Pierwsze Słońce, okazałeś mi dziś tyle łaski, że nie śmiem prosić o więcej. Lecz tylko ty, jako jedyny w świecie, potrafisz widzieć rzeczy przeszłe i przyszłe. Popatrz w nogę, mój panie – zaskomlał służalczo, spoglądając spod oka na Jaguara Nocy. – Zobacz, co nas czeka. Gdzie ukrywa się istota pełna mocarnej, magicznej krwi, żebyśmy mogli ją dopaść i złożyć przed tobą w ofierze!

Tezcatlipoca zerknął na niego jak na kawał zgniłego ochłapu. Wydawało się, że jeśli ma zamiar zrobić jakikolwiek użytek z krzemiennej stopy, to tylko kopnąwszy swego

podwładnego z siłą zdolną zmieść go ze szczytu sanktuarium.

– Tak się dziwnie składa – wycedził – że nie mogę już patrzeć w nogę. Zapomniałeś? Ani stawać się wiatrem, ani rządzić żywiołami, ani przepoczwarzać się w jaguara czy gwiazdozbiór na niebie. Bo jestem martwy. Dociera? Martwy na dobre! I przestań mi o tym przypominać, bo gołymi rękami wywrócę cię na lewą stronę, a twoje flaki porozwieszam po okolicznych kaktusach!

– Eeee... – stropił się bóg ofiar. – Wybacz, panie. Widzisz, ja ostatnio też jakby gorzej się czuję.

– Chalmecatecuhtli! Nie przeginaj! – wrzasnął Nahui Ocelotl, wyraźnie rozwścieczony.

– Kolibry! – krzyknął w odpowiedzi Chalmecatecuhtli, a Tezcatlipoca z rozczarowaniem stwierdził, że jednak pomieszało mu się w głowie.

– Jakie znów kolibry, na wyrwaną szczękę Coatlicue?! – rozzłościł się. – Gadaj do rzeczy albo zaraz zrzucę cię na łeb z piramidy. Ostrzegam, moja cierpliwość się kończy!

Bóg ofiar uśmiechnął się chytrze. Wyglądał teraz jak rasowy świr.

– Dusze poległych wojowników – wyjaśnił. – Twoich wiernych poddanych. Powracają przecież na ziemię w postaci kolibrów. Są maleńkie, ale bardzo żywotne. Latają wszędzie i wszystko wiedzą. Wyślij je na przeszpiegi, panie. Niech znajdą dla nas dawcę krwi i organów!

Piękna twarz Jaguara Nocy rozpromieniła się jak w czasach, gdy panował jako Pierwsze Słońce.

– Racja, Chalmecatecuhtli! Doskonała rada! Zawołaj mi tu zaraz Teoyaomqui!

– Już pędzę! – wykrzyknął uradowany kapłan.



Teoyaomqui, bogini poległych wojowników, choć była zajęta karmieniem ukochanych ptaszków miodem, przytruchtała szybko na wezwanie swego boga i pana. Wiedziała, że Tezcatlipoki lepiej nie drażnić. Ostatnio wciąż był nie w humorze, a nie chciała się narazić na wybuch jego gniewu.

Wspięła się szybko po schodach na szczyt piramidy, podtrzymując obiema dłońmi szeroką, wielobarwną spódnicę z ptasich piór. Była ładną, młodą kobietą o owalnej twarzy i miłej dla oka sylwetce. Jak przystało na bóstwo o jej pozycji, nosiła mnóstwo biżuterii i ozdób we włosach. Szczególnie upodobała sobie turkusy i ametysty, bo kojarzyły jej się z upierzeniem bliskich jej sercu kolibrów.

Lekko zdyszana, pokłoniła się głęboko przed Dymiącym Zwierciadłem.

– Wzywałeś mnie, mój panie.

Uniosła wzrok i nieopatrznie spojrzała wprost w twarz boga. Ujrzała jego oszałamiająco piękne oblicze, wydatny nos przypominający bojowy topór, usta nienagannie wykrojone w kształt strąku kakaowca, oczy jak głębia wieczornego nieba, jak czarny ogień, jak najszlachetniejszy obsydian...

– Tak – potwierdził Jaguar Nocy. – Chcę, żebyś natychmiast wysłała do dżungli kilka patroli moich... Teoyaomqui?

Przerwał nagle, bo bogini, która jeszcze przed sekundą wpatrywała się w niego maślanym wzrokiem, rozchyliła lekko usta i skłoniła na bok głowę niczym zasypiający ptak. Powieki jej opadły, a potem z lekkim stęknieniem osunęła się na kamienną podłogę sanktuarium.

– No nie! – rozeźlił się Pierwsze Słońce. – Dlaczego właśnie teraz?! Czy ta kretyka nie mogłaby się skupić choć na chwilę?!

– To nie jej wina, panie – ośmielił się wtrącić Chalmecatecutli. – Kobiety mdleją na widok twojej porażającej urody.

– Wiem – syknął ze złością bóg czarnej magii, który nieraz musiał cucić w łóżu swoje kochanki, co, prawdę mówiąc, doprowadzało go do szału. – Przywróć ją do porządku, bo jeśli ja się do tego zabiorę, gotów jestem skrócić jej ten żaloszny, cienki kark.

Bóg ofiar zaczął poklepywać zemdloną Teoyaomqui po twarzy.

– No już, już, kochana. Wszystko w porządku, tylko ocknij się zaraz, bo pan się rozgniewa!

Jęknęła cicho, zatrzepotała powiekami i oblizwała odruchowo wargi.

– Ja... ja... zaraz wrócę do siebie...

– Byle szybko – warknął rozeźlony Tezcatlipoca.

Kapłan posłał mu wymowne spojrzenie.

– Błagam, zdobądź się na łagodność, panie. Biedaczka nic nie może poradzić, że budzisz niebywały zachwyt swoim wyglądem.

Dymiące Zwierciadło wzruszył tylko ramionami i prychnął pogardliwie.

Chalmecatecutli pochylił się tymczasem nad zemdloną i podał jej glinianą czarke.

– Masz, proszę. Napij się. Czekolada cię orzeźwi.

Przyjęła naczynie i umoczyła usta.

– Och – szepnęła. – Dobra. Jaka pikantna i gorzka. Już czuję się lepiej.

– To świetnie. – Jaguar Nocy chciał jak najprędzej przejść do rzeczy. – Posłuchaj mnie teraz uważnie, bo mam dla ciebie ważne zadanie.

Tym razem, pokrzepiona czekoladą, zdołała się skupić i zrozumieć, czego od niej oczekuje, ale tylko dlatego, że cały czas wpatrywała się usilnie w puste dno czarki.



Rozdział IX



Jak na kogoś o słabej głowie, Sinaa radził sobie znakomicie. Wypili razem po kilka porcji pulque, a on nie zdradzał żadnych oznak upojenia. Nietypowy trunek już po paru łykach przypadł Daimonowi do gustu. A może pomógł w tym egzotyczny nastrój nieoswojonej tropikalnej nocy i przyjazne usposobienie gospodarza? W każdym razie Frey czuł się coraz bardziej swobodnie i chętnie sięgał po swoją miseczkę z alkoholem. Smak napitku nie był wcale zły, lekko gorzkawy i przy tym orzeźwiający.

Takie dzikie, trochę zwariowane piwo, stwierdził Frey. Dziwne, ale może być.

Tymczasem na różnie apetycznie skwierczało mięso. Krople tłuszczu skapywały w żar, tworząc miniaturowe gejzery. Przyjemny zapach grilla drażnił nozdrza i przypominał Aniołowi Zagłady, jak bardzo jest już głodny. Zjadł co prawda miskę wyjątkowo smacznej, lekkiej zupy z warzywami i małżami, lecz po wysiłku spowodowanym długą wędrówką i licznymi potyczkami wciąż nie czuł się nasycony.

Sinaa wciągnął aromat pieczeni do szerokiego, kociego nosa i zatarł z radością rękę.

– Zaraz mogę zdejmować – powiedział. – O rany, ale jestem głodny.

– Ja też – przyznał Frey.

Po chwili jagarołak sprawnie zabrał się do dzielenia dużych porcji, posługując się zdumiewająco ostrym nożem z obsydianu.

– Proszę. – Podał gościowi pierwszą porcję, cudownie przypieczoną, pachnącą ziołami i dymem z ogniska.

Daimon skwapliwie zatopił zęby w gorącym kawałku mięsa. Okazało się bardzo soczyste i świeże. Nie potrzebowało za wielu przypraw ani dodatków. Miało wyraźny, lecz miły aromat dziczyzny, a zagryzione płaskim kukurydzianym plackiem okazało się kolacją godną samej Światłości.

– Co to za gatunek zwierzęcia? – spytał Abaddon.

Sinaa uśmiechnął się szeroko, choć usta miał pełne jedzenia.

– Tutejszy – oświadczył nieco enigmatycznie. – Sam upolowałem.

– Jako jaguar? – zainteresował się Frey.

– Oczywiście. Dobrze czasem побыć wielkim, dzikim kotem z pazurami jak maczety. Wspominałem już o tym, nie?

– Faktycznie, wspominałeś.

Gospodarz przegryzł kość białymi, ostrymi zębami drapieżcy, jakby to był cienki patyczek, i jał wysysać szpik.

– Nie chcę się wtrącać, ale, prawdę mówiąc, jestem bardzo ciekaw, co cię sprowadza w nasze strony, Daimonie?

Abaddon westchnął, przypomniawszy sobie o swoim nieciekawym położeniu.

– Mówiłem ci. Zgubiłem się w lesie na amen. Zostałem zaatakowany przez dwa ogromne wilki, które wciągnęły mnie głęboko w dżunglę, tak że straciłem swój oddział. Potem błąkałem się w kółko, ale nie potrafiłem już znaleźć powrotnej drogi do obozowiska na brzegu rzeki.

– Wilki? – zdumiał się Sinaa. – Przecież u nas ich nie ma.

– Pochodzą z Meru. Ktoś je na mnie nasłał. Prawdopodobnie chciał, żebym zginął, ale zdołałem pokonać obie bestie naraz.

– Zdolny jesteś. – Gospodarz się uśmiechnął.

– Mam parę tysięcy lat wprawy – przyznał Daimon. – Muszę jak najprędzej dotrzeć do rzeki, żeby odnaleźć ekspedycję, którą ochrania. Prowadzi ją znana badaczka z Królestwa, Świetlista imieniem Sereda. To wyprawa naukowa mająca na celu zbadanie nieznanymi dotąd obszarów Stref Poza Czasem.

Nie minął się z prawdą jakoś bardzo daleko, mimo wszystko jednak było mu trochę przykro, że nie może zdradzić Sinaa prawdziwego powodu, dla którego wyruszył w tę niebezpieczną i długą podróż.

Tymczasem jaguarołak ze zrozumieniem skinął głową.

– Mieliśmy tu już kilku badaczy, biologów, kartografów, geografów, a czasem zwykłych awanturników poszukujących złota i innych skarbów. Ale ostatni opuścił nasze strony bardzo dawno temu. Nie dziwię się, że Królestwo zdecydowało się wysłać kolejną ekspedycję. Mamy tu, w dżungli, parę ciekawych rzeczy, naprawdę. Więc mówiłeś, że chcesz wrócić do swoich?

– Tak.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, płyną łodziami po rzece, tej długiej, szarej i krętej jak wąż? Miejscowi nazywają ją Anakondą.

– Sereda utrzymuje, że tak jest najszybciej i najbezpieczniej.

– To prawda. Okoliczne krainy zamieszkują groźne i nieprzyjazne istoty. Lepiej nie rzucać się im w oczy. Są staroświeccy, trochę nieokrzesani i... no cóż, dosyć krwiożerczy,

że tak powiem. Nie lubią gości. To znaczy lubią, nawet bardzo, ale gościom z pewnością nie podoba się sposób, w jaki zostają przyjęci.

– Za to ty jesteś przyjazny, otwarty i ogromnie cywilizowany. – Frey uniósł czarnekę z pulque.

Sinaa spełnił toast.

– Dziękuję. Ale ja to ja. Przyjąłem Światłość, a ludzie na Ziemi wciąż o mnie pamiętają i szanują, w pewien sposób. Dlatego mogę się rozwijać i zmieniać, natomiast inni tutejsi mieszkańcy tkwią w odległej przeszłości, traktując tradycję niczym świętość. A to przynosi same problemy. Wiem już, że chcesz dołączyć do wyprawy, ale czy bardzo ci się śpieszy?

– Bardzo – przyznał Anioł Zagłady. – Chciałbym wyruszyć na poszukiwania o świecie.

– Szkoda. Liczyłem, że dłużej pocieszę się twoim towarzystwem. Opowiesz mi coś o Królestwie i szerokim świecie w ogóle. Bo ja to taki lokalny bardziej jestem. Chociaż też czasem mam ochotę porozmawiać z kimś inteligentnym. A w dżungli... sam rozumiesz. Poznałeś Jurupariego i Huaca, więc pojmujesz, z kim muszę przestawać na co dzień.

– Też mi przykro. Pogadałbym z tobą z radością, ale mam swoje obowiązki. Powiniennem jak najszybciej odszukać ekspedycję.

Koci człowiek podrapał się za uchem.

– Postaram się pomóc.

– Naprawdę? – ucieszył się Daimon.

– Aha. Pomyślałem, że wezwę mojego podwładnego i zarazem zaufanego przyjaciela. On zna w dżungli każdy listek i każde mrowisko. Trudno mi to przyznać, ale jest w tej sztuce lepszy niż ja. O wiele lepszy. Jego serce jest zielone i pełne kielkujących pędów, a zamiast żył ma w środku płataninę lian. On sam jest dżunglą w pewnym sensie. Myślę, że bez trudu znajdzie twoje łodzie razem z załogą.

– Jesteś wspaniały! Dzięki, Sinaa. Ogromnie się cieszę, że Jasność postawiła cię na mojej drodze.

– Och, drobiazg. – Jaguar machnął lekceważąco ręką, lecz znów się zaczerwienił. – Poczekaj, zawołam Uaicę.

– Dla mnie im prędzej, tym lepiej, ale jest już naprawdę późno. Nie wścieknie się, że go ściągasz po nocy?

– E tam. On ciągle się gdzieś włóczy po lesie, nocami też. Zioła zbiera. Ma na ich punkcie prawdziwego kręcka. Na pewno jest teraz w dżungli. Zobaczysz, ucieszy się, że może cię poznać.

Jagarołek stanął na skraju polany i zaryczał tak donośnie, aż Abaddon rozlał trochę pulque. Potem zadowolony gospodarz wrócił na ławę naprzeciw gościa i sięgnął po polec mięsa.

– No, zaraz tu będzie. Musisz wiedzieć, że Uaica jest wyśmienitym uzdrowicielem. Sporządza bardzo skuteczne leki, okłady, napary i smarowidła z miejscowych ziół i owadów. Umie nastawiać kości i wypowiadać takie zaklęcia, które obniżają gorączkę i łagodzą ból. Tę maść przeciw truciźnie zawartej w strzałkach Huaca dostałem od niego.

– Bardzo mi pomogła – przyznał Frey.

– No widzisz. Uaica jest naprawdę w porządku. Kłopot w tym, że nie ma śmiałości do kobiet. – Sinaa uśmiechnął się pod wąsem jaguara. – Stąd jego kłopoty małżeńskie. Ucieka na całe dni do dżungli, szuka leczniczych roślin i innych substancji, wciąż miesza i uciera nowe leki, żeby nie patrzeć, jak jego żona... no, hmm... bardzo ciepło odnosi się do innych mężczyzn. Szczególnie tych młodych.

– Biedak.

– W sumie tak. Ale gdyby okazał trochę stanowczości, wziął sprawy w swoje ręce, pewnie wszystko przybrałoby inny obrót. Tylko że nie umie, bo to ciamajda nie do pojęcia. Za to wierny i dobry przyjaciel.

– Tak w życiu bywa – przyznał Abaddon. – Napijesz się jeszcze?

– Z przyjemnością. O masz! Tykwa już całkiem pusta. Pójdę po drugą.

Gdy gospodarz zniknął w chacie, Daimon poczuł, że po raz pierwszy od przekroczenia progów Nagaloki może sobie pozwolić na chwilę wytchnienia. Tropikalny las, szaleństwo gwiazd nad głową, nocne szepty i śpiewy dżungli, egzotyczne otoczenie, miłe towarzystwo oraz przyjemne odprężenie towarzyszące pysznej kolacji i lekkiemu napojowi alkoholowemu sprawiły, że Frey w końcu porzucił troski i zaczął się cieszyć chwilą. Świadomość, że przyjazne miejscowe bóstwa pomogą mu odnaleźć Serecę, też przynosiła ogromną ulgę. Chyba pierwszy raz od opuszczenia Królestwa Anioł Zagłady naprawdę dobrze się bawił.

Człowiek-kot powrócił z nową, większą tykwą, a potem polał szczodrze. Następnie z zapalem i smakiem zabrał się za kolejny kawał ociekającego tłuszczem mięsiwa.

– Chciałbym ci udzielić drobnej rady, jeśli pozwolisz – powiedział pomiędzy kęsami.

Daimon skinął zachęcająco głową.

– Wal śmiało. W końcu ty jesteś ekspertem od dżungli.

Jaguarolak wycelował w gościa na pół ogryzionym gnatem.

– Wybacz, ale lepiej, żeby Uaica poprowadził cię ścieżkami dla zwierzyny, przez bagna i pustkowia. Chodzi o to, żebyś zbyt nie rzucał się w oczy tutejszym mieszkańcom. Tak będzie najbezpieczniej i najbardziej przezornie. Obawiam się, że kiedy się zgubiłeś, kilkakrotnie nieświadomie znalazłeś się na terenie należącym do ludu Tezcatlipoki. Tu jesteś bezpieczny, ale żeby dotrzeć z powrotem do swoich, będziesz musiał znów tamtędy przejść. Mój przyjaciel powie ci drogą poza granicą, jednak nie wykluczam, że czasami nie będzie innego wyjścia, niż przejść skrajem terytorium Tamoanchanu. A to bardzo niebezpieczne. Poddani Dymiącego Zwierciadła są dzicy, nieokrzesani, staroświeccy, a w dodatku cechują ich osobliwe, niezbyt miłe obyczaje. Na twoim miejscu unikałbym Tamoanchanu i całej mieszkającej tam bandy. Nie zrozumiesz ich kultury, mówię ci.

– Nie? A czemu?

Sinaa skrzywił się, jakby fragment kości utkwiał mu między zębami.

– Mają nietypowe poglądy na krew i podroby. Przywiązują do nich zdumiewająco wielką wagę. – Westchnął. – To stara cywilizacja. Bardzo stara. Potężna, rozwinięta i skomplikowana. Niektóre jej wytwory faktycznie robią wrażenie. Ale przez wieki

odrobinę się zdegenerowała. Ich święta i obrzędy są krwawe. Bardzo brutalne. A świętują codziennie. No, tak lubią i tyle. Nie sądzę, żebyście przypadli sobie do gustu. Naprawdę nie zrozumiesz ich kultury. Lepiej sobie odpuść wizytę w Tamoanchanie, podążaj dokładnie trop w trop za Uaicą i nigdy nie zbaczaj ze ścieżki, którą ci wskaże, dobra?

Anioł Zagłady spojrzał w zielone, zwierzęce ślepią jaguara i ujrzał w nich szczerą troskę.

– Kiedy tak usilnie odradzasz mi zwiedzanie tutejszych krain, zaczynam nabierać na to ochoty, tak z czystej przekory. Ale w porządku. Wierzę ci. Pójdę za twoim przewodnikiem nawet przez moczary i bezdroża. Najwyżej sobie buty upaprę.

– Wspaniale! – ucieszył się człowiek-kot. – To nam wszystkim oszczędzi mnóstwa kłopotów.

– Witaj, panie. Witaj... szanowny cudzoziemcze – ozwał się nagle z ciemności cichy, łagodny głos.

Frey się wzdrygnął. Odruchowo sięgnął po Gwiazdę Zagłady, lecz gospodarz uspokoił go ruchem ręki.

– Miło cię widzieć, Uaica. A właściwie słyszeć, bo jak zwykle stapiasz się z nocą. Mój przyjaciel potrafi się poruszać bezdźwięcznie jak ćma – wyjaśnił Daimonowi.

Postać, która wysunęła się z mroku, sama wyglądała jak cień.

Uaica okazał się drobnym, bardzo szczupłym mężczyzną o skórze koloru ciemnej terakoty. W ciepłym świetle ogniska wydawał się odlany z mosiądzu. Miał bardzo ciemne oczy i wystające kości policzkowe. Jego twarz zdobiły skomplikowane wzory rytualnych tatuaży. Czarne włosy nosił obcięte równo jak od garnka. Za cały strój służyła mu przepaska biodrowa. Na ramieniu niósł duży jutowy worek wypchany czymś, co wydzielalo intensywną woń żywicy i miodu.

– Poznaj mojego gościa. To Świetlisty z Królestwa. – Sinaa przedstawił Freya. – Odbył długą podróż, żeby do nas zawitać.

Uzdrowiciel niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

– To zaszczyt dla nas – powiedział.

Portugalskim posługiwał się nieźle, choć nieco sztywno. Miał miękki, obcy akcent. Wyraźnie było słychać, że to nie jego rodzinny język i zapewne rzadko go używa.

– Siadaj. Zjedz z nami i napij się pulque – zaprosił gospodarz.

Uaica jakby się nieco spłoszył. Aż się cofnął o krok.

– Nie, nie! Dziękuję. Jadłem. Jeśli pozwolisz, panie, pójdę już szukać roślin i gorzkiej kory. Dziś jest świetna noc na poszukiwania.

Sinaa zmarszczył nos.

– Słuchaj, tak właściwie to mam do ciebie prośbę. Mój nowy przyjaciel zgubił się w lesie. Możesz odszukać jego ekspedycję? Płyną w górę Anakondą. Dla ciebie to pestka, nie? Znasz przecież okolicę jak własną tykwę. Rano zaprowadzisz go do swoich i będziesz wolny. Możesz sobie wtedy szukać każdej gąsienicy i każdego kwiatka, jakie ci się zamarzą.

Nieśmiały bóg lecznictwa przygryzł nerwowo wargę.

– Dobrze – zgodził się. – Ale muszę już iść, skoro mam zdążyć do świtu.

– Więc idź – oświadczył łaskawie jaguarołak. – Zaczekaj, nie chcesz może łyeczka

pulque na wzmocnienie?

– Och, nie! Na pewno nie! Dziękuję bardzo. – Uaica uciekł z polany, jakby go Xolotl gonił.

Koci gospodarz wzruszył ramionami.

– Taki już jest. Płochliwy jak młody jelonek. A jutro i tak będzie się przechwalał przed całą dżunglą, że do rana pił i balował z Aniołem Zagłady. Dobrze go znam. Dziki bywa trochę, szczególnie w stosunku do obcych. Ale to porządny chłop, mówię ci. Bardzo poczciwy.

– Miło z jego strony, że zgodził się mi pomóc.

Na wargach jaguarołaka pojawił się znaczący uśmiezek.

– W pewnym sensie musiał – zaznaczył. – Jest moim sługą. Lecz z pewnością chętnie spełni zadanie, a potem zrobi z tego kolejny powód do przechwałek.

Pochylił się ku Daimonowi i konspiracyjnym szeptem zapytał:

– Słuchaj, noc jeszcze młoda. Nie opowiedziałbyś mi troszkę o Królestwie i Głębi? Tykwa prawie pełna, księżyc wysoko na niebie, posłuchałbym jakichś fajnych opowieści. Strasznie jestem ciekaw, co tam słyhać w szerokim świecie.

Zerknął na gościa ślepiami pełnymi nadziei jak dzieciak patrzący na zapakowane prezenty pod choinką, ale zaraz się opanował.

– Oczywiście, jeśli nie jesteś zbyt zmęczony. Bo jeżeli tak, natychmiast przygotuję ci posłanie...

– Nie trzeba. Chętnie z tobą pogadam. Tu jest tak ładnie i spokojnie. Naprawdę czuję się jak na wakacjach w tropiku.

– Super! – Jaguarołak aż zatarł ręce z zadowolenia, a dzikie, kocie oczy rozbłyły mu niczym dwa szmaragdy wprawione w złocistą maskę twarzy.



Kolibry rozprysły się po lesie, maleńkie i barwne. Przypominały tokeny z rozbitej mozaiki. Całe w pulsujących mgnieniach trzepoczących skrzydełek, usilnie patrolowały rozległe zielone morze listowia w poszukiwaniu obiecannej krwi. Jako dusze wojowników poległych w bitwach lub złożonych na ołtarzach bogów doskonale czuły woń cudownej, ożywczej krwi. Przyciągała je bardziej niż aromat najśłodszego kwiatowego nektaru.

Ale choć bardzo się starały, zapach powoli zaczął słabnąć.

Szybciej, szybciej, bracia! – biły w szalonym rytmie maleńkie ptasie serduszka. Nie możemy stracić tej krwi!

Szukały więc, choć opadały z sił i upadały na ziemię całymi garściami gasnącego tęczowego życia, jak zwiędłe kwiaty. Szukały niezmordowanie, drobniutkie, śliczne niczym drogie kamienie i tak samo twarde, zaciekle oraz nieustępliwe.



Rankiem Daimon obudził się na posłaniu z traw, liści i zwierzęcych skór. Musiał przyznać, że spało mu się bardzo wygodnie, choć trochę za krótko. Zagadali się z Sinaa, to prawda. Frey opowiadał i opowiadał prawie do świtu, gospodarz słuchał zaś, chciwy

nowin i chłonny jak gąbka. Z nieco naiwną fascynacją zadawał dziesiątki pytań, a Abaddon znajdował prawdziwą przyjemność w zaspokajaniu jego ciekawości. Snując różne historie o ukochanym Królestwie, czuł się choć odrobinę bliżej domu.

Ochlapał się w misce stojącej w rogu, ubrał pośpiesznie i od razu był gotów opuścić gościnne progi jaguara.

Kiedy wyszedł z chaty, przeciągając się i ziewając, stwierdził, że Uaica już czeka. Uzdrowiciel uśmiechał się nieśmiało. W dłoni trzymał garść jagód czerwonych jak rozżarzone węgle, które przeżuwał po jednej w skupieniu i ciszy. Nie poczęstował Anioła Zagłady, ale Daimon i tak nie miał na nie ochoty. Ich ostra barwa i wygląd podpowiadały mu, że owoce mogą być trujące lub przynajmniej halucynogenne.

– O, wstałeś już – stwierdził Sinaa, który wyłonił się właśnie zza chaty. – W samą porę. Śniadanie czeka. Ugotowałem bulwy manioku, mamy też wczorajsze mięso na zimno i pikantną fasolę. Placki z kukurydzy już dochodzą na gorących kamieniach. Może być?

– Jasne!

Zasiedli do posiłku we dwóch, bo Uaica wciąż bawił się swoimi jagódkami i milczał niczym przyjazny, ale tylko na wpół obecny duch, dawno zmarły przodek czy eteryczna, widmowa zjawia. Frey nie mógł się oprzeć wrażeniu, że uzdrowiciel o wiele mocniej przynależy do mistycznej sfery zaświatów niż wesoły, żywotny jagarołak.

– Pewnie znacznie lepiej jadacie w Królestwie, co? – zagadnął gospodarz, zawijając porcję fasoli w gorący kukurydziany podplomyk.

– I tak, i nie. – Daimon miał usta pełne mięsa i pikantnej potrawy. – Bardziej wymyślnie, to prawda. Ale przekombinowane potrawy też mogą się kiedyś znudzić. A wasze jedzenie jest świeże i pyszne.

– E, prosta kuchnia z lasu, nic takiego. – Sinaa machnął lekceważąco ręką zbrojną w pazury drapieznika, lecz widać było, że komplement go ucieszył.

Kiedy zjadł, oblizał się jak kot, a potem przywołał Uaicę.

– Masz go odprowadzić na sam brzeg, prosto do łodzi – nakazał surowo, wskazując Abaddona. – Rozumiesz? To bardzo ważny Świetlisty, bohater Królestwa i przyjaciel szanownego regenta. Nie wolno ci go zostawić samego ani na mgnienie, dotarło?

– Tak, panie. – Uzdrowiciel zaszemrał cicho jak strumień płynący koło chaty.

Gdy nadszedł czas pożegnania, Frey odczuł głęboko, że ciężko mu się rozstać z jaguarem. W ciągu tej jednej nocy zdążył go szczerze polubić.

Nigdy w życiu już nie zobaczę tego plamistego pyska, pomyślał ze smutkiem i serce mu się ścisnęło.

Sinaa z pewnością też był przekonany, że to ostateczne rozstanie.

– No, żegnaj, Aniele Zagłady – mruknął zmieszany. – To był wielki zaszczyt gościć cię w moim domu.

Rozłożył ramiona i niezgrabnie uściskał nowego przyjaciela.

– Cieszę się, że cię poznałem, przyjacielu – powiedział Daimon. – Bardzo mi pomogłeś. Powodzenia i niech cię Jasność prowadzi!

– Ciebie także. Teraz i na wieczność – oświadczył poważnie jaguar.

Jego jadeitowe ślepie drapieżcy były zamglone i rzewne niczym dżungla

w perłowym blasku przedświt. Wyzierał z nich smutek tropików.

Kiedy Abaddon podążający za milczącym niczym cień Uaicą odwrócił się jeszcze na samym skraju gęstwiny, żeby pomachać serdecznemu gospodarzowi, zobaczył, że zdążył on już przyoblec plamistą skórę wielkiego kota.

Zanurzysz się w gęstej, katedralnej zieloności dżungli, Frey znalazł się na powrót w innym, obcym świecie, a chata Sinaa wydała mu się nagle odległa i nierzeczywista niczym przyjemny, lecz przebrzmiały sen. A wtedy seledynowym, wilgotnym powietrzem wstrząsnął potężny ryk przepojony samotnością i poczuciem straty.

Pożegnalna pieśń jaguara.



Małeńkie, przenikliwe oczy kolibrów, czarne perełki wprawione w oszłamiającą kolorowość pierzastych kwiatów, niezmordowanie patrolowały rozległy teren lasu przecięty szarym, krętym cielskiem Anakondy. I wreszcie ich wysiłek się opłacił.

Znalazły ofiarę.

Znalazły krew!

Czuły ją tak mocno, aż niektóre opadły na ziemię omdlałe, oszołomione potęgą i witalnością żelazistego aromatu.

Ale wciąż jeszcze dostatecznie wiele unosiło się w powietrzu, żeby ocenić, zanalizować oraz dokładnie określić, gdzie krew się znajduje i dokąd podąży. Wtedy rozedrgana chmura ćwierkotu i koloru zawróciła do Tamoanchanu, żeby przynieść radość swemu władcy, panu i bogu, Dymięcemu Zwierciadłu zwanemu też Czarnym. Albowiem ofiara kierowała się prosto w stronę jego dziedziny.



– A więc gdzie jest teraz? – zapytał niecierpliwie Tezcatlipoca.

Małe ptaszki zaczęły wykrzykiwać jeden przez drugiego, a Teoyaomqui tłumaczyła ich słowa.

Pierwsze Słońce z zadowoleniem skinął głową.

– No, to nie tak znów daleko od nas. I mówicie, że ciągnie prosto do nas? Wspaniale! Doskonale wręcz. Pod warunkiem, że nadal będzie szedł tą ścieżką, może jeszcze dziś, góra jutro zdołamy go pojmać, jeśli będziemy wytrwali i szybcy. Gdyby zboczył z drogi, wymyślimy coś, żeby znów wkroczył na naszą ziemię. Nie odpuścimy! Zdobędziemy wspaniałą krew! Obiecuję! Ba, przysięgam! Gdy tylko jego stopa przestąpi granicę, dopadniemy go tak jak ocelot spłoszonego królika!

Bogini poległych wojowników, dzielnie wpatrzona w podłogę, chrząknęła znacząco.

– Nie wiem, panie. Kolibry mówią, że nosiciel posoki, choć ranny, jest ogromnie potężny. Nigdy nie spotkały na swej drodze silniejszego i mocniejszego wojownika, chociaż przecież za życia były samą elitą naszej wspaniałej armii. A jego oręż unicestwiał całe światy! Słyszały wyraźnie lament zaklętych w nim dusz! Wybacz, o Jaguarze Nocy,

lecz twoi wierni poddani nie sądzą, żeby zdołał go powstrzymać i wziąć do niewoli nawet Tęczowy Wąż, ani żadna inna znana nam i dostępna broń. W dodatku nie jest sam. Towarzyszy mu uzdrowiciel Uaica.

Dymiące Zwierciadło wydał pogardliwie usta.

– Ten tchórzliwy głupek? A co on niby może? Ucieknie na sam widok pojedynczego pióra quetzala wpiętego we włosy dowolnego wojownika. Nie, ten słabeusz się nie liczy. Chodzi nam tylko o naszą ofiarę i, przysięgam na wszystkie Pięć Słońc, dorwiemy go, a następnie obezwładnimy szybciej niż starego, chorego kojota!

– Jeśli tak twierdzisz, panie – szepnęła Teoyaomqui bez przekonania. – Ale kolibry uważają inaczej. A one widziały nosiciela, twoje cudowne, boskie oczy zaś jeszcze go nie ujrzały...

– Milcz! – syknął wściekle Nahui Ocelotl. – Nie siej niepotrzebnego defetyzmu!

Władca demonów i pan czarnej magii dał się bowiem ponieść szaleńczej fali nadziei i entuzjazmu, wreszcie uwierzywszy, że ożywcza krew po tylu wiekach jest znów w zasięgu ręki. Gdy znajdował się w stanie takiej nerwowej ekscytacji, choćby najmniejsza wzmianka o możliwości porażki doprowadzała go do szału.

– Kolibry mówią... – ośmieliła się jednak wtrącić bogini, która także, wysłuchawszy relacji wojowników, pozwoliła sobie wlać odrobinę otuchy w stare, zwiedłe i skurczone serce, a teraz za nic nie chciała dopuścić, żeby porywczosć Pierwszego Słońca zmarnowała okazję na odrodzenie całego Tamoanchanu, lecz on przerwał jej wybuchem gniewu.

– Och, błagam! Zabierzcie ją, zanim osobiście wypruję jej flaki! Dość tego tchórzliwego głędzenia! Dostaniemy ofiarę i już! Rozumiecie?!

Chmura wystraszonych ptaszków cofnęła się przed szkarłatną falą furii boga i rozprysła tysiącem wielobarwnych cekinów. Teoyaomqui także odruchowo postąpiła krok do tyłu, bo piękne, przezrocyste oblicze Dymiącego Zwierciadła wykrzywiła niezdrowa wściekłość.

Jego czoło i policzki znaczyły ukośne czarne pasy, znak, że Jaguar Nocy wstąpił znów na ścieżkę wojny.

Tylko Chalmeatecutli, najwyższy kapłan i bóg ofiar, nie przestraszył się swego przełożonego, przyzwyczajony do jego napadów hysterii. Był od początku obecny przy rozmowie, lecz dotąd zachowywał milczenie. I w przeciwieństwie do innych myślał, zamiast wrzeszczeć. Tak bardzo ucieszył się na wieść, że krew zmierza wprost na tereny łowieckie ich ludu, aż omal nie zemdlał z emocji. Lecz teraz zdołał poskromić rozedrgane nerwy i zdobyć się na odrobinę dystansu. A to od razu pomogło.

– Mam pewien pomysł, panie – oświadczył nagle. – Sądzę, że możemy schwytać ofiarę podstępem, bez narażania cennej egzystencji naszych podwładnych.

– No? – warknął Dymiące Zwierciadło.

Bóg ofiar zwrócił się jednak do Teoyaomqui.

– Z tego, co zdołałem zrozumieć, kolibry twierdzą, że nasz dawca krwi podąża w stronę rzeki, tak?

Skinęła twierdząco głową.

– I jest na tyle daleko, że zapewne będzie musiał zatrzymać się na noc?

– To prawdopodobne – potwierdziła bogini.

Lecz Nahui Ocelotl tylko pogardliwie prychnął.

– I co z tego? Ten zasmarkany szczur Uaica na pewno dopilnuje, żeby nie obozował na naszym terenie.

Kapłan uśmiechnął się chytrze.

– To nic, panie. Mój sposób powinien podziałać i na uzdrowiciela. Może nie sprawimy, że krew od razu sama wkroczy do miasta, ale znacząco zaburzymy jej koncentrację. A wówczas wystarczy, że ściągniemy jej uwagę i sprowokujemy, żeby przekroczyła graniczny strumień. Tylko tyle i aż tyle. Racz wziąć pod uwagę to, co wymyśliłem, panie. Podróźni na pewno mają ze sobą zapasy i wodę. A więc posłuchajcie. Sugeruję, żebyśmy zrobili tak...

W miarę jak Chalmeatecutli mówił, na ponure, zasępione oblicze Nahui Ocelotla powoli zaczął powracać blask.

– Dobrze – pochwalił swego podwładnego, wysłuchawszy jego planu. – Bardzo dobrze! Natychmiast wyślijcie do lasu naszych najlepszych ludzi. Niech kolibry wskażą im drogę!

Bóg ofiar i bogini poległych wojowników pokłonili się głęboko i ruszyli wykonać rozkaz Pierwszego Słońca.

Dymiące Zwierciadło tymczasem uniósł widmową, przejrzystą dłoń i przyjrzał się przez nią światu jak przez przyciemnianą szybę.

– Już niedługo – stwierdził z satysfakcją. – Już niedługo!



Daimon podążał za Uaicą przez upalną, ociekającą wilgocią, zieloną lepkość. Powietrze było parne i duszne, niemal gęste. Anioł Zagłady wciągał je do płuc, ale cały czas miał wrażenie, że oddycha wodą z akwarium.

Tym właśnie się stałem, pomyślał. Rybę zamkniętą w słoju, którego od miesięcy nikt nie czyścił. Oszaleję od nadmiaru tego wszechobecnego jadeitu. Przecież tu nawet światło jest seledynowe! A mówią, że zielony uspokaja.

Był spocony, zmęczony i spragniony. Marzył tylko o odpoczynku, ale uzdrowiciel niezmordowanie mknął przed nim jak uporczywie ścigany, lecz zawsze niedosiężny króliczek z przysłowia.

Daimon miał tak dość wędrówki, że rozważał nawet serdeczne łyknięcie sobie pulque, żeby się choć trochę znieczulić. Sinaa wcisnął mu na odchodnym pękata tykwę ze słowami:

– Żebyś źle o mnie nie myślał.

No przecież nie mógłby źle pomyśleć o tym poczciwym, uczynnym kocurze. Chwile spędzone w jego chacie jawiły mu się jako jedyne miłe i szczęśliwe momenty na całej tej zasranej, cholernej, błotnistej i mokrej wyprawie. Akurat teraz nienawidził szczerze samego pomysłu wyruszania Jasność wie po diabła w głąb przeklętych, nikomu niepotrzebnych Stref Poza Czasem.

– Żeby to szlag trafił! – klął pod nosem. – Dlaczego zawsze ja? Gabriel siedzi sobie

spokojnie na tyłku i wygrzewa stare kości w Hajot Hakados. Michał tak samo. Rafał nawet nosa nie wyściubi poza Szóste Niebo. Razjel kleci te swoje driakwie i mikstury w ukochanej pracowni. Tylko ja, jak ostatnia dupa, tonę po kolana w błocie, połamany, pokłuty, pokaleczony, zmachany do granic możliwości, łażąc bez sensu po pieprzonym lesie deszczowym, który mi się wcale nie podoba i za którym w cholerę nie tęsknię! Czy ja jakiś ichtiolog jestem, czy inny entomolog?! Mam w serdecznym poważaniu tutejszą przyrodę i zapyziałe, zakisłe starożytne cywilizacje. Chcę do domu!

Parł przed siebie z zaciekłą złością, patrząc tylko pod nogi, żeby się przecież nie wywrócić. Dlatego mało brakowało, żeby wpadł z impetem na Uaicę, który zatrzymał się niespodziewanie i sterczał z wyciągniętą sztywno ręką na wydeptanej przez zwierzęta ścieżce jak jakiś milczący, nadprzyrodzony drogowskaz.

– Strumień, panie – wyszemrał, jakby sam był płynącą wodą. – Doprowadzi nas prosto do rzeki. U jego ujścia powinno się znajdować obozowisko, którego szukasz. W żadnym wypadku nie wolno ci jednak przechodzić na drugą stronę strugi. Tam rozciąga się Tamoanchan. To niebezpieczne miejsce. Jednak jeśli będziemy trzymać się tego brzegu, nic nam nie grozi. Mamy szansę wkrótce dotrzeć do celu.

– To świetnie. – Daimon dyszał ciężko z wysiłku, ocierając dłonią pot z czoła, policzków i karku. – Czy to znaczy, że możemy się na chwilę zatrzymać?

– Nie, panie – zaszumiał słabym głosem uzdrowiciel. – Nie mamy czasu. Jeśli nie zdążymy przybyć na miejsce wczesnym rankiem, wyprawa odpłynie i już jej nie znajdziesz.

Odwrócił się z gracją leśnego stworzenia i znów zagłębił w gęstwinie.

Frey skrzywił się niemiłosiernie z rozczarowania i złości. Ale zdobył się na wysiłek i podążył posłusznie za przewodnikiem. Bo czy miał inne wyjście?



Ruszyli. Wyszli z miasta w całej pysze i ogromie pełnego bojowego rynsztunku. Biegli, a pęki piór rajskich ptaków połyskiwały im we włosach złotem, szmaragdem i rubinem. Kołysały się u ramion, jakby mieli skrzydła. Jakże byli piękni, dumni, niezłomni w barwnych bawełnianych płaszczach, ozdobnych przepaskach biodrowych i mocnych skórzanych sandałach. Ich uszy i nosy zdobiły kolczyki ze szlachetnych kamieni. Kunsztownie spiętrzone fryzury podtrzymywały szpile, grzebienie oraz zapinki z kruszcu i szylkretu. W dłoniach dzierżyli broń.

A przed nimi jak strzałki z dmuchawek śmigały kolibry wskazujące drogę.

Ruszyli. Prosto do celu. Śmigli, smukli, prości i szybcy niczym strzały, które nieśli w kołczanach. I tak samo zabójczy.

Ponieważ biegli po życie. Po krew.

Cudowną, ożywczą krew, która potrafiła sprawić, że w ich piersiach znów zabijają serca.

Nie mieli zamiaru ustąpić przed nikim i niczym. Niosło ich pragnienie wyrwania się z krainy umarłych. Znacie potężniejszą motywację?



No i wspaniale! Zgubiłem go! – pomyślał Daimon z rozpaczą. Czy ten głupi dupek nie zauważył, że nie nadażam? Zasuwa jak jakiś chory zając! Jestem zbyt zmęczony i połamany na takie cholerne zabawy w berka! Abaddon sam w dżungli. Odsłona... Zaraz, która to już będzie? Trzecia? Czwarta? To zaczyna przypominać jakiś pieprzony serial. A ta pieprzona woda jest wszędzie. Rozlewa się tysiącem cienkich strumyczków. Chowa w poszyciu i znów wypływa. Skąd mam, u czorta, wiedzieć, po której jestem stronie, skoro tonę po kolana w niekończącym się błocie?

Znów wyciągnął Gwiazdę Zagłady, żeby ostrzem torować sobie drogę w gęstwie zarośli, lian i pnączy. Ścieżka, którą przedtem podążał, jakoś tajemniczo wsiąkła w poszycie. Nigdzie nie mógł dostrzec jej śladu. Brnął przed siebie bez celu i sensu, całkiem straciwszy poczucie kierunku, taplając się w mokrym, grząskim, malachitowym bagnisku.

Czuł się jak w nawracającym klaustrofobicznym koszmarze, zamknięty wewnątrz *déjà vu* rodem z piekła.

Przez chwilę nawet rozważał, czy nie nawoływać Uaiki, lecz szybko doszedł do wniosku, że w ten sposób tylko zwabi potencjalnych napastników.

Lunatykował więc jedynie, objijając się o pnie i korzenie, znów połknięty przez wygłodniałą zieloność dżungli. Stracił już zupełnie nadzieję, parł jedynie do przodu głęboko przekonany, że kręci się w kółko.

A jednak nie. Bo ciężka, namokła kurtyna splątanego listowia, porostów, lian i brodatych mchów uniosła się niespodziewanie, jakby podciągnął ją inspicjent w teatrze, i Daimon wychynał na otwartą przestrzeń.

A tam, na kształt jakiejś prymitywnej rzeźby, tkwił bez ruchu Uaica.

Kiedy Frey zobaczył wreszcie swego przewodnika siedzącego w kucki nad brzegiem jednej z niezliczonych odnóg strumienia, był tak wściekły, że miał ochotę wyrznąć go serdecznie płazem miecza przez plecy. Nie doszło jednak do tego.

Bo Uaica zaczął się nagle kiwać jak pogrążony w napadzie choroby sierocej, gapiąc się szeroko rozwartymi, niewidzącymi oczami w płamę drobniutkich białych kwiatków porastających bagnisty skraj wody. Siedział jak zaszarowany. Urzeczony. Jakby delikatna koronka płatków rzuciła na niego urok.

– Co jest? Co się znów stało? – rzucił cierpko Abaddon, któremu nie przeszła złość. Uzdrowiciel zignorował go kompletnie.

Zatrzał się czymś? – zastanowił się Anioł Zagłady. Zjadł coś, co mu zaszkodziło? Oszalał ze szczętem? I co teraz, do diabła?

Ostrożnie podszedł i trącił ramię kucającego czubkiem miecza.

– Uaica? Co z tobą?

Przewodnik obrócił ku niemu twarz sztywno i bardzo powoli. Jego oczy przypominały jeziora czerni. Dwie plamy w miedzianej, płaskiej misie oblicza. Wydawały się tak kompletnie pozbawione przytomności, że Anioł Zagłady się przestraszył.

– Co ty robisz? – wykrztusił. – Dobrze się czujesz?

Głowa Uaiki poruszyła się znów nienaturalnie, bez cienia dawnego wdzięku,

niczym arbuzy nabity na patyk lub balon kołyszący się na drucie. Uzdrowiciel przywodził teraz na myśl mechanizm, w którym zamiera bateria.

– Księżyc. Muszę czekać na księżyc – wyszeptał niemal bezgłośnie. – Dziś będzie pełnia. Coyolxauhqui pokaże złote dzwoneczki wytatuowane na policzkach. To jedyny taki moment. Jedyny w całym roku!

Daimon odruchowo cofnął się o krok.

– Jedyny na co?

Zdumienie przepłynęło przez terakotową twarz Uaiki jak nikły obłoczek, a zaraz potem jego oblicze znów zmieniło się w maskę bez wyrazu.

– Na zbiory!

– Jakie zbiory?! – zirytował się Frey, naprawdę nieźle wystraszony, bo nie uśmiechało mu się przebywać w obcym, wrogim terenie jedynie w towarzystwie wariata.

– Dożynki tu chcesz odprawiać czy co?!

– Są takie rzadkie! Takie małe, a takie ważne! – zaczął mamrotać uzdrowiciel. – Nie pochodzą z tego świata, o nie! Ja tylko raz, tylko raz w życiu je znalazłem. Wieki temu, w młodości. Ale wtedy nie było pełni. Dzisiaj będzie! Dziś będzie, słyszysz? A one przysły do mnie! Są tu, przede mną. Zerwę je. Zerwę je tej nocy! Ale dopiero przy pełnym księżycu, kiedy napiją się jego światła. Wtedy osiągną pełnię mocy!

– Co? Te chabazie? – Abaddon miał zamiar wskazać drobne, nijakie kwiatuszki pleniące się na brzegu strumienia czubkiem Gwiazdy Zagłady, lecz Uaica wykrzywił się w grymasie szaleństwa, zerwał z miejsca i zaczął tupać, wymachując przy tym rękami.

– Nie dotykaj ich! Nie tykaj! Nie pozwolę!

– Dobra. – Zrezygnowany Anioł Zagłady wzruszył tylko ramionami.

Tak czy inaczej, jego podróż w towarzystwie uzdrowiciela definitywnie dobiegła końca. Jeśli tutejszy bóg roślin leczniczych gdzieś się wybierał, to chyba tylko do wariatkowa.

Lekarzu, lecz się sam, pomyślał Daimon gorzko.

Tymczasem Uaica nieco się uspokoił. Znów przykucnął nad wodą i zaczął się gapić na kwiaty.

– Idź! Idź wzdłuż strumienia! – nakazał Freyowi, wzmacniając słowa nieokreślonym ruchem dłoni. – Wtedy dotrzesz do swojego obozu, do wyprawy, gdzie tam chcesz. Ja muszę czekać na księżyc! To ważne! Najważniejsze na świecie!

– No to powodzenia, chłopie – mruknął Anioł Zagłady.

Ponieważ ewidentnie nie miał tu czego szukać, ruszył brzegiem wody przekonany, że jak zwykle musi poradzić sobie sam.



Nie, zdecydowanie nie chciał odpoczywać w pobliżu świrniętego uzdrowiciela. Niespodziewane wariactwa okazały się wyjątkowo wkurzające.

To pewnie przez te przekłete jagody, myślał, przedzierając się przez mokre, odporne liście. Nogi mu grzęzły w bagnie, a buty oblepiały ciężkie, bure pecyny błocka. W twarz, kark i dłonie nieustannie cięły moskity. Parne, duszne powietrze sprawiało, że oddychał

otwartymi ustami jak zdychająca ryba. Wilgotne włosy lepiły mu się do skóry, przeszkadzały. Pocił się i dyszał, ale parł do przodu w nadziei odnalezienia Serey i reszty towarzyszy.

Biedny Sinaa, uświadomił sobie nagle. Musi się czuć okropnie samotny. Wokoło ma tylko debili i popaprańców jak Uaica albo ten karzeł Jurupari. Nie dziwne, że tak bardzo chciał pogadać z kimś w miarę normalnym.

Dżungla zdawała się nie mieć końca. Strumień wił się wśród zieleni, czasem zupełnie ginął w gęstwinie zarośli, żeby za chwilę rozpleść się w całe mnóstwo srebrzystych wstążek podążających w rozmaite strony. Frey starał się trzymać tej strugi, która w danym momencie wydawała mu się najszersza, ale w sumie nie miał pojęcia, czy nie zabłądził na amen.

Diabli nadali ten zaszary tropikalny las!

Powoli, podstępnie Daimona zaczęło ogarniać przemożne zmęczenie. Uszkodzone żebra znów odezwały się tępym bólem, ręka, zraniona przez kosmatego kurdupła, rwała jak cholera, a ramiona omdlewały z wysiłku. Nie minęło wiele czasu, a dumny Abaddon włókł się wolno, zgięty wpół, zgarbiony, z trudem przestawiając kulasy, niczym jakiś proszalny dziad.

Nie, dość tego! – zdecydował, gdy teren zaczął się lekko unosić, a zbitą płataninę krzaków zastąpiły wyniosłe, czarne od wilgoci pnie olbrzymich drzew. Muszę się choć na chwilę zatrzymać. Na krótki, króciutki odpoczynek. Może gdy odzyskam nieco sił, będę zdolny do szybszego marszu?

Zapomnij, szepnęły udrećzone mięśnie. Do maratonów po lesie będziesz zdolny, lekko licząc, za jakieś pół roku.

Zignorował ten głos. Zresztą i tak czuł, że wkrótce nie da rady postąpić ani kroku dalej. Klapnął ciężko na mokrą ziemię, a potem długo pił wodę z tykwy podarowanej przez Sinaa. Przejrzał prostą bawełnianą torbę wypełnioną zapasami i uśmiechnął się na widok mięsa oraz kukurydzianych placków przełożonych pieczonymi warzywami, starannie zapakowanych w szerokie, płaskie liście. Poczciwy jaguar zadbał jak umiał o swojego gościa.

Daimon jednak wcale nie był głodny. Z wysiłku i dusznego, wilgotnego upału zbierało mu się raczej na mdłości. Żeby je uspokoić, oparł się o potężny pień pobliskiego drzewa, przyłożył rękę do brzucha i zamknął na chwilę oczy.

A chwila ta, choć wcale nie wydawała się piękna, trwała i trwała.

Nie minęły dwa oddechy, nim znużony do granic możliwości Anioł Zagłady, choć wcale tego nie chciał, pogrążył się w ciężkim, głębokim śnie.



Na taką okazję czekali. Śledzili go już od długiego czasu, zachwyceni, że najwyraźniej wcale nie zdaje sobie z tego sprawy. To był przecież ich świat, ich ziemia, a on, choć mocniejszy niż niejeden bóg, wtargnął tu jako intruz i wróg.

Kiedy stwierdzili, że wkroczył do ich krainy, a teraz z każdym krokiem podąża głębiej ku samemu sercu Tamoanchanu, zapragnęli zatańczyć z radości, śmiać się, klepać

po ramionach i wznosić triumfalne okrzyki. Lecz powściągnęli emocje i milczeli, uśmiechając się tylko szeroko. Byli przecież elitą wojowników Tezcatlipoki. Ukochanymi Orłami i Jaguarami swego pana. Nie mogli go zawieść. Rozkazano im realizować plan Dymiącego Zwierciadła, więc tego się trzymali.

Patrzyli zatem na samotną wędrówkę krwi, podziwiając jej moc i witalność. Nie, w żadnym razie nie zamierzali lekceważyć przeciwnika. Byli na to za dobrze wyszkoleni. I choć wiedzieli, że kiedy dojdzie do walki, po swojej stronie będą mieli przewagę liczebną i element zaskoczenia, to liczyli się z tym, że wielu z nich może zginąć.

Ofiara dysponowała ogromną potęgą i umiejętnościami. Od razu to poczuli i stwierdzili.

Dlatego gdy krew wyraźnie opadła z sił i osunęła się wzdłuż pnia, żeby się zdrzemnąć, niektórzy z nich zaczęli bezgłośnie szlochać ze szczęścia.

Dzięki przełaskawym bóstwom Dwoistości! Dzięki cudownemu losowi!
I przesławnemu Dymiącemu Zwierciadłu, władcy magii!

Krew zasnęła! Po prostu zasnęła! Teraz dzięki podstępowi najwyższego kapłana nikt nie będzie musiał ginąć! Wystarczy, że zdobędą się na odrobinę cierpliwości.

Kiedy przekonali się, że mocno śpi, przystąpili do realizacji planu.

Tańczący na Zgliszczach nie mógł, niestety, zobaczyć, jak ciemna, brązowa ręka sięga po zapasy, z taką troską przygotowane przez jaguarołaka, jak gmera w torbie, dobiera się do wody i tykwy z pulque.

Trwał pogrążony w sennym letargu, bardziej ciemnym i grząskim niż bagno, przez które się przedzierał, a żaden koszmar nie zdołał przebić się przez pokłady tej ciszy i ciemności, żeby ostrzec go przed niebezpieczeństwem.



Królowo Niebios! – pomyślał w popłochu, ledwo odemknął powieki. Zasnąłem! Ile czasu straciłem?

Nie wiedział. W dżungli panował taki sam seledynowy półmrok jak zawsze. Wstał, otrzepał się z błota, sięgnął po swoje rzeczy.

Trzeba iść, pomyślał. Inaczej wyprawa odpłynie, a ja przepadnę na wieki w tym wilgotnym, parnym grajdole.

Zanim wyruszył w drogę, pociągnął jeszcze kilka serdecznych łyków wody. Miała dziwnie gorzkawy, jakby ziołowy posmak.

Zepsuła się? – zaniepokoił się.

Ale nie, pachniała mniej więcej normalnie. Mułem, intensywnie roślinną, cierpką wonią zgniecionych liści, mokrym upałem i miodowym aromatem kwiatów, jak wszystko tutaj.

Postanowił, że nie będzie się przejmować. Widocznie Sinaa przechowywał kiedyś w tej tykwie ziołowy napar i jakieś jego pozostałości przedostały się do wody. Na pewno niegroźne. Jaguarołak nie podałyby mu przecież niczego szkodliwego.

Postąpił krok do przodu i zmuszony był gwałtownie zmienić zdanie. To, co dostało się do wody, musiało być cholernie, parszywie toksyczne.

Ledwie bowiem uniósł nogę, wystartował pionowo w powietrze ze swego ciała niczym rakieta z Cape Canaveral. Widział, jak przewraca się bezwładnie w błoto, choć jednocześnie szybował w górę, przebijając kolejne warstwy nieba. Kolory wokół nabrały niesłychanej intensywności. Barwy dosłownie darły mu się w twarz, wypalając oczy. Wszędzie rozkwitały, kurczyły się i rozwijały pierzaste rośliny podobne do ogromnych paproci, pulsując w rytmie szaleństwa. Przez nieboskłon pełził gigantyczny wąż podzielony na tęczkowe segmenty, rozświetlony od wewnątrz tysiącami czerwonych i złotych iskier. Jego oczy wirowały niczym nakręcane spirale.

– Co tutaj robisz? – spytał głosem grzmotu.

– Nie wiem! – krzyknął rozpaczliwie Daimon.

Zdawał sobie sprawę, że znalazł się prawdopodobnie w innym wymiarze, zamieszkiwanym przez istoty o wyższej duchowości, lecz jednocześnie cały czas widział, jak leży bezwładnie nad brzegiem strumienia.

Ogromny gad zniknął gdzieś między spazmami paproci, zanim Frey zdążył poprosić o pomoc.

– Jak się tu znalazłeś? – zapytał przezroczysty, świecący jaguar o sierści mieniącej się wszystkimi kolorami świata. – Jeszcze za wcześnie.

– Za wcześnie na co? – spytał całkiem oszołomiony Anioł Zagłady.

Pysk drapieżnika migotał jak gasnący płomyk, wykrzywił się i zmienił. Raz rozciągał w radosnym uśmiechu, to znów przybierał miny pełne smutku.

– Nieważne teraz. Chyba powinieneś wracać, bo coś złego dzieje się z twoim ciałem.

Abaddon spojrział w dół i z przerażeniem stwierdził, że dostrzega kilkunastu roślących wojowników odzianych w płaszcze i przybranych w ptasie pióra, pochylających się nad jego bezwładnym, pustym zewłokiem. Przybysze mieli ze sobą sznury, którymi zaczęli krępować ręce i nogi tej kukły-Daimona, która nie protestowała i nie dawała żadnych oznak życia, chociaż jeden z napastników właśnie zamachnął się krótką pałąką, żeby ugodzić ją w skroń.



© Fabryka Słów

Frey, fruwający pośród płonących, pulsujących liści i pęków skręcających się węży, nie poczuł żadnego uderzenia.

– Lepiej wracaj – poradził błękitno-żółto-szmaragdowo-rubinowy jaguar z komiczną powagą na mordzie.

– Nie umiem! – jęknął anioł.

– To niedobrze.

– Wiem, że niedobrze! Możesz mi jakoś pomóc?

– Spróbuję – rzekł drapieźnik bez przekonania.

Koniec jego puszystego ogona kołysał się lekko, jakby z niedowierzaniem, a po cętkowanej sierści ochlapanej mieniącymi się i rozplywającymi plamami kolorów wciąż przebiegały złociste lub kobaltowe wyładowania.

– Myśl o powrocie – nakazał zwierz.

Tańczący na Zgliszczach zmusił się do maksymalnego skupienia woli i uwagi, choć, prawdę mówiąc, cholernie się teraz bał.

– Leć! – powiedział wielki kot.

I Daimon poczuł, jakby zarywała się pod nim podłoga w bardzo wysokim, bardzo zrujnowanym budynku.

Spadał.

Wpadł w swoje ciało z impetem, ale ledwo zdołał je poczuć, gdy gwałtownie zapadła ciemność, a jego świadomość zgasła niczym zatrzaśnięta zapalniczka.

Nie na długo. Nie zdążyła pewnie minąć sekunda, gdy znów wyrwał się z ciała i poszybował w górę, przebijając głową kolejne warstwy nieb i światów.

– Kurwa! – wrzasnął wściekły i przerażony.

Jednak zamiast wzywanej damy lekkich obyczajów znów zobaczył znajomy, obłądnie wielobarwny pysk jaguara.

– Nie udało się – oznajmił kot eksplozją gwiazd, fajerwerków i kolorowych petard.
– Trudno. Musisz czekać. W końcu wrócisz sam.

– Kiedy?! – jęknął Abaddon, a złote, turkusowe i fioletowe serpentyny węży oploty go po czubek głowy tylko po to, żeby zaraz z furkotem wystrzelić we wszystkie strony świata.

– Zależy, ile wypieś.

– Niczego nie piłem! Tylko wodę! Cholerną wodę, nic więcej!

Ale jaguara już nie było. Zastąpił go jarzący się niczym neon leniwiec, który zwisał wprost z krzywego, fosforycznego księżycy w białego w granatowy nieboskłon jak hak w mięsny sklepie. Ogromny zwierzak miał zamknięte oczy i chrapał błogo, aż wprawiał w nerwowe drżenie koronkowe, postrzępione liście paproci.

Łaskawa, miłosierna Królowo, pomyślał Daimon z rozpaczą. Ale wdepnąłem, nie ma co!



W górę.

W dół.

W górę.

W dół.

I znowu do góry, przez ułożone jak warstwy tortu wyższe wymiary i światy.

A potem do ciemnego, niemego, nieświadomego ciała.

I w krzykliwą feerię kolorów, między skłębione wiry świetlistych ptaków, kłębowiska splątanych węży, rozświetlone fosforycznie, skręcone sznury lian.

W górę.

W dół.

Aż do wyrzygu, bez końca.

Podczas gdy wystrojeni wojownicy o smagłej, czerwonej skórze nieśli go związanego jak tobół do bliżej nieokreślonego, lecz z pewnością niezbyt przyjaznego i bezpiecznego miejsca. Zabrali nawet Gwiazdę Zagłady, łaskawcy. Niestety, mogli to zrobić, ponieważ miecz pozostawał ukryty w specjalnej, obłożonej zaklęciami pochwie wykonanej osobiście przez Razjela, żeby nie został porażony żaden z członków wyprawy, który przypadkiem, niechcący dotknąłby oręża zdolnego niszczyć całe kosmosy.

Przezorny był ten Książę Magów, nie ma co.

Co prawda Frey bardzo gorzko teraz żałował, że ma tak przewidującego przyjaciela. Gdyby któryś z porywaczy dotknął obnażonego ostrza, natychmiast wyparowałby z cichym „pyf!”, a na świecie byłoby o jednego sukinsyna mniej.

Niestety, nie doszło do tego.

Na razie Tańczący na Zgliszczach podrygiwał w górę i w dół, zatrzaśnięty w piekielnej windzie krążącej między wymiarami, a nigdzie nie widział czerwonego przycisku z napisem „alarm”, który mógłby nacisnąć, żeby wezwać pomoc.

Cios, jaki wymierzył mu napastnik z pałką, musiał być mocny i precyzyjny, bo gdy Abaddon po raz ostatni zjechał do swego ciała, wciąż panowała tam cisza i ciemność nieświadomości.



Rozdział X



Zofiel, zdążając na spotkanie z regentem, doskonale zdawał sobie sprawę, że został wezwany na dywanik i niechybnie zaraz usłyszy całą masę zarzutów i pretensji. Słowem, Gabriel obsobaczy go jak burego kota.

Trudno. Przygotował się na to. Co więcej, nie umiał nic poradzić na faktyczny stan rzeczy. Nie spełnił przecież większości poleceń szefa.

Bo to, czego żądał przełożony, było absolutnie i całkowicie niemożliwe do zrobienia.

Kiedy tylko otworzył drzwi gabinetu, Dżibril obrzucił go ciężkim, niechętnym spojrzeniem.

– No? – spytał oschle.

To było „no?” pełne znaczeń. „No?” zawiedzione i przepelnione złością. Gdyby miało swój kolor i wagę, zapewne okazałoby się wykonane z bryły szarego ołowiu. Zofiel natychmiast poczuł, jak ten metal przytłacza go i pogrąża w moczarach fałszywego poczucia winy.

Staram się! – myślał rozpaczliwie. Przecież się staram, do cholery!

Ale oczy Pana Zemsty spoglądały na niego ponuro, nieprzyjaźnie i zimno, jakby dopuścił się paskudnej, budzącej obrzydzenie zbrodni.

Wykonuję swoje obowiązki, Świetlisty, chciał powiedzieć Zofiel z godnością, lecz zdołał wykrztusić tylko dość żałosne:

– Wzywałeś mnie, panie?

Regent był blady, nerwowy, zły. Zaciskał wargi w cienką kreskę przypominającą

śląd kopiowego ołówka. Bawił się pierścieniem z furją tajoną z najwyższym trudem, więc szpiegowi się wydawało, że Gabriel usilnie próbuje urwać sobie palec.

– Ano wzywałem, prawda. Bo chcę się wreszcie dowiedzieć, czemu nic się nie dzieje, u diabła?

Szef wywiadu Królestwa poczuł, że zaschło mu w ustach, z trudem przełknął lepka, gorzkawą pecynę śliny.

– Robimy, co w naszej mocy. Przesyłam ci raporty, panie...

– Raporty?! – syknął Gabriel. – Te mętne, bełkotliwe wycpociny godne marnego uczniaka, który próbuje samą siłą rozpędu przemknąć się do następnej klasy?! Nie obrażaj mojej inteligencji tymi bazgrołami! Rób coś, do jasnej cholery! Muszę wiedzieć, co się dzieje w Pandemonium i Pałacu Pięści!

– Z tego, co wiedzą nasi szpiedzy w Głębi, nic szczególnego się tam ostatnio nie wydarzyło – bronił się Zofiel.

Pan Objawień odwrócił się ku podwładnemu. Jego rozszerzone, ogromne źrenice przypominały dwie lufy pistoletów wycelowane wprost w twarz niższego rangą anioła. Gdyby naprawdę były zdolne wystrzelić, szef wywiadu w tej chwili padłby trupem.

– Nic się nie wydarzyło?! Belial, jedyny sprzymierzeniec Pana Tajemnic w tej zaszrannej, przeklętej Otchłani, siedzi w domu wariatów i nie wiadomo, kiedy stamtąd wyjdzie, a ty masz czelność twierdzić, że nic się nie dzieje?!

– On od wieków cierpi na napady depresji. To żadna tajemnica, panie. Zmaga się z chorobą od dzieciństwa...

– Nie obchodzi mnie, z czym się zmaga! Razjel jest tam zupełnie sam! Wiesz, co musi teraz znosić?

– Wybacz, regencie, lecz Księżę Magów to wyśmienity czarnoksiężnik i wytrawny polityk. Z pewnością jest mu ciężko, ale wierzę, że da sobie radę i nie popełni błędu...

Pan Zemsty i Dobrej Nowiny wyglądał, jakby dostał w twarz. Zbladł tak, że jego skóra stała się popielato-sina.

– Na Jasność, zaraz mnie szlag trafi! Wynoś się stąd, Zofielu! Wynoś natychmiast, zanim zrobię coś, z czego będę się potem musiał tłumaczyć przed dostojnikami Królestwa!

Szpieg stał jednak nieporuszenie, mrugając tylko oczami z szoku i zaskoczenia. Pracował dla Gabriela przez długie wieki i nigdy, naprawdę nigdy nie widział go w stanie takiego rozstroju nerwów.

Dżibril tymczasem przyskoczył ku niemu i wrzasnął jak opętaniec:

– Nie rozumiesz po henochiańsku?! Mówię: WON! A następnym razem przynieś mi wreszcie jakieś konkretne wieści, bo inaczej oskarżę cię o zdradę stanu i wpakuję do pierdła, gdzie zgnijesz jak śmieć na wysypisku! Dotarło?

Widocznie tak, ponieważ Zofiel, który odważnie stawiał czoła niejednemu niebezpieczeństwu i wielokrotnie ryzykował własne życie dla dobra Królestwa, teraz po prostu uciekł.

Wybiegł, zatraskując za sobą drzwi, a zatrzymał się dopiero na dole, w holu, zdyszany, przerażony i załamany. Sekretarz kancelarii regenta porządkujący papiery na biurku popatrzył na niego ze zdumieniem, bo szpieg oparł się ciężko o ścianę, a następnie

osunął na podłogę i zakrył twarz dłońmi.

Stało się bowiem coś niewyobrażalnie straszego. Najwyższy po Panu władca Siedmiu Niebios, prawa ręka Jasności, archanioł Gabriel, najwyraźniej ze szczerem oszalał.



Setel, jeden z lokajów Lucyfera, ziewając rozdzierająco, wrócił do swojej kwatery w pałacu zmęczony jak ogar po polowaniu. Miał dziś mnóstwo obowiązków. Doglądał czyszczenia sreber, przejrzał trzy komplety świątecznej zastawy, asystował przy stole, podał panu trzy karafki wina, a w ciągu dnia jeszcze nadzorował zmianę pościeli przez pokojówki, czego szczerze nie znosił. W dodatku po południu złapały go dreszcze i poczuł się podziębiony.

Wieczorem w kuchni dostał kufel grzanego piwa z korzeniami, co poprawiło mu nastrój oraz samopoczucie, lecz przezornie odmówił partyjki mariaszka z innymi służącymi, wymawiając się bólem gardła. Przysięgł sobie, że od razu pójdzie do łóżka, żeby się porządnie wyspać przed jutrzejszym porankiem.

Ale ten drobny luksus nie był mu dany tej nocy.

Ponieważ na czystej, wymaglowanej pościeli jego posłania leżał przedmiot, na widok którego Setel jęknął i aż zatoczył się na ścianę.

Mała, paskudna kulka ulepiona z brudnej ziemi czy gliny. Ohydna jak wielka, tłusta pluskwa. Spasiony, odrażający karaluch. Gnida. Kaziła swoją obecnością nie tylko kołdrę i poduszkę, lecz cały schludny, jasny, porządny pokoik lokaja.

Głębianin wiedział, że musi się przełamać i dotknąć nietypowej przesyłki. Doskonale też zdawał sobie sprawę, skąd ona pochodzi i co w niej znajdzie. Ale to tylko pogarszało sytuację.

Drżącymi palcami rozłamał kulkę. Tak jak się spodziewał, pomieszczenie wypełnił natychmiast smród nawozu. Przesyłka, podobnie jak kulka skarabeusza, zrobiona była z podsuszonego gnoju.

W środku znajdował się skrawek papieru zwinięty w tutkę. Lokaj niemal się rozszlochał, kiedy odpakował liścik. Wiadomość nie zawierała żadnych słów. Przedstawiała kółko stylizowane na twarz, z dorysowanymi różkami. Zamiast oczu na Setela patrzyły dwa iksy. Z nakreślonych prostą kreską ust wypadał wielki, bezwładny język. Na czole widniała pojedyncza kropka, ewidentnie ślad po postrzale.

Wesoły zwykle diabełek śmiechus nie żył, zastrzelony. Prosto w łeb, jak przy egzekucji.

Obrazek został wykonany pośpiesznie, bez zbędnych szczegółów. Zamiast tuszu ktoś użył brunatnej substancji nieprzyjemnie przypominającej krew.

Bo to jest krew, odezwał się spłoszony głos w umyśle Głębianina. I na pewno nie pochodzi z żył żadnego zwierzęcia. Nie łudź się, że tak.

Lokaj Lucyfera nie miał wątpliwości, że otrzymał właśnie wezwanie. Pilne wezwanie, którego nie wolno mu zlekceważyć, jeśli chce jeszcze kiedyś oglądać płomieniste niebo Głębi. Od lat bał się, że taka przesyłka nadejdzie, a teraz właśnie nastąpiła.

ta upiorna chwila.

Dzień Gniewu.

Dzień Sądu.

Ostatnia godzina przed karą, kaźnią i oceanem wiecznej miłości.

Odłożył kartkę na nocny stolik, ale nie ośmielił się wyrzucić do śmieci kulki nawozu. Leżała dalej tam, gdzie ją zostawił po rozłamaniu, na wierzchu komody z bielizną, śmierdząc złowrogo.

Oprócz odoru biły od niej groza i zapowiedź rychłej śmierci.

Setel położył się na łóżku, tak jak planował, lecz do samego świtu wpatrywał się w sufit szeroko otwartymi oczami, drżąc z przerażenia.



Rozkaz to rozkaz, myślał Zofiel, podpisując dokumenty i wydając rozporządzenia. O, na miłosierną Jasność, rozkaz to rozkaz, więc nie ma innego wyjścia. Wybacz mi, Panie, wybacz, bo wiem, że postępuję źle.

Zgodnie z życzeniem regenta wdrażał właśnie w życie plan alternatywny, którego założenia i posunięcia wydawały mu się absurdalnie, nie do przyjęcia ryzykowne. Plan niedopracowany, widomy ledwie w zarysie, nieprzemyślany, a przy tym cholernie, szaleńczo niebezpieczny.

W dodatku głupi. Głupi, na samą Światłość! Tak łatwy do odkrycia, że paroletnie dziecko nie miałyby z tym problemem.

Hurra, panowie! Idziemy na żywioł! Na pałę! Wchodzimy do Pałacu Pięści prościutko i szybciotko jak w masło, a potem, no cóż, potem sprawa się rypie.

Bo musi, pomyślał szef wywiadu. Taka akcja po prostu nie ma szansy zakończyć się powodzeniem.

Siedział długo nad papierami. Wahał się. Był twardym i zaprawionym w bojach skrzydlatym, więc ręka dzierżąca pióro nawet mu się nie zatrzęsła. Za to serce drżało boleśnie. Zabijesz ich, mówiło surowo sumienie. Wszyscy przez ciebie zginą, zobaczysz.

Ale cóż? Rozkaz to rozkaz.

A regent wyraził swoje zdanie.

Zofiel podpisał dokumenty. Akcja mająca na celu wprowadzenie szpiega z Królestwa do bezpośredniego otoczenia imperatora Głębi właśnie się rozpoczęła.

I tylko szef wywiadu rozumiał, jak straszliwe brzemię będą musieli ponieść on sam i jego najlepsi agenci z powodu hysterii Gabriela.



Najgorsze, że Setel dowiedział się o terminie i miejscu spotkania ot tak, od przypadkowego na pozór przechodnia. W tłumie, na ulicy. Wysoki Głębianin wpadł na niego na samym środku ruchliwej Alei Potępienia. Niby nic, zwykły drobny incydent bez znaczenia. Ale ten przechodzień zamiast zwyczajowego „przepraszam” spojrział prosto w oczy lokaja i wyszeptał:

– Jutro. Pod „Głową Samsona”. O dziewiątej wieczór.

I natychmiast zniknął gdzieś w zaułku. Oszołomiony, przestraszony Setel nie był nawet w stanie przypomnieć sobie twarzy, sylwetki czy ubrania informatora. Jakiś demon. Zwykły mieszkaniec Otchłani. Każdy.

To właśnie najbardziej przerażało przy kontaktach z Kongregacją Kary, Kaźni i Wiecznej Miłości. Byli wszędzie. Okrażali cię, osaczali, dawali do zrozumienia, że nieustannie mają cię na oku, ty zaś nie tylko nigdzie nie znajdziesz miejsca, do którego mógłbyś uciec, ale przede wszystkim nie spotkasz nikogo, komu byłbyś w stanie zaufać.

Obcy w tłumie, zwykli przechodnie, sprzedawcy, taksówkarze, urzędnicy, gazeciarze, śmieciarze, właściciele restauracji czy małych bistro potencjalnie mogli cię śledzić, szpiegować, inwigilować. Nikt nie był bezpieczny ani w domu, ani na ulicy.

Informatorem, konfidentem, agentem lub pracownikiem bezpieczeństwa mogli być twój przyjaciel z dzieciństwa, żona, kochanka, matka, syn, ktokolwiek. Szeroko rozwarte ramiona Kongregacji przyciskały do swego łona i bezlitośnie miażdżyły każdego, kogo tylko zechciały.

Dosłownie każdego.

Setel doskonale o tym wiedział. Został zwerbowany kilka lat temu, gdy awansował na stanowisko osobistego lokaja imperatora. Zrobił to Neguel, jego kumpel, brat łąta, zawsze roześmiany, skory do żartów, serdeczny i wesoły pomocnik masztalera.

Tylko wtedy się nie śmiał. Jego zaciśnięte usta przypominały szramę. Brązowe oczy zrobiły się twarde, pozbawione wyrazu, bezlitosne, jak dwie kulki z polerowanego drewna. Gałki od szafy, orzechy, pionki do jakiejś tajemniczej, złowrogiej gry. W każdym razie nic, co kiedykolwiek potrafiło wyrażać jakieś uczucia.

Nawet się nie skrzywił, kiedy ze szczegółami opowiadał rzekomemu przyjacielowi, co się dzieje z rodziną i bliskimi takimi, którzy odmawiają współpracy z Urzędem Bezpieczeństwa i ośmielają się zarzekać, że nigdy nie będą donosić na swoich pracodawców lub kolegów.

Setel nie zamierzał odmawiać.

Trzęsąc się, bliski płaczu, podpisał akt zdrady wobec Lucyfera i przypieczętował odciskiem palca umoczonego we własnej krwi. Kiedy Neguel zwinął dokument, starannie schował za pazuchą i zbierał się do odejścia, lokaj imperatora zobaczył wreszcie w jego źrenicach cień emocji.

Chłodną, wyniosłą pogardę.

Teraz, stojąc przed wejściem do knajpy „Głowa Samsona”, przypomniał sobie tamto spojrzenie oszukańczego kumpla. Przypomniał ku przestrodze.

Przez jakiś czas stał niepewnie u drzwi, zbyt wystraszony, żeby nacisnąć klamkę. Przemógł się, dopiero kiedy z karczmy wysypało się podchmielone, rozgadane, wesołe towarzystwo.

To zwykły lokal, przekonywał swoje strwożone, trzepoczące serce. Uczęszczane miejsce publiczne. Tu nikomu nic nie grozi.

A przecież wiedział, że agenci bezpieczeństwa są wszechwładni i jeśli zechcą, zabiją dowolnego Głębianina tam, gdzie tylko będzie im wygodnie. Nawet w Pandemonium, nawet w Pałacu Pięści.

Nawet tutaj.

Zadrzał, lecz wtedy przed jego oczami znów ukazała się przestrelona główka śmiechusa nabazgrana na brudnym od gnoju świstku papieru.

Musiał wejść. Po prostu musiał.

Wnętrze gospody było obszerne, rozświetlone pojedynczymi, bocznymi lampami. Nie bawiło się tu zbyt wielu klientów. Trzy grupki roześmianych, dowcipkujących demonów, wyraźnie kolegów z pracy, którzy wyskoczyli wieczorem na piwo, jakaś parka migdaląca się w kącie, pijak, który spał wsparty ramieniem na stoliku.

I on.

On, na Mrok.

Na widok tej postaci Setel o mało nie zemdleł. Musiał się przytrzymać oparcia krzesła. W głowie mu zawirowało, a pod czaszką odezwały się pogrzebowe dzwony.

Już po mnie, uświadomił sobie ze zgrozą. Jestem martwy jak diabełek z liściku.

Bo znał tego Mrocznego, który siedział sobie pośrodku sali z lekkim ironicznym uśmiechem i wpatrywał się w drzwi, jakby na kogoś czekał. Głębianina o stalowoszarych włosach, z wysokim czołem i schludnie przyciętą bródką.

Widywał go czasem w pałacu na audiencjach u imperatora.

Tak, lokaj nie miał wątpliwości.

To on we własnej, ociekającej mrokiem osobie.

Jego Wysokość Nergal.

– Siadaj – powiedział szef bezpieczeństwa.

Służący Lucyfera natychmiast spełnił polecenie, mimo że jego nogi nagle zaczęły się uginać, jakby zrobiono je z plasteliny.

Przed naczelnikiem Urzędu Bezpieczeństwa stały butelka zwykłej, taniej głębiańskiej wódki i pojedyncza szklanka. Nergal lubił rzeczy proste, bo uważał, że przydają męskości. Gardził wyrafinowaniem. No chyba że chodziło o przesłuchania.

Setel tak mocno trząsał się w jego obecności, aż zęby mu dzwoniły pogrzebowego marsza.

Szef bezpieczeństwa nalał sobie szczyrę trunku i pociągnął długi łyk. Skinął z aprobatą głową. Flaszka była tak zimna, że szroniła się delikatnym, białym tiulem lodowego nalotu.

– Lucyfer – powiedział Nergal powoli, cedząc to imię, jakby wychylał kolejny kieliszek. – Pracujesz dla niego, tak?

Setel potrafił tylko przytaknąć słabym ruchem głowy.

– Nie umiesz mówić? Ktoś ci wyrwał język, gnojku?

– Nie, panie. Pracuję, panie – wykrztusił lokaj przez gardło ściśnięte mackami przerażenia. – Służę w Pałacu Pięści.

– Służysz – powtórzył Mroczny. – Jakie to piękne słowo. Lubię je. Nawet bardzo. Dlatego od tej chwili będziesz służył mnie, rozumiesz?

– Tak, panie... oczywiście, panie... – wyjąkał nieszczęsny, dławiąc się strachem jak ogromną grudą spleśniałego chleba.

Bo jego przerażenie miało właśnie taki smak. Ciągnęło grzybem, zgnilizną, goryczą i rozkładem. Smrodem śmierci.

Nergal zmarszczył brwi.

Tykający mechanizm jego przeżartego nieufnością i spiskami umysłu jak zwykle

najpierw nastawił wskazówki na podejrzliwość.

– Zadyszki dostałeś? Biegłeś tu? Uciekałeś przed kimś? Ktoś cię śledził? Ścigał? Gadaj, czy ktoś widział, jak tu wchodzisz?

– Nie, panie. Przyszedłem sam, przysięgam!

– To czego się tak trzęsiesz?

– Budzisz we mnie lęk, Mroczny – wyznał rozpaczliwie lokaj.

Po raz pierwszy od początku rozmowy szef bezpieczeństwa się uśmiechnął. Uśmiechnął szeroko i jasno jak wybuchająca bomba atomowa. Podobało mu się to, co usłyszał.

– To akurat słusznie – rzekł łaskawie. – Nie taki widać jesteś durny, jak się zdawało. Mów, jaki on jest teraz? Czy się zmienił? Czy zauważyłeś cokolwiek innego w jego zachowaniu? Miny, gesty, słowa, upodobania? Przypomnij sobie każdy szczegół, każdą drobnostkę. Czy cokolwiek u niego uległo ostatnio zmianie?

– U kogo? – stęknął sparaliżowany panicznym strachem, ogłupiały Setel.

Nergal odchylił się w tył, wsparł plecy o oparcie krzesła.

– Nie, myliłem się. Jednak jesteś kretyńcem. Zastranym, pierdolonym, żalonym idiotą. Albo coś knujesz. Może go kryjesz? Kryjesz go, tak? Udajesz, że nic nie rozumiesz, i chcesz, żebym uwierzył w ten głupawy, kiepski teatrzyk? Masz mnie za debila czy jak? Próbujesz oszukać MNIE? Nawet sobie nie wyobrażasz, w jak bolesny i krwawy sposób kończą się takie gierki. Daję ci ostatnią, przysięgam, że ostatnią szansę. Naprawdę nie wiesz, o kogo pytam?

Lokaj nerwowo oblizywał wargi.

– Wiem, panie. Wybacz, panie. Chodzi o imperatora Głębi. O Lucyfera.

– No i patrzcie, jak nagle zmadrzał! Przy mnie nie warto odstawiać głupka, gnojku. Kongregacja Kary, Kaźni i Wiecznej Miłości łaknie prawdy, prawdy i tylko prawdy. A ty mi ją dasz, mały posrańcu. Dasz mi ją teraz na tacy, tak jak nosisz żarcie i wódę swojemu kochanemu panu. No więc jak, zmienił się?

Myśl! – nakazał sobie Setel. Myśl, bo inaczej przepadniesz.

Mimo straszliwego stresu spróbował przypomnieć sobie wszystkie ostatnie spotkania z władcą Otchłani, jego słowa, prośby, nakazy.

I nagle doznał olśnienia.

Już wiedział, wiedział i czuł.

Nergal, jak zwykle czujny, skupiony, bystry, podejrzliwy do granic obsesji, miał rację. To nie był ten sam Lucyfer co kiedyś.

– Zmienił się, panie – powiedział pewnym głosem. – I to znacząco.

Naczelnik Urzędu Bezpieczeństwa zmrużył oczy i splótł dłonie, jakby miał zamiar posłuchać ulubionej, kojącej muzyki.

Bo na takie doznania się właśnie szykował. Rozkwitał, kiedy udało mu się zmusić kogoś do mówienia. Uwielbiał wywlekać sekrety jak wnętrzności z jamy brzusznej, patroszyć delikwenta ze wszystkich ukrytych tajemnic. Zeznania brzmiały dla niego jak najśłodsza, wspaniale skomponowana melodia. Mógłby się nią delektować bez końca.

– Gadaj! – nakazał natychmiast.

Setel zaczął mówić.



To było ryzykowne. Tak cholernie ryzykowne, że graniczyło z obłądem. Cała siatka szpiegowska Królestwa pracowała na tę akcję miesiącami. Uaktywniła wszystkich swoich agentów w Głębi, a potem szantażem, groźbami, łapówkami i obietnicami doprowadziła do wielkiego sukcesu.

Lowas, jeden z kucharzy pracujących w Pałacu Pięści, w zamian za klejnot ze skarbcza regenta, pochodzący ponoć z resztek fortuny podupadłego rodu z dalekich rubieży Otchłani, zgodził się przyjąć do pracy nowego kuchcika.

Chłopak nazywał się Aspaniasz. Urodził się podobno w Pierwszym Niebie, w ostatnim, granicznym kręgu. Ale kto go tam wie, gdzie naprawdę przyszedł na świat? W każdym razie wyglądał jak dzieciak narodzony i wychowany w Limbo. I to raczej bliżej Głębi niż Królestwa. Formalnie należał do ptactwa niebieskiego, najniższej, służebnej kasty aniołów. Ale w jego sercu jak czerwony krzew gorejący rozrastały się i płonęły odwaga, determinacja oraz wielkie, bardzo wielkie ambicje.

Pracował dla wywiadu już niemal dwa lata, a teraz, kiedy niczym wrota rajy otwierała się przed nim ta jedna jedyna życiowa szansa, za nic nie pozwoliłby jej się zmarnować.

Owszem, zdawał sobie sprawę z ogromu niebezpieczeństwa. Jednak kariera i splendory, jakie mógłby otrzymać, gdyby akcja się powiodła, kusily go o wiele bardziej niż zakazany owoc pramatkę Ewę.

Fizycznie nadawał się doskonale. Niezbyt wysoki, bardzo smagły, oczy miał ciemne i pełne żaru jak polerowany obsydian, a skrzydła tak jednolicie czarne, że bez trudu uchodził za jednego z niższych rangą demonów.

Teraz, kiedy stał na dziedzińcu Pałacu Pięści, w progu kuchennego wejścia, drżał cały, lecz nie z lęku tylko z ekscytacji i radosnego wyczekiwania.

Dostał je! Dostał jedno z najważniejszych, najcięższych, najtrudniejszych zadań w historii wywiadu! I pokaże wszystkim, jak doskonale sobie poradzi! Przeniknie wkrótce do otoczenia samego Lucyfera, a potem zdobędzie jego zaufanie. A później, we właściwym momencie, wyzna, że wie o przebraniu, i stanie się dla Razjela wsparciem, przyjacielem, obrońcą i ukochanym synem niemalże. Wkrótce Pan Tajemnic nie będzie się umiał bez niego obyć. A Gabrielowi, regentowi Królestwa, przyniesie upragnione wieści, a z nimi otuchę, ulgę i radość. Już niedługo, za tydzień, dwa, trzy, on, Aspaniasz, jeśli ugra wszystko wystarczająco sprytnie, może stać się najbardziej zaufanym, niezbędnym doradcą dwóch najpotężniejszych szych w Królestwie!

Gabriel i Razjel.

Gabriel i Razjel!

Przy nich jego droga do zaszczytów, bogactw i godności wydawała się cesarskim traktem wybrukowanym złotem oraz tonami drogich kamieni. Jarzyła się takim blaskiem chwały, siły i władzy, że aż oślebiała.

W duchu nie przestawał dziękować Jasności za ten cudowny dar.

Już nigdy nie będzie czarniawym, małym gnojkiem niskiej krwi. Jakimś tam

zwykłym chłystkiem. Jednym z niezliczonej rzeszy ptactwa niebieskiego. Robotnikiem, sługą, pastuchem, śmieciem od brudnej roboty. Czyli nikim.

Zostanie przyjacielem najwyższych dostojników Nieba. A niedługo nadejdzie taki czas, że ani jeden z nich nie będzie umiał się obyć bez jego rad i pomocy.

Aspaniasz, szara eminencja Królestwa. Anioł o niepodważalnej mocy i pozycji, przed którym drżą wszyscy inni. Także arystokracja. Wysoko urodzeni, cholerni, butni i arogancy Świetliści. Czy to nie brzmi wspaniale?

Uśmiechał się leciutko do siebie, pogrążony w słodkich oparach wizji dostatku i władzy, o jakich marzył już w czasach zimnego, głodnego, pozbawionego miłości dzieciństwa.

Nawet nie słuchał, co gada o jego rzekomym pochodzeniu Areus, rosły demon o czerwonych włosach i donośnym, gromkim głose, stajenny w Pałacu Pięści, od niedawna przekupiony i opłacany przez wywiad Zofiela.

– To chłopak z prowincji, Lowas – dudnił tymczasem Areus. – Nie za wiele w życiu widział, ale do roboty się nada. Będzie pracował za dwóch. Przez całe swoje nędzne, zasrane życie na zapadłej wiosce chciał się wyrwać do stolicy i znaleźć tam jakiegokolwiek zajęcie. A tu proszę, jaki zaszczyt kopnął go w chudy, kościsty tyłek! Znajomi rodziny stanęli na głowach i załatwili mu miejsce w kuchni samego Pałacu Pięści. A wszystko dzięki twojej łaskawości, przyjacielu. Dziękuję w imieniu jego starej, zatroskanej matki. Dobry chłop z ciebie. Porządny i z kośćmi, że wyświadczasz mi tę małą przysługę. Smark ci się przyda, zobaczysz. Będzie orał jak wół, prędzej sobie giry połamie i kark przetrąci, niż nie wykona zadania. Mało się nie posikał po nogach z radości i szczęścia, kiedy się dowiedział, że zgodziłeś się go przyjąć na próbę.

Aspaniasz, który niby to skromnie wbijał wzrok w ziemię, spojrział na stajennego koso i złowrogo.

Obyś ty się nie posikał, kiedy cię kopnę w jaja, góro tłuszczu z czerwonym łbem. Zobaczysz, jaki ze mnie smark, kiedy się już wybije. Natychmiast namówię imperatora, żeby cię wylał na zbitą mordę. Polecisz w pierwszej kolejności, mój ty łaskawy protektorze.

Lowas słuchał tyrad kumpla na temat nowego kuchcika ze znudzoną miną, dłubiąc od czasu do czasu w zębach długą rybią ością. Z wyglądu przypominał pękata beczkę, lecz zaraz było widać, że nie tyle jest otyły, ile niezwykle krzepki. Głowę miał okrągłą, osadzoną na potężnym karku niemal bez udziału szyi, ramiona i nogi krótkie, lecz muskularne. Z pozoru wyglądał na zwykłego cioła o inteligencji przeciętnie zdolnej żaby. Lecz jego oczy, wąskie, szare, ostre jak odłamek kości, błyszczały sprytem i zachłannością.

– Dobra, Areus – przerwał wreszcie, klepnawszy ciężką łapą w ramię stajennego. – Czas mi wracać do garów. Zabieram gnoja. Zobaczę, czy się nada, choć, prawdę mówiąc, mam wątpliwości. Pogadamy w karczmie przy flaszcze gorzały. Ale dość już mam słuchania jakichś cholernych, łzawych historyjek o gówniakach z prowincji, co się wyrwały do miasta. Jak porządne chłopcy opowiemy sobie o dupach, aferach i polityce. Co ty na to?

– Brzmi dobrze, Lowas. Kurewsko dobrze – ucieszył się czerwono włosy Głębianin.

– W takim razie dziś wieczorem w szynku – uciął kucharz. – Chodź, zasrańcu. Staniesz na zmywaku. Mam tam całą górę brudów do umycia.

– Tak, panie. Dziękuję, panie. Będziesz miał ze mnie pożytek, przysięgam – mamrotał szpieg Królestwa, choć w duszy od razu znienawidził grubego przełożonego.

Już ja się postaram, żebyś poleciał zaraz za tą świnia Areusem, pomyślał mściwie. I to bardzo, bardzo daleko. Na samo dno lochów Pandemonium.

Wciąż się jednak przymilnie uśmiechał i wyrażał wdzięczność, gdy Lowas wepchnął go w przepastną jaskinię kuchni.

Tak właśnie zaczęła się kariera Aspaniasza w Pałacu Pandemonium.



Kiedy jesteś pełen ambicji gotującej się cały czas, wrzącej w tobie niczym sagan zupy stojący na ogniu, rutyna codziennych, zwykłych czynności powoduje, że w każdej chwili możesz niespodziewanie wykipieć.

Aspaniasz kipiał nieustannie. Z najwyższym trudem powstrzymywał się, żeby nie wybuchnąć i nie wygarnąć kuchmistrzowi i całej jego wrednej, głupiej, prześmiewczej ekipie, gdzie sobie mogą wsadzić durne, rubaszne żarty i niewybredne zaczepki, których mu nie szczędzili.

Nienawidził ich. Nienawidził jak diabeł egzorcysty.

Byli tylko bandą zwykłych roboi, gburów i grubiańskich ciołków. Bez klasy. Bez pomysłu na życie. Bez krztyny aspiracji. Urodzili się po to, by wykonywać najprostsze, najpodlejsze prace. Co gorsza, wcale im to nie przeszkadzało. Znali swoje miejsce w strukturze świata. A że znajdowało się na samym dnie? No cóż, nie im jedynie przypadł w udziale taki los. Mieli cztery ściany i dach do spania, jedzenie, święty spokój. A i na rozrywki znajdowali nieco czasu i pieniędzy. Można przecież trafić o wiele gorzej, nie?

Wypełniali polecenia, wykonywali swoje obowiązki, w wolnych chwilach zaś plotkowali, pili, grali w karty lub zakładali się za groszowe sumy, który zapaśnik zostanie mistrzem Otchłani lub jaki wyścigowy smok przybiegnie pierwszy na metę.

Słudzy. Słudzy na zawsze, na wieczność, aż do chwili, gdy wypalą się gwiazdy i nastanie Czas Ostateczny. Nisko urodzona hołota. Odpadki.

Gardził ich małym, głupim, niepotrzebnym życiem. Ich robotą, ich zabawą, ich radościami i troskami.

Przez nich z powrotem czuł się tym, kim rozpaczliwie nie chciał być. Służącym. Popychadłem. Najniższym w hierarchii kundlem w stadzie. Zwykłym pomywaczem. Rabem i synem raba. Nikim. Zupełnym zerem.

W dodatku okazało się, że prędzej zobaczy własny szanowny tyłek bez lustra, niż ujrzy kiedykolwiek imperatora. Nie tylko z bliska, ale w ogóle.

Pracował w kuchni. W kuchni i tyle. Wchodził do kompleksu pałacowego tylnym wejściem, przechodził przez dziedziniec dla służby, a potem prosto między paleniska, piece oraz ruszty do pieczenia mięsiwa, wprost do krainy garów, patelni, smrodu rozgrzanego tłuszczu i przypalonych kotletów.

Na Jasność! Ależ okazał się naiwny i głupi, snując wizje świetlanej przyszłości

u boku Razjela. Jak strasznie durny i żałośnie nędzny!

Ponieważ kuchnia, do której się dostał dzięki staraniom całego wywiadu Królestwa, wcale nie gotowała dla Lucyfera. Nie serwowała nawet posiłków dla jego najbliższego otoczenia, dostojników, urzędników lub choćby lokajów i pokojówek.

Nie, pałac miał własną kuchnię, o wiele lepszą, bardziej wyrafinowaną i wysmakowaną niż ta, do której trafił Aspaniasz. Przyrządzał tam posiłki prawdziwy szef, Chemos, nagradzany wielokrotnie prestiżową Nagrodą Złotych Wideł, znany i ceniony kucharz gotujący także dla Piekielnego Domu Księżąt, a nie tłusty, durny, nadęty kuchmistrz Baulem.

Tutaj była zwykła jadłodajnia. Stołówka dla personelu zewnętrznego. Słowem, garkuchnia wydająca podłe żarcie dla zwykłych robotli i wyrobników. Okropne miejsce, brudne, zasmrodzone swądem palonego tłuszczu i niezbyt świeżego mięsa. W sam raz dla demonów. W sam raz dla anielskiego szczeniaka o ciemnej skórze, czarnych skrzydłach i takich samych myślach.

Znał dobrze podobne spelunki. Kiepskie knajpy. Małe, zapyziałe sklepiki. Taniutki bazary. Kantory ze starzyzną. Ziało z nich nędzą, beznadzieją i smutkiem, od którego serce ścisnęło się w żywy, twardy kamień. Wiedział dobrze, kto w nich pracował i kto kupował brzydkie, tandetne towary. Robotnicy. Tragarze. Chłopi. Ubodzy rzemieślnicy. Farbiarze, murarze, garbarze, tkacze, kaletnicy, szewcy. Pomywacze.

Tacy sami jak on.

Ale Aspaniasz nie zamierzał się godzić na podobną vegetację. Dostał się do wywiadu! Został szpiegiem, do cholery! Ciężką pracą, wyrzeczeniami, determinacją graniczącą z obłądem wyszarpał zębami dziurę w przezroczystym suficie dzielącym ściśle zhierarchizowane kręgi niebiańskiego społeczeństwa, wyfrunął spośród szarej, nijakiej rzeszy ptactwa niebieskiego i zdołał awansować. Wybił się ponad swoją kastę. Wdarł przemocą do środowiska niższych urzędników dzięki temu, że głodował, harował ponad siły, uczył się nocami przy świetle ulicznych latarni, bo nie było go stać na durny oliwny kaganek. Został w końcu zauważony, otrzymał stypendium naukowe i zakuwał nieustannie, zachłannie, dziko, wyśmiewany, a nawet wyszydzany przez szkolnych kolegów za brak ogłady, ubogie, połatane ubranie, akcent z Limbo i wilcze spojrzenie, którym odpowiadał zarówno na zaczepki, jak i na jakiegokolwiek próby kontaktu.

Kiedy został dostrzeżony przez jednego z łowców talentów pracującego dla wywiadu Zofiela, sądził, że schwytał samą Jasność za nogi.

W górę! W górę! Ku rozplómiętej chwale tysiąca słońc i komet! Ku zasłużonym zaszczytom, ogólnemu szacunkowi i splendorom! Tam tylko mogła wieść droga, na którą wreszcie wstąpił. Wspaniała szosa prowadząca wprost do chwały, godności, bogactwa. Otwarta dla niego, szeroka i widna.

Spełnił marzenie.

Tak, spełnił. Ale jego smak okazał się gorzki i obrzydliwy niczym zgnilizna.

Otrzymał zadanie olbrzymiej wagi. Jedno z najważniejszych w historii wywiadu.

I co? Jak skończył?

Szorował gary w podłej jadłodajni. Co za różnica, że w Głębi, a nie w Królestwie?

Los znów z niego zadrwił. W uszach wciąż słyszał jego podły, okrutny chichot.

Wylądowałaś tam, gdzie twoje miejsce, czarniawy smarku. Wśród pomyj i smrodu tak przynależnych twojej naturze. Zapierdalaj przy brudach, ptaszku niebieski. To przecież twoje przeznaczenie.

Ale Aspaniasz był młody i porywczy. Gniewny, zawiedziony, pełen żalu. W jego sercu jak w wielkim piecu piekielnej kuchni buzował nieugaszony ogień. Niebezpieczny żar gotowy wzniecić pożar, który podpali całe Niebo oraz Otchłań.

Czy zdobyłby się na cierpliwość i poskromił szalone aspiracje, gdyby zdążył odbyć pełne szkolenie i nabrał wprawy w swoim zawodzie, z początku pracując przy mniej wymagających akcjach?

Zapewne tak. Lecz czarnowłosa i czarnoskrzydły anioł podłej krwi i takiegoż pochodzenia skoczył od razu do wody tak głębokiej, mulistej i zdradliwej, że pochłonęła go jak odmęty Jonasza, zanim zdążył zauważyć, że tonie.

Niedoświadczony, a przy tym chorobliwie ambitny szpieg jest niebezpieczny jak wybuch brudnej bomby. W każdej chwili może stać się bronią, która eksploduje w twarz jego własnym mocodawcom.

Aspaniasz zaś miał zostać właśnie takim samobójczym ładunkiem wybuchowym.

Postanowił, że nie będzie czekał na rozkazy, tylko przyspieszy bieg spraw i na własną rękę spróbuje skontaktować się z imperatorem.

Gdyby wiedział, do czego to doprowadzi... Gdyby.

Marzenia czasem bardzo drogo kosztują. Za drogo. A ścieżka, która do nich wiedzie, prowadzi wtedy przez ciemne, pełne grozy jaskinie rozpaczy, cierpienia i próżnego żalu. Czasem zaś kończy się u rozwartych wrót śmierci.

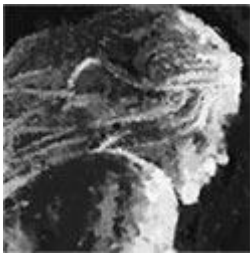
Ale czarnoskrzydły szpieg z Królestwa nie chciał o tym pamiętać.

Parł naprzód, ku słodkim wizjom przyszłej władzy, zaszczytów i splendorów, oślepiiony ich zdradliwym różowym oparem tak bardzo, że nie potrafił spojrzeć pod nogi i dostrzec, po jak cienkiej i ulotnej linie właśnie stąpa.

Linie rozpiętej nad przepaścią.



Rozdział XI



Zabrali go! Zabrali! Wynieśli jak jadowitego węża na kiju! A teraz go zjedzą, parszywego drania ze skrzydłami, co się ośmielił zepsuć mi toporek! Dobrze mu tak, głupi skrzydlaty! Niech zdycha na krwawym kamieniu, ha, ha, ha!

Sinaa, który patrolował swoje tereny w cętkowanej skórze jaguara, zmarł, kiedy usłyszał w lesie te radosne wrzaski. Gdy triumfalne okrzyki zastąpiły charakterystyczne piski fujarki *corupira*, odsłonił kły i porykując głucho, groźnie, złowrogo, rzucił się długimi susami w stronę dochodzących z oddali dźwięków.

Jednym celnym ciosem przewrócił kosmatego, łysego Jurupariego na mokrą ziemię, przycisnął potężną łapą.

– Czego? – jęknął wystraszony karzeł. – Czemu się znowu czepiasz?

– Ghdzie jechst Daimhon? – spytał, a w tonie jego głosu czuć było krew, rozdarte powłoki brzuszne, wywleczone flaki, pogruchotane kości i wątrobę pożartą na surowo.

Demon leśny spojrzął na pazury wsparte na swojej piersi, podobne do długich, lekko zagiętych noży do filetowania, a potem przeniósł wzrok na zagniewane, zmarszczone oblicze jaguara i odechciało mu się zjadliwych pioseneczek.

– Ja nic nie wiem! – wystękał. – To nie moja wina.

Sinaa mocniej ucisnął łapą klatkę piersiową karła.

– Gchadaj, ghdzie aniochł?!

Jurupari zaczął zipać, a jego jedyne oko wylazło z orbit jak pączkująca purchawka.

– Zabrali go! Nie mam z tym nic wspólnego, przysięgam! Nawet mnie tam nie było! Nic nie wiem! Słyszałem tylko, że złapali Swietlistego! Związali i zabrali. Tam,

w dole strumienia.

– Khto? – zapytał jaguarołak, choć w jego duszy zrodziła się obawa, że niestety, domyśla się, czyja to robota.

– Wojownicy Tezcatlipoki. Cała dżungla o tym gada!

O, na Jasność! Niedobrze. Bardzo, cholernie niedobrze. Prawdę mówiąc, katastrofa.

Niewiele myśląc, Sinaa puścił karła, uniósł łeb i zaryczał z tak straszliwą furją, aż pobliskie drzewa pochyliły głowy przed odwiecznym panem i władcą puszczy.

Może i jako jaguar miał problemy z artykulacją słów, lecz tym razem każdy mieszkaniec lasu mógł wyraźnie usłyszeć, kogo wzywa człowiek-kot.

W drżącym seledynowym powietrzu dżungli poniósł się pełen wściekłości ryk rozjuszonego bóstwa:

– Uaica! UAICA! Ty draniu!!!



To nie była przyjemna scena. Dramatyczna raczej, chciałoby się rzec.

Biedny, drżący uzdrowiciel stał przed rozwścieczonym jaguarem, większym niż dorodny byk.

Stał i płakał.

Łzy płynęły po jego twarzy niczym górskie kryształki wprawione w terakotową maskę rozpaczy.

– Znalazłem... znalazłem zioła...

– Ze skchóry cię obedrę, wypcham ziołchami i upiekę na drągu, żalony, głupi zasrchańcu! Miałem cię za przyjacielcha, zaufchałem ci! I jak mi się odpłachasz?! Wystahczyło, żebyś go doprowadził do rzeki. Tylko tyle! Czy ja prosiłem o tak wiele?! Ale nie, trzebha było leżć w błoto, ślinić się jak chory, wywrchacać gałami i gapić się bez sensu na jakhieś parchywe, śmierhdzące, krethyńskie kwiatki! Puściłeś go samhego, durniu! Porzchuciłeś w obcym, nieznhanym terhenie, thuż obok krhainy nahleżącej do nienhawistnych wroghów, choć wyrchaźnie polecilem, żebhys go nie spuszczał z oka! A teraz masz na rękach jego krew! Krew Anioła Zagchłady, bohatera Kchrólestwa i w dodatku bliskiego przyjacielcha regenta! Supehr, nie?

Uaica tylko szlochał bezgłośnie.

Sinaa zaś zaczął krążyć wokoło, wymachując nerwowo ogonem.

– Wyhjaśnij mi jedno, dobrha? Dlaczego nie odprowadziłeś go do obhozu, a POTEM nie wróciłeś po to cholerne zielskcho?

Rysy zielarza wykrzywiło autentyczne przerażenie.

– Nie... nie mogłem... a jakby je zerwał ktoś inny?!

Starożytny bóg dżungli omal się nie przewrócił, bo próbował palnąć się łapą w czoło, zapomniawszy, że ma na sobie skórę jaguara.

– No nie, ja chyba eksploduję! Szlagch mnie zarhaz trafi! Kto miałby rehwać takie parchywe nic, krethynie smętny?! To nie orchidee na bukhet dla Króhowej Niebios. Dobrha, dość gadhania. Nie wolno mi trchacić czasu. Idę.

– Dokąd? – wyjąkał wystraszony uzdrowiciel.

– Rathować go. A coś ty myślał?

Policzki Uaiki pobladły wyraźnie, zrobiły się szarawe, jakby ktoś obsypał popiołem dwie małe gliniane miseczki.

– Nie możesz! Zabiją cię! Zginiesz!

– To błędzisz miał na sumhieniu dwa trupy zamchiast jednego! – warknął gniewnie Sinaa i oddalił się truchtem.

Zielarz przez chwilę odprowadzał go spłoszonym wzrokiem, a potem przykucnął na ziemi, oblewając się rzewnymi łzami i szlochając spazmatycznie jak małe, przestraszone dziecko.



Niektóre zamiary łatwiej powziąć, niż zrealizować. Lucek przekonał się o tym boleśnie, gdy tylko zagłębił się w wilgotny, zielonkawy półmrok puszczy. Jakoś to szło, póki trzymał się strumienia. Dość długo przedzierał się przez chaszczę, cały czas pilnując, żeby ciemna, mulista wstęga rzeczki wiła się przy jego nogach jak oswojony wąż, lecz nie znalazłszy żadnych śladów walki, zdecydował się odbić w bok w poszukiwaniu Daimona.

Ledwo wprowadził swój pomysł w życie, już po paru krokach zupełnie stracił orientację.

Zatrzymał się więc, spoglądając w górę, na katedralne sklepienie splecione z liści, gałęzi i lian, próbując określić pozycję słońca.

Ale słońce było tylko miękkim, miętowym poblaskiem pośród zieleni.

Lucyfer miewał czasami trudności z podejmowaniem decyzji, lecz nikt przenigdy nie mógłby nazwać go tchórzem.

Gdzieś tam, w malachitowym, stopionym szkle dżungli, Abaddon został wciągnięty w pułapkę i prawdopodobnie znajdował się teraz w wielkim niebezpieczeństwie. Imperator Głębi podjął się zaś misji ratunkowej i nie zamierzał z niej rezygnować tylko dlatego, że troszkę pogubił się w lesie.

To, co zgubione, prędzej czy później się odnajdzie. Droga do obozowiska nie jest wyjątkiem od tej reguły.

Lampka otarł z czoła kropelki potu, jakby odrzucał drogocenny diadem z pereł, i ruszył przed siebie, gotowy z pełnym poświęceniem ratować dawnego przyjaciela.



Sinaa, zwłaszcza jako jaguar, tropił i polował wyśmienicie. Kochał swój las. Każde źdźbło trawy, każde drzewo, kwiat czy pnącze przemawiały do niego szmerem listowia, drżeniem płatków, szumem gałęzi, szlochom rosy spływającej po łodygach i pąkach.

A on słuchał, jak tropikalny las gra swą odwieczną melodię, jak zmienia ją, modyfikuje, kształtuje, dostosowując do nastroju i okoliczności. Budzi się żwawym skrzekiem papug, ćwierkotem kolibrów, delikatnymi westchnieniami kielichów rozchylających się w ciepłe słońca. Mruczy sennie, łagodnie, bezpiecznie, odprężając się,

odpoczywając, usypiając w samo południe, rojąc słodkie sny o sjeście. Ostrzega pohukiwaniami, warknięciami, popłakiwaniem zwierząt i ptaków, że nadchodzi wieczór, niebezpieczna pora oznaczająca rozpoczęcie codziennego sezonu łowieckiego. WybuCHA zaniepokojonym trelem lirogonów, ostrymi, kolczastymi okrzykami dziwnowronek, trwożnymi wrzaskami małp, gdy tylko dzieje się coś nieoczekiwanego.

Był to język, który jaguar znał od urodzenia. Naturalny, przyrodzony dialekt, mowa tropikalnego lasu. Nauczył się ją rozumieć, zanim jeszcze został tym, kim uczynili go ludzie. Bogiem deszczowej puszczy.

Dlatego natychmiast zorientował się, że na jego teren wtargnął kolejny intruz.

Ktoś nieznajomy.

Cudzoziemiec.

Przybysz z daleka.

Obcy.

Jagurołek uniósł łeb i wciągał w nozdrza nieznany, lekko drażniący, niespotykany dotąd zapach istoty, której pochodzenia i zamiarów nie potrafił rozpoznać. Dominowały w nim żelazista, cierpka woń metalu, lekkie, ciepłe tony skóry i jeszcze coś ulotnego, trudnego do zidentyfikowania.

Ptasie pióra?

Nie, na pewno nie.

Dym z ogniska?

Już prędeJ. W każdym razie nieokreślone, lecz dymne, gorące nuty siły i determinacji, pachnące jak żar z paleniska.

Jedno wiedział na pewno.

To nie Daimon przemierzał jego las. Ani żaden ze sług i wojowników Tezcatlipoki.

Sinaa węszył długo, otwierając lekko pysk, żeby zapach się lepiej wchłonał, ale nie umiał określić tożsamości nieoczekiwanego gościa. Jedyne, co mógł zrobić, to pójść za tropem i przekonać się, do kogo go doprowadzi.



Ukryty w krzakach, czujny, skupiony, posuwał się naprzód za zapachem wyraźnym jak gruba, naciągnięta lina prowadząca wprost ku nieznajomemu. Po pewnym czasie ujrzał wreszcie majaczącą przed pyskiem wysoką, muskularną postać z ogromnymi skrzydłami.

Ujrzał, przywarował i zamarł.

Bo tak jak przypuszczał od początku, to nie Daimon przedzierał się przez chaszczę.

Ani żaden mieszkaniec Królestwa.

O tak, teraz wyraźnie wyczuwał i rozpoznawał ognistą, ostrą, pieprzną woń przyprawiającą o niepokój. Siarka! Widomy znak głębiańskiego pochodzenia, a co za tym idzie jawne piętno sprzeniewierzenia się woli i rozkazom Pana!

Wydarzenie, dotąd niebywałe, stało się niespodzianie całkiem realne. Po jego własnym lesie krążył sobie jakby nigdy nic prawdziwy Upadły.

Demon!

Diabeł!

Nieprzyjaciel i kusiciel.

Wróg Jasności.

W dodatku już na pierwszy rzut oka widać było, że pochodził z bardzo wysokiego rodu.

Potęźny Mroczny wkroczył ot, tak sobie do puszczy i spacerował po niej jak po Alei Potępienia czy innym Placu Pogardy. Nie, to było po prostu nie do przyjęcia!

A Sinaa, jako wierny poddany Światłości, nie mógł tego ani ścierpieć, ani tolerować. Dlatego ślepią mu zaświeciły niczym pochodnie gniewu, a z paszczy zaczął dochodzić niski, gardłowy pomruk. Jaguar zniżył łeb, nastroszył sierść na karku. Koniec ogona drżał jak wojenny buńczuk. Oczywiście człowiek-kot zdawał sobie doskonale sprawę, że nie zdoła pokonać Głębianina o takiej sile, mocy i pozycji. Jednak miał obowiązek spróbować.

Nikt, kto nienawidzi Pana i nie okazuje mu posłuszeństwa, nie mógł bezkarnie deptać ziemi należącej do ucywilizowanego i nawróconego bóstwa tropikalnego lasu.

Jaguarolak spał więc mięśnie wyćwiczonego w bojach i polowaniach zwierzęcego ciała, szykując się do skoku. Był dzielnym, prawym stworzeniem, które nie stroniło od niebezpieczeństw, lecz tym razem, w obliczu tak mocarnego wroga, odwaga w jego sercu tliła się słabo i nikle niczym dogasający węgielek.

I całe szczęście.

Opiekuńcza dłoń Opatrzności wstrzymała go łagodnie przed atakiem na Lucyfera. Sinaa, tknięty nagłym przeczuciem, zawahał się i nie rzucił na przeciwnika. Czekał.

Tymczasem na oczach zdumionego jaguara władca Otchłani wydał z siebie wysoki, babski pisk, zupełnie nieprzystający do jego wyglądu i pozycji, a potem zaczął tańczyć, wykonując nieskoordynowane, długie susy i wymachując szaleńczo rękami. Spektaklowi towarzyszyły histeryczne, piskliwe wrzaski.

Sinaa przekrzywił odruchowo łeb i zastygł w pozie pełnej zdziwienia. Albowiem tany szlachetnie urodzonego Głębianina nie tylko nie ustały, lecz zamieniły się w jakiś szaleńczy dance macabre. Coś w rodzaju kadryla czy menueta rodem z samego dna piekieł.

Postradał zmysły, zrozumiał jaguar. To wariat. Tak, to na pewno wariat.

Lecz w tym samym momencie Lampka wpadł w drgawki jak ofiara malarii i zdołał wreszcie konwulsyjnym ruchem wytrzepać z rękawa kurtki ogromną, pomarańczowo-niebieską skolopendrę, długą niemal jak jego przedramię. Natychmiast przygwoździł ją butem do ziemi, choć wiła się we wszystkie strony, przypominając żmiję ćwiczącą jogę, i jednym celnym ruchem przebił ostrzem długiego noża. Wydała z siebie skrzek brzmiący jak kwik przerażonej świni zmiksowany ze skrzypieniem zardzewiałej furtki. I znieruchomiała.

Lucek patrzył na zewłok z niekłamanym obrzydzeniem.

– Ohydny robal! – poskarżył się całemu światu. – Rany, jak ja nie cierpię robali! Na Mrok, Daimon, żebyś wiedział, co ja muszę przez ciebie znieść! Gdzie ty się podziewasz, chłopie? Szukam cię już ze dwie doby! Tyle że w tych parszywych krzolach znajdę cię tak samo łatwo jak Ryży Hultaj zbawienie.

Otarł pot z karku i westchnął, a minę miał bardzo zafrasowaną.

– Mam nadzieję, że nic ci się nie stało – dodał cicho, z troską, rozglądając się po pobliskich zaroślach. – Nie darowałbym sobie, gdyby spotkało cię coś złego.

Sinaa zamknął paszczę, którą musiał bezwiednie otworzyć. Skonfundowany oblizał szerokim ozorem nos. Jako świątły i obyty jaguar rozumiał co nieco po henochiańsku, choć słabo posługiwał się językiem Królestwa i Głębi. Ale jeśli nawet nie wszystko dokładnie pojął, domyślił się reszty z grymasów i gestów Lucyfera.

Ten Mroczny wyraźnie martwił się o Abaddona i widocznie dlatego wyruszył mu na ratunek. Może jednak nie jest tak do końca upadły, skoro przyjaźni się z Daimonem? Szuka go przecież w nieprzebytej, dzikiej dżungli. A jeśli to też sługa Światłości, tylko inny niż mieszkańcy Królestwa? W końcu co biedny kocur z odległej, nieoswojonej krainy może wiedzieć o stosunkach panujących między skrzydlatymi i Głębianami? Demon nie demon, zawsze przyda się ktoś do pomocy. Zwłaszcza taki potężny. Życie Anioła Zagłady jest chyba ważniejsze niż jakieś tam uprzedzenia, prawda?

Dobrze, że nie skoczyłem mu na plecy, pomyślał z ulgą jaguarołak. Narobiłbym sobie niezłej biedy.

Będąc zwierzem przezornym i przewidującym, postanowił wprawdzie zagadać do Głębianina, lecz nie od razu odkryć przed nim swoje oblicze, żeby uniknąć nieporozumień.

Zbliżył się więc cichutko, deptąc bezgłośnie ziemię ogromnymi, zbrojnymi w pazury łapami, ale nadal pozostał w ukryciu. Zastanowił się przez mgnienie, jak dyskretnie zwrócić na siebie uwagę, i w końcu pozwolił sobie chrząknąć znacząco.

Niestety, zapomniał, że zabrzmiał to jak krótkie, niepokojące ryknięcie drapieży.

Przekłeta paszcza! – pomyślał poniewczasie.

Lucyfer obrócił się błyskawicznie. W prawej dłoni trzymał solidną pałkę, w lewej nóż. Oczy miał czujne, rysy napięte.

Niedobrze. Nie tak to miało wyglądać, uświadomił sobie Sinaa. Spróbuję po prostu zagadać.

Nie potrafił wypowiadać się po henochiańsku, dlatego zdecydował się na portugalski, który znał dobrze, z nadzieją, że obcy zrozumie. W końcu Daimon nie miał z tym żadnych problemów.

– Phepracham – zaczął mówić tak łagodnie, jak tylko był w stanie, posługując się kłami i ozorem drapieżnika. – Witham sechdecznie w dżunhli. Moghę wyjhć?

– Co się dzieje?! Kto tu jest? – W głosie Mrocznego słychać było ostre, stalowe nuty niepokoju.

– Spokhojnie, dobha? Wyjdhę i pogadhamy.

Lucyfer nabrał głęboko powietrza w płuca. Wciąż był spięty i zdenerwowany.

Sinaa wychylił ostrożnie łeb spośród zbitego gąszczu liści.

– To jha – oznajmił spokojnie.

Lampka aż drgnął z zaskoczenia. Spodziewał się ujrzeć wiele dziwnych rzeczy w środku nadprzyrodzonej, dziewiczej puszczy, lecz nie oczekiwał uprzejmości świadczonych przez wielgachnego dzikiego kota.

– Czego chcesz? – warknął. – Ledwo cię rozumiem.

Jaguarolak wywiesił jeźor różowy jak ogromny płat szynki. Potem oblizał się, żeby poprawić artykulację.

– Nazywam się Sinhaa. Szukasz Daimonha Freya? Wiehm, ghdzie jesth.

Lucek powoli się odpręzał, przekonawszy się, że ogromny zwierz wyraźnie nie ma zamiaru zrobić mu krzywdy, jednak jego serce wciąż galopowało ciężko na wzór spłoszonego słoniątka, a w skroniach biły werble tętna.

Rozłożył bezradnie ręce.

– W ogóle cię nie rozumiem. Możesz mówić wyraźniej?

Koci człowiek westchnął zrezygnowany. Nie bardzo się kwapił porzucić bezpieczną postać drapieżnika, ale nie widział innego wyjścia.

– Pochekhaj momenth, dobrha? Thylko się nie preshtrasz.

Sięgnął przednimi łapami do tylnych i wykonał coś w rodzaju podwójnego salta w przód i tył jednocześnie. A potem stanął przed Lucyferem w człekokształtnej postaci.

– Oż ty w życiu! – stęknął zafascynowany Lampa. – To było dobre, chłopie. Naprawdę dobre. Zrobisz tak jeszcze raz?

– Zrobię – zgodził się Sinaa. – Ale nie teraz. Musimy porozmawiać. Szukasz Daimona Freya? Ja też, to mój przyjaciel. I tak się składa, że wiem, gdzie teraz przebywa. Porwali go wojownicy Tezcatlipoki. Grozi mu ogromne niebezpieczeństwo. Spróbuję go uwolnić, ale razem będziemy mieli większe szanse. Przyłączysz się?

– Oczywiście – zgodził się natychmiast Lucek. – Po to tu przyszedłem. Powiedziałeś, że został porwany? Co z nim zrobią, jeśli nie uda nam się mu pomóc? Załadają okupu?

Zielone ślepie jaguarolaka zaświeciły ponuro jak nagrobne znicze na zapomnianym cmentarzu o północy.

– Zabiją go. Nas zresztą też.

– Są w stanie to zrobić? – Lampka nie mógł uwierzyć. – Załatwić Anioła Zagłady? Mają tyle siły i mocy?

– Obawiam się, że tak. Nadal w to wchodzisz?

Imperator Głębi tylko wzruszył ramionami.

– Przecież powiedziałem. Po to tu przyszedłem, no nie? A teraz gadaj wszystko, co wiesz o porywaczach i ich obyczajach. Powinniśmy najpierw opracować dobry plan.

Sinaa skinął głową i zaczął opowiadać, a Lucyfer słuchał go w skupieniu, kreśląc coś patykami na mokrej ziemi.



Daimon płynął na ramionach wojowników, jakby unosił się na falach miękkiego, rozległego jeziora. Odkąd napił się zatrutej wody, wciąż miał kłopoty z powrotem do rzeczywistości. Przed oczami co jakiś czas kłębiły mu się wiry obłędnie kolorowych ptaków, wystrzelały pęki pasiastych, wielobarwnych węży, pulsowały fraktalnie luminescencyjne paprocie. Czasem mignęła smutno-wesoła morda jaguara z reflektorami złocistych oczu.

Świat realny przeplatał się z baśniowym. Nawet nie zauważył, kiedy dżungla

zniknęła, zastąpiona szerokim zielonym przestworem tarasowo ułożonych poletek. Niekiedy Frey z bardzo wielką wyrazistością widział pnące się po tyczkach pędy fasoli. Czerwone jak krwawy sztylet, długie, ostre strąki papryki. Dynie dorodne niczym wschodzący księżyc w pełni lub ciasno upchnięte paciorki nasion w kolbach kukurydzy. Lecz zaraz potem wzrok mu się mglił, a uprawy rozlewały w plamę malachitowych i nefrytowych rozbłysków.

Były momenty, w których wydawało mu się, że na polach pracują ludzie. Prawie nadzy, brązowoskórzy mężczyźni odziani jedynie w przepaski biodrowe i smagłe kobiety w białych, szerokich koszulach, owinięte w grube warstwy pstrokatych spódnic. Wszyscy mieli lekko wydłużone czaszki, grzywy wymyślnie splecionych, czarnych jak smutek włosów i charakterystyczne, wydatne nosy łączące się w jednej linii z wysokimi czołami.

Ci dziwni ludzie na widok orszaku wojowników porzucali prace gospodarskie i dołączali do pochodu, śmiejąc się, wiwatując i śpiewając radośnie, więc nie mogli być niczym więcej niż kolejnym omamem, bezsensownym snem wywołanym narkotykiem dodanym do wody.

Wojownicy niosący Abaddona także radowali się i pokrzykiwali triumfalnie. W pewnym momencie, gdy poletka zaczęły ustępować zwartej, jakby miejskiej zabudowie, zaintonowali nawet pełną dostojeństwa i chwały pieśń pochwalną. Może hymn do jakiegoś boga?

Oszołomiony Daimon zrozumiał wreszcie, skąd wzięło się wrażenie bujania i kołysania, które nieustannie odczuwał. Otóż porywacze tańczyli, niosąc go na ramionach. Wykonywali figury i stawiali wymyślne kroki w rytm obcej, niepojętej muzyki.

Gdy tłum rozradowanych wieśniaków wtoczył się do miasta i zaczął rozlewać pośród wąskich uliczek, pojawili się też grajkowie. Zaterkotały grzechotki, bębni, dzwonki, ostro i jazgotliwie odezwały się piszczałki i gwizdawki.

Tubylcy podjęli pieśń wojowników, która grzmiała teraz zewsząd, huczna i zwycięska.

Chyba znał ten język. Kiedyś, w zamierzchłych czasach. Teraz łowił jakieś strzępki fraz, poszczególne słowa. Brzmiały niepokojąco.

„Krew” wdzierała się w mętne, przyblakłe myśli anioła agresywnym, gniewnym szkarłatem.

„Serca” wyrwane dopiero co z piersi pulsowały jeszcze w zaciśniętych dłoniach.

„Odcięte głowy” wychylały się z grządek jak brzydkie, makabryczne kapusty.

„Ziemia” piła chciwie gorącą, czerwoną posokę.

„Odrodzenie” następowało przez obdarcie ze skóry lub wypatroszenie setek nieszczęsnych ofiar.

Nie, to nie wyglądało dobrze. I tak samo źle rokowało.

Tłum szalał z radości, a Frey z początku bardzo niemrawo, z trudem uświadamiał sobie, że to chyba on jest przyczyną tej ogólnej fiesty.

A ten fakt zupełnie nie przypadł mu do gustu.

Powoli do jego otumanionego umysłu zaczęło docierać, że powinien się opierać, walczyć, podjąć próbę ucieczki, lecz bezwładne, ciężkie ciało zupełnie nie chciało

usłuchać. Nadal pozostawał tylko kukłą wypchaną kośćmi i flakami. Świadomość szybowała wysoko nad tą mięsną powłoką, nie mając najmniejszego zamiaru wracać z powrotem do mózgu. Mógł tylko patrzeć na otwierające się przed nim miasto.

No cóż, było co podziwiać.

Ulice stały się naraz szerokie, widne i proste. Spiętrzone przy nich budynki miały solidne mury i wysokie ściany. To już nie były chatki czy proste domki, ale ogromne rezydencje, reprezentacyjne domostwa lub rozbudowane, rozległe pałace. Wielkie kompleksy otynkowanych, zdobionych reliefami i malunkami budowli. Zza murów wychylały się ozdobne rośliny, zerkwały ciekawie różnokolorowe kwiaty, tak egzotyczne i niezwykle, że przypominały bajeczne ptaki uwięzione na zawsze na gałęziach krzewów. Ponad głowami roślin wiroskrętnie eksplodowały chmury barwnych motyli, jakby olbrzym rozrzucał świąteczne konfetti. Śmigwały zewsząd roje kolibrów, klejnotów naszywanych na błękit nieba. Zdawało się, że powietrze drży niczym materiał sukni, całe haftowane niezliczoną chmarą ożywionych cekinów.

W pewnym momencie wciąż otumanionemu Daimonowi wydawało się, że twarda, wydeptana nawierzchnia ulic została zalana płynnym srebrem, które iskrzyło się i migotało w słońcu.

Ale nie, zrozumiał wreszcie.

To była woda. Miasto wspierało się na jeziorze, pocięte siecią kanałów, pospinane w całość szwami kładek i mostów. Znaczna część centrum została wybudowana wprost w rozległym, łagodnym przestworze srebra i kobaltu.

Nawet świątynie, te ogromne schodkowe piramidy przywodzące na myśl góry, które zgodziły się opuścić swoje naturalne siedliska i przybyć do Tamoanchanu, żeby świadczyć o potędze i bogactwie osady, spoczywały na poduchach z miękkich, błękitnych fal. Wyglądały jak sam majestat.

Po kamiennych elewacjach wspinały się ogromne węże wykute rękami zręcznych rzemieślników, rozwierały się srogie paszcze jaguarów, śmigwały jaszczurki, wędrowały pochody bóstw i demonów. Strome schody prowadziły w górę, wprost do widniejących na szczytach sanktuariów.

Lecz coś psuło ten wspaniały obraz chwały i potęgi miasta. Coś niepokojącego, paskudnego, co wydzielalo mdlącą, słodkawą woń rozkładu i zgnilizny.

Trupy. Wszechobecne trupy w różnych stadiach rozkładu. Leżały u stóp schodkowych świątyń w beładnych stertach, śmierdząc ponuro. Zwiślały ze stopni niczym porzucone bez żalu zepsute lalki. Walały się pod ścianami, podobne do makabrycznych manekinów. Wszystkie miały ciała rozprute pod mostkiem i żebrami, ziejące czernią pustych klatek piersiowych. Przypominały brzydkie, stare, zbrązowiałe portmonetki rozwarte szeroko, niepotrzebne nikomu, skazane na śmietnisko. Obok w stertach piętrzyły się obcięte głowy, łypiąc ponuro na Abaddona. Ich martwe, brudne, skłębione włosy przywodziły na myśl opuszczone ptasie gniazda. Ale chyba najgorzej prezentowały się kadawry odarte ze skóry, surowe, gnijące, straszne w swoim mięsnym, niemal rzeźniczym obnażeniu. Ich zewnętrzne powłoki leżały obok, gnijąc i śmierdząc, obrzydliwe jak wylinki węży.

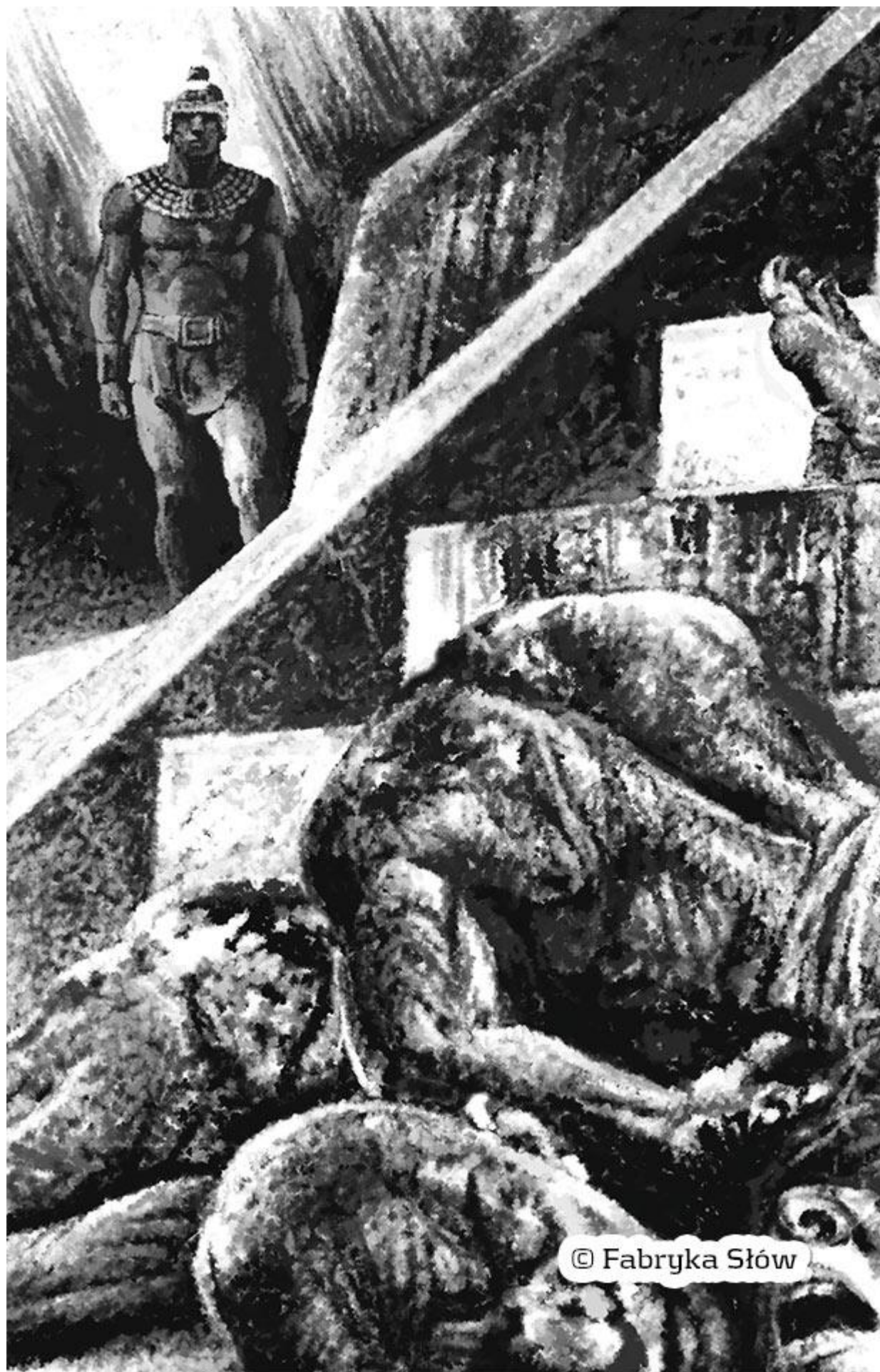
Niektóre ze zwłok zdawały się zachowywać nikłe pozory życia, próbowały się

poruszać, pełznąć dokądś bez celu, choć większość tylko wodziła beznamiętnym, zamglonym wzrokiem po ulicach i murach miasta. Po bruku i po stopniach sanktuariów brunatnymi smugami spływała gęsta jak smar, cuchnąca posoka umarłych.

Wrażenie było tak makabryczne, że półprzytomny Frey brał te koszmarne obrazy za jakieś zwidy, rojenia wywołane wypitym narkotykiem, tak ostro kontrastowały z wyniosłą, monumentalną architekturą miasta na jeziorze.

Tymczasem orszak niosący Anioła Zagłady zatrzymał się przed największą z piramid. Wiwatujący mieszkańcy ucichli nagle, pochylili z szacunkiem głowy.

Frey wytężył wciąż nieco przymglony wzrok.



© Fabryka Słów

Tak, teraz już widział. Po stopniach schodów zstępowały przebogato odziane postaci. Ten, który postępował na przedzie, wysoki, smukły i dumny, z pewnością nie należał do realnego świata, bo jego ciało prześwitywało jak przydymiona szyba. Zamiast lewej stopy miał wypolerowany kawał szarego kamienia.

Za nim kroczyło kilka innych istot, lecz wyraz twarzy i postawa przejrzystego bóstwa dobitnie ukazywały, kto jest wśród nich najważniejszy.

Oto największy pies w stadzie, pomyślał Daimon. Pan Kamienna Noga z pewnością robi tutaj za szefa. Zaraz, zaraz, czy ktoś mi aby o nim nie opowiadał? Kiedyś, w zamierzchłych czasach, gdy dżungla była tylko zielonym korytarzem obejmującym ramionami rzekę, a łagodne kołysanie łodzi wydawało się takie kojące?

Nie pamiętał. Nie potrafił się skupić. Cholernie bolała go głowa. W dodatku czy to od monotonnego podrygiwania na ramionach wojowników, czy od przyjętej trucizny zaczęły go męczyć koszarne mdłości. Żołądek się kurczył, do ust napływała gorzka ślina, a pod czaszką coś kolebało się w górę i w dół jak zepsuta winda.

Przezroczysty podszedł blisko, zaczął węszyć niby głodny kundel wyczuwający kiełbasę, a potem jego przystojne, przejrzyste oblicze wykrzywił wyraz prawdziwej ekstazy. Uniósł ręce w górę i krzyknął wielkim głosem:

– Krew przybyła! Krew nas ocali! Radujcie się!

Thum natychmiast wybuchł wiwatami na kształt eksplodującej racy.

Tezcatlipoca Czarny spojrział wprost w oczy Daimona i uśmiechnął się wrednie. Abaddon wyraźnie widział jego widmowe źrenice upiora, czarne jak chmury na horyzoncie. Buzował w nich i przelewał się mrok.

– Witaj, krwi. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się cieszymy na twój widok! – wyszeptał złowrogo Dymiące Zwierciadło.

Anioł Zagłady nie mógł odpowiedzieć, choćby bardzo chciał. Usta go nie słuchały. Wciąż pozostawał kukłą, bezwolną, niezdolną do ruchu czy najprostszej obrony.

Ale umysł już powoli obejmował swoją kwaterę w głowie Tańczącego na Zgliszczach, więc Frey mógł przynajmniej myśleć.

Nie lubię cię, butny, arogancki dupku, stwierdził od razu. Wyglądasz mi na niezłego krwawego gnojka. Jeszcze zobaczymy, kto kogo przemoże.

Na razie, niestety, nie wyglądało to dobrze.

Bóg ciemności uniósł dłoń, a wojownicy od razu skupili na nim uwagę.

– Zabrać jeńca do Domu Srebra i nieustannie pilnować – rozkazał.

Bez słowa spełnili polecenie. Daimon kołysał się między nimi niczym wielka, osobliwa zabawka.

Lecz wcale nie było mu do śmiechu, bo rozradowany pochód, który towarzyszył porywaczom, jakoś nieprzyjemnie przypominał mu teraz kondukt pogrzebowy.



Sala Nocy w pałacu boga czarnej magii przywodziła na myśl sklepienie niebieskie poznaczone rozpryskami gwiazd. Pośrodku ogromnej sufitowej mozaiki świeciła blado

okrągła twarz Coyolxauhqui z wytatuowanymi na policzkach rzędami złotych dzwonek. Po prawej od wejścia, w miejscu symbolizującym północną stronę świata, Xolotl włókł właśnie do swojej kryjówki porwanego z nieboskłonu boga słońca Huitzilopochtlego. Po lewej w królewskiej pozie spoczywał sam Tezcatlipoca jako stwórca i władca świata patrzący na Ziemię widoczną poniżej przez magiczne berło, dzięki któremu mógł naraz obserwować całe swoje królestwo.

Berło to nosiło nazwę *tlachialoni* i było dyskiem ze złota, osadzonym na ozdobnym trzonku. Pośrodku złocistej tarczy widniał okrągły otwór pozwalający Dymiącemu Zwierciadłu na ogląd rzeczy nadprzyrodzonych.

Teraz jednak, rozgniewany niczym nadepnięty wąż, machał tym berłem jak pałą, atakując sprząty w pokoju.

– Że co?! – wrzasnął wściekle. – Jak to nie możesz go zaraz zabić?! Czyś ty kompletnie oszalał?!

– Rytuał musi się odbyć zgodnie z regułami – upierał się bóg ofiar. – Inaczej nie zadziała. A nie wolno nam przepuścić takiej okazji. Podobna może się nigdy nie trafić.

Tezcatlipoca fuknął przez nos jak rozdrażniony jaguar.

– Rok?! – ryknął, aż zatrzęsły się ściany. – Mam czekać rok?! Żarty sobie stroisz, tak?!

Chalmecatecuhtli tylko wzruszył w odpowiedzi ramionami.

– Jeżeli nie dopełnimy ceremoniału, krew się zmarnuje. A ty nie odzyskasz nawet części dawnych sił.

Oczy boga ciemności zwięziły się niebezpiecznie. Tezcatlipoca wyglądał teraz jak skończony furia i tak się zachowywał.

– Wiesz co? – syknął. – Chyba cię uduszę. Tak, podoba mi się ten pomysł. Uduszę, a potem wydrę serce i pożrę. Co ty na to, he?

– W ten sposób nic nie zyskasz – westchnął kapłan. – Pamiętaj, panie. Mamy już tę krew. I nie stać nas na żadne błędy. Nie pozwól, żeby jej zapach cię otumaniał. Ceremonię trzeba odprawić zgodnie ze wszystkimi rytuałami.

Jaguar Nocy rozłożył ze złością ramiona.

– No pięknie! A jak to sobie niby wyobrażasz? Widziałeś go, prawda? Nawet moi najdzielniejsi ludzie nie dadzą rady upilnować takiej krwi! Rozerwie ich na strzępy, a potem ucieknie. Jest bardzo silny. Być może nawet silniejszy niż najwyżsi z naszych bogów. Jak mamy go utrzymać w niewoli przez rok? Pytam, jakim sposobem, skoro straciłem prawie całą swoją moc? Poproszę go grzecznie, żeby się położył na ofiarnym kamieniu i dał rozplatać jak indyk tylko dlatego, że też ma skrzydła?! Nie, trzeba go zabić od razu, zanim w pełni dojdzie do siebie.

– Hmm, to faktycznie kłopot – zasępił się Chalmecatecuhtli. – Może będziemy mu codziennie podawać ayahuascę?

– Genialny koncept, przyjacielu! Naprawdę genialny! – wyszczerzył się sarkastycznie bóg czarnej magii.

Jego dwa rzędy wtedy przezroczyстых zębów niemal sięgały uszu. Wyglądał teraz jak roześmiana, kompletnie obłąkana czaszka.

– Moje gratulacje. Tylko się zachwycać twoją głupotą! Sam sobie codziennie strzel

ayahuascę. Zobaczymy, co zostanie z twojego durnego mózgu! Chociaż nie sądzę, żebyś w ogóle miał coś we łbie. Wysuszony, obumarły skwarek wielkości paznokcia, ot co! Przecież wielcy szamani z wyższego wymiaru są po jego stronie, idioto! Jeśli pošlemy naszą kartę przetargową, nasz szczęśliwy traf prosto do nich na odpowiednio długi czas, wymyślą coś, żeby odesłać go do Królestwa, i tyle zobaczymy jego cholerną krew! Poza tym on nie zamierza współpracować. Widziałeś go?! Sądzisz, że ktoś taki zgodzi się przez rok przebierać za boga, uczyć tańców i etykiety dworskiej, prowadzić niezliczone procesje i grać na flecie?! Na flecie, Chalmecatecuhtli! Nawet nie chcę sobie wyobrazić, gdzie by nam powsadzał te flety, gdyby tylko mógł! Myśl czasem, zanim się odezwiesz, dobra? To nam obu oszczędzi mnóstwa problemów.

– Nie wiem, jak go utrzymać w niewoli – naburmuszył się bóg ofiar. – Ale jednego jestem pewien. Pośpiechem tylko sknocimy rytuał i nic nie uzyskamy. Musisz się zdobyć na cierpliwość, panie...

Nahui Ocelotl tupnął ze złości protezą, aż posypały się iskry.

– Nie! Nie zgadzam się! Trzeba wymyślić sprytny sposób, żeby odprawić ceremonię jak najszybciej! Najlepiej zaraz!

Krążył nerwowo po komnacie, tłukąc złotym dyskiem w ściany.

Najwyższy kapłan poważnie się obawiał, że jego przełożony ze stresu może postradać zmysły.

– Chyba żebyśmy spytali bogów kalendarza – zaczął ostrożnie. – Jeśli poprosimy o pomoc, istnieje szansa, że wpadną na jakiś pomysł.

Tezcatlipoca przyskoczył ku bogu ofiar, z całej siły zacisnął mu dłonie na ramionach, aż tamten zaskomlał niczym przyduszona świnka morska.

Twarz bóstwa ciemności płonęła teraz jak w czasach, kiedy pracował jako słońce. Ale był to mroczny, przerażający blask szaleństwa. Policzek naznaczony czarnym pasem farby drgał bezwiednie w nerwowym tiku i wydawało się, że po obliczu boga pełźnie wąż.

Jadowity wąż, warto dodać.

– Tak! Tak zrobimy! Masz rację! Dawaj tu natychmiast Cipactonal i Oxomoco! Leć po nich, ale biegiem! Aha, i przekaż, że urwę im banie przy samej dupie, jeśli nic nie poradzą, więc lepiej, żeby się starali!

Chalmecatecuhtli westchnął po raz kolejny tego trudnego, choć doniosłego dnia i popędził wykonywać rozkaz swego pana.

Szczerze mówiąc, bóg ofiar wolał, kiedy Dymiące Zwierciadło wściekał się i ciskał jak za dawnych czasów, gdy był wszechwładny i wszechpotężny, niż popadał w te swoje depresyjne stany, rozmyślał o przemijaniu i cytował pełne smutku wiersze. Lepiej, że nabrał wreszcie energii, a przede wszystkim nadziei. W końcu powrócił właśnie taki Tezcatlipoca, jakiego wszyscy w Tamoanchanie znali i kochali.



– To jest broń krwi – powiedział Chalmecatecuhtli dzierżący Gwiazdę Zagłady. – Nie znam się na tym, ale wydaje mi się pełna potężnej, mrocznej magii. Dlatego przyniosłem ją do ciebie, panie.

– Dobrze zrobiłeś – powiedział Nahui Ocelotl. – Podaj mi ją.

Bóg ofiar wykonał polecenie, lecz ledwo miecz Abaddona dotknął widmowej dłoni boga zemsty i złego losu, Dymiące Zwierciadło syknął z bólu, rozwierając gwałtownie palce. Gwiazda upadła na podłogę, a w tym samym momencie Pierwsze Słońce poczuł szaloną, gwałtowną falę potęgi, ekstazy i cierpienia. W jego umyśle rozległy się jęki, zawodzenia, krzyki i złorzeczenia setek tysięcy istot zgładzonych przez Anioła Zagłady. Słyszał je, bo podobnie jak Frey od wieków pozostawał martwy.

Kiedy znów mógł istnieć i oddychać, zamrugał powiekami i oblizał wargi, jakby spodziewał się, że poczuje na nich ten sam zniewalający, miodowo mdły, cudowny smak śmierci, który zalał jego mózg i serce, gdy tylko dotknął miecza.

– Panie? W porządku, panie? Dobrze się czujesz? – dopytywał się zaniepokojony kapłan.

– Wspaniale – szepnął Tezcatlipoca rozmarzonym głosem. – Na bóstwo Dwoistości, naprawdę wspaniale!

Już wyobrażał sobie, jak niesłychanie potężny by się stał, gdyby opanował oręż przybysza z Królestwa. Ile miałby siły. Jaką niezmierną mocą by dysponował. Widział siebie samego z Gwiazdą w dłoniach, władającego nie tylko Tamoanchanem, lecz dzięki śmierci i magii panującego także nad pozostałymi krainami, Tlalocanem, Cincalco, Omeyocanem, a kto wie, może i samym Mictlanem, królestwem umarłych.

Och, jak bardzo podobała mu się ta świetlana wizja! Jaguar Nocy wreszcie zająłby należne mu miejsce i zapanował nad całym ludem Mexico!

Tymczasem Chalmeatecuhtli wpatrywał się w broń Daimona leżącą na podłodze, jakby patrzył na zabójczego gada.

– To zła rzecz, panie – oznajmił. – Chyba powinniśmy wrzucić ją do Ofiarnej Studni, żeby przepadła na wieki. Chociaż nie, jeszcze by nam skaziła wodę. Lepiej dać ją bogini wulkanów, Chantico. Niech ją pochłonie i na zawsze unicestwi.

– Oszalałeś?! – rozszłościł się Dymiące Zwierciadło. – Mowy nie ma! To potężny magiczny przedmiot. Wspaniała zdobycz wojenna! Należy do mnie i tylko do mnie. Zobaczysz, niedługo nauczę się nią posługiwać i stanę się niepokonany!

– Już jesteś niepokonany, mój panie – nieśmiało wtrącił kapłan.

Tezcatlipoca zwrócił na niego oczy płonące ciemną, głęboką żądzą.

– Więc będę niepokonany jeszcze bardziej. Niech nikt nie śmie tknąć tego oręża. Wkrótce zmuszę krew, żeby nauczyła mnie nim walczyć. Odzyskam pełnię mocy, a wówczas żadne ze słońc, księżyców, ciał niebieskich, demonów, czarowników, bogów ani diabłów nie zdoła oprzeć się mojej potędze! A jeśli ośmielisz się przeciwstawić rozkazom i zapragniesz zniszczyć ten niezwykle dar od losu, osobiście obedrę cię ze skóry, wyrwę serce, wypatroszę, odrąbię głowę i w takim stanie wyślę do Mictlanu, żebyś tam gnił pośród innych truposzy! Rozumiesz?

– Tak, panie. Będę posłuszny, panie – obiecał kapłan, choć ogarnęły go niedobre przeczucia.

Nahui Ocelotl zdecydowanie dawał się ogarnąć szaleństwu wszechwładzy i nieskończonej potęgi, co mogło go drogo kosztować. I cały Tamoanchan razem z nim.



Co to za cholerne miejsce? – myślał rozpaczliwie Daimon.

Nadzieja gasła w nim powoli, lecz konsekwentnie, jakby był pękniętą lampą oliwną, z której sączy się paliwo.

Po raz dziesiąty starannie obejrzał i obmacał ściany swojego więzienia, lecz nie był nawet w stanie odnaleźć miejsca, gdzie powinny znajdować się drzwi. Komnata, w której został zamknięty, choć obszerna, przygotowała go o klaustrofobię.

Bo przez cały czas miał przemożne wrażenie, że znajduje się w grocie głęboko na dnie odwiecznego oceanu, a nie w pomieszczeniu wzniesionym ludzkimi rękami.

Przede wszystkim we wnętrzu rozlewało się łagodne, blade jak mgła światło, jakby przyprószone siwizną, choć nie dało się dostrzec żadnego źródła, z którego mogłoby pochodzić.

A poza tym każdy skrawek muru, sufit i podłoga lśniły migotliwym blaskiem wypolerowanego srebra. Drgały i falowały niczym woda. Chyba obito je blachą ze szlachetnego kruszcu, lecz mimo długich oględzin Frey nie potrafił wyczuć spojeń poszczególnych arkuszy metalu. Srebrzysta okładzina stanowiła jednolitą powierzchnię pełną refleksów i rozbłysków, zupełnie jak morska tafla. Tam, gdzie nie położono srebra, królowała macica perłowa. Połyskliwa, lustrzana i rozedrgana tak samo jak blacha, którą wyłożono salę. Mieniła się turkusem, szmaragdową zielenią, szlachetną srogością platyny przełamana liliowymi i różowawymi tonami ametystu. Jarzyła się jak na wpół zgasłe, zatopione słońce.

No i wszędzie dokoła były muszle. Całe masy muszli o różnych kolorach i kształtach. Istne rafy i piargi zbudowane z muszli. Długich, stożkowych jak rogi jednorożców, o ostrych czubkach lśniących rubinową czerwienią, jakby ktoś zanurzył je we krwi lub truciznie. Płaskich, rozłożystych niczym wachlarze mieniące się wieloma odcieniami różu, fioletu i purpury. Spiralnych i okrągłych, o koronkowych brzegach i złocistych wolutach. Kruchych, białych, wydzierganych w ażurowe rozety i alabastrową pianę mantylek. Drobnych, w kształcie serca, otwartych niczym dawno zapomniane medaliony. Ogromnych, konchowatych, przypominających wymarłe wieki temu stworzenia pochodzące z czasów przed początkiem świata. Malinowych jak jutrzienka. Żółtych. Czarnych. Wielokolorowych.

Owszem, były piękne, lecz rozprzestrzeniały się po ścianach, suficie i podłodze nieregularnymi plamami kolorów i blasku, sprawiając, że pomieszczenie wydawało się rozmywać i rozplywać, odrealnione, pozbawione konturów i wszelkiej stabilności z natury należnej budowlom.

Daimon, zamknięty w tym bezwodnym oceanie, zupełnie stracił poczucie kierunków. Miał wrażenie, że komnata robi się okrągła, puchnie jak ryba najeżka i zaraz zacznie się toczyć, przygotowując go o zawroty głowy i kolejną falę mdłości.

Żołądek męczył go nieustannie. Nie wiedział, czy porywacze to przewidzieli, lecz w swoim srebrzystym więzieniu znalazł ogromną, pustą skorupę żółwia, do której z ulgą zwymiotował. Poza tym nieco osobliwym naczyniem w pomieszczeniu nie było żadnych

sprzętów.

Ból głowy trochę przycichł, ale przy gwałtowniejszych ruchach odzywał się rozzwierającym protestem, więc Daimon, kiedy już zaprzestał bezskutecznych poszukiwań drzwi, niewidzialnych okien lub jakichkolwiek otworów w bezkresie morskiej komnaty, z poczuciem zupełnej beznadziei w sercu osunął się po prostu wzdłuż wykładanej magicznym metalem ściany i zamarł w kucki jak peruwiańska mumia.

Rozbitek w czasie i przestrzeni.

Nieszczęsny topielec w kipieli muszli i srebra.

Ołowiany żołnierz na dnie opuszczonego akwarium.

Zamarł w oczekiwaniu na okazję, bo nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby zrobić.

Na szczęście nie przyszło mu czekać długo.



Małżonkowie Cipactonal i Oxomoco byli parą starszych, statecznych bogów. Ubierali się godnie, stosownie do wieku, i w ogóle sprawiali wrażenie tak przewidywalnych, nieciekawych i niezmiennych jak sam kalendarz, któremu patronowali.

Dymiące Zwierciadło nie przepadał za nimi, bo śmiertelnie się nudził w ich towarzystwie. Życie tych dwojga toczyło się na kształt kamiennego koła naznaczonego solarnymi i lunarnymi symbolami. Boleśnie powoli. Dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, rok za rokiem. Monotonnie, identycznie, nużąco. Czas ciekł im przez palce jak gęsty muł z dna jeziora. Nigdy, naprawdę nigdy nie zrobili nic, co mogłoby zaskoczyć lub zdziwić Tezcatlipocę.

A on nie miał cierpliwości słuchać ich powolnie wypowiedzianych, nudnych, niezrozumiałych słów na temat układu ciał niebieskich oraz ich związku z rachubą czasu. Nie, to go kompletnie nie obchodziło. Potrzebował konkretnej, krótkiej porady, wskazówki, w jaki sposób oszukać kalendarz i przyspieszyć rytuał.

Łaknął krwi.

Pożądał niczym ćpun narkotyku.

Musiał ją mieć natychmiast, bo szalał z nadziei na odrodzenie i odzyskanie straconych mocy.

Teraz, niesiony wysoką falą ekscytacji i oczekiwania, nie zamierzał wysłuchiwać żadnych długich i skomplikowanych tyrad na temat zawłości astronomii. Tymczasem Oxomoco plótl coś nużąco pod nosem, monotonnie i bez intonacji:

– Jeśli mamy rok 1 Trzcina, a potem następuje 5 Królik, to możemy się spodziewać, że Gwiazda Zaranna w godzinie przedświtku wkroczy do dziedziny wyznaczającej początek ceremonii...

Nabuzowany jak przegrzany piec bóg czarnej magii poczuł, że nie wytrzyma już ani jednego podobnego zdania padającego z ust bóstwa kalendarza niczym lepka, czarna pecyna błota.

– Dość! – wrzasnął, wymierzywszy w Oxomoco złote berło, jakby to była broń. – Da się to zrobić czy nie, na wszystkie najmroczniejsze zaklęcia świata?!

Znawca kalendarza zamrugał tylko przestraszony i zamamlał wargami.

– Ale co? – spytał bezradnie.

Wąż na twarzy Tezcatlipoki skręcił się i zadrgał, jakby szykował się do ataku, gdy oblicze Dymiącego Zwierciadła wykrzywił przerażający grymas wściekłości.

– Ty żałosny tępaku! – ryknął, lecz Cipactonal, nieco bystrzejsza od męża, natychmiast krzyknęła na cały głos:

– Da się, Jaguarze Nocy! Przysięgam! Najpóźniej jutro, a może jeszcze dziś wieczorem przyniesiemy ci na piśmie rozwiązanie problemu!

Nahui Ocelotl przez chwilę sapał ciężko przez nos, patrząc na boginię dzikim, żarłocznym wzrokiem, jakby naprawdę przemienił się w drapieżnego kota i właśnie szykował się ją rozszarpać, lecz po chwili zdołał pohamować swoje szaleństwo.

– Dziś wieczorem – rozkazał chrapliwym z emocji głosem i bez pożegnania opuścił komnatę.

Odchodząc, przeszorował kantem złotego dysku po ścianie, aż powstała długa, brzydka szrama na tynku.

Przypominała ślad pazura jaguara.

Albo piętno widomego obłędu.



Daimon, połknięty przez srebrzyste morze, popadł w takie odrętwienie, że w pierwszej chwili nie zauważył jaskrawego, białego wyłomu w spiętrzonych muszli. Dopiero kiedy rozległo się charakterystyczne skrzypnięcie, a do komnaty wlało się jasne światło z korytarza, zrozumiał, co się zdarzyło.

Drzwi! Ktoś właśnie otwierał drzwi!

Momentalnie zerwał się na nogi i rzucił w kierunku, z którego pochodziła nagła jasność, gotów uciekać na oślep, jak dzikie zwierzę, byle dalej od rozedrganego srebra i tęczy oczu macicy perłowej.

Nie zdążył jednak.

Otwór zasklepił się bez śladu, ryba najeżka wciąż więziła go w wielobarwnym brzuchu, lecz tym razem nie był w komnacie sam. Przy jednej ze ścian stały trzy młode bóstwa, uśmiechając się nieśmiało. Ładna, bogato wystrojona dziewczyna oraz dwóch młodzieńców w płaszczach i przepaskach biodrowych.

Wszyscy trzymali w dłoniach naczynia z potrawami i napojami.

– Witaj, szanowna i wyczekiwana krwi – odezwała się bogini z szacunkiem w języku nahuatl. – Raczej przyjąć skromny, lecz pożywny posiłek, żebyś przed czasem nie opadła z sił.

Lecz Frey nie miał zamiaru jeść. Za to bardzo pragnął poczęstować gospodarzy czymś specjalnym.

Zeżryjcie to! – pomyślał z furją, spinając mięśnie do wysiłku.

– Nie jestem głodny! – warknął i błyskawicznie zaatakował przybyszów.

Kiedy tylko sobie przypomniał, jak parszywie został potraktowany, porwany i osadzony w więzieniu pełnym sztucznej wody, porwał go szalony, niebezpieczny gniew.

Te dzikusy ośmieliły się zniewolić, a potem zapewne zabić Anioła Zagłady. Dzierżącego Klucz do Czeluści! Rycerza Światłości! Naczynie woli Pańskiej! W głowie mu się nie mieściło takie bestialstwo i odszczepieństwo.

Ale on im już pokaże, jak się tańczy na zgliszczach. Zaraz puszcza się w płasy, płacząc krwawymi łzami, skoro tak uwielbiają przelewać cudzą posokę.

Pokaże im, co to znaczy zadzierać z chwałą i potęgą Królestwa!

Nie zastanawiał się nad niczym. Działał. Walczył. I zamierzał wydrzeć się na wolność, nawet gdyby przyszło mu kruszyć perłowe mury piszczelami wrogów.

Już w biegu szarpnął i oderwał ze ściany długą, spiczastą muszlę o ostrym, czerwonym czubku. Zacisnął mocno dłoń na prowizorycznej broni, nie bacząc, że kaleczy palce o połamane krawędzie. Jednym skokiem znalazł się przy oszołomionej dziewczynie. Mignęły mu tylko jej czarne, sarnie oczy rozszerzone z szoku i przestachu. Bez namysłu wyszarpnął jej z rąk ceramiczny garnek i chlusnął zawartością w twarze obu młodzieńców, którzy zamarli w bezruchu, zaskoczeni i przerażeni.

Widocznie nie spodziewali się takiej reakcji więźnia na ich gościnność.

I dobrze. Dzięki temu Anioł Zagłady zdołał przycisnąć boginię do ściany i przytknąć zabójczy czubek muszli do jej smukłej, brązowej szyi. Zdeterminowany do granic ostateczności, dotykał prowizorycznym sztyletem miejsca, gdzie pulsowała przyspieszonym tętnem widoczna pod skórą żyła.

Róg jednorożca ma moc ukazywania ukrytej prawdy, pomyślał cierpko. Ciekawe, czy ten zadziała?

– Drzwi – rozkazał ochryple w nahuatl. – Otwórzcie te przeklęte drzwi!

Mówił z paskudnym, twardym akcentem, ale zrozumiale. Język, który poznał dzięki zaklęciom Razjela całe wieki temu, otwierał się przed nim niechętnie jak stary, spleśniały słownik o wypaczonej oprawie i pożółkłych, zniszczonych kartach. Czuł, że stronicie zapisane niegdyś w jego pamięci są podarte i niekompletne, ale i tak cieszył się, że z rozkazu Jasności każdy anioł z wysokiego chóru musiał znać przyzwoicie ponad siedemdziesiąt dawnych i współczesnych ziemskich języków, żeby bez trudu zanieść słowa Pana każdemu mieszkańcowi Błękitnej Planety.

Aż do obecnej chwili nie przywiązywał do tego wagi, ale musiał przyznać, że na tej pieprzonej wyprawie umiejętność porozumienia się z tubylcami okazała się cholernie przydatna.

Odruchowo przydusił mocniej muszlę do szyi zakładniczki, która pisnęła wystraszona.

Lecz obaj młodzieńcy patrzyli tylko na palce anioła poznaczone plamami świeżego, ciepłego szkarłatu.

Patrzyli zafascynowani, jak śmiertelnie chorzy patrzą na strzykawkę pełną uzdrawiającego leku. Niższy nawet oblizwał bezwiednie usta, jakby przełykał życiodajny płyn. Żrenice mieli rozszerzone, wargi rozchyłały się, poruszając nieznacznie. Wydawało się, że modlą się lub piją niewidzialny napój. Zupełnie nie zważając na to, że po ich policzkach płyną wielkie, fioletowe łzy fasoli.

Co z nimi? – zastanowił się Daimon z niesmakiem. Nawet sobie gęby nie obetrą. Dziwni jacyś.

– Drzwi, powiedziałem! – powtórzył ostro.

Pod jego dłonią młoda bogini dyszała jak przestraszone zwierzątko schwyte przez myśliwego. Słyszał wyraźnie przyspieszone uderzenia grzechotki jej serca.

– Proszę! – jęknęła, co chyba wyrwało młodzieńców z transu, bo przytomniej spojrzeli na Abaddona.

Ujrawszy wąską twarz podobną do klingi topora, wykrzywioną w grymasie gniewu, i bezdenne, przeczarne źrenice, otoczone jarzącymi się otokami zieleni, ślepią drapieżcy stworzonego przed wiekami, aby rządzić, wymagać i zabijać, zrozumieli nagle, że patrzą na istotę, która mogłaby być bratem ich pana i stwórcy, Tezcatlipoki.

Tym starszym, o wiele potężniejszym i znacznie bardziej groźnym.

Prawdziwym potworem nocy.

Dlatego pochyłili głowy w ukłonach.

– Wedle rozkazu, panie – odezwał się wyższy i wyszeptanym bezgłośnie zaklęciem rozwarł wrota komnaty.

Frey natychmiast porzucił dziewczynę, która bezwładnie osunęła się wzdłuż srebrzystej tafli ściany, i wypadł na zewnątrz, by porzucić na zawsze łagodny, wykładany muszlami ocean swojego więzienia.

Wypadł i zatrzymał się w pół kroku.

Albowiem w jasno oświetlonym, przestronnym holu falowało i przelewało się inne morze. Wielobarwne, zielone, niebieskie, purpurowe i złote. Pierzaste ozdoby, lśniące turkusem, malachitem i nefrytem kolczyków, naszyjników, zapinek, klamer. Pofałdowane pstrokacizną kolorowej bawełny, czerwonymi i żółtymi haftami, kobaltem różnorodnych aplikacji.

Niezliczone morze wojowników Tezcatlipoki.

No cóż, zapewne mieszkańcy Tamoanchanu mieli nietypowy pogląd na godne przyjmowanie gości, ale na pewno nie byli głupi.

Na widok Daimona mała armia zgromadzona pod drzwiami natychmiast rzuciła się do ataku. Anioł Zagłady, sam, dezorientowany, uzbrojony jedynie w kawałek muszli, miał mniej więcej takie szanse w walce, jak koliber w obliczu stada orłów.

Więc Orły boga czarnej magii w jednej chwili zalały go falą wściekłości i dzikich kolorów. Bawełniane peleryny powiewały niczym skrzydła, pałki i obsydianowe noże uderzały jak szpony, z gardeł napastników wydobywały się ochryple, ptasie skrzeki. Oni także nie zamierzali ustąpić, a prowadził ich zew ukochanej, pożądanej krwi.

Daimon bronił się zaciekle. Obalał przeciwników kopniakami, łokciami miażdżył twarze jak terakotowe garnki, pięściami rozdawał ciosy mogące zerwać głowy z szyi, deptał powalonych, byle tylko wyrwać się ku upragnionej wolności.



© Fabryka Słów

Na próżno.

Równie dobrze mógłby pragnąć rękami zatrzymać nadciągające fale przyboju. Co z tego, że walczył jak dziki ocelot porażony wścieklizną? Z taką siłą ugodził najbliższego wojownika w policzek, że zęby wystrzeliły z mięsistych ust niczym prażone ziarna z kolby kukurydzy. Kolejnego posłał na podłogę potężnym ciosem w splot słoneczny, aż przeciwnik złożył się jak zepsuty sprężynowiec i padł, wijąc się, u stóp Abaddona. Daimon nie miał czasu nawet na niego spojrzeć, bo już musiał rozedrzeć ciemną, brązową skórę następnego wroga muszlą skręconą na kształt rogu jednoroźca. Ranił nią i kaleczył niemal tak dobrze jak prawdziwą bronią. Jednemu z wojowników rozharatał czoło, innemu wyjął oko jednym celnym, zabójczym sztychem. Przez ułamek sekundy, zanim strącił je zdecydowanym ruchem, lśniło niczym blada perła na końcu ozdobnej szpili. Ale niemal w tej samej chwili dzielny jednorożec już rozpruwał brzuch następnego wroga, wypuszczając na wierzch kłębowisko cuchnących węży ubabranych ciemną, martwą posoką.

Tak, Daimon walczył, jak przystało narzędziu zagłady, prawdziwemu Tańczącemu na Zgliszczach.

Jednak na miejscu poległych i rannych pojawiały się ciągle rzesze kolejnych, jakby stwarzał je sam pałac Dymiącego Zwierciadła.

A Abaddon zaczął odczuwać zmęczenie. Zmuszony do ciągłych starć i potyczek, nie zdołał dotąd porządnie wyleczyć odniesionych obrażeń. Żebra znów zaczęły mu dokuczać, ramiona mdlały, bolało przedramię przebite przez podstępного Jurupariego, a oddech przypominał rżenie starej maszyny parowej. Na domiar złego winda w brzuchu znów zaczęła nerwowo podrygiwać w górę i w dół, przynosząc nawrót męczących mdłości.

Kiedy stożkowy, obsydianowy nóż pomalowanego w czerwone pasy wojownika strojnego turkusem, nefrytem i złotem uderzył z rozmachem w odłamek muszli, jedyną broń Freya, Anioł Zagłady był już u kresu sił. Dlatego odruchowo spróbował schwycić odpryski bieli i szkarłatu sypiące się jak płatki osobliwej orchidei, głęboko rozcinając dłoń ostrym kawałkiem skręconego rogu.

Pożegnalny pocałunek jednoroźca obnażył jednak ukrytą prawdę.

Kiedy podwładni Tezcatlipoki poczuli świeżą krew, zawyli niczym stado demonów, ujawniając naturę godną cmentarnej strzygi czy zwykłego wampira.

Żelazisty, surowy zapach kompletnie ich otumanił. Nie bacząc na straty, rzucili się na bezbronnego rycerza Królestwa. Frey rozpaczliwie próbował się bronić, lecz znowu chwyciły go spazmy gwałtownych mdłości. Świszczące w powietrzu pałki wrogów powaliły wreszcie Abaddona na ziemię, a kilka dzikich, zaciekłych ciosów w głowę wysłało go kolejny raz w głęboką ciemność, gdzie nie ma złamanych i zwyciężonych, a gorycz porażki nie pali jak żrący kwas.



– Oblał nas potrawką z węża! – poskarżył się bóg dostawca pożywienia,

Tonacatecuhtli. – A przecież to przysmak.

– Pyszna była. Sama ugotowałam – dodała Chicomecoatl, bogini jedzenia. – Podle nas potraktowała ta twoja krew, panie.

– No – przytaknął ponuro patron kukurydzy, Xochipilli.

Z natury był bardzo wrażliwy, więc doznawszy takiego afrontu od przyszej ofiary, nadal nie potrafił dojść do siebie. Wyglądał, jakby zaraz miał się rozpłakać.

Tezcatlipoca tymczasem przechadzał się po komnacie, zaplótłszy ramiona na piersi.

– Pomyślmy – zaczął wolno. – Jedna krew zamknięta w Domu Srebra, skąd nikt do tej pory nie uciekł. Zbrojna w co, Chalmeatecuhtli, przypomnij mi, proszę?

Bóg ofiar milczał jednak przezornie, przekonany, że to pytanie retoryczne.

Nie mylił się.

Dymiące Zwierciadło tymczasem kontynuował spacer po pomieszczeniu, lecz wcale nie przypominał kogoś rozluźnionego i swobodnego. Przywodził raczej na myśl rozdrażnionego zwierza krążącego po klatce.

– A, no tak. W muszelkę pozostała po dawno zdechłym ślimaku. Imponujący oręż, trzeba przyznać. Ktoś mi powie, jakie mamy straty?

Tym razem najwyższy kapłan nie mógł się wykręcić od odpowiedzi.

– Dwudziestu trzech Orlów nie żyje. Ostatecznie. Nawet rytuał nie zdoła przywrócić im życia. Muszą natychmiast przejść pod władzę Mictlantecuhtlego i odejść do Mictlanu, gdzie ich dusze ulegną powolnemu unicestwieniu – przyznał z westchnieniem. – Kilkunastu jest poważnie poturbowanych. Bardzo poważnie.

Jaguar Nocy obrzucił go spojrzeniem ciężkim jak jego krzemienna proteza.

– Ostrzegałem cię, Chalmeatecuhtli. Krew trzeba przelać natychmiast, zanim nam tu wszystkich pozabija!

– Ja też cię ostrzegałem, panie – ośmielił się przeciwstawić bóg ofiar. – Popełnimy błąd w ceremoniale, zmarnujemy krew, a wtedy na pewno obrócimy się w końcu w proch i pył jak zmarli w Mictlanie i nasze własne ofiary, które zbyt mocno eksploatujemy. Zdajesz sobie sprawę, że powoli kończą nam się zmarli, prawda? Przeciętnego wojownika mogę złożyć w ofierze trzy, góra cztery razy. Potem słabnie, traci siły i dostaje się pod władzę Mictlantecuhtlego. W ten sposób straciliśmy już setki twoich lojalnych, oddanych ludzi, którzy nie wahali się ofiarować ci swoich serc, żebyś ty mógł przeżyć. Co zrobimy, kiedy wszystkich ostatecznie pochłonie kraina śmierci? Jej władca urośnie w siłę, a my przestaniemy istnieć. Nic nas nie ocali. Nic prócz świeżej krwi. Ofiarę trzeba przeprowadzić odpowiednio. Bóstwa kalendarza już pracują nad skróceniem cyklu. Zdobądź się na cierpliwość, błagam. Są uczeni i bardzo mądrzy. Znają się na czarnym i na czerwonym. Z pewnością cię nie zawiodą.

Umiejętność władania czerwienią i czernią oznaczała znajomość słowa pisanego. Zwrot ten pochodził od kolorów atramentów używanych do kreślenia znaków i stanowił też symboliczne określenie wiedzy, nauki oraz wielu talentów. Używano go jedynie w stosunku do wielkich mędrców.

A Nahui Ocelotl szczerze wątpił w mądrość kogoś, kto jest tak nudny i mdły jak placek kukurydziany bez sosu z ostrego chili.

Dlatego tylko przewrócił oczami.

– Zobaczymy – sarknął. – Na pewno lepiej dla nich, żeby wreszcie wymyślili coś pożytecznego.

Jego życzenie spełniło się po niedługiej chwili, kiedy do sali wszedł Tlacotzontli, opiekun dróg i boski posłaniec.

– Wiadomość od Cipactonal i Oxomoco, która winna uradować twoje serce, panie! Rytuał można odprawić w trzy dni poczynając od jutrzejszego świtu! Szczegóły mam tutaj, na piśmie.

– Oddaj je kapłanowi – polecił Tezcatlipoca, który nie za bardzo ucieszył się z nowiny.

Niby trzy doby to niezbyt długi czas, ale ta krew! Niepokoiła go i fascynowała. Wszyscy, którzy mieli okazję się z nią zetknąć, wyglądali na śmiertelnie przerażonych.

Czy więzień naprawdę jest taki potężny? – zastanawiał się Jaguar Nocy.

Kiedy zwisał pokonany z ramion jego dumnych wojowników, wydawał się, owszem, dość silny, ale wcale nie jakiś niezwykły.

Kim może być ten czarny drań ze skrzydłami? A przede wszystkim jaką moc przyniesie Dymiącemu Zwierciadłu jego bijące serce świeżo wydarte z piersi?

Nurtowały go te pytania.

Dlatego uznał, że najwyższa pora, żeby złożyć krwi wizytę i naocznie się przekonać o jej potędze.

– Chalmeatecuhtli zajmie się przygotowaniem do święta – rozkazał. – A ja tymczasem odwiedzę naszą przyszłą ofiarę i pouczę ją, jak powinna się zachowywać w obliczu bogów.

– Ależ, panie! – wtrącił wyraźnie wystraszony Tonacatecuhtli. – Czy to rozsądne? On jest straszny, przysięgam! W życiu nie spotkałem kogoś tak przerażającego!

Tezcatlipoca uciszył podwładnego jednym gestem, unosząc dłoń.

– Bać masz się mnie, synu. Rozumiesz? Za to ja nie lękam się nikogo. Zwłaszcza żalostnego stworzenia, które dało się pojmać i uwięzić, żebym mógł wypić jego krew. Dotarło do wszystkich?

– Tak, panie. – Zgromadzeni w komnacie pochylili się w kornych ukłonach.

– No! – rzucił ostrzegawczo Jaguar Nocy na odchodnym.

Poddani odprowadzali go wzrokiem pełnym szacunku i obawy.

Podobało mu się to. Lubił, kiedy pozostali znali swoje miejsce w świecie.

A każde z nich leżało o wiele, wiele niżej, niż to należne Pierwszemu Słońcu.



Daimon siedział w kucki pod znieawidzoną ścianą ze srebra, związany i spakowany jak toból. Więzy krępowały go niczym siatka masarska szynkę.

Zresztą w tej chwili nie czuł się niczym więcej, tylko kawałem mięsa przeznaczonym do rychłej konsumpcji.

No i pokazałeś im chwałę Królestwa, bracie, pomyślał z goryczą. Pokazałeś, aż im gały na wierzch wyszły, nie ma co. Tak się przejęli, że cię spałowali, skopali, obwiązali

sznurkami jak wędlinę i pozostawili, żebyś skruszał. Kruszej zatem grzecznie i wstydz się swojej własnej pychy, która cię wreszcie zgubiła. Wielki mi Anioł Zagłady. Bohater, który stawiał czoło Cieniowi. Rycerz Światłości. Dupa, nie rycerz, i tyle! Dałeś się obić pałkami bandzie pomalowanych w paski wojaków z krainy, w której nikt nie wymyślił koła ani obróbki żelaza. Ale żeś walczył. Do upadłego. Z byłym ślimakiem w dłoni. Co znaczyło to rozpaczliwe przedstawienie rodem z idiotycznej burleski? Do czego miało niby doprowadzić? Do ośmieszenia Jasności czy jak? Wiesz, jak to wyglądało? Głupio. Żałośnie i głupio. I nijak inaczej. Kretyn. Beznadziejny kretyn z ciebie! Coś ty sobie właściwie wyobrażał? Że wyfruniesz z miasta w glorii i rozbłyskach wielkości niczym feniks odrodzony z prochu i pyłu? A mieszkańcy padną przed tobą na kolana, wyśpiewując „Alleluja!”? Dureń jesteś. Skończony dureń, ot co! Teraz Pan Sztuczna Noga zaśmiewa się z twojego szczeniackiego wybryku, a niedługo zeżre na surowo twoje dumne, wyniosłe anielskie serce. Aleś się popisał rozważą i rozumem, naprawdę!

Kontynuowałyby te smętne rozmyślania, mnożąc zarzuty w nieskończoność, gdyby nie charakterystyczne skrzypnięcie i fala jasnego blasku wlewająca się nagle w półmrok srebrnego, martwego morza.

Nie, zdecydowanie nie chciał teraz nikogo widzieć na oczy. A już na pewno nie tego butnego, pewnego siebie drania z krzemienną protezą i szyderczym uśmiezkiem na twarzy przeciętej czarnym wężem malunku.

Jednak to akurat Tezcatlipoca Czarny we własnej przezroczystej postaci zjawił się w więzieniu Daimona.

Frey tylko bezwiednie zaklął. Od czasu pamiętnego starcia z Jaldabaotem nie czuł się tak rozpaczliwie, nieszczęśliwie bezradny. Połec mięsa rzucony w kąt.

– Witaj, przyjacielu z odległego, lecz jakże pamiętnego Królestwa – odezwał się Nahui Ocelotl, a jego głos brzmiał jak czysta, świeżutko wypolerowana nienawiść. – Tak, tak. Jesteś moim przyjacielem. Wybawcą. Uratujesz mnie i cały mój świat, więc jakże mógłbym żywić do ciebie inne uczucia niż wdzięczność i serdeczność? No już, dość udawania. Otwórzmy swoje serca i odkryjmy to, co ty wiesz, a ja rozumiem, synu przeklętej Światłości. Odpowiadasz za wszystkie nieszczęścia, które spadły na Tamoanchan. Nadchodzi jednak pora, żeby za to zapłacić.

– Za to ty odpowiadasz za napaść i porwanie wysokiego rangą podwładnego Królestwa! – syknął rozgniewany Frey. – Jak to zamierzasz wytłumaczyć?!

– Bardzo prosto. – Jaguar Nocy rozłożył ręce, uśmiechając się promiennie i jadowicie niczym wąż do myszy. – Sam wlałeś na mój teren, więc przestań teraz skomleć. Twoja cholerna Jasność ci teraz nie pomoże, bo nie złamie własnych zasad, no nie? Za sprawiedliwa jest na to. Zbyt bezstronna, prawda, skrzydlaty gnojku? Co do nas przyszło, do nas należy. A tak się składa, że potrzebuję twojej krwi i serca, żeby odzyskać własną postać i moc. Chyba zrozumiałe, nie? To dobra, szczerza i rozsądna motywacja, nie uważasz?

Daimon aż szarpnął się w więzach z oburzenia.

– Nie! Masz zamiar mnie zabić dla własnej korzyści. Zaprzeczysz?

Dymiące Zwierciadło wydał pogardliwie wargi.

– Skąd! Oczywiście, że mam właśnie taki zamiar. Żeby przeżyć. Kto jak kto, ale ty

powinieneś mnie zrozumieć. Jesteś wojownikiem. Nie wyprzesz się, widziałem twój miecz. Zresztą masz to w oczach. Mord. Śmierć. Zagładę. Doskonale to widzę. Z pewnością na twoim sumieniu ciąży mnóstwo ofiar, synu Światłości. Zabijasz, żeby samemu pozostać przy życiu. A potępiasz mnie, że robię to samo.

– Dobra, zabijam, ale w uczciwej walce! To zupełnie co innego!

Piękna, widmowa twarz boga czarnej magii pochyliła się nad Daimonem niczym lampion pełen ciemnego światła.

– Och, nie kłam, proszę. Nie cierpię kłamców. Powiedz, co byś zrobił, gdyby twój Pan rozkazał ci zniszczyć lub zabić kogoś zupełnie niewinnego? Dziecko? Starą kobietę? Obląkanego, który nie odpowiada za to, co robi? No, jak byś się wtedy zachował, co?

Abaddon poczuł nagle, że srebrna tafla podłogi zapada się pod nim i wciąga w lodowatą, śmiertelną głębię bez dna. Jakby znów spowił go ciężki, przerażający cień Antykreatora. Jakby wokół panował tylko mrok.

Pomyślał o Gwieździe Zagłady.

Pomyślał o setkach tysięcy kalekich wszechświatów, które unicestwił z polecenia Pana.

Pomyślał o smokach Chaosu.

Pomyślał o wszystkich innych, bezimiennych, nieistotnych, których zgładził, gdyż stanęli mu na drodze.

Usłyszał znów ich smętne, żałosne zawodzenie, zew ze świata umarłych, który rozlegał się w jego umyśle zawsze, gdy dobywał miecza.

I milczał, spuściwszy wzrok.

– Widzisz? – powiedział Nahui Ocelotl, stwórca świata i Pierwsze Słońce, a w jego głosie nie brzmiały już szklane tony nienawiści ani drwiny, lecz zwykły smutek. – Widzisz, wojowniku Światła? Ja chcę tylko znowu istnieć. Żyć. Władać magią i ludzkimi losami. Powrócić do prawdziwego świata. Czy to znowu aż tak wiele?

– Nie – musiał przyznać Daimon. – Lecz pozwól, że ja też zagram o swoje życie i będę ci się przeciwstawiał do upadłego, póki dam radę.

Tezcatlipoca wybuchnął śmiechem gorzkim jak ziarna kakaowca.

– Ależ proszę bardzo. Sam bym podobnie postąpił. Tylko na nic się to nie zda, moja krwi. Nie łudź się. Bo powinieneś zrozumieć, że tak naprawdę jest już po tobie. Nie żyjesz, żebym ja mógł powrócić do świata. Padłeś trupem, synu Jasności, podczas gdy ja napawam się zwycięstwem. Wiesz co? Nie przestaje mnie bawić ta słodko-gorzka ironia losu. Poddani twojego Pana bezlitośnie zajęli moją ziemię, zniszczyli kulturę, wybili mój lud, okradli mnie i oszukali! A teraz wysoki rangą Świetlisty przez swoją ofiarę odrodzi i przywróci do życia nie tylko mnie, ale całą krainę wraz z mieszkańcami. Coś ci to może przypomina, ptaszku ze skrzydełkami? Misjonarze wspominali jakieś takie bajeczki, ale nie zadałem sobie trudu, żeby dobrze zapamiętać.

Anioł Zagłady zazgrzytał z wściekłości zębami i zaczął się szarpać, aż sznury poobcierały mu boleśnie skórę.

– Nie bluźnij, na litość Światłości!

Czarny gad na policzku boga magii zadrgał i zwinął się gotów do ataku, gdy oblicze Dymiącego Zwierciadła znów wykrzywiła zajadła, szalona nienawiść.

– Startujesz do mnie z nędznymi gadkami o litości? – syknął. – A na jaką litość mogli liczyć moi ludzie, gdy ich masowo mordowano, wynaradawiano i traktowano jak śmieci pozbawione duszy?! W którą stronę patrzył twój Pan, kiedy w jego imię dokonywała się rzeź?!

– Jasność nie miała z tym nic wspólnego! Nic! – krzyknął Daimon. – Pan jest samym dobrem i światłem! A ludzie... to tylko ludzie. Otrzymali dar wolnej woli, lecz nie zawsze umieją z niego korzystać. Wybierają zło, chciwość, występki. Po prostu popełniają błędy!

Tezcatlipoca rąbnął złotym berłem w ścianę muszli, aż posypały się odpryski.

– Masowe morderstwo nazywasz błędem? Zdrady, oszustwa i podłości nie do pojęcia to też tylko pomyłki? Co się porobiło w tej twojej świętej głowie, rycerzu Królestwa? Kto w niej tak namieszał? Chyba Światłość oslepiała cię i ogłupiła, skoro tak bredzisz.

W jednej chwili wściekłość zalała Abaddona szkarłatną falą. Nikt, nikt nie miał prawa wyrażać się w ten sposób o Jasności. Zwłaszcza gdy Ją świadomie odrzucił.

– W czym niby jesteście lepsi?! – wrzasnęła z furią. – Codziennie popełniacie więcej morderstw, niż zjadacie kolacji! Wszędzie walają się trupy. Zabijacie masowo jak psychopaci. I tyle jesteście warci razem ze swoją starożytną kulturą. Z tortur i egzekucji zrobiliście sobie religię. Tylko pogratulować. Ktoś jeszcze tak robi? Nie? Chyba wiem dlaczego.

Dymiące Zwierciadło parsknęło pogardliwie.

– Nic nie pojmujesz z naszej kultury i religii. Nie widzisz, że tu chodzi o dobrowolną ofiarę. O ostateczne, doskonałe poświęcenie. Niegdyś, u zarania dziejów, bogowie się na nie zdobyli, stwarzając świat. Zgodzili się umrzeć, żeby dać ludziom życiodajne słońce. Teraz moi wyznawcy powtarzają ten akt, oddając bogom własną krew i życie. W ten sposób karmią zarówno nas, jak i słoneczny dysk. Ich siła witalna pozwala nam istnieć. Tak nas czczą, wyznają i wyrażają wdzięczność. To piękne, podniosłe, smutne i chwalebne. Taki prostak jak ty nigdy nie zrozumie potęgi naszych rytuałów i głębi naszej myśli teologicznej. Nie byli do tego zdolni ani wasi mędrcy, ani kapłani. Z głupoty i zadufania w sobie postanowili nas zniszczyć. Wyplenić wiarę, zgładzić kulturę. Wymazać nas z powierzchni ziemi. Ale przetrwaliśmy. Nie odeszliśmy w niepamięć. Istniejemy, a teraz odrodzimy się dzięki krwi i sercu skrzydlatego ptaszka z Królestwa!

– Pięknie istniejecie, nie ma co – warknął Daimon. – Tę nędzną wegetację nazywasz życiem? To żalosne bagienko, w którym taplasz się jak stara, zdychająca żaba? Daj spokój. To śmieszne i rozpaczliwe. Powiedz no mi, stwórco świata, dlaczego jesteś przezroczysty jak dawno wyblakła klisza? Jak duch samego siebie sprzed lat?

Tezcatlipoca obnażył widmowe zęby w złym, krzywym uśmiechu.

– Już niedługo, mój ty ptaszku Jasności. Obiecuję, bardzo niedługo. Tylko do chwili, gdy rozciągnę cię na ofiarnym kamieniu i nożem rozedrę ci pierś. I zobaczymy, jaką będziesz wtedy śpiewał piosenkę! Nędzni, świętoszkowaci hipokryci mieniący się wyznawcami twojego Pana wyklęli mnie i podległych mi bogów, a potem okrzyknęli demonami. Nas, stwórców i opiekunów tego świata! Bezczelne, aroganckie śmieci, które

przekłety prąd morski przywłókł zza oceanu! Najeźdźcy, którym się wydawało, że mogą nas zdeptać jak jadowite gady. Ale niech będzie. Dobrze więc. Jestem demonem. A to oznacza, że ja i ty pozostajemy wrogami na śmierć i życie! Pomyśl o tym, kiedy mój kapłan będzie wyrywał ci serce, żebym mógł je pożreć!

Skinieniem złotego dysku rozwarł drzwi i wyszedł bez słowa, zostawiając Abaddona z myślami, które wcale nie były wesołe.



Rozdział XII



Chcesz powiedzieć, że zakradniemy się po prostu nocą do miasta, odnajdziemy Dom Srebra i uwolnimy Abaddona, tak? To jest twój plan, Mroczny? – zapytał po raz kolejny Sinaa.

– Dokładnie – oświadczył zadowolony z siebie Lucek.

Jeśli jaguarołak zdziwił się, że najwyższy władca Otchłani zamierza wdrzeć się do ogromnego, strzeżonego grodu na pałę, zupełnie bez przygotowania, mapy czy koncepcji, jak ocalić przyjaciela, a potem postępować zgodnie z tym, co mu los przyniesie, to nie okazał tego. Sam nie wymyślił nic lepszego, więc postanowił, że nie będzie się czepiał. W końcu najpotężniejszy Mroczny wie chyba, co robi.

Niestety, nie miał pojęcia, że się myli, Lampka po prostu zdał się na żywioł, jak zwykle czynił.

Wkrótce jednak obaj mieli ponieść konsekwencje nieprzemyślanej decyzji Lucyfera.



Siedzieli ukryci w gęstym łanie dorodnej kukurydzy, a przed sobą widzieli białe chałupki przedmieść Tamoanchanu. Sinaa pozostał w swojej antropomorficznej postaci, bo jako jaguar mógłby wywołać na ulicach niezdrową sensację. Zapadł już wieczór i większość strudzonych wieśniaków oraz mieszkających na obrzeżach miasta rzemieślników położyła się spać.

– Może chociaż spróbujemy się trochę zamaskować? – zaproponował jaguarołak,

lekką zaniepokojony faktem, że mają ot tak wejść zaraz do centrum, gdzie pewnie krążą tabuny strażników. – Pobiegnę do kilku pobliskich domostw i spróbuję znaleźć jakieś ubrania, żebyśmy mogli się przebrać.

– Dobry pomysł – zgodził się pogodnie Lucek.

On na razie wcale się nie martwił. Zapowiadała się niezła przygoda, w której miał ochotę wziąć udział. Grunt to nie tracić optymizmu, prawda?

Sinaa zniknął w szybko zapadającej ciemności. Dzięki kocim oczom drapieżcy doskonale widział w mroku. Lekkim krokiem wytrawnego myśliwego bezszelestnie przeszukiwał podwórka podmiejskich domostw. Rozpromienił się w uśmiechu, gdy na jednym z nich ujrzał sznur z suszącym się praniem. Zagarnął kilka najbardziej obiecujących łańców i chyłkiem powrócił do towarzysza.

Lucyfer natychmiast zaczął przebierać w szmatach jak rozkapryszona primadonna.

– Co to jest? – jęknął, potrząsając długą, powłóczystą sztuką garderoby.

– Spódnica – wyjaśnił jaguar.

– Nie włożę tego! – zaprotestował Pan Otchłani. – Będę wyglądał jak palant!

– Nie mamy wyjścia. Zdołałem ukraść tylko kobiece stroje. Nie martw się, Mroczny, wielu dzielnych bohaterów przebierało się za kobiety.

– To chyba byli jacyś dziwni – sarknął Lucek, a potem westchnął ciężko. – No dobra. Pokaż mi, jak to się zakłada.



Dwa skulone cienie, które przebiegały nocą po ulicach Tamoanchanu, wyglądały jak osobliwe wieśniaczki, które zgubiły drogę do domu. Obie postaci skuliły się, żeby wyglądać na niższe. Miały na sobie mocno przykrótkie kieciki i opięte płaszcze z surowej bawełny, które naciągnęły sobie na głowy.

Jak na razie, na szczęście, nie zwróciły na siebie uwagi strażników, bo trzymały się cienia i zachowywały bardzo cicho. Ulice nie były oświetlone, ale księżyc dawał dość światła, żeby poruszać się w miarę swobodnie, nie błądząc w ciemności.

– Którędy teraz? – wyszeptał Lucyfer, kiedy mijali kolejny plac przed następną schodkową piramidą.

– Nie wiem, nigdy tu nie byłem. – Sinaa wydawał się bezradny. – Tezcatlipoca mieszka pewnie w samym środku miasta, tuż przy głównej świątyni.

– A która jest główna?

– Chyba ta największa. – Jaguarolak wskazał palcem wielki, ciemny kamienny stożek górujący nad zabudową centrum. – Chodź, dostaniemy się tam tą szeroką ulicą. To najszybsza droga, ale pewnie nieco niebezpieczna ze względu na strażę.

– Chrzanić strażę! – Lampka nie miał teraz zamiaru przejmować się drobiazgami.

Zacznie coś kombinować, dopiero jeśli wpadną w ręce wojowników. Kto zamartwia się na zapas, traci odwagę, a potem przegrywa. Lepiej działać, niż przesadnie rozważać każdą możliwą opcję.

Ruszył za zwinnym człowiekiem-kotem, ale zawadził o coś nogą, stracił równowagę i upadł na kolana.

– Co się stało? – zaniepokoił się jaguarolak.

– Nic! – syknął rozeźlony Lucek. – Pełno tu tych cholernych odciętych głów. Potknąłem się!

– Witaj w Tamoanchanie – mruknął Sinaa, znikając za węglem.



Centzon Totochtin, Czteryście Królików, bóg pijaństwa i napoju pulque, błąkał się po nocnym mieście, uśpionym i cichym, jak zwykle zupełnie pijany. Nosił takie dziwne imię, bo kiedy był nietrzeźwy, jego zachowanie zmieniało się co chwila, jakby w umyśle przeskakiwały mu małe zębate zwierzątka. Raz był to królik wesoły i skory do zabaw, lecz za moment, hyc, zastępował go ponury i smutny, agresywny i skory do gniewu lub płaczliwy i melancholijny.

Hyc, hyc, hyc i Centzon Totochtin kompletnie nie potrafił zapanować nad swoim nastrojem.

Każdy ma własnego królika, mawiali miejscowi, mając na myśli dziwactwa, fiksacje albo wyróżniające się cechy charakteru. Bóg opilstwa miał całą chmarę futrzaków, która dosłownie wlaża mu na głowę.

Dlatego kiedy ujrzał dwie kobiety spacerujące głuchą nocą po ulicy, w dodatku całkiem same, zaraz dopadł go królik pożądania. Postanowił, że je poderwie. Chwiejnym krokiem podążył w ich stronę, rozkładając szeroko ręce, jakby próbował złapać obydwie naraz.

– Co tu robicie, ślicznotki? – wybełkotał, w swoim mniemaniu nadzwyczaj kusząco.

Drgnęły i odwróciły się momentalnie, wyraźnie wystraszone. W mroku nie widział ich twarzy, lecz obie wydawały mu się bardzo śliczne, choć dziwnie krzepkie.

– Nie bójcie się, piękne dziewczęta. Nie skrzywdzę was. Chcę tylko, żebyśmy dali sobie nawzajem nieco przyjemności w tę piękną, ciepłą, czułą noc!

– Zgaś go! – syknął Lucyfer.

Sinaa skoczył, lecz nie mógł wiedzieć, że Czteryście Królików był także bóstwem księżycowego blasku, więc księżyc mu sprzyjał. Widząc, że jego patron znajduje się w niebezpieczeństwie, natychmiast zasnuł oblicze chmurą.

Centzon Totochtin zaś, chcąc objąć od razu obie ponętne wieśniaczki, postąpił krok i zatoczył się, przypadkiem unikając ciosu, który wyprowadził właśnie jaguar. Sinaa wpadł więc z impetem na ścianę pobliskiego domu, odbił się barkiem i musiał odskoczyć w bok, żeby zachować równowagę, tracąc tym samym natarczywego pijaka z zasięgu ramion. W tym momencie do akcji wkroczył Lampka. Rzucił się na Czteryście Królików z nożem w dłoni, lecz ponieważ niemal nic nie widział w ciemności, a nienawistna spódnica krępowała mu ruchy, dosłownie lepiąc się do nóg, potknął się o zalegający pod murem świątynnym wypruty z wnętrzości korpus trupa i zwałił z impetem na ziemię. Broń wypadła mu z palców, a płaszcz spadł z ramion. Wylądował na czworakach, macając bezradnie szorstki, zakurzony bruk ulicy.

Widząc to, księżyc natychmiast rozproszył chmury i jednym celnym promieniem

zaświecił wprost w twarz gramolącego się na nogi imperatora Głębi.

Centzon Totochtin zobaczył, z kim ma do czynienia, i rozdarł się na całe gardło:

– Straż! Straż! Na pomoc!

A potem puścił się pędem w górę ulicy, krzycząc nieustannie.

Sinaa chciał pognać za nim i uciszyć go, ale już było za późno. Z pobliskiej przecznicy wybiegł oddział uzbrojonych wojowników. Ujrzawszy dwóch intruzów, jeden z nich zadał natychmiast w gliniany gwizdek, który nosił na szyi na rzemieniu. Rozległ się przeraźliwy, głośny świst zwołujący na miejsce zdarzenia pozostałe oddziały straży. Ludzie Tezcatlipoki bez wahania skoczyli na Lucyfera i jaguara.

Imperator Głębi, który zdołał wymacać na bruku swój nóż i wstać z bronią w rękę, natychmiast wbił ostrze w brzuch atakującego wojownika. Napastnik złożył się wpół jak scyzoryk, lecz za nim napierali już następni. Lucyfer widział przed sobą całe mrowie ciemnych, brązowych twarzy wymalowanych w kolorowe pasy, wykrzywionych w grymasach wściekłości i determinacji, jakby oglądał w muzeum ekspozycję egzotycznych glinianych masek. Wiedział, że musi stłuc je wszystkie, jeśli chce ujść stąd z życiem. Dlatego dźgał niezliczonych wrogów, ciał, podrzynał gardła i rozpruwał wnętrzności, nie poddając się, choć zaczęli go przytłaczać i przypierać do budynku samą swoją masą. U boku Lampki walczył dzielnie Sinaa, powalając przeciwników mocnymi, precyzyjnymi ciosami, ale wrogów wciąż przybywało. Rzucali się do boju odważnie, bez cienia lęku, nie bacząc na straty. Napierali na broniących się przyjaciół, zmuszając ich do ciągłego zawężania pola walki. Wkrótce osaczyli obcych zupełnie, nie pozostawiając szansy na ucieczkę.

Gdzieś tam w oddali zawodził żałośnie Centzon Totochtin, któremu do głowy wskoczył właśnie królik pełen żalów, pretensji i roztkliwiania się nad własnym losem.

– Napadła na mnie wielka, strasznie brzydka baba z nożem! O dobry boże Dwoistości! Jakie to okropne! Jakie smutne i przytłaczające! Kobiety ogarnęło szaleństwo i nie mają już zamiaru służyć swoim mężczyznom. A przecież nie zrobiłem nic złego! Chciałem się tylko zabawić... Ten świat znajduje się na skraju upadku! Na samym skraju, mówię wam!

Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Opór dwójki towarzyszy zaczął tymczasem słabnąć. Wciąż odpierali ataki, lecz już zrozumieli, że nie uda im się zwyciężyć. Wtedy do akcji wkroczyli wypoczęci i silni wojownicy uzbrojeni w długie pałki, którzy przybyli właśnie na kolejny zew ostrzegawczego gwizdka. Byli ogromni, silni, nieustraszeni i przerażająco sprawni. Stanowili samą elitę wojsk Tezcatlipoki. Jego ukochanych, hołubionych, dumnych i nieugiętych Orłów i Jaguarów. W kilka chwil nowi wrogowie wytrącili przyjaciołom broń i posłali ich na ziemię celnymi uderzeniami okutych kijów.

Padając, Lucek i jaguarołak zrozumieli, że wkrótce zobaczą Daimona, lecz w zupełnie innych okolicznościach, niż pragnęli.



Kiedy siedzisz zamknięty w mrocznym, rozedrganym srebrem więzieniu,

a przedtem zostałeś otumaniony nieznanym narkotykiem, porwany, pobity i skrępowany, możesz nabrać przekonania, że nawiedzają cię zwidy i urojenia.

Zwłaszcza na widok kumpla z bardzo dawnych lat, który w międzyczasie został zaciekle przeciwnikiem Jasności, a w tej chwili powinien znajdować się bardzo, ale to bardzo daleko stąd, hen, w odległej Otchłani, moszcząc swój tyłek na niewygodnym tronie imperatora Głębi.

Co więcej, towarzyszy mu twój nowy przyjaciel, którego poznałeś niedawno w dżungli, a za cholere nie ma takiej możliwości, żeby w tym samym czasie został także sojusznikiem Mrocznego wysokiej krwi.

Chyba że ma rozdwojenie jaźni.

Albo ty je masz, gwoli ścisłości.

Znaczy fioła.

Fiksum-dyr dum.

Nierówno pod czapą.

Kiepsko z banią.

Krzywo pod sufitem.

Jednym słowem, twoim porywaczom wreszcie udało się to, czego nie dokonali inni. Choć wielu prorokowało, że ten smutny fakt kiedyś nastąpi. Pomieszczeni ci we łbie, Aniele Zagłady, i teraz ześwirowałeś na amen. Oto ostateczna prawda. Abaddon jest wariatem.

Nie ma innego wytłumaczenia.

Bo niby dlaczego w cholernym, zasranym Tamoanchanie na samym zadupiu piekieł, w tropikalnym lesie Stref Poza Czasem, widzisz właśnie przywódcę niegdysiejszego buntu przeciw Panu, szefa i władcę Głębi, szanownego Lampkę we własnej pieprzonej osobie? Nie, to na pewno objaw obłądu.

Nawet jeśli imperator Otchłani na twój widok jakoś paskudnie kosi oczy, nie śmie ci spojrzeć w twarz, a na jego gębie pojawia się zakłopotany, niepewny uśmiezek.

– Cześć, Daimon – mówi. – Kopę lat, nie?

Patrzysz i patrzysz na to dziwo, a ono nie znika. Skąd, z każdą chwilą wydaje się coraz bardziej, cholernie, wkurzająco realne. A ty czujesz, jak ogarnia cię wściekłość nie do pojęcia. Bo jeśli to naprawdę Lucek, naprawdę on, to nie dość, że oszukiwał cię od początku wyprawy, to w dodatku opuszczając Pałac Pięści, zostawił twoim przyjaciółom taki burdel, że proszę siadać. Kto normalny porzuca tron tak strategicznej krainy jak Głębia i lezie sobie w sam środek puszczy jak jakiś pieprzony chłopczyk na gigancie?!

Odpowiedź jest jedna.

Lampka.

Jasne, że Lampka.

Dlatego mrużysz oczy, zaciskasz odruchowo usta i syczysz przez zęby rozkaz raczej niewykonalny w danej sytuacji:

– Wynoś się. Spadaj stąd natychmiast. Znikaj. Już–cię–nie–ma!

Oczywiście, nie zrozumiał cię. Jak to zwykle on.

Stoi przed tobą nieco zbity z tropu, ale w sumie tak samo zadowolony z siebie jak zawsze, uśmiecha się przyjaźnie i ośmiela się otwierać japę.

– Nie dostałeś omamów – wyjaśnia. – To naprawdę ja.

No tak. On, jak w mordę wyciął. Tyle że związany jak baleron nie bardzo możesz mu wypłacić tak, jak się należy.

– Taa, jasne. Ty. Obawiam się, że to prawda. Jak się tu dostałeś? Lazłeś z wyprawą, tak? Nie widzę innego wyjścia, więc tak musiało być, prawda? Masz na sobie robocze ciuchy, więc pewnie przebrałeś się za tragarza, co? Oszukiwałeś mnie cały czas. Opuściłeś Głębię. Bawiłeś się w idiotyczne przebieranki, zamiast rządzić w Otchłani, jak ustanowiła Jasność. Zwyczajnie zdezerterowałeś. Zachowałeś się jak dupek i ostatni palant. Mylę się, Lampa? Czy ja się mylę?

– To nie jest tak, jak myślisz – broni się Lucyfer. – Mogę wszystko wyjaśnić. Ustanowiłem regencję na czas mojej nieobecności.

Zamierasz ze zdumienia i grozy.

– Co zrobiłeś?!

Lampa oblizuje nerwowo wargi, jakby mu nagle wyschły.

– No, wybrałem regenta. To Asmodeusz.

– Aaaa, biedny, mały Modo – warczysz ze złością. – Mogłem się domyślić, że się okażesz aż tak głupi. Ciekawe, dlaczego to nie mógł być kanclerz Adramelech. Belial chociażby. Albo Lucifuge Rojocale. Jest premierem w twoim państwie, kretynie. Nie pamiętasz? Zdajesz sobie chociaż sprawę, że już nie masz najlepszego przyjaciela, co? Tylko wola Pana legitymowała cię na tronie. Bała się jej zarówno stara arystokracja piekielna, jak i młodzi, wrywni Mroczni. A teraz cała krucha, chwiejna struktura leży w gruzach. Wiesz, że w Głębi wybuchła zapewne wojna domowa? Asmodeusz już na pewno gryzie piach. Za to Michał, Gabriel i Razjel muszą uderzyć na Otchłań, jeśli nie chcą, żeby nasz mały układ sprzed kilku wieków wyszedł na jaw. A zapewniam cię, że nie chcą. Ładny bal tam urządziłeś, nie ma co.

– Wcale nie – burczy urażony Lucyfer, ale w jego głosie brakuje pewności.

– Na litość Jasności! Cierpliwości, bo oszaleję! Lucek, wytłumacz mi, proszę, po cholere w ogóle za mną lazłeś?!

– Muszę porozmawiać ze Światłością, dokończyć dawne sprawy. Wyjaśnić. Nie mogłem przepuścić takiej okazji, rozumiesz?

Gdybyś mógł, ukryłbyś twarz w dłoniach i śmiał się jak głupi. On chce porozmawiać z Jasnością. Jak rany! Co za cyrk!

– Pan nie przyjmie od ciebie nic prócz błagania o przebaczenie – mówisz powoli, żeby idiota dobrze zrozumiał. – A tego chyba nie zamierzasz Mu dać, jak sądzę.

Lampka wydyma usta.

– Nie – przyznaje. – Nie zamierzam skomleć o wybaczenie, bo i nie ma czego wybaczać. Chcę... chcę, żeby mnie zrozumiał. Żebym miał wreszcie okazję przedstawić swoje racje. Żebym...

– Lampa – przerywasz mu – to przecież Pan. Wie o tobie wszystko. Widzi twoją duszę na przestrzał, jak pustą szklanekę. Gdyby ujrzał w niej choć odrobinę skruchy, sam by cię wezwał, gdziekolwiek jest.

– Nie mam zamiaru się tłumaczyć! Z niczego i nikomu! Moje sprawy z Jasnością pozostają nierozwiązane, a chcę je wreszcie zakończyć! – wykrzykuje, jakby naprawdę w to wierzył.

Masz ochotę machnąć ręką, ale tak się składa, że jedna jest przywiązana do drugiej za twoimi plecami. Więc tylko wzdychasz ciężko. Bo co się będziesz szarpał z kretynem?

– Dobra – mówisz. – To twoja brocha, Lucek. Stąd nic na to nie poradzę.

– No widzę – przyznaje z cieniem ironii w głosie. – Faktycznie, nic.

Wkurzony patrzysz na niego jak na nieznośnego dupka, którym w sumie jest.

– Ty też chyba nie, co? – Aż ociekasz jadem.

Lucyfer jakoś tak zapada się w sobie jak oklapła beza. Siada obok ciebie pod ścianą i także wzdycha.

– Wpadłem w łapy tych pstrokatych dzikusów z piórami. Bo chciałem cię uratować. W sumie to długa i skomplikowana historia. Niestety, nie udało się.

– Chciałeś ratować mnie? – pytasz nieźle zdumiony.

– No tak – przyznaje Lucek. – Potem ci wszystko wyjaśnię, dobra?

– Jeśli w ogóle będzie jakieś potem – dodajesz ponuro.

– Obawiam się, że nie bardzo – ośmiela się wtrącić milczący dotąd Sinaa.

Siedzi w kucki naprzeciw was obu, wodzi po was oszołomionym wzrokiem i usta ma półotwarte ze zdziwienia.

– Wiesz, co z nami zrobią? – pyta Lampka, jak zwykle nieco głupkowato.

Jaguar potwierdza skinieniem głowy.

– Niestety, wiem. Za kilka dni złożą nas w ofierze samym sobie. Nasza krew ich ożywi i doda sił. Wyrwą nam serca, obetną głowy i dłonie, a potem posadzą w ziemi, żeby rodziła. Może też przedtem obedną nas żywcem ze skóry. Lubią tak robić od czasu do czasu.

– Posrani zwyrodnialcy! – wyrywa ci się, bo nie bardzo chcesz zostać wypatroszony w ofierze bandzie psychopatycznych wariatów.

Sinaa patrzy na ciebie ze smutkiem.

– Mówiłem, że nie spodoba ci się ich kultura.

Kwitujesz to parsknięciem.

– Jasne, że nie! Spróbuję nas stąd jakoś wyrwać, ale na razie brakuje mi pomysłów. W dodatku zabrali mi Gwiazdę Zagłady.

– A ja straciłem skórę. – Głos jaguaroła brzmi bardzo smętnie. – Jeśli nie będę jej codziennie prał, za jakiś czas zestarzeję się i umrę. No i nie mogę przemienić się w jaguara. Ponuro to wygląda, Daimonie.

– Kiepsko, to prawda – przyznajesz.

– Wybacz, ale możesz mi opowiedzieć, w jaki sposób cię złapali? Wiem, że Uaica zostawił cię nad rzeką, i strasznie mi przykro z tego powodu. Nie sądziłem, że złamię mój rozkaz. Ale taki już jest. Wariuje na widok jakichś głupich kwiatków. Powinienem był to przewidzieć, bardzo przepraszam, Abaddonie.

– Nie przejmuj się, i tak bardzo mi pomogłeś – mówisz. – Teraz siedzisz tu przeze mnie, bo sam, z własnej woli ruszyłeś mnie ratować. To bardzo dzielny czyn, więc nawet nie myśl o żadnych niepotrzebnych przeprosinach. Ja jestem ci winien wdzięczność.

Jaguar, nieco zakłopotany, marszczy nos.

– Chciałem dobrze, a widzisz, jak wyszło. Dalej mnie nurtuje, w jaki sposób wojownikom Tezcatlipoki udało się schwycić Anioła Zagłady.

Opowiadasz im, a wtedy na płaskiej, kociej twarzy boga dżungli pojawia się wyraz zrozumienia.

– A, no tak! To było całkiem sprytne.

– Tak czy inaczej, powinienem się bardziej pilnować – przyznajesz. – Głupio postąpiłem i tyle. Sam jestem sobie winien. Przeze mnie wpakowaliście się w tę pieprzoną sytuację. Wybaczcie mi, proszę. Wściekłem się na ciebie, Lampa, ale sam też zagrałem jak kretyn. No i teraz wszyscy trzej mamy lekko przesrane.

– Spoko, coś wymyślimy – rzuca buńczucznie Lucek, pewnie żeby poprawić sobie humor. – Nie takie rzeczy się robiło. Damy radę.

Sinaa spogląda na niego nieśmiało.

– Przepraszam, że pytam. Naprawdę jesteś imperatorem Głębi czy się przesłyszałem?

– Tak, jestem – przyznaje Lampa. – Chociaż teraz w niejakich tarapatach.

Oczy człowieka-kota robią się zupełnie okrągłe. Ale na usta wraca błady uśmiech.

– No to czuję się spokojniejszy. Sam Abaddon i Lucyfer we własnej osobie z pewnością dadzą radę starym bogom z Tamoanchanu.

– Pewnie, że tak! – Lucek stara się nie tracić rezonu. Tak ma i już. – Zobaczysz, bracie. Odzyskamy twoją skórę i damy draniom tak popalić, że zapamiętają, póki im się Piąte Słońce nie wywróci!

Taaa, myślisz sobie niezbyt wesoło. Tyle że to ja będę musiał wymyślić, jak to, do cholery, zrobić.

Nie dość, że nic nie przychodzi ci do głowy, to jeszcze winda w brzuchu znów sobie przypomina, że powinna krążyć między piętrami. Żółć podchodzi ci do gardła, mdłości ściskają żołądek w zimną, gorzką kulę. Niedobrze ci. Niedobrze jak cholera.

– Niech mi który da tę skorupę w rogu! – krzyczysz, nim zrobi się za późno.

Sinaa biegnie po naczynie. W ostatniej chwili, bo wymiotujesz do byłego domku żółwia samą pianą z odrobiną śluzu. W życiu ci nie przejdzie to zatrucie czy co?

– Rzygaj śmiało, Daimonie – mówi jaguar z troską. – Ja też zawsze rzygam po ayahuasce. Niedługo powinno ci przejść.

Oddałbyś pół Królestwa, żeby otrzeć sobie usta.

– Po czym? – pytasz, bo nigdy nie słyszałeś o takim świństwie.

Jego twarz jest dużą złotą monetą z płaskim reliefem zafrasowanych rysów.

– No, po ayahuasce. To taki święty napój. Piją go szamani, żeby otworzyć sobie drogę do wyższych wymiarów.

– W takim razie nie mam pojęcia, dlaczego na mnie zadziałał – oświadczasz ponuro. – Odkąd objąłem funkcję Tańczącego na Zgliszczach, jestem odporny na wszelkie narkotyki i środki odurzające z Królestwa, Głębi, Ziemi i wszystkich krain mitycznych.

Świadomość, że straciłeś nie tylko broń Burzyciela Światów, ale także i tę zdolność, cholernie cię przygnębia. Jednak Sinaa uśmiecha się słabo.

– Tak naprawdę to nie jest narkotyk, tylko wytrych służący do wyłamywania wymiarów. Jesteś aniołem dzierżącym Klucz do Czeluści. Najstarszego i najmroczniejszego z wymiarów. Nie dziw się więc, że Górne Światy natychmiast się

przed tobą otworzyły, kiedy łyknąłeś choć odrobinę ayahuaski. Z powodu twojej natury możesz tam swobodnie przenikać, potrzebujesz tylko malutkiego wsparcia. Zresztą dlatego właśnie tak długo cię trzyma.

– Dzięki, dobrze wiedzieć – mówisz z ulgą. – To oznacza, że ten drań Krzemienna Noga nie otumanił mnie żadnym świństwem, kiedy już zabierze się do wyrywania mi serca.

– Ciebie nie – mówi z goryczą Lucyfer. – Ale nas już, niestety, tak.

– To prawda. – Z piersi jagarołaka wyrywa się westchnienie. – Nie wolno nam tknąć żadnego jedzenia ani wody, bo natychmiast odlecimy.

– Fajna perspektywa – kwituje Lampka. – Jak długo mogą nas tu trzymać?

Bóg džungli drapie się za uchem, jakby naprawdę był dzikim kotem. Dobrze, że nie robi tego stopą.

– Normalnie to rok. Tyle trwają obrzędy ku czci Tezcatlipoki.

– Co?! – jęczycie obaj razem z Luckiem.

– Nie obejdę się dwanaście miesięcy bez żarcia i wody! – krzyczy nieszczęsny Lampa. – Nawet ja! Mowy nie ma!

– Chyba nie będziesz musiał, imperatorze – pociesza go Sinaa. – Dymiące Zwierciadło gaśnie. Umiera. Jest tak słaby, że występuje w formie ducha. Niedługo zmieni się w tchnienie wiatru, a potem zupełnie rozmyje w powietrzu. Rozpaczliwie potrzebuje świeżej krwi. Na pewno skróci rytuał, bo ma już bardzo niewiele czasu.

– I dobrze tak bydlakowi. – Lucyferowi nieco poprawia się humor. – Nie tytułuj mnie imperatorem, proszę. Wystarczy Lucek.

– Albo Lampka – dodajesz złośliwie.

Obrzuca cię paskudnym spojrzeniem.

– Wszyscy tak na niego mówią – wyjaśniasz, widząc pytający wzrok jaguara. – To od Niosącego Światło.

– Fajnie! – Koci człowiek szczerzy w uśmiechu swoje wielkie, białe kły.

Lucek milczy urażony.

– Swoją drogą – zastanawiasz się – jak ci się, do cholery, udało ukrywać przede mną przez całe miesiące?

– Bardzo prosto – odgryza się Pan Otchłani. – Nie zagładasz wcale do plebsu, Daim. Nie obchodzą cię tragarze, ich sprawy, twarze, problemy. Od tego jest Sigil, a jeśli on nie poradzi, to Sereda. Nominalny przywódca wyprawy gardzi podwładnymi o tak niskiej randze jak my.

– My? – śmiejesz się szyderczo. – A od kiedy z ciebie taki proletariat, Lampa?

Wydyma wargi.

– Zawsze miałem duszę rewolucjonisty.

– Raczej anarchisty.

– I co w tym złego? – pyta zaczepnie.

– A nic. Tyle że przez twoje pomysły mieliśmy kiedyś nielichą bratobójczą walkę.

– W słusznym celu – warczy Luc gniewnie.

– Nie kłóćcie się, błagam! – mityguje Sinaa. – Musimy się trzymać razem. Inaczej nie mamy szans ująć z życiem z tego więzienia!

Ma rację. To fakt. Przez chwilę patrzycie na siebie z Luckiem spode łba, a potem odwracacie wzrok. To nie czas na dawne niesnaski. Czujesz, że ścierpły ci ręce, a więzy wrzynają się niemiłosiernie w skórę. Jak tak dłużej pójdzie, dłonie ci odpadną.

– Nie schowaliście gdzieś jakiegoś ostrza? Bodaj scyzoryka? – pytasz. – Strasznie niewygodnie tak siedzieć związanym.

Obaj kręcą przecząco głowami. Bóg dżungli spogląda niepewnie na krępujące cię sznury.

– Paszczą to może bym przegryzł. Ale tak to nie bardzo...

– Poczekaj! – mówi Lampka. – Odłamię kawałek muszli i spróbuję przeciąć.

Wstaje i po chwili wraca z purpurowym skrawkiem niegdysiejszego ślimaka. Jego krawędź wydaje się ostra jak sama śmierć. Jednak piłowanie więzów trwa i trwa, więc powoli tracisz nadzieję. Ale Lucyfer nie daje za wygraną.

– Uda się – przekonuje. – Zobaczysz.

I wtedy pęta puszcza.

Rany, co za ulga. Choć krążenie wraca miliardem bardzo bolesnych ukłuć, jakbyś tłukł rękami jeże.

Uśmiechasz się do dawnego kumpla z prawdziwą wdzięcznością.

– Dzięki.

– Nie ma za co. A teraz lepiej powysilajmy mózgi, żeby wykombinować, jak się stąd wyrwać. Sinaa, wiesz coś o pałacu tego całego Tezcatlipoki? To w nim siedzimy, prawda?

Jaguarolak robi kwaśną minę.

– Wiem, że są tu niezliczone pokoje, korytarze, dziedzińce i ogrody. A z Domu Srebra jeszcze nikt ponoć nie uciekł. W obrębie kompleksu stoi świątynia poświęcona Pierwszemu Słońcu. Jedno z pomieszczeń jest zwrócone na wschód, zwane Żółtym Domem, bo obito je złotą blachą. Drugie, skierowane na zachód, nazywają Miejscem Turkusów i Szmaragdów, bo całe zostało wyłożone mozaikami z tych drogich kamieni. Trzecia komnata jest inkrustowana jaspisem. A czwarta to właśnie Dom Srebra. Zorientowali ją na południe. W stronę śmierci.

– No pięknie. To wiemy tyle, że nam słońeczko w zenicie poświeci na dach – stwierdza rozczarowany Luc.

– Sam Nahui Ocelotl mieszka w Pałacu Ptaków – dodaje człowiek-kot. – Ściany zamiast wapnem są pokryte piórami tworzącymi różne wzory. We wschodniej komnacie dominuje barwa żółta. Zachodnią wyłożyli niebieskimi piórami xiuhtotola. To taka większa, kolorowa kura. Ta komnata nazywa się Dom o Bogatych Piórach. Komnata południowa to Mieszkanie o Białych Piórach, ponieważ zdobią je śnieżnobiałe pióropusze. Ostatnia jest pstrokata jak tęcza, bo wyłożyli ją wszelkimi piórami, jakie znaleźli. Tezcatlipoca ją uwielbia.

– Ornitolog się znalazł – mruyczysz pod nosem.

– Mieszkańcy tutejszych krain kochają wyroby z piór. Mają nawet specjalnych rzemieślników, którzy się tylko tym zajmują. Potrafią zrobić naprawdę kunsztowne, ozdobne przedmioty i biżuterie. Nazywają ich amantekami.

– A co nam niby da ta wiedza? – pyta Lucek, rozkładając ręce.

Sinaa wzrusza ramionami.

– Nie mam pojęcia. Mówię, co wiem. Może się potem przyda.

– Jeśli nie potrafią nam wykonać dodatkowych skrzydeł, na których byśmy mogli stąd odfrunąć, to chyba nie.

– Dobra – kwitujesz. – Na razie myślmY usilnie, co zrobić, i czekajmy na okazję. Ponieważ nikt nie umie dać lepszej rady, czekacie pokornie.

Tylko co począć, że to tak cholernie, ponuro wkurzające?



Zgodnie z rozkazem Dymiącego Zwierciadła cały Tamoanchan od świtu szykował się do wielkiego święta. Bogowie, wojownicy i inni poddani Pierwszego Słońca z radością rzucili się w wir wydarzeń. Każdy myślał tylko o rychłym ocaleniu i przelaniu pierwszej od wieków świeżej krwi.

O, ile legend narosło na temat przyszlYch ofiar w ciągu tych krótkich trzech dni, które poprzedzały kulminację. Wiedzano, że Tezcatlipoca zdołał zdobyć nie jednego, lecz trzech znamienitych jeńców. Szeptem rozpowiadano sobie historie o ich potędze i dzikości, a równocześnie układano peany na cześć niezwycięzonego Nahui Ocelotla, który zdołał pojmać aż tak znaczne persony. Zapach ich krwi przenikał ściany Domu Srebra, drażniąc nozdrza mieszkańców miasta. Na ustach już czuli cudowny smak pienistej, jasnej czerwieni, która miała przywrócić im życie.

Jeden ze schwytyanych był ponoć potworem z samego znienawidzonego Królestwa. Straszliwym Abaddonem, który potrafił zabijać wzrokiem, a na usługach miał morderczą kometa zwaną Gwiazdą Zagłady. Kometa potrafiła przemieniać się w ognistego węża, orla całego złożonego z burzy gradowej lub najokropniejszą z form, monstualnego jaguara, który był czarny i niematerialny niczym dym, a wyziewy z jego pyska niosły całym światom śmiertelną zarazę. Sam Abaddon mógł zasłonić słońce rozłożonymi skrzydłami barwy popiołu i nocy, a kiedy ryknął, planety rozpadały się na części. Sięgał głową do Księżyca, a jego straszliwa brzydota porażała ludzi jak malaryczna gorączka.

Jednak wspaniały bóg Dymiące Zwierciadło pokonał i powalił tę maskarę z Królestwa, a morderczą Gwiazdę Zagłady zmusił, by mu służyła, siłą swej wszechpotężnej magii.

Drugi jeniec nie ustępował pierwszemu siłą ani gwałtownością. Ten pochodził z samego dna najstraszliwszych piekieł, o których z bojażnią opowiadali nawet podli, przerażający misjonarze. Więcej, był tam królem i niepodzielnym władcą. Wiedziony wściekłym gniewem, rozpalał się do białości i palił bez litości każdego, kto wszedł mu w drogę. Potrafił obrócić w proch całe krainy wraz z mieszkańcami, osadami i całą przyrodą. Jego niszczycielska moc przewyższała wybuch największego z wulkanów. Podobno wymiotował wrzącą lawą, a z uszu i nozdrzy sypał wiązki błyskawic. Lecz i tego mocarza poskromił najwaleczniejszy z bogów, Nahui Ocelotl, żeby złożyć go w ofierze i ożywić swoich wiernych poddanych.

Cóż to za wyczyn! Co za wspaniały, godny chwały bóg z naszego Tezcatlipoki! A wszystko to uczynił dla dobra swego wiernego ludu.

Pozostawał także trzeci więzień. Ohydny stwór, zdrajca i podstępny zabójca. Jaguar, który nie poddał się woli Dymiącego Zwierciadła i ośmielił się odmówić służby dla niego. Obrzydły, z pozlepianą, brudną sierścią, wielki jak dom, z powodu swych występkówgnił od środka, niosąc ludziom śmiertelne choroby, wrzody i drgawki. Jego ślina pienila się jak kwas, zamieniała w truciznę. Na końcu ogona miał ogromny kolec jadowy, który także wypełniała cuchnąca, śmiertelnie niebezpieczna ciecz. Dymiące Zwierciadło jednak bez lęku wyzwał do walki i obezwładnił potwora, a odrażający jaguar, złamany i pokonany, pokornie lizał ziemię u jego stóp, błagając o wybaczenie za swoje grzechy.

Tak było! Wierzyli w to wszyscy mieszkańcy Tamoanchanu, radując się i sławiąc pieśniami czyny swego wspaniałego boga.

Jeden tylko Czterysta Królików bredził coś bez sensu, że to wcale nie Pierwsze Słońce schwytał dwóch ostatnich jeńców, tylko on sam osobiście, ale kto by wierzył patronowi pijaków, który chodzi bez przerwy nawalony chichą.

Dlatego miasto radowało się, tańczyło i sławiło boga czarnej magii, czekając na wielkie przelewanie krwi oraz obdzieranie ze skóry.

We wszystkich *cuicacalli*, świątynnych szkołach kształcących tancerzy, śpiewaków i muzyków sakralnych, jeszcze przed wschodem słońca rozpoczęły się próby. Rzemieślnicy naprawiali i malowali na nowo rytualne maski, cerowano ceremonialne stroje, wszędzie w domach śmigały krosna tkackie. Jubilerzy i złotnicy z ochotą zabrali się do pracy, żeby przygotować najpiękniejsze kolie, kolczyki, bransolety i pierścienie. Drogie kamienie mieniły się jak krople rosy o świtanii.

Ulice, place i domostwa ustrajano kwiatami, wstęgami, pękami piór i barwnymi malowidłami. Ludzie wznosili modły i stroili się na święto. Wszędzie panował pełen wyczekiwania, lecz jednocześnie podniosły nastrój.

Krew! Wreszcie napiją się krwi!

Bóstwo Dwoistości okazało w końcu łaskę Tamoanchanowi!

Cóż za wspaniała, upragniona wiadomość.

Tymczasem w głównej świątyni zgromadziły się martwe od stuleci dziewczęta, żeby rozpocząć najważniejszy obrzęd. W odosobnieniu, milcząc, mełły ziarna amarantusa i złocistej, dorodnej kukurydzy. Przewodziła im bogini Xilonen, patronka pożywnych kolb. Kiedy uzyskały odpowiednio dużo mąki, zaczęły mieszać ją z najczystszymsłodkim jak obietnica miodem. Tym sposobem powstawało ciasto, z którego należało ulepić kukłę naturalnej wielkości. Z jakim kunsztem i uwagą młode kobiety przystąpiły do pracy! Jak bardzo się starały. Ile wysiłku wkładały w każdy ruch, każde posunięcie. W oczach postaci osadziły zielone jak sama dżungla szmaragdy najczystszej wody. Tknięte słonecznymi promieniami, jaśniały wewnętrznym blaskiem niczym prawdziwe tęczęwki. We wnętrza wydrążonych klejnotów drżącymi z ekscytacji palcami kobiety wklejały bezdennie czarne, wyszlifowane obsydiany, by ich mroczna poświata oddała całą głębię źrenic modela. W miodowo-amarantusowe usta wprawiały starannie zęby z całych ziaren kukurydzy. Dla lepszego efektu należało je pokryć białą emalią.

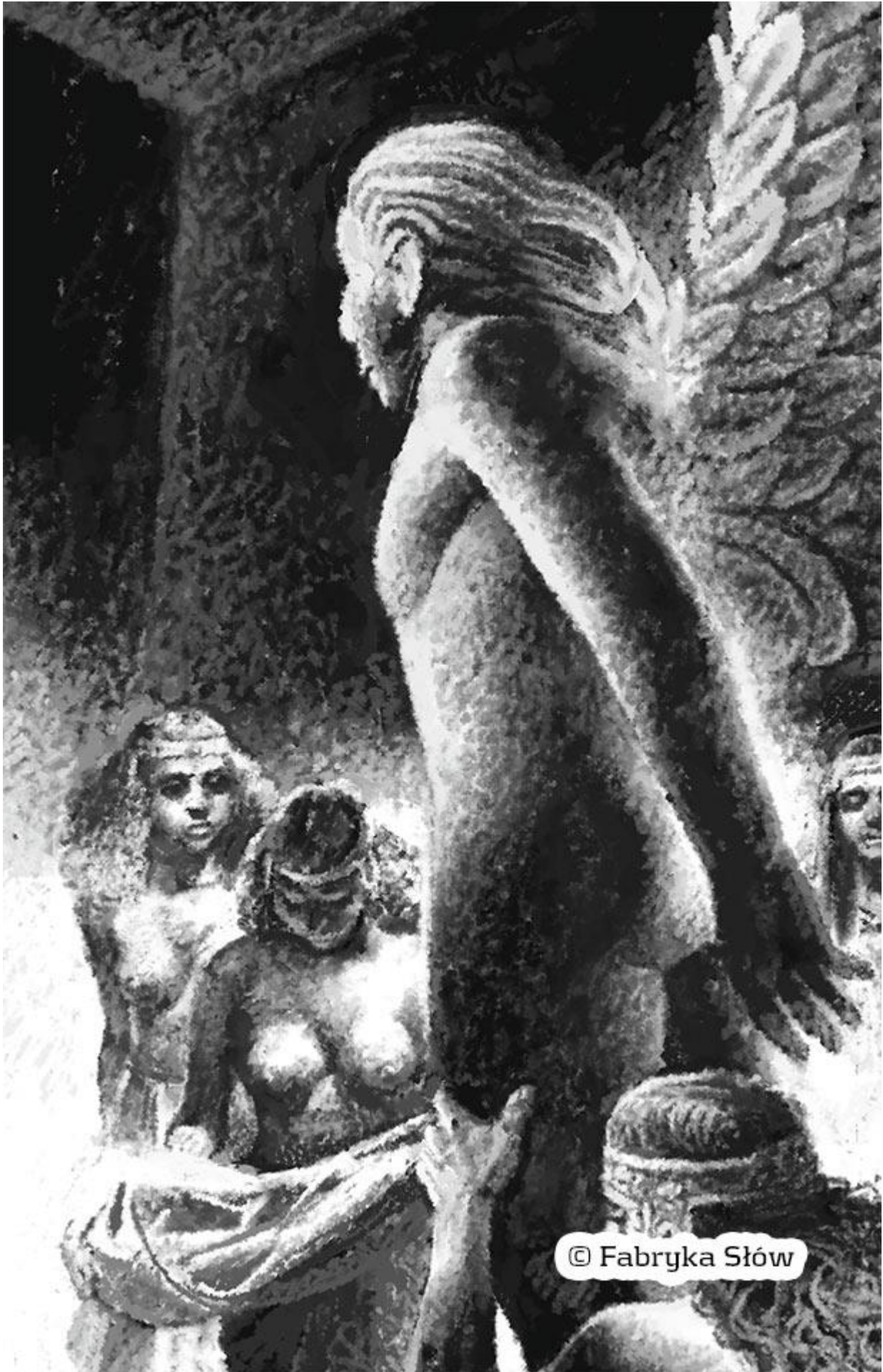
Kiedy właśnie kończyły pracować nad twarzą, z pracowni amanteków przyniesiono ogromne, rozłożyste, misternie wykonane skrzydła. O tak, prezentowały się wspaniale,

przymocowane do ramion gotowej już kukły. Potem tkaczki dostarczyły odpowiedni strój, w który dziewczęta odziały figurę. Na końcu, żeby dopełnić efektu, bogini Xilonen, wysuwając z przejęcia koniec języka, domalowała czarnym tuszem odpowiednie tatuaże.

Młodzieńcy przynieśli pomalowany na niebiesko tron, na którym posadzono absurdalnego, wyszczerzonego manekina, który bardziej przypominał zjadliwą karykaturę niż konkretną istotę. Potem w ręce z kukurydzianej masy wsadzono mu Gwiazdę Zagłady.

W ten sposób powstał ogromny, pokraczny Daimon z miodu i ciasta, podobny do figurki ustawionej na torcie jakiegoś pięcioletniego giganta. Bardzo, bardzo chorego na głowę.

Makabryczną kukłę usadzono z całą pompą na niebieskim krześle, które miało tam czekać aż do trzeciego, ostatniego dnia obrzędów.



© Fabryka Słów

Tymczasem jednak świętowano gorliwie. Na ulice wyległy procesje wspaniale przyodzianych wojowników. Przewodzili im kapłani, a towarzyszyli tancerze, grajkowie i śpiewacy wykonujący religijne hymny. Znów wszędzie lała się ciemna, gęsta, pozbawiona żywotności posoka zmarłych. Poddani Tezcatlipoki, choć od wieków przebywali w zaświatach, z lubością i wprawą mordowali się nawzajem, wykluwali oczy, wrywali serca, obcinali głowy i dłonie, patroszyli wnętrzności lub, co szczególnie lubili, obdzierali bliźnich ze skóry. Kapłani i arystokraci przywdziewali te skóry na grzbiety jak obrzydliwe przebrania karnawałowe i nosili, aż rozpadały się od rozkładu. Na kamieniach ofiarnych rozciągano kolejnych nieszczęśników, rozpruwano jak sparciałe worki i wydzierano dawno uschłe, szerniałe serca.

Wielu, bardzo wielu po tych zabiegach już nie znajdowało w sobie siły, żeby podnieść się i dalej uczestniczyć we feście. Dla nich nie było żadnej nadziei. Musieli odejść z rajskiego Tamoanchanu w wieczną ciemność krainy umarłych.

Znów setki i tysiące dusz, uśmierconych ostatecznie w Tamoanchanie, gdzie rzekomo miały zażywać spokoju i radości po dobrowolnej ofierze ze swego ziemskiego żywota, wędrowały ze smutkiem do Mictlanu, piekieł, w których rządził bezwzględny bóg śmierci, Mictlantecuhtli. Tam ginęły na zawsze, obracając się w nicłość.

Ale lud pozostały przy swym drugim nie-życiu szalał z radości w oczekiwaniu na prawdziwą ofiarę, którą już wkrótce miano złożyć na szczycie schodkowej świątyni.

Na krew straszliwego Abaddona, złowrogiego Lucyfera i zdradzieckiego jaguara.
Na powrót do mocy i sił witalnych.



Jednak trzej sojusznicy zamknięci w głębi Domu Srebra nie mieli pojęcia o toczących się w mieście rytuałach. Ściany z grubej blachy tłumiły wszelkie dźwięki.

Żaden z nich nie tknął jedzenia od dwóch dób. Daimon także, choć przyjaciele namawiali go, żeby jadł i pił.

– Przynajmniej ty nie stracisz sił – nakłaniał Lucek, ale Frey odmawiał.

Bał się, że znów dostanie porcję ayahuaski, a pragnął zachować zdrowe zmysły podczas walki z bogami Tamoanchanu.

Wszystkim trzem dokuczał przymusowy post, a szczególnie brak wody, ale Lucyfer i Abaddon, jako aniołowie bardzo wysokiej krwi, potrafili znosić takie niedogodności właściwie bez szwanku. Także Sinaa, bóstwo tropikalnego lasu, trzymał się bardzo dzielnie.

Miejscowi bogowie regularnie dostarczali więźniom pożywienia, które psuło się nietknięte w kące, lecz nie zmuszali nikogo do jedzenia.

Z początku przyjaciele za każdym razem, gdy otwierano drzwi, starali się podjąć próbę ucieczki, ale kończyli zawsze odparci i pobici, zepchnięci znów w odmęty przekłętego srebrzystego oceanu. Z czasem zaniechali bezsensownych wysiłków, bo jedyne, co zyskiwali, to siniaki i skaleczenia. Nie mogli sobie pozwolić na kolejne próby, uszczuplające i tak nadwątlone brakiem pożywienia siły.

Czas przeciekał niczym woda wsiąkająca w piasek, jak przyływ i odpływ nastawały dzień i noc, lecz oni mogli się tylko domyślać, jaka jest pora dnia. Na dnie mrocznego oceanu muszli i rozbłysków mdłego światła nie istniały ani doby, ani godziny.

Nastrój też panował denny. Ponury i pełen obaw.

Nie wymyślili, niestety, żadnego planu, lecz jednego byli pewni. Za żadne skarby nie poddadzą się bez walki.

I nie skapitulowali.

Gdy do komnaty po raz kolejny wlała się fala blasku, a za nią liczny oddział wojowników zamiast spodziewanych bóstw jedzenia, rzucili się na przeciwników z ułómkami muszli w dłoniach. Na Jasność, jak dzielnie się bronili! Ile dusz posłali do krainy boga śmierci!

Wiele. Naprawdę wiele.

Jednak wciąż za mało.

Pierwszy pod ciosami pałek padł dzielny i wierny Sinaa. Daimon natychmiast rzucił mu się na pomoc. Ale właśnie wtedy dosięgnął go podstępny, silny cios w potylicę i przyniósł mu mrok omdlenia. Widząc upadek Abaddona, Lucyfer krzyknął rozzwierajaco, lecz z jego ust nie połała się wrząca lawa. Drąc nienawistne ciała przeciwników szkarłatnym wachlarzem muszli, pośpieszył ratować towarzyszy.

Co mógł jednak zdziałać uzbrojony w starożytną, kruchą ozdobę ścienną?

Nic. Tak naprawdę to nic.

Dlatego jeszcze nim dotarł do ciał powalonych przyjaciół, zachwiał się i upadł, ugodzony ciężką drewnianą pałką w skroń. Przed oczami zobaczył morze czerwieni, a potem wszelkie światło zgasło, gdy wojownik upierzony jak rajski ptak wymierzył mu kolejny cios w głowę.

Srebrzyste więzienie i tym razem okazało swą moc i siłę. Ani Anioł Zagłady, ani imperator Głębi nie zdołali się z niego uwolnić. Dom Srebra zwyciężył. A miasto miało wkrótce dostać swoją upragnioną krew.



Rozdział XIII



Kiedy Asmodeusz przekroczył granicę Meru, obrzydliwe wody Wajtarani opadły już na tyle, że można było przejść przez zalane tereny mniej więcej suchą nogą. Algivius zdecydował, żeby skrócić sobie drogę, omijając krainy, przez które przechodziła ekspedycja Gabriela, i szybciej dostać się do Nagaloki, bo na razie magiczny kompas nie był im wcale potrzebny. Całe Meru bowiem zgodnie plotkowało o porwaniu Seredy, karze, jaka spadła na czerwoną głowę Bhairawy, oraz o gościnie, którą Nagendra zaoferował podróżnikom z dalekiego Królestwa.

Dlatego pierwsze wrażenie, jakie Zgniły Chłopiec odniósł z Pitriloki, dalekie było od zachwyty.

Smrodliwa, brudna toń Wajtarani, cofnąwszy się, zostawiła mnóstwo odpadków i nieczystości. Zielone niegdyś drzewa uschły, zamieniając się w brunatne patyki. Żyzne pola cuchnęły kloaką. Domy zaczęły przypominać kupy kompostu. Przydomowe ogródki przemieniły się w trzęsawiska pełne gnijących badyli.

Powódź wszędzie zbierała swoje żniwo.

Jeśli podróżni mijali jakieś wioski lub gospodarstwa, zawsze zastawali tam zniszczenie i ruinę.

W zielonym niegdyś krajobrazie pastwisk i zagonów dominowało teraz ponure, błotniste pustkowie. Nawet główny trakt, którym podążali, był słabo widoczny pod warstwą śmiecia i szlamu z rzeki.

Do tej pory nie napotkali po drodze żadnych przeszkód. Nastrój psuła jedynie przygnębiająca monotonia otoczenia. Jednak w chwili, gdy mijali trzy zapadnięte,

podmyte przez wodę i wyraźnie porzucone chałupy, zza sterty przegniłych belek wyskoczyła grupka paskudnych stworów i zastąpiła im drogę. Wszystkie uzbrojone w kije, toporki lub grube pałki, wyraźnie miały wrogie zamiary.

Śmierzące tak okrutnie, że odór wyciskał łzy z oczu, odziane w łachmany brudne i obrzydliwe, kłapały groźnie szczękami, wymachując ramionami, których było jakoś nieprzyjemnie za dużo. Ich skóra miała szarzielony odcień zgnilizny, pokrywały ją wyraźne plamy opadowe. Włosy przypominały stare kłaki albo pakuły. Pyski były wydłużone jak u wilkołaków albo małpie, płaskie, wykrzywione grymasami złości lub gniewu. Z paszczy sterczały groźne, poźółkłe kły.

Dwa smoki z orszaku džinnów, podrażnione ohydnyim fetorem, zaczęły się z miejsca boczyć i stawać dęba, lecz poza tym nikt nie przestraszył się odrażających napastników.

Algivius zareagował od razu.

– *Meth!* – krzyknął, wyciągając rękę w kierunku stworów.

Spomiędzy chudych, kościstych palców wystrzelił natychmiast strumień zimnego, błękitnego ognia. Ekspłodował dokładnie pod nogami wrogich istot, wyrzucając je w powietrze, a następnie powalając na stertę zgniłych drągów, spod których wpełzły. Żaden nie dawał nawet najmniejszych oznak życia.

– Jedźmy – nakazał czarodziej spokojnie.

Mod zaś musiał przyznać niechętnie, że stary alchemik jest cholernie sprawnym magiem bojowym.

– Co to było? – zapytał.

– Piśacze. Wstrętne kreatury. Coś w rodzaju tutejszych zombie, choć tak naprawdę należą do grona demonów. Zwykle żerują na cmentarzach i w pobliżu miejsc, gdzie pali się zwłoki. Żywią się odpadkami, które pozostają po ofiarach dla bogów. Pożerają skóry z sierścią, kopyta i inne obrzydliwe świństwa. Często dobierają się do ciał zmarłych. Najbardziej uwielbiają kał, który zostaje we wnętrznościach. Najodważniejsze i najbardziej głodne mogą czasem przeniknąć do wnętrza żywych ludzi, na przykład żałobników na pogrzebie. Wywołują wtedy choroby układu trawiennego. Nic dziwnego, że tak się rozzuchwaliły. Wajtarani niesie w swoich wodach mnóstwo nieczystości, w tym gnijące mięso, krew i ekskrementy. Muszą tu mieć mnóstwo pożywienia.

– Przestań, bo robi mi się niedobrze! – jęknął Zgniły Chłopiec z obrzydzeniem. – Zabiłeś te stwory?

– Mam taką nadzieję – odrzekł Algivius bez emocji. – To podstępne demony, które tylko szkodzą. Lepiej, żeby znikły z powierzchni ziemi.



Po wielu godzinach podróży dotarli wreszcie w rejony, w których cywilizacja zaczęła wygrywać z powodzią. Mijali coraz więcej wiosek, gdzie sprzątano gorliwie i przeprowadzano liczne prace naprawcze. Domy zyskiwały nowe dachy i strzechy, szorowano elewacje, wymiatano szlam i brudy z podwórek, porządkowano ogrody warzywne.

– Przynajmniej tutaj dbają o porządek – stwierdził Mod, nieco podniesiony na duchu widokiem krzających się wieśniaków.

– Pitrioka jest zasobną i bogatą krainą. Wkrótce całkowicie się podniesie i nie pozostanie nawet ślad po kataklizmie – powiedział czarodziej. – Tutejsi mieszkańcy są przyzwyczajeni do licznych powodzi. Na szczęście nie zawsze wylewa Wajtarani, ale inne rzeki, toczące czystą wodę. Zobaczysz, za kilka miesięcy nawet skażone tereny opanowane przez piśacze zazielenią się uprawnymi polami, a wsie zostaną odbudowane i ponownie zaludnione.

Zgniły Chłopiec przeciągnął się w siodle i ziewnął. Ściemniało się powoli, a oni byli w drodze od świtu. Asmodeusz przywykł do wygod i późnego wstawania, dlatego jedyne, o czym marzył, to ciepła kąpiel, dobry posiłek z winem i wygodne łóżko. Niestety, nic nie wskazywało, że zażyje dzisiaj choćby jednej z tych prostych przyjemności.

– Za kilka miesięcy mam zamiar odpoczywać spokojnie w swoim pałacu – oznajmił. – Jestem wykończony. Myślę, że powinniśmy poszukać noclegu.

– Niedługo rozbijemy obóz – obiecał alchemik.

– Nie do końca o to mi chodziło – mruknął Mod, który na samą myśl o spaniu pod gołym niebem i zimnej wodzie do mycia czerpanej ze strumienia dostawał dreszczy.

Algivius nie skwitował tego nawet drwiącym sarknięciem.

Był człowiekiem starej daty. Bardzo starej, można rzec. Całe ziemskie życie przyszło mu spędzić w czasach ciężkich, trudnych i niesprzyjających rozwojowi wolnej myśli. A czarnoksiężnik czuł nieustający, głęboki pociąg do wiedzy. Nie interesowały go zaszczyty, władza, złoto ani wpływy polityczne. Gardził nimi. Z całej duszy chciał tylko zrozumieć Wszechświat i zasady jego działania. Dlatego całkowicie poświęcił się magii, ryzykując dla niej najcenniejszy skarb. Własne zbawienie. Przeżył wiele lat przekonany i pogodzony z faktem, że po śmierci zostanie potępiony. Jego zdaniem wiedza była tego warta. Kiedy zmarł, przez długi czas pozostawał w głębokim szoku. Oczywiście, cieszył się, że nie płonie w wieczystym ogniu, cierpiąc nieskończone męki, ani nie tkwi po szyję w kotle z wrzącą smołą, jak się tego spodziewał. Od razu trafił do Głębi, ale ona wcale nie przypominała piekła. Musiał uczciwie przyznać, że wiecie tu o wiele przyjemniejszy i spokojniejszy żywot niż na Ziemi. Co więcej, w trakcie wielowiekowej praktyki magicznej nauczył się czarów niespotykanych i zdumiewających oraz dowiedział więcej o strukturze świata, niż zdołałby kiedykolwiek w życiu doczesnym. Jego talent został w zaświatach stukrotnie doceniony. Współpracował z wybitnymi magami z Królestwa i Głębi, którymi byli zarówno ludzie, jak i aniołowie oraz demony. Cieszył się szacunkiem i zaufaniem największego maga w Kosmosie, samego Razjela. Gdyby postanowił opuścić Otchłań i szepnął o tym choć słówko, Gabriel natychmiast załatwiłby mu wygodne lokum w którejś z Prowincji Olimpijskich lub we własnych włościach na Księżycu albo podległej mu osobiście planecie. Algivius, jako alchemik i czarnoksiężnik, nie mógł tylko oficjalnie zamieszkać w Królestwie. I, prawdę mówiąc, wcale mu się tam nie śpieszyło. Bo gdzieś głęboko w sercu był rozczarowany zaświatami, w których przyszło mu teraz żyć. Gdzie była surowa, podniosła chwała Niebios? Gdzie majestat, bojaźń boża i wszechpotęga? Co stało się z okrutną, lecz sprawiedliwą grozą Piekieł? Nie

było ich. Nie istniały. Zamiast tego znalazł tylko wyolbrzymione, zwielokrotnione odbicie dworskich i feudalnych stosunków, które doskonale znał z życia doczesnego. Znowu pojawili się wysoko i nisko urodzeni, panowie i plebs, biedacy i bogacze.

Poznawszy najpotężniejszych dostojników Jasności, najwyższych rangą aniołów, Algivius przeżył prawdziwy wstrząs. Okazali się tacy ludzcy, tacy przewidywalni w swoich ambicjach i planach. Niemal zwyczajni. Jeszcze gorzej było z Mrocznymi. Według maga największą bandą degeneratów, głupców, pyszałków i rozpustników, jakich kiedykolwiek spotkał.

A stary czarodziej niczym nie gardził tak bardzo jak brakiem moralnej dyscypliny. Wysoko urodzeni aniołowie oraz demony wydawali mu się czasem wręcz nędzni i obrzydliwi w swoich zachciankach i słabościach.

Dlatego, zbrojny w talent, który dawał mu w Otchłani i Królestwie legitymację do wygodnego życia, postanowił opancerzyć się jeszcze bardziej, strojąc się w kostium złego czarnoksiężnika. Chciał, żeby się go bano. Szanowano, ale ze stosownego dystansu. Nie życzył sobie dołączyć z biegiem wieków do elity ani ze świetlistej, ani z mrocznej strony, gdyż żadnej nie darzył szacunkiem. Zawsze miał naturę odludka, więc samotność mu nie przeszkadzała. W ciszy lepiej się myśli i pracuje, a magia jest ścieżką samotnych.

Tak, był apodyktycznym, pryncypialnym, złośliwym starcem przekonanym o potędze własnego talentu. Lecz tak naprawdę nigdy nie stał się złym człowiekiem.

Celowo zamieszkał w Pierwszym Kręgu, najuboższym, najnędzniejszym, położonym najbliżej neutralnego Limbo. Traktował to trochę jako akt pokuty, a trochę sprzeciwu wobec natrętnej łaskawości dostojników. Często bywał w Limbo, gdzie stykał się z aniołami niskich chórów, geniuszami, sylfami, dżinnami i innymi przedstawicielami nacji służebnych, półdemonami i ptaństwem niebieskim. Będąc zaś bystrym i wnikliwym obserwatorem, z biegiem czasu dostrzegł, że nie cała Głębia trąci zepsuciem, a ciężkie, pokorne życie jej szeregowych mieszkańców niesie w sobie wiele dobra i współczucia. Zwykli, ubodzy, niewykształceni Głębianie i skrzydlaci z najniższych kręgów Królestwa nauczyli go wykrzesywać to dobro i współczucie w sobie. Zaczął ich leczyć, wspierać radami, wspomagać drobnymi datkami i ratować z opresji zupełnie za darmo, gdyż pieniądze nigdy nie miały dla niego znaczenia. Zdobył poważanie, sympatię i szacunek swoich sąsiadów, a po kilku wiekach mieszkania w Otchłani nawet paru prawdziwych przyjaciół.

Uczył się, eksperymentował, pogłębiał wiedzę całkowicie swobodnie, nie tak jak na Ziemi. Czuł się potrzebny, a w razie czego miał z kim porozmawiać i komu się zwierzyć.

Niczego więcej nie potrzebował.

A Mrocznych nie cierpiał bardziej niż egzemy.

Kiedy Asmodeusz wyciągnął go na wyprawę w głąb Stref, stary mag widział w nim tylko butnego, nieznośnego, bezmyślnego dupka. Typowego przedstawiciela zdegenerowanej piekielnej arystokracji. Ale teraz, gdy bacznie mu się przyglądał, Zgniły Chłopiec coraz bardziej przypominał mu zaniedbane, bezdomne dzieciaki kręcące się po ulicach Limbo i niskich kręgów Otchłani. W oczach miał taki sam rozpaczliwy, żalony głód miłości. Podobną chytryść istoty, która od najmłodszych lat musi sobie radzić

zupełnie sama. Identyczny syndrom odrzucenia i dorastania w toksycznej, patologicznej rodzinie. W jego wielkim, pełnym oddania przywiązaniu do Lucyfera kryła się ogromna potrzeba posiadania kogoś bliskiego. Przyjaciela na śmierć i życie. Starszego brata, na którego zawsze mógłby liczyć. Tyle że liczyć na imperatora Piekieł można było z równym powodzeniem, co na marcowy lód.

Tak, czarnoksiężnik nie miał wątpliwości. Asmodeusz, jeden z najpotężniejszych Mrocznych, w niczym nie różnił się od zwykłego szczeniaka ze slumsów Pierwszego Kręgu.

Dlatego alchemikowi zrobiło się go żal. Tak po ludzku, zwyczajnie szkoda.

Słynny Zgniły Chłopiec okazał się tylko zagubionym dzieckiem.

Niestety, był też równocześnie zadufanym w sobie, irytującym, do imentu wkurzającym idiotą, czego stary mag po prostu nie mógł znieść. Nie czuł się na siłach, by móc ulżyć mu w czymkolwiek lub pomóc. Postanowił jednak, że postara się być dla Asmodeusza nieco miłszy i bardziej wyrozumiały. Choć było to okropnie trudne zadanie. Wiedział, że nie stać go na nic więcej, bo Mroczny Mrocznym się urodził i zawsze taki pozostanie.

Okropny. Głupi. Emanujący rozdętym ego.

Trudno. Algivius miał szczerzy zamiar utrzymać język za zębami i nie syczeć na Zgniłego Chłopca jadem złośliwości za każdym razem, gdy ten żaloszny dzieciak popełni błąd. Ale niestety, nie był w stanie zaręczyć, że mu się to uda. Naprawdę nie znosił kretynów.

Westchnął więc ze smutkiem i ruszył truchtem w ślad za smokiem Moda.



– Razem, dzieci! Pchajcie mocniej! Damy radę! – usłyszeli ponaglący, lecz podszyty wielkim zmęczeniem kobiecy głos.

Przejeżdżali właśnie obok niewielkiego gospodarstwa położonego daleko za wsią, na pustkowiu. Niebo zabarwiało się już bladym granatem nocy, lecz na zachodzie słońce jeszcze paliło czerwoną lampę odchodzącego dnia.

Asmodeusz zatrzymał smoka naprzeciw plecionego płotka okalającego obejście i z ciekawością zerknął na podwórze.

Ujrzał tam ładną młodą dziewczynę odzianą w skromne, lecz wesołe i kolorowe sari, otoczoną gromadką chłopców i dziewczynek. Cała grupa usilnie próbowała podnieść i przesunąć pień wielkiego zwałonego drzewa, które leżało w poprzek podwórka, blokując wejście do domu. Wszyscy byli spoceni, bladzi i wycieńczeni pracą ponad siły. Jedna z małych dziewczynek płakała bezgłośnie, lecz nadal dzielnie pchała rączkami oporny tram.

Niestety, z równym skutkiem mogli się starać zepchnąć z Ziemi sklepienie niebieskie.

Na pierwszy rzut oka było doskonale widać, że nie podołają zadaniu.

Zgniłemu Chłopcu z miejsca zrobiło się żal niebrzydkiej młodej kobiety. W dodatku ocknął się ukryty w jego duszy dżentelmen. Jeśli tanim kosztem mógł pomóc

damie w opresji, dlaczego, u diabła, miałyby tego nie zrobić?

Chrząknął znacząco, żeby jej nie przestraszyć, a potem zagadnął uprzejmie:

– Przepraszam, może moglibyśmy coś dla pani zrobić?

Odwróciła ku niemu okrągłą, zaskoczoną twarz, odruchowo ocierając brudne dłonie w poję szaty.

– Witaj, panie – wyjąkała. – Ja... nie wiem, co odpowiedzieć...

– Nie musisz nic mówić. – Mod uśmiechnął się rozbajająco. – Pozwól tylko, żeby dwójka moich służących na chwilę wkroczyła na twój teren. Dobrze?

Wydawała się tak zdumiona, że nie zdobyła się nawet na skinienie głową. Zresztą Zgniły Chłopiec wcale nie zamierzał czekać na przyzwolenie.

– Gebr! – rozkazał. – Ismel! Zabierzcie ten pień i wyrzućcie gdzieś daleko.

Oba wezwane dzinny natychmiast poderwały w górę bojowe smoki. Na chwilę przed domem zrobiło się zielono i złoto. Dzieciaki patrzyły na podniebny spektakl z rozdziawionymi buziami. Precyzyjnie i błyskawicznie Gebr oraz Ismel skierowali gadzie wierzchowce wprost na podwórze. Smoki zapikowały, rozwarły ostre, przerażające szpony.

Najmniejszy z chłopców pisnął trwożnie, wtulając twarz w kolana opiekunki.

W tej samej chwili dwie smugi szmaragdu opadły na drzewo, wpiły w nie pazury.

– Hoopa! – zawołał Ismel.

Na ten zew gady uderzyły zgodnie skrzydłami i podniosły wielki tram w górę, jakby to była trzcinka. Minęło zaledwie mgnienie, a ogromne bestie stały się plamkami na niebie nie większymi niż gawrony.

– Za moment wrócą – oznajmił bardzo zadowolony z siebie Mod. – Cieszę się, że mogliśmy pomóc, i życzę pani dobrej nocy.

Już miał ruszyć w drogę, gdy dziewczyna podbiegła do płotu i zawołała:

– Zaczekaj, panie! Jesteś naszym dobroczyńcą! Z całego serca dziękuję! Ściemnia się, może zechcesz przyjąć gościnę w naszym skromnym domku, żebyśmy mogła się choć odrobinę odwdzięczyc?

Łóżko, pomyślał natychmiast Mod. Albo jakieś suche posłanie. Dach nad głową. Ogień w piecu i kolacja. Dlaczego ja się zastanawiam?

Miejsce wyglądało na czyste i schludne, gospodyni była ładna i miła. Czy można oczekiwać lepszej perspektywy na nocleg?

Już miał otworzyć usta i przystać na propozycję, gdy nagle odezwał się Algivius:

– Nie, moja droga. Bardzo dziękujemy, ale ogromnie nam się śpieszy. Miło, że mogliśmy pomóc, ale na noc nie zostaniemy.

– Oczywiście, że tak! – sprzeciwił się gwałtownie Zgniły Chłopiec, oburzony bezsensowną decyzją starego maga. – Z radością przyjmujemy gościnę! Dzinny rozbijają obóz tuż za ogrodzeniem, za pozwoleniem pani skorzystają z wody ze studni, a ja i mój towarzysz zjemy kolację w domu i zanocujemy z przyjemnością. Na pewno posiłek będzie pyszny. I znakomite towarzystwo na dodatek.

Znów się uroczo uśmiechnął.

Gospodyni złożyła dłonie na piersi i skłoniła się głęboko.

– Co za radość! – zawołała. – Dzieci, pomóżcie przygotować jedzenie.

Asmodeusz zsiadł ze smoka. Za nim zsunął się czarodziej, kwaśny jak listopadowe jabłko. Zimną, chudą dłonią schwycił Zgniłego Chłopca za ramię.

– Asmodeuszu, nie! – syknął. – Wyczuwam w tym obejściu jakąś dziwną, złą aurę!

– Głupoty gadasz – zdenerwował się Mod. – Prześpię się tu i już. A ty rób, jak chcesz. Masz ochotę taplać stare kości w błocie, to proszę bardzo!

– Zostanę – warknął alchemik. – Żeby w razie czego wyprowadzić stąd cało twoją głupią dupę!

– Chyba masz początki demencji. Dupa nie może być ani mądra, ani głupia – sarknął Mod.

– Twoja jest – upierał się mag, wkraczając za Zgniłym Chłopcem na podwórze domostwa.



Wbrew pozorom Asmodeusz, choć kochliwy, nie miał najmniejszego zamiaru uwieść wieśniaczki. Nawet mu to do głowy nie przyszło. Nie zadawał się z kobietami jej klasy i pozycji po prostu z zasady. Był najwyższym Mrocznym arystokratycznej krwi i pochodzenia, a przygodne romanse tego rodzaju zupełnie go nie interesowały.

Po prostu czerpał przyjemność z damskiego towarzystwa. Jadł pyszne curry z ryby, w ciepłe, pod dachem, w schludnej, przestronnej, czystutkiej kuchni, gdzie dominowały przyjemne zapachy przypraw oraz ziół.

Ku swemu miłemu zdziwieniu pośrodku pomieszczenia zastał stół z krzesłami zamiast dywanów i poduszek. Dlatego ośmielił się żywić nadzieję, że w sypialni znajdzie normalne łóżko.

Na razie świetnie się bawił, gawędząc z gospodynią. Nie miał najmniejszych trudności, żeby się z nią dogadać, gdyż doskonale władał sanskrytem. Nauczył się, czytając „Ramajanę” i „Mahabharatę”, akcent zaś szlifował u dwóch niezwykle bystrych i wesołych kurtyzan z Meru.

Wieśniaczka nazywała się Dżara i prowadziła coś w rodzaju ochronki dla sierot, ponieważ bardzo kochała dzieci. Wylewnie dziękowała za wyniesienie drzewa, które przewróciła nawałnica towarzysząca wylewowi Wajtarani. Wyjaśniła, że nie mogła liczyć na pomoc sąsiadów, bo mieszkańcy Pitriloki krzywo patrzyli na jej sierociniec.

– Tutejsi ludzie nie są źli – przekonywała jednak. – Takie poglądy wynikają po prostu z ich wiary. U nas każdy odpowiada za swój los, budując własną karmę przez wiele wcieleń. Większość uważa, że osierocone dzieci zasługują na samotność i cierpienie, ponieważ zrobiły coś złego w poprzednim życiu i teraz ciągną za sobą dług karmiczny. Nie należy im pomagać i otaczać opieką, bo nie oczyszczą swojej karmy i w nowym wcieleniu znowu będą cierpieć. Dla mnie jednak to niewinne istotki, które niczym nie zasłużyły na opuszczenie. Dlatego zajmuję się nimi i narażam tym samym na niechęć mieszkańców wioski.

– Nie przejmuj się zabobonami – pocieszył ją Asmodeusz. – Dobra z ciebie dziewczyna. Dbasz o innych, a to zawsze na końcu przynosi szczęście. Zobaczysz, los ci to wynagrodzi z nawiązką. Dobro rodzi dobro, prawda?

Przytaknęła z zapalem. Miała piękną, smagłą cerę, wielkie, sarnie oczy wpatrzone z zachwytem w swego gościa, długie, czarne włosy, gęste i lśniące, łagodną, okrągłą twarz i bujne kształty odaliski. Modowi wydawała się nieco za pulchna, ale i tak mu się podobała. Ładna dziewczyna, smaczna kuchnia, słodkie, korzenne wino. Wszystko tutaj sprawiało mu przyjemność.

Nie przeszkadzało nawet towarzystwo dzieci, którego zazwyczaj nie tolerował. Te z ochronki były bardzo grzeczne, spokojne i wyciszone. Szybko wykonywały polecenia, jadły sprawnie, bez grzebania i rozlewania, pomagały przy stole i w gospodarstwie, nie dopraszały się uwagi i nie pakowały na kolana, czego Modo nie znosił. A co najważniejsze, cały czas siedziały cicho.

Odrężony Asmodeusz zerkał niekiedy z irytacją na Algiviusa, który tkwił za stołem nieruchomy i milczący jak zasuszony śledź i nie wziął do ust ani kęsa.

Niech się bzdyczy do woli, głupi dziad, stwierdził Zgniły Chłopiec złośliwie. Ja tam na przykład doskonale się bawię.

Po kolacji, kiedy przyszedł czas na sen, Mod znalazł w swojej sypialni upragnione łóżko zasłane czystą, białą, pachnącą ziołami pościelą. Zasnął od razu, niezwykle zadowolony.



Spał jednak słabo. Męczyły go dziwaczne, głupie sny, lecz nie pamiętał ich treści. Pograżony w nerwowej drzemce, roił nieprzyjemne, mroczne koszmary, w których przewijał się motyw rozkładu i zgnilizny. Czuł dojmujący smród, a z kuchni dochodził go odgłos starczego mamlania. Co chwila słyszał też tętent końskich kopyt i wysokie, ostrzegawcze rzenie. W majakach widział również dwa rumaki białe jak obłoki, z ogonami i grzywami z pałającego złota, które pędziły drogą wprost na niego. Dygotał i pocił się w pościeli, rzucając po łóżku, aż ocknął się pod dotykiem chłodnych palców wiekowego maga.

Algivius stał obok łóżka całkowicie ubrany i czujny jak stary jastrząb. Oczy miał bystre, twarz ściągniętą.

– Obudź się i ubieraj – szepnął. – Musisz coś zobaczyć.

Asmodeusz szybko wciągnął ubranie i podążył chyłkiem za skradającym się czarownikiem. W progu kuchni alchemik zatrzymał się i położył palec na ustach. Gestem zachęcił Zgniłego Chłopca, żeby zerknął przez drzwi.

Kiedy to zrobił, struchlał, a kolacja podjechała mu natychmiast do gardła pienistym, gorzkim spazmem wymiotów. Ujrzał bowiem swoją gospodynię podczas nocnej uczty. Lecz zamiast ślicznej młodej dziewczyny przy stole siedziała teraz okropna starucha ubrana w strzępy brudnego, uwalanego błotem i odchodami, kolorowego sari. Wyraźnie widoczna w świetle księżycy wpadającym przez okno, skórę miała szarą i trupią, zwisającą w obrzydliwych fałdach. U szyi kołysało się rozdęte wole. Włosy, jeszcze przed chwilą czarne i połyskujące zdrowiem, wyglądały niczym siedlisko pajęczyn i grzybów. Twarz zapadła się jak zgniły owoc, skurczyła. Oczy wpadły głęboko w oczodoły, szarawe niczym popiół, zasnute bielmem zgrzybiałej starości.

Lecz jeszcze gorzej prezentował się jej posiłek. Dżara żuła coś miarowo resztkami zębów, z warg lała jej się ślina.

Co chwila sięgała wykrzywioną, starczą dłonią po kolejny kęs leżący na blacie. Wbijiała w niego zrogowaciałe, pożółkłe paznokcie przypominające kawałki połamanej kory, a potem wkładała z namaszczeniem do ust. To, co jadła, było bure, kleiste, cuchnące nieprawdopodobnie trupem, grobem, spalenizną i ziemistym smrodem piwnicy.

Padlina! – zrozumiał z potworną odrazą Modo. Ona żre padlinę!

Z miejsca zrobiło mu się potwornie niedobrze. Z najwyższym trudem powstrzymywał atak wymiotów.

Skoro je trupy, to co ja jadłem, na Mrok?! – krzyczało mu w głowie straszne pytanie.

– Popatrz na dzieci! – tchnął mu w ucho Algivius, a Zgniły Chłopiec dopiero wtedy spostrzegł, że uczująca nie jest w kuchni sama.

Sieroty siedziały wraz ze swoją opiekunką dokoła stołu, ich nóżki dyndały z wysokich krzeseł, nie dotykając podłogi. Przedtem z powodu szoku i grozy po prostu ich nie dostrzegł. One także się zmieniły. Próżno było szukać słodkich, miłych twarzątek, wesołych oczu i zabawnych minek. Wokół blatu zgromadziły się szkaradne, karłowate istoty. Miały wielkie, rozdęte głowy, zupełnie łyse albo pokryte meszkiem przywodzącym na myśl pleśń. Baniaste czoła zwisały nad nosami zredukowanymi do samych nozdrzy. Niektóre ze stworzeń patrzyły tępo wyłupiastymi, pozbawionymi wyrazu oczami przypominającymi czerwone krosty. Inne wbijały w blat okrągłe, czarne ślepia pajęczaka, martwe jak gwoździe wetknięte w miękkie ciasto. U wszystkich z wąziutkich, bladych, bezkrwistych usteczek wystawały ostre kły. Okrągłe łby kołysały się na cienkich szyjach osadzonych na wątłych, kościstych ramionach. Patykowate ręce kończyły się płaskimi dłońmi o długich szponach. Z chuderlawych, sinych tułowi, gruszkowatych z powodu wzdętych brzuchów, wyrastały rachityczne, krótkie, bose nogi.

Ani odmieniona Dżara, ani potworki nie zwracały żadnej uwagi na Moda i Algiviusa. Aż do czasu, kiedy nieszczęsny Zgniły Chłopiec nie zdołał już dłużej walczyć z żołądkiem i zwymiotował na podłogę.

Jeden ze stworów wyciągnął wtedy rękę w stronę intruzów i zasyczał wściekle jak wąż. Pozostałe natychmiast także zaczęły groźnie syczeć, prychać i powarkiwac. Tylko gospodyni, zupełnie obojętna, kontynuowała spokojnie koszmarną kolację.

– Uciekajmy! – zakomenderował alchemik.

Obaj zaczęli się wycofywać do korytarza, lecz w tej samej chwili dzieci poderwały się od stołu i wzbily w powietrze niczym ohydne, bure balony. Już nie syczały, ale wrzeszczały wielkim głosem w ogromnym wzburzeniu.

– Niedobrze – stęknął Algivius. – Jeśli zaatakuję, fala uderzeniowa czaru może zrobić nam krzywdę w tak ciasnym pomieszczeniu.

Jednak między jego palcami iskrzył już i przeskakiwał maleńki błękitny płomyk. Dosłownie w chwili, gdy miał nim cisnąć w kłębowisko odrażających upiórków, na podwórzu rozległo się donośne rżenie. Przez okno kuchni Asmodeusz dostrzegł dwa rumaki ze swego snu. Grzywy i ogony płonęły im jasnym, złocistym blaskiem, jakby w obejściu ktoś rozniecił kilka ognisk. Siwe konie stanęły dęba, zmalowały

i przeistoczyły się w mgnieniu oka w dwóch jasnoskórych, blondwłosych młodzieńców. Obaj natychmiast wbiegli do domu, kierując się od razu w stronę kuchni.

– Przybyliśmy na pomoc – zawołali chórem, a Mod zorientował się, że są identyczni.

Bliźniacy, zrozumiał.

Złoci chłopcy chwycili się za ręce, na ich przystojnych twarzach pojawił się wyraz skupienia. W jednej chwili rozświetlili się jak zapalone świece. Emitowali wokół jasny, czysty, słoneczny blask, jakby w strasznej kuchni nagle zrodziło się i zapanowało letnie południe.

– Patrzcie na cienie – rozkazali dwugłosem.

Mod od razu zorientował się, że ciemną plamę na podłodze rzucała jedynie niewzruszona, oddana żuciu Dżara. Chmara trupich dzieci nie pozostawiała na ścianach choćby słabiutkiego, bladego powidoku. Zbiła się w kłęb, sycząc i parszcząc, wyraźnie zaniepokojona pojawieniem się niespodziewanej odsieczy.

Na ten widok jeden z bliźniaczych braci, pstryknąwszy palcami, wzbudził od razu suty ogień w piecu, a drugi sięgnął po woreczek wiszący u pasa i wsypał w palenisko sporą garść żółtego proszku. Rozszedł się mocny, gorzkawy, lecz przyjemny aromat prażonej przyprawy.

Upiorki zawyły strasznymi głosami i jak obrzydliwe ómy w jednej chwili wyfrunęły oknem, roztapiając się w mroku nocy.

Algivius westchnął z ulgą, gasząc gestem niebieski płomyk, a Modo znów poczuł skurcze i zwymiotował pod nogi zbawców. Wcale się tym nie przejęli. Złożyli dłonie na piersiach, ukłonili się z szacunkiem, a ich przystojne, identyczne twarze niczym nadchodzący świt rozświetlił przyjazny uśmiech.

– Witajcie, szacowni przybysze z Otchłani – odezwali się równocześnie. – Najwyżsi władcy Meru przysłali nas, żebyśmy odprowadzili was bezpiecznie do Nagaloki śladami wyprawy Gabriela, której poszukujecie. Cieszymy się niezmiernie, że zdołaliśmy dotrzeć na czas.

Ach, te ploty, pomyślał alchemik. W Meru nic się nie ukryje. To chyba najbardziej rozplotkowana kraina w Strefach Poza Czasem.

Uradował się jednak bardzo, że będą odtąd mieli miejscowych opiekunów o bardzo wysokiej pozycji wśród bogów.

– Witajcie i wy, szlachetni Aświnowie – odezwał się do bliźniaków. – Dziękujemy za udzieloną pomoc. To wielki zaszczyt, że zechcieliście zostać naszymi przewodnikami po Meru.

– Ależ przeciwnie. To my czujemy się wielce zaszczytzeni.

– Możecie mnie oświecić, cóż to za okropne istoty czaiły się w tym domu? Znam nieco historię ras zamieszkujących Meru, ale przyznam, że nigdy o nich nie słyszałem.

– To bhuty – wyjaśnili chórem. – Parszywy pomiot duchów i demonów. Roznoszą choroby i nieszczęścia, wsączając je śpiącym do uszu podczas nocy. Umieją przybierać różne postaci. Rozpoznaliśmy je zaraz, bo nie rzucają cienia i nigdy nie siadają na podłodze ani na ziemi. Odstrasza je zapach palonej kurkumy, którego nie mogą znieść. Czekają, aż domownicy głęboko zasną, a potem zakażają ich swoją trucizną.

– Ja wcale nie spałem – oznajmił czarodziej. – Czuwałem przez cały czas, bo coś mi się nie podobało w tym domu.

– Dlatego nie zaatakowały – rzekli Aświnowie. – Nie są zbyt odważne, zwłaszcza w konfrontacji z doświadczonym magiem. Ale jeśli poczują się zagrożone, walczą z wielką zaciekłością.

– Ciekawe – mruknął Algivius. – Potomstwo demonów i duchów. No, no, kto by przypuszczał? A ta nieszczęsnica chyba do nich nie należy, skoro nie uciekła?

Wskazał Dżarę wciąż tkwiącą niewzruszenie za stołem.

– Ach, nie. Ta biedaczka formalnie jest demonem, ale nie robi nikomu krzywdy. We dnie objawia się jako piękna i dobra bogini dbająca o rodziny, gospodarstwa domowe, a szczególnie dzieci, nocą zaś przeistacza się w odrażającą staruchę błakającą się po pustkowiach w poszukiwaniu ulubionej padliny.

– Obłożono ją klątwą? – zainteresował się mag.

– Nie. Taka się urodziła. Nikt nie wie czemu.

– O rany! – jęknął zdjęty obrzydzeniem Mod. – Jadłem u niej kolację!

Znów zrobił się zielony na twarzy i schwyciły go spazmy suchych torsji.

– Witaj, wielki Asmodeuszu, zaufany przyjacielu imperatora – ukłonili się ponownie młodzieńcy. – Wspaniale widzieć cię w Meru! Cieszymy się wszyscy przeogromnie. A teraz lepiej opuśćmy ten dom. Świeże powietrze dobrze ci zrobi.

Dobrze może mi zrobić tylko szklanka głębiańskiego bimbrow, pomyślał ponuro Zgniły Chłopiec. Albo raczej dwie.

Z ulgą opuścił odrażające domostwo i podążył za końskimi braćmi.

Czarownik miał taką minę, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”, ale na szczęście powstrzymał się od komentarzy.



– Co to za rozkoszne Siwki-Złotogrzywki? – zapytał Mod Algiviusa, gdy rankiem ruszyli w dalszą drogę w towarzystwie bliźniaków, którzy znów przybrali postać koni.

– Na twoim miejscu bym z nich nie kpił. To sławni Aświnowie, synowie boga słońca. Są wojownikami, ale przede wszystkim wielkimi uzdrowicielami. Potrafią pokonać śmiertelne choroby, strzegą wrót śmierci, a nawet umieją przywracać starcom młodość.

– Biednej Dżarze jakoś nie pomogli.

– Zrobiliby to, gdyby byli w stanie. Nie każdy przypadek da się wyleczyć.

Asmodeusz nic nie odpowiedział, bo miał dość przemądrzałych pouczeń alchemika.

Jednak w ciągu kilku dni, które spędził w podróży, polubił boskich bliźniaków. Kiedy już przyzwyczał się do tego, że zwykli mówić chórem, musiał przyznać, że są interesującymi i inteligentnymi rozmówcami.

Opowiedzieli mu wiele o Meru, a także o czekającej go gościnie w Nagalocce. Okazali się wesołymi i miłymi towarzyszami. Wysławiali się ze swadą, lubili się śmiać i w ogóle wnieśli ożywczy powiew w zmęczoną troskami i długą wędrówką duszę

Zgniłego Chłopca. Wiele się od nich dowiedział o krainach, które przemierzali, oraz obyczajach ich mieszkańców. Na szczęście Aświnom daleko było do mentorskiego tonu starego maga, więc Mod dobrze się czuł w ich towarzystwie.

Gdy dotarli do granic Nagaloki i przyszła pora rozstania, z żalem pożegnał się z braćmi. Ustalili jeszcze, że gdy będzie w drodze powrotnej, ugoszczą go w swoim niebiańskim pałacu położonym u wrót przedświt, a potem pogalopowali z powrotem do domu zająć się własnymi sprawami.

Na razie, Siwki, powiedział do siebie Zgniły Chłopiec, odprowadzając ich wzrokiem. W sumie fajne z was chłopaki. I pomyśleć, że zaprzyjaźniłem się z końmi!

– Nie martw się. W Nagalocce ci się spodoba, zobaczysz – pocieszył go Algivius, podjechawszy blisko na swoim smoku.

– Tak sądzisz? – zastanowił się fiołkowooki demon.

– Na pewno.

I jak się okazało, tym razem także miał rację.



Już od pierwszej chwili Zgniły Chłopiec zachwycił się krainą nagów. Podobało mu się wszystko. Majestatyczna przyroda. Wysokie skały porośnięte bujną roślinnością, wciąż zraszane łzami kaskad, strumieni i wodotrysków. Mroczne, romantyczne grotty pełne tajemnic i drogich kamieni. Niezliczone jeziora i sadzawki, jak akwamaryny i szafiry wprawione w zieloność lasów i łąk. Przepiękna, zharmonizowana z krajobrazem architektura. Oszałamiający pałac Nagendry stanowiący cud techniki budowlanej, wkomponowany w zbocze pod wodospadem. Starożytna sztuka i poezja, pełna symboli i ukrytych znaczeń.

Sam król nagów, który okazał się łaskawy, dobrotliwy i pełen mądrości. Asmodeusz prowadził z nim długie do świtu rozmowy dotyczące kultury, cywilizacji, filozofii oraz magii i zdążył w krótkim czasie bardzo go polubić.

Lecz najbardziej podobała mu się księżniczka Cenny Jedwab.

Zrobiła na nim piorunujące wrażenie, ledwo po raz pierwszy ujrzał ją na oczy. Doceniał jej urodę, intelekt, wiedzę i poczucie humoru. Spędzali razem wiele czasu, a jej małżonek, błękitny wąż, nie miał nic przeciwko temu. Co więcej, zachęcał żonę, żeby zabawiała szlachetnego gościa, na każdym kroku umilając mu czas. A ona wykonywała polecenia męża z gorliwością, wdziękiem oraz klasą.

Tak, Algivius znów okazał się dobrym prorokiem.

Modo dosłownie zakochał się w oświeconej, wyzwolonej, pogodnej i przesiąkniętej artystycznym klimatem Nagalocce.



Pewnego razu po kolejnej długiej debacie na temat sztuki Meru, gdy węzowy król zastał swego gościa podziwiającego szczególnie kunsztowne malowidło na ścianie holu, postanowił sprawić mu niespodziankę.

– Jeśli zechcesz pójść za mną, Najmroczniejszy, pokażę ci coś ciekawego.

Mod zgodził się chętnie.

Jednak nawet w najsmielszych snach nie przypuszczał, że Nagendra ma zamiar otworzyć przed nim wrota raj.



– Oto mój skarbiec – oznajmił Nagendra pogodnie, zupełnie bez śladu dumy. – Zbiory kolekcjonowane od wielu wieków. Rozejrzyj się, proszę, Mroczny, i wybierz, co ci się podoba. Chętnie ofiaruję część dzieł tak wybitnemu znawcy i koneserowi sztuki. W twoim pałacu będą się prezentować lepiej niż u mnie.

– Och! – stęknął tylko Asmodeusz, któremu na widok niezliczonych cudowności dosłownie opadła szczęka.

Zapomniał podziękować, tylko wpatrywał się w nieskończone zastępy rzeźb, jakby ujrzał przed oczami rozkosze raj. Powoli, krok po kroku zaczął się zagłębiać w gąszcz zastygłych w wysublimowanych pozach ramion, tańczących stóp, wygiętych wdzięcznie tułowi i pochylonych głów. Niezmierną, barwną starożytną krainę czarów.

Podziwiał i chłonał jej piękno, nie mogąc uwierzyć, że niektóre z tych odwiecznych klejnotów sztuki mogą się wkrótce stać jego własnością. Muskał je lekko palcami, kładł na nich dłonie, jakby pragnął pozyskać choć odrobinę magicznej energii, którą epatowały, niemalże przytulał się do drewna i kamienia, które talent dawnych artystów ukształtował w tak wyrafinowane formy.

– Co to? – spytał z nabożną czcią, wskazując monumentalną złotą statwę płasającego młodzieńca o jasnej, łagodnej twarzy promieniejącej mądrością.

– Tańczący Śiwa w aspekcie niszczycielskiej siły, która przynosi także odrodzenie – wyjaśnił król nagów. – Nadzwyczaj udany portret. Pan Stosów Kremacyjnych wygląda zupełnie jak żywy. Chciałbyś go mieć, panie?

– A mógłbym? – wyjąkał Mod z nieśmiałością i słabym cieniem nadziei.

– Oczywiście. Zaraz każę moim sługom, żeby zabrali się do pakowania. A ty nie krępuj się, Najmroczniejszy. Wybieraj śmiało, co tylko wpadnie ci w oko.

– Jesteś nadzwyczaj łaskawy, królu. – Zgnięty Chłopiec uśmiechnął się przyjaźnie. Nagendra wydawał mu się teraz najlepszym kumplem na świecie.

Głębokie, ciemnobłękitne oczy naga rozświetlił nagły blask, jakby ktoś rozpałił ogień na dnie dwóch bliźniaczych jezior.

– Służymy Jasności. Ugięliśmy się przed Jej mocą i uznaliśmy zwierzchność. Lecz w duszach jesteśmy dziećmi nieokiełznanej natury, dzikimi i niezależnymi. Dlatego bliżej nam do Otchłani niż do Królestwa. Ośmielam się mówić do ciebie szczerze, panie, gdyż wyczuwam w tobie przyjazne nam, gadom, odczucia i myśli. Pragnę, żeby słynny Asmodeusz, przyjaciel samego imperatora Głębi i jeden z najpotężniejszych Mrocznych, miło wspominał pobyt w Nagalocce.

– Już czuję się u ciebie doskonale, królu – przyznał Mod. – Jestem bardzo wdzięczny za gościnę, przyjaźń, ciepłe słowa i wspaniałe podarki, których mi nie szczędzisz. Twoja hojność jest niebywała i godna najwyższego uznania. Rozdajesz skarby o wiele cudowniejsze niż drogie kamienie i klejnoty. Bo nie wahasz się ofiarować

gościowi piękna. A to najważniejsza rzecz na świecie.

Lazurowe oczy wężowego władcy rozblęły radością.

Wiedział, że jego upominki trafiają do właściwych rąk. Mod był całkowicie, zupełnie i dogłębnie zachwycony dziełami dawnej sztuki Meru. Wobec tak gorliwych zapewnień, że może wybierać, co zechce, ostatecznie wyzbył się skrupułów. Wkrótce krążył już po licznych komnatach wypełnionych eksponatami, szczęśliwy jak dzieciak w fabryce prezentów Świętego Mikołaja. Przestał się przejmować wielkością wybranych obiektów czy ewentualnymi problemami z transportem. Brał, co mu dyktowało serce, a było to serce prawdziwego miłośnika antyków.

– A to? – pytał co chwila. – Cóż to za wspaniała ceramiczna figura? Skąd pochodzi to чудо?

– Z samego Mohendzo Daro – wyjaśnił z satysfakcją Nagendra. – Masz wyśmienity gust, Mroczny. To niezwykle cenny zabytek.

– Niesamowity! – szeptał tylko z zachwytem Zgniły Chłopiec i już pędził do kolejnego dzieła.

– Ten rydwan? Czy przedstawia dysk słoneczny w jego drodze po nieboskłonie?

– W samej rzeczy. To bóg słońca uchwycony w chwili, gdy rankiem wyrusza w codzienną podróż. Całkiem udatny, prawda?

– Niebawyła – pojękiwał tylko Mod, a tymczasem zastęp drewnianych, kamiennych i metalowych bóstw oraz demonów, które miał zamiar zabrać ze sobą, rósł gwałtownie tak bardzo, że wkrótce zaczął przewyższać liczbę żywych sług, z którymi Mroczny wyruszył z Głębi przed kilkoma tygodniami.

Nagendra z pewną pobłażliwością patrzył na swego gościa miotającego się po skarbcu z szaleństwem w oczach i zachwytem wyraźnie wypisanym na twarzy. Nie było wątpliwości. Asmodeusz wpadł w swój słynny amok archeologiczny, którego ataki zdarzały mu się, kiedy oglądał szczególnie cenne dla siebie zabytki.

I bardzo dobrze, cieszył się w duchu król nagów. Dzięki tak prostej sztuczce i utracie niewielkiej w sumie części olbrzymich zbiorów zyskał ważnego i potężnego sojusznika w Otchłani.

A to mogło kiedyś zaprocentować realnymi korzyściami.

Dlatego błękitny wąż był tak samo zadowolony z gościny Mrocznego o wysokiej pozycji i nieocenionych wpływach jak sam Zgniły Chłopiec z otrzymanych podarków.



– Ostrożnie! Ostrożnie, mówię! Jeśli coś uszkodzicie, osobiście powyrywam wam skrzydła! – pokrzykiwał srogo niedoszły regent Głębi, który nadzorował pakowanie prezentów otrzymanych od władcy węży.

Jego dzinny tymczasem okręcały szmatami bezcenne poślacane posągi i ogromne kamienne statuy, a następnie z trudem, stękając, ładowały je na wozy wyścielone grubą warstwą słomy.

Algivius wpadł w ten chaos jak sokół w stado jaskółek, tak samo groźny i złowróżbny. Na widok rozlicznych bogów przygotowanych do transportu poderwał ręce

w górę, jakby wzywał niebo na świadka nieskończonej głupoty Zgniłego Chłopca.

– Na litość wszystkich świętych Pańskich, Asmodeuszu! – wykrzyknął z wściekłością. – Cóż ty wyrabiasz, u Boga Ojca?!

– Pakuję podarki od szlachetnego Nagendry – wyjaśnił Mod sucho, gotów stanąć do walki w obronie ukochanych antyków.

Nie, tym razem nie miał zamiaru ustąpić. Stary mag mógł się do woli ciskać, wrzeszczeć i podskakiwać ze złości jak wyłysiały kruk tknięty apopleksją, ale i tak nic nie uzyska. To postanowione. Zabytki jadą z nimi w drogę.

I już.

Zacisnął gniewnie usta, gotów odeprzeć każdy atak wroga.

Tymczasem alchemik ze zgrozą przypatrywał się coraz bardziej wyładowanym wozom. Może i nie był nigdy tak daleko w Strefach Poza Czasem, ale rozum miał jeszcze ostry niczym świeżo odpakowana żyłotka i doskonale zdawał sobie sprawę, że zaprzęgi wołów ciągnących tak znaczny ciężar nigdy w życiu nie przebędą tropikalnej dżungli.

Niestety, Zgniły Chłopiec ogarnięty świętym szałem archeologicznym nie przyjmował tego do wiadomości.

Algivius szarpnął za pierwszą z brzegu brezentową szmatę, odsłaniając orli dziób i wyłupiaste ślepie olbrzymiego ptaka Garudy. Kamiennego, co warto dodać.

Spojrzał na Asmodeusza z głębokim wstrętem, bo bardzo męczyła go bliska obecność idiotów.

– Czy wiesz, ile to może ważyć? – syknął gniewnie. – Tak na oko. No, strzelaj, proszę.

Mod tylko wydał usta.

– Nie obchodzi mnie to. Dostałem od Nagendry niezwykle cenne dary i nie zamierzam ich porzucić. Zresztą to byłaby obraza dla szlachetnego i hojnego gospodarza.

Czarodziej wsparł się pod boki i parsknął przez nos, jakby niefrasobliwość i głupota Głębianina śmierdziały dojmująco.

– Nie obchodzi cię. No dobrze. Ale mnie już tak. I oceniam ten kawał kamienia na jakieś cztery tony z górką. Postaraj się pomyśleć, Asmodeuszu, i powiedz mi, czy naprawdę chcesz wlec ze sobą w nieznaną czterotonową rzeźbę? Czyś ty doszczętnie zwariował?

Zgniły Chłopiec zamachał rękami, jakby oganiał się od dokuczliwego owada.

– Idź sobie krakać gdzieś indziej! Nic nie wskórasz! Zabytki jadą z nami. I tyle.

Alchemik skrzywił się tylko, obszedł wszystkie wozy, postukał palcami w piasty, spróbował zakołysać burtami.

A potem zwrócił ku regentowi Głębi oblicze przecięte paskudnym uśmieszkiem.

– Wyśmienicie, Mod. Jak chcesz. Ale wiesz chyba, że te twoje przeklęte grzmoty w żadnym razie nie przetrwają w dżungli. Wozy natychmiast utkną lub potoną w bagnie, a zabytki, które tak kochasz, pograżą się na zawsze w błocie. Znikną pod warstwą wody, mułu i brudu. Na wieki zapomniane spoczną w grzęzawisku. Drewniane zgniją, metalowe stoczy rdza, a kamienne pójdą na dno szybciej niż armia Egipcjan w Morzu Czerwonym. Oczywiście, niektóre, nieliczne, ocaleją. Ale podły klimat, wilgoć i gorąco pozostawią zniszczenia, których nie zdołasz naprawić. Farba się złuszczy, złocenia wypełzną,

robactwo stoczy drewniane elementy, wszystko pokryje pleśń i toksyczna patyna. Lecz tobie to w niczym nie przeszkadza, prawda?

Biedny Mod poczuł, że słowa Algiviusa przekłuwają jego zapal niczym paczka szpilek wesoly, kolorowy balonik. W sercu zrozumiał bowiem, że stary dziad ma rację. Ciągnięcie ze sobą rzeźb, reliefów i artystycznych wyrobów w sam dziki, niebezpieczny matecznik graniczyło z szaleństwem.

Bezcennym dziełom naprawdę groziło tam niebezpieczeństwo.

Twarz Zgniłego Chłopca wydłużyła się, ramiona opadły, jakby spoczał na nich ciężar wszystkich zgromadzonych na dziedzińcu zabytków. Z rozpaczą w fiołkowych oczach zaczął się przyglądać zgromadzonym skarbowi, które zły los właśnie wydierał mu z ramion jak ukochane dzieci matce.

Wyglądał teraz jak jakaś szalona, żalonna, lecz z gruntu nieszczęśliwa Niobe szlochająca nad utraconą kolekcją. Jeszcze chwila, a naprawdę zacząłby płakać.

Staremu magowi nagle zrobiło się go żal. Srogi grymas na jego obliczu złagodniał, kiedy podszedł i położył zimne, kościste palce na ramieniu Mrocznego.

– Posłuchaj – zaczął. – Przecież Nagendra z pewnością przechowa dla ciebie te rzeczy. Zabierzemy je w drodze powrotnej. W ten sposób dowiesz swoje dzieła sztuki bezpiecznie do Głębi.

W skostniałe ze zgrozy serce Moda powoli zaczęła się wlewać gorąca, żywa czerwień nadziei.

– Tak myślisz? – szepnął, wciąż zaszępiiony.

– Oczywiście. Wozy poczekają tutaj na nasz powrót.

Niepewny, rozdarty, pełen rozterek Zgniły Chłopiec obrzucił zgromadzone skarby smętnym spojrzeniem. Rozsądek kazał mu postąpić zgodnie z radą starego czarodzieja, lecz dusza kolekcjonera jęczała z rozpachy. Miał się rozstać z tymi cudami? Miał je porzucić?

Chciał krzyknąć „nie!”, ale przecież Algivius mówił prawdę. Nie mógł ciągnąć za sobą obładowanych taborów przez tropikalny las i nieznaną dzicz. A wszystko przez tego zdradzieckiego drania Lucyfera. Gdyby go w tej chwili zobaczył, udusiłby gołymi rękami.

Tymczasem alchemik z niedowierzaniem przypatrywał się mękom duchowym Zgniłego Chłopca. Modo bladł i pąsował na przemian, mrucał coś do siebie i wymachiwał rękami, krążąc wokół załadowanych po brzegi wozów.

On naprawdę traci rozum w obliczu dzieł sztuki, zrozumiał ze zdumieniem czarodziej. Kocha je bardziej niż własną matkę. No ale to chyba, do diabła, zrozumiałe.

– Nagendra przechowa podarki dla ciebie – oświadczył spokojnie i dobitnie. – Dopilnuje, żeby nic im się nie stało. W końcu trzymał je we własnym pałacu przez całe wieki w doskonałym stanie i kondycji.

Mod zatrzymał się. Algivius zauważył, że nerwowo wyłamuje palce.

– A jeśli się rozmyśli? Jeżeli zechce jednak zachować te wspaniałości dla siebie?

– W żadnym wypadku. Król nagów jest mędrcom szlachetnym i honorowym. Jego słowo to świętość. Uspokój się więc, a ja pójdę i poproszę go, żeby zaopiekował się twoimi skarbami. Założę się zresztą, że sam brał pod uwagę takie rozwiązanie, bo jest gadem rozsądnym i przewidującym.

Asmodeusz odruchowo przygryzł wargę. Wciąż się wahał, ale wiedział też, że nie ma innego wyjścia.

– Dobrze więc – oznajmił. – Niech tak będzie. Idź do Nagendry. A ja... ech! Zajmę się czymś innym!

Odszedł szybkim krokiem, zawiedziony i rozgoryczony, niepewny i pełen dojmującego poczucia straty, Algivius zaś pokręcił tylko głową z niedowierzaniem i zdumieniem.

Wariat, pomyślał. Ale przynajmniej pełen pasji.

A to już coś.



Tego wieczoru księżniczka Cenny Jedwab, widząc przygnębienie gościa, starała się usilnie ożywić go i poprawić mu nastrój licznymi uroczymi anegdotami oraz ciekawostkami dotyczącymi życia i kultury Meru.

Słuchał jej z coraz większą ciekawością, powoli zapominając o smutku.

Oczywiście, Nagendra chętnie zgodził się przechować podarki aż do powrotu wyprawy i otwarcie przyznawał, że ani przez chwilę nie myślał o innym rozwiązaniu problemu.

Może będzie dobrze, myślał Asmodeusz, popijając wino i patrząc w cudowną twarz żony swego gospodarza, jakby oglądał piękny i zupełnie niezwykły obraz. Może po prostu tu będą, kiedy wrócę, i faktycznie bezpiecznie przewiozę je do domu?

– Widzę, że podobają ci ssssie drobne upominki od mego małżonka, panie? Wciąż o nich myśliszzz, prawda? – zagadnęła w pewnym momencie.

– Jesteś telepatką, pani? – zdziwił się nieco.

Wielkie, czarne oczy nagini błyszcząły niczym nocne klejnoty.

– Nie. Ale jak wiesz, param się magią. Być może i ja także mogłabym ci coś ofiarować. Ale moje podarunki nie mają materialnego charakteru.

– Naprawdę? Więc jaką posiadają naturę?

Roześmiała się tajemniczo.

– Żłudną. Niezwykłą. Sssłodką. Odrobinę niebezpieczną. Nieprzewidywalną. Jak to magia.

Uśmiechnął się lekko.

– Czyżbyś zechciała podarować mi coś tak nietuzinkowego?

Nie spuściła wzroku. Jej źrenice zrobiły się ogromne jak Kosmos.

– Może. To niewykluczone.

– A od czego zależy, pani? Żebym mógł się przygotować, kiedy nadejdą.

Potrząsnęła stanowczo głową.

– Nie sposób się przygotować na przyjęcie prawdziwej magii.

– Więc mogę się spodziewać niespodziewanego?

Westchnęła.

– Chyba tak. Jeszcze nie wiem. To wyniknie z układu gwiazd, kart, płomienia świecy, koloru nieba i szumu deszczowych kropel.

- Bardzo ulotne wskazówki – zmartwił się.
- Tak – przyznała. – Ale magia taka właśnie jest. Składa się z chwil, zachwyków, rozbłysków i mgnień. Łatwo je przeoczyć i stracić okazję.
- Za nic nie chciałbym do tego dopuścić.
- Ja też nie – powiedziała cicho, a potem odwróciła się, żeby dołączyć do żywej dyskusji o poezji wedyjskiej.



Noc, rozłożysta i wyszywana cekinami gwiazd, szeleściła jak kosztowne sari delikatnym poszumem spływającej wody. Tak samo łagodnie i kojąco spływały minuty i sekundy tego rozkosznego snu.

Asmodeusz pragnął, żeby trwał wiecznie.

Tak, gdzieś w głębi duszy doskonale rozumiał, że to ulotna, chwiejna, chwilowa wieczność, lecz na razie miała trwać jak klejnot osadzony w diademie spełnienia. Choć tak naprawdę była tylko kroplą rosy na źdźbłę trawy o poranku.

Czy był szczęśliwy?

Nie.

Zakochany?

Bynajmniej.

Zauroczony?

Tak, oczywiście. I na tym polegał cały czar tej niepowtarzalnej nocy.

Była jedyna w swoim rodzaju.

Kiedy patrzył w czarne, naznaczone wiedzą, prastare oczy Jedwabiu, miał tę świadomość, że oboje są za mądrzy, zbyt doświadczeni i zmęczeni, żeby pozwolić sobie na pełniejsze uczucia. Za wiele też mieli do stracenia.

Prawdę mówiąc, nie potrzebowali głębokich doznań. Doświadczyli w życiu zbyt wielu porażek, rozczarowań i strat. Po co powiększać tę i tak długą listę?

Lecz noc jak miękka tkanina zachęcała, by położyć się na niej i odpocząć. Skorzystał z lekkiej, delikatnej, kuszącej ciemności, bo tak okrutnie i niewłaściwie byłoby ją odrzucić. Podarłaby się, cieniutka i zwiewna, odsłaniając brzydkie smutki, samotność, troski, tęsknoty i rozpacz, które teraz tak dobrotliwie i miłosiernie zechciała nakryć cudowną złudą bliskości.

Zgniły Chłopiec patrzył na oszałamiające piękno nagini jak na najpiękniejszą rzeźbę świata. Ba, przybyła, niosąc cały performance, nieokiełznane, wyśmienite teatrum tańca, ruchu, wdzięku, zapachu i zmysłowości, a on okazałby się skończonym idiotą i chamem, gdyby je odtrącił.

Nie chciał, żeby tak o nim myślała. Za nic nie miał zamiaru jej urazić. Postanowił więc uczynić wszystko, żeby jej pokazać, jak bardzo docenia wspaniały dar, jaki mu ofiarowała.

– Rany, ale ty masz piękne nogi – szepnął ze szczerym zachwytem. – Dlaczego na co dzień ich nie używasz? To krzywda dla każdego konesera sztuki, przysięgam.

Roześmiała się jak strumień, czysto i jasno, wężowo, gibko poruszywszy się

w pościeli.

– Masz cośś przeciwko ogonom? Nie podoba ci ssię mój ogon?

– Jest cudny. Prześliczny wprost. Ale wybacz, wołę nogi. Nawet jeśli są nieco sinawe.

– Błękitne – poprawiła go.

– Jasne, błękitne. Oczywiście. Wyśmienicie, oszalamiająco błękitne. Doskonałe.

– Ja wołę ogon – przyznała. – Z natury jessstem przecież wężem. Ale posssiadłam sztukę przemiany. Od wieków zgłębiam tajniki magii.

– Przemiana to wspaniała rzecz. Bardzo, bardzo przydatna. I potrzebna. Jeśli daje ci takie nieprawdopodobne nogi...

Uśmiechnęła się, obnażając kły, cudowne jak dwa szklane sople.

– Teraz potrzebna? Właśnie w tej chwili?

– Tak – zgodził się gorliwie. – Natychmiast. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Ależ skąd – oświadczyła. – Z przyjemnością.



Niebo różowiło się już pierwszą zorzą, jakby wstydyło się nadejścia poranka.

Księżniczka Cenny Jedwab ziewnęła szeroko, beztrosko.

– To był udany eksperyment – powiedziała.

Nie mógł się z nią nie zgodzić.

– Tak. Niezwykle ciekawe doświadczenie. Powtórzymy je?

Uśmiechnęła się zalotnie.

– Nie wiem. A chciałbyś?

– Oczywiście. Wielu aspektów tego eksperymentu jeszcze nie wypróbowaliśmy.

Trzeba się przykładać do pracy naukowej, prawda?

– Masz rację – zgodziła się. – Zastanowię się, kiedy znów nastanie dogodny termin.

– Byle szybko. Żal zmarnować dotychczasowe osiągnięcia.

Przeciągnęła się i usiadła na łóżku. Wyciągnęła przed siebie zgrabne, długie nogi.

– Przypatrz się dobrze, bo zaraz znów przywdzieję ogon – ostrzegła.

– Z ogonem także bardzo mi się podobaś – wyznał.

Odgarnęła do tyłu włosy i zaczęła szukać w pościeli porzrzuconych klejnotów.

Z wprawą i wdziękiem włożyła wielkie rubinowe kolczyki w uszy.

Tymczasem Asmodeusz zastanowił się, ile razy był świadkiem podobnych scen o poranku.

Nie pamiętał. Naprawdę nie pamiętał.

A potem przypomniał sobie, że ktoś, kogo zna, niedawno prawdopodobnie mieszkał w tej komnacie. Przypomniał sobie surową twarz, dzikie, niebezpieczne spojrzenie i wyniosłą sylwetkę anioła.

– On odrzucił twój wspaniały podarunek, prawda?

Choć akurat siedziała do niego tyłem i nie mógł dostrzec wyrazu twarzy, zobaczył, jak spinają się mięśnie jej pleców.

– Tak – przyznała krótko.

W jej głosie wyraźnie słyszał złość i zawiedzione nadzieje kolekcjonera, któremu nie udało się wylicytować upatrzonego okazu. I jeszcze coś. Głęboko skryty ton dźwięczący jak pęknięty dzwonek. Jakąś dziwną tęsknotę, której nie potrafił zrozumieć.

– Co za kretyn – powiedział z głębokim przekonaniem. – Skończony, beznadziejny kretyn. Pieprzony rycerz Światłości. Zawsze taki sam. Jak zaimpregnowany.

Zobaczył, że księżniczka się rozluźnia. Obróciła ku niemu piękne oblicze ozdobione uśmiechem. Tylko oczy miała odległe, chłodne i czarne jak noc, która już minęła.

– I co z naszym następnym eksperymentem? – spytał.

– Zapytam gwiazd. Zobaczymy, co mi przekażą.

– Byle dobre wieści. Już nie mogę się doczekać.

– Ja też doceniam twój wyrafinowany zmysł konesera, Asmodeuszu – powiedziała i wyszła z komnaty odziana jedynie w klejnoty, piękna, niebezpieczna i nieprzewidywalna jak magia, której na zawsze oddała serce.



Mod siedział w ogrodzie, nieopodal ściany wodospadów, przeglądając starożytny kodeks wedyjski. Szczególnie zachwycił go ryciny. Delikatne, staranne, pełne życia i szczegółów, oddane z wielką pieczołowitością. Kolory były jasne, kreska pewna, mimika postaci wyrazista, gesty i pozy oddane ze szczególnym wdziękiem. Patrząc na obrazki skreślone pewną ręką dawnego artysty, czuł się, jakby oglądał sceny z teatralnego przedstawienia. Walki bohaterów z okropnymi, wielorękkimi demonami i czułe schadzki w ogrodzie były dla niego doskonale niczym schwytane i zamrożone w jednym momencie wiersze.

Malarstwo to poezja kolorów i kształtów, pomyślał. I tylko to warto ocalić przed zachłanną, pustą wiecznością.

Spojrzał z uśmiechem na kunsztowne, wdzięczne płaskorzeźby węży, które dosłownie prześlizgiwały się między strumieniami i strugami spływającymi z wodospadu. Na pełne, lecz ponętne ciała kamiennych tancerek, które zamarły w nieustannym tańcu pośród kropel wody. Na młodzieńczych wojowników strojnych w klejnoty, którzy w migdałowych oczach i łagodnych, pełnych ustach kryli wiedzę i tajemnice mędrców. Na srogie rumaki okiełznane dłońmi bogów i herosów. Na płynące po skalnym niebie lekkie jak mgła apsary. W tych reliefach kryło się prawdziwe piękno.

Wbrew kategorycznym zakazom maga miał zamiar wziąć ze sobą kilka, może kilkadziesiąt dzieł sztuki podarowanych przez Nagendrę. Tych lżejszych, oczywiście.

Usłyszał szelest szaty, uniósł wzrok znad księgi i z przykrością stwierdził, że wiekowy czarodziej właśnie ku niemu zmierza z twarzą jak zwykle wykrzywioną gniewem. Wyglądał jak stary, wyliniaty kruk. Złowroźny znak na cudownym rysunku wysmakowanego, wypielęgowanego ogrodu.

Wiedział, że przybycie tego omenu nie wróży mu nic dobrego. Z westchnieniem odłożył kodeks.

Algivius stanął przed nim, a w jego oczach malowało się nie tylko

zniecierpliwienie, lecz przede wszystkim niepokój.

– Czas ruszać w drogę, Asmodeuszu – oznajmił po prostu. – Za długo tutaj bawimy.

Zgniły Chłopiec miał ochotę ziewnąć ostentacyjnie, ale zamiast tego tylko uśmiechnął się pobłaźliwie. Na razie bardzo mu odpowiadała gościna u Nagendry. Wcale nie nabrał jeszcze ochoty na dalszą podróż. Zwłaszcza że zamiast egzotycznych luksusów w pałacu miała ich czekać niebezpieczna i pozbawiona wygód wyprawa w dziką, nieznaną dżunglę.

Niech się tam Lucek poci na zdrowie, oblepiony gnijącym błotem i pocięty przez komary. Mod na razie zamierzał pozgłębiać jeszcze trochę fascynującą sztukę i kulturę Meru.

Nigdy by się do tego nie przyznał, ale oprócz tego, że kochliwy, był też niemożliwie naiwny i romantyczny. Kiedy decydował się na romans, wierzył święcie, że trzyma uczucia pod kontrolą. I może tak było. Przez pierwsze pięć minut. Im więcej czasu mijało, tym cudowniejsze i rozkoszniejsze wizje podsuwało biednemu Zgniłemu Chłopcu jego samotne serce. Jeszcze o świcie zdawał się rozumieć, że spotkanie z żoną Nagendry było tylko przyjemną rozrywką, jaką oboje sobie ofiarowali. Lecz z biegiem czasu Asmodeusz zaczął popadać w ogłupiający stan zakochania, który za każdym razem opanowywał go bez reszty. Pół biedy, jeśli obiektem westchnień Moda stawała się dziewczyna piękna, lecz niezbyt rozumna. Wtedy zauroczenie mijało względnie szybko i bezboleśnie. Ale gdy kochanka okazywała się urodziwa, mądra, dowcipna i wykształcona, Asmodeusz natychmiast uzależniał się od niej jak od heroiny. Zapadał i taplał z lubością w zupełnie niedorzecznych, niemożliwych rojeniach o cudownym życiu w objęciach ukochanej, jakby tonął w gęstej, słodkiej, pachnącej szczęściem i wanilią leguminie.

Dokładnie ta przypadłość odbierała mu właśnie rozum i zdrowy rozsądek. Zgniły Chłopiec był beznadziejnie, po szczeniacku zakochany. Cenny Jedwab przysłała mu cały świat miękkim, rozkosznym woalem. Wspaniała przyszłość rozwijała się przed nim niczym barwny gobelin pełen romantycznych scen. Śmieją się wraz z księżniczką w altanie, patrząc na wodospady Nagaloki. Studiują dawne kodeksy, a ona szczupłym, smagłym palcem wskazuje mu najważniejsze ustępy. Uczują pod gwiazdami, racząc się smakołykami, i upajają smakiem wina. Kochają się na starożytnych kobiercach, a kamienne rzeźby o uduchowionych twarzach strzegą ich spokoju i intymności. Bawią się, podróżują, tworzą, praktykują wiedzę tajemną. Dyskutują o sztuce i magii, spierając się z najtęższymi umysłami królestwa, pod życzliwym patronatem króla, który zajmuje się rządzeniem i całą resztą nudnych obowiązków. Bo w tych szalonych, absurdalnych marzeniach znalazło się miejsce także dla szlachetnego Nagendry. Wężowy mędrzec z lubością przyglądał się szczęściu swojej małżonki i dawał jej pełne przyzwolenie na spełnianie się w miłości z tym, który od zawsze był jej przeznaczony. Bo był, prawda? W tej chwili Mod nie miał żadnych wątpliwości, że przyszedł na świat tylko po to, żeby dzielić życie i łożę z księżniczką Cenny Jedwab.

Gdy zamknął oczy, widział tylko jej wzruszająco piękną, mądrą, uroczą twarz.

A może w ogóle nie będę ich otwierał, póki moja królowa sama do mnie nie przyjdzie? – pomyślał przekornie i uśmiechnął się radośnie.

Jak mógłby się nie uśmiechać, kiedy Cenny Jedwab była gdzieś w pobliżu?

Obrzucił Algiviusa nieprzytomnym, sennym spojrzeniem, jakby widział go po raz pierwszy.

– Po co się tak śpieszyć? – powiedział czarnej, ponurej sylwetce maga. – Odpoczywamy, miło spędzamy czas, uczymy się wielu nowych, niezwykłych rzeczy. Ty na przykład zgłębiasz tajniki tutejszej magii. Ja natomiast...

– Dobrze wiem, co zgłębiasz!

Czarnoksiężnik, wysoki, chudy, ciemno odziany, przypominał teraz jakąś złowrogą, magiczną literę lub figurę. Wykrzyknik oznajmujący, że nadciąga nieszczęście. Wypaloną zapałkę, od której rozпали się zarzewie pożaru. Fetysz niosący klątwę. Skazę na barwnej tkaninie tej sceny.

W każdym razie coś obrzydliwego.

Zgniły Chłopiec przewrócił oczami.

– Bez umoralniających gadek, proszę. Mieszkasz od wieków w Głębi, a zachowujesz się jak kabotyn. Świętoszek się znalazł. Czarny mag i alchemik. Bardzo bogobojny, nie ma co.

Algivius machnął tylko ręką.

– Och, zupełnie mnie nie interesuje twoja moralność, głupku! Popatrz tylko, co mnie naprawdę martwi!

Sięgnął za pazuchę i wydobył coś, co przywodziło na myśl rozgnieciony butem zegarek. Mod rozpoznał w nim busolę zorientowaną na poczynania imperatora Głębi, którą czarownik uklecił jeszcze podczas pobytu w Trytonii.

– Daj spokój – mruknął polubownie, bo wcale nie chciało mu się kłócić w tak urzekającym miejscu jak ogród Nagendry. – To paskudne pudełeczko? Co takiego się z nim dzieje?

Mag ujął brzydki przedmiot w kościste palce i podstawził pod sam nos demona.

– Mój kompas słabnie! Ledwo mogę wykryć sygnał. Jesteśmy za daleko od naszego obiektu. A z każdym dniem odległość się zwiększa, bo my tkwimy tutaj bez celu, dla czezej rozrywki, wyprawa Gabriela zaś brnie dalej. Wkrótce stracimy trop i nigdy nie odnajdziemy Lucyfera.

W tej chwili niewierny, zdradziecki przyjaciel obchodził Moda tyle co kupa zgniłych liści.

– Na pewno jakoś go zlokalizujemy – zbagatelizował problem. – To ogromna ekspedycja. Musi zostawiać po sobie ślady. Ciągną się z prowiantem, bagażami, mnóstwem tragarzy i niepotrzebnych gratów. Przejdą przez dżunglę jak stado słoni przez trawnik. Przez lata będzie można śmiało podążać ich szlakiem.

Oczy Algiviusa rozbłysły niebezpiecznie jak jego kamienie filozoficzne pod wpływem dotyku głupca.

– Tropikalny las w Strefach Poza Czasem to nie trawnik. Nawet kilka setek podróźnych zaginie w nim z miejsca jak kropla deszczu w grząskim błocie. Ostrzegam cię, Asmodeuszu. Jeśli nie ruszysz swego diabelskiego tyłka z tej ławki i nie pożegnasz wkrótce uczynnych gospodarzy, równie dobrze możesz wracać do Otchłani sprawować swoją krótką, nędzną, zakończoną rychłą egzekucją regencję!

Wycelował w niego długi, chudy palec jak brzydką różdżkę.

– Dobra, dobra. Pomyślę o tym – oznajmił niechętnie Mod.
– Na twoim miejscu bym się pośpieszył – syknął złośliwie czarodziej. – Myślenie bardzo kiepsko ci idzie.

Odwrócił się i poszedł. Zgarbiony, krzywy cień pośród kolorowego piękna.
Cierń wbity w wesołą, jasną tarczę słońca.

No i szlag trafił dobry nastrój, pomyślał Zgniły Chłopiec kwaśno. Stary dziad zwarzył go tak skutecznie, jakby naszczał do mleka.

Spojrzał na księgę, ale stracił już ochotę na podziwianie sztuki ilustracji z dawnego Meru. Wziął więc kodeks pod pachę i wrócił poirytowany do pałacu.



I uczta była wystawna, i tańce oraz popisy magów wypadły znakomicie. Asmodeusz jadł, pił, gwarzył wesoło z gośćmi naga, wdał się w intrygującą dysputę o sztuce rzeźbiarskiej z Nagendrą, lecz w jego sercu pojawił się drobny, ciemnawy kłębuszek smutku, gdyż księżniczka Cenny Jedwab nie śmiała się, nie sypała zgrabnych, dowcipnych docinków, nie wtrącała się do rozmowy z błyskotliwymi uwagami, jak zwykła dotąd czynić. Nie dała się także sprowokować do rozmowy o ukochanej magii, choć Zgniły Chłopiec bardzo się starał wciągnąć ją do dyskusji, krzesząc iskry na kowadle swego bystrego intelektu.

Wydawała się odległa jak zamglony łąd majaczący w niewyobrażalnej dali. Tylko skubała jadro, choć często sięgała po kielich. Jej twarz była spokojna i niewzruszona jak u kamiennych świętych z Meru, którzy osiągnęli już bezruch i obojętność Oświecenia. Oczy patrzyły w przestrzeń, której Zgniły Chłopiec nie potrafił ani dostrzec, ani ogarnąć.

Naprawdę siedziała teraz przy nim lśniąca urodą, chłodna i gładka jak bela jedwabiu, od którego wzięła swe imię.

Nie znał jej takiej i nie pragnął poznawać.

Dopiero pod koniec zabawy, gdy kinnarowie grali, a apsary wdzięcznie płąsały w antycznych pozach, znalazł moment, dosłownie mgnienie, gdy przelotnie znaleźli się blisko siebie.

– I co powiedziały gwiazdy, pani? – spytał z niepokojem.

Jej migdałowe oczy pełne były nostalgii. Pożegnalnej nostalgii.

– Niestety, nie są korzystne – odparła.

Nie usłyszał pękniętego dzwonka żalu w jej głosie.

– A nasz eksperyment? – nalegał. – Przecież nie został zakończony.

Twarz, którą ku niemu podniosła, była obliczem obcej kobiety.

– Niektórych eksperymentów lepiej nie kontynuować. Mogą się stać zbyt niebezpieczne.

Bolesnie rozczarowany, przygryzł bezwiednie wargę.

– Rozumiem – oświadczył. – Chociaż właściwie to nie.

Nie odpowiedziała. Odeszła, kołysząc się zmysłowo, lecz zupełnie obojętnie zarazem, jakby całkiem jej nie obchodził.

Wąż połknął zdobycz, nasycił się i odszedł. Jak to gad.

Czego więcej mógł oczekiwać?

Rankiem Asmodeusz przyszedł do kwatery Algiviusa i oznajmił, że można już zaczynać przygotowania do dalszej drogi.



Rozdział XIV



Tak, to był ten dzień. Dzień wielkiej ofiary. Czerwony świt przywitał go morzem krwi na niebie. Wszyscy mieszkańcy Tamoanchanu mieli nadzieję, że wkrótce fala prawdziwej posoki poleje się z ofiarnych kamieni w dół schodkowych piramid. Och, jak bardzo pragnęli znowu żyć! Istnieć naprawdę, zamiast wieść ponure, zimne półistnienie pozbawione sił i witalności.

Dlatego kiedy dziewczęta w świątyni przekazały chłopcom błękitne krzesło z miodowo-kukurydzianą kukłą Anioła Zagłady szczerzącą się niczym ponury żart, aby rozpocząć ostatnią, najgłówniejszą procesję, przez miasto przeszedł dreszcz podniecenia, nadziei i lęku. Nikt nie śmiał pytać, co się stanie, jeśli ofiara okaże się zbyt mała, za słaba, by unieść ciężar tylu żywotów.

Na razie wszyscy pielęgnowali w sobie nadzieję.

Jeszcze nim słońce, niechętnie i słabe z braku sił, zaróżowiło granat nocy pianą nadchodzącego poranka, młode boginie czuwające w świątyni przy głównym posągu obmyły się i przywdziały świąteczne stroje. Prezentowały się pięknie i godnie w nowych, białych szatach, ozdobione biżuterią dopiero co wykonaną przez zręcznych rzemieślników. Kroczyły dumnie, a na ich szyjach złociły się girlandy z prażonych ziaren kukurydzy, które przywodziły na myśl pąki egzotycznych kwiatów. Policzki dziewcząt zdobiły skomplikowane rytualne rysunki. Ich łokcie i nadgarstki otulały bransolety z kolorowych piór papug. Z szacunkiem podeszły do niebieskiego krzesła, wsunęły drągi w odpowiednie otwory i poniosły na dziedziniec świątynny czarną figurę z aureolą rozłożonych skrzydeł.

Tam czekali już młodzieńcy, którzy mieli kontynuować rozpoczętą właśnie procesję. Także przybrani w odświętne szaty, na widok boga-ofiary skłaniali się ku ziemi i posypywali głowy kurzem i pyłem zalegającym na placu. Potem odebrali nosze z krzesłem świętej figury i ponieśli je w dół schodami aż na ulicę, gdzie oczekiwał ich tłum mieszkańców Tamoanchanu. W pewnej chwili Gwiazda Zagłady zachwiała się nieco w kukurydzianych dłoniach kukły, ale nie spadła.

Zgromadzeni zareagowali okrzykami ulgi i radości, dziękując Panu Dwoistości za pomyślną wróżbę.

Wkrótce pochód ruszył ulicami miasta, by dotrzeć w końcu do głównej świątyni poświęconej Nahui Ocelotłowi. Po drodze zatrzymywano się jedynie po to, żeby w odpowiednich miejscach wyrwać parę serc i obdrzeć kilka osób ze skóry. Kiedy procesja dotarła do podnóża monumentalnej schodkowej świątyni, za pomocą grubych sznurów wciągnięto wizerunek Daimona na szczyt. I tym razem nic z niego nie odpadło, co wyznawcy przyjęli westchnieniami zachwytu i cichym aplauzem.

Muzykanci zadęli w piszczałki, rogi i muszle, odezwał się zgodny, jasny, podniosły terkot bębnów. Młodzieńcy umieścili figurę dawcy życia pośrodku specjalnej altany uplecionej z kwiecica. Gdy tylko bezpiecznie w niej spoczęła, lud zaczął wiwatować, a dziewczęta sypać wokół barwne płatki orchidei.

Teraz nadszedł czas na spożywanie kości boga. Młode boginie kroczące w orszaku zniosły na górę podłużne, wąskie kawałki tego samego ciasta, które zostało po ulepieniu kukły Anioła Zagłady, uformowane w kształt ludzkich piszczeli. Tancerze rozpoczęły płaśy, a zgromadzeni na dole mieszkańcy Tamoanchanu ustawili się w rzędzie i powoli wstępowali na górę, żeby dostać kawałek boskiego szkieletu. Na początku kroczyli starcy, potem dostojnicy, za nimi podchodzili kapłani, służba świątynna i prosty lud. Każdy miał wielobarwny płaszcz, głowę ozdobioną wieńcem i girlandy kwiatów na ramionach. Prezentowali się dostojnie i odświętnie.

Kiedy każdy dostał już swoją porcję, zapadła pełna napięcia cisza.

Zbliżał się moment wielkiej ofiary.

Już za chwilę miała się poleć prawdziwa krew.



Jaguar Nocy, przystrojony we wspaniały, rytualny strój przedstawiający drapieżnika, od którego wywodził swoje imię, z podniecenia przygryzał niewidzialne wargi. Jego widmowe serce tłukło dziko niczym młot po kowadle.

– Jak się czujesz, panie? – zapytał niepewnie najwyższy kapłan.

Pierwsze Słońce obrócił ku niemu oczy pełne czystego, niekłamanego szaleństwa.

– Nie pytaj – szepnął przejmującym, łamiącym się z napięcia głosem. – Przyrowadź ofiary. Daj mi wreszcie krew, Chalmecatecuhtli.

– Tak, panie – mógł tylko odpowiedzieć bóg ofiar.

Tymczasem na świątynnym dziedzińcu piękne dziewczęta kończyły właśnie taniec ptaków i motyli, co oznaczało, że już czas rozpocząć kulminacyjny punkt ceremonii.

Tak, z pewnością już czas.



Więźniowie stłoczeni w ciasnym, wąskim pomieszczeniu na tyłach świątyni powoli odzyskują przytomność. Otaczają ich grube mury pokryte warstwą białego wapna. Na górze, niby fałszywe niebo, wybrzusza się metalowy sufit. Okna są bardzo wysoko, maleńkie jak wywietrzniki, zabezpieczone grubymi drewnianymi prętami.

Czyli żadnych szans na ucieczkę.

– Głowa mnie boli – skarży się Lucek.

Oblizuje spierzchnięte usta.

– I pić mi się chce! – dodaje marudnie.

– Spójrzcie tylko na to. – Sinaa wskazuje pazurem pas malowideł na ścianie. –

Paskudne, nie?

Faktycznie, murale nie budzą optymizmu. Przedstawiają bowiem sceny przeróżnych egzekucji. Dość wymyślnych zazwyczaj, choć motyw przewodni stanowią oczywiście wyrwane z piersi serca.

Daimon i Lampka studiują je z ponurymi minami.

– Pewnie mają zachwiać naszym morale – stwierdza Anioł Zagłady.

– Moim zachwiały zupełnie wystarczająco – przyznaje Lucyfer.

Jagarołek wzdycha. Jego pocziwa, kocia twarz przybiera wyraz bezbrzeżnego smutku.

– Macie jakieś pomysły? – pyta płaskim, pozbawionym nadziei głosem.

Patrzy w oczy aniołom i spuszcza wzrok.

– Tak tylko pytałem...

Daimon przelyka gorzką, gęstą ślinę.

– Walczmy – mówi. – Po prostu walczmy do końca. Wykorzystujmy każdą sytuację. Może Jasność się nad nami zmiłuje.

Zgadniają się z nim, lecz nadzieja dopala się w ich sercach jak malutki, słaby ogarek.

Kiedy drzwi więzienia w końcu się otwierają, nie nadarza się, niestety, żadna sprzyjająca szansa. Za progiem jest już tylko śmierć.

Tym razem Światłość nie zamierza okazać miłosierdzia.



No i stało się. Stoisz na szczycie świątyni otoczony przez wielobarwny, pyszny, egzotyczny tłum wrogów i właśnie tutaj masz umrzeć. Wojownicy, cali w papuzich i kolibrzych piórach, skórach ocelotów, wzorzystej bawełnie, złocie i nefrycie, warują wokół ciebie i przyjaciół niczym żywy mur. Nie ma nadziei, żeby się przez niego przebić. Bo teraz twoi strażnicy nie są zbrojni jedynie w pałki. Celują w ciebie łuki, włócznie, obsydianowe noże i maczugi. Cały arsenał prymitywnej, ale bezwzględnie zabójczej broni.

Stałeś się sztuką mięsa gotową do spożycia.

Tak właśnie Pan postanowił zakończyć służbę wiernego Anioła Zagłady.

W porządku. Jasność może wydać każdy wyrok. Tylko dlaczego musisz zginąć,

patrząc w pełne triumfu i poczucia władzy, dumne, podłe oczy tego cholernego drania z krzemienną nogą?

Bo on tam czeka. Nerwowo podryguje tą swoją idiotyczną, profetyczną protezą i bezwiednie oblizuje wargi jak pies, który poczuje zupę.

Zeżryj swoją zupkę, kundlu. Bodajbyś się nią udławił!

– On ma moją skórę! – szeptem zaskoczony Sinaa. – Ubrał się w moją skórę, bydlak jeden!

Zwiera dłonie zbrojne w pazury i pokazuje kły jak prawdziwy drapieżca.

Spojrzenie Lucka jest rozbiegane i niepewne, lecz szczęka zaciśnięta w wyrazie ostatecznej determinacji.

Będą walczyć. Z pewnością nie mają zamiaru poddać się bez walki.

Ale co to da?

Starasz się coś wykombinować, lecz myśli uciekają ci z głowy niczym spłoszone motyle. Lub raczej szczury z tonącej łajby.

Bo toniesz, Abaddonie. Tym razem toniesz ostatecznie.

– Daimon – mówi Lucyfer powoli – to ty tam siedzisz. W tym szalasie z kolorowych kwiatków. Widzisz? A obok ja. I jaguar. Rany, w życiu nie widziałem niczego brzydszego!

Rzeczywiście, w ciemnym, ciasnym wnętrzu kwietnej altany majaczy coś okropnego, jakaś krzywa, pokraczna kukła z czegoś lepkiego i żółtego, co chyba zostawił w kuwecie kot cierpiący na rozstrój żołądka.

Bardzo wielki kot.

A po bokach stoją dwie inne paskudy ulepione zapewne z tej samej sraczkowatej kałmasy. Przypominający mopsa, krzywonogi potwór w ciapki oraz wyszczerzony kukurydzą, gruby, toporny strach na wróble ze skrzydłami urżniętymi wyliniałej kokoszy.

Już masz ofuknąć Lampę, że w chwili śmierci zawraca ci dupę podobnymi głupstwami, lecz wtedy dostrzegasz coś, co sprawia, że nadzieja zalewa cię i parzy jak wrzątek zrozumienia.

Bo ten smutny stwór, ta żółta karykatura sługi Jasności trzyma w beczkowatych łapach najprawdziwszy skarb. Twoją utraconą Gwiazdę Zagłady. Jeśli zdołasz jej dosięgnąć, wszyscy trzej będziecie uratowani.

– Mój miecz – szepcesz ledwie słyszalnie. – Kukła ma mój miecz!

– Faktycznie! – Lucek mruży oczy.

– Jeżeli go zdobędę... – zaczynasz, ale nie dane ci jest skończyć.

Bo nagle milkną piszczałki i bębny, śpiewacy kończą piskliwe zawodzenia. Tłum dzikich, zaciekłych wojowników siłą odrywa cię od przyjaciół, popycha do przodu, choć walczysz z całym sił. Sinaa i Lucyfer próbują powstrzymać napastników, lecz co mogą zdziałać związani i bezbronni?

Rozumiesz już, że nie zdobędziesz niczego prócz odwiecznej pustki śmierci.

Pan tym razem nie udzielił ci wsparcia. Dlaczego? Czemu pozwala triumfować podłemu, przeżartemu nienawiścią Dymiącemu Zwierciadłu? Kto wie? Niezbadane są Jego wyroki.

W każdym razie Pan Kamienna Noga zostanie po jasnej, cieplej stronie życia, a ty

osuniesz się w mrok nieistnienia.

Świat nagle zaczyna wirować jak pralka pełna barwnych szmat. Wojownicy szarpią cię, kopią, zmuszają, żebyś szedł ku ohydnemu czarnemu kamieniowi, który sterczy pośrodku placu niczym pieńek dawno złamanego zęba. Ten kiel za chwilę przegryzie twoje serce. Miotasz się, opierasz, ale wszystko na próżno.

Złowrogi odłam skalny przybliży się. Jest tuż obok. Jak wyjątkowo brzydki, smętny nagrobek.

Tu spoczywa Anioł Zagłady z wyprutymi flakami i połamanymi kośćmi, który stał się przekąską na zimno dla niezwykłego Pierwszego Słońca. Raduj się, cały Tamoanchanie!

Wloką cię w kierunku ofiarnego kamienia, a pralka wirująca w twojej głowie miesza wszystko, życie i śmierć, gniew i przerażenie, wolę walki i ostateczne poddanie. Nie wiesz już, co czujesz i kim naprawdę jesteś. Twoje serce bije jak dzwon na trwogę, dziko, w szalonym tempie, jakby chciało nauderzać się na zapas. Dopóki jeszcze może.

Bo niedługo tej zabawy. Naprawdę niedługo.

Wkrótce będzie rozpaczliwie podrygiwać w uniesionej dłoni kapłana, plując resztkami krwi i ulatującego życia.

Krzepcy strażnicy trzymają cię mocno za ramiona, gdy tymczasem inni rzną twoje więzy, pośpiesznie, byle jak, kalecząc przy tym skórę. Zapach twojej krwi doprowadza ich na skraj szaleństwa. Twarze wykrzywają się w grymasach pożądania i straszliwego głodu, upodabniając się do masek podrygujących tancerzy.

Rozwiązali ci ręce, rozumiesz nagle. Inaczej nie mogliby rozciągnąć cię na kamieniu i wygiąć kręgosłupa, żeby zrobić cięcie tuż pod mostkiem i dostać się do bijącego serca. Ponieważ ich krzemienne i obsydianowe noże są za tępe, żeby przeciąć zębra. Napatrzyłeś się na sceny składania ofiar, gdy nieśli cię przez miasto odurzonego ayahuascą, więc wiesz dokładnie, jak to robią.

Nieistotne. Masz wolne ręce.

Nadzieja rozpala się białą iskrą, słabiutką, bladą flarą, lecz szybko dogasa, bo trzymające cię ręce wydają się mocniejsze od poprzednio nałożonych więzów.

Nawet nie wiesz, jak to się stało, lecz leżysz już wygięty w tył na twardej, rzeczowej opoce ofiarnego ołtarza i patrzysz w wesoły błękit nieba, skąd nie nadchodzi żadna pomoc, żaden ratunek.

Do diabła. Nie tak to miało wyglądać!

Gdybyś zginął w walce z Antykreatorem, Jaldabaotem, Apolyonem, podczas wypełniania misji Pańskiej, w ogóle w jakiejś walce, miałyby to znamiona sensu. Ale tak? Umrzeć wypatroszonym jak kurczak na niedzielę, bo dawny meksykański bóg chce sobie zrobić lifting dzięki twojej krwi?

To idiotyczne!

Lecz widać Jasność w ten sposób postanowiła wymówić służbę swemu Abaddonowi.

I nie ma o czym dyskutować.

Kiedy widzisz nad sobą twarz kapłana, tak dziwnego, obcego, niezrozumiałego w całej krasie piór, diademów, złotych ozdób, turkusowych przetyczek w nosie,

kolczyków niemiłosiernie wyciągających uszy, wiesz już, że oto patrzysz w twarz przeznaczeniu.

Nie chcesz zamykać oczu, lecz powieki same opadają. Wolisz widzieć ciemność niż obojętny, daleki błękit nieba.

Pan cię opuścił, Aniele Zagłady.

Dokonało się. Chyba się właśnie dokonało.



Wszystko szło wyśmienicie. Tak wyśmienicie, że Dymiące Zwierciadło sam nie potrafił uwierzyć w swoje szczęście.

Jeszcze jedno, góra dwa uderzenia serca i znów poczuje potężną falę mocy zalewającą go życiem i powracającą siłą.

No już! Już! Już!!! – poganiał w myślach boga-kapłana, który mamrotał nad ofiarą swoje świątobliwe hymny. Zróbże to, do cholery!

Ale oczywiście właśnie w tej chwili, gdy nóż Chalmecatecutlego unosił się w górę do ostatecznego ciosu, musiało się zdarzyć coś, co zaburzyło wspaniałą i jakże wyczekiwaną ceremonię.

Otóż ziemia zadrżała. Zatrzęsa się, jakby głęboko w jej trzewiach wybuchł wulkan. Kilku tancerzy upadło, gałęzie z kwietnej altany posypały się na głowy kukurydzianych kukieł, śpiewakom słowa pieśni utkwiły w gardłach, a przerażony tłum wyznawców zaszumiał jak łąn ścinanej właśnie trzciny cukrowej.

Bóg ofiar nie utrzymał równowagi, zachwiał się i upadł na kolana. Obsydianowy nóż wysunął mu się z dłoni.

– Czy to Jasność przysyła pomoc? – wyszeptał z nadzieją Sinaa.

– Nie wiem – odpowiedział poblądły z emocji Lampka. – Naprawdę nie wiem, bracie.

Lecz szybko wyszło na jaw, że to nie Boska interwencja zakołysała gruntem pod nogami mieszkańców Tamoanchanu.

Ulica u stóp schodkowej piramidy eksplodowała bowiem kawałkami zbitego klepiska i kamieni z fundamentów, wyrzuciła się i pękła niczym monstrualny kokon, a spod ziemi zaczęła się wydobywać groteskowa, przerażająca postać. Przypominała gigantyczną ropuchę, którą jakiś szalony stwórca postanowił przyoblec w postać kobiety. Cała była brunatna jak gleba i szara niczym popielisko. Choć przeolbrzymia, proporcje ciała zapożyczyła od pokracznej karlicy. Głowę miała ogromną, płaską, uwieńczoną strzechą włosów przywodzących na myśl kępy suchej trawy. Pod wypukłym czołem jak wielkie wrzody czerwieniały wyłupiaste, kaprawe oczy. Dwie dziury w ciastowatej fizjonomii stanowiły nozdrza. Szare, wyjątkowo szerokie usta przecinały twarz jak blizna. Kąciki opadały w dół, wargi były obwisłe. Zdumiewająca potworzyca na krótkiej, niemal nieistniejącej szyi nosiła naszyjnik z gnijących ludzkich głów i odciętych dłoni. Ich słodkawy, mdły smród czuć było nawet na szczycie świątyni. Tułów istoty był krótki i beczkowaty, ramiona i nogi krępe, lecz bardzo silnie umięśnione. Palce rąk i stóp kończyły się potężnymi, ostrymi, zakrzywionymi pazurami. Biodra opasywała osobiwa

spódnica złożona z żywych, splecionych, syczących i wijących się węży. Poza tym dziwnym odzieniem i naszyjnikiem z ludzkich szczątków w stanie posuniętego rozkładu istota była zupełnie naga.

Gramoliła się niezdarnie ze szczeliny w ziemi, którą rozepchała własnym ciałem, a w jej wypukłych oczach gorzał straszny gniew.

Niektórzy z wyznawców Tezcatlipoki padli przed nią na kolana, pozostali zamarli w oszołomieniu i niedowierzaniu.

Oto bowiem światu objawiła się sama Coatlicue, prastara, najpotężniejsza bogini. Matka i rodzicielka. Dawczyni wszelkich plonów. Władczyni życia. Ziemia w swej ubóstwionej, antropomorficznej formie.

Kość z kości i ciało z ciała gleby, po której stąpali wszyscy ludzie i której zawdzięczali wszelkie pożywienie.

Na widok znieprawionej nieprzyjaciółki, z którą toczył nieustanne walki o dominację od zarania dziejów, Dymiące Zwierciadło wpadł w szał.

– Dalej! – ryknął do najwyższego kapłana głosem dzikiego jaguara. – Zrób to, idioto! Natychmiast złóż ofiarę!

– Nie tak szybko, wypierdku najczarniejszej nocy! – rozdarła się z dołu Święta Macierz. – Myślałeś, że potrafisz oszukać MNIE?! Że nie poczuję krwi, nie zwabią mnie drgania ziemi pod stopami tancerzy, wibracje gruntu wywołane grą na bębnach i pieśniami?! Cóż za żalosny głupiec z ciebie! Zawsze taki sam. Pozbawiony krzty rozumu, butny i kłamliwy kaleka na krzywej nodze, który roi zwodnicze sny o potędze! Kim jesteś przed moim obliczem? Tchórzliwym kocurem przemykającym w mroku z podkulonym ogonem. Odgryzłam ci stopę, a teraz dokończę dzieła, pożerając durną, pustą głowę! Ofiara należy się mnie! Oddaj mi krew, Tezcatlipoca, albo pożałujesz na wieczne wieki!

Jej głos, chropawy i dudniący, przywodził na myśl odgłos głązów staczających się ze skalnego osuwiska, tarcie płyt tektonicznych, głuchy łoskot trzęsienia ziemi.

Wydawała się pierwotna jak wieczność i przerażająco potężna.

Jednak Nahui Ocelotl walczył z nią, odkąd przyszedł na świat, więc nie przestraszył się pogróżek.

– Niedoczekanie twoje, stara, parchata więdźmo! – zawołał i splunął na klepisko dziedzińca. – Chalmecatecuhtli, zabij jeńca! W tej chwili!

– Nie! – krzyknęli rozpaczliwie Sinaa i Lucyfer. – Daimon! Walcz!

Niestety, Anioł Zagłady nie słyszał nic i z niczego nie zdawał sobie sprawy. Popadł w pustę, podobne do omdlenia otępienie, przekonany, że godzi się właśnie z wyrokami Jasności. Nawet gdyby chciał, nie potrafił się poruszyć. Wiedział, że odchodzi, i godził się na to. Stracił nadzieję.

– Nie mogę, panie – jęknął przerażony najwyższy kapłan. – Rytuał trzeba odtworzyć z należytą powagą i szacunkiem. Wszelkie awantury go zbezczeszczą!

– W takim razie zabiję tę ohydną ropuchę, zanim zniweczy całą ceremonię! – wykrzyknął ogarnięty najwyższą wściekłością Jaguar Nocy i już szykował się zbiec w dół po schodach, żeby rzucić się na nienawistną przeciwniczkę, gdy ta zdołała wyleźć z dziury w ziemi i wesprzeć się hardo pod boki.

– Mówiłam, nie tak szybko, smrodliwy, czarnomagiczny szurze. Nie jestem sama!

W tej samej chwili ze szczeliny przecinającej wpół całą ulicę zaczęli się wynurzać uzbrojeni bogowie i wojownicy. Jako pierwszy wyskoczył niezwykle krzykliwe przystrojony mężczyzna bardzo niskiego wzrostu. Pierś miał wypiętą dumnie do przodu, zapewne żeby sprawiać wrażenie wyższego. Otaczała go aura niezdrowego napięcia, jakaś skłonność do ciągłego podrygiwania, machania rękami, przesadnej gestykulacji, niekontrolowanych tików i odruchów. Biegał teraz przed zastępem wyłaniających się z ziemi poddanych, wykonując szereg podskoków, dreptań i wymachów niczym tokujący ptaszek. Cały spowity w wielobarwne, mieniające się pióra, połyskiwał odpryskami szaleńczych kolorów jak jakaś niezwykle zośka do odbijania czy inna kometka, śmigająca w nieustannym, nerwowym ruchu.

Był to syn Coatlicue, bóg słońca w zenicie, Huitzilopochtli zwany Błękitnym Kolibrem Południa.

Ujrzawszy kolejnego ze swoich śmiertelnych wrogów, Tezcatlipoca skrzywił się z obrzydzenia i gniewu.

Na wszystkie wyrwane serca! To była jego ceremonia! Jego i tylko jego, a ci parszywi złodzieje i uzurpatorzy oczywiście musieli się zjawić, żeby narobić bydła!

Nie miał zamiaru do tego dopuścić!

– Tobie ukręcę żałosny, mały łebek, ptasiu zasmarkany! – ryknął i popędził w dół.

Tymczasem Chalmeatecuhtli, coraz bardziej wystraszony, że obrzęd okaże się gigantyczną klęską, ze zgrozą spostrzegł, że odrętwienie Daimona zaczyna powoli ustępować. Jego twarz ożywiła się, zamiast, jak dotąd, przypominać pośmiertną maskę. Najwyższy kapłan przez wieki oglądał setki tysięcy poświęcanych w ofierze jeńców i doskonale rozróżniał, kiedy tracili nadzieję. Jeszcze przed mgnieniem potężny anioł z Królestwa dałby się rozplątać bez protestu, bezwolny jak kukła z kukurydzianego ciasta, lecz teraz po cichu znów zaczął zbierać siły do walki.

Bóg ofiar był tego pewien jak faktu własnej śmierci.

– Utrzymajcie go za wszelką cenę! – szepnął do swoich pomocników, a potem ruszył w pogoń za swoim panem i władcą.

Tezcatlipoca dotarł gdzieś do połowy stromych schodów, a Huitzilopochtli już ruszał mu na spotkanie. Obaj mieli mord w oczach.

Chalmeatecuhtli zatrzymał się na górnych stopniach i zaczął rozpaczliwie wymachiwać rękami.

– DOŚĆ! – ryknął ile sił w płucach. – Przestańcie natychmiast, bo się krew zmarnuje!!! Przysięgam na Dwoistość!

O dziwo, usłuchali go. Głowy wszystkich bóstw obróciły się ku samotnej postaci kapłana na szczycie świątyni. W oczach mieli strach lub przynajmniej zaniepokojenie.

– Waśnie i bijatyki doprowadzą do katastrofy! Nie wolno w ten sposób bezcześcić świętego rytuału! A krwi wystarczy dla wszystkich!

Ponura groźba ostudziła nieco nastroje. Nikt, naprawdę nikt nie chciał zmarnować ofiary.

– Dostaniesz jaguara! – obiecał Tezcatlipoca łypiącej podejrzliwie Coatlicue.

Prychnęła z pogardą.

– Też mi krew! Nie ma mowy! Daj mi coś lepszego.

– Dobra, tamten drugi skrzydlaty, ten z piekła, ożywi ciebie i twego syna – zaproponował Dymiące Zwierciadło, lecz, rzecz jasna, nie miał zamiaru dotrzymać słowa.

– Może być?

Zawahała się, a po chwili skinęła jednak głową.

– Dobrze. Ale Huitzilopochtli pójdzie z tobą na górę!

Bo pod tobą schody by pękły, stara, gruba babo, pomyślał Tezcatlipoca gniewnie. Zgodziłby się teraz na wszystko, więc przystał na jej propozycję.

Koliber Południa zaczął skakać po stopniach jak świerszcz zanurzony w kolorowych tuszach, a Nahui Ocelotl szparko wspiał się na szczyt.

– Zabij ich wszystkich dla nas – rozkazał szeptem kapłanowi. – Rozumiesz?

– Muszę powtórzyć hymn. Przerwałem go – stęknął poblądły Chalmecatecuhtli.

– Byle szybko! – warknął Pierwsze Słońce.

Bóg ofiar już podnosił nóż.

Ale tym razem zamiast nadziei żywił tylko przemożny strach, że i tak wszystko przepadło.



Jeszcze przed chwilą, przed jednym mgnieniem, krótszym niż mrugnięcie oka, wierzyłeś, że Pan cię opuścił. Zgodziłeś się osunąć w śmierć, bez walki, bez sprzeciwu, ot tak, jakbyś pogrążył się we śnie. Co ci to przypomina, Aniele Zagłady? Czy nie samobójstwo, które jest jawnym przeciwstawieniem się woli Jasności?

Co cię opętało? Naprawdę sądziłeś, że Światłość przybędzie tu we własnej osobie, żeby cię ocalić? Czy tak właśnie postępuje na co dzień? Czy ingeruje w sprawę tego i wszystkich innych światów jak małe dziecko, które się bawi? Odbiło ci czy co?

Pomyśl. Zmusz się do myślenia!

Przed momentem poddałeś się, zwątpiłeś, ba, pozwoliłeś sobie oskarżać Jasność, że cię porzuciła. W swojej głupocie i zaślepieniu nie słuchałeś sygnałów, przeoczyłeś wskazówki. Błagaj teraz, żeby nie było za późno, bo musisz ocalić nie tylko siebie, ale też przyjaciół, którzy ryzykowali, żeby cię uwolnić.

Dotąd ignorowałeś dźwięki, zapachy, słowa i wydarzenia, jakie zaczęły się dziać wokół ciebie. Pogrążony w rozpacz, nie zdawałeś sobie sprawy, że sytuacja właśnie się zmienia. Z beznadziejnej staje się sprzyjająca. Nie dopuszczałeś do siebie żadnych bodźców. Odrzucałeś je. Nie chciałeś widzieć ani słyszeć awantury, która jak zbawcza burza rozpętała się w chwili, gdy pogodziłeś się z odejściem.

A przecież to jest właśnie szansa, którą Pan przed tobą otwiera!

Śmierć jest ciemnością.

Życie zaś oślepia. Płonie wielkim ogniem, straszliwe w swej świetlistej, nieugiętej chwale. Zawsze zwycięża. Zawsze walczy. Zawsze znajduje sobie drogę. Tak, często przemienia się w lśniący, ostry diament, który tnie i kaleczy szyby naszych złudzeń, pragnień i marzeń, lecz zawsze po to, żeby nas uwolnić. Przywrócić światu. Zmusić do

istnienia.

Nie zna porażki. Nie godzi się na poddanie. Nie odpuszcza.

Wygrywa, bo wygrać musi. Z samej głębi swojej natury. Kim jesteś, by się temu sprzeciwiać?

Życie to najpotężniejszy, najbardziej przerażający z darów otrzymanych od Jasności. Przemóżny. Ostateczny. Nie sposób go odrzucić.

Nikt nie śmie.

Może tylko prawdziwi szaleńcy.

Dlatego zamiast lepkiej, dusznej ciemności zaświatów zaczynasz widzieć przed oczami obrazy z zamierzchłej przeszłości. Iskry wspomnień, zaledwie przeblyski, lecz wyraźne i palące jak piętna odcisnięte na skórze.

Oto znów idziesz długim szpalerem pośród niezliczonej rzeszy ptactwa niebieskiego. Widzisz swoich przyjaciół złamanych i zrozpaczonych, z twarzami pomalowanymi popiołem na znak żałoby.

Żałoby po tobie.

Migają ci twarze. Wykrzywione pogardą, białe, woskowe oblicze Jaldabaota. Za nim stoi Jao, pełen żalu i niesmaku. Zaraz, a oto i Raguel. Raguel z grymasem strachu i rytualnym sztyletem w dłoni.

Zaraz przebije ci serce, a wtedy Pan cię wskrzesi, wlewając w ciebie moc Abaddona.

Ale nie, nie. Coś się nie zgadza w tym obrazie. Coś tu paskudnie zgrzyta.

Bo to nie twarz niebiańskiego egzekutora pochyla się teraz nad tobą, lecz ciemne, terakotowe lico kapłana z dawno zapomnianej krainy. W palcach nie trzyma smukłego, srebrzystego sztyletu, lecz gruby, toporny nóż z obsydianu.

Toż to jakaś straszna i śmieszna parodia dramatycznej sceny sprzed wielu tysięcy lat.

A ty poddałeś się tym biedakom w piórach i jaspisach, ułudach i nadziejach dawno upadłej cywilizacji? Ty, anioł z Kluczem do Czeluści? Tańczący na Zgliszczach? Rycerz Pański?

Dlaczego, na litość Jasności?!

To tylko starzy, smutni, żalśni bogowie, którzy odwrócili się od blasku Światłości. Owszem, bardzo ich niegdyś skrzywdzono, lecz oni, zapiekli w swojej nienawiści, nie umieją ani przebaczyć, ani zapomnieć o minionej chwale. Wcale nie umierają z braku ofiarnej krwi. Gina, bo próbują żyć wyłącznie przeszłością.

A to zawsze niszczy.

Chce ci się gorzko śmiać, lecz nie masz na to czasu.

Widzisz, jak obsydianowe ostrze opada, godząc prosto w twoją pierś. Lecz teraz, kiedy odzyskałeś wiarę, odzyskujesz też siły. Jesteś o wiele potężniejszy od nich. Jesteś mocarzem. Zostałeś tknięty ręką Pana, więc nie musisz bać się niczego.

Naprawdę niczego.

Nóż opada, a wtedy robisz to samo co niegdyś, gdy byłeś jeszcze zwykłym Rycerzem Miecza. Jeśli w tamtych czasach znalazłeś na to siły, tym bardziej zmobilizujesz je teraz.

Jednym szarpnięciem wyrywasz ramię z uścisku pierzastych wojowników i blokujesz nim cios obsydianowego sztyletu. Czujesz, jak głęboko rozpruwa ci ramię, przebija je, ześlizgując się po kościach, rozrywa mięśnie i skórę, a potem kaleczy sam koniec blizny, która przecina ci mostek.

Ale to wystarczy. Wystarczy, by stało się coś niesłychanego, co zdumiewa i oszałamia nawet ciebie.

Blizna otwiera się, eksplodując bólem o wiele bardziej palącym i strasznym niż poważnie zraniona ręka. Z rozwartej szczeliny, która nie krwawi, choć przecież powinna, wystrzela w górę słup białego, przeraźliwie jasnego i czystego światła. Buzuje przez chwilę, ale zaraz gaśnie, jakbyś był reflektorem szperaczem, który Pan włączył po to, by zaraz zgasić.

Gdy błysk rozmywa się w powietrzu, czujesz wściekle rwanie w mostku. Brakuje ci tchu. Każdy oddech kosztuje koszmarnie, potężne dźgnięcie bólu w klatce piersiowej, jakby przebijano cię szpadami. Zanosisz się spazmem urywanego, krótkiego kaszlu, który jest jak wybuch granatu.

Kręci ci się w głowie, z trudem łapiesz równowagę, zsuwając się z ofiarnego kamienia.

To nic.

Żyjesz.

Żyjesz i zaraz poderwiesz się do walki.

A to najważniejsze.



Tezcatlipoca Czarny mruga oczami jak sowa wyciągnięta z dziupli w samo południe. Nie, absolutnie nie może uwierzyć w to, co widzi.

Najwyższy kapłan czołga się po ziemi, wyjąc z bólu. Rękami zakrywa sobie twarz.

– Nic nie widzę! Oślepiłem! – zawodzi trwoźnie i rozpaczliwie, kręcąc się w kółko wokół ofiarnego kamienia.

Rytualny sztylet spoczywa na ziemi, a krew, jego wspaniała, obiecująca, ożywcza krew gramoli się z ołtarza, gotowa uciec i na wieki pograżyć Tamoanchan w mroku niebytu.

Niedoczekanie jej!

Tymczasem z ręki podłego bydlaka z Królestwa, który wcale nie dał się rozplatać i podstępnie załatwił Chalmecatecutlego, leje się gorąca, szkarłatna posoka.

A to oznacza, że leje się życie.

Jego życie, bo choć niepełna, ofiara została złożona ku jego własnej czci.

I Nahuí Ocelotl czuje, jak przepelnia go cudowne uczucie istnienia. Staje się silniejszy, potężniejszy, bardziej rzeczywisty.

Materialny!

Na przekłete bóstwo Dwoistości, znów zaczyna mieć ciało!

Nie, w żadnym wypadku nie pozwoli, żeby krew mu teraz uciekła.

– Trzymajcie jeńca! – rozkazuje pomocnikom kapłana, którzy przerażeni

wybuchem światła dobywającym się z piersi niedoszłej ofiary, rozpierzchli się na boki. – To dla nas jedyna szansa, głupcy!

Wojownicy świetnie to rozumieją, bo także odczuwają ożywcze tchnienie posoki płynącej obficie z rany Daimona. Rzucają się więc na niego, przewyciężając strach. Anioł walczy, ale jest słaby i oszołomiony bólem. Łapią go za ramiona i nogi, choć kopie wściekle. Rozdaje wokół potężne, czasami zabójcze ciosy pięściami, lecz poddanych Jaguara Nocy napędza najmocniejsza motywacja. Pragnienie życia. Jest ich wielu. Bardzo wielu przeciw wycieńczonemu i rannemu Abaddonowi. I wszyscy łakną jego krwi. Więc chociaż nie ustaje w boju, wyrывая się przeciwnikom, choć miażdży nosy, rozbija wargi i powala uderzeniami w czoła i skronie, w sumie ma mniej więcej takie szanse jak żuk wrzucony do mrowiska. Nie poddaje się. Po prostu zupełnie opada z sił. Dlatego wojownicy powoli, bardzo powoli, ale nieustępliwie zmuszają go do wygięcia ciała na rytualnym gładzie.

– Co tu się dzieje?! – pieje wysokim głosem ogłupiały od nadmiaru wrażeń Huitzilopochtli. – Co wy robicie?

– Brać go! – nakazuje krótko Dymiące Zwierciadło, który nie ma ochoty dzielić się z kimkolwiek swoją ofiarą.

Jego poddani łapią więc i obezwładniają Kolibra Południa, który zaczyna wrzeszczeć wysokim, ptasim głosem.

Słyszając to, jego matka rzuca się u stóp świątyni jak ropucha w błocie.

– Oszukali nas! – dudni gromko głosem spadającej lawiny. – Ten ohydny kłamca Tezcatlipoca nie ma honoru! Walczcie, moje dzieci! Odbijcie swego pana i zabierzcie jeńców parszywemu Nahui Ocelotlowi!

Poddani Kolibra Południa ruszają więc ku schodom, próbując wdrzeć się na szczyt piramidy, lecz mieszkańcy Tamoanchanu nie zamierzają do tego dopuścić. Bijatyka, która natychmiast wybucha, przypomina wykwit totalnego chaosu. Wszyscy ruszają do boju, używając każdej broni, jakiej zdołają się imać. Dwie grupy bogów i zmarłych ścierają się ze sobą w szalonym zwarciu. Wojownicy Tezcatlipoki są najlepiej przygotowani do stawiania oporu napastnikom. I najlepiej uzbrojeni. Ponieważ bawełniane, paradne płaszcze krępują ich ruchy, odrzucają je na ziemię jak węże zrzucające wylinki. W ruch idą pałki, noże i maczugi. Podwładni Kolibra Południa potykają się o fałdy tkanin, tracą równowagę, gubią sandały. Widząc to, lud Tamoanchanu, ożywiony nadzieją rychłego wskrzeszenia, rzuca się na napastników, godząc w nich każdym przedmiotem, który wydaje się odpowiednio solidny i twardy. Fleciści tłuką instrumentami w głowy wrogów, bębniarze próbują nasadzić im bębny na karki niczym osobliwe kołnierze, kobiety miotają wysuszonymi kolbami kukurydzy, starcy używają świętych bereł jako buzdyganów. Nawet odświętne maski tancerzy służą jako tarcze do odpierania ciosów. W powietrzu jak tokeny z rozbitej mozaiki fruują barwne pióra, zerwana biżuteria, płatki kwiatów i fragmenty podartych strojów ceremonialnych.

Nikt nie zamierza odpuścić.

Podniosły rytuał zamienia się w rozpaczliwą farsę.



Rany, jak to boli! Mostek rwie cię, jakby obsydianowy nóż naprawdę go przeciął, a ręka, no cóż, ręka pali diabelnym bólem, kiedy wojownicy Dymiącego Zwierciadła walą nią w ofiarny kamień, szarpią i wbijają palce głęboko w ranę. Walczysz jak szaleniec, ale oni i tak mają przewagę. Próbują znów rozciągnąć cię na głazie i, niestety, są coraz bliżsi sukcesu.

Kątem oka dostrzegasz przemianę, jaką przechodzi właśnie Tezcatlipoca. Jego widmowe ciało materializuje się powoli, wypełniając coraz bardziej widocznym koścem. Jakby ktoś wlał kilka kropel tuszu do szklanki z bladobrazowym płynem. Po chwili kontury półwidzialnego ciała rozmywają się i zamiast przejrzystego młodzieńca pojawia się szkielet z bijącym sercem uwięzionym za prętami klatki piersiowej. Żebra otwierają się i zamykają jak drzwiczki w zegarze z kukułką, lecz nie w rytmie wybijanych godzin, ale zgodnie z pulsowaniem tętna w niewidocznych żyłach.

Na tym przeobrażenie się kończy.

Na dalszą materializację nie starcza już krwi przelanej na ofiarnym ołtarzu.

Dymiące Zwierciadło zgrzyta zębami z rozczarowania, ale i tak czuje się o wiele silniejszy niż w poprzedniej postaci. Teraz, kiedy już wie, że ofiara przywraca mu utracone moce, za wszelką cenę pragnie ukończyć rytuał.

Podbiega do jęczącego kapłana i siłą podrywa go na nogi.

– Dokończ ceremonię! – krzyczy. – Wtedy odzyskasz wzrok. Pomogę ci!

Odrywa dłonie kapłana od jego twarzy, wciska w nie obsydianowy sztylet. Widzi, że skóra na czole i policzkach Chalmecatecuhtlego jest spalona do kości, czarna i popękana, a zamiast oczu zieją dwie krwawe, wypalone jamy, ale nic go to nie obchodzi.

Ofiara musi być złożona prawidłowo.

I już!

Kapłan słania się na nogach, szlocha z bólu i szoku, lecz bezlitosny Jaguar Nocy wlecze go do ołtarza, na którym miotasz się i wyrwasz w dzikiej, zapalczywej walce. Znów widzisz nad sobą terakotową twarz boga ofiar, lecz teraz wygląda jak przepalony, popękany garnek.

Tuż obok jest też zniechęcony Tezcatlipoca, kłapiący drzwiczkami żeber w nerwowym podnieceniu. Masz jego pulsujące serce na wyciągnięcie ręki.

I nagle wiesz już, co robić.

Nahui Ocelotl unosi w górę dłoń kapłana, celuje topornym ostrzem z obsydianu prosto w twój splot słoneczny.

– Uderzaj! – rozkazuje.

Teraz! – myślisz.

Niespodziewanie wyprowadzasz rozpaczliwe, potężne kopnięcie, którym posyłasz boga ofiar gdzieś daleko w piaszczysty niebyt dziedzińca. Wściekłym szarpnięciem wyrwasz lewą, zdrową rękę z uścisku wojowników, modląc się, żeby okazała się odpowiednio pewna. Wbijasz ją między otwarte żebra Pierwszego Słońca i zamykasz w dłoni jego serce. Jest zimne, nieco śliskawe, jak marynowany grzyb. Wydzierasz je błyskawicznie z piersi wroga i wyciągasz. Zatrzaszczająca się gwałtownie klatka żeber muska ci palce jak paszcza drapieżcy, ale nie daje rady ukąsić. Masz je! Trzymasz je

pewnie. Jest twoje.

Przekłete serce Pana Kamienna Noga.

Jaguar Nocy zatacza się, łapie za mostek, jakby doznał zawału. Szczęka mu opada, kolana uginają się i zmuszają do ukłęknięcia w błagalnej pozie.

– Oddaj serce! – jęczy.

Przerażeni wojownicy zamierają bez ruchu. Z łatwością wyswabdzasz się z ich uścisku.

Choć bardzo słaby i zbolały, stajesz przed ofiarnym głazem, ściskając w dłoniach zimny, martwy organ dawnego boga. Trzepocze jak zdychający ptak.

– Każ wszystkim odejść! – mówisz dobitnie.

A Tezcatlipoca musi cię usłuchać, bo nie ma innego wyjścia. Powtarza swoim poddanym twój rozkaz. Rozstępują się posłusznie. Teraz na scenie jesteście tylko ty i powalony Dymiące Zwierciadło.

Gdzieś tam papuzim głosem skrzeczy Huitzilopochtli, a kapłan jęczy boleśnie, ale to tylko odgłosy tła. Nie mają najmniejszego znaczenia.

– Rozwiąż i wypuść moich przyjaciół – mówisz.

Słyszysz słabe, lecz wyraźne okrzyki radości Lucka i Sinaa, gdy wojownicy przecinają więzy i puszczają ich wolno. Obaj zbliżają się do ołtarza. Przezorny Lampka ma już w rękach włócznię i nóż skonfiskowane któremuś ze strażników.

Ruchem głowy pokazujesz jaguarołakowi porzuconą skórę, która spadła z ramion Nahui Ocelotla podczas przemiany. Zakłada ją niezwłocznie i od razu przybiera postać ogromnego dzikiego kota.

W towarzystwie przyjaciół czujesz się o wiele rażniej, choć wasza sytuacja na razie wcale nie wygląda różowo. Otaczają was hordy wrogów, a w oczodołach klęczącego boga płonie szaleńcza nienawiść gotowa przepalić cię na wylot. Jesteś ranny, a towarzysze osłabieni niewolą, postem i widmem bliskiej śmierci.

Jednak wszyscy trzej żyjecie, a to najważniejsze.

– Luc, przynieś mi Gwiazdę Zagłady – nakazujesz.

Pierwsze Słońce zgrzyta zębami ze złości, ale nie protestuje.

– Oddaj mi serce – szepcze za to błagalnie. – Oddaj, a puszczyć wolno was wszystkich. Przysięgam.

– Dobrze – zgadzasz się. – Kiedy wypuścisz, to oddam.

Lucyfer tymczasem podaje ci miecz. Kiedy dotykasz znajomej rękojeści, odnosisz wrażenie, jakbyś wrócił do domu. Jest nieco tłustawa i brudna od sraczkowej kałmasy, ale to nic.

– Masz już wszystko, co chcesz – odzywa się Dymiące Zwierciadło głosem pełnym napięcia. – Oddaj, co moje, i odejdz. Nie będę cię ścigał.

Akurat! – myślisz. Akurat, mistrzu Krzemienka Gira. Już ci wierzę.

Bo dobrze pamiętasz słowa Seredy. Kiedy Tezcatlipoca Czarny traci serce, obiecuje złote góry śmiałkowi, który je zabrał. Ale nigdy nie dotrzymuje słowa.

Wiesz, że nie możesz za długo przeciągać tej sceny. Wokół jest mnóstwo wrogów. Mają gigantyczną przewagę. W końcu zaatakują, czy to na rozkaz swojego pana, czy zupełnie spontanicznie, ponieważ zapach świeżej krwi doprowadza ich do szaleństwa.

Już teraz oblizują bezwiednie wargi, odsłaniają zęby w psich grymasach pożądania, a twarze wykrzywia im obłądny głód.

W końcu Pierwsze Słońce także straci cierpliwość i rzuci się na ciebie w desperackim ataku. Dobrze to widać w jego gorejących źrenicach.

– No dobra. Łap! – mówisz, lecz zamiast wprost w kościste ręce szkieletu, rzucasz serce szerokim łukiem daleko na schody, poza obręb świątynnego dziedzińca. Nie widzisz, gdzie upadło, ale masz nadzieję, że stoczyło się ze stopni przynajmniej do połowy piramidy.

Tezcatlipoca zaczyna wyc z gniewu i żalu.

– Coś ty zrobił, potworze?! – ryczy. – Przecież obiecałem was wypuścić! Dlaczego mi to zrobiłeś?!

Wcale nie jest ci go szkoda. Zasłużył sobie, zdradliwy bydlak.

– Nauczyłem się od ciebie – oznajmiasz. – Ty też wiele obiecujesz, ale zawsze kłamiesz.

Bóg porywa się na piszczele.

– Szukać go! – krzyczy rozpaczliwie. – Szukać mojego serca!

Więc cała hurma bóstw, bogiń, bogów i martwych wojowników zaczyna biegać bez ładu i składu po dziedzińcu i schodach świątyni, kucając co chwila i zaglądnąc w każdą dziurę czy zakamarek. Przypomina to parodię poszukiwania wielkanocnych pisanek w ogrodzie. Zostaje tylko kilku strażników pilnujących już związanego Kolibra Południa.

– Ostrożnie, bo je rozdepczecie, idioci! – jęczy rozdzierająco władca Tamoanchanu.

Lampka kładzie ci rękę na ramieniu.

– Chodu! – szepcze. – Póki gospodarze są zajęci.

Nie możecie zejść głównymi schodami, bo tam kłębi się tłum poszukiwaczy zaginionego serca, lecz na szczęście z piramidy wiodą jeszcze inne ciągi komunikacyjne. Wybieracie bardzo strome, wąskie schodki na tyłach budynku świątyni, tak na wszelki wypadek, żeby nie za bardzo rzucać się w oczy.

Schodzicie pośpiesznie, uważając, żeby nie potknąć się i nie spaść.

Z każdym krokiem pogłębia się z początku wątły i nieśmiały uśmieszek imperatora Otchłani. Sinaa także szczyrzy paszczę w radosnym grymasie.

Bo na dole cały Tamoanchan wciąż bije się zaciekle ze zwolennikami Coatlicue. A to bardzo dobra wiadomość.

Jesteście już u podstawy piramidy, zostają dosłownie dwa, trzy stopnie do pokonania. Przed wami otwiera się przyjaźnie wąski zaułek, który dobrotliwie zaprowadzi was gdzieś na odległe przedmieścia, z dala od toczącej się w centrum miasta awantury.

– Chyba się udało – mówi cicho, cichutko Lucyfer.

Pewnie żeby nie zapeszyć.

Lecz okazuje się, że jednak wypowiada to zdanie w złą godzinę.

– Ofiary uciekły! – rozlega się w pobliżu rozgłośny okrzyk. – Przestańcie się bić, głupcy! Cała krew nam uciekła! Łapcie ją, na Dwoistość!

– Upsss! – stęka Sinaa. – Mhamy prhoblem chyba.

Nie myli się, niestety.



Nie wygląda to dobrze. Prawdę mówiąc, bardzo kiepsko.

Z obu stron piramidy wlewa się w ulicę skłębiony, uzbrojony, rozwścieczony tłum. Napiera na trójkę przyjaciół jak wezbrana rzeka, która przerwała tamę. Abaddon, Lucek i jaguar próbują umknąć przyjaznym zaułkiem za świątynią, lecz i tam już piętrzy się wielokolorowa fala przeciwników.

Błyska ostrze Gwiazdy Zagłady. Daimon dobywa miecza i bez wahania naciera na kotłującą się masę wrogów, próbując wyrąbać w niej przejście, jakby powalał drzewa i krzewy, torując ścieżkę w gęstym lesie. Ostrze sieje spustoszenie, zadając straszne, śmiertelne rany. Frey jednym cięciem rozrąbuje na pół brązowe oblicze najbliższego napastnika, by niemal w tym samym momencie z półobrotu poderwać broń w górę i dźgnąć sztychem kolejnego. Następnemu odcina ramię wraz z kawałkiem torsu, lecz w jego miejscu natychmiast wyrasta inny, który również pada powalony, z klatką piersiową otwartą jak stara walizka. Klinga śmiga w powietrzu, śpiewając srebrnym, metalicznym głosem odwieczną pieśń śmierci, ale napastników nie ubywa. Oczy Anioła Zagłady zalewa pot, ze zranionego głęboko przedramienia wciąż cieknie gorący szkarłat, oddech staje się krótki i urywany.

Tańczący na Zgliszczach czuje, że długo nie wytrzyma morderczego tempa. Lecz nie ustaje, nie ustępuje, bo widzi, jak szaleńczo i dzielnie bronią się jego przyjaciele.

Dopiero w ogniu prawdziwej walki okazuje się, jak groźnym i potężnym przeciwnikiem jest Sinaa. Ogromny jaguar przemienia się w żywą maszynę do zabijania. Jednym kłapnięciem przetrąca karki, kłami wyszarpuje ogromne kawały z ciał przeciwników, miażdży kości, rozdziera tkanki pazurami, płatami zdzierając skórę i odsłaniając węzowe festony wnętrzości. Sam niedosięgły i wciąż nietknięty bronią wrogów, staje się płową smugą naznaczoną piętnem cętek, emanacją dzikości, prawdziwym duchem tropikalnego lasu niosącym śmierć każdemu, kto ośmieli się na niego nastawać. Z pyskiem ociekającym ciemną, trupią posoką i ślepiami jarzącymi się zielonym blaskiem niczym szmaragdy w płomieniu przypomina odwiecznego boga przyrody, starszego niż sama ludzkość. Drapieżcę doskonałego, budzącego lęk i szacunek swym szlachetnym majestatem.

U boku dzikiego kota, który właśnie uderzeniem łapy zdziera twarz wojownika z krzemiennym toporem w ręce, walczy imperator Głębi. Zaciekły, milczący, chłodny w swej zabójczej precyzji. W boju nie czyni żadnego zbędnego ruchu. Każde uderzenie, pchnięcie noża czy dźgnięcie włócznią płynnie wynika z poprzedniego. Lucyfer wyprowadza krótkie, oszczędne ciosy, nie tracąc sił na niepotrzebne zamachy. Łokcie trzyma blisko przy ciele, żeby stanowić jak najmniejszy, najbardziej zwarty cel. W dłoni ma tylko toporny, prymitywny nóż z obsydianu, lecz godzi nim wrogów błyskawicznie, śmiertelnie i precyzyjnie, jak atakujący wąż. Włócznia także co chwila zagłębia się w ciała napierających napastników, otwierając w nich zabójcze rany.

W tej chwili nie pozostał nawet ślad po rozmarzonym, lirycznym, romantycznym Lucku. Wraz z Daimonem i Sinaa do bitwy staje wytrawny, twardy, ponury wojownik.

Odważny, bezwzględny i silny. Tak, patrząc teraz w stalowe, chłodne jak prawdziwy metal oczy Niosącego Światło, można uwierzyć, że niegdyś ośmielił się rzucić wyzwanie samej Jasności.

Wszyscy trzej dają odpór przeciwnikom, broniąc się śmiało i nieugięte, ale wrogów jest po prostu zbyt wielu. Zmuszają przyjaciół do cofania się, zaganiają ich pod ścianę świątyni, osaczając coraz ciasniejszym kręgiem. W końcu Lampa, Abaddon i jaguar przywierają do siebie, niezdolni do wykonania żadnego posunięcia. Za plecami mają tylko potężny kamienny mur piramidy.

A przed sobą śmierć.

– No to koniec – szepcze Daimon głuchym, ochryplym głosem. – Postarajmy się chociaż drogo sprzedać skórę.

Dyszy ze zmęczenia i wciąż obficie krwawi.

– Czekaj. – Luc oblizuje spierzchnięte wargi.

Cholernie chce mu się pić.

– Czekaj – powtarza, sięgając za pazuchę.

Wie, że może zaryzykować gwałtowny ruch, bo wrogowie nie zabiją go teraz, a najwyżej obezwładnią. Tamoanchan przecież wciąż łaknie ofiary. Kiedy Lampa wyciąga dłoń i unosi rękę wysoko w górę, na jego palcu połyskuje ogromny sygnet. Obręcz jest chyba srebrna, ale wydaje się tak jarząco biała, aż pali oczy. Za to kamień wykonano zapewne z odwiecznego mroku. Straszliwie czarny, pochłania wszelkie światło wokół niczym czarna dziura. W jednej chwili na ulicy i w zaułku robi się ciemniej, jakby spowił je kir szarego dymu.

Klejnot w pierścieniu niesie w sobie przytłaczającą, przemożną, ciężką energię entropii. Nie można się oprzeć odczuciu, że w jego obecności wszystko zamiera, dąży do zagłady, pragnie zgnić i obrócić się w proch.

Daimon ma nagle wrażenie, że pierś przygniata mu nagrobna płyta. Sinaa odsłania kły w groźnym, gardłowym pomruku.

– Spokojnie. – Wargi Lucyfera poruszają się niemal bezgłośnie. – Wiem, co robię. Zaciska dłoń w pięść, a wtedy duszący mrok staje się jeszcze gęstszy.

Niosący Światło, który tym razem roztacza dokoła kaskady ciemności, najgłębszą emanację nocy, gromkim głosem zaczyna przemawiać do tłumu.

– Jestem jedynym panem i imperatorem Otchłani! A ten pierścień to symbol i gwarancja mojej władzy! Ponieważ wszyscy, jak tu stoicie, zostaliście pięćset lat temu wyklęci i uznani za potępieńców lub demony, z racji swego statusu winniście mi posłuszeństwo jako poddani! Należycie do mnie i macie wykonywać moje rozkazy! Czy to rozumiale?!

Wojownicy i bogowie szemrzą tylko między sobą, niepewni i zbici z tropu. Nieliczni opuszczają broń, ale większość nadal celuje w trójkę przyjaciół.

– Na co czekacie?! – woła Lampka srogo. – Ukorzcie się przed swoim panem!

– Jedynym panem tego świata jestem ja! – odzywa się nagle donośny, gniewny okrzyk. – Nahui Ocelotl! Pierwsze Słońce, stwórca, czarownik i najpotężniejszy z bogów! Tylko mnie podlegacie i mnie musicie słuchać! A nie tego przybłądy, który płaszczy się przed Jasnością!

– Wcale się nie płaszczę! – oburza się Luc. – Zbuntowałem się przeciw Jej władzy tysiące lat temu!

– Och, pewnie. – Tezcatlipoca Czarny uśmiecha się krzywo i wrednie.

Znów przybrał formę półprzejrzystego, widmowego młodzieńca, bo utrata serca, choć chwilowa, zawsze kosztuje go masę sił.

Dlatego teraz pieni się z wściekłości, że nie zdołał odzyskać ani ciała, ani pełni magicznych mocy.

– To może pokażesz teraz, jak władasz moimi poddanymi, imperatorze? – syczy złośliwie. – No, czekamy!

Takiego obrotu spraw Lucek nie przewidział. Łudził się nadzieją, że choć pewna część dawnych bogów uzna w nim władcę i w obozie przeciwników powstanie korzystny dla trójki towarzyszy wyłom.

– Nie ma chętnych? – Dymiące Zwierciadło rozkłada ręce i śmieje się szyderczo. – Naprawdę? Nikt nie chce uznać tego wielkiego, potężnego, dumnego demona za swego pana? A to ciekawe!

Toczy wzrokiem po zgromadzonych, a jego czarne, okrutne oczy lśnią ostatecznym triumfem niczym dwie komety, które zaraz mają uderzyć w ziemię, niosąc kres wszelkiej cywilizacji. Większość jego poddanych przyjmuje słowa pana pomrukiem entuzjazmu, nieliczni spuszczają wzrok. Wojownicy Błękitnego Kolibra Południa zdają się skonsternowani i niepewni. Nawet żabiokształtna Coatlicue, która przyczłapała z trudem, by zagrzewać swych podwładnych do walki, nie wnosi żadnych protestów.

Tak, Jaguar Nocy włada tu niepodzielnie. Nikt się nie ośmiela kwestionować jego pozycji.

– Nie chcecie takiego pana? – pyta Tezcatlipoca głosem, który ocieka jadem jak kły żmii koralowej. – Na pewno? Odrzucacie jego roszczenia? Wybieracie mnie i tylko mnie? A może chcecie, żeby wam przypomnieć czemu? Bo wygląda na to, że domniemany Wielki Imperator jest tylko żalonym śmieciem, który za pomocą oszustwa pragnie ocalić nędzne, nic niewarte życie, a ja mam tu realną moc i władzę? Tak? Zgadza się, że to prawda? W takim razie się nie mylicie. Faktycznie, mam, ale on nie! Brać go! I tamtych dwóch także!

– Niedobrze – szepcze Sinaa z niepokojem.

Spogląda na dwóch potężnych skrzydlatych, Anioła Zagłady oraz imperatora Głębi, którzy nie są w stanie nic zrobić, żeby uratować mu życie.

Zupełnie nic.

Lecz właśnie w chwili, gdy wydaje się, że ostatecznie zawiedli przyjaciela i okazali żalną bezradność, ponad dachami miasta, wysoko w błękicie nieba, rodzi się ostry, niepokojący dźwięk. Przypomina przeciągły świst, miarowe ćwierkanie i odgłos bijących skrzydeł. Wszyscy unoszą głowy i widzą, że nieboskłon przecina złocisto-zielono-błękitna wstęga, jakby olbrzymka rzuciła niedbale w górę długie, kolorowe boa z piór. Wraz z tą smugą pierzastych kolorów fruną w powietrzu, a potem zaczynają opadać na ulice krępe, zielonoskóre istoty. Niektóre mają ciała pokryte drobną, gładką łuską, inne są upstrzone maleńkimi, połyskującymi klejnocikami przywodzącymi na myśl krople wody. Ich szmaragdowe oczy są wielkie i okrągłe jak denka butelek. Z wąskich ust wyslizgują

się podwójne tasiemki gadzich języków. Opuszki palców są szerokie i płaskie niczym łapki rzekotek. Stworzenia te, choć niskiego wzrostu, wyglądają zaciekle i groźnie, uzbrojone w długie, zakrzywione kije wyrzeźbione w kształt węży.

Tezcatlipoca jednak nie patrzy na nie, lecz wlepia wzrok pełen nienawiści w wielobarwne boa olbrzymki, które przypomina teraz raczej furkoczący na wietrze ogon latawca.

– Quetzalcoatl! – mówi zdławionym od gniewu głosem. – Tylko tej kreatury mi brakowało!

Tymczasem pierzasta, mieniąca się wstęgą spływa nagle na ziemię kaskadą złota, kobaltów i szmaragdu, zaczyna wirować, szybciej i szybciej, splatając się w coraz ciaśniejszy kłębek, aby na końcu przeistoczyć się w wysokiego, barczystego mężczyznę o jasnej skórze, oczach niebieskich jak turkus, ciemnych, kręconych włosach i takiej też brodzie.

– Ty ohydny robaku! – warczy Nahui Ocelotl, ściskając mocno w dłoni trzonek włóczni. – Nie przeszkodzisz mi! Zabiłem cię raz i tym razem też tego dokonam! Ale ostatecznie!

Przybysz parska pogardliwym śmiechem.

– Nie podskakuj, słabeuszu. Jesteś cieniem dawnego siebie. Wkrótce przemienisz się w cuchnący wiaterek i rozwiejesz na zawsze. Przybyłem, żeby uratować niewinne życia i oduczyć cię wreszcie ohydnych, zbrodniczych, dewianckich rytuałów! Za mną, dzielni tlalocowie! Powstrzymajmy tę obrzydliwość!

Choćby nie wiem jak się wściekał, Dymiące Zwierciadło nie może nic poradzić na to, że jego wyśniona, wspaniała ceremonia ofiarna przeradza się w kompletną katastrofę. Dlatego rzuca się do walki ze znienawidzonym, pradawnym wrogiem w nadziei, że tym razem, wreszcie, uda mu się pokonać go ostatecznie.



Stało się tak, jak rozkazał Pierzasty Wąż. Zieloni ludkowie natychmiast natarli na tłum wojowników i wiernych. Sprawnie obrócili swoje kije węzowymi paszczami do przodu. W jednej chwili zagrzmiały wielokrotnym odgłosem gromu i wystrzeliły pióropuszcami iskier. Bój rozgorzał na nowo, lecz teraz zarówno Tezcatlipoca, jak i Coatlicue oraz jej uwolniony z niewoli syn stanęli ramię w ramię, żeby odeprzeć atak białego mężczyzny i jego tlaloców.

– Co to za jeden? – spytał Lucek. – Chyba przyleciał nam pomóc, jak mi się zdaje?

Trzej przyjaciele wciąż znajdowali się w kiepskiej sytuacji, przyparci do muru piramidy i otoczeni przez nieprzebrany tłum walczących. No i dobrze pilnowani. Albowiem kilkunastu wojowników Jaguara Nocy nie brało udziału w potyczce, lecz otaczało ich szczelnym kręgiem, cały czas celując z broni.

– Tho Quetzalcoatl – wyjaśnił Sinaa. – Pierzasty Wąż. Od wieków nienawidzą się z Tezcatlipocą. Wąż strzącił Dymiące Zwierciadło z tronu, gdhy ten był Pierwszym Słońcem. Quetzalcoatl nie uznaje ofiar z ludzi. Walczy z tym obyczajem ze wszystkich sił.

– Fajny gość – mruknął Lampka. – A te zielone krasnalki z wybuchającymi kijkami? Też są przeciwnikami wyrywania serc?

– To poddhani Tlaloca, boga deszczu i wodhy. Sierca ich nie obchodzą, bo ich pan przyjmuje w ofierze tylko niemowlęta. Pewnie dlatego zgodził się pomóc Pierzastemu Wężowi.

– Niemowlęta?! – W głosie Freya wyraźnie pobrzmiwały nuty niedowierzania.

– No. I bardzo małe dzieci – przytaknął jaguar. – Im bardziej płaczą, tym lepsze zapewniają plhony. Łzy symbolizują deszcz, niezbędny, żeby wzrosła kukurydza.

– Niezła banda – skwitował Daimon z obrzydzeniem. – Wszyscy siebie wari, cholerni barbarzyńcy! Słuchajcie, spróbujmy uciec, korzystając z zamieszania.

Lucyfer spojrział z powątpiewaniem na chaos przed sobą.

– Nie mamy rady. Nie przebijemy się. A ci weseli panowie z przetyczkami w nosach i włóczniami w rękach zaraz zrobią w nas parę ładnych dziur, a potem ogłuszą pałkami. Mamy przecież przeżyć tylko chwilę, aż zanoszą nas na górę i wyrwą serca. Zwróć też uwagę, że kilku z nich ma łuki. Zdadzą przemienić nas w eleganckie jeże, zanim kilka razy machniesz Gwiazdą. Musimy poczekać.

– Masz rację – westchnął Frey.

Sam pewnie zaryzykowałby próbę wyrwania się na wolność, lecz bał się, że wojownicy w obliczu utraty ofiarnej krwi bezlitośnie zabiją najmniej wartościowego jeńca, czyli Sinaa. A potem, być może, także Lampkę. Za nic nie chciał do tego dopuścić.

Westchnął więc i zaczął z napięciem obserwować przebieg wydarzeń, bo tylko tyle na razie mógł zrobić.



Niestety, sytuacja Węża i tlaloców nie przedstawiała się dobrze. Ogromna Coatlicue ruszyła do boju jak rozwścieczony wulkan. Gołymi rękami rozszarpywała napastników, deptała nogami, rozrywała pazurami. Była jak wrząca, niszcząca lava. Chwytała malutkich, krępych, zielonoskórych poddanych boga deszczu i jednym szarpnięciem wyrywała im ramiona lub nogi. Odgryzała głowy ostrymi zębami z krzemienia. Nawet węże tworzące jej spódnicę walczyły wraz ze swą koszmarną panią, kłając zielonych ludków jadowymi kłami. Obok matki szalał w bitewnym amoku niziutki, lecz niesłychanie sprawny Huitzilopochtli. Wydawał się kolorową iskrą wystrzelającą w przeciwników, elektrycznym wyładowaniem, które razi prądem każdego wroga. Ciął nożem i kłuł włócznią z prędkością błyskawicy. Śmigał między wrogami jak prawdziwy koliber, a jego ruchy były tak szybkie, że niemal niedostrzegalne. Zostawiał za sobą trupy, jakby odrzucał niepotrzebne łachmany.

Lecz to Tezcatlipoca Czarny, wspinały w swej wojennej krasie, zapamiętały i nieustraszone, udowodniał z każdym krokiem, każdym uderzeniem, ciosem i unikiem, że jest w pełni godzien miana najlepszego z wojowników. Gibki i zwinny jak jaguar, przerażający niczym nagła cisza w środku nocy, zabójczy niby tchnienie zarazy, potężny i bezlitosny na podobieństwo demona, zabijał wrogów, jakby gasił kaganki. Nikt nie mógł

się z nim równać. Był burzą w przejrzystej postaci pięknego młodzieńca. Poruszał się, jakby tańczył. Płynnie, pewnie, bez wahania czy strachu. Płynął pośród zielonego łąnu tłaloców niczym powiew wiatru niosącego śmierć. Wyprowadzał eleganckie, spokojne ciosy, niemal nie bacząc na tłum napierających wrogów. Jego uniki, wypady i ataki przypominały figury skomplikowanego rytualnego pląsu. To teraz, w boju, składał światu prawdziwą ofiarę z krwi. Oddawał się całkowicie kunsztownej sztuce zabijania, gotów nawet zaryzykować własne życie. Dzięki niej istniał i deklarował swą własną wiarę. Poświęcał się wojnie bez reszty. Walczył jak natchniony.

I zwyciężał.

Jego poddani, idąc za przykładem swego pana i stwórcy, dzielnie odpierali ataki tłaloców, zmuszając ich do cofania się.

Dymiące Zwierciadło parł nieustannie do przodu, dążąc do zwania z samym Quetzalcoatlem, który unikał go, omijał łukiem, zwodził, nie chcąc dopuścić do bezpośredniego pojedynku.

Widmowa twarz boga zemsty i zmiennego losu, przecięta czarnym pasem farby, wyszlachetniała w walce. Wyglądała teraz jak zakaz. Znak zaprzeczenia. Stała się symbolem niezgody na wyroki przeznaczenia, bezlitosny upływ czasu, upadek. Tańcząc, walcząc, zabijając, Tezcatlipoca wskrzeszał gorejący blask swej potężnej niegdyś cywilizacji, głosił żarliwą moc swej wiary i dumę z dziedzictwa przodków, bronił wartości kiedyś tak ważnych dla Tamoanchanu. Podczas starcia z przeciwnikiem nie bawił się w żadne gierki, nie oszukiwał, nie kłamał. Opuszczaly go szaleństwo, niezdrowe ambicje i żądza władzy. Stawał się głęboko uczciwy w swej zabójczej perfekcji. Zasady były nadzwyczaj proste.

Ty albo ja.

Urodził się, żeby walczyć, i tylko w boju odnajdywał ulgę od dręczących go koszmarów. Zmiennych nastrojów, ataków melancholii, dręczących smutków i rozmyślań o przemijaniu. Gdy ścierał się z wrogiem, nie umierał z wolna, dotknięty nieuchronnym upływem czasu.

Żył.

Quetzalcoatl doskonale zdawał sobie sprawę, że w bezpośrednim starciu Jaguar Nocy zapewne w parę sekund przemieni go w kawał krwawego mięsa, dlatego nie zamierzał dopuścić do takiej sytuacji. Umysł miał analityczny, chłodny i skłonny do kalkulacji.

W pierwszej kolejności zamierzał wypełnić zadanie, które sam sobie wyznaczył. Uratować jeńców.

Z tego też powodu, widząc, że tłalocowie są bliscy porażki, podjął jedyną słuszną w swoim mniemaniu decyzję. Rozprysnął wirem wielobarwnych kolorów, rozwinął się jak kłębek przędzy i wzbil w górę w postaci ogromnego, upierzonego węża.

Wiedział, że widząc jego odwrót, poddani boga deszczu przywołają chmury, dosiądą ich i bezpiecznie powrócą do domu. Oczywiście ci, którzy przeżyją.

Zapikował w dół niebezpiecznie blisko stoku kamiennej piramidy, jednym ruchem ogona zmiotł czuwających strażników. Polecieli na ziemię bez przytomności, jak rozsypane zapalki. Tymczasem Pierzasty Wąż skręcił się raz jeszcze w kotylion

migających kolorów i przywarował tuż obok trójki przyjaciół. Jego ogromne cielsko otoczyło ich niczym puchaty, turkusowo-złoty mur. Przed oczami mieli głowę stwora, wielką jak chata miejscowego wieśniaka. Zamiast łuskami pysk olbrzymiego gada pokryty był drobnymi, gładkimi, połyskliwymi piórami. Żłociste oczy, chłodne jak bursztyny na zimowej plaży, miały źrenice w kształcie gwiazd i były całkowicie pozbawione wyrazu.

– Wsiadajcie na mój grzbiet! – nakazał. – Wyniosę was w bezpieczne miejsce!

Błyskawicznie podjęli decyzję.

Lucek ruszył pierwszy. Odbił się od ziemi i spróbował dosiąść osobliwego wężoptaka. Nie dał rady doskoczyć nawet do połowy gadziego splotu. Równie dobrze mógł spróbować dosiadać wielokolorowego wału obronnego bez machin i drabin. Daimon wczepił się w gęste pióra porastające bok gada, lecz lotki okazały się śliskie i zdradliwe. Noga mu się omsknęła, stopa nie znalazła oparcia, więc zjechał tylko po złocie i szmaragdzie z powrotem na ulicę, boleśnie urażając zranioną rękę.



© Fabryka Słów

W tej sytuacji nieocenionym pomocnikiem okazał się Sinaa. Jednym płynnym susem znalazł się na grzbiecie węża i wyciągnął do przyjaciół mocarną łapę.

– Włhażcie sztybko!

Posłuchali bez wahania. Jaguar błyskawicznie wciągnął najpierw Lampkę, a zaraz potem Daimona, bez wysiłku, jakby łapał sobie rybę na obiad.

– Uwaga, ruszamy! – oznajmił Quetzalcoatl.

Poderwał się do lotu oszalamiająco gwałtownym ruchem, a przyjaciele, zaskoczeni błyskawicznym tempem startu, wczepili się z całych sił w gęste pierze wybawcy. Po chwili krótszej niż mrugnięcie okiem szybowali już nad tłumem walczących. Cała akcja ratunkowa trwała mniej niż mgnienie.

Lecz niestety, mimo to została dostrzeżona z ziemi.

Tezcatlipoca, widząc ucieczkę odwiecznego wroga, który podstępnie ukradł mu jeńców, wydał z piersi jęśliwy okrzyk nienawiści i rozpaczy. Zamachał rękami i zaczął wykrzykiwać rozkazy swoim wojownikom.

Niemal w momencie, gdy wybrzmiały jego słowa, w powietrze porwały się roje strzał. Łucznicy szyli zaciekle do furkoczącej na niebie wstęgi piór i kolorów, która była Pierzastym Wężem. Pociski odbijały się od puchatych gadzich splotów, nie robiąc Quetzalcoatlowi najmniejszej krzywdy.

Lecz niestety, trzech uciekinierzy byli jak najbardziej podatni na zranienie.

– Dhaimonie! Uwłażaj! – zawołał nagle Sinaa.

Wycieńczony i osłabiony Frey nie zdążył zareagować. Poczł tylko, że nagle przygniata go ciepły, miękki ciężar. Usłyszał świst nadlatujących strzał i krótki, gardłowy ryk drapieźnika.

Pierzasty Wąż przyspieszył, wynosząc ocalonych poza zasięg łuków wojowników z Tamoanchanu. Wkrótcie miasto było już tylko srebrzystobiałą plamą na niebieskiej tafli jeziora.

Daimon obrócił się przez ramię i zauważył, że z łopatki jaguara sterczy wbita do połowy lotka strzały, a po cętkowanym futrze spływa cienka jak maźnięcie flamastra czerwona smużka.

– Coś ty zrobił?! – jęknął.

– Rathowałem przyjaciela – powiedział spokojnie Sinaa. – Nie marthw się. Nic mi nie bhędzie.

Ale Anioł Zagłady wcale nie był tego pewien. Strzała wesła głęboko, tropikalny las niósł w sobie mnóstwo zagrożeń, a wieczna wilgoć, upał i błoto nie sprzyjały procesowi gojenia się ran. O własnej rozharatanej ręce i wielu innych obrażeniach nawet nie pomyślał w tej chwili. Martwił się tylko o Sinaa.

Na Jasność! – pomyślał z trwogą. W co ja wpakowałem tego poczciwego, uczynnego zwierzaka? Mam nadzieję, że naprawdę gładko się z tego wyliże, a my z Luckiem bez problemów dołączymy do ekspedycji.

Czas miał pokazać, jak bardzo się mylił.



Rozdział XV



Lecieli długo nad pustkowiami oznaczonymi wypryskami samotnych głazów, nad rozlaną szeroko plamą dżungli, wzdłuż burej, mętnej smugi rzecznej wody, aż opadli wreszcie na rozległą, płaską skałę porośniętą jedynie karłowatymi kulkami kaktusów.

Tam, upewniwszy się, że pasażerowie bezpiecznie zsunęli się z jego grzbietu, Pierzasty Wąż znów skłębił się w postać jasnoskórego mężczyzny.

– Dziękujemy za ratunek! – Lucek uśmiechnął się przyjaźnie. – Gdyby nie ty, byłoby z nami krucho. Przybyłeś wezwany mocą pierścienia imperatora, prawda?

Twarz Quetzalcoatla pozostała jednak surowa i ściągnięta.

– Ależ skąd! – zaprzeczył ostro. – W żadnym wypadku. Nie myśl sobie, że jestem twoim poddanym, przybłądo z Królestwa!

Mina Lampki się wyciągnęła.

– Jestem Panem Otchłani – wyjaśnił jednak uprzejmie, ponieważ, bądź co bądź, zawdzięczali wężoptakowi życie. – Nie służę Jasności.

Dawny bóg tylko pogardliwie machnął ręką.

– Wszyscy jesteście siebie warci. Gdybyście siedzieli spokojnie w domu, oszczędzilibyście całemu Kosmosowi mnóstwa nieszczęść i kłopotów.

– W takim razie po co nas ratowałeś? – warknął Daimon.

Był zmęczony, ranny i wycieńczony do granic możliwości. Poza tym bardzo się przejął stanem Sinaa. W tej sytuacji nie stać go było na kurtuazję.

– Ponieważ jestem przeciwnikiem takiego barbarzyństwa jak składanie ofiar

z ludzi – parsknął gniewnie Pierzasty Wąż. – Ofiary naprawdę miłe bogom, a zwłaszcza bóstwu Dwoistości, to chleb, kukurydza, miód, owoce i kwiaty. Ta chora obsesja krwi prowadzi tylko do zbrodni i szaleństwa. Przeciwstawiam się jej z całej mocy! Religia to świętość. Musi pozostać jasna i czysta. Jeśli ktoś bruka ją przelewem krwi, popełnia niewybaczalny występki i skazuje się na wieczne potępienie!

– Trudno się nie zgodzić – mruknął Lucyfer.

– Morderstwa, okrucieństwa i bestialstwa popełniane w imię jakiegokolwiek boga to najohydniejszy czyn na świecie – ciągnął zaperzony Quetzalcoatl. – Niszczą duchową tkankę świata. Trują jadem zła i nienawiści najczystsza sferę ludzkich myśli i uczuć! Wiarę. Sacrum. Kontakt z nadprzyrodzonym. To odrażające! Nie godzę się na taką ohydę! Niszczę ją, gdziekolwiek dostrzegam jej przejawy. Najwyższa Istota przekazuje wszystkim stworzeniom jedynie dobro, błogosławieństwo, pokój i miłość. Ktoś, kto ośmiela się zakłócać ten przekaz, bezcześcić go zbrodnią, szaleństwem, cierpieniem i gniewem, powinien zginąć. Dlatego nie dopuściłem dziś do popełnienia rytualnego morderstwa i odwiozłem was w bezpieczne miejsce.

– To bardzo miło z twojej strony – stwierdził Lampka. – Ale zechcesz może nam wyjaśnić, gdzie się znajdujemy i jak wrócić w okolice domu Sinaa? Obaj moi przyjaciele są ranni, potrzebują pomocy...

Jasnoskóry bóg obrzucił go zimnym, gadzim spojrzeniem.

– Ode mnie się jej nie doczekasz! – przerwał. – Spełniłem swój obowiązek i tyle. Obiecałem, że zabiorę was w bezpieczne miejsce. Oto ono. A jaguar jest sam sobie winien. Nikt mu nie kazał mieszać się w przeklęte sprawy Królestwa. Żegnam, imperatorze Głębi. Mam nadzieję, że już się nigdy więcej nie spotkamy.

To mówiąc, znów rozwinął się w postać latającego gada i wzbił w powietrze falą złota i turkusu.

– Paskudny gość w sumie – warknął Lucek. – Jak ja nie znoszę tych mądrzących się dupków! Moralista się znalazł! Rany, jak mi się pić chce! Oddałbym pół Otchłani za kubek wody!

– Nie mhusisz – powiedział Sinaa.

Siedział na pokrytej nalotem piasku skale i ział, od czasu do czasu oblizując pysk ozorem. Daimon przyglądał mu się z niepokojem. Czuł się cholernie winny. Przecież to przez niego jaguarolak oberwał strzałą.

– Te kaktusy są pełne wodhy. Tylko trzebha odłamać kholce.

Ponieważ dziki kot zdecydowanie odmówił przemiany w człowieka, czym zmartwił Freya jeszcze bardziej, oczyścili z Luckiem sporą ilość kaktusów i podzielili się z jaguarem.

– Co za pyszności! – stęknął z rozkoszy władca Głębi, zaspokoiwszy wreszcie pragnienie.

– No – przytaknął Abaddon. – Smakują jak lemoniada ze skoszonej trawy.

– Są bardzo pożyteczne – dodał Sinaa. – Pożywnie i w ogóle. No i leczą rany. Tak przy okhazji, może mi ktoś wyciągnąć strzałę? Uwiera.

– Ja to zrobię – zaofiarował się Luc. – Mam pewniejsze ręce.

Krótkim, zdecydowanym ruchem wyszarpnął strzałę i uważnie obejrzał grot.

Jaguar tylko warknął cicho i zmarszczył nos. Po cętkowanym futrze pocięła czerwona, jasna krew. Od razu zaczął ją zlizywać wielkim, różowym ozorem.

– W porządku – oznajmił Lampka. – Wyszła w całości.

Daimon odetchnął z ulgą, lecz nie wyzbył się do końca strachu. Wąska, głęboka rana po strzale, sztylcie czy szpadzie bywa podatna na zakażenia.

Za radą jaguarołaka opatrzyli obrażenia, nakładając na nie papkę ze zgniecionych kaktusów. Świeży miąższ, chłodny i lekko ziołowy, od razu zmniejszył ból. Wydawało się, że w najgorszym stanie jest ręka Abaddona, poszarpana, jakby obgryzały ją psy.

– Wyjdiesz z tego. – Lucyfer ostrożnie klepnął Freya po ramieniu, lecz minę miał zafrasowaną. – Nie takie dziury w tobie robili i zawsze się wylizywałeś.

– Dzięki – mruknął Anioł Zagłady.

Był tak zmęczony, że dosłownie konał z wysiłku. Oczy same mu się zamykały.

– Prześpijmy się – zaproponował Sinaa. – Mhusimy odpocząć.

– Racja – przyznał Luc. – Quetzalcoatl zapewniał, że tu jest bezpiecznie. Nie domyślasz się aby, co to za miejsce?

– Nie – powiedział jaguar, ale spuścił wzrok, jakby nie do końca mówił prawdę.

Trzej przyjaciele byli tak wykończeni ranami, postem i walką o życie, że postanowili po prostu położyć się spać, nie wystawiając żadnej warty. I tak żaden z nich nie miał siły czuwać. Zdali się na los. Jeśli znów miał ich oszukać, trudno. Stawią temu czoła. Zasnęli skuleni obok siebie i spali do rana ciężko jak głazy.



Daimon obudził się sztywny, obolały i wciąż okropnie zmęczony, lecz od razu poderwał się na nogi.

Sinaa siedział na skale, sierść na karku miał zjeżoną i dudnił warkotliwym, gniewnym porykiwaniem na trzy chude cienie warujące w pobliżu.

Frey przyjrzał się uważniej i stwierdził, że to gładkowłose, łaciate psy.

Lucek też się obudził. Ziewnął szeroko, a potem uśmiechnął się do szczerzącego kły, wyraźnie zaniepokojonego jaguara.

– Odpuść, bracie. Wiem, że to psy, a ty jesteś kotem, ale wyglądają całkiem przyjaźnie. Może nas zaprowadzą do jakiejś osady? Hej, pieski! Chodźcie tu!

– Nie whołaj ich! – ryknął wściekle jaguarołak.

– No co ty! – obruszył się Luc. – Wyzbądź się przesądów. To tylko niegroźne kundelki!

– Nie! Znham je! To psy z Mictlanu. Zaprowadzą cię, owszem, ale do krhainy trupów! Przyszły tu po naszą śmierć!

– Sinaa, wiesz, gdzie jesteśmy? – spytał zdenerwowany Abaddon.

Jaguarołak obrócił ku niemu płaską, poważną twarz drapieznika.

– Wiem. U wrót krhaju umarłych! Musimhy stąd natychmiast odejść! Inhaczej tutejsze bóstwa nas złaphią i nigdy nie wypuszczą ze swego piekła!

– Nie no! Super! – warknął poirytowany Lampka. – Ładne mi bezpieczne miejsce. Drań i oszust z tego upierzonego zaskrońca!

– Nieważne. – Frey machnął tylko zdrową ręką. – Lepiej się stąd zbierajmy. Znasz drogę, Sinaa? Dokąd mamy iść?

– Za słońcem – powiedział jagarołak.

– A co z psami? Mam je odgonić? Pozabijać?

– Nie trzheba. Są przewodnikami zmarłych. Nie oddalną się za bhardzo od Mictlanu. Zgubimhy je.

Pospiesznie nazbierali kaktusów, upchnęli do prowizorycznych zawiniątek zrobionych z części podartej odzieży i ruszyli w drogę. Trzy psy podążyły za nimi niczym żalobnicy z konduktu.



Podróż okazała się mordęgą. Na otwartej przestrzeni skalistego pustkowia czuli się rozpaczliwie widoczni i bezbronni, dlatego ucieszyli się, gdy wkrótce ujrzeli na horyzoncie szeroki pas zieleni. Jeszcze późnym popołudniem tego samego dnia z ulgą zanurzyli się w jadeitowy, znajomy półmrok tropikalnej dżungli. Jednak już wieczorem boleśnie przekonali się, że są zupełnie nieprzygotowani do przetrwania w dziczy. Nie mieli zapasów ani broni odpowiedniej do polowań. Nie potrafili rozniecić ognia ani zbudować schronienia. Na szczęście znaleźli strumień, więc mieli przynajmniej zapas czystej wody do picia.

Prawdziwy problem stanowiło jednak jedzenie. Przez jakiś czas Daimon biegał po lesie, wymachując Gwiazdą Zagłady, lecz nie zdołał zarząbać nawet małego ptaszka czy miniaturowej małpki. Zmęczył się nie do pojęcia i znów rozkrwawił zranioną rękę, a jego jedyną zdobyczą było pęknięte jajko, które i tak okazało się zepsute. Odpowiedzią na płonne wysiłki niedawnego łowcy było tylko szydercze skrzeczenie papug. Kiedy wrócił do przyjaciół z niczym, Sinaa, który cały czas ostro protestował przeciw myśliwskim zapędom Abaddona, obrzucił go ciężkim spojrzaniem i wstał.

– Nie rób tego! Musisz odpoczywać! – sprzeciwił się Frey.

– I jeść – prychnął jagarołak.

Utykając lekko, zniknął w zieloności dżungli.

Wrócił po dłuższym czasie, gdy noc zarzuciła czarny płaszcz na niebo. W pysku niósł jakiegoś dużego, kosmatego gryzonia. Od razu opadł na mokre poszycie, dysząc ciężko. Cętkowane boki poruszały się w płytkim, urywanym oddechu. Sinaa nerwowo oblizywał paszczę, jakby chciało mu się pić.

Daimon miał zamiar ostro wypomnieć kotu, co myśli o nierozsądnym szwendaniu się po dzikim pustkowiu z raną po strzale na łopatce, lecz Lucek pokręcił przecząco głową.

– Nic mu nie mów – szepnął stanowczo. – Na pewno nie teraz. On naprawdę musi coś zjeść, żeby wydobrzeć.

Zabrał się do oprawiania zdobyczy, lecz obsydianowym nożem zdołał ją tylko paskudnie poharatać. Ani Anioł Zagłady, ani imperator Głębi, choć cholernie głodni, nie zdołali przełknąć za wiele surowego mięsa. Jednak jaguar posilił się solidnie i zaraz zasnął wyczerpany.

Tymczasem Lucyferowi wpadł do głowy pewien pomysł.

– Rano spróbujemy takiej małej sztuczki i może zdołamy rozniecić ogień – oznajmił, ziewając. – Na razie jestem zbyt zmęczony, żeby myśleć logicznie.

Tylko Daimon nie był senny. Męczyły go ponure przeczucia i poczucie winy w stosunku do Sinaa. W dodatku przedramię bolało jak diabli i jakoś tak nieprzyjemnie pulsowało. Położył się jednak na mokrej, gołej ziemi, żeby dać ciału chwilę wytchnienia, i kątem oka dostrzegł w ciemności trzy plamy jeszcze głębszego cienia.

Psy.

Przekłęte kundły z krainy umarłych gapily się na niego pustymi, czarnymi ślepiami, wywalając ozory jak kawałki gnijącej padliny.

Osobliwe Mojry zwabione zapachem niechybnej śmierci.

Czuwały cierpliwie w ciszy i bezruchu na chwilę, kiedy okażą się potrzebne.



Rano psychopompy zniknęły. Abaddon, który zdołał przysnąć dopiero o świcie, obudził się słaby, spocony i rozpalony. Sinaa także nie wyglądał najlepiej. Łeb trzymał nisko i bardzo niechętnie wstawał. Za to Lucek tryskał energią. Nazbierał jakichś patyków, kory i suchych liści, a następnie wyjął zza pazuchy czarno-srebrny pierścień.

– Daj no na chwilę Gwiazdę Zagłady – poprosił Daimona.

Tańczący na Zgliszczach dobył miecza, bo nie chciało mu się protestować ani dopytywać.

Lucyfer kazał mu zbliżyć ostrze do kupki mokrawej rozpałki. Następnie ostrożnie dotknął klingi sygnetem. Rozległ się przeciągły, ostry syk, a w górę strzelił pęk oślepiająco białych iskier.

A zaraz potem między patykami pojawił się nikły płomyczek, który zaczął nieśmiało lizać wilgotnawe drewno.

– No i mamy ogień! – ucieszył się Lampka.

– Co jest w tym cholernym pierścieniu? – zdziwił się Frey. – Ogryzek jabłka, które Ewa dała Adamowi?

Luc wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie, ten ma u siebie Lilith.

– To coś takiego w ogóle istnieje?

– Jasne. Samael go zatrzymał, kiedy już skusił Pierwszych Rodziców do grzechu. Potem oddał go żonie, zakochany głupek. Lilith go zaszuszyła i nosi w medalionie. Najśmieszniejsze, że teraz się chełpi, że to ona była węzłem w Raju. W życiu nie zdobyłaby się na tyle odwagi, tchórzliwa suka! A pierścień imperatora Głębi zawiera o wiele potężniejszą i cenniejszą pamiątkę. To odłamek pierwotnej materii sprzed czasów, gdy Jasność stworzyła Wszechświat.

Daimon tylko uniósł brwi ze zdumienia.

– Widzisz – wyjaśnił Lucyfer – zanim Pan wyrzekł: „Niech stanie się Światło!”, pozwolił wybrać swoim ówczesnym sługom, czy opowiedzą się za nowym porządkiem, czy wolą pozostać w Mroku. Niektórzy postanowili zdystansować się do dzieła

Stworzenia. Wtedy Jasność tchnęła życie w maleńką kulkę pramaterii, która wybuchła, tworząc wszystkie światy. Lecz jej jedna, mikroskopijna, niemal niewidoczna część odszczepiła się od Światła i pozostała w dawnej Ciemności, tworząc Otchłań. Potem Pan zamknął ją w czarnym kryształcie i osadził w pierścieniu, który jest symbolem władzy imperatora. Dlatego kamień iskrzy w kontakcie z Gwiazdą Zagłady.

– Nieżle – mruknął Frey. – A ty zabrałeś taką cenną błyskotkę na wyprawę w nieznane?

– Nigdy się z nią nie rozstaję – oznajmił Lampka z powagą. – Widziałeś kiedyś, żeby Gabriel zdejmował swój pierścień?

– Nie – przyznał Abaddon.

– Widzisz, te sygnety są naszym przeznaczeniem. Określają, kim jesteśmy i komu służymy. To nie byle kółka z kosztownego metalu. Dlatego zawsze mam swój przy sobie. No dobra, a teraz może wreszcie opieczemy nad ogniem kawałki tego pysznego mięska, które upolował Sinaa? Cholernie jestem głodny.

Daimon jednak stracił apetyt. Ręka go rwała, bolała głowa, w dodatku przykrym ciągnięciem odezwało się też skaleczenie na piersi. Miał pokaleczone palce i nadgarstki, a poza tym nieprzyjemnie strzykało go w kościach. Ledwo poskubał śniadanie. Natomiast ucieszył się bardzo, widząc, że jaguarolak pożarł wszystkie resztki, kości i skórę zdobyczy aż do ostatniego okruszka.



Ruszyli w dalszą drogę wzdłuż strumienia, bo tak nakazał Sinaa. Utykał nieco na lewą przednią łapę, ale trzymał się dzielnie.

Wciąż trwał jeszcze zielony, rześki poranek, gdy człowiek-kot zatrzymał się nagle, prychnąwszy ostrzegawczo.

– Ktoś tu jest!

Starając się stąpać bardzo cicho, ostrożnie ruszyli do przodu. Wkrótce wyszli na małą polankę, gdzie zamarli bez ruchu, zbyt zdumieni, żeby choć stęknąć.

Z najwyższej dali, z wysoka, wprost z błękitu nieba, zwisała się bowiem dziwna, różowawa, elastyczna lina. Łączyła się z czubkiem nosa jednej z najdziwniejszych postaci, jakie Daimon kiedykolwiek widział.

W powietrzu jak brzydka gruszka pokryta gnilnymi plamami zwiśla martwa młoda kobieta. Przerażliwie przerośnięty, długi jak liana nos kilka razy obwijał się wokół jej szyi, a potem nikał w błękitnym bezmiarze nieboskłonu. Wisielica kołysała się nieznacznie, a jej bose, napuchnięte stopy przypominały dwie sine, zdechłe żaby.

– Co to ma być? – jęknął z obrzydzenia Lucyfer.

Rozmawiali cały czas po portugalsku, żeby jaguar wszystko pojmował i nie męczył się z henochiańskim, który znał bardzo słabo.

– Tutejsza bogini – oznajmił Sinaa, który na wszelki wypadek najeżył sierść na karku.

– Nie co, ale kto! – odezwały się fioletowe, nabrzmiące usta z wyraźną przyganą.

Słownik w głowie Daimona znów zaczął pośpiesznie wertować stronice, a Frey

powoli przypominał sobie odległy, zapomniany język z grupy maya. Bardzo starożytny, warto zaznaczyć.

– Kim jesteś? – spytał.

Jego głos brzmiał chropawo, akcent był zapewne fatalny, ale wisząca najwyraźniej zrozumiała.

– Nazywam się Ixtab. Jeśli przyszlście tu, żeby zakończyć pasmo cierpień i smutków, chętnie przyjmę was do mojej cudownej, beztroskiej krainy.

Mówiła przez nos, niezbyt wyraźnie, ale wyteńczywszy uwagę, Frey był w stanie wyłapać sens.

– Obawiam się, że zaszła pomyłka – zaczął ostrożnie. – Nie wiem, czy dobrze usłyszałem. Ty nam proponujesz samobójstwo?

Łypnęła na niego bladymi, wylupiastymi oczami, które przypominały dwa jajka na twardo.

– Oczywiście. To najczystsze, najwspanialsze, godne pochwały rozwiązanie dla każdej żywej istoty. Uwolnić się własnymi rękami od trudów codzienności, rozpaczy, chorób, starości, wszelkiej obrzydliwości ziemskiej egzystencji i wieść rozkoszny żywot u mnie, gdzie zawsze jest spokojnie, bezpiecznie, przewidywalnie i łagodnie.

– I strasznie nudno chyba – mruknął Lucyfer.

Ixtab prychnęła pogardliwie.

– Wszelkie wydarzenia zawsze przynoszą ból, desperację, melancholię i rozczarowania. Czy nie lepiej ich unikać? Odebrać sobie życie i cieszyć się rajskim bytem bez trosk, uczuć, przywiązania, miłości, powinności i podobnych bzdur? Osiągnąć wolność absolutną, nie przejmując się niczym i nic nie musząc robić?

– Jak wypchana kukła, która tylko udaje żywą istotę? Nie, dziękuję bardzo – oburzył się Lampka.

Bogini nie zaszczyciła go odpowiedzią. Ciągnęła dalej.

– Samobójstwo, zwłaszcza przez powieszenie, to akt doskonały. Godzien najwyższego szacunku. Oto człowiek decyduje, że nie chce już być. Czy można podjąć bardziej świadome zamierzenie? Koniec z przytłaczającą, straszną, okrutną, bezwzględną i złą koniecznością życia. Można ją przerwać. Uciec od cierpienia, męki, rozpaczy, pragnień, ambicji i wszelkich podobnych brudów. Nie widzicie, jakie to piękne i wzniosłe?

– Nie – oświadczył spokojnie Daimon. – Życie to bezcenny dar. Nie można go marnotrawić. Samobójstwo popełniają tylko głęboko złamani, często ciężko chorzy ludzie. Żal mi ich. Gdybym mógł, poprowadziłbym ich wszystkich ku światłu i ciepłu istnienia.

– Co za bzdury! – parsknęła. – Poglądy głupców i prostaków! Życie ma być darem?! Też coś! To przekleństwo i tak naznaczone nieuchronnością śmierci. Dlaczego nie skrócić tego pasma cierpień? Dlaczego nie odejść, nie wyrwać się życiu jak dzikiej bestii?

– Bo to głupie, naiwne i trochę tchórzliwe? Co takiego cudownego znajdę w twojej krainie, Ixtab?

Rozłożyła opuchnięte, martwe ręce, jakby chciała objąć cały świat.

– Majestatyczną, wspaniałą ciszę i bezruch śmierci! Sen we śnie. Bez bagażu doświadczeń, bez lęków, bez niszczącej namiętności uczuć. Pozbawioną zmartwień, łagodną, bezwolną egzystencję w prostym, przewidywalnym, znajomym świetle. Czarującą rutynę nieróbstwa. Czy to za mało?

– Dla mnie tak – wypalił Lampka. – Toż to wizja jakiejś obitej pluszem celi w wariatkowie! W dodatku z pacjentem otumanionym prochami do stadium rośliny doniczkowej. Ja się nie piszę na taki raj!

– Ani ja – oświadczył Daimon.

Wydeła z pogardą sine wargi.

– Barbarzyńcy! – warknęła. – Tępe, bezrozumne prymitywy i chamy! Szkoda czasu na rozmowę z wami! Żegnam oziębłe!

Wyciągnęła wysoko rękę i szarpnęła za nosolinę nad głową, a ta natychmiast zaczęła się kurczyć, wciągając boginię samobójstw do góry. Wkrótce stała się tylko ciemną skazą w niebieskości nieba.

– Wariatka jakaś – skwitował kwaśno Luc.

– Na to wygląda – przyznał Frey.

Sinaa, który nie brał udziału w rozmowie, tylko intensywnie węszył i przeszukiwał krzaki, wrócił do towarzyszy.

– Mieszkańcy tutejszych krhain są jeszcze stharsi i dziwaczniejsi niż poddhani Dhymiącego Zwierciadła. Obawiam się, że ich khultury także nie zrozumiemy.

– Chyba nie – zgodził się Abaddon.

Na pysku jaguara wyraźnie malowało się napięcie. Nerwowo poruszał końcem ogona i często obnażał lekko kły.

– Niesthety, jesteśmy o wiele bliżej Mictlanu, niż sądziłem. Krhaina Ixtab leży w jegho bezpośrednim sąsiedztwie. Musimy uciekać! Ktoś nas śledzi!

– No to nie traćmy czasu – ponaglił Lucyfer. – Zbierajmy się do drogi, panowie!



Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Szli całymi godzinami, całkowicie opadając z sił. Brzeg strumienia zrobił się nagle bagnisty, rozlał w połać gęstego błota porośniętego zbitą, kolczastą gęstwiną zarośli. Brodzili wolno i niezdarnie w pokładach grząskiego mułu jak kalekie czaple, czerpiąc jedyną nadzieję z tego, że w wodzie psy nie potrafiły wywęszyć tropu.

Sinaa brnął pierwszy, kulejąc coraz wyraźniej. Cętkowane boki pracowały jak miechy. Jaguar włókł się z wywieszonym ozorem, ziejąc. Lecz starał się zachować czujność.

Zatrzymał się tak nagle, że wycieńczony, słaniający się na nogach Abaddon, który podpierał się Gwiazdą Zagłady jak starzec laską, wpadł na niego z impetem.

Dziki kot nie zwrócił na to uwagi, uniósł łeb i nasłuchiwał uważnie, jednocześnie wciągając w nozdrza wiatr. Rozchylił nawet lekko pysk, żeby wyczuć najmniejszy ton zapachu.

– Idą tu! Są bliskho. Musimy się ukryć! Zagrzebhcie się głębokho w błocie. To

nasza jedyna szansa!

Posłuchali go, bo co innego niby mieli zrobić? Anioł Zagłady przegrałby teraz walkę nawet z niezbyt zaangażowanym czterolatkiem, a Lucek także był zmordowany do granic padnięcia.

Gdy cuchnące, zimne, brudne błocko zamknęło się nad Daimonem, poczuł, że zbiera mu się na atak klaustrofobii. Był uwięziony. Zalany paskudnym szlamem, unieruchomiony i bezbronny. Sam sobie wydawał się jakąś nędzną, słabowitą żabą nieudolnie próbującą ukryć się wśród przybrzeżnych zarośli. Leżał na brzuchu upapwany mazią śmierdzącą rybą i rozkładem, tylko głowę, także unurzaną w mule, ośmielił się trzymać niewysoko nad powierzchnią bagna.

Gdzieś obok tkwił Sinaa jak cętkowany kartofel w bruździe.

Przed sobą Frey widział kępę płaskich, owalnych liści, gdzie ukrywał się imperator Otchłani. No, niechby go teraz zobaczył ktoś z dostojników Pandemonium! Luc miałby na zawsze zszarganą reputację.

Wtem Daimon zmarł w napięciu, bo usłyszał ciężki odgłos kroków, chlapania i człapania czegoś dużego.

I jeszcze coś. Słaby, drżący odgłos dzwoneczków, przejmujący w swojej rzewnej rozpacz. Było w nim coś tak smutnego i nienaturalnego, że ramiona i barki Daimona z miejsca pokryły się gęsią skórką. On znał pieśni śmierci nucone cicho przez rzesze dawno zmarłych istot. Jedną z nich śpiewał jego własny miecz, gdy tylko Abaddon dobywał ostrza. Lecz ta, którą w tej chwili usłyszał, była inna. Przeróżliwie samotna, pozbawiona wszelkiej nadziei i blasku. Piosenka totalnej zagłady.

Przyczaił się bez ruchu, bo lament dzwoneczków przybliżał się wyraźnie.

I wtedy ich zobaczył. Wyłonili się zza zakola strumienia, wielcy, dziwaczni, przerażający jak koszmar, który śni się burzowej nocy. Nagie szkielety oblepiało gnijące, odpadające ciało. Wzdęte i napuchłe, w posuniętym stadium rozkładu. Szarą, trupią skórę znaczyły czarne plamy, stygmaty śmierci. Na łysych czaszkach kiwały się szczątki pióropuszy i ozdobnych diademów. Z przegniłych uszu zwieszały się resztki koleczyków, w nosach kościotrupów tkwiły ozdobne przetyczki z jadeitu. Na nadgarstkach i kostkach telepały się złote bransolety, klekocząc jak stare kości. Strzępy kolorowych przepasek opinały wydęte od gazów gnilnych brzuchy i biodra.

Lecz najstraszniejsze okazały się upiorne dzwoneczki, które całymi sznurami zwieszały się z szyi, ramion i talii bogów śmierci. Gładkie, okrągłe, połyskliwe, wydawały się na pozór ogromnymi perłami ozdobionymi pojedynczym brązowym krążkiem inkrustacji.

Nie były to jednak klejnoty, lecz ludzkie oczy nanizane na grube czerwone nici, pękami zdobiące trupie ciała bóstw umierania.

To źrenice, spreparowane i ususzone magicznym sposobem, dzwonią w środku, zrozumiał ze zgrozą Tańczący na Zgliszczach.

Tymczasem orszak kilkunastu potwornych władców zaświatów mijał kryjówkę przyjaciół, roztaczając wokół ciężki, nieznośny, słodkawy odór padliny.

Daimon, sam dławiąc się ohydny smrodem, modlił się, żeby Lucek ani Sinaa nie rozkaszeleli się od odrażającej woni, a koszmarny korowód zgnilców wreszcie sobie

poszedł.

Tym razem Opatrzność go wysłuchała.

Bogowie śmierci poszli dalej brzegiem strumienia, nie odkrywając schowanych w błocie uciekinierów. Tam, gdzie stąpnęli, niektóre słabsze rośliny żółkły, szarzały i marniały, a na wodzie pozostawał brudny, pienisty osad.

Chłapanie i odgłos kroków dawno już umilkły, lecz drżący z chłodu i gorączki Frey wciąż tkwił zagrzebany w trzęsawisku pełnym insektów, pijawek i smrodliwych wyziewów.

Czas dłużył się niemiłosiernie.

Wieczność mijała za wiecznością, a Sinaa nie dawał znaku, że wolno już wypełznąć z błota. Gdy wreszcie cętkowane cielsko, brudne teraz, całe brunatne i uwalane szlamem, podniosło się ciężko z bagna, a Daimon usłyszał upragniony, stłumiony ryk jaguara, nabrał pewności, że wie już doskonale, czym jest piekło.



Kryzys nastąpił o bladej, mdłej godzinie tuż przed samym świtem.

Gorączka spadła na jaguara jak podstępny, niewidzialny przeciwnik. Wielki zwierzę kłapał paszczą i przebierał niezdarnie łapami, targany majakami choroby. Powarkiwania mieszały się z niezrozumiałymi słowami, które próbował wypowiadać, spowity oparami zakażenia.

Lucek usłyszał go pierwszy i błyskawicznie się obudził.

– Daimon, wstań! – zawołał. – Musimy go ocucić! Przynieś wody!

Abaddon wracał do przytomności ciężko i powoli. W głowie tłukł mu młot tętna, w skroniach bolało, zraniona ręka napuchła i zrobiła się tkliwa jak balon z surowego mięsa. Wstał z trudem, bo czuł się tak, jakby ktoś mu nalał roztopionego ołowiu w żyły.

Lecz kiedy spojrział na Sinaa, poważnie się przeraził. Cętkowany kot leżał na boku, dysząc ciężko, język miał wywalony, obłożony i szary, ślepie półprzymknięte.

Frey natychmiast zmobilizował resztki sił, żeby pomóc przyjacielowi. Pobiegł do strumienia, w popielatym, nierzeczywistym świetle przedświtów zdołał znaleźć i zerwać wielki, wklęsły liść i nagarnąć nim nieco wody.

Kiedy wrócił, Lucyfer klęczał przy kocim człowieku, delikatnie poklepując go po pysku.

Świeża, zimna woda pomogła odrobinę. Jaguar poruszył wąsami i otworzył ślepie. Gorzał w nich płomień gorączki.

Daimon także przykląkł obok wielkiego łba, z troską i rozpaczą oceniając fatalny stan przyjaciele. Przed chwilą nad strumieniem wpadł na pewien pomysł, który wydawał mu się całkiem sensowny. Modlił się w duchu, żeby sztuczka zadziałała i choć trochę pomogła rannemu.

– Posłuchaj, Sinaa – zaczął tłumaczyć. – Musisz zdjąć skórę! Koniecznie trzeba ją wyprać. Przecież mówiłeś, że w ten sposób zmywasz z niej czas! Nie splukiwałeś jej od wielu dni. Może dlatego opadłeś z sił. Na pewno poczujesz się lepiej, kiedy to zrobimy. Rozumiesz mnie? Słyszysz?

Jagurołek tylko zamknął powieki. Wyglądał, jakby konał.

Nie, pomyślał zdruzgotany Frey. Tylko nie to! Błagam, Jasności, ocal go! Dawno nie spotkałem na swej drodze lepszej, bardziej prawej i oddanej Ci istoty! Musisz go uratować! Zaklinam Cię na Twą własną Światłość! Panie, przecież to tylko kot! Jego śmierć czy życie w niczym nie zaburzą Twoich świętych planów! Pomóż mu, błagam!

Nagle Sinaa poruszył się i z bolesnym stęknieniem zwinął w kłębek, ściągając skórę.

Na ten widok serce Abaddona zamarło, bo spod cętkowanej sierści polało się mnóstwo ciemnej, gęstej krwi i struga żółtej ropy.

Lucek też wyglądał na wstrząśniętego.

– Wypierz ją! Szybko! – Anioł Zagłady wcisnął brudny łachman w ręce imperatora Głębi. – Tylko starannie!

Lampka wrócił po chwili, ale stan kociego człowieka się nie poprawił. Był blady jak wstający świt, na policzkach miał plamy gorączkowych rumieńców. Rana w barku napuchła tak samo jak ręka Abaddona. Otaczał ją wielki krąg pałającej czerwieni z siną, czarniawą dziurą wlotową po strzale.

Na ten widok Daimon stracił siły do dalszej modlitwy.

Zielone jak dżungla oczy przyjaciela patrzyły na niego przytomnie, ze smutkiem, ale bez żalu.

– Zadbaj o żerdź... – wyszeptał z trudem Sinaa. – Żeby nikt nie kopnął żerdzi...

Z początku Frey sądził, że chory majaczy, ale potem przypomniał sobie niknący w niebie słup obok chatki jaguara i zrozumiał z bólem, że człowiek-kot żegna się z życiem.

– Sam o nią zadbasz – wykrztusił ze ściśniętym gardłem, ale, prawdę mówiąc, wcale w to nie wierzył.

Jagurołek zakrztusił się, a potem zaniósł krótkim, urywanym kaszlem.

– To był wielki zaszczyt poznać cię, Aniele Zagłady. Lucyfera też, ale ciebie szczególnie... nie martw się. Niczego nie żałuję... przyjacielu.

Aniołowi Zagłady zachciało się płakać. Musiał natychmiast wstać, żeby ukryć twarz w półmroku przedświt.

– Zaczekaj, przyniosę ci wody! – zawołał i uciekł nad brzeg strumienia.

Tam opadł na kolana i pozwolił sobie na krótki, urywany szloch.

Na wszystkie śmierci, które nosił w sumieniu, na krew ofiar, którą przelał w imię Pańskie, nie tak miało być!

I nie będzie.

Postanowił, że się nie podda. Po prostu nie pozwoli Sinaa umrzeć.

Wziął głęboki oddech, żeby się uspokoić, a potem powrócił do rannego z liściem pełnym wody i pogodną twarzą. Napoił go i usiadł obok.

– Kiedy tylko wrócimy z tej przekłętej wyprawy, zaproszę cię do Królestwa – powiedział. – Zobaczysz, będziemy się świetnie bawić. Spodoba ci się.

Gasnące oczy jagurołka rozbliły, lecz tylko na moment.

– Mógłbyś to zrobić? – wyszeptał z niedowierzaniem.

– Oczywiście. I zrobię, przysięgam.

Na ustach chorego pojawił się blady, delikatny uśmiezek. Umierający kot dopuścił do serca marzenia, żeby otuliły go do wiecznego snu, pomagając odejść w spokoju.

– A żerdź? – spytał, jakby naprawdę miał jeszcze nadzieję, że zobaczy nie tylko mityczne, odległe Królestwo, ale własny dom.

– O wszystko zadbam. Przyślę kogoś zaufanego, kto będzie pilnował twojej chaty, dopóki nie wrócisz. O skórę też się nie martw. Już Razjel coś wymyśli, żebyś nie musiał jej codziennie prać.

Sinaa przymknął powieki.

– Opowiedz mi o Królestwie, dobrze?

– Jasne – szepnął Abaddon, walcząc, żeby głos mu się nie załamał.

Kiedy zaczął mówić, słowa same płynęły, niesione tęsknotą, żalem i rozpaczą. Opisywał cuda Hajot Hakados, dostojeństwo Czwartego Nieba, uroki dominiów Gabriela i Razjela, księżycowe kurorty Mare Nectaris i wesołe rozrywki Limbo. Mówił długo, aż zauważył, że chory zapadł w płytki, niespokojny sen.

Wtedy ocknął się z transu i zauważył, że Lucek zdążył tymczasem rozpalić ognisko.

W jego złoto-czerwonym blasku dostrzegł chudy, niewielki cień ukrywający się w zaroślach. Tylko jeden.

Zdjęty wściekłym gniewem i desperacją, rzucił się za nim w las, ciskając patykami i kamieniami.

– Wynoś się, kundlu! Precz! Wynoś się, bo zabiję! – krzyknął.

A potem opadł ciężko na błotniste poszycie nienawistnej dżungli, rozmazując kułakiem cisnące się do oczu łzy, bo zrozumiał, jak daremne są jego wysiłki.



Kiedy wrócił do ogniska, Sinaa wciąż spał.

– Lepiej też się połóż – powiedział Lucek na widok Abaddona. – Wyglądasz jak żywy trup. Powinieneś odpocząć. Dobrze się czujesz?

– Nie – warknął Daimon.

Nie miał ochoty nikogo widzieć ani z nikim rozmawiać. I faktycznie, czuł się fatalnie. Przedramię pulsowało gorącym, kłującym bólem. Piers ugniatał ciężar przeszkadzający oddychać, jakby ostrze rytualnego noża utkwiono mu w mostku. W głowie waliły pogrzebowe dzwony. W dodatku wciąż chciało mu się pić i męczyły go suche, spazmatyczne mdłości.

Położył się tylko dlatego, że brakowało mu siły, żeby stać. Przypuszczał, że w żadnym wypadku nie zaśnie, ale ledwie zamknął oczy, osunął się w mrok gorączkowej drzemki.

– Daimon, ktoś tu jest! – usłyszał nagle pełen niepokoju szept Lucyfera. – Obawiam się, że znalazły nas te zgnilce z Mictlanu! Wstawaj! Musimy walczyć.

Choć Abaddon całkowicie stracił nadzieję i chęć do życia, podźwignął się na nogi i ujął rękojęść Gwiazdy Zagłady. Za nic nie zamierzał dopuścić, żeby odrażające bóstwa śmierci i ich zapchlone kundle dopadły i zabrały Sinaa.

Nie słyszał jednak ani odgłosu kroków, ani sapania czy charakterystycznego, rzewnego śpiewu dzwoneczków. Za to las rozbrzmiewał cichymi szelestami, dziwnym pogwizdywaniem i ćwierkotem małych ptaszków, a może miniaturowych małpek? Frey nie mógł się oprzeć przemożnemu wrażeniu, że gdzieś już słyszał podobne dźwięki, lecz był tak otępiały i zmęczony, że nie umiał sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach.

Dwaj przyjaciele stali plecami do siebie nad ciałem jaguarołaka, z bronią gotową do użycia, nasłuchując pilnie.

Ale z głuszy dobiegały wciąż te same niepokojące, obce cykania, świergoty i gwizdy.

– Jest tu kto?! Odezwiście się! Wyłaźcie! – nie wytrzymał Lucyfer.

Rzucił się w krzaki, zaczął okładać gałęzie włócznią, nogami rozgarniając listowie.

Freyowi zdawało się, że przez mgnienie dostrzegł małą, wykrzywioną, brązową twarzyczkę, która natychmiast znikła wśród zieleni. Zamrugał oczami, bo nie był pewien, czy to nie omam wywołany gorączką.

– Kim jesteście?! Czego chcecie, u diabła?! Odpowiadajcie natychmiast! – wykrzykiwał dalej Luc, tłukąc okoliczne krzewy.

Po wielu dniach walki o życie i ciągłego napięcia nerwy puściły mu zupełnie.

Daimon drgnął gwałtownie, bo ktoś dotknął jego nogi. Zamierzył się na wroga mieczem, lecz na szczęście natychmiast zorientował się, że to Sinaa.

– To Huaca! – wyszeptał ranny. – Odnalazły mnie. Przybyły na pomoc. Idźcie za nimi, zaprowadzą was do domu...

– Nas zaprowadzą do domu – powiedział stanowczo Anioł Zagłady. – Nas wszystkich.

Odwrócił się do imperatora Głębi i krzyknął:

– Lampa! Uspokój się! To nasi! Przyszli po nas!

– Jacy znów nasi?! – osłupiał Lucek.

– Kumple Sinaa. Nazywają się Huaca. To duchy dżungli. Wyciągną nas stąd, Luc. Tylko odłóż broń i przestań je straszyć.

Niosący Światło na te słowa momentalnie zwiądnął jak polny mak w wazonie. Ramiona mu opadły, włócznia wysunęła się z palców. Otarł dłonią spocone czoło, tylko rozmazując brud.

– Jak rany, zawału dostanę w tej dziczy! – poskarżył się. – Naprawdę mam dość, przysięgam. Psy wielkości pociągu z wywróconymi łapami, wyrwane serca, obłupione skóry, trupie bogi, które nas ścigają! I co jeszcze niby?

– Huaca – powtórzył ze znużeniem Daimon. – Są przyjazne.

Przypomniał sobie incydent z dmuchawkami, lecz postanowił go przemilczeć.

Lucyfer obrzucił przyjaciela ciężkim spojrzeniem.

– Nie mogły się pośpieszyć, co?

Frey tylko westchnął.



Wyglądały jak małe wróżki. Minilemurki o płaskich pyszczkach, wielkich,

sowich oczach i kolorowych włosach przypominających egzotyczne kwiaty. Osobliwe fryzury stworków przywodziły na myśl lekko rozczochrane orchidee. Cieszyły oczy barwami żółci, purpury, czerwieni, bieli i fioletu. Frey przypuszczał, że dzięki temu kamuflażowi duszki mogły pozostawać niezauważone w zielonym świecie dżungli.

Porastało je brązowe futerko, czasem tak jasne, że niemal beżowe, lecz najczęściej złotawe lub brunatne. Na barkach miały długie, cienkie, siatkowe skrzydła ważek mieniające się turkusowym, szmaragdowym lub błękitnym odblaskiem.

Nosiły tylko przepaski biodrowe, naszyjniki z kwiatowych pąków oraz dmuchawki i kołczany pełne zatrutych strzałek.

Nie mówiły, lecz świergotały między sobą w języku ptaków i kapucynek. Rozumiał je tylko Sinaa.

– Moje drogie, oddane Huaca – szeptał. – Przyszłyście za nami tak daleko! Nie bałyście się?

Odpowiedziały energicznymi ćwierknięciami.

– Idźcie za nimi. Doprowadzą was do rzeki i pomogą znaleźć zagubioną ekspedycję – powiedział przyjaciółom.

Pojawienie się duszków lasu przywróciło mu nieco energii, ale gorączka nadal się utrzymywała, a zaatakowane infekcją ciało słabło.

– Mowy nie ma. Zabieramy cię do domu, bracie – oświadczył Daimon.

Pochylił się, żeby podnieść jaguarołaka i zarzucić sobie na ramię, ale zatoczył się i musiał przytrzymać drzewa, żeby nie upaść.

– Chyba oszalałeś – sarknął Lampka na ten żałosny widok. – Jesteś chory jak pies. Jeszcze się wywrócisz na jakimś wykrocie i będziesz miał Sinaa na sumieniu. Ja go wezmę. Ty zabierz skórę.

Bóg tropikalnych lasów był tak słaby, że nawet nie protestował. Zresztą wkrótce zapadł w omdlenie.

Ruszyli za maleńkimi Huaca. Imperator Głębi na początku, z kocim człowiekiem na grzbiecie, a za nim Frey wlokący skórę i ciężki, ogromny miecz. Końcówka pochwy Gwiazdy Zagłady ciągnęła się po błocie, rysując zygzaki i esy-floresy w rytm nierównych kroków swego pana, lecz Daimon nie zważał na to.

W ogóle na mało co zważał.

Zdażył jednak dostrzec, że małpie wróżki się rozdzieliły. Część pofrunęła w las w ogromnym pośpiechu, bijąc błyskawicznie ważkowymi skrzydełkami, pozostałe zaś powiodły przyjaciół wążutką, ledwo widoczną ścieżką na zachód, skośnie w stosunku do biegu strumienia. Był to zapewne dukt wydeptany przez zwierzęta podążające do wodopoju.

Oddalali się od źródła pitnej wody, jednak Anioł Zagłady nie zamierzał się tym martwić. Oddał się całkowicie w malutkie, zwinne łapki Huaca.

Bo miał wszystkiego dość jeszcze bardziej niż Lucek.



Sinaa gasł. Daimon doskonale zdawał sobie sprawę, że wkrótce będzie za późno na

jakikolwiek ratunek. Obawiał się, że niedługo Lucek poniesie na rękach pustą skorupę trupa, tak jak on wlecze ciężką, gorącą, kosmatą skórę jaguara.

To jakiś pochód potępieńców, myślał, z trudem zmuszając się, żeby w ogóle przestawiać nogi.

Nie skarżył się, ale z jego ręką zrobiło się bardzo niedobrze. Skóra się wzdęła, rana napuchła, nabrała wszystkich odcieni szkarłatu i purpury jak niebo o zmierzchu, ciekła osoczem i ropą, a co gorsza, zaczęła słabo zalatywać myszami.

Zdechniemy tu wszyscy prędzej czy później, stwierdził z rezygnacją.

Szedł po nierównym, śliskim, zdradliwym podłożu z najwyższym trudem, powoli, jakby kroczył po linie. Czasami zdawało mu się, że poszycie lasu kołysze się albo ugina. Obok Lampka sapał jak dychawiczna szkapa, zgięty pod ciężarem Sinaa.

Co gorsza, Huaca zaczęły przyśpieszać. Ponaglały przyjaciół do szybszego marszu stanowczymi gwizdnięciami, świergotami i piskami. Frey doszedł do wniosku, że jeśli użyją dmuchawek do dalszej perswazji, poprzetrąca im karki.

Lucek ruszył za małpimi wrózkami wysiłonym, ciężkim truchtem, a Abaddon próbował zmusić swoje betonowe nogi do energiczniejszych wysiłków. Na próżno. Poruszał się z szybkością i wdziękiem przydepniętego robala.

Wtem zobaczył po swojej lewej ręce grupkę Huaca wylatującą z pobliskich zarośli. Zanim zdążył się zastanowić, jak mogą być równocześnie przed nim i z boku, dostrzegł między pniami drzew ludzką sylwetkę.

Ktoś biegł przez dżunglę zwinnie, sadząc wielkimi susami.

Ktoś drobny, smagły, dźwigający na plecach wielki jutowy worek.

Bardzo, radośnie znajomy.

– Uaica! – wykrzyknął Daimon. – Tutaj!

Nie minęło kilka chwil, a zdyszany uzdrowiciel wypadł z zarośli. Jego terakotowa twarz była mokra od potu, czarne włosy zlepione w strąki. Wystarczyło mu jedno spojrzenie na jaguarołaka przelewającego się przez ręce Lucyfera, żeby natychmiast zacząć działać.

– Połóżcie go tutaj – rozkazał. – Niech któryś natnie liści, żeby nie leżał na błocie.

Usłuchali obaj, ale Frey zdołał tylko kilka razy zamachać Gwiazdą Zagłady, a potem z osłabienia zakręciło mu się w głowie. Tymczasem Lampka już biegł z naręczem zieleniny.

Uaica nie próżnował przez ten czas. Powyciągał z worka mikstury, maści i zioła, a potem z poważną i skupioną miną zaczął starannie badać ranę swego przyjaciela.

– Niedobrze – wyszeptał. – Źle, naprawdę źle.

Potem uniósł twarz i spojrzał w pełne lęku oczy Anioła Zagłady.

– Ale nie tragicznie – dodał. – Spróbuję pomóc. Rozpalcie ognisko. Będę go potrzebował.

Niezawodny Lampa szybko wykonał polecenie. Daimon mógł się tylko przyglądać, jak uzdrowiciel krząta się przy nieprzytomnym Sinaa. Wlewa mu jakieś driakwie do ust, smaruje różnymi mazidłami, okadza dymem z palonych ziół, mamrocząc śpiewnie zaklęcia. Wydawało się, że leśny bóg lecznictwa przeszedł nagłą i niespodziewaną przemianę. Nie pozostał nawet ślad po nieśmiałym, pokornym Uaice, którego Anioł

Zagłady poznał w chacie jaguara. Uzdrowiciel zachowywał się pewnie i energicznie. Doskonale wiedział, co ma robić i co jest mu do tego niezbędne. Wydawało się, że proces leczenia wyzwala w nim pokłady sił i niezwyklej witalności.

Uaica był po prostu w swoim żywiole.

Kiedy skończył, przykucnął pod drzewem wyraźnie zmęczony.

– Musimy poczekać – oznajmił. – Wszystko w rękach losu.

– Jasności – poprawił machinalnie Frey.

Uaica wzruszył ramionami.

– Na to samo wychodzi. Podejdz do mnie... eee, panie. Teraz muszę się zająć tobą, bo inaczej wkrótce będziesz tak samo chory jak Sinaa.

– Daruj sobie te niepotrzebne chłody. Mów mi Daimon.

– Tak będzie lepiej – zgodził się szaman.

W trakcie, gdy czyścił ranę na przedramieniu anioła i nakładał na nią różne maści, Abaddon marzył o tym, żeby wyskoczyć ze skóry wzorem jaguarołaka.

– Paskudnie to wygląda, wiesz? – mruknął uzdrowiciel. – Jeszcze parę godzin i gorączka zwałiłaby cię z nóg. Jesteś bardzo silny i odporny, ale każdy ma jakąś granicę wytrzymałości. Właśnie ją przekroczyłeś. Powinieneś odpocząć. Najlepiej, gdybyś się przespał. Chcesz parę jagódek na sen?

– Nie, dzięki.

– Jak wolisz – powiedział Uaica, a potem spuścił wzrok. – Przepraszam, że cię wtedy zostawiłem.

– Kiepsko to wypadło – przyznał Frey. – Gdybyś wykonał polecenie jaguara, nie wpakowalibyśmy się w te wszystkie kłopoty.

– Wcale nie jestem pewny. Wojownicy Dymiącego Zwierciadła na pewno już za nami szli, a ja w niczym bym ci nie pomógł podczas walki.

– Skąd wiesz, co się wydarzyło? – zdziwił się Abaddon.

Na ustach uzdrowiciela pojawił się blady uśmiech.

– Od lasu, naturalnie. Zwierzęta, ptaki, liście o niczym innym nie plotkują od kilku dni. Cała dżungla huczy, Świetlisty.

Daimon nie zamierzał odpuszczać.

– Tak czy inaczej, gdybyś nie gapił się na jakieś durne badyle, wydarzenia mogłyby się potoczyć zupełnie inaczej.

Ciemne oczy uzdrowiciela spojrzały wprost w chmurne źrenice anioła. Nie było w nich ani śladu skruchy.

– Tak. Pewnie masz rację. Tyle że teraz te durne badyle mogą uratować życie Sinaa. Gdybym nie zebrał ich o odpowiedniej porze, byłbym bezradny. Przyroda uczy, że wszystko, co nas spotyka, dzieje się po coś. Czasem warto jej posłuchać. A teraz muszę wrócić do chorego. Wybacz, Świetlisty.

– Uaica? – zagadnął go Daimon. – Kiedy się spotkaliśmy, wydawałeś mi się bardzo nieśmiały. Nie zrozum mnie źle, ale wręcz niepewny siebie. Teraz bardzo się zmieniłeś. Jesteś zdecydowany i twardy. Nie spodziewałem się tego.

Uśmiech uzdrowiciela był gorzki jak surowe ziarna kakaowca.

– Oczywiście, że nie. Wolicie, kiedy jesteśmy pokorni i głupkowaci. Wystraszeni

waszym majestatem. Słabi. Bezradni. Ale to nie jest prawdziwa twarz mieszkańców dżungli. Nosimy ją tylko na wasz użytek.

– Czyj? – zdumiał się Frey, który nie miał pojęcia, co ma na myśli jego rozmówca.

– Najeźdźców – powiedział zielarz, jakby wypluwał truciznę. – Nie zatrzymuj mnie dłużej, Abaddonie. Mój pan pilnie potrzebuje leków.

Odwrócił się i odszedł, nie spojrzawszy nawet na skrzydlatego. Jego nieobecność ziała niczym dziura w rzeczywistości.

Tańczący na Zgliszczach siedział przez chwilę w milczeniu, bo z bólu odechciało mu się spać. Maść nałożona na ranę kasała jak wściekły pies, od gorączki bolały kości. Z ponurego zamyślenia wyrwał go dopiero głos Lucka:

– Daimon, chodź szybko! Huaca przyniosły górę jedzenia!

Okazało się, że to prawda, latające duszki przygotowały przyjaciółom wyborną kolację. Stosy pysznych, egzotycznych owoców, świeże ryby, małe ptaszki, które oskubały z piór z wielką wprawą, i pitną wodę w tykwach. Uaica opracił ryby, przyprawił ziołami z worka i nadział na patyki wetknięte obok ogniska. Ptaszki upiekł w popiele, podkładając parę kamieni wyciągniętych z żaru.

Po raz pierwszy od czasu niewoli Lampka i Frey najedli się do syta. Dopiero po posiłku obolałego i wykończonego Abaddona zmorzył wreszcie sen.



Rankiem okazało się, że stan jaguara odrobinę się poprawił. Uaica czuwał przy rannym przez całą noc, zmieniając opatrunki i pojąc miksturami. Sinaa był wciąż nieprzytomny, lecz gorączka nieco spadła.

Daimon też poczuł się trochę lepiej. Ręka wprawdzie strasznie rwała, ale minęło łupanie w głowie i okropne uczucie osłabienia.

– Idźcie – powiedział uzdrowiciel do Lucka i anioła. – Huaca zaprowadzą was nad rzekę i pomogą znaleźć członków wyprawy. Dam ci maści i leki do picia, Świetlisty. Koniecznie zażywaj je regularnie.

– A co z Sinaa? – spytał bezradnie Abaddon.

– Musi tu zostać kilka dni. Nie wolno go męczyć. Powinien leżeć i dochodzić do siebie. Sytuacja nadal jest bardzo groźna. W każdej chwili może nadejść pogorszenie. Zbuduję szałas i zaopiekuję się nim. Część Huaca będzie nam znosić pożywienie.

– Czy będzie tutaj bezpieczny?

– Nie – powiedział Uaica, a jego ciemne oczy błysnęły twardo. – Opuściliście co prawda terytoria bogów śmierci, ale do krainy mojego pana jeszcze daleko. Wiesz, Świetlisty, ona nie jest bardzo rozległa. W tej chwili znajdujemy się na ziemi Elela, demona, który bardzo nie lubi Sinaa. Jest głupi, okrutny, krwiożerczy i mściwy. Ale to nic. Damy sobie radę. Huaca mają swoje zatrute strzałki, a ja także w razie potrzeby potrafię sięgnąć po broń.

Frey popatrzył na jaguroląka, bladego i bezbronniego jak ślepe kociątko, a potem przeniósł wzrok na Lampkę.

– Wiesz co, Luc? Idź sam. Ja was jakoś dogonię potem. Pieprzyć ekspedycję.

Poradzą sobie beze mnie przez jakiś czas. A Sinaa nie.

Jasne, tak naprawdę wiedział, że powinien przede wszystkim chronić członków ekspedycji i wypełnić zadanie wyznaczone mu przez Gabriela. Cholernie ważne zadanie, od którego zależało bezpieczeństwo Królestwa. Gdzieś tam, poza zielonym kożuchem dżungli, na płonącej białą pustyni, mógł się czaić najstraszniejszy wróg całego Wszechświata. Antykreator.

Tyle że przed Freyem na posłaniu z liści i gałęzi leżał dzielny i oddany sługa Jasności.

Przyjaciel, który nie zawahał się zaryzykować życia, żeby ratować Abaddona, rycerza Światłości, tylko dlatego, że anioł potrzebował pomocy.

Kim by się okazał ten dumny, potężny, odważny skrzydlaty, gdyby nie docenił takiego poświęcenia? Gdyby porzucił teraz chorego, rannego jaguarołaka, żeby dogonić ekspedycję?

Sumienie знаło doskonałe określenie na takiego typa, a było ono dosadne.

Otóż, Aniele Zagłady, okazałbyś się beznadziejnym gnojkiem.

I nikim innym.

Frey podjął już decyzję. Nieodwołalną.

Nie zostawi Sinaa.

Nie odejdzie, póki zwierzoczek nie poczuje się lepiej.

Dopiero wtedy zaczniesz się martwić, jak znów dołączyć do wyprawy. Bo czasem są rzeczy ważniejsze niż ślepe wypełnianie poleceń.

Spojrzał na Lucyfera i stwierdził, że imperator Głębi szczerzy wesóło zęby.

– To lubię, Daim. Spontaniczne, szczerze decyzje. Masz rację. Pieprzyć ekspedycję! Ja też zostaję. Przydam się, nie?

Anioł Zagłady klepnął go przyjaźnie w ramię. Właściwie to nawet się ucieszył, że będzie miał przy sobie Lampkę. Razem było im nieco różniej w obcym, nieznanym świecie. W końcu obaj pochodzili z Królestwa.

– Jasne, że się przydasz, bracie – potwierdził.



Zbudowali szałas i spędzili w prowizorycznym obozie trzy pełne dni, zanim zdrowie jaguara polepszyło się na tyle, że był w stanie kontynuować wędrówkę.

– Co wy tu robicie? – spytał, ledwo oprzytomniał na tyle, że rozpoznał obu skrzydlatych.

– Czekamy na przyjaciela – powiedział Daimon z uśmiechem.

W duszy czuł taką ulgę, jakby znowu mógł fruwać. Sinaa wracał do sił! Tylko to się teraz liczyło.

– A ekspedycja? – wykrztusił zaskoczony koci człowiek.

– Pieprzyć ekspedycję! – zawołali chórem, śmiejąc się jak wariaci.

Czwartego dnia o poranku Uaica niechętnie zgodził się, żeby jaguarołak wyruszył z towarzyszami w podróż.

– Założę skórę – przekonywał jaguar. – W tej postaci jestem o wiele silniejszy

i bardziej odporny.

Znowu przywdział cętki i rzeczywiście, wydawał się od razu o wiele żwawszy.

Wędrówka do chaty z żerdzią trwała kolejne dwa dni. Na widok swojego domu Sinaa wyraźnie się ucieszył. Szybko zrzucił skórę i zrobił inspekcję całego obejścia.

– Uff! Wszystko w porządku! – Płaska, kocia twarz rozpromieniła się uśmiechem, a Frey uświadomił sobie z bólem, że oto nadchodzi nieuchronny moment rozstania.

Wcale nie miał ochoty stąd odchodzić. Chętnie spędziłby z jaguarem jeszcze kilka dni na rozmowach i wspomnieniach przygód. Polubił go całym sercem.

Ale wiedział, że musi wypełnić obowiązki.

Mógł sobie buńczucznie krzyczeć, że pieprzy wyprawę, lecz tak naprawdę nie wolno mu było porzucić ekspedycji. Gdzieś tam, w dzikich głębiach Stref Poza Czasem, czaiła się potężna siła, która wcale nie musiała być Panem, ale odwiecznym, mrocznym wrogiem. I tylko on potrafił to wykryć.

– Sinaa – powiedział więc ze smutkiem – wybacz, ale musimy...

– Iść, tak? – przerwał jaguarołak. – Rozumiem. I tak się cieszę, że mogłem was poznać i przeżyć z wami wszystkie te szaleństwa. Zapamiętam je na zawsze.

– Jeszcze fajniejsze przeżyjemy razem w Królestwie, zobaczysz.

Człowiek-kot uśmiechnął się, ale Daimon od razu się zorientował, że nie wierzy w ani jedno słowo.

No to się jeszcze przekona, pomyślał z przekorą. Postanowił dopiąć swego za wszelką cenę. A Razjel musi mu pomóc. W końcu będzie mu wisiał nie lada przysługę. To on go przecież namówił na tę cholerną podróż.

– Huaca poprowadzą was na skróty. Rzeka jest kręta, wije się. Przeprowa wodą często wiąże się z trudnościami. Czasem trzeba przenieść łodzie przez progi lub ostre skały. Pod powierzchnią dryfuje wiele pni, często ogromnych. Wciąż macie szansę dopędzić wyprawę. Tylko musicie przeciąć jej drogę przed wielkim zakolem, bo potem nurt rozszerza się, przyśpiesza i łodzie śmigają po nim jak po równej drodze. Powodzenia, przyjaciele. Nawet nie wiecie, jak bardzo dobrze było was spotkać!

– I ciebie też. – Anioł Zagłady serdecznie uściskał Sinaa, uważając, żeby nie urazić go w bark.

Zielone oczy drapieńczy zaszyły mgłą wielkiego smutku.

– Żegnaj, imperatorze – szepnął. – Żegnaj, Abaddonie. Będę o was myślał.

– Do zobaczenia w Królestwie, bracie – powiedział Daimon z naciskiem.

Gdy się oddalali od obejścia, prowadzeni przez sześć małpich wrózek, jaguarołak ukrył się w chacie.

Anioł Zagłady wiedział, że nie liczy na wizytę u nowego przyjaciela. Bo jakim niby cudem miał liczyć? Kto odbędzie długą, drogą i niemożliwie trudną podróż w głąb dzikich ostępów tylko po to, żeby zabrać jednego zwykłego kocura do Królestwa, a potem odesłać z powrotem?

Zrobię to, postanowił, zaciskając zęby. Właśnie że zrobię!

Tyle że mógł sobie zaręczać i obiecywać, co tylko chciał, a przecież nie miał żadnej pewności, że sam wróci cało z tej naukowo-badawczej awantury.

Westchnął więc tylko ciężko i pognał za umykającymi Huaca, żeby wypełnić

obowiązki wobec Gabriela i Jasności.

Jak zwykle.



Od jakiegoś czasu duszki dżungli przynaglały przyjaciół do biegu nerwowym ćwierkotaniem i pogwizdywaniami. Pędzili więc co sił w nogach, potykając się o korzenie, płacząc w lianach, nieustannie chlastani po twarzach mokrymi, miękkimi dłońmi liści.

– Coś chyba poszło źle! – wydyszał zziębnięty Lucyfer.

Daimon nie tracił oddechu na odpowiedź.

Gnali. Biegli co sił, lecz nie zdołali już przyspieszyć, czego domagały się popiskujące nieustannie latające małpki.

Kiedy dotarli wreszcie na wysoki brzeg rzeki, nogi się pod nimi ugięły, jakby były z masła. Nieszczęsne Huaca uwijały się wokół głów przyjaciół, szczebiocząc szaleńczo i wymachując łapkami.

Wszystkie wskazywały zakole rzeki.

– Co tam jest? Nic nie widzę! – Lampka osłaniał dłonią oczy, bo po zielonkawym półmroku dżungli słońce jawiło mu się jako wielka żarówka świecąca prosto w źrenice.

Daimon zmrużył powieki, ponieważ także oślepiało go jasne światło dnia. Wpatrzył się uważnie w połyskliwą wodę, którą wskazywały podenerwowane minilemurki.

I zamarł.

Zobaczył bowiem maleńkie, ciemne plamki majaczące w wielkiej oddali za szerokim zakrętem rzeki.

Nie miał wątpliwości.

Łodzie.

Łodzie wyprawy.

Znikały bezpowrotnie za błękitnosinym łukiem zakola.

Ekspedycja właśnie im uciekła niczym pociąg, na który się spóźnili.

– Jak rany! – jęknął Luc. – A to pech! I co teraz?

Frey nie wiedział.

Zostali we dwóch, sami w dziewiczym lesie, bez szans na dołączenie do utraconych towarzyszy.

Owszem, mogli wrócić do przyjaznej i bezpiecznej chaty Sinaa i tam czekać na powrót wyprawy za kilka miesięcy lub może nawet lat. Pobudowali by sobie własne wygodne domki, zdziczeli trochę i siedzieli wygodnie na tyłkach, licząc na to, że inni odwalą za nich całą robotę.

Tylko że taka możliwość nawet nie wchodziła w grę. Abaddon nie dopuszczał jej do siebie. Lucek zapewne też nie.

– Musimy szybko coś wymyślić – odezwał się tytan intelektu Lampka, który właśnie stracił jedyną szansę, żeby być cicho. – Cholera, gdybyśmy tylko znów mogli latać jak u nas w domu, dopędzilibyśmy te ciężkie, powolne łodzie w jednej chwili.

W tym momencie pomysł zaświecił pod czaszką Tańczącego na Zgliszczach jak

małe wschodzące słońce. Albo sygnał alarmowy, bo plan był tak szaleńczy i niebezpieczny, że po prostu nie mógł się powieść.

– Pamiętasz, co Sinaa mówił o upodobaniu mieszkańców Tamoanchanu do rzeczy wykonanych z piór? – zaczął wolno.

Lucek obrzucił Anioła Zagłady pełnym politowania spojrzeniem.

– Duchota ci zaszkodziła, Daim. Chcesz, żebyśmy wrócili teraz do Dymiącego Zwierciadła i poprosili, żeby jego zręczni rzemieślnicy zrobili nam drugie skrzydełka? Czekaj, a może lepiej ich porwać? Nie, pewnie najlepiej, żebyśmy sami zapołowali na ptaszki, oskubali i zlepili lotki błotem spod nóg. To by dopiero był lot stulecia. Na mordy wprost do wody. Daj spokój, nie świruj!

– Nie mam na myśli piór, tylko rośliny, i nie o skrzydła mi chodzi, ale o coś bardziej przydatnego. Zrobimy lotnię, Lampa. Z lian, pnączy, długich żerdzi i szerokich liści. Bardziej ci teraz pasuje?

– Nie! Pozabijamy się! Zobacz, jak tu jest cholernie wysoko!

Faktycznie, skarpa, na której stali, wznosiła się na znaczną wysokość ponad nurtem rzeki.

Zielone tęczówki Abaddona zapłonęły szaleńczym blaskiem.

– I dobrze. Będzie lepsze noszenie. No już, do roboty!

– To się nie uda. Spadniemy.

– Prawdopodobnie – zgodził się Anioł Zagłady. – Ale przynajmniej kawałek bliżej ekspedycji.

– Ty jesteś jednak wariat – skwitował Lucek.

– A masz lepszy pomysł?

Lucyfer nie miał. Dlatego poszedł za Freyem do lasu szykować lotnię, której żaden z nich nie umiał ani zbudować, ani prowadzić.

Cichym krokiem zbliżała się ku nim totalna katastrofa. Bo co innego mogło wyniknąć z takiego szaleństwa?

Nawet dżungla szumiała im nad głowami zdumiona i zadziwiona.

Gdy tymczasem ostatnie łodzie majestatycznie odpływały coraz dalej w srebrzystą i błękitną dal, w stronę nieznanego, przerażającego i ostatecznego jak śmierć Wielkiego Ergu Światła, gdzie czekała ukryta Jasność albo nieskończone zło w postaci Jej Cienia.

Koniec tomu drugiego

Glosa

Amantekowie – tolteccy rzemieślnicy, którzy słynęli z wyrobu ozdób oraz dekoracji z ptasich piór. Z tej umiejętności słynęli także azteccy mistrzowie rzemiosła. Z piór powstawały maski, biżuteria, stroje, mozaiki, panele zdobiące ściany, a nawet tarcze wojenne.

Apsary – w hinduizmie piękne i ponętne duchy wodne, objawiające się pod postacią wdzięcznych, młodych kobiet. Zrodziły się podczas rytuału ubijania przez bogów Oceanu Mleka. Uwielbiają taniec oraz gry hazardowe, szczególnie w kości. Przynoszą także szczęście innym grającym.

Aświnowie – Jeźdźcy, dwaj hinduscy bogowie, bracia bliźniacy. Są boskimi lekarzami, leczą choroby i odmładzają starców. Ich ojcem jest Wiwaswat, bóg wschodzącego słońca, a matką bogini Saranju. Pojawiają się pod postacią dwóch białych koni stworzonych z piany niebiańskiego morza.

Ayahuasca – „liana duszy” lub „pnącze duszy”. Halucynogeny napój sporządzany z kilku gatunków roślin zawierających DMT, zażywany przez szamanów z Ameryki Południowej w celu przeniknięcia do zaświatów i uzyskania wizji niezbędnych do przeprowadzania leczniczych kuracji, jasnowidzenia, wykrywania klątw i uroków i kontaktów z duchami. Według wierzeń indiańskich ayahuasca umożliwia wkroczenie na wyższy poziom rzeczywistości zamieszkiwany przez przodków oraz istoty nadprzyrodzone. Umożliwia też kontakt z mityczną pamięcią plemienia.

Aztekowie – naród indiański posługujący się językiem nahuatl, zamieszkały głównie w Meksyku. Przed konkwistą twórcy wysoko rozwiniętej kultury z rozbudowanym systemem religijnym, monumentalną architekturą, zabytkami sztuki i rzemiosła, własnym pismem oraz skomplikowanym kalendarzem. Mieli bardzo rozbudowaną strukturę społeczną, na czele której stali władca i arystokracja. Wysoką pozycję mieli także wojownicy oraz kasta kapłańska. Wśród miejscowych ludów słynęli z wojowniczości, odwagi i krwiożerczości. Praktykowali składanie ofiar z ludzi. Stworzyli prawdziwe imperium, któremu kres położyło dopiero przybycie konkwistadorów z Europy.

Bhawa – w mitologii hinduskiej jeden z synów indyjskiego boga burzy Rudry. Ma postać ogromnego wilka, jest groźny i żarłoczny. Można się na niego natknąć w lesie, gdy poluje wraz ze swoim wilczym bratem Śarwą.

Bhuty – w mitologii hinduskiej potomstwo zrodzone ze związku demonów i duchów. Krążą nad pogrążonymi we śnie ludźmi i zwierzętami, żeby im wsączyć do ucha choroby, tak jakby to była trucizna. Można je rozpoznać po tym, że nie rzucają cienia. Unoszą się w powietrzu i nigdy nie mogą osiąść na ziemi. Dlatego żeby się przed nimi uchronić, należy się położyć płasko na podłodze. Nienawidzą zapachu kurkumy. Żeby je skutecznie przegnać, należy spalić w kominie garść tej przyprawy.

Centzon Totochtin – Czteryście Królików. Aztecki bóg pijaństwa i napoju pulque,

związany z Księżycem i cyklem lunarnym. Króliki uosabiają zmienne nastroje pijanego człowieka. Konkretny królik, który akurat przejął kontrolę nad umysłem pijącego, odpowiada za to, czy upija się on na smutno, wesoło, melancholijnie, czy kochliwie. Od królika zależy też, czy pijak jest gadatliwy, agresywny, lubieżny, czy bierny. Aztekowie mawiali, że każdy ma swojego królika.

Chalmecatecuhtli – bóg ofiar w mitologii azteckiej. Pomniejsze bóstwo związane także ze światem podziemnym i ciemnością.

Chantico – bogini domowego ogniska oraz wulkanów w wierzeniach Azteków. Jej imię znaczy „Ta, Która Mieszka w Domu”.

Chicomecoatl – Siedem Węży, aztecka bogini kukurydzy oraz pożywienia. Podczas święta plonów zwanego Ochpaniztli, odbywającego się w porze dojrzewania kolb kukurydzy, składano jej ofiary z młodych kobiet. Dziewczętom obcinano głowy, a ich krwią skrapiano posąg bogini. Następnie kapłani zdierali skóry ze zwłok i ubierali się w nie. Boginię przedstawiano z twarzą umalowaną na czerwono. W dłoniach trzymała kolbę kukurydzy oraz rytualną kołatkę.

Cincalco – Miejsce Domu Kukurydzy. W mitologii azteckiej jedna z krain w zaświatach, gdzie przebywali niektórzy zmarli oraz istoty nadprzyrodzone. Kojarzona z obfitością i płodnością, miała się znajdować gdzieś daleko na zachodzie, bo ta strona świata była przez Azteków kojarzona z żyznymi terenami rolniczymi.

Cipactonal – aztecka bogini kalendarza i astronomii, żona boga Oxomoco. Bogini wraz z małżonkiem uczestniczyła w doniosłym akcie stworzenia pierwszej kukurydzy. Obdarzyła też ludzi umiejętnością przedzenia i tkania, kobietom zaś przekazała również sekret wróżenia i czarowania za pomocą ziaren kukurydzy oraz sporządzania z nich lekarstw.

Chicha – napój alkoholowy wytwarzany ze sfermentowanych ziaren kukurydzy. Znany już w Imperium Inków. Ma jasny, słomkowy kolor, a w smaku nieco przypomina cydr.

Coatlicue – Ta w Wężowej Spódnicy. Prastara bogini ziemi w wierzeniach Azteków. Władczyni życia i śmierci. Pojawia się jako kobieta w spódnicy utkanej z żywych węży, na szyi nosi naszyjnik z ludzkich głów i dłoni. Jej stopy są zakończone pazurami jaguara. Jest Ziemią, dawczynią życia, która potem pożera wszystko, co do niej wraca i zostaje w niej pogrzebane. Jest matką najważniejszych bóstw, Quetzalcoatla, Xolotla, Xipe Toteca i Huitzilopochtlego. Składano jej liczne ofiary z ludzi i krwi, gdyż wierzono, że bez nich ziemia pozostanie jałowa i nie będzie rodzić. Bogini przynoszono ludzkie serca, glebę nawadniano krwią ofiar, a następnie sadzono w bruzdach odcięte ręce i głowy, aby Ziemia mogła je dołączyć do swego gnijącego naszyjnika.

Corupira – w tradycji kabokłów brazylijskich oraz Indian Tupi demon leśny, pan zwierząt. Opiekun lasów i dzikiej zwierzyny. Karze tych, którzy niszczą puszcze, ale lituje się nad tymi, którzy zabłądzili w głuszy.

Coyolxauhqui – Złote Dzwoneczki. Bogini księżycy w mitologii azteckiej, córka Coatlicue. Według mitu ostrzegła swą ciężarną matkę, że jej bracia, synowie Coatlicue, chcą zabić ją i jej nienarodzone dziecko, przyszłego boga Huitzilopochtlego. Słyszając to, bóg natychmiast narodził się w całym rynsztunku wojennym i pozabijał podstępnych

braci, którzy dybali na jego życie. Niestety, w bitewnym szale zabił także siostrę, odcinając jej głowę. Żałował potem swego czynu tak bardzo, że podrzucił głowę Coyolxauhqui aż do nieba, gdzie stała się księżycem. Jej imię pochodzi od tatuażu w postaci złotych dzwoneczków, który zdobił kości policzkowe bogini.

Cuicacalli – szkoły zakładane przy świątyniach azteckich, które kształciły adeptów w trudnej sztuce rytualnych śpiewów, tańca i muzyki. Podczas skomplikowanych ceremoniałów towarzyszących licznym świętom na cześć bóstw kapłani wykorzystywali specjalne stroje, maski i atrybuty, osiągając efekty teatralne i komponując różnorodne elementy sztuki scenicznej, żeby poruszyć, zadziwić i natchnąć duchowością wiernych, oszołomionych boską potęgą widowiska.

Dziwnowronka – taki gatunek ptaka nie istnieje. Wymyśliłam go na potrzeby powieści, inspirując się całkowicie realną rodziną cudowronek. Inna nazwa gatunku to rajskie ptaki. Należą do wróblowatych, charakteryzują się niezwykle barwnym i wymyślnym upierzeniem i zamieszkują lasy tropikalne na Molukach, Nowej Gwinei oraz w północno-wschodniej Australii.

Dżara – w mitologii hinduskiej istota nadprzyrodzona, rodzaj demona o podwójnej osobowości. We dnie Dżara była śliczną młodą dziewczyną, patronką rodzin, ogniska domowego i dzieci. W nocy przemieniała się jednak w odrażającą staruchę żywiącą się padliną.

Huaca – w starożytnym Peru istoty nadprzyrodzone związane z naturą. Duchy lasów, jezior, skał i miejsc świętych.

Huitzilopochtli – Błękitny Koliber Południa, aztecki bóg wojny i słońca w zenicie. Prastare bóstwo plemienne Azteków. Czwarty syn boskiej pary Ometecuhtli i Omecihuatl, Pana i Pani Dwoistości. Narodził się bez ciała i w tej postaci istniał sześćset lat. Odwieczny rywal i zapiękły wróg Tezcatlipoki. Każdego dnia rodzi się o świcie, a o zmierzchu umiera. Aby miał siłę powrócić rankiem do życia, trzeba go było nieustannie karmić ludzką krwią i bijącymi sercami. W ofierze składano mu wojowników, jeńców wojennych. Aby ich pozyskać, Aztekowie prowadzili rytualne wojny zwane kwietnymi. Huitzilopochtli był przedstawiany jako dumny wojownik przybrany w strój kolibra, z ciałem pomalowanym na niebiesko i żółtymi pasami na twarzy.

Ixtab – w wierzeniach Majów bogini samobójców, których dusze zabiera do swego raj. Większość czasu spędzała, zwisając z nieba z niewiarygodnie długim nosem okręconym wokół szyi jak stryczek. Schodziła na ziemię od czasu do czasu, żeby zabrać do siebie dusze tych, którzy się sami zabili. W kulturze Majów samobójstwo nie było potępiane, wprost przeciwnie, ludzie, którzy targnęli się na swoje życie, zasługiwali na szacunek, a sam akt samobójstwa uważano za godny poważania. Samobójcy od razu trafiali do rajskiej krainy bogini Ixtab.

Język maya – należy do jukatańskiej, majańskiej rodziny językowej. Posługiwali się nim dawni Majowie. Język jest żywy do dziś, używają go niektórzy mieszkańcy Meksyku oraz Ameryki Środkowej.

Język nahuatl – język, którym się posługiwali Aztekowie. Najbardziej rozpowszechniony język z grupy uto-azteckiej. W czasach dominacji Azteków coś

w rodzaju języka oficjalnego na terenach ich wpływów. Nadal jest w użyciu. Posługuje się nim około 1,6 miliona mieszkańców Meksyku.

Jurupari – demon leśny u dawnych mieszkańców Brazylii. Przeróżający i budzący grozę. Obłąkawia się go, dmąc w święte piszczałki, które mają naśladować jego głos. Związany także z płodnością. Pojawia się pod postacią kosmatego, łysego karła z jednym okiem, który ma stopy wykręcone do tyłu. Uzbrojony w topór z szylkretu, domaga się tytoniu od napotkanych w dżungli myśliwych.

Kabokle – nazwa zwyczajowo nadana brazylijskim Metysom, potomkom Indian i białych. Także często miano oznaczające ubogich sezonowych robotników rolnych w Ameryce Południowej.

Kinnarowie – hinduskie istoty nadprzyrodzone. Pojawiają się pod postacią ludzi z końskimi głowami. Ich kobiety mają kształty pół ludzkie, pół łabędzie. Kinnarowie słyną z wdzięku oraz zamiłowania do muzyki i tańca. Grajkowie indyjskich bogów.

Mahabharata – starożytny epos hinduski spisany w sanskrycie. Opowiada o historii starożytnych Indii. Zawiera wiele informacji z dziedziny logiki, etyki, medycyny, architektury, edukacji, astronomii, sztuki wojennej, a nawet jogi oraz ars amandi.

Majowie – grupa ludów indiańskich posługujących się językiem maya, zamieszkujących głównie Jukatan. Twórcy wysoko rozwiniętej cywilizacji miejskiej z ogromnymi kamiennymi kompleksami świątynnymi, pałacami, boiskami do gry w piłkę oraz licznymi zabytkami sztuki. Majowie znali pismo i mieli własny system liczbowy oraz skomplikowany kalendarz. Podobnie jak Aztekowie, praktykowali składanie ofiar z ludzi. W okresie panowania hiszpańskiego nastąpił całkowity upadek tej bogatej i niezwyklej kultury.

Mictlan – Miejsce Śmierci we Mgle. Aztecka kraina śmierci, miejsce pobytu większości zmarłych. Jest ponura i przerażająca. Panuje tam wieczny głód, nędza, beznadzieja, zimno i wieczna ciemność. Zmarli muszą się tam żywić tym, co na Ziemi jest niejadalne i obrzydliwe. Jedzą trujące rośliny, robactwo i odpadki. Tym, którzy za życia marnowali żywność, zwłaszcza kukurydzę, podziemni bogowie za karę wydłubują oczy. Nędzna egzystencja dusz w Mictlanie nie jest wieczna. W końcu wszyscy zmarli giną, obracając się w nicość. Władcami krainy śmierci są Mictlantecuhtli i jego małżonka Mictecacihuatl, bóstwa podłe, złośliwe i okrutne, które jedzą gnijące ludzkie ciała, a popijają te koszarne dania ropną wydzieliną rozlewana do czaszek pełniących role naczyń.

Mictlantecuhtli – bóg śmierci i pan krainy umarłych w mitologii azteckiej. Rządzi krainą zmarłych zwaną Mictlan. Według wyobrażeń pojawiał się w postaci ludzkiego szkieletu z wystającymi zębami i krzemiennym nożem zamiast nosa. W dłoniach trzymał czaszkę. Jego podwładnymi są nietoperz, pająk i sowa.

Nahui Ocelotl – Pierwsze Słońce. Przydomek boga czarnej magii, Tezcatlipoki, jako stwórcy świata i bóstwa jaśniejącego na niebie jako pierwsze z Pięciu Słońc. Według wierzeń azteckich czas dzieli się na pięć epok. W pradawnych czasach para najstarszych bogów, Pan i Pani Dwoistości, postanowiła stworzyć ziemię. Zadanie to powierzyli swoim synom. Dwaj starsi nie mieli ochoty spełnić rozkazu rodziców, dlatego obarczyli zadaniem swoich dwóch młodszych braci. Ci zdołali powołać do życia całe pokolenie

poniejszych bogów. Potem stworzyli niższe warstwy nieba, ogień, kobietę, mężczyznę oraz kalendarz. Żeby nowo stworzeni ludzie mieli się gdzie podziąć, boscy bracia wymyślili wodę i wpuścili do niej ogromną rybę, która zamieniła się w ziemię. Potem zabrali się do tworzenia słońca, lecz nie dali rady i zrobili tylko połowę. Na ziemi było więc ciemno i zimno, bo świeciła tylko połówka słońca. Wtedy bóg Tezcatlipoca postanowił naprawić to, czego nie umieli dokończyć młodszy bracia, i podjął się zadania stania się głównym stwórcą oraz Pierwszym Słońcem świecącym nad nową krainą, a co za tym idzie – faktycznym władcą nowego świata. Wcielał się w słońce 13 razy, za każdym panując przez 52 lata. Potem jego brat, Quetzalcoatl, Pierzasty Wąż, postanowił strącić go z piedestału. Podkradł się od tyłu i uderzył Tezcatlipocę kijem, zrzucając go z nieba do wody. Słońce zgasło i zginęły wszystkie istoty zamieszkujące ziemię. Gdy Quetzalcoatl triumfalnie zasiadł na tronie władcy świata i został Drugim Słońcem, Nahuī Ehecatl, trzeba było zaludnić ziemię na nowo. Tezcatlipoca i Quetzalcoatl nigdy się nie pogodzili i są zapiekłymi wrogami.

Nergal – starożytne bóstwo sumeryjskie. Wielki Król, Król Śmierci. W dawnej Mezopotamii bóg świata podziemnego, małżonek Ereszkigal, władczyni krainy śmierci. Pierwotnie Nergal był bóstwem skwaru i niezdolnego upału, który dręczył ludzi zarazami i gorączką. Z czasem z dość podrzędnego bóstwa awansował na równorzędnego władcę mezopotamskich podziemi, a potem jego kult zaczął się szerzyć i Nergal stopniowo przejął wszystkie funkcje swej małżonki, Ereszkigal, pierwotnej bogini krainy zmarłych, spychając ją w cień. W późniejszych wiekach, po rozpowszechnieniu się chrześcijaństwa, Kościół wykłął Nergala, oficjalnie uznając go za demona. Należy sądzić, że ten dawny bóg syro-babiloński doskonale odnalazł się w piekle, skoro okultyści natychmiast zrobili go szefem tajnej policji imperium piekielnego, o czym pisze Collin de Plancy w „Słowniku wiedzy tajemnej” z 1818 roku.

Ofiarna Studnia – święta studnia, wykopana celowo lub będąca naturalnym, głębokim zbiornikiem wodnym, do której Aztekowie wrzucali ofiary dla bogów. Cenne przedmioty, biżuterię, kunsztowne naczynia, a niekiedy także poświęconych bóstwom ludzi.

Omeyocan – Miejsce Dwoistości. W wierzeniach Azteków najwyższe niebo i siedziba bóstw stwórczych, małżonków Ometecuhtlego oraz Omecihuatl, zwanych Panem i Panią Dwoistości. Żyją tam także inne bóstwa i istoty nadprzyrodzone. Pod Omeyocanem znajdują się kolejne warstwy nieba, mające zdumiewające i tajemnicze nazwy. Niebo Tlalocanu i Księżycy. Niebo Spódnicy z Gwiazd. Niebo Słońca. Niebo Miejsce Soli. Niebo Gdzie Jest Świder Ogniowy. Niebo Ciemne. Niebo Zielone. Miejsce Mające Kąty z Obsydianowych Płyt. Niebo Biały Bóg. Niebo Żółty Bóg. Oraz Niebo Czerwony Bóg. Krainy te są zamieszkane głównie przez złowrogię i straszne istoty, jak Tzitzimitl, Złowróźbne Kobiety, które nie mają ciała, a tylko gołe szkielety i kiedy nadejdzie koniec świata, zstąpią na ziemię, żeby pożreć wszystkich ludzi. Strażnikami wszystkich warstw nieba są istoty stworzone przez Tezcatlipocę. Jest ich czterysta i mają ciała w różnych kolorach, żółte, czarne, niebieskie, białe bądź czerwone. Z Omeyocanu także przylatują wszystkie ptaki. Żyją tam również ogniste węże, które w razie potrzeby zamieniają się w komety. To także siedziba wiatrów oraz miejsce zamieszkania

większości bogów.

Oxomoco – według mitów azteckich bóg stwórca kalendarza i astronomii. Mąż bogini Cipactonal. Razem stworzyli podstawę azteckiego pożywienia, kolbę kukurydzy.

Peyotl – jazgrza Williamsa, gatunek sukulentu z rodziny kaktusowatych. Bylina rosnąca na pustyniach i półpustyniach Meksyku. Nazwa pochodzi z języka nahuatl i oznacza „błyszczący”. Roślina silnie halucynogenna, używana przez Azteków do celów rytualnych, a także prawdopodobnie medycznych, gdyż uśmierza ból.

Pięć Słońc – pięć epok, które minęły od stworzenia świata według mitologii Azteków. Cztery pierwsze zakończyły się kataklizmami, które przyniosły zagładę wysokim ludziom i większości istot na ziemi. Sami Aztekowie wierzyli, że żyją w erze Piątego Słońca zwanego Słońcem Ruchu. Wszystkie cztery poprzednie słońca stały nieruchomo na niebie, co stało się przyczyną ich upadku. Pierwszym, zwanym Nahui Ocelotl, czyli Słońce Ziemi, został bóg Tezcatlipoca. Wcielił się w rolę słońca 13 razy po 52 lata. Lecz po upływie tego czasu jego brat Quetzalcoatl postanowił strącić go z nieboskłonu. Uderzył Tezcatlipocę kijem tak mocno, że ten spadł do wody, tym samym sprowadzając na ziemię kosmiczną katastrofę. W ten sposób zginęli wszyscy giganci, którzy wówczas według mitu mieli żyć na świecie. W innej wersji tej opowieści zostali co do jednego pożarci przez olbrzymie jaguary. Quetzalcoatl wstąpił na niebiański tron jako Nahui Ehecatl, czyli Słońce Wiatru. Jego epoka trwała tyle samo co brata. Lecz Tezcatlipoca, nie mogąc znieść obecności uzurpatora na tronie, przemienił się w jaguara i strącił brata z niebios, wywołując straszliwy wichur, który porwał i zgładził niemal wszystkich ludzi na ziemi z wyjątkiem garstki, która zdołała zmienić się w małpy. Trzecim Słońcem, Nahui Quiahuitl, Słońcem Ognia, został Tlaloc, bóg deszczu. Ale jego epoka także skończyła się katastrofą, gdy Quetzalcoatl spuścił na świat zabójczy ogień, który pochłonął wszelkie życie. Następnie niebiański tron objęła żona Tlaloca, Chalchiuhtlicue, jako Nahui Atl, czyli Słońce Wody. Rządziła trzysta dwadzieścia lat, lecz jej epoka także zakończyła się kataklizmem. Bogowie zesłali deszcz, które spowodowały gigantyczną powódź, skutkiem której niebo runęło na ziemię. Niemal wszyscy ludzie zginęli, z wyjątkiem nielicznych, którzy zamienili się w ryby. Bogowie próbowali podnieść niebo, ale nie dali rady. Musieli stworzyć do tego celu czterech dodatkowych pomocników, nowych ludzi. Wtedy unieśli niebiosy i doszli do wniosku, że kolejne słońce powinno znajdować się w ruchu, żeby zapobiec dalszym katastrofom. Żeby tego dokonać, byli zmuszeni oddać własną krew i życie, aby wprawić słońce w ruch. Co prawda po dokonaniu aktu stworzenia natychmiast wrócili do życia, jako istoty nieśmiertelne, lecz ich poświęcenie stało się podstawą wierzeń religijnych i tożsamości Azteków. Wierzyli oni, że są narodem wybranym do ważnego zadania utrzymania słońca w ruchu. Dlatego wzorem swoich bóstw oddawali własną krew, kalecząc się rytualnie, a także składając w ofierze bijące serca, odcięte głowy, świeżo zdarte skóry oraz odrąbane dłonie. Poświęcanie życia na ołtarzu było dla Azteków zaszczytnym obowiązkiem i najwyższym mistycznym aktem religijnym, dzięki któremu podtrzymywali wszelkie życie na ziemi, karmiąc słońce własną krwią. Wojownicy, którzy zginęli na ofiarnym kamieniu, nie trafiali do mrocznego Mictlanu, lecz dołączali do orszaku boga Huitzilopochtlego w zaświatach, a po kilku latach powracali na ziemię pod

postacią kolibrów.

Pióra quetzala – w kulturze dawnych Azteków cenny materiał do wytwarzania strojów, biżuterii i ozdób. Także drogi podarek świadczący o szacunku dla obdarowanego. Quetzale, po polsku: kwezale herbowe, to bardzo barwnie upierzone ptaki z rodziny trogonów, zamieszkujące Meksyk oraz Amerykę Środkową. Szczególnie kolorowe są samce. Mają karmazynowe brzuchy, a skrzydła i grzbiety intensywnie turkusowe. Pióra z ogona są białe. Ptaki te odgrywały ważną rolę w wierzeniach azteckich. Zabicie kwezala karane było śmiercią. Po schwytaniu ptaka i pozyskaniu cennych piór wypuszczano go na wolność.

Pisacze – w wierzeniach hinduskich grupa demonów nawiedzających cmentarze i miejsca, gdzie płoną stosy pogrzebowe. Bogowie nakazali, żeby pisacze żywiły się odpadkami z ofiar składanych przez ludzi, czyli skórami, sierścią i kopytami, demony te są ciągle głodne. Żerują na zwłokach, a ich szczególnym przysmakiem jest kał pozostały we wnętrznościach zmarłych. Potrafią przeniknąć do ciał żałobników i wywołać chorobę. Żeby się przed nimi uchronić, trzeba zasłonić usta i nos, a także pstrykać często palcami, bo to je odstrasza.

Pulque – napój alkoholowy, lekko musujący, wytwarzany z agawy już w czasach azteckich. Używany przy ceremoniach religijnych w celu osiągnięcia stanu oszołomienia i sprowadzenia wizji. Pulque zmieszane z kilkoma różnymi narkotykami podawano azteckim wojownikom tuż przed wyruszeniem do boju. Było też zalecane na wzmocnienie starszym ludziom i karmiącym kobietom. Ma ostry, gorzkawy smak.

Quetzalcoatl – Pierzasty Wąż, jeden z głównych bogów w panteonie Azteków. Pierwotnie zapewne bóstwo tolteckie występujące pod postacią bohatera kultowego. Nosił przydomek Ce Acatl, czyli „1 Trzcina” od nazwy roku, w którym miał przyjść na świat. Bóg ducha życia, tchnienia wiatru, ale również ziemi. Pełni też rolę jednego z bóstw wody i płodności. W jednej wersji mitu jest synem boskiej pary stwórców, Pana i Pani Dwoistości, w innej urodziła go bogini Coatlicue, bez udziału męskiego partnera, z kulki kolorowych piór, którą ukryła pod spódnicą. Jego bratem bliźniakiem jest Xolotl. Quetzalcoatl to opiekun ludzi, nauczyciel ludzkości, patron wszelkich rzemiosł, dobroczyńca. Uosobienie światłości i białej magii. Dał ludziom kalendarz oraz wszelką niezbędną wiedzę o świecie, niebiosach, zaświatach i krainach podziemnych. Jest przedstawiany jako mężczyzna o białej skórze, niebieskich oczach, kręconych włosach i takiej też brodzie, co dało naukowcom pole do wielu spekulacji dotyczących pochodzenia tego bóstwa. Zwłaszcza że Quetzalcoatl ostro sprzeciwiał się składaniu ofiar z ludzi, walcząc ze swym najzacieklejszym wrogiem, bóstwem czarnej magii Tezcatlipocą, któremu ludzka krew była niezbędna do życia. Pierzasty Wąż hołdował ideom wyższej duchowości, wyznawcom zalecał samodyscyplinę, ascezę, życie pustelnicze i nieustanne dążenie do samodoskonalenia. Przyjmował ofiary jedynie z kwiatów i owoców. Był pełen uduchowienia, spokoju i opanowania. Brzydził się wszelką rozpustą, pijaństwem i używkami. Po wielu dziesięcioleciach walki z Tezcatlipocą oraz innymi bóstwami preferującymi krwawe ofiary uznał swoją porażkę i umarł, sam siebie składając na stosie, lub odpłynął na tratwie do swej odległej ojczyzny, która ponoć leżała gdzieś daleko za morzem. Obiecał jednak, że kiedyś powróci. Z tego

powodu gdy Cortés dotarł do Jukatanu, został radośnie powitany przez tamtejszych mieszkańców, przekonanych o powrocie wyczekiwanego przez setki lat boga. Osobliwy wygląd i poglądy Quetzalcoatl kazały niektórym badaczom przypuszczać, że pierwowzorem tego bóstwa mógł być jakiś przybysz z Europy, który znalazł się tam na długo przed konkwistą, prawdopodobnie wiking albo chrześcijański duchowny, lecz nie ma na to żadnych dowodów.

Ramajana – epos starohinduski napisany w sanskrycie. Opowiada dzieje bohaterskiego księcia Ramy, uchodzącego za siódme wcielenie boga Wisznu, oraz jego żony Sity, która została porwana przez okrutnego demona Rawanę. W eposie występuje też brat Ramy, Lakszmana, oraz ich wierny towarzysz, małpi król Hanuman.

Sinaa – bóg stwórca świata według mitów brazylijskich Indian Juruna. Pojawia się w postaci pół człowieka, pół jaguara. Kiedy już stworzył świat, rozciągnął nad nim niebo jak płachtę i wsparł je na żerdzi. Następnie powołał do życia wszystkie stworzenia na ziemi. Tylko on jeden na świecie może się przeciwstawić biegowi czasu. Żeby zachować wieczną młodość, co wieczór zdejmował skórę i prał ją w strumieniu, zmywając z niej miniony dzień. Sinaa może wywołać koniec świata, kiedy tylko zechce. Wystarczy, że kopnie żerdź podpierającą niebo i zrzuci je na ziemię.

Słońce Gwiazdy – męskie bóstwo azteckie rezydujące na stałe w Omeyocanie, uosobienie jednej z gwiazd. Strażnik nieba.

Spódnica z Gwiazd – żeńskie bóstwo azteckie, mieszkanka Omeyocanu i towarzyszka Słońca Gwiazdy, uosobienie jednej z gwiazd. Strażniczka nieba.

Śarwa – w mitologii hinduskiej jeden z synów boga burzy, Rudry. Ma postać ogromnego wilka. Jest groźny dla ludzi, żarłoczny i okrutny. Można się na niego natknąć, gdy poluje w lesie ze swym bratem Bhawą, także wilkiem.

Tamoanchan – Dom Brzegu Wody. Rajska kraina w mitologii azteckiej, żyzna, zasobna i urodzajna. Rosną tam lasy, płyną rzeki i tryskają źródła czystej, pitnej wody. To miejsce zamieszkania wielu bogów azteckich. Tam zostali stworzeni pierwsi ludzie żyjący w obecnej erze Piątego Słońca. W powieści Tamoanchan jest kwitnącym miastem zbudowanym na środku rozległego jeziora, na specjalnych tarasach i platformach, oraz na jego brzegach, na wzór rzeczywiście istniejącego azteckiego miasta, stolicy imperium, Tenochtitlán. Rządzi tam niepodzielnie bóg czarnej magii, Dymiące Zwierciadło, Tezcatlipoca Czarny. Tamoanchan otaczają wsie i pola uprawne oraz góry i dżungle, także pozostające pod władaniem Nahui Ocelotla.

Teoyaomqui – aztecka bogini martwych wojowników, szczególnie jeńców składanych potem w ofierze słońcu. Pani kolibrów, bo pod taką postacią dusze poległych w bitwach pojawiały się w zaświatach.

Tezcatlipoca Czarny – bóg zemsty, czarnej magii, ciemności i zła. Jako Nahui Ocelotl był pierwszym ze Słońc, stwórcą świata. Władał nocą, północną stroną świata, objawiał się jako konstelacja Wielkiej Niedźwiedzicy. Patronował opatrności, zmienności, losowi, występki oraz grzechowi. Wynalazł ogień. Przewodził czarownikom, wróżbitom, czarnym magom i wojownikom. Poświęcone mu święto celebrowano z wielkim pietyzmem. Na rok przed przypadającą datą tego wydarzenia wybierano najpiękniejszego i najdzielniejszego z jeńców wojennych. Uczono go

dworskiej etykiety, tańca i muzyki. Na miesiąc przed uroczystością dostawał cztery piękne dziewczęta przebrane za boginie, żeby mu usługiwały. Przemierzał ulice w rytualnych procesjach, tańcząc i grając na flecie, a mieszkańcy miasta traktowali go jak żywe wcielenie boga. W dniu święta także prowadził radosną, ale i podniosłą procesję aż na szczyt świątyni w kształcie piramidy, a na jej szczycie na ofiarnym kamieniu oddawał Tezcatlipoce swoje życie. Kapłani krzemiennym nożem wycinali mu serce i ofiarowywali bóstwu. Imię Tezcatlipoca oznacza „Dymiące Zwierciadło”. Otrzymał je, gdy stanął do walki z odwieczną boginią Ziemią, Coatlicue, w odmętach praoceanu. Podczas starcia zmieniła się ona w krokodyla i odgryzła bogu stopę. Ten jednak nie poddał się, wyrwał Coatlicue szczękę i z niej stworzył podwaliny ziemi. Potem zrobił sobie protezę z wypolerowanego krzemienia, tak gładką, że jej powierzchnia przypomina lustro. W ten sposób powstało czarodziejskie lustro, w którym bóg widzi równocześnie przeszłość i przyszłość.

Dymiące Zwierciadło pojawia się jako wspomniany gwiazdozbiór Wielkiej Niedźwiedzicy i jako bezcielesny powiew nocnego wiatru. Jako bóg gwiazd ma pod opieką jaguary, gdyż ich cętkowane futro przypominało dawnym Aztekom rozgwieżdżone niebo. Sam chętnie przybiera postać tego wielkiego drapieznika, lecz o futrze czarnym jak noc. Tezcatlipoca potrafi oglądać cztery strony świata naraz. Włada demonami, wiatrem lub jego brakiem, ciszą i ciemnością. Jest tak pięknym mężczyzną, że na jego widok kobiety natychmiast mdleją. To wytrawny, doskonały wojownik. Gdy ukazuje się w stroju bojowym, twarz ma wymalowaną w czarne pasy. Czasem lubi zapaść się na odludzie, gdzie spaceruje jako nagi szkielet. Jego żebra otwierają się wtedy i zamykają niczym drzwiczki klatki, w której pulsuje żywe, bijące serce. Jeśli jakiś śmiałek, który napotka boga w tej postaci, odważy się sięgnąć w głąb jego klatki piersiowej i wyjąć serce, Tezcatlipoca staje się bezradny. Może tylko błagać o zwrócenie brakującego organu. Obiecuje wtedy niezliczone łaski, bogactwa i cuda, lecz, oczywiście, zawsze kłamie. Podobne przypadki tak go osłabiają, że umiera z końcem każdego roku. Żeby go ożywić, potrzebna jest ofiara z ludzkiej krwi i serca. Dymiące Zwierciadło ma także inną, zaskakującą twarz. Jest sprawiedliwym sędzią, który karze zło, a nagradza dobro. Nie sposób go oszukać, bo w swoim zwierciadle widzi ludzkie zamiary i pragnienia. Opiekuje się niewolnikami, wdowami i sierotami, czyli osobami stojącymi najniżej w hierarchii azteckiego społeczeństwa. Nienawidzi swego brata Quetzalcoatl, któremu nigdy nie wybaczył, że stracił go z nieba i zajął jego miejsce jako Drugie Słońce.

Opisując rytuał ku czci Tezcatlipoki, posłużyłam się opisem ceremoniału przedstawionym w „Historia natural y moral de las Indias” pióra hiszpańskiego kronikarza Joségo de Acosty, powstałym w połowie XVI wieku. Co prawda dotyczył on procesji ku czci Huitzilopochtlego, ale takie ceremonie były dość podobne do siebie, a równie szczegółowe relacje dotyczące świąt ku czci Dymiącego Zwierciadła, w dodatku opisane przez naoczego świadka, po prostu się nie zachowały.

Tlachialoni – „przez co się patrzy”, „przez co się widzi”, rodzaj berła, które dzierzył aztecki bóg Tezcatlipoca. Był to osadzony na specjalnym uchwycie, wypolerowany, intensywnie błyszczący krążek z czystego złota, który miał w środku okrągły otwór.

Tlacotzontli – aztecki bóg dróg. Jest synem Coatlicue, jednym z czterystu braci,

którzy są gwiazdami na nieboskłonie.

Tlaloc – aztecki bóg deszczu. Ten, Który Powoduje Wzrost. Patron wody i burz z piorunami. Był Trzecim Słońcem, Nahui Quiahuitl, Słońcem Ognia. Jedno z najstarszych i najważniejszych bóstw Mezoameryki. Symbol życia, żywotności i wzrostu roślin. Miał władzę nad wszelkimi wodami. Deszczem, rzekami, jeziorami, strumieniami, studniami. Potrafił zesłać życiodajny deszcz, niszczycielską ulewę lub suszę. W Tlalocanie, swej podniebnej krainie, miał olbrzymie naczynia wypełnione wodą. W każdym kryły się zwykłe opady, burze, powodzie lub nawałnice. Gdy naczynia pękały, kataklizm spadał na ziemię, a w niebie słychać było grzmot. Jeżeli podczas deszczu czyjeś pole pozostawało poza obrębem chmury, należało natychmiast spalić brudną ścierkę, żeby zwrócić uwagę boga, bo swąd ten, choć obrzydliwy dla ludzi, bóstwu kojarzył się z miłą wonią ofiary z surowego mięsa. Tlalocowi w ofierze składano wyłącznie niemowlęta i bardzo małe dzieci. Aztekowie wierzyli, że ich rześiste łzy spowodują obfite opady potrzebne roślinom uprawnym. Nie przeszkadzało im to uważać boga deszczu za bóstwo wyjątkowo dobrotliwe i przychylne ludziom. Tlalocan jawił się im jako rajska kraina, gdzie dusze żyły w szczęściu i spokoju, nie zaznając chorób, trosk ani głodu. Tlaloc opiekował się wszystkimi ludźmi, którzy ponieśli śmierć w wodzie, zostali zabici przez piorun lub zmarli na choroby związane z owrzodzeniami, w tym trąd i ospę.

Tlalocan – Miejsce Tlaloca. U Azteków mityczna kraina zmarłych i siedziba boga deszczu Tlaloca. Związana ze wschodnią stroną świata i górami o wierzchołkach nieustannie skrytych w chmurach. Jest cudowną, zieloną, żyzną krainą, w której nigdy nie brakuje pożywienia, odpowiednikiem raju. Trafiają tam dusze ludzi, którzy się utopili lub zmarli na choroby skórne, artretyzm, trąd, puchlinę wodną lub choroby zakaźne. Mieszkańcy Tlalocanu żyją w zaświatach w szczęściu, zdrowiu i bogactwie. Bawią się radośnie i tańczą w otoczeniu kwiatów i motyli, grają w piłkę lub kąpią się w rzece.

Tlalocowie – w mitologii azteckiej pomocnicy boga deszczu Tlaloca. Charakteryzują się niskim wzrostem i często zielonym kolorem skóry. Ich zadanie polega na nawadnianiu ziemi, opiece nad wzrastającą kukurydzą oraz wszelką inną roślinnością.

Toltekowie – przedstawiciele słabo zbadanej dawnej cywilizacji środkowego Meksyku. Przodkowie Azteków i Majów, po części mityczni. Pionierzy pierwszych założeń urbanistycznych w Mezoameryce. Twórcy kamiennych piramid schodkowych, praktykujący ofiary z ludzi. Podobno słynęli z wyrafinowanej kultury i sztuki, a także wyśmienitego rzemiosła. Wiele elementów tolteckich wierzeń miało przeniknąć do religii azteckiej.

Tonacatecuhtli – Pan Naszego Ciała. W mitologii azteckiej bóg stwórca i dostawca wszelkiego pożywienia.

Tonaloque – Wielobarwni, w mitologii azteckiej strażnicy nieba, których stworzył bóg Tezcatlipoca Czarny. Jest ich czterystu i mają skórę różnej barwy, czerwoną, czarną, białą, żółtą lub niebieską. Zamieszkują trzecie niebo Omeyocanu. Do pomocy mają ogniste węże, które są tak naprawdę kometami, oraz zastęp drapieżnych ptaków o ostrych dziobach i groźnych szponach.

Tzitzimitl – straszliwe żeńskie istoty nadprzyrodzone w mitologii Azteków. Rezydują w Omeyocanie, w strefie drugiego nieba. Zwą się Kobietami Złowróbnymi.

Nie mają ciała, przyjmują postać nagich szkieletów. Będą przebywać w tym niebie aż do końca świata, kiedy to zstąpią na ziemię, żeby pożreć wszystkich ludzi.

Uaica – postać z mitologii plemienia Juruna z Ameryki Południowej. Otrzymał on dar uzdrawiania od boga stwórcy Sinaa. Leczył ludzi, sporządzał lekarstwa, maści i napoje z ziół i owadów. Potrafił nastawiać kości, opatrywać rany, troszczył się o chorych. Posługiwał się też uzdrowicielską magią, znał wiele zaklęć i czarów. Niestety, jego moc była zależna od wstrzemięźliwości płciowej. Kiedy plemię zdecydowało, żeby dać Uaice żonę, ta niezwłocznie wzięła sobie kochanka. Zazdrosny kochanek postanowił zabić uzdrowiciela. Uaica, rozczarowany niewdzięcznością ludzi, zapadł się pod ziemię wraz ze swoim talentem medycznym i zamieszkał w zaświatach, w krainie cieni.

Ulamaliztli – rytualna drużynowa gra w piłkę w tradycji wielu plemion Mezoameryki i Ameryki Południowej. Grało się w nią na prostokątnym boisku otoczonym murem. Piłka była wykonana z twardej gumy wyrabianej z soku mlecznego drzewa chicle. Gracze odbijali piłkę biodrami lub udami, żeby przerzucić ją przez jeden z kamiennych pierścieni wmurowanych na wysokości około czterech metrów. Piłka mogła się odbić od ziemi zaledwie jeden raz. Przerzucenie jej przez pierścień oznaczało wygraną. Gra miała ogromne znaczenie dla dawnych Azteków. Prawdopodobnie za jej pomocą rozwiązywano spory terytorialne lub rozstrzygano o następstwie tronu. Często po skończonej grze jej uczestników składano w ofierze bogom. Badacze do dziś się spierają, czy odbierano życie przegranej, czy wygranej drużynie.

Xilonen – pomniejsza bogini kukurydzy w mitologii azteckiej.

Xipe Totec – Nasz Pan Obdarty ze Skóry. W mitologii azteckiej bóg wiosennego urodzaju. Dobroczyńca ludzkości. Kiedyś w czasie wielkiego głodu, gdy ludzie masowo umierali, Xipe Totec sam zdarł z siebie skórę, żeby w magiczny sposób pobudzić do kiełkowania nasiona kukurydzy. Kukurydza, naśladując boga, także rozdarła powłoki swoich ziaren i wydała pędy. Xipe Totec personifikuje walkę i cierpienie obecne w naturze rodzącej nowe życie. Jest bóstwem grabieży, rzemieślników, jubilerów, rolnictwa, panem ziarna i siewu. Panem pokutnych męczarni, symbolem duchowego wyzwolenia i ofiary oraz bogiem zwłok. Kult tego bóstwa był wyjątkowo mroczny i okrutny. Poświęconych mu jeńców przywiązywano do pali, a następnie strzelano do nich z łuku, żeby krew rosła ziemię. Potem ofiary obdzierano ze skóry, a kapłani zakładali je na siebie, jeszcze krwawiące świeżą posoką. Także wojownicy ubierali się w skóry złożonych w ofierze jeńców. Nosili je przez kilka dni, aż zaczynały gnić i odpadać, co symbolizowało pęknięcie ziaren kukurydzy. Z czasem ponury wydźwięk obrzędów ku czci Xipe Toteca jeszcze się pogłębił. Kapłani przekonywali, że nie ma błogosławieństwa bóstwa bez cierpienia, a im więcej cierpienie człowiek zdoła znieść, tym większe będzie to błogosławieństwo. Bóg potrafił też zsyłać na wyznawców liczne choroby i zarazy, dżumę, ospę, strupy, wrzody, ślepotę oraz inne nieszczęścia, jeśli czuł się zanedbywany lub obrażony przez wyznawcę.

Xiuhtotol – gatunek ptaka o barwnych piórach, których Toltekowie, a potem Aztekowie używali do wykonywania ozdób oraz dekoracji ściennych.

Xochipilli – Księżę Kwiatów. Bóg młodej kukurydzy, wschodzących i kiełkujących roślin oraz kwiatów. Także patron tańca, śpiewu, gier hazardowych

i miłości. Związany również z homoseksualizmem i męską prostytutką. Na jego cześć obchodzono Święto Pożegnania Kwiatów, które zwiastowało rychłe nadejście zimnej pory roku, przymrozków lub mrozów, oraz koniec wegetacji roślin. Składano mu wtedy ofiary z ludzi. Xochipilli był również bóstwem ekstazy i zachwytu, a także oszołomienia narkotycznego. Jego święte rośliny, jak tytoń czy powój, często zawierają związki halucynogenne. Z jego kultem jest również związane rytualne spożywanie grzybów zawierających substancje psychoaktywne.

Xolotl – Zwierzę. Jego imię znaczy także „Bliźniak”, gdyż według mitu jest bliźniaczym bratem Quetzalcoatl. Bóg bliźniąt i poronień. Według wierzeń Azteków Xolotl jest ogromnym psem, z pyskiem skierowanym w przód, ale łapami skierowanymi do tyłu. Pojawia się także jako człowiek lub ludzki szkielet z głową psa. Kiedy bogowie postanowili poświęcić się i umrzeć, żeby wprawić w ruch ostatnie, Piąte Słońce i w ten sposób zapewnić mu o wiele większą trwałość, niż miały cztery poprzednie, Xolotl odmówił dobrowolnej ofiary. Uciekał i chował się trzy razy, przeistaczając się w kukurydzę o dwóch pędach, krzak agawy, a w końcu w rybę zwaną axolotl. W tym przebraniu został pochwycony przez bogów i zabity. Oczywiście, tak jak pozostałe bóstwa, ponieważ jest nieśmiertelny, natychmiast powrócił do życia. Jednak tak bardzo rozpacział nad swoim losem, że z powodu nieustannego płaczu oczy mu spuchły, a następnie wypłynęły z oczodołów i oślepl, ale za to doskonale widzi w ciemności. Pełni też funkcję Gwiazdy Wieczornej i co wieczór chwyta zębami Słońce, żeby zaciągnąć je do świata ciemności. W pewnej wersji mitów jest współtwórcą rasy ludzkiej, ponieważ po upadku Czwartego Słońca zapuścił się do Mictlanu, krainy umarłych, i wykradł stamtąd kości i szczątki zmarłych konieczne do stworzenia kolejnego pokolenia ludzi, a później opiekował się nowo narodzoną parą pierwszych ludzi, chłopcem i dziewczynką, póki nie dorośli i nie stali się zdolni do samodzielnego życia. Niestety, z powodu swego zdeformowanego ciała Xolotl ma mroczną naturę i nienawidzi własnego stworzenia. Z lubością niszczy więc ludzkość, sprowadzając na nią nieszczęścia i choroby. Mimo to można się modlić o jego protekcję, lecz nie ma to za wiele sensu, bo to, czy usłyszysz daną modlitwę i na nią zareaguje, zależy od tego, w którą stronę w danym momencie są skierowane jego uszy. Jest patronem gry w piłkę ulamalitzli.

Yohualtecuhtli – bóg podziemi, ciemności i śmierci w mitologii azteckiej. Jego przydomki brzmią Nieuchwytny jak Wiatr i Niewidzialny jak Noc.



Maja Lidia
Kossakowska

Od dzieciństwa marzyła, że kiedyś zostanie reżyserem. Równie silnie pragnęła zostać lalkarzem, rzeźbiarzem i archeologiem. Zwiedzanie uroczych starych miasteczek (z częstymi postojami w małych, tradycyjnych knajpkach), patrzenie na morze, spacery plażą, malowanie obrazów, szycie lalek i grzebanie w starociach to do dziś jej ulubiony sposób spędzania wolnego czasu.

Jej wrażliwość ukształtowała się podczas nauki w liceum plastycznym, w trakcie studiów archeologicznych i nade wszystko dzięki lekturom. Bo dom Kossakowskich był zawsze pełen książek i bez czytania nikt z rodu nie mógłby się obejść.

Archeologia nauczyła ją odkrywać i odtwarzać światy, rozbudowała wyobraźnię, nauczyła myślenia fabularnego, które umiejętnie wykorzystała, realizując dokumentalne programy telewizyjne i podejmując pierwsze próby literackie.

Nie zapomni dnia, w którym po raz pierwszy ujrzała swój tekst w druku. Tego się nie da z niczym porównać. To uzależnia i determinuje plany. Dzisiaj w jej życiu dominuje literatura, która z pasji przerodziła się w sposób na życie i pracę.

Lubi w swoich powieściach eksperymentować ze stylem i gatunkami. Zawsze jednak przywiązuje wagę do szczegółów – starannie rozpisuje poszczególne rozdziały i sceny, jest do bólu dokładna i konsekwentna w swoich postanowieniach.

Chętnie ucieka od miasta i pracy. Ma nieduży letni domek, w którym czuje się naprawdę u siebie i na właściwym miejscu.

NIKT Z NASZYCH NIE ZOSTAJE
SAM W POTRZEBIE. NIGDY.
NAPRAWDĘ NIGDY.



Strefy Poza Czasem nie są przyjemnym miejscem. Są przerażające i śmiertelnie groźne, nawet dla odwiecznych Świetlistych. Bolesnie przekonuje się o tym Daimon, którego istnienie zawisło na włosku. Cena za ratunek będzie wyjątkowo bolesna i wysoka.

Wielka ekspedycja badawcza Królestwa, pod przewodnictwem Seready, przemierza dzikie pustkowia Stref w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów Światłości. Jednak wszystkie tropy zdają się prowadzić donikąd.

Na Razjela, pozostawionego na tronie Głębi, także czyha coraz więcej niebezpieczeństw. Sprzymierzenie sił wydaje się jedyną szansą na zapanowanie nad wszechogarniającym chaosem.

Asmodeusz wyrusza z misją ratunkową. Bo nasi w potrzebie, a naszych nie zostawiamy nigdy. Naprawdę nigdy.

MAJA
LIDIA

KOSSAKOWSKA


Bramy
Światłości
tom 2



Polub
fanpage
autorki